

**ANDY
McNAB**

**NIM ZAPADNIE
ZMROK**

AUTOR
„KRYPTONIM BRAVO TWO ZERO”

ANDY McNAB wstąpił do piechoty jako kilkunastoletni chłopiec. Służył w SAS – elitarnych oddziałach brytyjskich komandosów, uczestnicząc w wielu akcjach poza granicami kraju. W 1991 roku, w trakcie wojny o Kuwejt, dowodził oddziałem o kryptonimie „Bravo Two Zero”. Wzięty do irackiej niewoli, był torturowany. Po odzyskaniu wolności zrezygnował ze służby. Otrzymał najwyższe brytyjskie odznaczenia wojskowe; opublikował dwie wspomnieniowe książki, „Kryptonim Bravo Two Zero” (1993) i „Natchmiastową akcję” (1995), które przyniosły mu sławę i pierwsze miejsce na listach bestsellerów. McNab kontynuuje karierę literacką – pisuje cieszące się wielkim powodzeniem thrillery, których bohaterem jest były żołnierz SAS, Nick Stone. Ukazały się m.in. „Zdalne sterowanie” (1997), *Firewall* (2000), „Nim zapadnie zmrok” (2001) i *Dark Winter* (2003).

Nick Stone otrzymuje od brytyjskich tajnych służb SIS zlecenie zabicia na terenie parlamentu członka środkowoamerykańskiej delegacji handlowej. Wskazaniem celem okazuje się chłopiec. Nick rezygnuje z wykonania zadania. Szantażowany przez mocodawcę, szefa SIS, musi kontynuować swoją misję w Panamie, dokąd powrócił jego cel. Wyjaśnia się, że jest nim syn miejscowego handlarza bronią, w którego rękach znajduje się najnowszy wojskowy system naprowadzający. SIS chce postraszyć handlarza, by zapobiec przekazaniu systemu partyzantom FARC. Nick orientuje się, że padł ofiarą precyzyjnie zaplanowanej mistyfikacji...

ISBN 83-7359-063-3



9 788373 590632



ANDY
MCNAB
NIM
ZAPADNIE
ZMROK

Z angielskiego przełożył PIOTR ROMAN



WARSZAWA 2003

Tytuł oryginału: LAST LIGHT

Copyright© Andy McNab 2001

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2003

Copyright © for the Polish translation by Zbigniew A. Królicki 2003

Redakcja: Barbara Nowak

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 83-7359-063-3

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

tel./fax (22)-631-4832, (22)-632-9155, (22)-535-0557

e-mail: hurt@olesiejuk.pl

www.olesiejuk.pl

Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy

Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk tel. (58)-520-3557, fax (58)-344-1338

Sprzedaż wysyłkowa:

merlin.com.pl/Dział Obsługi Klienta

Staszica 25, 05-500 Piaseczno

tel. (22)-716-7502, (22)-716-7503

e-mail: sklep@merlin.pl

www.merlin.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

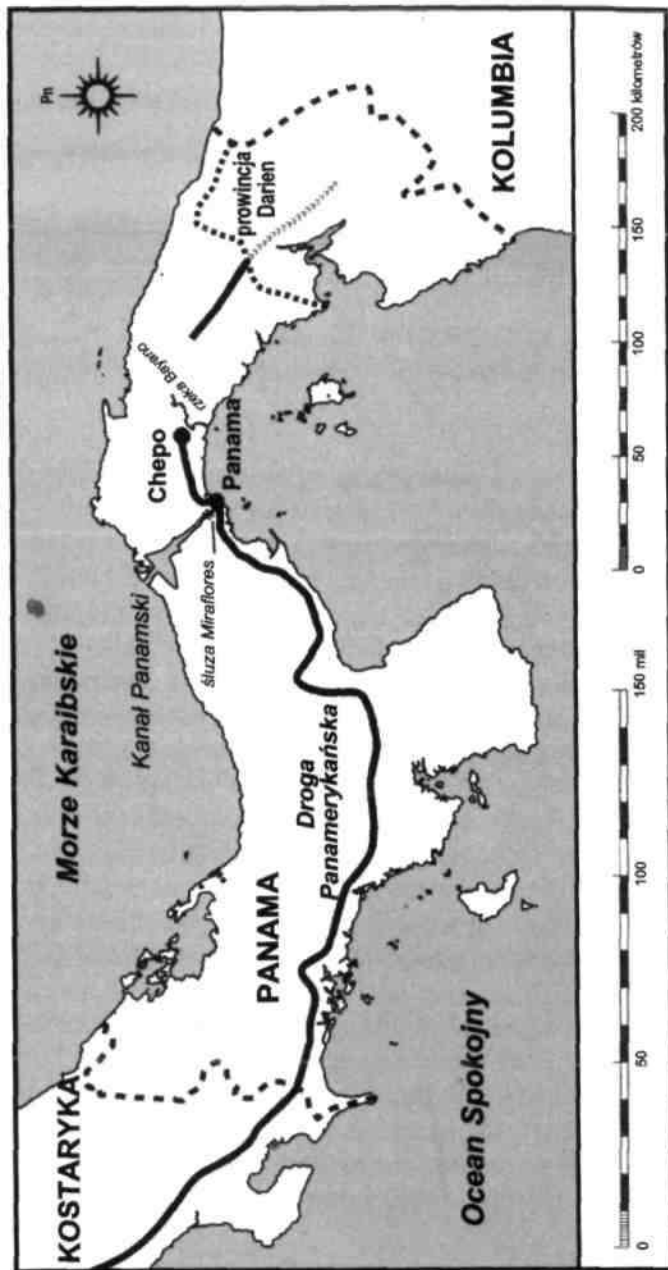
ANDRZEJ KURYŁOWICZ

adres dla korespondencji:

skr, poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

Warszawa 2003. Wydanie I

Skład: Laguna Druk: OpolGraf S.A., Opole



1

Niedziela, 3 września 2000

Nie wiedziałem, kogo mamy zabić — on lub ona będzie w tłumie zajadającym kanapki i sączącym szampana na tarasie budynku parlamentu o trzeciej po południu, a wtedy Potakiwacz zidentyfikuje cel, witając się z nim i kładąc mu dłoń na lewym ramieniu.

Robiłem w życiu różne dziwne rzeczy, ale to zadanie mnie przerażało. Za niespełna półtorej godziny miałem straszliwie pokalać własne gniazdo. Żywiłem tylko nadzieję, że firma wie, co robi, ponieważ ja wcale nie byłem tego pewien.

Kiedy kolejny raz rzuciłem okiem na leżące przede mną na stole pudełko śniadaniowe z przezroczystego plastiku, odpowiedziało mi spojrzeniem trzech żaróweczek sterujących z otworów, które wypaliłem w pokrywie. Żadna z nich się nie zaświeciła. Trójka snajperów jeszcze nie zajęła pozycji.

Niemal wszystko było nie tak. Otrzymaliśmy nieodpowiednią broń. Byliśmy w niewłaściwym miejscu. Mieliśmy za mało czasu na opracowanie planu i przygotowania.

Popatrzyłem przez firanki na drugi brzeg rojącej się od statków rzeki. Parlament wznosił się mniej więcej trzysta pięćdziesiąt metrów ode mnie, nieco w lewo. Pomieszczenie, do którego się włamałem, znajdowało się na ostatnim piętrze County Hall, dawniej budynku Greater London Council. Obecnie mieściły się w nim biura,

hotel oraz kilka lokali nastawionych na turystów, i spoglądał na Tamizę z jej południowego brzegu. Czulem się dość dziwnie, siedząc za politurowanym biurkiem z ciemnego drewna i spoglądając na miejsce akcji.

Taras Parlamentu ciągnął się wzdłuż całej ściany przylegającej do rzeki. Na jego lewym końcu rozstawiono na lato dwa pasiaste namioty z prefabrykatów. Część tarasu, jak dowiedziałem się ze strony internetowej, była przeznaczona dla członków Izby Lordów, a część dla członków Izby Gmin. Publiczność nie miała tam wstępu, chyba że w towarzystwie parlamentarzysty lub lorda, tak więc zapewne nigdy nie znajdę się bliżej tego miejsca, niż byłem teraz.

Dzisiaj Departament Handlu i Przemysłu gościł około trzydziestu biznesmenów z Ameryki Środkowej i Południowej, wraz z personelem i krewnymi. Może urzędnicy chcieli wkraść się w ich łaski i sprzedać im elektrownię lub dwie. Czy to ważne? Ja wiedziałem tylko to, że któryś z nich zostanie skasowany, zanim dopije drinka.

Wprost pode mną, pięć pięter niżej, na Albert Embankment stłoczyły się budki z hot dogami i stragany z plastikowymi hełmami policyjnymi oraz widokówkami z Big Benem, sprzedawane ludziom stojącym w kolejce do London Eye lub po prostu cieszącym się leniwym niedzielnym popołudniem. Pod mostem Westminster przepływał statek wycieczkowy pełen pasażerów. Z trzeszczących głośników dobiegał znudzony głos przewodnika opowiadającego historię Gya Fawkesa.

Mijał kolejny tydzień wakacyjny i sezonu ogórkowego, więc pan Murdoch i jego koledzy dziennikarze będą zachwyceni tym, co właśnie zamierzałem zrobić: najsilniejszą w tym roku eksplozją w Londynie, w dodatku w samym sercu Westminsteru. Wybuch i strzelanina prawdopodobnie spowodują, że nakłady skoczą pod niebo. Niestety, dobre wiadomości dla nich, to złe wieści dla mnie. Ludzie ze Special Branch będą wychodzić ze skóry, żeby się dowiedzieć, kto nacisnął guzik, a oni są w tej robocie najlepsi na świecie.

Powołano ich po to, żeby nie pozwalali IRA robić takich numerów, jaki właśnie szykowałem.

Trzy żaróweczki wciąż się nie paliły. Nie panikowałem, byłem tylko zatroskany.

Na obu końcach rzędu żarówek znajdowały się białe, prostokątne przyciski wymontowane z dzwonek do drzwi i przyklejone evostikiem. Pudełko skrywało połączone z nimi przewody. Guzik po lewej był nakryty zakrętką pojemnika po kremie do golenia. Naciskając go, zamierzałem zdetonować bombę, która powinna wywołać sporo zamieszania. Ładunek składał się głównie z prochu strzelniczego i miał narobić tyle hałasu, żeby przyciągnąć uwagę londyńczyków, nikogo nie zabijając. Będzie trochę zniszczeń, kilka skałeczeń lub siniaków, ale nie powinno być żadnych ofiar. Zakrętkę pojemnika po kremie położyłem tam dlatego, że nie chciałem przypadkowo zdetonować ładunku. Przycisk po prawej był odsłonięty. Naciskając go, miałem dać sygnał do strzału.

Obok pudełka postawiłem lornetkę zamocowaną na ministatywie i wycelowaną w miejsce akcji. Będzie mi potrzebna do obserwowania Potakiwacza, który podejdzie do celu i wskaże go nam.

Pudełko śniadaniowe zawierało dużą, zieloną, prostokątną baterię litową oraz płataninę drutów i elektronicznych układów. Nigdy nie dbałem o wygląd takich urządzeń. Miały po prostu działać. Z tylnej ścianki pudełka wychodziły dwa pokryte purpurowym plastikiem druty anten, biegnące po blacie i parapecie, do którego przysunąłem biurko. Luźno zwisały za oknem, które zamknąłem, żeby maksymalnie stłumić odgłosy mojej obecności.

Najgłośniejszym dźwiękiem był mój oddech, coraz szybszy, w miarę jak zbliżała się wyznaczona godzina. Od czasu do czasu zagłuszał go okrzyk zachwyty kolejnego turysty lub elektronicznie wzmocniony głos kolejnego przewodnika na rzece.

Mogłem tylko czekać. Położyłem ręce na biurku, oparłem na

nich głowę i patrzyłem na żaróweczki znajdujące się teraz na wysokości moich oczu, pragnąc, żeby zaczęły migotać.

Z transu wyrwał mnie Big Ben, wybijający drugą.

Wiedziałem, że snajperzy zajmą pozycje dopiero w ostatniej chwili, żeby nie narażać się dłużej, niż potrzeba, ale naprawdę chciałem, żeby te lampki zaczęły mrugać.

Chyba po raz tysięczny w ciągu ostatnich dwudziestu minut nacisnąłem niezasłonięty guzik i przechylając głowę na bok, zajrzałem do pudełka, jak dziecko zastanawiające się, co też mamusia dała mu na śniadanie. Tkwiąca w płataninie przewodów żaróweczka zapaliła się, zasilana prądem z obwodu zamkniętego przyciskiem. Teraz żałowałem, że nie wypaliłem jeszcze jednej dziury w wieczku i nie umieściłem tej lampki obok pozostałych, ale po prostu mi się nie chciało. Zwolniłem guzik i nacisnąłem ponownie. Lampka znowu się zapaliła. Urządzenie działało. A co z pozostałymi trzema, które zmontowałem dla snajperów? Będę musiał poczekać, żeby się przekonać.

Również po raz tysięczny zadałem sobie pytanie, dlaczego po prostu nie odmówiłem i przyjąłem to zlecenie. Oprócz tego, że miałem źle w głowie, powód był taki sam jak zawsze: dlatego że tylko to umiałem robić. Ja o tym wiedziałem i firma też. I wiedzieli doskonale — co było dla mnie czymś normalnym — że rozpaczliwie potrzebowałem forsy.

Gdybym chciał szczerze odpowiedzieć na to pytanie, co przychodziło mi z trudem, znalazłbym inny, znacznie głębszy powód. Ponownie skupiłem wzrok na żaróweczkach i powoli nabrałem tchu. Nauczyłem się kilku rzeczy, kiedy zacząłem odwiedzać Kelly w szpitalu.

Jeszcze w szkole rozpaczliwie pragnąłem znaleźć sobie miejsce — czy to wśród skautów, czy w bandzie rabującej żydowskim chłopakom drobniaki, które owijali w chusteczki, żeby nie brzęczały przy chodzeniu. Nie udało mi się. Dopiero kiedy zaciągnąłem się do wojska, poczułem, że znalazłem swoje miejsce. A teraz? Chyba po prostu nie byłem w stanie dojść do siebie.

Nareszcie. Środkowa lampka, lampka snajpera numer dwa, błysnęła pięć razy, w sekundowych odstępach.

Oparłem kciuk na guziku i upewniwszy się, że z podniecenia nie zdetonuję ładunku, nacisnąłem go trzykrotnie w takim samym rytmie, dając znać, że odebrałem sygnał, i sprawdzając, czy pali się lampka kontrolna w pudełku.

Środkowa lampka natychmiast odpowiedziała mi trzykrotnym błysnięciem. Dobra wiadomość. Snajper numer dwa był na pozycji, gotowy do strzału, i nawiązaliśmy łączność. Teraz powinny jeszcze zgłosić się numery jeden i trzy, żeby zacząć bal.

Wszystkie potrzebne snajperom informacje — gdzie mają się stawić, jak się tam dostać, co zrobić i, najważniejsze dla nich, jak później stamtąd uciec — umieściłem wraz z bronią i wyposażeniem w ich skrzynkach odbiorczych. Musieli tylko przeczytać instrukcje, sprawdzić sprzęt i strzelić. Każdy z nich miał strzelać z innej pozycji, nie wiedząc o pozostałych. Nie znali się i nigdy nie widzieli ani siebie, ani mnie. Tak się to robi. OPSEC, czyli bezpieczeństwo operacji. Wiesz tylko tyle, ile musisz.

Spędziłem dziesięć pracowitych wieczorów w pobliżu miejsca akcji, zanim znalazłem odpowiednie stanowiska strzeleckie na terenie szpitala po tej stronie rzeki, naprzeciwko miejsca akcji. Potem w jeden dzień dorobiłem dla snajperów klucze do pomieszczeń, przygotowałem potrzebny sprzęt i umieściłem wszystko w skrytkach. Tandy, B&Q oraz sklep ze zdalnie sterowanymi zabawkami w Camden Town nieźle na mnie zarobiły, kiedy pobrałem z bankomatu pieniądze na nowiutką kartę kredytową Visa, wystawioną przez Bank of Scotland dla niejakiego Nicka Somerhursta — ponieważ takie nazwisko przybrałem na czas tej akcji..

Jedynym w pełni satysfakcjonującym elementem operacji była troska o bezpieczeństwo. Tak bardzo o nie dbali, że Potakiwacz przekazał mi instrukcje osobiście.

W bardzo eleganckiej skórzanej dyplomatce miał kartonową

teczkę, na której czarnym tuszem odbito szablon z miejscami na podpisy i datę autoryzacji. Nie zauważyłem żadnego podpisu ani żółtej kartki oznaczającej zarejestrowany dokument. Taki widok zawsze mnie niepokoił, gdyż oznaczał cholerne kłopoty.

Kiedy na tylnym siedzeniu auta marki Previa MPV z przyciemnionymi szybami jechaliśmy po Chelsea Embankment w kierunku siedziby parlamentu, Potakiwacz wyjął z teczki dwie zapisane kartki formatu A4 i zaczął odprawę. Irytujące, ale z mojego miejsca nie mogłem odczytać tego, co miał tam napisane.

Nie podobał mi się ten nadęty ważniak, który mimo skończonych studiów usiłował przemawiać jak przedstawiciel klasy robotniczej i mówił mi, że jestem „nadzwyczajnym” i, jedynym odpowiednim” kandydatem do tego zadania. Sprawy wcale nie zaczęły wyglądać lepiej, kiedy z naciskiem poinformował mnie, że rząd o niczym nie ma pojęcia, a w firmie wiedzą o tym tylko dwie osoby: „C”, czyli szef SIS, oraz dyrektor do spraw bezpieczeństwa publicznego, czyli jego zastępca.

— I oczywiście — dodał z uśmiechem — my trzej.

Kierowca, któremu gęste i zaczesane na bok blond włosy nadawały wygląd młodego Roberta Redforda, grającego Sundance Kida, zerknął w lusterko. Przez moment pochwyciłem jego spojrzenie, zanim znów skupił się na prowadzeniu, usiłując przejechać Parliament Square. Obaj musieli wyczuwać, że nie jestem uszczęśliwiony tym zadaniem. Im przyjaźniej traktują mnie ludzie, tym bardziej podejrzane są ich motywy. Lecz, jak powiedział Potakiwacz, nie miałem powodu do obaw. SIS może przeprowadzić zamach na bezpośrednio polecenie sekretarza Foreign Office.

— Przecież dopiero co pan mówił, że wie o tym tylko pięć osób. Jesteśmy w Wielkiej Brytanii. To nie jest sprawa Foreign Office.

Jego uśmiech potwierdził to, co już wiedziałem.

— Och, Nick, nie chcemy nikomu zawracać głowy nieistotnymi szczegółami. Sądzę, że oni po prostu wolą ich nie znać.

I z jeszcze szerszym uśmiechem dodał, że gdyby coś poszło nie tak, nikt nie poniesie za to odpowiedzialności. Firma jak zawsze zasłoni się ustawą o tajemnicy służbowej, a w razie potrzeby troską o interesy państwa. Tak więc wszystko jest w najlepszym porządku i nic mi nie grozi. Nie powinienem zapominać, rzucił, że należę do zespołu. W tym momencie zacząłem się naprawdę niepokoić.

Było dla mnie zupełnie jasne, że nikt nie wiedział o tej operacji, bo nikt zdrowy na umyśle nie wyraziłby na nią zgody i nie podjąłby się takiego zadania. Może właśnie dlatego wybrali mnie. Potem, tak samo jak teraz, pocieszyłem się myślą, że przynajmniej dobrze mi zapłacą. No, nieźle. Rozpaczliwie potrzebowałem tych osiemdziesięciu patyków, czterdziestu od razu w dwóch dużych brązowych torbach, reszta po robocie. Dlatego zgodziłem się wziąć udział w tym tak koszmarnie zapowiadającym się przedsięwzięciu.

Zbliżaliśmy się do Westminster Bridge, mijając po prawej Big Bena i siedzibę parlamentu. Po drugiej stronie rzeki widziałem budynek County Hall, a na lewo od niego London Eye. Koło obracało się tak wolno, że wydawało się stać nieruchomo.

— Powinieneś tu wysiąść, Stone. Rozejrzyj się trochę.

Słyszając to, Sundance Kid zatrzymał previę przy krawężniku, a zirytowani kierowcy z tyłu włączyli klaksony i usiłowali nas wyminać. Otworzyłem tylne drzwiczki i wyszedłem w ogłuszający uliczny zgiełk. Potakiwacz pochylił się na swoim fotelu i chwycił za klamkę.

— Zadzwoni i powiedz, czego potrzebujesz i gdzie ta trójka ma odebrać sprzęt.

Po tych słowach drzwi się zamknęły i Sundance wymusił pierwszeństwo na autobusie, żeby włączyć się w sznur pojazdów zmierzających na południe, na drugi brzeg rzeki. Kierowca furgonetki pokazał mi palec, dodając gazu, żeby nadrobić czterdzieści sekund spóźnienia.

Siedząc za biurkiem i czekając, aż zapalą się dwie pozostałe lampki, starałem się myśleć o tych czterdziestu tysiącach. Chyba

nigdy nie potrzebowałem ich tak bardzo. Snajperzy zapewne dostaną trzy razy tyle co ja, ale nie byłem tak dobry jak oni w tym, co robili. Ci ludzie wydawali się równie oddani swojej sztuce jak olimpijscy lekkoatleci. Spotkałem kilku strzelców wyborowych w przeszłości, kiedy sam zamierzałem się tym zająć, ale zrezygnowałem. Zawodowych snajperów uważałem za dziwaków. Żyli w świecie, w którym wszystko traktowano poważnie, od polityki po kupowanie lodów. Należeli do wyznawców idei jednej kuli, jednego trafienia. Nie, strzelanie to może dochodowe zajęcie, ale nie dla mnie. Ponadto trajektorie pocisków i skomplikowane zasady brania poprawek na wiatr nudziły mnie już po półgodzinnej rozmowie, a co by było, gdybym miał zajmować się nimi całe życie.

Od chwili gdy Potakiwacz zostawił mnie z dwoma torbami pieniędzy, zacząłem zabezpieczać się staranniej niż zwykle. Wiedziałem, że jeśli wpadnę w ręce Special Branch, firma wyprze się mnie, co jest częścią gry. A jednak tym razem było to coś więcej. To, co mieliśmy zrobić, nie zdarza się w Wielkiej Brytanii i nikt zdrowy na umyśle nie wyraziłby na coś takiego zgody. Wszystko wyglądało fatalnie, a Potakiwacz nigdy nie chciał być po stronie przegranych. Zamordowałby własną babcię, gdyby od tego zależał jego awans. Prawdę mówiąc, od kiedy przejął wydział operacyjny po pułkowniku Lynn, wchodził bez mydła w tyłek „C”. Gdyby sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem, a nawet gdybym zdołał wymknąć się SB, sprzedałby mnie bez wahania, jeśli tylko mógł coś przez to zyskać i rzucić winę na kogoś innego.

Potrzebowałem zabezpieczenia, więc zacząłem od tego, że zanotowałem numery seryjne wszystkich trzech karabinów snajperskich, zanim je zatarłem. Potem zrobiłem polaroidem zdjęcia sprzętu oraz wszystkich trzech stanowisk strzeleckich. Te ostatnie dołączyłem do instrukcji, które zostawiłem snajperom w skrytkach, a jeden zestaw zatrzymałem dla siebie. Teraz miałem pełną dokumentację fotograficzną, a także kserokopie instrukcji dla każdego z nich. Wszystko to włożyłem do torby, którą zostawiłem w

skrytce bagażowej na dworcu Waterloo, wraz z całym moim dobytkiem: parą dzinsów i skarpetek, zmianą bielizny, kosmetyczką i dwiema marynarkami z wełny.

Po umieszczeniu sprzętu w skrytkach powinienem natychmiast się oddalić, ale nie zrobiłem tego. Założyłem punkt obserwacyjny w pobliżu skrytki snajpera numer dwa, znajdującej się na przedmieściu targowego miasteczka Thetford w okręgu Norfolk. Nie miałem żadnego szczególnego powodu, żeby wybrać akurat snajpera numer dwa. Po prostu ta skrytka znajdowała się najbliżej Londynu. Pozostałe dwie były w Peak District i na Bodmin Moor. Wszystkie trzy znajdowały się w odludnych miejscach, tak by po odebraniu broni mogli ją wypróbować i upewnić się, że celownik optyczny jest właściwie przymocowany do lufy i umożliwiał trafienie w cel z wyznaczonej odległości. Reszta, czyli ocena siły wiatru, wyprzedzenia (celowanie przez poruszający się obiekt) oraz dystansu, stanowi część snajperskiego kunsztu, ale najważniejszy jest dobrze wyregulowany celownik i odpowiednie naboje. Jak i gdzie je sprawdzą, to ich sprawa. Placono im dostatecznie dobrze, żeby samodzielnie podejmowali takie decyzje.

W skrytce, którą była stara dwustulitrowa beczka po ropie, zostawiłem duży czarny worek tenisowy Pумы, w którym umieściłem kompletne wyposażenie potrzebne do strzału i dokładnie oczyszczone: żadnych odcisków palców ani materiału do wykonania badań DNA. Bardzo starannie spakowałem sprzęt. Ubrany jak technik w fabryce gazów bojowych, sprawdziłem, wyczyściłem i wytarłem każdy element tyle razy, że graniczyło z cudem, iż na lufach pozostała jeszcze ochronna farba.

Zakutany w goretexowy śpiwór i tkwiąc między paprociami w paskudnie siąpiącym deszczu, czekałem na przybycie snajpera numer dwa. Wiedziałem, że podchodząc do skrytek, podejmę wszelkie możliwe środki ostrożności, aby mieć pewność, że nikt ich nie śledzi i że nie wpadną w pułapkę. Właśnie dlatego musiałem trzymać się z daleka, ściśle mówiąc, w odległości sześćdziesięciu

dziewięciu metrów, co z kolei zmusiło mnie do użycia teleobiektywu. Nikona, za pomocą którego zamierzałem zdobyć kolejne fotograficzne dowody, owinąłem podkoszulkiem, aby stłumić odgłos pracy silniczka, a potem okręciłem plastikowym workiem na śmieci tak, że wystawał tylko obiektyw i wizjer.

Czekałem, mając po uszy batoników Mars i deszczu, żywiąc nadzieję, że snajper numer dwa nie przyjdzie po sprzęt w nocy.

Minęło ponad trzydzieści nudnych i bardzo deszczowych godzin, zanim się pojawił. Dobrze, że przynajmniej przyszedł w dzień. Obserwowałem, jak zakapturzona postać sprawdza teren wokół składowiska starych zardzewiałych maszyn rolniczych i beczek po ropie. Ruszyła naprzód niczym ostrożny i mokry kot. Przyłożyłem aparat do oka. Wytarte granatowe dżinsy, brązowe buty turystyczne i beżowa nieprzemakalna kurtka do kolan. Kaptur miał doszyty daszek i dostrzegłem metkę na lewej piersi: LLBean. Jeszcze nigdy nie widziałem żadnego ich sklepu poza Stanami Zjednoczonymi.

No i poza Stanami Zjednoczonymi nie widziałem także kobiety snajpera. Mogła być nieco po trzydziestce, szczupła, średniego wzrostu, o kasztanowych włosach sterczących spod kaptura. Nie była ani ładna, ani brzydka, po prostu przeciętna, wyglądająca bardziej na młodą matkę niż zawodową zabójczynię. Dotarła do beczek po ropie i dokładnie sprawdziła skrytkę, upewniając się, że nie jest zaminowana. Mimo woli zastanawiałem się, dlaczego kobieta wybrała sobie takie zajęcie. Jaką bajeczkę opowiedziała dzieciom o swojej pracy? Że pracuje w dziale kosmetyków u Searsa i kilka razy w roku musi jeździć na tygodniowe szkolenia uzupełniające wiadomości w kwestii stosowania tuszu do rzęs?

Najwidoczniej spodobała jej się zawartość beczki. Szybko zanurzyła w niej rękę i wyjęła torbę. Odwróciła się w moją stronę, trzymając ją w obu rękach, po czym torbę zarzuciła sobie na prawe ramię. Nacisnąłem spust i kamera cicho zawarczała. Po kilku

sekundach kobieta znów znikła między drzewami i wysokimi paprociami. Niczym kot; pewnie znajdzie sobie teraz kryjówkę, w której obejrzy łup.

Snajper musi być nie tylko znakomitym strzelcem. Równie ważna jest umiejętność radzenia sobie w terenie: skradanie się, oceny odległości, maskowanie i znajdowanie kryjówek. Sądząc po tym, jak sprawnie ta kobieta przejęła zawartość skrytki i się wycofała, założyłbym się, że była mistrzynią we wszystkich tych dyscyplinach.

Służąc w wojsku, przez dwa lata byłem strzelcem wyborowym Royal Green Jacket. Podobało mi się to tak samo jak wszystko inne: być może dlatego, że zindywidualizowany charakter zadań ułatwiał nawiązywanie kontaktów z kolegami. Wiele się nauczyłem i byłem dobrym strzelcem, ale nie miałem ochoty zajmować się tym przez całe życie.

Wciąż patrzyłem na trzy żaróweczki, czekając na przybycie numerów jeden i trzy. Nad rzeką z warkotem przeleciał śmigłowiec, podążając wzdłuż północnego brzegu. Spojrzałem w górę, żeby sprawdzić, czy to nie mnie szukają. Moja paranoja rozwijała się. Przez chwilę obawiałem się, że znaleźli ładunek wybuchowy, który zeszłej nocy umieściłem na dachu Royal Horseguards Hotel w Whitehall. Hotel znajdował się niedaleko, po drugiej stronie rzeki, zasłonięty przez główny gmach Ministerstwa Obrony. Widok trzech flag łopoczących na szczycie tego masywnego budynku z jasnego kamienia kazał mi po raz tysięczny sprawdzić jeszcze coś.

Kątem oka wciąż obserwując trzy żaróweczki, spojrzałem za rzekę, przyglądając się wiatrowskazom. W zabudowanym terenie wiatr może wiać w różnych kierunkach, na różnych wysokościach i z różną siłą, zależnie od budynków, które musi omijać. Czasem ulice przekształcają się w tunele powietrzne, zmieniające kierunek i chwilowo wzmacniające siłę podmuchów. Tak więc wokół miejsca akcji należało wybrać wiatrowskazy znajdujące się na różnych wysokościach, żeby snajperzy mogli precyzyjnie nastawić celowniki

optyczne. Wiatr może w znacznym stopniu wpłynąć na to, gdzie trafi pocisk, ponieważ po prostu zmienia tor jego lotu.

Flagi są bardzo przydatne, a tutaj wisiało ich więcej niż przed siedzibą ONZ. Na wodzie było mnóstwo zakotwiczonych łodzi z banderami na rufach. Dalej, po obu stronach Westminster Bridge, stały stragany, w których oferowano turystom chorągiewki Union Jack i Manchester United. Snajperzy wykorzystają to, a będą wiedzieli, gdzie patrzeć, ponieważ zaznaczyłem te miejsca na mapkach pozostawionych w skrytkach. Mieli sprzyjające warunki do strzału, gdyż wiał tylko słaby wietrzyk.

Zauważyłem jakiś ruch na miejscu akcji. Wstrzymałem oddech i serce zaczęło mi szybciej bić. Cholera, za wcześnie.

Miałem doskonały widok na cały taras, a dzięki dwunastokrotnie powiększającej lornetce czułem się niemal tak, jakbym na nim stał. Sprawdziłem, jednym okiem spoglądając przez lornetkę, a drugim na trzy lampki.

Odetchnąłem z ulgą. To tylko obsługa przyjęcia. Wychodziła z namiotów ustawionych na lewo od miejsca akcji, kręcąc się w swoich czarno-białych uniformach, rozstawiając na prostokątnych drewnianych stołach popielniczki oraz talerzyki z fistaszkami i zakąskami. Wyglądający na spiętego facet w podeszłym wieku, ubrany w szary dwurzędowy garnitur, poruszał się między nimi, wymachując rękami jak dyrygent.

Powiodłem wzrokiem wzdłuż tarasu i na jednej z drewnianych ławek zauważyłem fotografa. Położył obok siebie dwa aparaty fotograficzne i palił papierosa, z szerokim uśmiechem zadowolenia obserwując to zamieszanie.

Ponownie skupiłem uwagę na dyrygencie. Spojrzał na Big Bena, na swój zegarek, po czym klasnął w dłonie. Był zaniepokojony tak samo jak ja. Dobrze, że przynajmniej sprzyjała nam pogoda. Gdyby snajperzy musieli strzelać do celu ukrytego we wnętrzu pawilonu, akcja stałaby się jeszcze trudniejsza.

Wszystkie trzy stanowiska strzeleckie znajdowały się po mojej stronie rzeki, w trzech pomieszczeniach na terenie St Thomas Hospital, na wprost tarasu. Trzy różne stanowiska oznaczały trzy

różne kąty strzału, co zwiększało szanse trafienia. Snajperzy będą rozstawieni mniej więcej co czterdzieści pięć metrów i mieli strzelać do celu oddalonego o trzysta trzydzieści do trzystu osiemdziesięciu metrów, zależnie od ich pozycji. Ze swoich stanowisk na pierwszym piętrze mieli celować nieco w dół, pod kątem czterdziestu pięciu stopni. To powinno wystarczyć, żeby widzieli siedzący obiekt od pasa w górę, a stojący od kolan w górę, gdyż taras był otoczony wysokim na metr kamiennym murkiem, chroniącym przed upadkiem w nurt Tamizy tych parlamentarzystów i lordów, którzy wypili o jednego drinka za dużo.

Po tej stronie rzeki na brzegu znajdował się szpaler drzew, które dawały snajperom osłonę, ale zarazem mogły znaleźć się na linii strzału. W takich wypadkach zawsze trzeba szukać kompromisu — nigdy nie ma idealnego rozwiązania.

Snajperzy trafią na te stanowiska po raz pierwszy i ostatni. Zaraz po akcji pojedą do Paryża, Lille lub Brukseli pociągami Eurostar, które odjeżdżają z odległego o dziesięć minut marszu dworca Waterloo. Uczczą udaną akcję kieliszkiem szampana w tunelu pod kanałem, zanim Special Branch i dziennikarze w pełni uświadomią sobie, co się stało.

2

Upewniwszy się, że na miejscu akcji jedyną aktywność wykazuje uwijająca się jak w ukropie obsługa, znów zacząłem obserwować trzy żaróweczki. Snajperzy numer jeden i trzy powinni już się zgłosić. Przestałem się troskać i prawie zacząłem się niepokoić.

Pomyślałem o numerze dwa. Kobieta zapewne ostrożnie zajęła pozycję strzelecką, sprawdziwszy, czy ma wolną drogę, w taki sam sposób, jak przy skrzynce odbiorczej, i być może w jakimś prostym przebraniu. Peruka, płaszcz i okulary bardziej zmieniają wygląd, niż ludzie sądzą, i SB mogła stracić setki godzin pracy, przeglądając taśmy szpitalnego systemu bezpieczeństwa oraz z kamer na ulicach i skrzyżowaniach.

Najpierw nałożywszy gumowe rękawiczki, otworzy dostarczonym kluczem pomieszczenie, zamknie za sobą drzwi i wepchnie dwa kliny z szarej gumy w szparę między nimi a podłogą oraz na wysokości dwóch trzecich framugi, tak by nikt nie mógł wejść do środka, nawet mając klucz. Potem, stojąc tuż za drzwiami, otworzy sportową torbę i zacznie wkładać swój roboczy strój — jasnoniebieski kombinezon chroniący malarza przed zachlapaniem farbą, zakupiony w B&Q. W żadnym wypadku nie wolno zostawić w tym pomieszczeniu, na broni i sprzęcie, który tam porzuci, najmniejszych włókien z ubrania ani innych śladów. Jej usta zapewne

chroni już maska zapobiegająca pozostawieniu na broni nawet maleńkiej kropelki śliny podczas celowania. Byłem zadowolony z tych masek: kupiłem je po promocyjnej cenie.

Kombinezon i rękawiczki chroniły ubranie i skórę. Gdyby ich nie miała i została zatrzymana tuż po strzelaninie, na jej skórze i ubraniu wykryto by ślady po spalonym prochu. Dlatego dłonie podejrzanych owija się plastikowymi woreczkami. Ja także nosiłem gumowe rękawiczki, jako rutynowe zabezpieczenie. Nie zamierzałem zostawiać tu żadnego sprzętu ani najdrobniejszych śladów mojej obecności.

Osloniwszy się tak, że pozostała tylko szpara na oczy, kobieta pewnie wygląda jak technik kryminalistyki na miejscu zbrodni. Dopiero teraz zacznie przygotowywać sobie stanowisko. W przeciwieństwie do mojego, powinno być oddalone od okna, tak więc kobieta przesunie biurko o trzy metry w głąb pomieszczenia. Następnie pineskami przymocuje do sufitu firankę i pozwoli jej opaść tak, by zasłoniła stanowisko strzeleckie, po czym przywiąże dolne rogi do nóg biurka. W podobny sposób przymocuje za stanowiskiem arkusz półprzezroczystej ciemnej folii. Zarówno arkusze folii, jak i firanki starannie przyciąłem do odpowiednich rozmiarów, ustalonych w trakcie wieczornych wizji lokalnych. Połączenie firanki i ciemnego tła stworzy efekt półmroku, w wyniku czego ktoś spoglądający w okno nie zobaczy dziwacznie ubranej kobiety z wycelowaną bronią. Firanka nie będzie żadną przeszkodą dla lornetki i celownika optycznego, więc nie utrudni strzału.

Mniej więcej po piętnastu minutach od chwili przybycia kobieta powinna siedzieć za biurkiem, na obitym zieloną dermą obrotowym fotelu. Złożona broń będzie spoczywała na blacie, oparta na przymocowanym do lufy trójnogu. Lornetka, zamontowana na ministatywie, również będzie stała na biurku, obok plastikowego pudełka śniadaniowego. Oparwszy kolbę o ramię, kobieta sprawdzi pole ostrzału, żeby upewnić się, że obracając broń na trójnogu, może omieść cały taras i że nie przeszkadzają jej drzewa ani

framuga okna. Potem usiadł spokojnie i wtopił się w otoczenie, może na próbę celując do któregoś z członków uwijającej się na tarasie obsługi.

Jedną z najważniejszych czynności, jakie powinna wykonać, zanim zgłosi mi swoją gotowość, było sprawdzenie linii strzału. Snajperski celownik optyczny zawsze jest zamocowany nad lufą. W wyniku tego jakiś przedmiot w bezpośredniej bliskości strzelca może znaleźć się poza polem widzenia w obiektywie. Byłoby fatalnie, gdyby wystrzeliła do dobrze widocznego w wizjerze celu, a pocisk nie opuścił pomieszczenia, trafiając w ścianę lub framugę okna.

Każdy z trzech karabinów był zaopatrzony w tłumik wyciszający huk wystrzału. Minusem stosowania tego urządzenia było to, że jedna trzecia lufy, licząc od przodu, była znacznie grubsza i cięższa od pozostałych dwóch trzecich, zmieniając naturalne wyważenie broni. Tłumik nie wyciszy huku towarzyszącego przekroczeniu przez pocisk bariery dźwięku, lecz to nie miało znaczenia, gdyż ten dźwięk będzie słyszalny dopiero w sporej odległości od stanowisk, a ponadto zagłuszony przez eksplozję. Dzięki tłumikom strzałów nie powinien usłyszeć żaden pracownik szpitala ani włoski turysta, zjadający potwornie drogie lody na bulwarze kilka metrów niżej.

Okna pomieszczeń będą musiały być otwarte. Strzał przez szybę nie tylko zaalarmowałby turystów, ale również ujemnie wpłynął na celność. Ryzykowaliśmy, że ktoś może uznać otwarte w niedzielę okno za podejrzaną zjawiskę, lecz nie mieliśmy wyboru. Tłumik i tak już zmniejszy celność oraz zasięg strzału. Właśnie dlatego musieliśmy użyć amunicji naddźwiękowej. Pociski poddźwiękowe, które byłyby zupełnie niesłyszalne, po prostu nie pokonałyby takiej odległości.

Dopiero po upewnieniu się, że stanowisko jest dobrze wybrane i po sprawdzeniu, czy pod kapturem ma aparat słuchowy, kobieta zgłosi mi swoją gotowość. Jej skrzyneczka nadawcza nie miała żadnych lampek, jedynie antenkę z zielonego drutu, który zapewne rozciągnęła na biurku i na podłodze. Kiedy nacisnąłem guzik,

jeden z miedzianych obwodów w moim pudełku wyemitował trzy niskie dźwięki. Kobieta usłyszała je w aparaciku słuchowym.

Z jej pudełka wychodził jeszcze jeden drut, zakończony dużym przyciskiem z czarnego plastiku, teraz przyklejonym do kolby broni. Miała go naciskać, ilekroć będzie miała cel w zasięgu strzału.

Gotowa do podjęcia akcji, pięć razy nacisnęła przycisk na pudełku, w wyniku czego u mnie pięciokrotnie zabłyśła żaróweczka numer dwa.

Teraz kobieta nie miała już nic do roboty. Pozostawało jej tylko siedzieć spokojnie z bronią skierowaną w stronę okna, obserwować, czekać i może nasłuchiwać odgłosów dobiegających z dołu. Przy odrobinie szczęścia pozostali dwaj snajperzy wkrótce będą robić to samo. Gdyby ktoś ze szpitalnej ochrony chciał być dobrym chłopcem i zamknąć okno, ostatnim widokiem, jaki ujrzaliby w swoim życiu, byłaby kobieta ubrana jak statystka z „Archiwum X”, która wciągnęłaby go do środka.

Dopiero teraz, kiedy zajęła pozycję, zaczęła się najtrudniejsza część jej zadania. Od momentu przestrzelenia broni w lesie pod Thetfordem musiała obchodzić się z nią jak z cenną porcelaną. Najlżejsze uderzenie mogło przesunąć celownik optyczny i zmienić ustawienie. A nawet najmniejsza zmiana mogła spowodować odchylenie toru pocisku, co oznaczało pudło.

Sprawę utrudniało nie tylko ryzyko przestawienia optyki i wpływ tłumika na trajektorię pocisku. Sama broń, dostarczona mi przez Potakiwacza, była „składana”. Tak więc po tym jak kobieta wyregulowała karabin do tego jednego decydującego strzału, musiała rozłożyć go i schować, a później ponownie złożyć na stanowisku. Na szczęście w tym modelu odejmowało się tylko lufę, a ponieważ karabiny okazały się fabrycznie nowe, nie było obawy, że później obie części mogą nie pasować w wyniku zużycia. Jednakże wystarczyłaby nawet niewielka niedokładność, lekkie uderzenie w celownik optyczny podczas transportu, żeby zmienić tor lotu pocisku o kilka centymetrów.

Dla zwykłego strzelca strzelającego z niewielkiej odległości do tłumu przeciwników nie stanowiłoby to żadnego problemu, lecz ci chłopcy i dziewczynka zamierzali strzelić tylko raz, w głowę, mierząc w pień mózgu lub płyty czołowe. Po takim strzale cel pada jak rażony gromem i nie ma szansy na przeżycie. To oznaczało, że będą musieli mierzyć w jedno z dwóch konkretnych miejsc: tuż nad uchem lub między oczy.

Ta kobieta i pozostali dwaj musieliby być najnudniejszymi i najbardziej oddanymi swojemu zajęciu snajperami, żeby dokonać tego za pomocą tej broni. Potakiwacz nie chciał mnie słuchać. Byłem wkurzony, bo gównu wiedział o pracy w terenie, a mimo to decydował o tym, jakim sprzętem będziemy się posługiwać.

Usiłowałem się uspokoić, przypominając sobie, że to niezupełnie jego wina. Musieliśmy znaleźć kompromis między rozmiarami a celnością, ponieważ nie można chodzić po ulicach z futerałem na wędki lub największym na świecie pudłem z kwiatami. Pieprzyć to, gardziłem tym facetem, kiedy kierował sekcją wsparcia technicznego, a teraz jeszcze bardziej.

Spojrzałem przez okno na czarno-białe postacie poruszające się na miejscu akcji i zastanawiałem się, czy Anglik, który jako pierwszy przymocował w siedemnastym wieku lunetę do muszkietu, wiedział, co czyni temu światu.

Sprawdziłem teren przez lornetkę, patrząc przez nią jednym okiem, a drugim wypatrując sygnału od snajperów numer jeden i trzy. Lornetka była zamocowana na statywie, ponieważ przy dwunastokrotnym powiększeniu najłżejsze drgnięcie mogło spowodować wrażenie, że ogląda się „The Blair Witch Project”.

Sprawy ruszyły z miejsca. Poganiacz w szarym garniturze wciąż popędzał personel. Wchodzących przez łukowatą bramę gości witały rozstawione na tarasie stoły, nakryte olśniewająco białymi obrusami. Wysokie kieliszki czekały na srebrnych tacach, aż wystrzela korki szampana.

Wkrótce miało się zacząć, a zgłosił mi się tylko jeden snajper. Niedobrze, naprawdę niedobrze.

Ponownie skierowałem lornetkę na łukowatą bramę i znów zacząłem obserwować lampki, w duchu nakazując im, żeby zabłyśły. Nic więcej nie mogłem zrobić.

Na próżno próbowałem wmawiać w siebie, że akcja została dobrze przygotowana i jeden strzelec wyborowy wystarczy, aby wykonać zadanie.

Snajperzy mieli takie same lornetki jak ja i powinni obserwować przez nie bramę. Rozpoznają Potakiwacza w chwili, gdy pojawi się na miejscu akcji, i najpierw będą obserwować go przez lornetki dające większe pole widzenia i ułatwiające śledzenie jego ruchów w tłumie. Po zidentyfikowaniu celu zaczną patrzeć przez celowniki optyczne, a ja skupię uwagę na lampkach.

Sposób, w jaki zamierzałem kierować snajperami i dać im sygnał do strzału, zaczerpnąłem z filmu dokumentalnego, który widziałem w telewizji. Czterej hinduscy strażnicy leśni, działając zespołowo i w milczeniu, zdołali podejść bardzo blisko białego tygrysa i wpakować mu kilka pocisków usypiających.

Ilekoć któryś ze snajperów będzie miał obiekt w celowniku i na pozycji umożliwiającej celny strzał, naciśnie czarny guzik. Lampka na moim urządzeniu sygnalizacyjnym będzie się paliła, jeśli cel pozostanie w polu widzenia. Jeśli go zgubią, zwolnią przycisk i lampka zgaśnie, dopóki nie odnajdą obiektu.

Kiedy zdecyduję, że mają rozpocząć ogień, trzykrotnie naciśnie guzik w jednosekundowych odstępach.

Po pierwszym błysnięciu żarówki snajperzy wstrzymają oddech, żeby drgania nie wpłynęły na celność strzałów.

Po drugim lekko nacisną języki spustowe, żeby nie szarpnąć bronią przy wystrzale.

Drugie przyciśnięcie guzika spowoduje także detonację ładunku wybuchowego. Po trzecim snajperzy wystrzelą w tej samej chwili, gdy wybuchnie bomba na dachu hotelu. Byłoby idealnie, gdyby obiekt siedział i paliły się wszystkie trzy lampki, ale sprawy rzadko układają się tak dobrze.

Eksplozja nie tylko zagłuszy huk wystrzałów, lecz wywoła

zamieszanie na północnym brzegu rzeki, co osłoni nasz odwrót. Żałowałem tylko, że Ministerstwo Obrony jest nieczynne w czasie weekendu. Chciałbym zobaczyć miny urzędników, kiedy wybuch powybija okna. No trudno, przy odrobinie szczęścia konie gwardzistów przed Whitehall pozrzucają swoich jeźdźców.

Żaden ze snajperów nie będzie wiedział, czy pozostali namierzili cel. Dowiedzą się, że mają strzelać, dopiero wtedy, kiedy dam im sygnał. Jeśli któryś nie będzie miał wówczas obiektu na celowniku, po prostu nie strzeli.

Po eksplozji, bez względu na to, czy strzelili, czy nie, wszyscy wycofają się ze swoich pozycji. Zdejmą kombinezony ochronne, po czym spokojnie i sprawnie odejdą, niosąc je w torbach. Sprzęt i karabiny zostaną później znalezione przez policję, lecz to nie miało dla mnie żadnego znaczenia, gdyż nie pozostawiłem na nich żadnych śladów. Dla snajperów również, bo jako zawodowcy powinni pozostawić je w takim samym stanie. Jeśli nie, to ich problem.

Przetarłem oczy.

Rozbłysła następna lampka.

Snajper numer jeden znalazł się na pozycji, gotowy do strzału.

Trzykrotnie nacisnąłem guzik i po chwili żaróweczka snajpera numer jeden odpowiedziała mi trzykrotnym błysnięciem.

Teraz poczułem się trochę lepiej, mając dwóch strzelców, którzy spokojnie czekali na mój znak, obserwując miejsce akcji. Mogłem tylko mieć nadzieję, że snajper numer trzy też się zaraz zgłosi.

3

Big Ben wybił wpół do trzeciej. Zostało trzydzieści minut.

Wciąż gapilem się na pudełko, usiłując zachować optymizm. Przeprowadzimy tę operację ze snajperem numer trzy lub bez niego, ale ze względu na problemy z bronią trzech strzelców dawało większe szanse na sukces niż dwóch.

Moje pozytywne myślenie nie przynosiło żadnych rezultatów i mniej więcej po dziesięciu minutach znów przeniosłem spojrzenie na miejsce akcji. Coś się tam zaczęło dziać. Między czarno-białymi postaciami pojawiły się inne, ubrane bardziej kolorowo. Cholera, goście przyszli wcześniej.

Przyłożyłem oko do lornetki i obejrzałem ich sobie, zapewne tak samo jak snajperzy numer jeden i dwa. Nowo przybyli najwidoczniej byli peletonem gości, złożonym z około dziesięciu białych mężczyzn w garniturach. Sprawdziłem, czy Potakiwacz nie pojawił się razem z nimi i nie spieprzył swojego własnego planu. Nie było go. Chociaż doskonale by tam pasował; ci goście najwidoczniej nie wiedzieli, co ze sobą zrobić, więc kręcili się jak stado baranów przy wejściu, popijając szampana i gwarząc ze sobą, zapewne skarżąc się na to, że muszą pracować w niedzielę. Czarny dwurzędowy garnitur ze sztucznego włókna najwidoczniej był dziś obowiązkowym strojem. Nawet z tej odległości widziałem wyświechtane na

tyłkach spodnie i pomięte marynarki. Te ostatnie przeważnie były porozpinane z powodu pogody lub wydatnych brzuchów i ukazywały zbyt długie lub za krótkie krawaty. Z pewnością angielscy politycy i urzędnicy.

Jedynym wyjątkiem była blondynka po trzydziestce, w prostokątnych okularach; pojawiła się obok szefa personelu. Ubrana w nienagannie skrojoną garsonkę, wyglądała wśród nowo przybyłych na jedyną osobę wiedzącą, o co tu chodzi. Trzymając w lewej ręce telefon komórkowy, a w prawej długopis, najwidoczniej uznała, że obsługa wszystko zrobiła nie tak.

W polu widzenia pojawił się fotograf ze światłomierzem w rękę, najwyraźniej wykorzystujący ostatnią chwilę spokoju przed imprezą. Błysnął na próbę fleszem. Kątem oka dostrzegłem inny błysk i spojrzałem w dół.

Trzecia lampka. O mało nie krzyknąłem z radości.

Zostawiłem jasnowłosą w spokoju i zająłem się pudełkiem. Snajper numer trzy posłusznie odpowiedział na moje trzy błyski.

Big Ben wybił trzecią.

Uspokoilem się. Wiedziałem, że ci ludzie zajmą swoje pozycje dopiero w ostatniej chwili, a mimo to, czekając, martwiłem się. Teraz chciałem tylko jak najszybciej zrobić swoje, odjechać pociągiem na Gare du Nord, a potem na lotnisko Charles'a de Gaulle'a. Powinienem akurat zdążyć na lot American Airlines do Baltimore o dziewiątej, żeby zobaczyć Kelly i zakończyć sprawę z Joshem.

Znowu spojrzałem przez lornetkę i patrzyłem, jak blond jęzda mówi Angolom, uprzejmie i z szerokim uśmiechem, żeby spieprzali od drzwi i przygotowali się do pełnienia obowiązków towarzyskich. Piastując kieliszki z szampanem, ruszyli w kierunku przekąsek, znikając mi z pola widzenia. Nie odrywałem wzroku od wejścia.

Teraz, kiedy przestali je zasłaniać, mogłem zajrzeć w zalegający wewnątrz cień. Wyglądało to na bar, jeden z tych, w których przesuwasz swoją tacę wzdłuż kontuaru i płacisz na końcu. Co za rozczarowanie: oczekiwałem czegoś bardziej ekskluzywnego.

Znów ktoś stanął w progu — następna kobieta z telefonem komórkowym przy uchu. Ta w wolnej ręce trzymała notes. Wyszła na taras, wyłączyła komórkę i rozejrzała się wokół.

W polu widzenia pojawiła się blond jędrza. Przez chwilę z ożywieniem kiwały głowami i wymieniały uwagi, pokazując palcami to czy owo, po czym obie wróciły tam, skąd przyszły. Zacząłem się niecierpliwić. Chciałem jak najszybciej z tym skończyć i znaleźć się w pociągu.

„Członek zespołu” — powiedział Potakiwacz.

Akurat. Jedyne, co mogło mi pomóc, gdyby coś poszło nie tak, to podjęte przeze mnie środki ostrożności i szybka ucieczka do Stanów.

Kilka sekund później w przejściu pojawili się ludzie, którzy niebawem zaczęli zapełniać taras. W ślad za nimi znów wkroczyła kobieta z notesem, popędzając wszystkich z zimnym, profesjonalnym uśmiechem. Zaprowadziła ich do kieliszków na stole obok drzwi — jakby sami nie mogli tam trafić. Obsługa rzuciła się na nich jak muchy na gówno, przynosząc talerze z zakąskami i więcej szampana.

Gości z Ameryki Południowej łatwo można było rozpoznać, nie po brązowej lub czarnej skórze, lecz po znacznie lepszych ubraniach — dobrze skrojonych garniturach i starannie zawiązanych krawatach. Nawet mowa ich ciał była w lepszym stylu. W grupie dominowali mężczyźni, lecz każda z towarzyszących im kobiet była godna okładki magazynu mody.

Notesowa wprawnie odgoniła gości od drzwi i skierowała na taras. Dołączyli do peletonu. Było oczywiste, że wszyscy będą stać, zamiast zająć miejsca na ławkach. Wolałbym, żeby siedzieli jak rząd kaczek na strzelnicy, ale najwyraźniej los mi nie sprzyjał. Snajperzy będą musieli strzelać do ruchomego celu.

Potakiwacz powinien przybyć w dziesięć minut po rozpoczęciu imprezy. Zgodnie z planem miał przez pięć minut pozostać przy drzwiach, rozmawiając przez telefon i dając nam czas, żebyśmy go rozpoznali. Potem pójdzie na taras i zidentyfikuje cel.

Teraz moi snajperzy wykonywali długie, powolne wdechy i wydechy, zapewniające odpowiednie dotlenienie. Ponadto nieustannie sprawdzali wiatrowskazy, w razie gdyby w ostatniej chwili trzeba było przestawić celowniki.

Serce biło mi coraz mocniej. Jednakże na nich z pewnością nie robiło to większego wrażenia. Zapewne gdyby zrobiono im EKG, orzeciono by ich śmierć kliniczną. Zająwszy stanowiska ogniowe, myśleli tylko o tym jednym jedynym, decydującym strzale.

W polu widzenia pojawiło się jeszcze więcej ludzi, a potem w drzwiach stanął Potakiwacz. Miał metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i nie zawiódł mnie: ubrany był w taki sam ciemny, źle dopasowany garnitur jak pozostali Angole. Do niego włożył białą koszulę i szkarłatny krawat, co nadawało mu wygląd kandydata starej Labour Party. Krawat był ważny, ponieważ stanowił gżr (główny znak rozpoznawczy). Snajperzy otrzymali jego dokładny opis, ale Potakiwacza łatwo było rozpoznać po nieustannie zaczerwienionej twarzy i szyi, na której wiecznie dojrzewał jakiś czyrak. W wypadku innego czterdziestolatka można by mówić o pechu, lecz moim zdaniem ta przypadłość nie mogła trafić odpowiedniejszego faceta.

Na palcu lewej ręki miał obrączkę. Nigdy nie widziałem w jego gabinecie zdjęcia żony i nie miałem pojęcia, czy miał dzieci. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że nie — a jeśli tak, to chciałbym wierzyć, że były podobne do matki.

Wyjąwszy telefon komórkowy, Potakiwacz przeszedł przez próg i przesunął się na prawo od drzwi, kończąc wybierać numer. Spojrzał i powitał kogoś poza moim polem widzenia, potem pomachał ręką i zamiast wyjaśnienia pokazał komórkę.

Patrzyłem, jak słucha sygnału, stojąc plecami do muru, żebyśmy widzieli jego krawat. Miał początki siwizny, a raczej miałby, gdyby zostawił włosy w spokoju, ale używał środka Grecian 2000 i dostrzegłem wyraźne błyski miedzi. Naprawdę bardzo dobrze pasowały do jego cery. Uśmiechnąłem się.

Młoda kelnerka podeszła do niego z tacą zastawioną kieliszkami,

ale odprawił ją machnięciem ręki i rozmawiał dalej. Potakiwacz nie pił i nie palił. Wyznawał poglądy odrodzonych chrześcijan, scjentyistów czy jakiegoś innego wesołego bractwa. Nigdy go o to nie pytałem, obawiając się, że mógłby mnie zacząć nawracać i może by mu się udało. Nie przywiązywałem do tego wagi. Gdyby Potakiwacz odkrył, że „C” jest sikhem, następnego dnia przyszedłby do pracy w turbanie.

Zakończywszy rozmowę, wyłączył telefon i poszedł w kierunku rzeki. Przyjaźnie machając ręką i lawirując wśród tłumu, lekko kołysał się na palcach stóp, jakby pragnął dodać sobie wzrostu. Obserwując jego ruchy, delikatnie poluzowałem głowicę statywu, żeby w razie potrzeby móc obracać lornetką i nie stracić go z oczu.

Minął obie szefowe personelu, wyglądające na bardzo zadowolone z siebie. Każda z nich trzymała w jednej ręce telefon i papierosa, a w drugiej szampana, którym oblewały sukces. Przeszedł obok fotografa, który z zapalem robił grupowe zdjęcia z Big Benem w tle, na pamiątkę dla swoich latynoskich braci. Nie miał pojęcia, że zaledwie kwadrans dzielił go od ujęć, które będą światową sensacją dnia.

Potakiwacz uniknął sesji fotograficznej i poszedł dalej w lewo, wciąż zdążając w kierunku rzeki. W końcu zatrzymał się przy grupce około dziesięciu mężczyzn, stojących w szerokim, nieregularnym kręgu. Widziałem twarze niektórych, ale nie wszystkich. Rozmawiali, pili lub czekali, aż uwijająca się wokół nich obsługa napelni im kieliszki. Byli tam dwaj śniadoskórzy, a wśród zwróconych w stronę rzeki twarzy zauważyłem cztery lub pięć o latynoskich rysach.

Starszy z dwóch śniadych uśmiechnął się do Potakiwacza i serdecznie uściśnął mu dłoń. Potem zaczął mu przedstawiać swoich południowoamerykańskich przyjaciół.

To nastąpi teraz. Jeden z nich będzie naszym celem. Spoglądałem na twarze tych dobrze odżywionych ludzi, którzy uśmiechali się uprzejmie i witali Potakiwacza.

Pot spływał mi z czoła, kiedy skupiłem wzrok na tych, którym

Potakiwacz ścisnął dłonie. Wiedziałem, że nie mogę przeoczyć celu, a jednocześnie nie miałem pewności, czy Potakiwacz nadaje się do tej roboty.

Zakładałem, że oni wszyscy pochodzą z Ameryki Południowej, lecz gdy jeden z nich odwrócił się do mnie profilem, zobaczyłem, że to Chińczyk. Elegancki jak gospodarz talk-show, po pięćdziesiątce, wyższy od Potakiwacza i mający więcej włosów. Nie miałem pojęcia, dlaczego był członkiem tej południowoamerykańskiej delegacji, ale nie zamierzałem się nad tym zastanawiać. Skupiłem się na powitaniu. Potakiwacz przywitał się z nim przez zwykłe uściśnięcie ręki. Chińczyk, który najwidoczniej mówił po angielsku, przedstawił mu niższego mężczyznę, stojącego tuż obok i tyłem do mnie. Potakiwacz ruszył ku niemu i ściskając jego rękę, położył lewą dłoń na jego ramieniu.

Aczkolwiek niechętnie, musiałem jednak przyznać, że doskonale wywiązywał się ze swojej roli. Nawet zdołał odwrócić rozmówcę twarzą w kierunku rzeki, pokazując mu London Eye i mosty po obu stronach Parlamentu.

Cel też był półkrwi Chińczykiem — i na chwilę zaparło mi dech, gdy zobaczyłem, że ma najwyżej szesnaście lub siedemnaście lat. Miał na sobie elegancki blezer, białą koszulę i granatowy krawat i wyglądał na chłopca, z jakim każdy rodzic chętnie pozwoliłby córce pójść na randkę. Robił wrażenie zadowolonego, a nawet promiennego. Uśmiechał się do wszystkich i wróciwszy z Potakiwaczem do kręgu znajomych, włączył się do rozmowy.

Zaczęło mi się wydawać, że wpadłem w gorsze bagno, niż myślałem.

4

Usiłowałem zachować spokój. Niech to szlag, będę martwił się tym, lecąc do Stanów.

Ludzie na tarasie rozmawiali dalej, a Potakiwacz pożegnał całą grupkę, pomachał innej i znikł mi z pola widzenia. Jeszcze nie opuści przyjęcia — to wzbudziłoby podejrzenia — ale nie chciał być w pobliżu chłopca, kiedy go załatwimy.

Kilka sekund później zapaliły się wszystkie trzy lampki. Snajperzy czekali, aż w ich aparatach słuchowych rozlegną się trzy krótkie piski.

Nie podobało mi się to wszystko, lecz rutyna wzięła górę. Zdjąłem z pudełka zakrętkę od kremu do golenia i położyłem kciuki na obu przyciskach.

Już miałem je nacisnąć, kiedy wszystkie trzy żaróweczki zgasły prawie jednocześnie.

Natychmiast przywarłem jednym okiem do lornetki, nie odrywając kciuków od przycisków. Cała grupka przemieszczała się w prawo. Powinienem skupić się na lampkach, ale chciałem to zobaczyć. Chińczyk obejmował ramieniem chłopca — który zapewne był jego synem — zmierzając w kierunku mniejszej grupki Latynosów atakujących stolik z przekąskami.

Zapaliła się lampka: snajper numer trzy był pewien, że trafi w cel. Żaróweczka nie zgasła, gdy zatrzymali się przy stoliku, przy

Latynosach zajadających kanapki. Chłopiec znajdował się z tyłu i w tłumie tylko chwilami dostrzegałem jego ciemny blezer.

Lampka zgasła.

Ogarneły mnie wątpliwości, sam nie wiem dlaczego. Próbowalem wziąć się w garść. Co mnie to obchodzi? Gdyby była mto kwestia prostego wyboru między jego życiem a moim, nie wahałbym się ani chwili. To, co teraz się ze mną działo, było zupełnie nieprofesjonalne i po prostu śmieszne.

Spoliczkowałem się w myślach. Jak tak dalej pójdzie, to zacznę obejmować drzewa i zgłoszę się na ochotnika do Oxfamu.

Teraz powinienem skupić uwagę na pudełku. To, co się dzieje na tarasie, nie powinno mnie interesować, ale nie mogłem oderwać oczu od chłopca.

Zapaliła się lampka numer dwa. Kobieta pewnie celowała tuż za ucho chłopaka. Ten nagle ruszył w kierunku stołu, przepychając się przez tłum. Zaczął nakładać sobie kanapki i obejrzał się na ojca, sprawdzając, czy i on ma na coś ochotę.

Teraz zapaliły się wszystkie trzy lampki. Jakże inaczej?

Patrzyłem, jak wybiera przekąski ze srebrnych tac, wacha jedną kanapkę i odkłada ją. Przyglądałem się jego zdrowej młodzieńczej twarzy, kiedy się zastanawiał, co najbardziej będzie pasowało do jego na pół opróżnionej szklaneczki coli.

Wszystkie trzy lampki wciąż się paliły, gdy spojrzałem przez lornetkę. Stał zupełnie odsłonięty i zajadał się orzeszkami ziemnymi.

Daj spokój! Zrób, co trzeba, do cholery!

Sam nie mogłem w to uwierzyć. Moje palce nie chciały mnie słuchać.

Nagle zacząłem gorączkowo szukać sposobu, żeby schrzanić akcję i zrzucić winę na kogoś innego. Nie mogłem się powstrzymać.

Snajperzy nie wiedzieli, kto jeszcze bierze udział w akcji, a z pewnością nie spotkają się nazajutrz przy kawie, żeby to przedyskutować.

Ja mógłbym jakoś załatwić wszystko z Potakiwaczem.

Chłopiec znów wmieszał się między gości, idąc w kierunku ojca. Ledwie widziałem go w tłumie.

Wszystkie trzy lampki zgasły jednocześnie. Potem druga zapaliła się znowu. Podejrzywałem, że kobieta nie była jednak matką.

Trzy sekundy później jej żaróweczka też zgasła. Co ma być, to będzie. Postanowiłem działać.

Kciukiem nacisnąłem drugi guzik, nie odrywając oczu od chłopca. Potem nacisnąłem powtórnie, jednocześnie nagniatając przycisk detonatora. Po raz trzeci nacisnąłem tylko sygnalizator.

Eksplozja na drugim brzegu Tamizy przypominała potężny, przeciągły grzmot. Zapomniałem o planie i patrzyłem, jak chłopiec i wszyscy wokół niego zareagowali na detonację.

Fala uderzeniowa przeszła przez rzekę i zatrzęsała szybami mojego pokoju. Przez moment słyszałem, jak odbija się grzmięcym echem po Whitehall, po czym zagłuszyły ją krzyki turystów. Ze skupieniem patrzyłem na chłopca, którego ojciec popędzał w kierunku wyjścia.

Na tarasie wybuchła panika, a fotograf w amoku trząsał zdjęcia, za które spłaci pożyczkę udzieloną pod hipotekę. W polu widzenia pojawił się Potakiwacz i stanął obok jędzowatej blondyny, która pomagała ludziom dostać się do środka. Troska na jego twarzy nie była spowodowana wybuchem, lecz widokiem całego i zdrowego obiektu, umykającego w bezpieczne miejsce. Chłopiec znikł w środku budynku, a inni podążyli za nim, ale Potakiwacz nie zamierzał nikomu pomagać. Zamiast tego spojrzął na drugi brzeg rzeki, w moim kierunku. To było niesamowite. Nie wiedział, gdzie dokładnie jestem, lecz poczułem się tak, jakby patrzył mi prosto w oczy.

Wpadłem w gówno po uszy i wiedziałem, że będę musiał przygotować dla niego naprawdę dobrą bajeczkę. Lecz nie dzisiaj. Teraz czas ruszać na dworzec Waterloo. Mój pociąg odchodził za godzinę i pięć minut. Snajperzy zapewne szykowali się do opuszczenia

stanowisk — stojąc przy drzwiach, ściągali z siebie kombinezony i upychali je w sportowych torbach, nie zdejmując rękawiczek, których pozbędą się dopiero po wyjściu z pomieszczeń. Karabiny, lornetki i pudełka śniadaniowe zostały w pokojach, tak samo jak zasłony.

Szybko, lecz bez popłochu, przechyliłem się przez biurko w stronę okna i uchyliłem je odrobinę, żeby wciągnąć anteny. Ludzie na zewnątrz robili teraz więcej hałasu niż przed chwilą moja bomba. Z bulwaru dolatywały krzyki przerażonych kobiet, mężczyzn i dzieci. Pojazdy na moście zatrzymały się, a przechodnie stanęły jak wryci, patrząc na chmurę czarnego dymu, kłębiącą się nad dachem budynku Ministerstwa Obrony.

Zamknąłem okno i zostawiłem ich własnemu losowi, po czym, najszybciej jak mogłem, spakowałem statyw, lornetkę i resztę sprzętu. Chciałem zdążyć na ten pociąg.

Kiedy wszystko było już w torbie, włącznie z zakrętką od kremu do golenia, postawiłem brudny kubek po kawie, podstawkę z napisem „Wayne's World” i telefon dokładnie na tych samych miejscach, gdzie stały, zanim zdjąłem je z biurka, żeby umieścić na nim statyw i pudełko śniadaniowe. Porównałem wygląd biurka i całego pokoju ze zdjęciami, które zrobiłem polaroidem po wejściu do pomieszczenia. Poprawiłem firankę i przesunąłem krzesło trochę w prawo. Nie byłem przesądny. Po prostu szczegóły są bardzo ważne. Wiedziałem, że można wpaść przez taki drobiazg, jak leżąca w niewłaściwym miejscu podkładka pod mysz.

Podświadomość uparcie podsuwała mi jakąś myśl. W tym, co widziałem na zewnątrz, było coś dziwnego. Zabrakło mi bystrości, żeby to dostrzec, ale moja podświadomość odnotowała ten fakt. A już nieraz się przekonałem, że takich przeczuć nie można ignorować.

Ponownie spojrzałem za okno i natychmiast zrozumiałem, co było nie tak. Zamiast gapić się na kolumnę dymu po prawej, tłum skupił uwagę na budynku szpitala po mojej lewej ręce.

Spoglądali w kierunku stanowisk snajperów, nasłuchując głuchych odgłosów pojedynczych strzałów: sześć, siedem...

Na dole znów rozległy się krzyki zmieszane z wyciem szybko zbliżających się radiowozów.

Otworzyłem okno najszerszej jak mogłem, odsunąłem firankę, wystawiłem głowę i spojrzałem w lewo, w kierunku szpitala. Na bulwarze, tuż przed stanowiskami snajperów, stał rząd pustych, migających kogutami radiowozów i furgonetek z otwartymi drzwiami. Zobaczyłem mundurowych, pospiesznie formujących kordon.

Niedobrze. Bardzo, bardzo niedobrze. Akcja, której byłem świadkiem, została starannie zaplanowana i przygotowana. Szybkie działanie policji było zbyt sprawne, żeby mogło być spontaniczną reakcją na eksplozję, do której doszło przed kilkoma minutami.

Zostaliśmy wrobieni.

Rozległy się jeszcze trzy strzały, potem zapadła cisza i znowu strzelono dwukrotnie. Później usłyszałem stłumiony huk wystrzałów w drugim skrzydle budynku. Dotarli do snajpera numer trzy.

Gwałtowny przypływ adrenaliny dodał mi sił. Wkrótce przyjdzie moja kolej.

Z trzaskiem opuściłem okno. Gorączkowo usiłowałem zebrać myśli. Oprócz mnie jedyną osobą znającą dokładnie lokalizację stanowisk strzeleckich był Potakiwacz, bo musiał zidentyfikować obiekt w taki sposób, żeby zobaczyli go wszyscy snajperzy. Nie miał jednak pojęcia, gdzie będę ja, ponieważ sam tego nie wiedziałem. Właściwie wcale nie musiałem zbliżyć się do miejsca akcji, bylbym miał łączność ze snajperami. Mimo to wiedział za dużo. Spaprana akcja była teraz najmniejszym z moich zmartwień.

5

Z góry dobiegał warkot śmigłowców, a z ulic opętańcze wycie policyjnych radiowozów, gdy cicho zamknąłem za sobą drzwi i wyszedłem na szeroki, jasno oświetlony korytarz.

Grube wibracje moich butów piszczały na wyfroterowanej kamiennej posadzce, kiedy szedłem w kierunku wyjścia awaryjnego na końcu korytarza, oddalonego o jakieś sześćdziesiąt metrów. Starąłem się nie przyspieszać kroku. Powinienem zachować spokój. Nie mogłem już popełnić żadnego błędu. Może trzeba będzie biec, ale jeszcze nie teraz.

Mniej więcej dwadzieścia metrów dalej po prawej znajdował się boczny korytarz wiodący ku schodom, którymi mogłem zejść na parter. Doszedłem do niego, skręciłem i stanąłem jak wryty. Między mną a schodami wznosiła się dwumetrowa ściana czarnych tarcz. Za nimi stało kilkunastu policjantów w czarnych kuloodpornych kamizelkach. Ze szczelin między tarczami sterczały wymierzone we mnie lufy, a niebieskie helmy z osłonami lśniły w blasku jarzeniówek.

— STÓJ! NIE RUSZAJ SIĘ!

Czas zmykać co sił w nogach. Z piskiem podeszew zawróciłem na pięcie i przebiegłem kilka kroków głównym korytarzem, pragnąc jak najszybciej wydostać się z budynku.

Zanim dotarłem do wyjścia, usłyszałem tupot buciorów i korytarz

przede mną zamknęła druga ściana czarnych tarcz. Policjanci sformowali szyk niczym rzymscy centurioni. Ostatni dwaj wyskoczyli z drzwi po obu stronach korytarza i wycelowali we mnie broń ze zbyt bliskiej, jak na mój gust, odległości.

— STÓJ! NIE RUSZAJ SIĘ!

Zatrzymałem się, upuściłem torbę na ziemię i podniosłem ręce do góry.

— Nie mam broni! — wrzasnąłem. — Jestem nieuzbrojony!

Nieuzbrojony!

Bywają takie chwile, kiedy lepiej pogodzić się z myślą, że wpadłeś w gówno. To była jedna z nich. Żywiłem tylko nadzieję, że mam przed sobą prawdziwych policjantów. Skoro nie stanowiłem dla nich zagrożenia, teoretycznie nie powinni mnie rozwalić.

Miałem również nadzieję, że moja czarna wiatrówka uniosła się dostatecznie wysoko, żeby widzieli, że nie mam pistoletu za pasem ani w kieszeni džinsów.

— Nie mam broni! — zawołałem. — Jestem nieuzbrojony!

Zaczęli wykrzykiwać rozkazy. Nie rozumiałem ich — krzyczeli za głośno i za blisko, a echo w korytarzu zupełnie zniekształcało słowa.

Powoli odwróciłem się plecami do nich, żeby zobaczyli, że nie kłamię. Stojąc twarzą w kierunku korytarza, słyszałem tupot buciorów na klatce schodowej. Kolejni policjanci odcinali mi odwrót.

Zza rogu wyłoniła się tarcza i z trzaskiem zajęła pozycję na środku korytarza. Zza niej wysunęła się lufa MP5. Zobaczyłem skrawek twarzy celującego do mnie policjanta.

— Nie mam broni! — Prawie wrzasnąłem. — Jestem nieuzbrojony!

Z rękoma uniesionymi patrzyłem na jedno nieruchome oko nad lufą. Mierzył do mnie, trzymając broń w lewej ręce, kryjąc ciało za lewą połową tarczy i nie odrywając spojrzenia od mojej piersi. Spojrzałem w dół i zobaczyłem na niej czerwoną plamkę laserowego promienia. Miała średnicę guzika. Cholera wie, ile takich plamek

zrobili na moich plecach ci przy wyjściu awaryjnym.

Krzyki przestały odbijać się od ścian, zagłuszone przez donośny i stanowczy głos wydającego rozkazy, które w końcu zdołałem zrozumieć.

— Stój spokojnie! Stój spokojnie! Trzymaj ręce w górze! Trzymaj je w górze!

Nie odwracając się, zrobiłem, co kazał.

— Na kolana! Klęknij! Już!

Trzymając ręce w górze, powoli ukląknęłam, nie usiłując już nawiązać kontaktu wzrokowego. Leworęczny strzelec przede mną przez cały czas trzymał płamkę laserowego promienia na mojej piersi. Z tyłu padły kolejne rozkazy:

— Połóż się i wyciągnij ręce na boki. Nie ociągaj się!

Wykonałam polecenie. Zapadła głucha, przerażająca cisza.

Przez ubranie czułam chłód posadzki. Drobinki brudu wbiły mi się w prawy policzek, gdy wdychałam zapach świeżo wywoskowanej podłogi. Patrzyłam na dolną krawędź tarczy jednego z policjantów stojących od strony klatki schodowej. Tarcza była pociemniała ze starości i wyszczerbiona na rogach, tak że ochronne warstwy kevlaru zwijały się na nich jak kartki zaczytanej książki.

W ciszy usłyszałam kroki i pisk gumowych podeszew na posadzce. Myślałam tylko o tym, jakie mam szczęście, że zostałam aresztowana.

Buciorzy dotarły do celu i powietrze wokół mnie wypełnił kwaśny oddech ich właściciela. But numer dziesięć, z popękanej czarnej skóry oparł się o moją twarz. Złapano mnie za ręce i pociągnięto je do przodu. Poczulem zimne dotknięcie twardego metalu na przegubach i usłyszałam szcęk zatrzaskiwanych kajdanek. Nie stawiałem oporu. Gdybym próbował, tylko przysporzyłbym sobie cierpień. Te kajdanki to najnowszy model używany przez policję: zamiast łańcucha połączone metalowym prętem. Po założeniu jedno uderzenie pałką w ten pręt wystarczy, żeby człowiek wrzasnął z bólu, gdy metal przekaże dobrą nowinę kościom nadgarstków.

Poczułem jednak ból, kiedy jeden policjant pociągnął za kajdanki, przytrzymując mi ręce za głowę, a inny wbił kolano między moje łopatki. Nos rozpląszczył mi się na podłodze, aż lzy nabiegły mi do oczu i powietrze ze świstem uszło z płuc.

Właściciel kolana zdjął je z moich pleców, stanął nade mną okrakiem i obszukał mnie. Z wewnętrznej kieszeni wiatrówki wyjął mi portfel z biletem na pociąg i paszportem na nazwisko Nick Sommerhurst. Nagle poczułem się tak, jakbym był nagi.

Obróciłem głowę, usiłując jak najwygodniej ułożyć się podczas tej rewizji. Oparłem policzek o zimną podłogę. Jak przez mgłę ujrzałem trzy pary dżinsów, wylaniające się zza tarcz w głębi korytarza i zmierzające w moją stronę. Kiedy mnie mijały, jedna para nóg zniknęła mi z pola widzenia, ale pozostałe dwie podeszły blisko: adidas i para jasnobrązowych butów z metką Caterpillar, którą miałem teraz tuż przed nosem.

Byłem bardziej przynębiony niż zaniepokojony tym, co miało nastąpić teraz. Faceci w dżinsach nie pętają się bez celu podczas zbrojnego zatrzymania podejrzanym.

Z tyłu usłyszałem zgrzyt otwieranego zamka mojej torby i odgłosy pospiesznego przeszukiwania jej zawartości. Jednocześnie poczułem, jak ktoś odczepia mi scyzoryk od paska.

Wciąż nie odzywając się słowem, przesunęli dłońmi po moich nogach, szukając ukrytej broni. Boleśnie ocierałem policzkiem o podłogę, gdy szarpali mnie, jakbym był workiem kartofli. Ktoś wepchnął dłoń pod mój brzuch i za pasek, a potem wyjął mi trzy lub cztery funty drobnych z kieszeni. Te same dłonie chwyciły mnie pod ręce i podniosły na klęczki, przy akompaniamencie postękiwań i pisku lakierowanej skóry. Policjant trzymający kajdanki puścił je i ręce opadły mi, jakby w błagalnym geście. Od klęczenia na zimnej posadzce bolały mnie kolana, ale natychmiast o tym zapomniałem, kiedy zobaczyłem twarz człowieka, który nosił brązowe buty.

Dziś nie był taki ulizany. Najwidoczniej Sundance Kid trochę się nabiegał. Nad dżinsami dostrzegłem zieloną kurtkę i ciężką kuloodporną kamizelkę z zaszytą w niej płytką ceramiczną,

chroniącą klatkę piersiową. Widocznie nie zamierzał ze mną ryzykować.

Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, gdy spoglądał na mnie, zapewne usiłując ukryć przed innymi fakt, że nie wykonał swojego zadania. Wciąż żyłem. Nie zdążył wpaść do pokoju razem ze swoimi nowymi kumplami i zastrzelić mnie... niby to w samobronie.

Dali mu moje dokumenty, a on schował je do tylnej kieszeni spodni. Przez chwilę bawił się monetami, przesypując je z jednej dłoni do drugiej. Do Sundance'a i jego kumpla Adidasa dołączył trzeci facet w dżinsach, który zarzucił sobie na prawe ramię moją torbę. Spuściłem wzrok, nie chcąc go prowokować. Nie było sensu prosić mundurowych o pomoc. Słyszeli już wszystko — od ludzi podających się za Jezusa po takich jak ja, twierdzących, że zostali wrobieni.

Sundance w końcu się odezwał.

— Dobra robota, sierżancie — powiedział z wyraźnym szkockim akcentem do kogoś stojącego za mną, po czym odwrócił się i odszedł wraz z dwoma pozostałymi. Patrzyłem, jak idą w kierunku klatki schodowej przy wtórze odrywanych rzepów, gdy zaczęli zdejmować kamizelki kuloodporne.

Jak tylko znikli za rogiem, dwaj policjanci podnieśli mnie z podłogi i trzymając z obu stron pod ręce, zaczęli prowadzić ku schodom. Mineliśmy stojących przy wylocie korytarza policjantów z tarczami, którzy zrobili w tył zwrot i zaczęli schodzić po kamiennych schodach. Sundance i jego chłopcy znajdowali się już dwa piętra niżej. Co chwila widziałem ich, gdy docierali na kolejne półpiętro, i zastanawiałem się, dlaczego nie zawiązano mi oczu. Może chcieli mieć pewność, że nie spadnę ze schodów. Nie, raczej dlatego, że nie przejmowali się tym, że zobaczą ich twarze. Nie miałem pożyć dostatecznie długo, żeby ujrzeć je ponownie.

Wyszliśmy z budynku przez drzwi z metalu i szkła, przez które wcześniej dostałem się do środka. Tupot buciorów na schodach i sapiący z wysiłku mundurowi zostali zagłuszeni panującym na

zewnątrz zgielkiem. Wokół biegali spoceni policjanci w białych koszulach, pokrzykując na przechodniów, żeby słuchali rozkazów i natychmiast opuścili teren. Trzeszczały krótkofalówki, wyły syreny. W górze głośno warczał śmigłowiec.

Znajdowaliśmy się przy służbowym wjeździe do hotelu Marriott, będącego częścią budynku County Hall. Po mojej lewej ręce był owalny podjazd, otoczony ładnie przystrzyżonym żywopłotem. Przy głównym wejściu policja zatrzymywała gości, którzy chcieli zobaczyć, co się stało, a może uciec.

Przedemną przy krawężniku stał zaparkowany biały mercedes z włączonym silnikiem i pootwieranymi drzwiami. Jeden z facetów w dżinsach siedział za kierownicą, gotowy do odjazdu. Przygięto mi głowę w dół i pospiesznie wepchnięto do środka. Natrafiłem stopami na coś, co leżało na podłodze. Moja torba, wciąż otwarta.

Facet w adidasach usiadł po mojej lewej i przypiął kajdanki do uchwytu pasów na środku siedzenia. Potem drugi koniec zatrzasnął na metalowym pręcie moich kajdanek. Chcieli mieć pewność, że nigdzie nie pójde, dopóki mi na to nie pozwolą.

Sundance pojawił się na chodniku i pożegnał mundurowych.

— Jeszcze raz dziękuję, chłopcy.

Usiłowałem nawiązać kontakt wzrokowy z facetami, którzy mnie tu przywlekli, a teraz stali przy wejściu do biurowca. Sundance usiadł na przednim siedzeniu i zamknął drzwi, najwyraźniej domyślając się, co próbuję zrobić.

— To ci nic nie pomoże, chłopcze.

Podniósł z podłogi migacz, przymocował go do deski rozdzielczej i wetknął wtyczkę do gniazda zapalniczki. Zamigotało niebieskie światło i samochód ruszył.

Wyjechaliśmy z drogi dojazdowej do hotelu i na ulicę na południowym końcu mostu, naprzeciw budynków szpitala. Droga była zamknięta i zastawiona radiowozami ściągniętymi chyba z całego centrum Londynu. W oknach szpitala tłoczyli się pacjenci i pielęgniarki, przyglądając się zamieszaniu.

Ominęliśmy tarasujące przejazd pojazdy i ruszyliśmy przez kordon. Pozostawiając za sobą rondo, sto metrów dalej przejechaliśmy pod wiaduktem kolejowym. W górze dostrzegłem smukłe, aerodynamiczne pociągi Eurostar, czekające na przeszklonym dworcu, i serce ścisnęło mi się z żalu na myśl o tym, że jeden z nich wkrótce odjedzie beze mnie.

Sundance zdjął migacz z deski rozdzielczej. Kierowaliśmy się na południe, w stronę Elephant i Castle, a także niewątpliwie w cholerne szambo.

Spojrzałem na widoczną w lusterku twarz Sundance'a. Nie próbował nawiązać ze mną kontaktu wzrokowego. Zapewne zastanawiał się, co robić, kryjąc myśli za kamienną maską.

Ja także, tyle że natychmiast zabrałem się do roboty.

— Nic z tego nie będzie. Wszystko nagrałem na taśmę i...

Poczułem przeszywający ból, gdy Adidas z całej siły rąbnął mnie łokciem w udo. Straciłem czucie w nodze. Sundance odwrócił się na fotelu.

— Nie denerwuj mnie, chłopcze.

Nabrałem tchu i próbowałem dalej.

— Mam dowody na wszystko, co się stało. Na wszystko.

Tym razem nawet nie chciało mu się odwrócić.

— Zamknij się.

Adidas walnął w przęt łączący szczęki kajdanek. Metal boleśnie szarpnął mnie za rękę, ale wiedziałem, że to nic w porównaniu z tym, co mnie czeka, jeśli nie zdołam zyskać na czasie.

— Słuchajcie — wysapałem — dzisiaj wrobili mnie, jutro mogą was. Nikt nie dba ni cholery o takich jak my. Dlatego zawsze zbieram dowody. Jako zabezpieczenie.

Dojeżdżaliśmy do ronda Elephant i Castle, mijając różowe centrum handlowe. Kiwnąłem głową, dając Adidasowi znać, że teraz już się zamknę. Nie byłem głupi, wiedziałem, kiedy gadać, a kiedy milczeć. Te nieliczne zdobyte informacje musiały mi wystarczyć na długo. Chciałem sprawić wrażenie pewnego siebie i spokojnego, sugerując, że popełniliby poważny błąd, gdyby mnie nie wysłuchali.

Miałem tylko nadzieję, że to nie ja popełniam błąd.

Ponownie spojrzałem w lusterko. Nie byłem w stanie orzec, czy moje słowa wywarły jakieś wrażenie na Sundance. Już zaczynałem się zastanawiać, czy nie podjąć następnej próby, kiedy chwycił przynętę.

— A co ty wiesz, chłopcze?

Wzruszyłem ramionami.

— Wszystko, nawet to, kim byli ci trzej snajperzy, których załatwiście.

Cholera, jak już walić, to z najgrubszej rury. Adidas beznamiętnie spojrział na mnie piwnymi, przekrwionymi oczami. Nie wiedziałem, czy zamierzał mnie uderzyć, czy nie. Postanowiłem zapobiec temu, zanim podejmie decyzję.

— Nagrałem spotkanie, podczas którego prowadziłeś samochód.

Skłamałem.

— Zrobiłem zdjęcia stanowisk snajperów.

To było prawdą.

— Spisałem też numery seryjne karabinów. Mam zanotowane daty wszystkich spotkań, a nawet zdjęcia snajperów.

Skręciliśmy ku Old Kent Road i, lekko przesunawszy się na siedzeniu, dostrzegłem twarz Sundance'a w bocznym lusterku. Z nieprzeniknioną miną spoglądał prosto przed siebie.

— Udowodnij.

To było łatwe.

— Snajper numer dwa to kobieta, tuż po trzydzieste, z ciemno-blond włosami.

Oparłem się pokusie i nie powiedziałem nic więcej. Powinienem przekonać go, że dużo wiem, ale nie ujawnić wszystkiego za wcześniej.

Zapadła cisza. Miałem wrażenie, że Sundance zaczął mnie uważnie słuchać, i wykorzystałem to.

— Musisz go zawiadomić — powiedziałem. — Pomyśl, w jakie wpadniesz gównem, jeśli tego nie zrobisz. Frampton nie należy do

tych, którzy są gotowi odpowiadać ze swoje błędy. Na pewno zwali wszystko na ciebie.

Adidas w końcu załapał, o co chodzi. Wymienił w lusterku spojrzenia z Sundance'em. Teraz nawet na nich nie patrzyłem. Dałem im czas do namysłu.

Stanęliśmy na światłach, obok samochodów pełnych rodzin z dziećmi opitymi colą i nudzącymi się na tylnych siedzeniach. Tylko my czterej siedzieliśmy nieruchomo, jakbyśmy jechali na pogrzeb. Nawet nie próbowałem zwrócić na siebie uwagi jednego z tych palących papierosy lub dłubiących w nosie ludzi, którzy czekali na zielone światło. Musiałem liczyć na to, że Sundance szybko podejmie decyzję. Jeśli nie, wkrótce spróbuję znowu i będę próbował dalej, dopóki mnie nie uciszą. Bardzo starałem się o tym nie myśleć.

Podjechaliśmy do dużego parkingu z szyldami B&Q, Halforda i McDonald'sa. Sundance wskazał na bramę wjazdową.

— Zjedź tam na pięć minut.

Natychmiast zaczął postukiwać kierunkowskaz i samochód zjechał ze środkowego pasa. Starałem się nie okazać zadowolenia i gdy skupiłem wzrok na wystającym z mojej torby pudełku z elektroniką, poczułem, jak merc podskoczył na progu ograniczającym prędkość. Zatrzymaliśmy się w pobliżu ruchomego bufetu z parówkami i herbatą. Sundance wysiadł. Po placu przetaczano wózki z roślinami doniczkowymi, farbą lub deskami, a on znikł gdzieś z tyłu, wybierając numer na motoroli Star Tac, którą wyjął z kieszeni kurtki.

Siedzieliśmy w milczeniu. Kierowca patrzył przed siebie przez przeciwsłoneczne okulary, a Adidas odwrócił się na siedzeniu, usiłując zobaczyć, co robi Sundance, i przezornie zasłaniając moje kajdanki, tak by klienci nie zauważyli, że nie przyjechaliśmy tu na wyprzedaż mebli kuchennych.

Właściwie o niczym nie myślałem i niczym się nie martwiłem, tylko tępo gapiłem się na młodą parę w roboczych kombinezonach, ładującą do swego starego XRi pudełka z kafelkami i klejem. Może

usiłowałem zapomnieć o fakcie, że wynik tej rozmowy oznacza dla mnie życie lub śmierć.

Sundance wyrwał mnie z zadumy, siadając z powrotem do mercedesa i zatraskując drzwi. Pozostali dwaj spojrzeli na niego wyczekująco, zapewne z nadzieją, że każe im zawieźć mnie na Beachy Head i pomóc popełnić samobójstwo.

Nie odzywał się przez jakieś dwadzieścia sekund, zapinając pas. Miałem wrażenie, że czekam, aż lekarz powie mi, czy mam raka, czy nie. Potem jeszcze przez chwilę siedział, milcząc, z zafrasowaną miną. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, ale uznałem to za dobry znak, sam nie wiem dlaczego.

W końcu schował komórkę do kieszeni i spojrział na kierowcę.

— Kennington.

Wiedziałem, gdzie znajduje się Kennington, ale nie wiedziałem, co to dla nich oznacza. Chociaż nie miało to większego znaczenia. Z ulgą stwierdziłem, że najwidoczniej nastąpiła zmiana planów. Cokolwiek zamierzali ze mną zrobić, musieli odłożyć to na jakiś czas.

Po chwili Sundance mruknął:

— Jeśli robisz ze mnie wała, pożałujesz tego.

Kiwnąłem głową, widząc we wstecznym lusterku jego groźne spojrzenie. W milczeniu pojechaliśmy z powrotem Old Kent Road. Zamierzałem zachować wszystko na później, dla Potakiwacza. Oparłszy się o drzwi, żeby dać odpocząć ramionom i zmniejszyć ucisk kajdanek, spoglądałem jak niewinne dziecię na świat przesuwający się za zaparowaną szybą.

Ktoś włączył radio i mercedes wypełnił się kojącym dźwiękiem skrzypiec. Zdziwiło mnie to: nie przepadałem za muzyką poważną i nie spodziewałem się, że mogą lubić ją ci faceci. Okolicę, przez którą jechaliśmy, znałem jak własną kieszeń. Jako dziesięciolatek chodziłem tutaj na wagary. W tamtych czasach było tu pełno komunalnych kamienic, cwanych sprzedawców używanych samochodów, knajpek, w których starzy ludzie pili butelkowe jasne piwo. Teraz wyglądało na to, że każdy metr kwadratowy terenu

został poddany gruntownej renowacji. Roilo się tu od luksusowych rezydencji i 941 carrera, a wszystkie knajpy poprzerabiano na wiarnie. Zastanawiałem się, gdzie też ci starzy ludzie chronią się teraz przed zimnem.

Znowu dojeżdżaliśmy do Elephant i Castle. Muzyka ucichła i kobiecy głos zaczął relację z ostatnich wydarzeń, które wstrząsnęły Londynem. Według niepotwierdzonych informacji, powiedziała, trzy osoby zginęły w trakcie strzelaniny z policją, a dziesięć do szesnastu osób odniosło lekkie obrażenia w wyniku wybuchu bomby w Whitehall i obecnie przebywa w szpitalach. Tony Blair wyraził głębokie oburzenie ze swojej letniej posiadłości we Włoszech, a służby ratownicze postawiono w stan gotowości, ponieważ nie można wykluczyć kolejnych eksplozji. Na razie żadna organizacja nie przyznała się do odpowiedzialności za ten wybuch.

Okrążyliśmy Elephant i Castle, po czym pojechaliśmy w kierunku Kennington, przepuszczając dwie policyjne furgonetki na sygnale, które wyprzedziły nas i pomknęły dalej.

Sundance odwrócił się do mnie i drwiąco pokręcił głową.

— O rety. Widzisz? Stanowisz zagrożenie dla społeczeństwa.

Kiedy skończyły się wiadomości i muzyka znowu zaczęła grać, wciąż spoglądałem za okno. Byłem zagrożeniem dla siebie, nie dla społeczeństwa. Dlaczego choć raz nie mogłem trzymać się z daleka od gówna, ale pchałem się w prosto w szambo jak napalony żuk gnojnik?

Minęliśmy stację metra Kennington, a potem skręciliśmy w prawo, w cichą boczną uliczkę. Tabliczka z jej nazwą została zerwana, a drewniana podkładka była zabazgrana sprayem. Skręciliśmy ponownie i kierowca musiał zahamować, żeby nie wpaść na gromadkę sześciu lub siedmiu dzieciaków bawiących się na środku ulicy. Chłopcy odbijali piłkę od ściany rozsypującego się tarasu. Przerwali zabawę i przepuścili nas, po czym natychmiast znów podjęli próbę rozwalenia ściany.

Przejechaliśmy jeszcze czterdzieści metrów i zatrzymaliśmy się. Sundance nacisnął guzik na breloczku kluczy i zabazgrane sprayem,

podwójne drzwi garażu zaczęły się unosić. Po lewej i prawej była ściana z osypujących się cegieł. Nad bramą tkwiła zardzewiała metalowa rama, w której kiedyś zapewne znajdował się neon. Wszędzie wokół wały się puszki po piwie. Garaż był kompletnie pusty. Gdy wjechaliśmy, zobaczyłem półki na ścianach i wyblakłe czerwone kontury przedmiotów, które powinny się na nich znajdować. Zapewne przed laty był tu mały warsztat samochodowy. Do drzwi był przypięty wyblakły plakat zespołu Chelsea FC. Sądząc po długich włosach, baczkach i bardzo obcisłych spodenkach, wydrukowano go w latach siedemdziesiątych.

Drzwi garażu z piskiem i grzechotem opadły za nami, stopniowo odcinając okrzyki grających w piłkę chłopców. Kierowca zgasił silnik i wszyscy trzej zaczęli wysiadać. Sundance znikł za drzwiami z plakatem, nie zamykając ich za sobą. Jeśli dopisze mi szczęście, zaciągną mnie tam. Wszystko, byle tylko wydostać się z tego samochodu i uwolnić ręce z kajdanek. Może nawet dadzą mi coś do picia. Od wczoraj nic nie jadłem i nie piłem; miałem zbyt wiele do zrobienia i po prostu zapomniałem. Samo umieszczenie bomby na dachu hotelu zabrało mi prawie cztery godziny i żarcie było ostatnią z wielu spraw, jakie miałem na głowie.

Kiedy patrzyłem, jak drzwi powoli się zamykają, ponownie ukazując kudłaczy z Chelsea, Adidas pochylił się i rozpiął kajdanki, którymi przykuł mnie do siedzenia. Potem razem z kierowcą wywlekli mnie na zewnątrz. Ruszyli w kierunku drzwi. Zaczęłam podejrzewać, że może jednak uda mi się wywinąć. Natychmiast skarciłem się w myślach, bo kiedy zaczynasz mieć nadzieję, robisz się miękki. To, co się tutaj dzieje, nie ma żadnego znaczenia, dopóki nie zobaczę się z Potakiwaczem i nie opowiem mu mojej bajeczki. Postanowiłem, że czekając, postaram się nie denerwować tych chłopców. Bardzo starali się mnie przestraszyć: sprawy zawsze wyglądają gorzej, gdy nie można nawiązać werbalnego kontaktu ani wymienić informacji. W pewnym stopniu udało im się to. Nie bardzo, ale trochę.

Przeprowadzili mnie przez drzwi do prostokątnego pomieszczenia bez okien, z nierównymi, brudnymi, bielonymi wapnem ścianami. Było duszne, gorące i wilgotne, a na dodatek ktoś tam niedawno palił marychę. Ostre światło umieszczonej na suficie podwójnej świetlówki budziło we mnie wrażenie, że nigdzie nie da się przed nim ukryć.

W kącie po lewej stronie stał na podłodze przenośny telewizor z nowiutką anteną, zawieszoną na wbitym w ścianę gwoździu. Był to jedyny przedmiot w tym pomieszczeniu, który nie wyglądał na zakupiony w lombardzie. Naprzeciw telewizora stał wysłużony trzyczęściowy komplet wypoczynkowy, obity brązowym welurem. Poręcze foteli były wystrzępione, a siedzenia zapadnięte i poprzypalane papierosami. Do rozgałęźnika w tym samym gnieździe co telewizor był podłączony zielony czajnik elektryczny, toster oraz ładowarki trzech telefonów komórkowych. To miejsce przypominało mi siedzibę małej firmy przewozowej, a stare gazety i kubki po napojach z Burger Kinga pogłębiały to wrażenie.

Sundance stał przy telewizorze, kończąc następną rozmowę przez komórkę. Spojrzał na mnie i wskazał kąt pokoju.

— Dziób na kłódkę, chłopcze.

Pozostali dwaj pomogli mi wejść, wpychając mnie do środka. Kiedy osuwałem się oparty o ścianę, starałem się nie szarpnąć kajdankami, żeby nie zacisnąć ich jeszcze mocniej. W końcu opadłem na podłogę i usiadłem twarzą do telewizora.

6

Domyślałem się, że to miejsce było tymczasową bazą wypadową na czas tej akcji — której celem, oczywiście, było zastrzelenie mnie. Z pewnością gdzieś w Londynie znajdowało się podobne miejsce, gdzie tłum chłopców i dziewczynek szykował się do załatwienia snajperów.

Gdy pozostali dwaj wrócili do garażu, Adidas podszedł do telewizora. Patrzyłem, jak klęka przy dzbanku i podnosi pokrywkę, sprawdzając, czy w naczyniu jest woda. Jasnobrązowa nylonowa kurtka podjechała mu przy tym do góry, odsłaniając kawałek czarnej skórzanej kabury, przyczepionej do paska na prawym biodrze, a także pociemniały od potu zielony podkoszulek. Nawet pasek na plecach zwilgotniał mu i stał się ciemnobrązowy.

Słyszałem bawiące się w pobliżu dzieciaki, kopiące piłkę i wrzeszczące do siebie. Krzyki zmieniły ton, gdy któryś z nich zapewne nie trafił w piłkę, co pozostali skwitowali drwiącym wrzaskiem. Pociły mi się dłonie, wciąż tkwiące w gumowych rękawiczkach.

Adidas przygotował trzy nie pierwszej czystości kubki z podobiznami Simpsonów: Barta, Marge i Homera, co mnie wkurzyło. Brakowało Maggie. Najwidoczniej nie zamierzali dać mi pić. Wrzucił torebkę herbaty do każdego kubka, wlał mleko, a potem

zanurzył łyżeczkę w pomiętej, na pół pustej torebce cukru i wysypał spore porcje do dwóch z nich.

W głębi garażu ktoś spuścił wodę w toalecie. Dźwięk przybrał na sile, a potem przycichł, wraz z otwarciem i zamknięciem drzwi. Słyszałem, że Sundance i kierowca mamroczą coś do siebie, ale nie zdołałem dosłyszeć ani słowa.

Trzasnęły drzwiczki mercedesa, warknął zapuszczany silnik, po czym brama uniosła się z piskiem i zgrzytem. Pół minuty później samochód opuścił garaż i odjechał. Może jednak jeden kubek był dla mnie.

Sundance pojawił się w drzwiach, plecami do nas, sprawdzając, czy brama garażu zamknęła się do końca. Gdy stał uderzyła o podłogę, podszedł do kompletu wypoczynkowego i rzucił na poręcz najbliższego fotela swoją zieloną bawełnianą wiatrówkę. Pod nią nosił kasztanową koszulkę polo i potężnego siga dziewięciomilimetrowego, w kaburze na prawym biodrze. Na lewym miał ładownicę na magazynki, zrobioną z jasno-brązowej skóry, z trzema elastycznymi, przytrzymującymi je opaskami. Mosiądz pierwszych naboji błysnął w jaskrawym świetle jarzeniówki. O mało nie parsknąłem śmiechem. Trzy pełne magazynki tylko na mnie jednego. Słyszałem o przesadzie, ale to było jak żywcem wzięte z ostatnich pięciu minut filmu „Butch Cassidy i Sundance Kid”. Nie ulegało wątpliwości, skąd ten chłoptaş czerpie swoje najlepsze pomysły.

Zdjął koszulkę polo i otarł nią pot z twarzy, ukazując przy tym paskudne blizny na plecach. Dwa wgłębienia niewątpliwie były bliznami po kulach. Rozpoznałem je, ponieważ sam miałem jedną taką. Ponadto ktoś przekazał mu też dobrą nowinę z nożem w rękę i kilka blizn po cięciach biegło przez całe plecy, między szpalerami śladów po szwach. Wszystko to razem wzięte przypominało lotnicze zdjęcie Clapham Junction.

Adidas, który właśnie skończył wylawiać i wyciskać torebki herbaty, spojrział na Sundance'a i uniósł brew.

— Chcesz się napić?

Mówił z gardłowym akcentem mieszkańca Belfastu. Gdyby

kierowca okazał się Walijszykiem, moglibyśmy razem wydać zbiór dowcipów.

— Pewnie.

Otarłszy kark i ramiona, Sundance sztywno usiadł na samym skraju fotela stojącego najbliżej telewizora, nie dotykając gołymi plecami weluru. Ostrożnie upił łyk herbaty z kubka z facjatą Barta, tej bez cukru.

Na pewno podnosił ciężary, ale nie był zbudowany jak kulturysta. Wyglądał mi na kryminalistę, który ćwiczył w więzieniu. Wyżywienie w więzieniach jest tak kiepskie, że kiedy facet zacznie trenować podnoszenie ciężarów, robi się nalany i opasły, a nie szczupły i muskularny.

Zerknął na mnie po raz pierwszy i zauważył, że przyglądam się jego plecom.

— W Belfaście, kiedy ty jeszcze bawiłeś się żołnierzkami. — Pozwolił sobie na krótki chichot, po czym wskazał na trzeci kubek z Simpsonem, wciąż stojący na podłodze obok Adidasa. — Chcesz herbaty, chłopcze?

Adidas podniósł Marge. Skinąłem głową.

— Owszem, chętnie, dzięki.

Na chwilę zapadła cisza, w której wymienili spojrzenia, po czym obaj ryknęli śmiechem, gdy Adidas, kiepsko naśladowując londyńską wymowę, powiedział:

— A niech mnie, szefuniu, chętnie, ciek.

Potem usiadł na kanapie z Homerem w ręku, wciąż śmiejąc się ze swojego dowcipu.

— Jak pragnę zdrowia, szefuniu, pewnie, z ochotą. Piękne dzięki.

Przynajmniej ktoś się tu dobrze bawił.

Adidas postawił swój kubek na popękanych kafelkach posadzki i zdjął kurtkę. Najwidoczniej niedawno usunął sobie laserowo tatuaż. Na przedramieniu pozostała mu ledwie widoczna czerwona szrama, ale wciąż można było rozpoznać wyciągniętą Czerwoną Rękę Ulsteru. Był kiedyś, a może jeszcze jest, członkiem UDA

(Ulster Defence Association). Może obaj machali sztangami w jednym bloku H.

Mięśnie Adidasa poruszyły się pod opaloną, piegowatą skórą, gdy wsunął rękę między poduszki i wyjął paczkę tytoniu papierosowego Drum. Położywszy go na kolanach, wyjął kilka bibulek i zaczął robić sobie skręta. Sundance'owi nie spodobało się to.

— Wiesz, że on tego nie znosi. Zaczekaj chwilkę.

— Racja.

Adidas złożył paczkę i schował ją między poduszki.

Miło mi było usłyszeć, że Potakiwacz już jest w drodze. Choć nigdy nie palilem, nie byłem antynikotynowym faszystą, w przeciwieństwie do Framptona.

Tylek rozbolał mnie od siedzenia na twardej podłodze, więc bardzo powoli zmieniłem pozycję, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Sundance wstał, z kubkiem w dłoni przeszedł trzy kroki do telewizora, po czym zaczął przyciskiem zmieniać stacje, aż uzyskał porządny obraz. Adidas się ożywił.

— Lubię ten program. Jest śmieszny.

Sundance powlókł się z powrotem do fotela, nie odrywając oczu od skrzynki. Teraz obaj nie zwracali na mnie uwagi, obserwując kobietę mówiącą głosem wziętym prosto z wiadomości Radia Cztery i rozmawiającą z telewizyjnym ekspertem od porcelany o swojej kolekcji miseczek dla pekińczyków.

Telewizor zagłuszał pokrzykiwania dzieciaków. Czekałem na powrót merca. Na ekranie kobieta usiłowała nie okazywać, jak strasznie jest wkurzona, kiedy ekspert powiedział, że jej kolekcja jest warta zaledwie pięćdziesiąt funciaków.

Ten ktoś, kto nazwał Framptona Potakiwaczem, był geniuszem, bo facet niczego nie potrafi odmówić zwierchnikom. Wcześniej nie przejmowałem się tym, gdyż nie podlegałem mu bezpośrednio, ale wszystko się zmieniło, kiedy awansowano go na stanowisko kierownika krajowej sekcji K w SIS (Secret Intelligence Service). Firma wykorzystywała byłych żołnierzy SAS, takich jak ja, a prawdę mówiąc każdego, pewnie nawet tych moich nowych znajomych,

jako niezależnych pracowników operacyjnych. Tradycyjnie sekcją K dowodził IB (członek Intelligence Branch), starszej gałęzi firmy. Faktycznie cała firma opiera się na IB: to ci chłopcy i dziewczęta, o których czytamy w gazetach, zwerbowani na uniwersytecie, działający w ambasadach i wykorzystujący skromne możliwości Foreign Office jako przykrywkę. Jednakże ich prawdziwa praca zaczyna się o szóstej wieczorem, kiedy zwyczajni dyplomaci ruszają na obchód przyjęć koktajlowych, a IB zaczynają zbierać informacje, dezinformować i werbować współpracowników.

W tym miejscu na placu boju pojawia się taka niska forma życia jak ja i pierze brudy, które oni produkują, zażerając się kanapkami z pastą z krabów i popijając je popołudniowymi drinkami. W takich chwilach jak teraz zazdrościłem im.

Potakiwacz również. Skończył uniwersytet, ale nie jeden z dwóch właściwych. Nigdy nie należał do elity, nie był IB, chociaż zapewne przez cały czas o tym marzył. Po prostu nie był odpowiednim facetem. Przyszedł z sekcji wsparcia technicznego — bandy rozczochranych techników i naukowców zajmujących się elektroniką, łącznością, elektronicznym nadzorem i materiałami wybuchowymi. Teraz kierował krajową sekcją K, chociaż nigdy nie pracował w terenie.

Nie wiedziałem, dlaczego firma nagle zmieniła system i postawiła na kierowniczym stanowisku faceta niebędącego IB. Może przy zmianie partii rządzącej uznano, że należy stworzyć pozory demokracji i odrobinę zmodyfikować system, żeby uspokojeni i zadowoleni politycy wrócili do Whitehall i nie wtrącali się znowu do tego, co naprawdę się dzieje. A ktoś lepiej nadawałby się do kierowania sekcją niż facet, który nie jest IB, włazi szefom w tyłek od śniadania do kolacji i zrobi wszystko, co mu się każe?

Tak czy inaczej, nie lubiłem go i nigdy nie polubię. Z całą pewnością nie należał do moich ulubieńców. Jedyna wcześniejsza akcja, w trakcie której miałem z nim do czynienia, nie powiodła się,

ponieważ dostarczył nam nieodpowiednie krótkofalówki.

Piastował obecne stanowisko zaledwie siedem miesięcy, od kiedy pułkownik Lynn przeszedł na „wcześniejszą emeryturę”, ale już nieraz ujawnił swoją niekompetencję. Jedyne, co umiał dobrze robić, to wygłaszać groźby; nie miał odpowiedniej osobowości ani umiejętności, żeby wprowadzać je w czyn. Lynn też potrafił być dupkiem, lecz z nim człowiek przynajmniej wiedział, na czym stoi.

Właśnie ponownie zmieniałem pozycję, gdy usłyszałem grzechot bramy garażu i warkot silnika na zewnątrz.

Tamci dwaj wstali i włożyli wilgotne koszule i kurtki. Sundance podszedł i wyłączył telewizor. Żaden nawet nie spojrział na mnie. Tak jakby mnie tam nie było.

Warkot silnika przybrał na sile. Trzasnęły drzwiczki i brama garażu zamknęła się.

Potakiwacz pojawił się w progu, wciąż w tym samym nędznym garniturze i z potwornie wkurzoną miną. Adidas posłusznie czmychnął z pokoju, jak dobrze wytresowany labrador.

Powiedziałbym, że to niemożliwe, a jednak twarz Potakiwacza była jeszcze bardziej zaczerwieniona niż zwykle. Najwyraźniej był zestresowany. Nic dziwnego, „C” i jego koledzy nie byli zbyt zadowoleni z wyniku eksperymentu z facetem niebędącym IB.

Stał w rozkroku pół metra lub metr ode mnie i wziął się pod boki. Wyglądał jak rozgniewany nauczyciel.

— Co się stało, Stone? — wrzasnął. — Niczego nie potrafisz zrobić dobrze?

Co też on plótł? Zaledwie dwie godziny temu chciał mnie zabić, a teraz karcił mnie jak niegrzecznego uczniaka. Nie była to jednak odpowiednia chwila, żeby mu o tym przypominać. Musiałem położyć uszy po sobie.

— Sam nie wiem, panie Frampton. Jak tylko zobaczyłem, że palą się trzy lampki, wydałem rozkaz rozpoczęcia ognia. Nie wiem, co wydarzyło się potem. Powinno się udać, wszyscy czworo wcześniej mieliśmy łączność, ale...

— Żadne ale! — wybuchnął. — Ta operacja to kompletna kłapa. — Podniósł głos jeszcze o oktawę. — Uważam, że jesteś za to osobiście odpowiedzialny, chyba to rozumiesz, co?

I owszem. Co to za nowina? Nabrał powietrza.

— Nie zdajesz sobie sprawy z wagi tej operacji, którą kompletnie skopałeś, prawda?

„Skopałeś”? Z trudem powstrzymałem uśmiech. Lynn powiedziała „spierdoliłeś”. Potakiwacz udawał nauczyciela.

— Nie ma się z czego śmiać, Stone. Za kogo ty się uważasz?

Nadszedł czas trochę go ostudzić.

— Tylko za kogoś, kto chce ująć z życiem — powiedziałem. — Właśnie dlatego nagrałem naszą rozmowę, panie Frampton.

Zamilkł na kilka sekund, przetrawiając to z wybaluszonymi oczami, ciężko dysząc. No tak, taśma i zdjęcia. Chyba właśnie sobie przypominał, dlaczego wciąż żyje i czemu tu przyjechał. A jednak nie na długo. Jego mózg najwidoczniej był nastawiony na nadawanie, nie na odbiór.

— Nie masz pojęcia, jakich narobiłeś szkód. Amerykanie nalegali, żeby zrobić to właśnie dzisiaj. Dałem słowo im i innym osobom, że tak się stanie. — Zaczął użalać się nad sobą. — Sam nie wierzę, że tak ci zaufałem.

A więc robotę zlecili Amerykanie. Nic dziwnego, że panikował. Kierownictwo firmy od dłuższego czasu usiłowało zlikwidować liczne rysy, jakie pojawiły się na fundamencie współpracy ze Stanami — szczególnie że niektóre amerykańskie agencje uważały Wielką Brytanię za dogodną bazę do wzmocnienia swoich wpływów w Europie, nie zaś za partnera. W rezultacie „ściska współpraca” przeszła do historii.

Ten ogólny obraz sytuacji nie miał teraz dla mnie większego znaczenia. Nie obchodziło mnie, co zostało skopane. Nie interesowało mnie nawet to, kto opłacił zlecenie i dlaczego. Chciałem tylko w jednym kawałku wydostać się z tego pomieszczenia.

— Jak już powiedziałem, panie Frampton, zapaliły się lampki i dałem sygnał do strzału. Może gdyby ci snajperzy otrzymali ustne instrukcje...

Patrzył na moje wargi, ale zdawał się nie słyszeć słów.

— Przez ciebie mamy teraz poważny kryzys w Ameryce Środkowej, Stone. Zdajesz sobie sprawę z tego, jakie mogą być konsekwencje?

— Nie, proszę pana. — Zawsze to lubił. — Nie mam pojęcia, na prawdę.

Zdjął prawą rękę z biodra i spojrzal na zegarek.

— Szanowny panie, zgadza się, nie masz pojęcia. Przez ciebie my, agencja, nie pokierowaliśmy wydarzeniami w sposób korzystny dla Anglii.

Zaczął nadawać jak partyjny aktywista. Mało mnie obchodziło, co się dzieje w Ameryce Środkowej. Niepokoiło mnie tylko to, co działo się tutaj.

Potakiwacz westchnął, rozluźnił szkarłatny krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli. Kropelki potu spływały mu po czerwonej z gniewu twarzy. Kciukiem wskazał na Sundance'a.

— Teraz idź z tym człowiekiem po taśmę i inne materiały, które podobno zgromadziłeś podczas tej operacji, a ja spróbuję uratować twój tyłek.

— Tego nie mogę zrobić, proszę pana.

Zesztywniał. Zaczął się gubić.

— Nie możesz tego zrobić?

Wydawało mi się, że to całkiem oczywiste, lecz nie chciałem go drażnić.

— Przykro mi, panie Frampton, ale muszę mieć pewność, że nagle nie zmieni pan zdania. — Zaryzykowałem uśmiech. — Lubie być żywy. Rozumiem, dlaczego musieli zginąć snajperzy. Po prostu nie chcę do nich dołączyć.

Potakiwacz nachylił się i spojrzal mi w oczy. Usiłował opanować wściekłość, która tryskała z niego wszystkimi porami.

— Pozwól, że coś ci powiem, Stone. W moim wydziale wszystko się zmienia. Stanowiska obsadza się nowymi, kadrowymi pracownikami i

wkrótce pozbędziemy się starych rupieci. Tacy ludzie jak ty nie będą mieli tam racji bytu. — Prawie trząśł się ze złości. W końcu zrozumiał, że trzymam go za jaja. Walcząc z wściekłością, mówił mocno ściszonegłosem. — Ty zawsze sprawiałeś kłopoty, no nie?

Nie patrzyłem mu w oczy, usiłując wyglądać na przestraszonego — i troszeczkę byłem. Niestety, zauważyłem duży, świeżo wyciśnięty pryszcz tuż nad kołnierzykiem jego koszuli. To nie spodobało się Framptonowi. Zerwał się i wybiegł z pokoju. Sundance obrzucił mnie groźnym spojrzeniem i podążył za nim.

Usiłowałem zrozumieć coś z tego, co mamrotali we czwórkę w garażu, ale bez powodzenia. Po kilku sekundach trzasnęły drzwiczki samochodu, zaskrzypiała podnosząca się brama i Frampton odjechał. Brama ponownie opadła z trzaskiem, a potem znów zapanował spokój.

Nie w moich myślach. Z jednej strony byłem przekonany, że wszystko jest w porządku. Frampton nie ryzykuje ujawnienia tej historii. Z drugiej strony mógł po prostu nie przejmować się tym, co do niego mówiłem. Próbowałem podnieść się na duchu, przypominając sobie wszystko, co zaszło, i przekonując sam siebie, że powiedziałem dokładnie to, co powinienem, w odpowiedni sposób i we właściwej chwili. Potem doszedłem do wniosku, że to nie ma sensu. Już za późno, żeby się tym martwić. Poczekamy, zobaczymy.

Wrócili Adidas z Sundance'em. Spojrzałem na nich, usiłując coś wyczytać z ich twarzy. Mieli miny nie wróżące nic dobrego.

Pierwszy kopniak był wycelowany w moją pierś. Instynktownie zwinąłem się w kłębek, ale but Sundance'a trafił mnie w udo. Przycisnąłem brodę do piersi, zacisnąłem zęby i zamknąłem oczy. Nic nie mogłem zrobić, jedynie pogodzić się z nieuniknionym, zwinąć jak jeź i skutymi rękami osłaniać twarz. Przyjmowałem ciosy i miałem tylko nadzieję, że to nie potrwa długo.

Złapali mnie za nogi i wywlekli na środek pomieszczenia. Jeden z kubków zagrzechotał na kafelkach. Staralem się trzymać

podkurczone nogi, nie pozwalając, żeby je rozprostowali i odsłonili mój brzuch oraz podbrzusze. Otworzyłem jedno oko w samą porę, by zobaczyć, jak but na grubym wibracie trafia mnie w żebra. Jeszcze mocniej przycisnąłem brodę do piersi. Udało mi się zasłonić, ale drugie kopnięcie trafiło mnie prosto w tyłek i miałem wrażenie, że coś eksplodowało mi w środku. Potworny ból sprawił, że odruchowo zacisnąłem pośladki, ale robiąc to, odrobinę wyprostowałem nogi. Oczywiście następne kopnięcie trafiło mnie w brzuch. Zwymiotowałem żółcią. Jej kwaśny smak w ustach i nosie był chyba gorszy od ciosów.

Minęła północ i leżałem skulony w kącie. Przynajmniej zdjęli mi kajdanki. Światła były zgaszone, a ekran telewizora migotał, pokazując film erotyczny na Channel 5. Wcześniej zjedli frytki i zrazy, a popijając herbatę, kazali mi zetrzeć zużytymi papierami żółć z podłogi.

Teraz nie odzywali się do mnie, a nawet nie zwracali na mnie uwagi. Chcieli, żebym dusił się we własnym sosie. Sundance drzemał na kanapie. Adidas nie spał i pełnił straż, paląc skręta, wyciągnięty na dwóch fotelach, pilnując, żeby nie przyszedł mi do głowy jakiś głupi pomysł.

Powoli wyciągnąłem się na brzuchu, żeby zmniejszyć ból, i złożywszy głowę na dłoniach, usiłowałem zasnąć. Nie udawało mi się: czułem pulsowanie krwi w tętnicy szyjnej i zastanawiałem się, co ze mną będzie. Może ci dwaj jeszcze zawiozą mnie na Beachy Head. Pewnie wszystko zależało od tego, czemu będzie musiał przytaknąć Potakiwacz.

Dotychczas zawsze udawało mi się wydostawać nawet z najgłębszego szamba. Pomyślałem o mojej bliźnie po kuli, przyszytym uchu, szramach po psich kłach i zrozumiałem, jak bardzo sprzyjało mi szczęście podczas tych kilku ostatnich lat. Przypomniałem sobie inną operację. Stałem wówczas z opaską na oczach pod ścianą hangaru, słuchając szczerku przeladowywanej broni. Pamiętałem, że stojący obok mnie ludzie cicho się modlili albo krzyczeli i błagali.

Nie widziałem żadnego powodu, żeby robić jedno czy drugie. Wca-
le nie dlatego, że chciałem umrzeć. Po prostu zawsze wiedziałem,
że śmierć jest nierozzerwalnie związana z tym zajęciem.

Tym razem jednak było inaczej. Myślałem o Kelly. Nie rozmawia-
łem z nią, od kiedy zdecydowałem się na tę robotę. Nie z tego
powodu, że nie miałem okazji — w zeszłym miesiącu uzgodniłem z
Joshem terminy — po prostu byłem zbyt zajęty przygotowaniem, a
czasem po prostu zapomniałem.

Josh słusznie mnie opieprzył, kiedy w końcu zadzwoniłem. Ona
potrzebowała stabilizacji i oparcia. Niemal widziałem wygoloną
twarz i głowę tego pół Meksykanina, pół Murzyna, gdy wrzeszczał
na mnie przez telefon jak rozwiedziona żona. Skóra na jego brodzie
i policzku była masą różowych blizn, wyglądającą jak rozdarta i
zszyta gąbka. Te blizny działały na mnie przygnębiająco, co nie
poprawiało sytuacji. Nie dostanie wielu zaproszeń na casting do
reklam old spice'a, to pewne. Kiedyś próbowałem przełamać lody,
mówiąc mu to. Nie turlał się ze śmiechu.

Odwróciłem głowę i, położywszy policzek na dłoniach, obser-
wowałem, jak Adidas wcina resztki swoich zrazów. Chyba zawsze
wiedziałem, że ten dzień nadejdzie wcześniej czy później, ale nie
chciałem, żeby to stało się właśnie teraz. Przez głowę przelatywały
mi strzępy wspomnień, wszystkie takie myśli, jakie pewnie nawie-
dzają każdego rodzica na moment przed śmiercią. Głupia sprzecz-
ka z dziećmi przed wyjściem do pracy. Niewybudowany domek na
drzewie. Niespisany testament. Niespędzone razem wakacje, nie-
dotrzymane obietnice.

Josh był poza Kelly jedyną żyjącą, bliską mi osobą. Czy będzie
za mną tęsknił? Raczej będzie się wściekał, że nie zakończyliśmy
naszych spraw. A co z samą Kelly? Właśnie zaczęła nowe życie —
czy za kilka lat po prostu zapomni o swoim beużytecznym, nie-
kompetentnym opiekunie?

7

Poniedziałek, 4 września

Wysokie, ostre dźwięki telefonu komórkowego Sundance'a zakończyły długą, ciężką noc. Było tuż po ósmej. Nie próbowałem zmienić pozycji obolałego od kopniaków ciała, ale usiłowałem wmówić w siebie, że ten ból to rodzaj osłabienia, które wkrótce przejdzie.

Kiedy Sundance otworzył star taca, Adidas doskoczył i wyłączył poranne wiadomości BBC, w których pokazywali wypadki na bulwarze. Wiedzieli, kto dzwoni. Nie było wstępnych uprzejmości, tylko skinienia głowy i potakiwania.

Adidas włączył czajnik, a Sundance zatrzasnął komórkę i dzwignął się z kanapy. Obdarzył mnie szerokim uśmiechem, przyglądając włosy rozczapierzonymi palcami.

— Będziesz miał gościa, i wiesz co? Nie sprawia wrażenia zadowolonego.

Nadchodziła godzina prawdy.

Usiadłem i oparłem się o ceglane ściany w kącie, podczas gdy oni rozsunęli fotele i włożyli koszule, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku.

Wkrótce usłyszałem warkot silnika i Adidas wyszedł otworzyć bramę. Sundance stał, gapiąc się na mnie, usiłując mnie przestraszyć.

Czajnik wyłączył się z cichym piśnięciem na moment przed

tym, zanim otworzyła się brama garażu. Wyglądało na to, że będą musieli chwilę poczekać na swoją poranną herbatkę. Podniosłem się i oparłem o ścianę.

Trzaśnięcie drzwi zagłuszyło odgłosy ulicznego ruchu Kennington. Zanim brama opadła, Potakiwacz wmaszerował do pokoju. Obrzuciwszy spojrzeniem Sundance'a, ruszył ku mnie, kręcąc nosem na smród zrazów, frytek i porannych pierdnieć.

Dziś miał na sobie jasnoszary garnitur i wciąż pozował na rozgniewanego nauczyciela. Stał dwa kroki przede mną, podparł się pod boki i spjrzał na mnie z obrzydzeniem.

— Stone, będziesz miał jeszcze jedną, ostatnią szansę naprawienia wszystkiego. Nie masz pojęcia, jakie masz szczęście. — Zerknął na zegarek. — Obiekt już opuścił Zjednoczone Królestwo. Dziś wieczorem polecisz za nim do Panamy i zabijesz go najpóźniej do piątku.

Nie podnosząc głowy, wyprostowałem nogi, tak że znalazły się tuż przy jego wypucowanych do połysku półbutach, i spjrzałem mu w oczy.

Sundance zrobił krok w moim kierunku. Może powinienem coś powiedzieć? Potakiwacz powstrzymał go machnięciem ręki, nie spuszczać mnie z oka.

— FARC czeka na dostawę systemu kontroli raketowej. Ty nazwałbyś to konsolą naprowadzającą.

Ponownie spuściłem wzrok, skupiając spojrzenie na jego butach.

— Słuchasz mnie?

Powoli, kiwając głową, przetarłem piekące oczy.

— Już są w posiadaniu jednej rakiety przeciwlotniczej. Ma to być pierwsza z wielu. Trzeba ich powstrzymać, bo gdyby w rękach FARC znalazł się kompletny system, miałyby to katastrofalne skutki dla Planu Kolumbia. W tym kraju znajdują się śmigłowce Stanów Zjednoczonych, warte sześćset milionów dolarów, wraz z załogami i personelem naziemnym. Nie możemy dopuścić do tego, żeby rebelianci z FARC mogli je zestrzeliwać. System naprowadzający nie może wpaść w ich ręce. Nie musisz wiedzieć dlaczego, lecz

śmierć tego młodego człowieka zapobiegnie temu. Kropka.

Nachylił się i przysunął twarz tak blisko mojej, że poczułem zapach miętowej wody po goleniu, zapewne do wrażliwej skóry.

Wyczułem również lekko nieświeży oddech, bo jego usta znalazły się kilka centymetrów od mojego nosa. Westchnął przeciągle, usiłując przekonać mnie, że mówi to bardziej ze smutkiem niż gniewem.

— Dołożysz wszelkich starań, żeby wykonać to zadanie w wyznaczonym czasie. A jeśli nie? Nieważne kiedy... za tydzień, za miesiąc albo nawet za rok... w odpowiedniej chwili zabijemy ją. Wiesz, o kim mówię, o tej twojej małej sierotce Annie. Po prostu przestanie istnieć i to będzie twoja wina. Tylko ty możesz temu zapobiec.

Płonął ewangelicznym zapalem, prawdopodobnie zapożyczonym od jakiegoś mówcy, którego słuchał w ubiegłym tygodniu. Sundance z szyderczym uśmiechem cofnął się w kierunku kanapy.

Potakiwacz jeszcze ze mną nie skończył. Zmienił ton.

— Ona teraz ma chyba jedenaście lat, co? Powiedziano mi, że doszła do siebie w Stanach. Wygląda na to, że Joshua robi naprawdę dobrą robotę. Pewnie trudno ci pogodzić się z tym, że ona jest tak daleko, co? Nie widzisz, jak dorasta i zmienia się w ładną młodą kobietę...

Nie podnosiłem głowy, wpatrując się w ledwie widoczne pęknięcie płytek podłogi, podczas gdy on wygłaszał swoje kazanie.

— Jest w tym samym wieku co moja córka. Dzieci w tym wieku są takie zabawne, nie uważasz? W jednej chwili chcą być już dorosłe, a w następnej chcą bawić się pluszowym misiem. Wczoraj wieczorem czytałem jej do poduszki. Wyglądają tak uroczo i są takie wrażliwe, jak... Czy ty czytałeś tej... Kelly, prawda?

Nie dałem mu tej satysfakcji i nie potwierdziłem, tylko skupiłem wzrok na pęknięciu, starając się nie okazywać żadnych uczuć.

Naprawdę rozkoszował się tą sytuacją. Znow westchnął i zatrzeszczało mu w kolanach, gdy wyprostował się, żeby stanąć nade mną.

— To kwestia władzy, Stone, tego, kto ją ma, a kto nie. Ty jej nie masz. Osobiście nie byłbym skłonny dać ci jeszcze jednej szansy, ale musimy wziąć pod uwagę szersze aspekty tej sprawy.

Niezupełnie rozumiałem, co miał na myśli, ale przypuszczałem, że powiedziano mu, iż ma uporządkować sytuację, inaczej wpadnie po uszy w gówno.

— Dlaczego zabijać chłopca? — zapytałem. — Dlaczego nie ojca? Zakładam, że to on ma dostarczyć system.

Kopnął mnie w udo czubkiem lśniącego buta. Był strasznie sfrustrowany. Z pewnością chciał kopnąć mocno, lecz nie umiał.

— Doprowadź się do porządku. Tylko spójrz na siebie. A teraz zjeżdżaj. Ci panowie o trzeciej przyjadą po ciebie do twojej rezydencji.

Przeciągle wymówił słowo „rezydencja”, ciesząc się każdą sylabą. Sundance uśmiechał się jak wiejski idiota. Podniosłem się z podłogi, czując, jak energicznie protestują przeciwko temu moje obolałe mięśnie brzucha.

— Potrzebuję pieniędzy.

Oparłszy się o ścianę, spojrzałem na niego jak skarcony uczeń, i tak też się czułem.

Potakiwacz westchnął ze zniecierpliwieniem i skinął na Sundance'a. Palant wyjął portfel z tylnej kieszeni dżinsów i odliczył osiemdziesiąt pięć funtów.

— Będziesz mi winien, chłopcze.

Wziąłem je, nie wspominając o sześciuset dolarach, które wyjął mi z kieszeni i którymi podzielił się z Adidasem.

Wepchnąłem pieniądze do kieszeni i ruszyłem do wyjścia, nie oglądając się na żadnego z nich. Kiedy doszedłem do bramy, Adidas otworzył mi ją, ale zaczekał, aż Potakiwacz wygłosił swoją ostatnią kwestię:

— Lepiej dobrze wykorzystaj te pieniądze, Stone, bo więcej nie

dostaniesz. Prawdę mówiąc, masz szczęście, że pozwalamy ci zatrzymać te, które już otrzymałeś. W końcu sierotce Annie od czasu do czasu potrzebne są nowe buty, a jej leczenie w Stanach będzie kosztować znacznie więcej niż w Moorings.

Piętnaście minut później jechałem z Kennington metrem na północ, w kierunku Camden Town. Podniszczony skład był zapchany porannymi pasażerami, z których prawie wszyscy roztaçaali zapach mydła, pasty do zębów i wody toaletowej. Ja byłem wyjątkiem, na nieszczęście dla ludzi, między którymi tkwiłem: potężnego czarnoskórego faceta w wykrochmalonej białej koszuli oraz młodej kobiety; Murzyn odwrócił się do mnie plecami, a kobieta nie śmiała oderwać wzroku od podłogi, żeby nie napotkać spojrzenia szaleńca cuchnącego wymiocinami i zjełczałym tłuszczem.

Na pierwszych stronach gazet zamieszczono dramatyczne kolorowe zdjęcia policjantów atakujących stanowiska snajperów i obietnice, że czytelnik w środku znajdzie więcej szczegółów. Jadąc na północ, trzymając się uchwytów, patrzyłem na tablice ogłoszeniowe z reklamami agencji turystycznych, nawet nie usiłując ich czytać. Głowa lekko kiwała mi się na boki. Byłem jak w transie — usiłowałem zrozumieć, co właściwie się stało, ale daremnie.

Co mogłem zrobić z Kelly? Pojechać do Marylandu, zabrać ją, uciec i ukryć się w lasach? Nie mogłem zabrać jej Joshowi, gdyż w ten sposób tylko jeszcze bardziej bym ją skrzywdził. I tak byłoby to rozwiązanie na krótką metę. Gdyby firma chciała jej śmierci, w końcu dopadliby ją. A gdybym powiedział Joshowi? Nie musiałem: firma nic nie zrobi, jeśli ich nie zawiodę. Ponadto po co wkurzać go jeszcze bardziej?

Spuściłem głowę i patrzyłem pod nogi, gdy skład zatrzymał się na stacji i ludzie zaczęli wszyscy naraz przepychać się do wyjścia. Popychany i poszturchiwany, mimo woli jęknąłem z bólu.

Kiedy skład ponownie wypełnił się pasażerami podążającymi na drugą stronę Tamizy, urażony głos w głośnikach kazał wszystkim zająć miejsca w wagonach i drzwi się zamknęły.

Nie wiedziałem, czy Potakiwacz blefował — pewnie tak samo on nie miał pojęcia, czy ja blefowałem. To jednak nie miało żadnego znaczenia. Gdybym nawet nagłośnił tę sprawę, to nie zapobiegłoby wycieczce Sundance'a i Adidasa do Marylandu. Wiele serbskich rodzin straciło dziecko lub dzieci, ponieważ ich ojciec nie spełnił żądań firmy podczas ostatniej wojny na Bałkanach. I wiedziałem, że na tym się nie skończyło.

Chociaż bardzo się starałem nie dopuszczać do siebie tej myśli, wciąż widziałem obraz Kelly śpiącej w łóżku, z włosami rozsypa- nymi na poduszce, śniącej, że jest gwiazdą rocka. Potakiwacz miał rację, dzieci w tym wieku są jednocześnie śliczne i wrażliwe. Krew zastygła mi w żyłach, kiedy uświadomiłem sobie, że koniec tej ope- racji nie zakończy grózb. Zawsze będą ją wykorzystywali, żeby mnie szantażować.

Skład zatrzymał się na następnej stacji i znów jedni pasażero- wie wysiedli, a drudzy wsiedli. Nabrałem tchu i stopniowo wypu- ściłem powietrze z płuc. Nogi powoli zaczęły mi drętwieć. Obojęt- nie jak na to spojrzeć, nie miałem innego wyjścia, musiałem zabić tego chłopca. No, właściwie nie chłopca, bądźmy obiektywni. Jak powiedział Potakiwacz, to już młodzieniec. Niektóre z karabinów mierzących we mnie pod ścianą tamtego hangaru trzymali ludzie młodszy od niego.

Spieprzyłem sprawę. Powinienem zabić go wczoraj, kiedy mia- łem okazję. To proste — jeśli nie wykonam zadania, Kelly zginie, a na to nie mogłem pozwolić. Nie skrewię po raz drugi. Zrobię to, czego żąda Potakiwacz, i zrobię to najpóźniej w piątek.

Skład znowu się zatrzymał i większość pasażerów wysiadła. By- łem wykończony i opadłem na siedzenie, zanim nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Ocierając pot z czoła, wciąż wracałem myślami do Kelly i tego, że będę musiał pojechać do Panamy i zabić kogoś tylko

po to, żeby Josh mógł się nią w dalszym ciągu opiekować. Czyste szaleństwo, ale czy to dla mnie coś nowego?

Josh może nie był moim najlepszym kumplem, lecz lepszego nigdy nie miałem. Rozmawiał ze mną przez zaciśnięte zęby, ale przynajmniej mówił o Kelly. Zamieszkała z Joshem i jego dziećmi od połowy sierpnia, parę tygodni po tym, jak musieliśmy przedwcześnie zakończyć jej sesje terapeutyczne w Londynie, ponieważ Potakiwacz zlecił mi tę snajperską robotę.

Jeszcze nie doszła do siebie po silnym wstrząsie pourazowym i nie wiem, czy kiedykolwiek dojdzie. Trudno odzyskać równowagę psychiczną komuś, kto widział, jak załatwiają mu całą rodzinę. Była twarda, tak jak jej ojciec, i tego lata poczyniła ogromne postępy. Przestała być bezwolną kukłą i mogła już funkcjonować poza murami prywatnej kliniki w Hampstead, w której spędziła ostatnie dziesięć miesięcy. Jeszcze nie chodziła do szkoły razem z dziećmi Josha, ale wkrótce miała zacząć naukę. Przynajmniej taką miałem nadzieję, bo na razie potrzebowała prywatnych nauczycieli, co nie było tanie — a teraz, kiedy Potakiwacz nie zapłacił mi drugiej połowy honorarium...

Od marca towarzyszyłem jej podczas wszystkich sesji terapeutycznych, które odbywały się trzy razy w tygodniu w Chelsea, a w pozostałe dni odwiedzałem ją w Hampstead, gdzie przebywała. Jeździliśmy metrem do tej komfortowej kliniki Moorings. Czasem rozmawialiśmy w czasie jazdy, głównie o programach telewizyjnych dla młodzieży, a czasem po prostu siedzieliśmy w milczeniu. Kiedyś przytuliła się do mnie i zasnęła.

Doktor Hughes była po pięćdziesiątce i w swoim obitym skórą fotelu wyglądała jak amerykańska spikerka, a nie psychoterapeutka. Niezbyt lubiłem te chwile, kiedy Kelly mówiła coś, co Hughes uważała za istotne. Przechylała wtedy swoją elegancko ostrzyżoną głowę i spoglądała na mnie nad połówkowymi szklami w złotych oprawkach.

— A co o tym sądzisz, Nick?

Udzielalem zawsze tej samej odpowiedzi.

— Jesteśmy tutaj dla Kelly, nie dla mnie.

To dlatego, że jestem emocjonalnym karłem. Bez wątpienia — bo tak orzekł Josh.

Skład ze zgrzytem i piskiem zatrzymał się w Camden Town. Dołączyłem do zielonowłosego punka, gromadki mężczyzn w garniturach oraz paru wczesnych turystów i wszyscy razem pojechaliśmy schodami na górę. Na Camden High Street roilo się od pojazdów i przechodniów. Powitał nas żebrzący biały rastafarianin, żonglujący trzema woreczkami z grochem, i stary pijaczyna z puszką na drobne, czekający, aż otworzą Pizza Express, żeby pójść i pokrzykiwać pod oknami. Huk młotów pneumatycznych ze znajdującej się naprzeciwko budowy odbijał się tak donośnym echem, że krzywili się nawet ludzie w przejeżdżających pojazdach.

Igrając ze śmiercią, przeszedłem przez ulicę prosto do drogerii, w której kupiłem przybory toaletowe i do golenia, po czym pomaszzerowałem główną ulicą, szukając lokalu, w którym mógłbym coś zjeść. Nie odrywałem oczu od trotuaru, jak odrzucony nastolatek. Wokół wałały się kubki z KFC, opakowania po kebabach i potłuczone butelki bacardi breezer, których nie uprzątnięto po minionej nocy. W okolicy znajdowało się nieprawdopodobnie wiele pubów i klubów, co odkryłem, kiedy tu zamieszkałem.

Camden High Street oraz jej sklepy najwidoczniej stanowiły sporą atrakcję dla turystów. Dopiero dochodziła dziesiąta, ale przed większością stały już stojaki ze zdumiewającym asortymentem towarów, od psychodelicznych kloszy po skórzane spodnie dla sadomasochistów i kolorowe martensy. Uśmiechnięci ekspedienci nieustannie usiłowali zwabić Norwegów lub Amerykanów z plecakami i mapami do rozbrzmiewających głośną muzyką wnętrz.

Przeszedłem pod rusztowaniem na rogu Inverness Street, gdzie skinął mi głową bośniacki uchodźca sprzedający szmuglowane papierosy, ukryte w sportowej torbie. Pokazywał przechodniom

dwa kartony i w swej skóropodobnej lotniczej kurtce oraz luźnych spodniach wyglądał tak samo jak ja — na zmęczonego życiem. Znałiśmy się z widzenia, więc odpowiedziałem mu skinieniem głowy, po czym skręciłem w lewo, do centrum handlowego. Z głodu ssało mnie w żołądku, co zwiększało ból brzucha. Naprawdę powinienem coś zjeść.

Kafeteria była pełna robotników budowlanych, którzy zrobili sobie przerwę we wnoszeniu nowego Gap i Starbucks. Brudne żółte hełmy leżały pod ścianą jak w siedzibie straży pożarnej, podczas gdy ich właściciele pochłaniali potężne śniadania za trzy funciaki. W powietrzu unosił się gwar oraz opary smażonego tłuszczu i dymu z papierosów, zapewne wskutek działalności Bośniaka. Złożyłem zamówienie i biorąc kubek ekspresowej kawy, słuchałem grającego za barem radia. W stołecznych wiadomościach zaledwie wzmiankowano o wczorajszej strzelaninie z terrorystami. Ustępowałem miejsca sensacyjnej nowej fryzurze jednej z członkiń zespołu Spice.

Usiadłem przy czteroosobowym ogrodowym stoliku, udającym mebel z kutego żelaza i marmuru, odsunąłem przepelnioną popielniczkę i zapatrzyłem się na cukierniczkę. Mrowienie w kończynach powróciło i nagle uświadomiłem sobie, że trzymam łokieć na stole i opieram brodę na dłoniach. Z jakiegoś powodu przypomniałem sobie, jak miałem siedem lat i lejąc łzy, usiłowałem wyjaśnić ojczymowi, że boję się ciemności. Zamiast pocieszającego uścisku i pozostawionego w sypialni światła zostałem spoliczkowany i pouczoney, że nie powinienem być takim mięczakiem, inaczej potwór wyjdzie w nocy spod łóżka i mnie pożre. Często mnie tak straszyl. Spędziłem całą noc skulony pod kocem, z przerażeniem myśląc, że jeśli nie będę patrzył, to potwór mnie nie dostanie. Po tych wszystkich latach znów czułem tamto przerażenie i bezsilność.

Czyjś głos wyrwał mnie z transu.

— Zestaw śniadaniowy z dodatkowym jajkiem?

— Tak.

Zdjąłem łokieć ze stolika i wrzuciłem na ruszt jajecznicę na

bekonie i kielbasie, zastanawiając się nad listą zakupów. Nie potrzebowałem wielu ubrań na wyprawę do Ameryki Środkowej. No cóż, może nie jest aż tak źle: przynajmniej lecę do ciepłych krajów.

Nigdy nie byłem w Panamie, ale służąc w wojsku, brałem udział w operacjach w pobliżu jej granicy, gdzie wraz z Kolumbijczykami prowadziliśmy działania przeciwko FARC (Rewolucyjnym Siłom Zbrojnym Kolumbii). Byliśmy elementem przyjętej w latach osiemdziesiątych brytyjskiej polityki wyprzedzającego uderzenia — finansowanej przez Amerykanów likwidacji źródeł zaopatrzenia w narkotyki, co oznaczało wielotygodniowe poszukiwania w dżungli, odnajdywanie wytwórni narkotyków i niszczenie ich w celu odcięcia dostaw do Wielkiej Brytanii oraz Stanów Zjednoczonych. Mogliśmy to sobie darować. Ponad siedemdziesiąt procent dostarczonej do Stanów kokainy wciąż pochodzi z Kolumbii, a prawie siedemdziesiąt pięć procent przechwytywanej na Wschodnim Wybrzeżu heroiny dostarczają Kolumbijczycy. Organizacja FARC wykroiła sobie z tego tortu całkiem spory kawałek i podobne dane statystyczne odnoszą się także do Wielkiej Brytanii.

Działając w tym rejonie przez ponad rok, wciąż interesowałem się tymi sprawami — szczególnie że większość moich znajomych Kolumbijczyków zginęła w trakcie tej wojny narkotykowej. Chcąc utrzymać rozejm z FARC, rząd pozwolił im kontrolować teren wielkości Szwajcarii i handlarze mogli działać tam bez żadnych przeszkód. Miałem nadzieję, że teraz, kiedy wprowadzano w życie Plan Kolumbia, sytuacja ulegnie zmianie. Aby pomóc kolumbijskiemu rządowi w zwalczaniu przemytu narkotyków, Clinton przeznaczył jeden i trzy dziesiąte miliarda dolarów, wysyłając tam ponad sześćdziesiąt śmigłowców Huey i Black Hawk, o które tak marzył się Potakiwacz, oraz wiele innego sprzętu. Ja jednak nie miałem złudzeń. Ta wojna będzie długa i ciężka.

Wiedziałem również, że przez większość dwudziestego wieku Stany Zjednoczone opłacały, zarządzały i chroniły Kanał Panamski. SOUTHCOM (czyli Południowe Dowództwo Armii USA) miało tam swoją bazę. Właśnie kiedy byłem w Kolumbii, to SOUTHCOM kierowało wszystkimi operacjami wojskowymi i wywiadowczymi od południowej granicy Meksyku po przylądek Horn. Oddziały i samoloty stacjonujące w Panamie prowadziły wszystkie operacje przeciwnarkotykowe w Ameryce Środkowej i Południowej. Te działania zakończyły się jednak o północy 31 grudnia 1999 roku, kiedy Stany Zjednoczone przekazały Panamczykom kontrolę nad kanałem i SOUTHCOM oraz wszyscy amerykańscy żołnierze opuścili tę strefę. Teraz te oddziały były rozproszone w bazach rozmieszczonych w różnych krajach Ameryki Środkowej i Karaibów, w wyniku czego nie mogły prowadzić działań równie skutecznie jak niegdyś.

Na podstawie przeczytanych informacji wiem, że kwestię oddania Kanału Panamskiego specjalnie wyciszono, żeby nie drażnić opinii publicznej. A kiedy się okazało, że to chińska, a nie amerykańska firma wygrała przetarg na obsługę portów na obu krańcach kanału i przejęła niektóre wojskowe instalacje Stanów Zjednoczonych, prawica dostała szału. Ja nie widziałem w tym żadnego problemu: chińskie firmy zarządzają portami na całym świecie, włącznie z Dover i innymi. Podczas akcji nie przyszło mi to do głowy, ale może dlatego w składzie delegacji znajdował się Chińczyk — jako reprezentant nowego ładu w Ameryce Środkowej.

Pochłonawszy sporą dawkę śmiertelnie niebezpiecznego cholesterolu, poczułem się trochę lepiej i opuściłem kafeterię, ocierając zabrudzone złotkiem palce o dzinsy, na których i tak zastygła jego część.

W trakcie pospiesznych, piętnastominutowych zakupów nabyłem parę nowych, dekatyzowanych lewisów za szesnaście funciaków,

niebieską bluzę za siedem, a za pięć bokserki i trzy pary skarpetek.

Poszedłem wzdłuż straganów z owocami i warzywami, aż dotarłem do Arlington Road i skręciłem w prawo przy pubie Good Mixer, szkaradzie z lat sześćdziesiątych, gwałtownie potrzebującej odrobiny farby. Pod ścianą siedziały te same co zawsze podejrzone typki: trzej starcy, nieogoleni i nieumyjni, popijający strongbow super, najwidoczniej w tym tygodniu sprzedawany po promocyjnej cenie w Oddbins. Wszyscy trzej wyciągali swe brudne dłonie, nawet nie patrząc na ludzi, od których usiłowali coś wyżebrać.

Za kilka minut wezmę gorący prysznic. Jakieś sto metrów dalej, przed moją imponującą wiktoriańską rezydencją z czerwonej cegły, zobaczyłem kogoś wnoszonego na noszach do karetki. Taki widok nikogo tutaj nie dziwił i żaden z przechodniów nie zwrócił na to uwagi.

Idąc wzdłuż wysmarowanych sprayem ścian budynków, brudnych i pociemniałych od zanieczyszczeń, dotarłem do frontowych drzwi w chwili, gdy karetka ruszyła. Za nią stał biały ford transit. Przy jego otwartych tylnych drzwiach zebrała się grupka uchodźców z Europy Środkowej. Wszyscy trzymali sportowe torby lub plecaki. Oczywiście, to poniedziałek i chłopcy z Manchesteru skupowali przemycony tytoń i papierosy, żeby sprzedawać je na rynku i w pubach.

Dwa wytarte kamienne stopnie zaprowadziły mnie do wielkich, błyszczących drewnianych drzwi, które otworzyłem pchnięciem. Zadzwoniłem do drugich i przysunąłem twarz do szyby, żeby pracownik pełniący dyżur mógł mnie rozpoznać.

Zabrzączał dzwonek i wszedłem do środka. Recepcjonistka Maureen — wielka pięćdziesięcioletnia kobieta, która miała słabość do obszernych, przypominających namiot sukni w kwiatki, o twarzy jak cierpiący na zatwardzenie buldog, obdarzyła mnie uśmiechem. Nie tolerowała żadnych wygłupów. Zmierzyła mnie wzrokiem, lekko unosząc brew.

— Cześć, kochasiu, co ty tu robisz?

Przywołałem na usta radosny uśmiech.

— Stęskniłem się za tobą.

Przewróciła oczami i odpowiedziała ze swoim typowym, basowym śmiechem.

— Taak, pewnie.

Czy mógłbym skorzystać z prysznicza? Zepsuł się zawór w moim nowym mieszkaniu.

Pokazałem jej torbę z przyborami toaletowymi. Słyszając moją bajeczkę, znów wywróciła oczami i cmoknęła, nie wierząc w ani jedno moje słowo.

— Dziesięć minut, tylko cicho.

— Maureen, jesteś aniołem.

— Powiedz mi coś, czego nie wiem, kochasiu. Pamiętaj, dziesięć minut, nie dłużej.

Przez wszystkie miesiące, kiedy tutaj mieszkałem, zamieniłem z nią najwyżej tuzin słów. Tak więc tę krótką wymianę zdań można było uznać za ożywioną rozmowę.

Wszedłem po schodach na drugie piętro, gdzie ściany były pokryte łatwą do umycia olejną farbą, a podłoga wyłożona jasnoszarym linoleum, po czym ruszyłem wąskim korytarzem w kierunku pryszniców na jego końcu. Po lewej ręce miałem rząd drzwi do pokoiów i słyszałem mamrotania, kaszel lub chrapanie ich mieszkańców. Korytarz cuchnął piwem i papierosami, okruchami spleśniałego chleba i innymi resztkami wdeptanymi w grubą wykładzinę.

Na piętrze wyżej słychać było hałasy — to jakiś starzec bełkotał coś, spierając się sam ze sobą, mamrocząc przekleństwa. Czasem trudno było powiedzieć, czy ci ludzie są pod wpływem alkoholu, narkotyków czy umysłowo chorzy. Tak czy inaczej, najwyraźniej opieka społeczna pozostawiała ich własnemu losowi.

Łazienka składała się z trzech brudnych kabin. Wszedłem do środkowej i powoli zdjąłem ubranie. Jacyś ludzie szli korytarzem, który donośnym echem odbijał ich głosy. Rozebrawszy się, odkręciłem wodę. Znów wpadłem w trans. Chciałem tylko, żeby ten dzień

jak najprędzej się skończył. Zmobilizowałem się nawet i obejrzałem siniaki na rękach i nogach, chociaż przestałem się już przejmować tym, że mnie bołą.

Ktoś na korytarzu pozdrowił mnie po imieniu. Rozpoznałem ten głos. Nie wiedziałem, jak się jego właściciel nazywa, ale wiedziałem to, że zawsze był pijany. Tak jak oni wszyscy, tylko w ten sposób mógł umknąć przed nędzą swego życia. Z rozwlekłym północnym akcentem wykrzykiwał wciąż tę samą starą śpiewkę, o tym jak wydymał go Bóg. Kiedyś miał żonę, dzieci i dom. Nie poszczęściło mu się w życiu, stracił, co miał, i to wszystko wina Boga.

Wszedłem pod prysznic i starałem się nie słuchać wrzasków, gdy inni mieszkańcy zaczęli krzyczeć na faceta, mówiąc mu, żeby się, kurwa, zamknął.

Prowadzone przez miasto „schronisko” było tym, co w czasach mojego dzieciństwa nazywano noclegownią. Obecnie tłoczyli się w nim nie tylko bezdomni ludzie w różnym wieku, o jednakowo smutnych życiorysach, ale także uchodźcy z Bośni, Serbii i Kosowa, którzy jakby przywieźli swoją wojnę do Londynu, gdyż często bili się na korytarzach i w umywalniach.

Dobiegające z korytarza hałasy zaczęły stapiać się w jeden potworny zgiełk. Serce biło mi coraz szybciej, a nogi znów zaczęły drętwieć i mrowić. Osunąłem się na podłogę i zasłoniłem uszy rękami.

Siedziałem tak, zatykając uszy i mocno zaciskając powieki, usiłując nie słuchać tego zgiełku, wpadłszy w takie samo dziecinne przerażenie, jakie ogarnęło mnie w kafejce.

Nie opuszczał mnie obraz, który podsunął mi Potakiwacz: Kelly śpiącej w łóżeczku. Teraz pewnie leżała w nim, gdyż w Marylandzie była noc. Leżała na dole piętrowego łóżka, a nad nią najstarsza córka Joshua. Doskonale wiedziałem, jak wygląda. Tyle razy budziłem się i otulałem ją kocem, kiedy było zimno lub kiedy znów nawiedzał ją straszny sen o zamordowanych bliskich. Pewnie leżała przykryta do połowy, wyciągnięta na plecach, z rękami i nogami

rozpostartymi jak rozgwiazda, przygryzając dolną wargę, poruszając gałkami ocznymi pod zamkniętymi powiekami.

Potem pomyślałem o niej nieżywej. Żadnej przygryzionej wargi, żadnej fazy REM, tylko nieruchoma, martwa ryba. Usiłowałem sobie wyobrazić, jak bym się czuł, gdyby do tego doszło, wiedząc, że to ja jestem odpowiedzialny za to, żeby do tego nie doszło. Nie mogłem znieść tej myśli. Sam nie wiem, czy ten głos rozbrzmiewał tylko w mojej głowie, czy też powiedziałem to głośno, w każdym razie usłyszałem swój krzyk:

— Jak wdepnąłeś w takie gówno!?

8

Stawałem się jednym z tych świrów wrzeszczących na korytarzu. Nigdy nie miałem kłopotu ze zrozumieniem powodów skłaniających ich do chłania i ćpania, jako próby ucieczki przed tym zasranym światem.

Siedziałem tak jeszcze kilka minut, po prostu użalając się nad sobą i spoglądając na jedyny dorobek mojego życia: różowe wgłębienie na brzuchu po dziewięćmilimetrowej kuli oraz równy rząd śladów na prawym przedramieniu, pozostawiony przez policyjnego psa w Karolinie Północnej.

Odjąłem dłonie od uszu.

— Pozbieraj się do kupy, palancie. Weź się w garść. Otrząśnij się z tego...

Musiałem się z tym uporać, tak jak ze wszystkim, kiedy byłem dzieckiem. Nikt nie pomoże mi w walce z nocnym potworem. Będę musiał podjąć ją sam.

Wydmuchałem nos i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że płakałem.

Podniosłem się z posadzki, wyjąłem przybory do mycia i golenia, po czym wziąłem się do roboty. Wyszorowałem się i zostałem w kabinie jeszcze przez dziesięć minut, wytarłszy się moimi starymi ciuchami. Ubrałem się w nowe dżinsy i bluzę. Włożyłem buty na grubych podeszwach, kurtkę i zapiąłem pasek. Całą resztę

zostawiłem w kabinie — niech sobie zabiorą jako pożegnalny prezent — po czym poszedłem z powrotem korytarzem. Za otwartymi drzwiami ten jak mu tam przestał bełkotać o Bogu i padł twarzą na poplamione moczem łóżko. Nieco dalej minąłem drzwi mojego przypominającego celę pokoju. Opuściłem go w ubiegłą sobotę, ale już miał nowego lokatora; słyszałem odgłosy strojonego radia. On też pewnie postawił karton z mlekiem na parapecie wąskiego okna. Wszyscy tak robiliśmy — a przynajmniej ci, którzy mieli czajniki.

Zszedłem po schodach, przyglądając włosy dłonią. Byłem trochę spokojniejszy.

Dotarłszy do recepcji, zdjąłem słuchawkę zamocowanego na ścianie aparatu, wepchnąłem monety wartości sześć i pół funta, po czym zacząłem wybierać numer Josha, rozpaczliwie usiłując wymyślić jakiś powód usprawiedliwiający telefon o tak wczesnej porze. Na Wschodnim Wybrzeżu Stanów było pięć godzin wcześniej niż w Londynie.

Zaledwie po dwóch dzwonekch usłyszałem zaspany głos.

— Taak?

— Josh, tu Nick.

Miałem nadzieję, że nie słyszy drżenia w moim głosie.

— Czego chcesz, Nick? Tu jest dopiero szósta.

Zatkałem drugie ucho, żeby nie słyszeć zataczającego się młodzieńca o szklistym i mętym spojrzeniu, który domagał się od starego pijaczyny, żeby pomógł mu wejść po schodach na piętro. Widywałem ich nieraz: stary był jego ojcem i też tu mieszkał.

— Wiem, przepraszam, kolego. Chodzi o to, że nie mogę wrócić przed przyszłym wtorkiem i...

Dotarło do mnie głośnie westchnienie. Słyszał to ode mnie już tyle razy. Nie miał pojęcia, w jakiej jestem sytuacji, nie wiedział, co się ze mną działo przez kilka ostatnich miesięcy. Nie kontaktowałem się z nim, tylko wysyłałem pieniądze.

— Posłuchaj, kolego. Wiem i przykro mi. Naprawdę nie mogę.

W słuchawce usłyszałem gniewne warknięcie:

— Dlaczego nie uporządkujesz swojego życia? Umawialiśmy się na ten wtorek, a więc na jutro, człowieku. Ona nastawiła się na to. Kocha cię tak bardzo, człowieku, tak bardzo... Nie rozumiesz tego? Nie możesz tak po prostu...

Wiedziałem, co zamierza powiedzieć, i przerwałem mu, prawie błagalnie:

— Wiem, wiem. Przepraszam... — Czułem, do czego zmierza ta rozmowa, i zdawałem sobie sprawę z tego, że on ma rację. — Proszę, Josh. Czy mógłbym z nią porozmawiać?

Natychmiast wyszedł z siebie i ryknął:

— Nie!

— Ja...

Za późno. Rozłączył się.

Opadłem na składane plastikowe krzesło, gapiąc się na jedną z tablic z instrukcjami, czego nie wolno robić, a co można i jak.

— W porządku, kochasiu?

Spojrzałem na stojącą za kontuarem recepcji Maureen. Przywołała mnie machnięciem dłoni, z miną starszej siostry.

— Wyglądasz nieszczególnie. Chodź pogadać, kochasiu.

Myśląc o czymś innym, podszedłem do otworu w ścianie, przez który dochodziło się do jej biurka. Prawie musiałem schylić głowę. Gdyby był odrobinę wyższy i szerszy, nie chroniłby jej przed pijakami i narkomanami niestosującymi się do obowiązujących w schronisku przepisów.

— Przykra rozmowa z tą twoją małą?

— Co?

— Nie mówiłeś o tym, ale wiesz, że ja sporo widzę z tej mojej nory. Słyszałam, jak rozmawiałeś przez telefon, i teraz jesteś jeszcze bardziej przygnębiony niż przedtem. Przecież wiesz, że nie siedzę tu tylko po to, żeby otwierać drzwi! — Parsknęła śmiechem, gdy uśmiechnąłem się w podziękowaniu za tę próbę poprawienia mi humoru. — Tak źle, kochasiu? Dobrze się czujesz?

— W porządku.

— To dobrze, cieszę się. Wiesz co, obserwowałam cię, kiedy tu mieszkałeś. Zawsze byłeś taki smutny. Domyśliłam się, że chodzi o rozwód. Zwykle potrafisz odgadnąć takie rzeczy. Musi ci być ciężko bez twojej małej. Martwiłam się o ciebie, to wszystko, kochasiu.

— Niepotrzebnie, Maureen, wszystko w porządku, naprawdę. Zaczekała zgodliwie.

— To dobrze... Dobrze, ale wiesz, sprawy zazwyczaj... — Na chwilę skupiła uwagę na schodach. Z któregoś półpiętra dolatywały gniewne krzyki Kosowian lub innych uchodźców.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. — No cóż, z czasem wszystko się jakoś ułoży. Widywałam już nieraz takich smutnych facetów jak ty. Wszystkim mówię to samo i zawsze mam rację. Teraz może być już tylko lepiej, rozumiesz?

W tym momencie na górze zaczęła się bijatyka i ze schodów stoczyła się sportowa torba Nike, a w ślad za nią jej handlujący papierosami właściciel w brązowym swetrze i białych skarpetkach. Maureen sięgnęła po krótkofalówkę, gdy paru facetów zbiegło po schodach i zaczęło kopać chłopaka. Złożyła meldunek ze spokojną pewnością siebie, płynącą z długoletniego doświadczenia.

Oparłem się o ścianę, gdy pojawili się następní handlarze i usiłowali przerwać bójkę.

Po kilku minutach w oddali rozległo się narastające wycie syren. Maureen nacisnęła guzik otwierający drzwi i handlarze papierosami wpadli do schroniska z torbami w rękach, przekonani, że to nalot. Rozbiegli się do swoich pokoi, żeby schować towar, zostawiając chłopców z Manchesteru własnemu losowi. Zaraz za nimi do holu weszli czterej policjanci, żeby zrobić porządek.

Zerknąłem na zegarek, nowy i czarny, z purpurową tarczą. Ponad trzy godziny do spotkania, a nie miałem nic do roboty. Nie chciało mi się jeść czy pić ani siedzieć tutaj, a już na pewno nie chciałem, żeby Maureen zaglądała w moją duszę, choćby nie wiem

jak usiłowała być pomocna. I tak już wiedziała za dużo. Podziękowałem jej skinieniem głowy i ruszyłem do drzwi. Nawet w tym zamieszaniu znalazła dla mnie ciepłe słowo.

— Przestań się martwić, Nick. Zamartwianie się źle robi na to, wiesz. — Palcem wskazującym postukała się w skroń. — Widziałam to tutaj aż za często.

Za jej plecami zadzwonił jeden z telefonów. U podnóża schodów wciąż trwała szamotanina.

— Muszę wracać do roboty, kochasiu. Mam nadzieję, że wszystko się ułoży. Zwykle tak bywa, wiesz. Powodzenia, kochasiu.

Kiedy wyszedłem na ulicę, hałas z budowy zagłuszył odgłosy zamieszania. Usiadłem na schodach i wbiłem wzrok w trotuar, gdy wywlekano awanturników. Ich gniewne głosy utonęły w łoskocie młotów pneumatycznych.

Punktualnie o trzeciej po południu merc zajechał pod schronisko i kawałek dalej znalazł miejsce do zaparkowania. Adidas siedział za kierownicą, a Sundance obok niego. Zostawili silnik włączony.

Oderwałem zdrętwiały tyłek od schodów i powlokłem się ku nim. Byli ubrani tak samo jak rano i pili kawę z kartonowych kubków. Nie spieszyłem się — nie dlatego, że chciałem, by na mnie czekali, lecz dlatego, że moje ciało wydawało się niezdolne do szybkiego działania — tak samo jak mój umysł.

Nie odezwali się ani słowem, kiedy usiadłem z tyłu, tylko zapięli pasy. Kiedy ruszyliśmy, Sundance rzucił mi przez ramię brązową kopertę.

— Wziąłem już sobie pięćset z konta, więc dziś nie próbuj podejmować. To wczorajsza pożyczka, plus procent.

Uśmiechnęli się do siebie. Praca ma swoje plusy. Mój nowy paszport i karta kredytowa były świeżo wydrukowane, ale zostały należycie podniszczone. W kopercie był też numer PIN oraz bilet

na samolot z Miami do Panamy, odlatujący nazajutrz o siódmej pięć rano. Nie martwiłem się o to, jak dostanę się na czas do Miami. Na pewno wkrótce się dowiem.

Przejrzałem wbite w paszport wize i dowiedziałem się, że w lipcu byłem na dwutygodniowych wakacjach w Maroku. Było to dość bliskie prawdy — byłem tam, ale nieco wcześniej. Przynajmniej powinienem bez trudu przejść przez rutynową kontrolę paszportową i celną. Moja przykrywka będzie taka sama jak zawsze: podróżuję po świecie, znudzony sprzedawaniem polis ubezpieczeniowych. Widziałem już prawie całą Europę, a teraz chcę zobaczyć resztę świata.

Nie byłem uszczęśliwiony moim przybranym nazwiskiem. Hoff. Dlaczego Hoff? To nie brzmiało dobrze. Nick Hoff, Nick Hoff. Nawet nie zaczynało się na tę samą literę co moje prawdziwe nazwisko, więc trudno będzie się nie zawahać przy składaniu podpisu. Hoff — to brzmiało nienaturalnie. Gdybyś nazywał się Hoff, nie dałbyś swojemu synowi na imię Nicholas, chyba że chciałbyś, żeby dokuczano mu w szkole. Po angielsku brzmiało to tak, jakby ktoś z wadą wymowy mówił o zdejmowaniu majtek.

Sundance nie zażądał pokwitowania, co mnie zaniepokoiło. Wkurzał mnie przerost biurokracji w tym bagnie, lecz jej całkowity brak był jeszcze bardziej niepokojący.

— A co z moim adresem? Mam tam zadzwonić?

Sundance odpowiedział, nie odwracając głowy. Samochódjechał w sznurze innych pojazdów.

— Już zostali zawiadomieni. — Wepchnął rękę do kieszeni dżinsów i wyjął świstek papieru. — Wreszcie ukończono budowę tego małego ronda, ale wciąż czekają, aż zostanie oddane do użytku. To powinno nastąpić w przyszłym tygodniu.

Kiwnąłem głową. Sundance właśnie przekazał mi najnowsze wieści z miejsca, które Potakiwacz wyznaczył na fikcyjne miejsce zamieszkania. James i Rosemary kochali mnie jak syna, od kiedy zamieszkałem z nimi przed laty — przynajmniej tak głosiła bajeczka. Miałem tam nawet pokój i jakieś ubrania w szafie. W razie

potrzeby tych dwoje ludzi potwierdzi moją tożsamość. Nigdy niczego dla mnie nie zrobią, ale jeśli będzie trzeba, zaświadczą, że z nimi mieszkam. „To moje miejsce zamieszkania” — mogę powiedzieć, gdyby ktoś mnie pytał. — „Zadzwońcie tam i zapytajcie”.

Odwiedzałem Jamesa i Rosemary, kiedy tylko miałem chwilę czasu, podbudowując swoją przykrywkę. Nic nie wiedzieli o moich zadaniach i nie chcieli wiedzieć. Rozmawialiśmy o tym, co dzieje się w miejscowym klubie, a także trochę o sobie i innych ludziach. Musiałem znać takie szczegóły, bo znałbym je, gdybym naprawdę tam mieszkał. Nie chciałem wykorzystywać ich, uczestnicząc w operacji ze snajperami, gdyż wtedy firma poznałaby moje przybrane nazwisko i łatwo mogłaby mnie zlokalizować. Jak się okazało, miałem rację, podejmując takie środki ostrożności.

Sundance zaczął mi wyjaśniać, w jaki sposób dotrę do Miami i zdążę na samolot do Panamy. Potakiwacz nie próżnował. Za cztery godziny miałem spać w śpiworze na skrzyniach ze sprzętem wojskowym załadowanym do tristarą RAF-u, odlatującego z Brize Norton opodal Oxfordu i lecącego do Fort Campbell w Kentucky, gdzie batalion naszych chłopców z piechoty odbywał wspólne ćwiczenia ze Sto Pierwszą Dywizją Spadochronową „Krzyczących Orłów”. Ci ostatni już parę lat temu zdali swoje spadochrony i teraz wozili się śmigłowcami, których mieli więcej niż wszystkie europejskie armie razem wzięte. O tej porze nie było żadnych samolotów rejsowych, które dowiozłyby mnie na miejsce do jutra rana, tak więc pozostawała tylko ta możliwość. Wysadzą mnie na Florydzie i w bazie marines wbiją mi promesę wizową Stanów Zjednoczonych. Potem będę miał trzy godziny, żeby dostać się na lotnisko i złapać samolot do Panamy.

Patrząc na dwie kobiety, które czekały na autobus, Sundance warknął:

— Kiedy się tam znajdziesz, będziesz miał do pomocy dwójkę doktorów. — Ponownie spojrzął w notatki. — Carrie i Aaron Yan-klewitz. Cholernie głupie nazwisko.

Zanim znów spojrział w papiery, zerknął na Adidasa, który kiwnął głową.

— Nie będziesz kontaktował się z panem Framptonem ani z nikim innym. Wszystkie wiadomości będziesz przekazywał lub otrzymywał za ich pośrednictwem.

Zastanawiałem się, czy ci Yanklewitzowie są Amerykanami polskiego pochodzenia. Opierając głowę o szybę, leniwie obserwowałem przesuwające się za nią prawdziwe życie.

— Słuchasz, pierdoło?

Spojrzałem we wsteczne lustro i zobaczyłem, że na mnie patrzy, czekając na odpowiedź. Kiwnąłem głową.

— Będą czekali na lotnisku z tabliczką z nazwiskiem. Hasło numer trzynaście. Rozumiesz? Trzynaście.

Ponownie skinąłem głową, tym urazem nawet na niego nie patrząc.

— Pokażą ci dom tego chłopaczka i zanim tam dotrzesz, powinni mieć już wszystkie zdjęcia oraz sprzęt. Nie wiedzą, co masz tam zrobić, ale my wiemy, no nie, chłopcze? — Odwrócił się i spojrział na mnie, podczas gdy ja wciąż tępo patrzyłem w przestrzeń, niczego nie czując. — Masz dokończyć robotę, no nie? — Mówiąc, dźgał powietrze wskazującym palcem. — Masz zrobić to, za co ci zapłacono. I to najpóźniej w piątek. Rozumiesz, Stone? Masz to dokończyć.

Każda wzmianka o tym zadaniu zwiększała moje przygnębienie i gniew.

— Nie domyśliłbym się, gdybyś mi nie powiedział.

Sundance ponownie dźgnął wskazującym palcem powietrze, bezskutecznie usiłując ukryć wściekłość.

— Zabij tego gówniarza.

Dosłownie wypłuł te słowa, opryskując mi twarz kropelkami śliny.

Odnosiłem wrażenie, że wszyscy obecni w tym samochodzie są spięci, i założyłbym się, że powodem była frustracja Potakiwacza. Zastanawiałem się, czy powiedział „C” o podjętych przeze mnie środkach ostrożności, czy też postanowił twierdzić, iż operacja

została „spaprana” w wyniku zakłóceń łączności. W końcu chyba tak właśnie mu powiedziałem, czyż nie? Sam nie byłem już pewien.

Potakiwacz prawdopodobnie powiedział „C”, że zacny stary Stone — którego „C” nie poznałby, gdybym nawet spadł z nieba prosto na jego dyrektorską głowę — wykona to zadanie i wszystko będzie dobrze. A jednak zaczynałem podejrzewać, że wysyłają mnie do Panamy tylko dlatego, że nie mają drugiego takiego kretyna, który zdecydowałby się na tę robotę.

Gdy wydostaliśmy się na A40 i opuściliśmy Londyn, kierując się do Brize, usiłowałem skupić myśli na zadaniu. Lepiej myśleć o konkretach, niż oddawać się ponurym rozmyśleniom. Przynajmniej tak głosi teoria. Łatwiej jednak to powiedzieć, niż zrobić. Byłem bez grosza. Sprzedałem ducati, dom w Norfolk, nawet meble — wszystko prócz tego, co zmieściło się w jednej torbie podróżnej — żeby zapłacić za leczenie Kelly. Całodobowa opieka medyczna w Hampstead i regularne wizyty w Moorings pochłonęły wszystkie moje pieniądze.

Wychodząc po raz ostatni z domu w Norfolk, czułem taki sam niepokój jak wtedy, kiedy jako szesnastoletni chłopak opuszczałem rodzinny dom, żeby wstąpić do wojska. Tylko że wtedy nie miałem turystycznej torby, lecz dziurawe skarpetki, nierozpakowaną kostkę dziegiowego mydła i bardzo starą szczoteczkę do zębów w plastikowym futerale z Co-op. Pastę zamierzałem kupić po otrzymaniu pierwszego żołdu, nie wiedząc dokładnie, kiedy go otrzymam ani ile tego będzie. Wcale się tym nie przejmowałem, bo choćby w wojsku było nie wiem jak źle, na pewno będzie lepiej niż w poprawczaku i z ojczymem, który przestał mnie już policzkować, a zaczął tłuc pięściami.

Od marca, od kiedy zaczęła się terapia Kelly, nie mogłem pracować. A nie mając numeru ubezpieczenia ani żadnych zaświadczeń o zatrudnieniu — nawet pocztówki, która potwierdzałaby fakt mojego istnienia po opuszczeniu regimentu — nie mogłem nawet wystąpić o zasilek czy pożyczkę. Firma nie zamierzała mi pomóc:

nie byłem etatowym pracownikiem. A w Vauxhall Cross nikt nie chce cię znać, jeśli nie możesz pracować albo nie ma dla ciebie zajęcia.

Mniej więcej przez pierwszy miesiąc terapii Kelly w Londynie zmieniałem pokój za pokojem, nie płacąc czynszu, jeśli dopisało mi szczęście i właściciel był na tyle głupi, żeby nie zażądać opłaty z góry. Potem, na podstawie numeru ubezpieczenia Nicka Somerhursta, kupionego od cwaniaków, zdołałem dostać miejsce w schronisku i w porze posiłków ustawiałem się w kolejce do furgonetki wyznawców Kryszny, parkującej tuż przed salonem gry w bingo o nazwie Mecca. Ubezpieczenie pozwoliło mi również uzyskać paszport na nazwisko Somerhurst i dodatkowe dokumenty. Nie chciałem, żeby Potakiwacz mógł mnie wytropić, wykorzystując papiery wystawione przez firmę.

Mimo woli uśmiechnąłem się na wspomnienie jednego z wyznawców Kryszny — Petera, młodego i wiecznie uśmiechniętego człowieka. Miał ogoloną głowę i cerę tak bladą, że wyglądał jak nieboszczyk, ale szybko odkryłem, że jest jak najbardziej żywy. Ubrany w rdzawoczerwone szaty, robiony na drutach sweter i kolorową wełnianą czapeczkę, uwijał się we wnętrzu zardzewiałej furgonetki, nalewając herbatę, nakładając potrawy z curry, rapując na chwałę Kryszny.

— Cześć, Nick! Kryszna, Kryszna, hari Kryszna, hari Kryszna, hari rama!

Nigdy nie miałem ochoty dołączyć do niego, chociaż niektórzy robili to, zwłaszcza pijani. Tańcząc we wnętrzu furgonetki, czasem rozlewał trochę herbaty lub zgubił kromkę chleba z papierowego talerzyka, ale i tak nie mieli mu tego za złe.

Wciąż spoglądałem za okno, spowity zardzewiałym kokonem mojego małego świata, podczas gdy inny przesuwał się za szybą. A40 przeszła w autostradę i Sundance zdecydował, że czas na małe przedstawienie.

— Wiesz co? — powiedział do Adidasa, upewniwszy się, że słucham.

Adidas zjechał na zewnętrzny pas, jednocześnie podając Sundance'owi paczkę tytoniu.

— No co?

— Nie miałbym nic przeciwko wycieczce do Marylandu... Najpierw moglibyśmy pojechać i zwiedzić Waszyngton...

Wiedziałem, co próbują mi zrobić, i uparcie wpatrywałem się w pobocze drogi. Adidas odparł z entuzjazmem:

— To byłaby świetna zabawa, mówię ci!

Zanim odpowiedział, Sundance skończył lizać bibułkę.

— Taak, pewnie. Słyszałem, że Laurel... — Odwrócił się do mnie. — To tam ona teraz mieszka, no nie?

Nie odpowiedziałem. Dobrze wiedział, co mówi. Znowu odwrócił się twarzą do kierunku jazdy.

— No, słyszałem, że to bardzo malownicza okolica. Wiesz, drzewa, trawa i tym podobne gównu. W każdym razie po załatwieniu sprawy w Laurel mógłbyś zabrać mnie do tej twojej przybranej siostry w Nowym Jorku...

— Nie ma, kurwa, mowy, żebyś się do niej choć zbliżył!

Poczułem okropne ssanie w żołądku na samą myśl o tym, co mogłoby się stać, gdybym nie wykonał zadania. A jednak niech mnie szlag trafi, jeśli dam się wciągnąć w tę ich grę. Ponadto byłem zbyt zmęczony, żeby zareagować.

Trochę ponad godzinę później mercedes zjechał pod budynek kontroli ruchu w Brize i Adidas wysiadł, żeby zająć się organizowaniem następnego etapu mojego życia.

Siedząc w milczeniu w samochodzie, słuchałem ryku silników odrzutowych startujących samolotów transportowych RAF-u i przyglądałem się żołnierzom z Argyll i Sutherland Highlanders, maszerującym w polowych mundurach, z workami na plecach i słuchawkami na uszach. Jakbym cofnął się w czasie. Spędziłem na tym lotnisku połowę mojej służby wojskowej, nie tylko startując stąd tak jak ci żołnierze, ale ucząc się tutaj skakać ze spadochronem.

Uwielbiałem to miejsce. Wydawało się Paryżem w porównaniu z garnizonowym miasteczkiem, w którym uprzednio stacjonowałem i w którym były zaledwie trzy puby — w tym jeden niedostępny dla pospólstwa, do którego się zaliczałem — oraz jedna smażalnia frytek. Tutaj mieli nawet kręgielnię.

Patrzyłem, jak kapitan wpuszcza wojaków do dużego przeszklonego budynku z lat sześćdziesiątych, zaznaczając każdego w notesie.

Adidas wrócił z nerwowym kapralem, tremem z personelu naziemnego RAF-u. Ten żołnierz pewnie nie miał zielonego pojęcia, co się dzieje, wiedział tylko, że ma odeskortować jakiegoś wyglądającego na wkurzonego cywila do jednego ze swoich ślicznych samolocików. Kazano mu również zaczekać przy samochodzie, kiedy Adidas podszedł i otworzył drzwiczki. Widziałem go tylko od torsu w dół, gdy zachęcająco skinął na mnie ręką.

Zwlekałem tyłek z siedzenia.

— Hej! — zawołał Sundance.

Znieruchomiałem, patrząc na próg drzwi.

— Nie spieprz tego, chłopcze.

Kiwnąłem głową. Po tej jego gadaninie w samochodzie i wcześniejszym wykładzie Potakiwacza miałem pełny obraz sytuacji. Wysiadłem i powitałem kaprała skinieniem głowy.

Odeszliśmy zaledwie kilka kroków, kiedy Sundance znów mnie zawołał. Wróciłem i wetknąłem głowę w tylne drzwi, które Adidas zostawił otwarte. Ryk startującego samolotu transportowego zmusił Sundance'a do krzyku, a mnie do ponownego wejścia do mercedesa. Przyklęknąłem na tylnym siedzeniu.

— Zapomniałem zapytać, jak się ma twoja sierotka? Słyszałem, że oboje leczycie się u czubków, zanim wyjechała. Ona też jest słaba na umyśle, co?

Nie mogłem już tego dłużej wytrzymać. Trząśłem się z wściekłości. Wyszczrzył zęby w uśmiechu na widok mojej reakcji, którą usiłował wywołać przez całą drogę.

— Może byliby dobrze, gdybyś spieprzył sprawę. No wiesz, oddalibyśmy jej przysługę.

Doskonale się bawił. Ja usiłowałem zachować spokój, ale to mi się nie udawało. Widział, że kipiałem ze złości.

— To boli, co?

Ze wszystkich sił starałem się zapanować nad sobą.

— No to spierdalaj mi z oczu, chłopcze. I tym razem zrób to jak należy.

Pieprzyć to.

Oderwałem kolana od siedzenia, doskoczyłem i złapałem go oburącz za głowę. Uderzyłem bykiem, jednocześnie przyciągając do siebie jego twarz. Od silnego uderzenia aż zakreśliło mi się w głowie.

Wysiadłem z samochodu i podniosłem rękę.

— Spokojnie, spokojnie...

Zerknąłem przez ramię, na Sundance'a. Bezwładnie opadł na fotel, przyciskając dłonie do twarzy. Krew ciekła mu między palcami. Ruszyłem w kierunku kaprała, czując się znacznie lepiej. Następna grupka spadochroniarzy przemaszerowała obok, starając się nie zwracać uwagi na to, co się działo.

Adidas miał taką minę, jakby się zastanawiał, czy nie wyjąć spluwy i nie położyć mnie trupem. Zanim podjął decyzję, dosłownie wepchnąłem przestraszonego kaprała do budynku.

Pieprzyć ich! A co miałem do stracenia?

9

Wtorek 5 września

Wpycham pistolet za pasek spodni. Kolba ślizga mi się w wilgotnych dłoniach. Jeśli ona tu jest, nie chcę, żeby zobaczyła broń. Może już wie, co się stało...

Przeciskam usta do szpary między skrzynkami.

— Kelly, jesteś tam? To ja, Nick. Nie bój się, zaraz dotrę do ciebie. Za minutkę zobaczysz moją głowę i chcę ujrzeć szeroki uśmiech...

Przesuwam skrzynki i przeciskam się przez szczelinę, centymetr po centymetrze posuwając się w kierunku tylnej ściany.

— Teraz wystawię głowę zza rogu, Kelly.

Nabieram tchu i wychylam głowę zza skrzynek, uśmiechając się, ale przygotowany na najgorsze. Pot ścieka mi po twarzy

Ona tam jest i patrzy na mnie szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Siedzi skulona w pozycji płodowej, kołysząc się do przodu i do tyłu, zakrywając rękami uszy. Wygląda tak bezbroniście i bezradnie.

— Cześć.

Poznaje mnie, ale wciąż się kołysze, spoglądając na mnie wielkimi, błyszczącymi, przerażonymi oczami.

— Mama i tato nie mogą przyjść, żeby cię zabrać, ale możesz pójść ze mną. Tato powiedział mi, że nie ma nic przeciwko temu. Pójdiesz ze mną, Kelly? Dobrze?

— Proszę pana?

Otworzyłem oczy i zobaczyłem bardzo zatroskaną stewardesę.

— Dobrze się pan czuje? Mam przynieść panu wody?

Spocone dłonie ześlizgnęły mi się z poręczy fotela, gdy wyprostowałem się na siedzeniu. Napelniła mi plastikowy kubeczek wodą z litrowej butelki.

— Czy mógłbym zatrzymać butelkę?

Podawała mi ją z zaniepokojonym uśmiechem, a ja podziękowałem jej, biorąc kubek drżącą, wilgotną dłonią, i gwałtownie połknąłem zawartość. Wolną ręką otarłem spoconą twarz. Znów miałem ten sam zły sen, który dręczył mnie w tristarze. Cholera, chyba rzeczywiście byłem rozkojarzony. Odchyliłem przyklejony do ciała podkoszulek i wziąłem się w garść.

Właśnie osiągnęliśmy wysokość, na jakiej mieliśmy odbyć ponad czterogodzinny lot z Miami do Panamy, z lądowaniem przewidzianym na około 11.40 czasu miejscowego. Ta sama godzina będzie na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, natomiast w Wielkiej Brytanii będzie już pięć godzin później. Miałem miejsce przy oknie, obok najbardziej nietowarzystkiej mieszkanki Ameryki Środkowej, Latynoski po trzydziestce, z ogromną fryzurą trzymającą się dzięki grubej warstwie lakieru. Uczesanie było tak imponujące, że wątpiłem, czy jej głowa w ogóle dotyka oparcia fotela. Miała na sobie skóropodobne buty, nablyszczane džinsy i bawełniany żakiet w czarno-srebrzyste paski. Zerknęła na mnie z obrzydzeniem, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby, gdy doprowadzałem się do porządku i dopijałem wodę.

Teraz musiała lekko spuścić głowę, bo zacząłem studiować ogłoszenia dla turystów w gazetce linii lotniczej. Podczas takich nieoczekiwanych misji zawsze były dla mnie bezcennym źródłem informacji o kraju, do którego leciałem. Ponadto pozwalały mi zapomnieć o innych sprawach i skoncentrować się na robocie, zadaniu, które miałem tutaj wykonać. Na lotnisku w Miami

usiłowałem kupić przewodnik po Panamie, ale najwidoczniej nie miewali zapotrzebowania na takie artykuły.

W magazynie były wspaniałe zdjęcia egzotycznych ptaków, uśmiechniętych Indian w kanoe oraz informacje, które znałem, a których nie byłbym w stanie tak wspaniale przekazać.

„Panama jest wysuniętym najdalej na południe środkowoamerykańskim krajem. Jej długie, wąskie terytorium stanowi pępowinę łączącą Amerykę Południową i Środkową. Ma kształt litery „S”, na zachodzie zakończonej przez Kostarykę, a na wschodzie przez Kolumbię, i terytorium niemal równe obszarowi Irlandii”.

Dalej napisano, że pewni ludzie, do których należałem i ja, uważają, że granice Panamy znajdują się na północy i południu. Mylą się, gdyż ten kraj graniczy z sąsiednimi na zachodzie i wschodzie. Takie informacje mogły być dla mnie ważne, gdybym musiał związać się stąd w pośpiechu. Nie chciałem przez pomyłkę wylądować w Kolumbii: wpadłbym z deszczu pod rynną. Jedyna droga ucieczki wiodła na zachód, do Kostaryki, krainy taniej chirurgii plastycznej i wakacji połączonych z nurkowaniem. Wiedziałem o tym, ponieważ przeczytałem tę informację w gazecie leżącej w poczekalni w Moorings.

Tygrysia Lilia zasnęła i chrapała donośnie, wierząc się na fotelu i co chwila puszczać bąki. Otworzyłem oba wyloty nawiewu powietrza nad naszymi głowami i skierowałem je na nią, usiłując przedmuchać smród.

Na trzech stronach gładzenia i zdjęć usiłowano mnie przekonać, że Panama jest znana na całym świecie ze względu na znajdujący się na jej terenie kanał łączący Morze Karaibskie z Pacyfikiem oraz „rozbudowane usługi bankowe”. Oprócz tego znalazłem jeszcze kilka zdjęć wielobarwnych kwiatów, z podpisami przypominającymi, jakie to piękne miejsce i jakimi jesteśmy szczęściarzami, mogąc tam lecieć. Oczywiście nie wspomnieli o operacji Słuszna Sprawa, czyli inwazji Stanów Zjednoczonych w 1989 roku, zmierzającej do usunięcia generała Noriegi i zlikwidowania handlu

narkotykami, który sprawia, że tak doskonale prosperują tutejsze banki.

Wszystkie te cudowne miejsca, które zalecano zwiedzić, bez wyjątku znajdowały się na zachód od miasta Panama i były nazywane interiorem. Nie wspomniano ani słowem o tym, co znajduje się na wschodzie, szczególnie o przesmyku Gap: dżungli na granicy z Kolumbią. Wiedziałem, że w prowincji Darien trwa nigdy niekończąca się wojna. Duże grupy handlarzy narkotyków i partyzantów — zazwyczaj łączących jedno zajęcie z drugim — działają na pograniczu obu państw, uzbrojone po zęby. Jest tam nawet kilka posterunków wojskowych, bo miejscowi usiłują dorobić trochę grosza na uprawach, a uzbrojone helikoptery panamskiej policji całymi dniami warczana niebie, zaangażowane w walkę, której nie mogą wygrać. Niektórzy żądni przygód ludzie podróżują tam, aby obserwować ptaki lub szukać rzadkich orchidei, po czym stają się zakładnikami lub trupami, kiedy natrafią na coś, czego handlarze narkotyków woleliby nikomu nie pokazywać.

Wiedziałem także, że handlarze, szczególnie z FARC, trochę się rozzuchwalili, po tym jak siły zbrojne Stanów Zjednoczonych wycofały się z Panamy. Zapuszczali się coraz dalej na zachód, a ponieważ miasto Panama znajdowało się zaledwie sto osiemdziesiąt kilometrów od granicy z Kolumbią, pewnie wszyscy tam trzęśli portkami.

Przejrawszy resztę magazynu i nie znalazłszy niczego ciekawego poza kolorowymi reklamami, powachlowałem nią sobie twarz, gdy Tygrysia Lilia ponownie pierdnęła i chrząknęła.

Patrząc na bezkresny błękit Morza Karaibskiego, myślałem o mojej ostatniej rozmowie z Joshem. Miał rację, że mnie opieprzył; zrobiłem to już chyba ósmy czy dziewiąty raz. Kelly potrzebowała stabilizacji i normalnego domu. Właśnie dlatego pozostawała pod jego opieką. Nie dzwoniąc, kiedy miałem czas, lub telefonując w nieodpowiednich porach, wcale jej nie pomagałem.

Powinienem być tam dzisiaj, żeby całkowicie zrzec się opieki

nad Kelly na jego rzecz, zmieniając obecny układ, w którym obaj byliśmy odpowiedzialni. Jej ojciec w testamencie ustanowił Josha i mnie prawnymi opiekunami dziewczynki, ale zamieszkała ze mną. Nawet nie pamiętam, jak do tego doszło — tak jakoś.

Podano posiłek i próbowałem wyjąć tacę z poręczy fotela. Okazało się to trudne, gdyż Tygrysia Lilia zajmowała nadprogramową przestrzeń. Lekko nią potrząsałem, a ona otworzyła jedno mętne niebieskie oko, po czym z urazą odwróciła się na drugi bok.

Dostałem zapakowany w folię posiłek, który przypomniał mi Petera obsługującego zbieraninę z przytułku i rapującego: „Kryszna, Kryszna, hari Kryszna, hari Kryszna, hari rama!”. Odwinąłem folię i zobaczyłem makaron z serem. Nabierając go widelcem i ostrożnie poruszając ręką, żeby nie szturchnąć mojej sąsiadki, postanowiłem przesłać tym chłopcom od Kryszny jakiś datek, jeśli tylko wrócę stąd cało. Ta myśl o Peterze zaskoczyła mnie. Napłynęła nie wiadomo skąd, co ostatnio często mi się zdarzało. Chciałem jak najszybciej pogрузić się w bezpiecznej rutynie roboty i zapomnieć o takich dziwactwach, zanim wyląduję u zubków.

Pochłaniając makaron, rozmyślałem o zadaniu i skąpych informacjach, jakie przekazał mi Sundance. Hasłem kontaktowym przy spotkaniu z Aaronem i Carrie Yanklewitzami była trzynastka. To dobry sposób i świetnie działa. Liczby są lepsze jako hasła, ponieważ łatwiej je zapamiętać. Kiedyś hasło podane mi w punkcie kontaktowym brzmiało: „Książę zje dziś z twoją matką wędzoną rybę na kolację”, a jako odzew miałem powiedzieć: „Wędzona ryba jest ciężkostrawna”. Kto to wymyślił, do cholery?

Liczby są również bardzo dobre dla ludzi, którzy nie przeszli odpowiedniego przeszkolenia lub — tak jak ja — za skarby nie mogą zapamiętać odzewu. Ci Yanklewitzowie mogli należeć do jednej i drugiej kategorii. Nie miałem pojęcia, czy byli doświadczeni

agentami, którzy wiedzieli, jak sobie radzić w terenie, i mieli mi tylko zapewnić zakwaterowanie i wikt, czy też może amatorami niepotrafiącymi utrzymać języka za zębami.

Zwykle wołałem działać w pojedynkę, ale tym razem nie miałem wyboru. Nie znałem miejsca zamieszkania obiektu ani jego zwyczajów, a ponadto miałem bardzo mało czasu, żeby się tego dowiedzieć.

Zjadłszy, opadłem na fotel i wyciągnąłem nogi, żeby dać ulgę obolałym mięśniom brzucha. Przeszywający ból między żebrami przypomniiał mi, jak twarde i wytrzymałe są buty Caterpillar.

Usiłując złagodzić klucie w piersi, powoli odwróciłem się plecami do Tygryskiej Lilii i opuściłem zasłone okna. Pod nami aż po horyzont rozpościerała się już zielona dżungla, z tej wysokości wyglądająca jak największy na świecie półmisek brokułów.

Naciągnąłem koc na głowę, żeby nie czuć smrodu.

10

Samolot wylądował dziesięć minut wcześniej, o 11.30 czasu miejscowego. Wsiadłem jako jeden z pierwszych i poszedłem za znakami wskazującymi drogę do hali bagażowej i kontroli celnej, mijając rzędy foteli z nierdzewnej stali i skóry.

Po trzech godzinach pobytu w klimatyzowanym wnętrzu skwar rąbnął mnie między oczy. W rękę trzymałem dwa formularze, które otrzymałem do wypełnienia na pokładzie samolotu: jeden dla urzędników imigracyjnych, drugi dla celników. W pierwszym napisałem, że zatrzymam się w Marriotcie. Te hotele są wszędzie.

Oprócz ubrania, które miałem na sobie — dżinsy, podkoszulek i wiatrówka — wziąłem ze sobą portfel z pięciuset dolarami. Podjąłem je z bankomatu w hali odlotów na lotnisku w Miami dzięki nowej karcie Visa, wystawionej na moje lipne nazwisko przez Royal Bank of Scotland.

Czując się jak jeden z ludzi z Camden, przejrzałem się w lustrze w toalecie. Miałem twarz wymiętą z niewyspania i włosy sterczące jak u lidera topowego zespołu pop.

Niepotrzebnie się niepokoiłem. Gładko przeszedłem przez kontrolę paszportową. Oddałem wypełnioną deklarację znużonemu mężczyźnie w średnim wieku, a on machnięciem kazał mi przejść. Podejrzewam, że nie musieli tu wypatrywać nikogo, kto próbowałby przemycić narkotyki do Ameryki Środkowej.

Przez cło też przemknąłem jak meteor, ponieważ nie miałem żadnego bagażu. Powinienem być kupić jakąś walizkę w Miami, żeby wyglądać normalnie, ale widocznie błądziłem myślami gdzie indziej. Nie miało to żadnego znaczenia; panamscy celnicy najwidoczniej także.

Skierowałem się do wyjścia, mocując do paska nowy scyzoryk. Kupiłem go w Miami, żeby zastąpić nim ten, który zwinął mi Sundance. Ochrona lotniska zabrała mi nożyk i wpackowała do hermetycznego woreczka, żebym przypadkiem nie posłużył się nim, usiłując porwać samolot. Po wylądowaniu musiałem odebrać go w okienku bagażowym.

W niewielkiej sali przylotów toczyła się olimpijska rywalizacja w zgiełku i zamieszaniu. Słychać było potoki gniewnych hiszpańskich słów, terkot wózków bagażowych, płacz dzieci i telefony komórkowe, wygrywające wszelkie znane człowiekowi melodie. Stalowe poręcze poprowadziły mnie w głąb sali. Szedłem, spoglądając na twarze czekających rodzin i taksówkarzy. Niektórzy z nich trzymali tabliczki z wypisanymi nazwiskami. W tłumie przeważały kobiety... albo bardzo szczupłe, albo bardzo grube, rzadko normalnej tuszy. Wiele z nich trzymało kwiaty, a prawie każda wrzeszczące dwuletnie dziecko. Cisnąc się w trzech lub czterech rzędach przy barierce, wyglądały jak tłum fanek na koncercie Ricky'ego Martina.

W końcu w tej ciżbie dostrzegłem biały prostokąt, na którym wypisano flamastrem, dużymi literami, nazwisko „Yanklewitz”. Trzymający go długowłosa mężczyzna w niczym nie przypominał ostrzyżonego na rekruta agenta CIA, jakiego oczekiwałem. Był mniej więcej mojego wzrostu i chyba już po pięćdziesiątce. Miał na sobie szorty koloru khaki i dopasowaną do nich kolorem krótką kamizelkę z licznymi kieszeniami, która wyglądała jak szmata z warsztatu samochodowego. Przyprószone siwizną, związane w kucyk włosy odsłaniały opaloną twarz, posrebrzoną szczecinę kilkudniowego zarostu. Była to zmęczona twarz, zdradzająca trudy życia.

Przeszedłem obok niego do końca barierki, chcąc najpierw dostrzec się do tego miejsca i przyjrzeć się temu człowiekowi, zanim oddam się w jego ręce. Udałem się w kierunku szklanej ściany i rozsuwanych drzwi, znajdujących się prawie dziesięć metrów dalej. Za nimi był parking, na którym oślepiająco jasne słońce odbijało się od dziesiątek samochodowych szyb. Budka z hot dogami na lewo od wejścia wydawała się równie dobrym miejscem na punkt obserwacyjny jak każde inne. Oparłem się o szkło i patrzyłem, jak tłum popycha i potraça człowieka, który był moim kontaktem.

Aaron — bo zakładałem, że to on — usiłował obejrzeć każdego przechodzącego przez komorę celną pasażera płci męskiej, jednocześnie co kilka sekund sprawdzając, czy tabliczka z nazwiskiem jest dobrze przymocowana, i ponownie unosząc ją nad głowy tłum. Taksówkarze byli starymi wyjadaczami i doskonale trzymali się na nogach, lecz Aaron chwiał się pod naporem ciała. Gdyby to była styczniowa wyprzedaż, wróciłby do domu z dwiema skarpetkami, w dodatku nie do pary.

Od czasu do czasu dostrzegalem jego opalone, słabo owłosione nogi. Były muskularne i podrapane na łydkach. Nie nosił sportowych butów, tylko skórzane rzymskie sandały. Z pewnością nie przyjechał tu na wakacje. Wyglądał na robotnika rolnego lub starego hippisa, a nie na człowieka z doktoratem.

Gdy tak patrzyłem, chłonąc atmosferę, do hali wpadła Tygrysia Lilia, ciągnąc za sobą potwornych rozmiarów walizę na piszczących kółkach. Wrzasnęła unisono, wraz z dwiema równie wielkimi czarnymi babsztyłami, po czym rzuciły się na siebie i zaczęły ścisnąć i obcałowywać.

W sali przylotów było mnóstwo budek zjedzeniem i napojami, a każda z nich roztaczała inną gamę zapachów, które odbijały się od niskiego sklepienia, nie znajdując drogi ucieczki. Jaskrawo ubrani Latynosi, czarni, biali i żółci, wszyscy wrzeszczeli, ile sił w płucach, usiłując się przekrzyknąć. Uznałem, że Aaron przegra i ten pojedynek, tak samo jak walkę o utrzymanie się przy barierce. Na razie

jego głowa co chwila wylaniała się z tłumu, niczym korek podskakujący na falach wzburzonego morza.

Klimatyzacja być może działała, ale nie dość sprawnie, aby poradzić sobie z ciepłem wydzielanym przez tyle ciał. Posadzka była wilgotna od pary wodnej, jakby dopiero co została przetarta na mokro, a szklana ściana zaparowana od wewnątrz na wysokość mniej więcej pół metra. Upał już zaczął dawać mi się we znaki. Czulem pot spływający z czoła i szczypiący w oczy. Zdjąłem kurtkę i znów oparłem się o szybę. Podkoszulek kleił mi się do spoconych pleców.

Sali pilnowało pięciu policjantów o kamiennych twarzach, w sztywno uprasowanych szortach oraz koszulach z krótkimi rękawami i pagonami. Trzymając dłonie na kaburach pistoletów i lekko przytupując nogami w czarnych skórzanych butach, wyglądali na typowych macho. Poza tym prawie wcale się nie poruszali, chyba żeby odprowadzić wzrokiem przechodzące w pobliżu dziewczyny w obcisłych dżinsach i szpilkach.

Na ławce na lewo od policjantów siedziała jedyna osoba, która nie pociła się i zachowywała spokój. Trzydziestokilkuletnia biała kobieta o włosach do ramion, wyglądająca jak GI Jane, w zielonych sztruksowych spodniach i luźnej szarej kamizelce z wysokim kołnierzykiem. Miała na nosie okulary przeciwsłoneczne, a w dłoniach trzymała puszkę pepsi.

Kiedy rozglądałem się po sali, uderzyły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, niemal każdy z obecnych miał telefon komórkowy w ręku albo przypięty do paska. Po drugie, koszule mężczyzn były tak uprasowane, że sprawiały wrażenie sztywnych, tak samo jak policyjne mundury, i każda miała ślad po składaniu, biegnący wzdłuż rękawa aż do kołnierzyka. Może w mieście była tylko jedna pralnia.

Po mniej więcej kwadransie tłum zaczął rzednieć, gdy ostatni ukochani opuścili terminal i powiadali do taksówek. Stopniowo w sali zapanował spokój — zapewne tylko do następnego przylotu.

Teraz Aaron stał dokładnie naprzeciwko mnie, wśród nielicznych osób w dalszym ciągu czekających przy barierce. Pod brudnym bezrękawnikiem miał spłowiwały niebieski podkoszulek z ledwie widocznym hiszpańskim napisem z przodu. Patrzyłem, jak pokazywał tabliczką ostatnim wychodzącym pasażerom, nawet przechylając się przez barierkę i usiłując odczytać numery lotu z nalepek przyczepionych do bagażu.

Nadszedł czas, żeby zaprzestać wszelkich jałowych rozważań i skupić się na powierzonej mi misji. Nienawidziłem tego słowa, za bardzo kojarzyło się z wojskiem, ale zamierzałem zrobić wszystko, żeby zachować głowę na jej dotychczasowym miejscu.

Jeszcze raz rozejrzałem się po sali, wypatrując czegoś niezwykłego, po czym zdałem sobie sprawę, że wszystko tu podchodziło pod tę kategorię; to lotnisko wyglądało jak sala konferencyjna zjazdu podejrzanych typów. Ruszyłem w kierunku barierki.

Znajdowałem się prawie trzy kroki za jego plecami, kiedy podetknęła tabliczkę pod nos Amerykanina ubranego w elegancki garnitur i ciągnącego za sobą torbę na kółkach.

— Pan Yanklewitz?

Obrócił się na pięcie, przyciskając tabliczkę do piersi, jak uczeń na szkolnym konkursie. Miał przekrwione, lecz bardzo niebieskie oczy, otoczone siateczką drobnych zmarszczek.

Powinienem zaczekać, aż rozpocznie rozmowę od zdania zawierającego liczbę, na przykład: „Och, zdaje się, że ma pan dziesięć walizek?”, na co odpowiedziałbym: „Nie, mam tylko trzy”. Lecz po prostu mi się nie chciało; byłem spocony, zmęczony i pragnąłem jak najszybciej z tym skończyć.

— Siedem.

— Och, więc ja chyba powinienem powiedzieć sześć.

Ton jego głosu zdradzał lekkie rozczarowanie. Pewnie przez cały ranek szlifował podawanie hasła. Uśmiechnąłem się i milczałem wyczekująco. Czekałem, żeby mi powiedział, co mam robić dalej.

— Hmm, dobrze, więc możemy jechać? — zapytał łagodnie, z akcentem zdradzającym wykształconego Amerykanina. — Oczywiście, chyba że chce pan...

— Chcę tylko odjechać stąd razem z panem.

— W porządku. Tędy, proszę.

Ruszyliśmy w kierunku wyjścia. Wyrównałem krok, idąc po jego lewej ręce. Zwinął kartonową tabliczkę, maszerując zbyt szybko jak na mój gust. Nie chciałem rzucać się w oczy, ale czy w tym domu wariatów nasze zachowanie naprawdę odbiegało od normy?

Za automatycznie otwierającymi się drzwiami wyjściowymi był podjazd dla wysiadających i wsiadających. Dalej znajdował się parking, a w oddali, pod oślepiająco błękitnym niebem, wznosiły się porośnięte gęstą dżunglą góry. Znalazłem się na nieznanym mi terenie, a nigdy nie lubiłem rzucać się przed siebie na oślep, bez uprzedniego rekonesansu.

— Dokąd jedziemy?

Wciąż sprawdzałem parking. Nie wiedziałem, czy Yanklewitz patrzył na mnie, czy nie, kiedy odpowiedział ściszym głosem:

— To zależy od... hm... Moja żona jest...

— Ma na imię Carrie, prawda?

— Tak, Carrie.

— Zapomniałem się przedstawić. Wie pan, jak się nazywam?

Kątem oka zauważyłem, że obrócił do mnie głowę, więc ja też się odwróciłem. Spojrzenie jego niebieskich oczu natychmiast uciekło w bok.

— Nie, ale jeśli nie chce mi pan powiedzieć, to nie ma sprawy. Pan decyduje, jak będzie najlepiej i najbezpieczniej.

Nie wyglądał na przestraszonego, ale był wyraźnie nieswój. Może wyczuwał unoszący się wokół mnie smrodek kłęski. Przystanąłem i wyciągnąłem rękę.

— Nick.

Lepiej przyjaźnie traktować pomocników, niż zrażać ich do siebie; ten sposób daje lepsze wyniki. Taka lekcja przydałaby się Potakiwaczowi, zanim objął swoje obecne stanowisko.

Yanklewitz odpowiedział mi niepewnym uśmiechem, ukazującym nie najlepsze uzębienie, przebarwione od nadmiaru kawy lub nikotyny. Wyciągnął rękę.

— Aaron. Miło mi cię poznać, Nick.

Dłoń miał dużą i twardą, lecz uścisk delikatny. Poczułem poznaczoną bliznami skórę. Nie był gryzipiórkciem. Dostrzegłem brudne i połamane paznokcie, zmatowiałą złotą obrączkę i kolorowy dziecinny zegarek marki Swatch na przegubie lewej ręki.

— Cóż, Aaronie. Jak widzisz, nie zabrałem bagażu na długi pobyt. Zrobię swoje i najpóźniej w piątek wyjadę. Do tego czasu postaram się nie być wrzodem na tyłku. Jak ci się to podoba?

Jego niepewny uśmiech zdradził mi, że raczej mu się podoba — szczególnie myśl o moim szybkim wyjeździe. Mimo to odparł wielokodusznie:

— Hej, nie ma problemu. Po prostu trochę mnie zaskoczyłeś. Nie spodziewałem się Anglika.

Uśmiechnąłem się i nachyliłem, żeby zdradzić mu tajemnicę.

— Tak naprawdę jestem Amerykaninem w przebraniu.

Przez chwilę spoglądał mi w oczy.

— To żart, prawda?

Kiwnąłem głową, mając nadzieję, że przełamie lody.

— Spodziewałem się, że spotkam tu Carrie.

Wyciągnął rękę.

— Jest tutaj.

Odrzuciłem się i zobaczyłem nadchodzącą GI Jane. Powitała mnie uśmiechem i wyciągniętą ręką.

— Cześć, jestem Carrie.

Miała czarne włosy, ścięte na wysokości ramion. Mogła mieć trzydzieści kilka lub prawie czterdzieści lat — nieco mniej ode mnie. Spod szkielec przeciwsłonecznych okularów widać było kilka zmarszczek, a kiedy mówiła, po obu stronach ust pojawiały się płytkie bruzdy. Uścisnąłem jej dłoń.

— Jestem Nick. Dopiąś już pepsi?

Nie wiedziałem, czy mnie zauważyła, ale nie miało to żadnego znaczenia.

— Jasne, była niezła.

Miała energiczny, lekko agresywny sposób bycia, który doskonale pasowałby na Wall Street. Tak samo jak wymowa Aarona, jej akcent również zdradzał osobę z wyższym wykształceniem — chociaż dla mnie dobrze wykształcony jest każdy, kto umie się poprawnie wysławiać.

Stanął obok Aarona. Tworzyli naprawdę niezwykłą parę. Może coś pokręciłem. Może był jej ojcem. Miał wydatny brzuszek i wyglądał na swoje lata, podczas gdy ona była wysportowana i zadbana.

Ludzie wchodzili i wychodzili. Ilekroć otworzyły się drzwi, buchał z nich żar i ryk odrzutowych silników. Carrie wzruszyła ramionami.

— I co teraz?

Czekali na instrukcje.

— Jeszcze nigdy tego nie robiliście, prawda?

Aaron pokręcił głową.

— To nasz pierwszy raz. Wiemy tylko tyle, że mamy cię odebrać, a ty powiesz nam resztę.

— W porządku. Macie już jakieś zdjęcia?

Carrie skinęła głową.

— Satelitarne, ściągnęłam je z sieci zeszłej nocy. Są w domu.

— Jak daleko stąd?

— Jeśli nie spadnie deszcz, cztery godziny jazdy. W przeciwnym razie ponad pięć. Mówimy o dziczy.

— Jak daleko jest dom faceta?

— Półtorej godziny jazdy stąd, może dwie. Znajduje się po drugiej stronie miasta, też na pustkowiu.

— Najpierw chciałbym zobaczyć jego dom, a dopiero potem pojechać do was. Czy zdołam podjechać dość blisko, żeby dobrze mu się przyjrzeć?

Miałem za mało czasu, żeby marnować go na prawie dziesięciogodzinną jazdę tam i z powrotem, a nawet na przygotowania do

całodniowej obserwacji. Powinienem najpierw zrobić rekonesans i sprawdzić teren, skoro cel jest tak blisko. Potem, w drodze do ich domu, ułożę plan dalszego działania.

Carrie kiwnęła głową, wymieniwszy spojrzenia z Aaronem.

— Jasne, ale jak już powiedziałam, dom stoi w dżungli. — Zwróciła się do Aarona. — Wiesz co? Odbiorę Luce od dentysty i spotkam się z wami w domu.

Zamilkła, jakby chciała powiedzieć coś więcej albo spodziewała się, że podejmę ten temat. Mnie jednak nie interesowało, kim jest Luce. W tym momencie nie miało to żadnego znaczenia, a ponadto byłem pewien, że wkrótce i tak się dowiem.

— No to ruszajmy.

Wyszliśmy na zewnątrz, w potworny skwar. Mrużyłem oczy w palącym słońcu, które przez akryl taniego podkoszulka piekło mnie w ramiona i kark.

Carrie szła z drugiej strony, obok Aarona. Nie nosiła obrączki, zegarka ani żadnej innej biżuterii. Włosy miała nie czarne, ale kruczoczarne, a twarz tylko lekko opaloną, nie spaloną i spierzchniętą jak Aaron. Zauważyłem wygolone pachy, co trochę mnie zaskoczyło — sam nie wiem dlaczego. Może od chwili gdy ujrzałem Aarona, podświadomość podsuwała mi obraz pary hippisów.

Podjazd był zapchany autobusami, taksówkami i samochodami przywożącymi pasażerów oraz bagażowymi, którzy nagabywali potencjalnych klientów. Panował tam taki sam gwar jak w sali, powiększany przez wycie klaksonów i klótnie taksówkarzy o miejsca postoj.

Oślepiające słońce było jak szperacz skierowany prosto w moje oczy. Mrużyłem je jak kret i starałem się nie patrzeć w górę, a mimo to już czułem pieczenie pod powiekami. Aaron wyciągnął z kieszeni dzinsów przeciwsłoneczne lenonki i nałożył je na nos, po czym wskazał na prawo.

— Zaparkowaliśmy tam.

Przeszliśmy przez ulicę i plac przypominający parking przed amerykańskim hipermarketem. Japońskie i amerykańskie wozy

stały tam obok furgonetek i autobusów, a najstarszy z nich wyglądał na najwyżej dwuletni. Zaskoczyło mnie to. Spodziewałem się, że będzie gorzej.

Carrie zostawiła nas na parkingu, odchodząc w przeciwną stronę.

— Zobaczmy się później — rzuciła.

Skinąłem głową i powiedziałem do widzenia. Aaron się nie odezwał, tylko kiwnął głową.

Nawierzchnia była mokra po deszczu i słońce odbijało się od asfaltu. Wciąż miałem przymknięte oczy, kiedy doszliśmy do niebieskiego, zardzewiałego, zabloconego pikapa.

— To nasz.

Ten pojazd już bardziej odpowiadał moim wyobrażeniom. Mazda miała podwójną szoferkę i równie starą jak reszta budę z włókna szklanego, która zmieniała ją w furgonetkę. Lakier dawno temu stracił połysk w skwarze tropików. Aaron już był w kabinie i pochylał się, żeby otworzyć mi drzwi.

Miałem wrażenie, że wsiałem do piekarnika. Słońce świeciło przez przednią szybę i tak rozgrzało wnętrze, że trudno było oddychać. Cieszyłem się z tego, że narzucony na siedzenia stary koc chronił nas przed prawie topiącą się tapicerką ze sztucznego tworzywa, która mimo to parzyła żarem.

Do przedniej szyby był przyklejony kompas, a do tablicy rozdzielczej zamocowana niewielka otwarta puszką, do połowy napełniona jakąś zieloną cieczą. Sądząc po kwiatkach na etykietce, w poprzednim życiu musiała zawierać odświeżacz powietrza.

— Wybaczysz mi, Nick? Zostawię cię na chwilkę. Muszę coś załatwić.

Nie zamykałem drzwi, chcąc wpuścić do środka trochę powietrza, a on wysiadł i znikł za mazdą.

Znajdowałem się zaledwie sto metrów od budynku lotniska, a już byłem spocony. Dżinsy lepiły mi się do ud i kropla potu spłynęła mi z czoła na nos, pogłębiając irytację. Przynajmniej kiedy samochód ruszy, włączy się klimatyzacja.

W pękniętym lusterku wstecznym zobaczyłem poczwórny obraz Aarona i Carrie, a obok nich cztery identyczne samochody. To też był pikap, tylko znacznie starszy od mazdy, może stary Chevrolet, z zaokrągloną maską i statecznikami oraz drewnianymi burtami — w takich transportuje się żywy inwentarz. Spierali się, stojąc przy otwartych drzwiach od strony kierowcy. Ona gwałtownie gestykutowała, a Aaron potrzasał głową.

Przeniosłem wzrok na zielone góry w oddali i pomyślałem o długich miesiącach, jakie tam spędziłem. Czekalem, aż tamci dwójce przestaną się kłócić, i czułem narastający ból głowy, spowodowany zmianą strefy czasowej.

Po minucie czy dwóch wskoczył do wozu, jakby nic się nie stało.
— Przepraszam, Nick, potrzebowalem kilka rzeczy ze sklepu.

Sądząc po jej reakcji, musiały być bardzo kosztowne. Kiwnąłem głową, jakbym niczego nie zauważył. Zamknęliśmy drzwi i samochód ruszył.

Nie otwierałem okna, żeby wspomóc działanie klimatyzacji, ale zobaczyłem, że Aaron pospiesznie opuszcza szybę, wyjeżdżając z parkingu i trzymając kierownicę samymi czubkami palców, bo pewnie była tak rozgrzana, że mogła oparzyć. Powiedział prawie przepaszającym tonem:

— Musisz zapiąć pasy. Mają tu na tym punkcie świra. — I zerknąwszy na moje zamknięte okno, dorzucił: — Przykro mi, nie ma klimatyzacji.

Opuściłem szybę i obaj ostrożnie zapięliśmy pasy, rozgrzane, jakby dopiero co odlano je z ołowiu. Kiedy wyjeżdżaliśmy z parkingu, nigdzie nie dostrzegłem Carrie. Zapewne odjechała zaraz po tym, jak wręczył jej swoją listę zakupów.

Odchyliłem osłonę przeciwsłoneczną. Minęliśmy grupkę młodych mężczyzn w piłkarskich spodenkach, którzy nieśli duże żółte wiadra, gąbki i butelki z płynem do mycia szyb. Najwidoczniej interes doskonale im szedł: na asfalcie stały kałuże mydlin, nie parując w wilgotnym powietrzu. Maździe przydałyby się ich usługi

zarówno od zewnątrz, jak i w środku. Wytarte gumowe maty były pokryte zaschniętym błotem, wszędzie wałały się opakowania po słodyczach, a kilka z nich wepchnięto w kieszeń przy moich drzwiach, razem ze zużytymi chusteczkami i rozpoczętym opakowaniem miętówek. Na tylnym siedzeniu leżały poźółkłe egzemplarze „Miami Herald”. Wszystko tu wyglądało na stare i pachniało starością — nawet plastikowa tapicerka była dziurawa.

Aaron w dalszym ciągu wydawał się zdenerwowany, kiedy wyjechaliśmy z lotniska na kiepską dwupasmową szosę. Nabraliśmy prędkości, rura wydechowa zaczęła dygotać, a otwarte okna wcale nie łagodziły skwaru. Stożące w nieregularnych odstępach tablice z reklamami wszystkiego, od drogich perfum po łożyska kulkowe i fabryki włókiennicze, wychylały się z rosnącej na poboczach gęstej trawy, mającej prawie trzy metry wysokości.

Po niecałych dwóch minutach musieliśmy się zatrzymać przy wjeździe na autostradę i Aaron podał kasjerowi jednodolarowy banknot amerykański.

— To tutejsza waluta — wyjaśnił. — Nazywają te banknoty *balboa*.

Kiwnąłem głową, jakby coś mnie to obchodziło, i patrzyłem na drogę, która na tym odcinku miała świeżo położoną nawierzchnię. Słońce odbijało się od jej jasnoszarego betonu, dodając animuszu mojej migrenie. Aaron zauważył to i pogmerał w kieszonce przy swoich drzwiach.

— Masz, Nick, chcesz je?

Okulary zapewne należały do Carrie. Miały duże owalne szkła, z których byłaby dumna Jackie Onassis. Zasłaniały mi pół twarzy. Pewnie wyglądałem jak pedał, ale spełniły swoją funkcję.

Dżungla szybko podjęła próby odzyskania utraconego terenu po obu stronach szosy, przynajmniej w miejscach niepokrytych blokami betonu i barakami z blachy. Wielkie liany i pnącza wspinały się zieloną falą po słupach telegraficznych i płotach.

Postanowiłem rozruszać trochę Aarona, zanim zacznę zadawać naprawdę ważne pytania.

— Od jak dawna tu mieszkasz?

— Od zawsze. Jestem ze strefy.

Widocznie wyczytał z wyrazu mojej twarzy, że nie mam zielonego pojęcia, o czym mówi.

— Urodziłem się tutaj, w strefie. W strefie Kanału Panamskiego. To pas ziemi o szerokości około szesnastu kilometrów, ciągnący się po obu stronach kanału. Jak wiesz, Stany kontrolowały kanał od początku dziewiętnastego wieku — oznajmił z wyraźną dumą.

— Nie wiedziałem.

Myslałem, że Stany Zjednoczone miały tutaj tylko dwie bazy, a nie jurysdykcję nad sporym kawałkiem ziemi.

— Mój ojciec był pilotem i przeprowadzał statki przez kanał. Przed nim mój dziad zaczynał jako kapitan holownika i doszedł do klasyfikatora tonażu. No wiesz, szacował ładunki statków, żeby pobrać odpowiednią opłatę. Strefa to mój dom.

Teraz, kiedy jechaliśmy szybko, wiatr owiewał mi prawy policzek. Nie był chłodny, ale przynajmniej dmuchał. Minusem było to, że musieliśmy przekrzykiwać świst powietrza, szelest gazet i uderzenia rogów koca o plastikową tapicerkę.

— Ale jesteś Amerykaninem, tak?

Cicho i łagodnie zaśmiał się z mojej niewiedzy.

— Mój dziadek pochodził z Minneapolis, lecz mój ojciec urodził się tutaj, w strefie. Stany zawsze tu były; zarządzały kanałem i miały bazy wojskowe. Znajdowało się tu dowództwo wojsk amerykańskich na południu i stacjonowało tutaj około sześćdziesięciu pięciu tysięcy żołnierzy. Obecnie oczywiście już ich tu nie ma.

Wciąż jechaliśmy przez zieloną krainę, lecz teraz głównie trawiastrą. Większość drzew wycięto i od czasu do czasu widziałem w oddali pasące się krowy. Kiedy znowu pojawiły się drzewa, nie były grubsze od europejskich i wcale niepodobne do potężnych trzydziestometrowych olbrzymów, jakie widziałem w dziewiczej dżungli

na południu Kolumbii lub w południowo-wschodniej Azji. Cienki baldachim listowia tworzył inne warunki, gdyż przepuszczał promienie słoneczne, umożliwiając rozwój roślinności pomiędzy pniami drzew. Wysokie trawy, duże palmy i najrozmaitsze pnącza ze wszystkich sił starały się chwycić trochę słońca.

— Czytałem o tym. To musiał być wstrząs. Po tylu latach...

Aaron powoli pokiwał głową, obserwując drogę.

— I owszem, dorastałem tutaj jak w małym miasteczku w Stanach — wyznał — nie licząc braku klimatyzacji, bo w tamtych czasach nie wystarczało na to prądu. Ale co tam! Wracalem ze szkoły i bach! już byłem w dżungli. Budowałem twierdze, łowiłem ryby. Graliśmy w piłkę nożną, koszykówkę i rugby... tak jak na północy. To była nasza Utopia... w strefie było wszystko, czego potrzebowaliśmy. I wiesz co? Po raz pierwszy pojechałem do Panamy, mając czternaście lat, możesz w to uwierzyć? Na zlot skautów. — Na jego ustach pojawił się uśmiech tęsknoty za dawnymi dobrymi czasami, a siwy kucyk trzepotał mu na wietrze. — Oczywiście później wyjechałem na północ, do Kalifornii, gdzie skończyłem studia i wróciłem po uzyskaniu dyplomu, żeby wykładać na uniwersytecie. Wciąż prowadzę zajęcia, lecz niezbyt często. W ten sposób poznałem Carrie.

Zatem była jego żoną. Z zadowoleniem przyjąłem wyjaśnienie zagadki, a także promyk nadziei na przyszłość, gdyby udało mi się dożyć podeszłego wieku.

— Czego uczysz?

Gdy tylko zaczął wyjaśniać, pożałowałem, że zapytałem.

— Metod ochrony różnorodności gatunków flory i fauny. Planowania i zarządzania zasobami leśnymi... tego rodzaju rzeczy. Mamy tu katedrę nauk przyrodniczych. — Spojrzał za okno po mojej stronie na baldachim drzew i trawiaste wzgórza w oddali. — Wiesz co? Panama wciąż jest jednym z najbogatszych ekosystemów na kuli ziemskiej, rezerwuarem gatunków...

Znów spojrział na góry, z prawdziwym rozczuleniem w oczach. Ja patrzyłem tylko na czerwono-białe maszty radiostacji wielkości wieży Eiffla, które zdawały się sterceć na co czwartym szczycie.

— Tylko że powoli tracimy to wszystko, Nick...

Po obu stronach drogi zaczęły pojawiać się budynki. Od blaszanych baraków otoczonych stertami starych opon i z wychudłymi kundlami grzebiącymi w śmieciach, po równe rzędy nieukończonych nowiutkich domków. Każdy z tych ostatnich był wielkości małego garażu, z płaskim dachem pokrytym czerwoną dachówką i bielonymi betonowymi ścianami. Robotnicy budowlani rozłożyli się w cieniu, kryjąc się przed południowym słońcem.

Przed nami, w oddali, dostrzegłem zarysy wieżowców tworzących coś w rodzaju miniaturowego Manhattanu — kolejny widok, jakiego się nie spodziewałem.

Próbowałem zmienić temat, obawiając się, że mój towarzysz okaże się nawiedzonym orędownikiem ruchu Zielonych. Nie podobał mi się pomysł zastępowania lasów betonową pustynią i tym podobne koncepcje, ale nie byłem dostatecznie zaangażowany, żeby tego słuchać, a co dopiero zrobić coś w tej sprawie. Pewnie dlatego potrzebni są tacy ludzie jak on.

— Czy Carrie też wyklada?

Powoli potrząsnął głową, zmieniając pas, żeby przepuścić wyładowaną butelkami z wodą ciężarówkę, która z rykiem pomknęła w dal.

— Nie, otrzymujemy niewielką subwencję z uniwersytetu. Dlatego wciąż muszę wykladać. No wiesz, nie jesteśmy Smithsonian Institute. Chciałbym, żebyśmy byli, naprawdę chciałbym.

Postanowił zmienić temat.

— Słyszałeś o FARC? Fuerzas Armadas Revolucionarias Colombianas?

Skinąłem głową, nie mając nic przeciwko rozmowie o czymkolwiek, byle nie o miłości do drzew.

— Słyszałem, że teraz, kiedy nie ma SOUTHCOM-u, coraz częściej przechodzą do Panamy.

— Pewnie. Czasy są niespokojne. Mamy nie tylko problemy ekologiczne. Panama nie poradziłaby sobie z FARC, gdyby przypuścili zmasowany atak. Są zbyt silni.

Powiedział mi, że zawsze mieli tu do czynienia z bombami, morderstwami, porwaniami, wymuszeniami i napadami. Lecz ostatnio, po wycofaniu się Stanów Zjednoczonych, jest jeszcze gorzej. Miesiąc przed całkowitym opuszczeniem terenu Panamy przez wojska amerykańskie rebelianci pojawili się w stolicy. Porwali dwa śmigłowce z bazy sił powietrznych w strefie i odlecieli nimi do siebie. Trzy tygodnie później sześciuset lub siedmiuset rebeliantów FARC zaatakowało kolumbijską bazę marynarki wojennej w pobliżu granicy Panamy, wykorzystując uprowadzone śmigłowce jako wsparcie ogniowe. Zamilkł na chwilę i widziałem skupiony wyraz jego twarzy, gdy w myślach dobierał słowa.

— Nick... — Znowu zamilkł. Coś go gryzło. — Nick, chcę, żebyś wiedział, że nie jestem szpiegiem ani rewolucjonistą. Jestem po prostu facetem, który chce robić swoje i spokojnie żyć. To wszystko.

11

Kiwnąłem głową.

— Jak już powiedziałem, wyjadę stąd najpóźniej w piątek, a do tego czasu postaram się nie być wrzodem na tyłku.

Dobrze było wiedzieć, że nie tylko ja czuję się nieswojo w tej sytuacji.

Uśmiechnął się kącikiem ust, skręcając na groblę wiodącą do miasta, mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów od brzegu. Przypominała mi jedną z tych dróg, które łączą miejscowości na Florydzie.

Minęliśmy kilka zardzewiałych baraków z falistej blachy, wzniesionych wokół betonowych upustów rur odprowadzających ścieki do morza. Wprost przed nami wysokie, smukłe wieżowce wznosiły się ku niebu, dumnie błyszcząc w słońcu lustrzanymi i barwionymi szybami.

Zapłaciwszy *balboa* przy wyjeździe z grobli, dotarliśmy do szerokiego bulwaru ze szpalerem drzew i wypielegnowanym trawnikiem. Przy krawężnikach pozostawiono duże otwory odpływowe, mające radzić sobie z tropikalnymi deszczami. Ulica była zapchana szaleńczo pędzącymi samochodami, ciężarówkami, autobusami i taksówkami. Wszyscy prowadzili tak, jakby właśnie coś ukradli. W powietrzu unosił się smród spalin, ryk silników i wycie klaksonów.

Nad nami nisko i szybko przeleciał śmigłowiec. Chociaż jechaliśmy teraz znacznie wolniej, Aaron wciąż musiał krzyczeć, żebym go usłyszał. Ruchem głowy wskazał na mini-Manhattan.

— Tam są pieniądze.

Na to wyglądało. Mnóstwo dobrze znanych banków z Europy i Stanów Zjednoczonych, jak również sporo innych, o bardzo podejrzanie brzmiących nazwach, miało tu swoje błyszczące szkłem i chromem wieżowce z ogromnymi neonami. Elegancka dzielnica: ludzie na chodnikach mieli na sobie nienagannie uprasowane spodnie i koszule ze śladami po prasowaniu na rękawach, biegnące aż do kołnierzyków, oraz krawaty. Kobiety preferowały garsonki i białe bluzki.

Aaron wystawił rękę przez okno, unikając zderzenia z ciężarówką z piwem, która chciała znaleźć się dokładnie tam, gdzie my.

— Panama usiłuje być drugim Singapurem — powiedział, nie patrząc na drogę, co trochę mnie zaniepokoiło. — No wiesz, zagraniczne banki, takie rzeczy.

Gdy mijaliśmy popularne bary, japońskie restauracje, wystawy z kolekcjami znanych projektantów mody i salon Porsche, uśmiechnąłem się.

— Czytałem, że nieźle jej to wychodzi.

Starał się ominąć trąbiącego opętańczo pikapa, załadowanego kołyszającymi się sadzonkami kauczukowca.

— Można tak powiedzieć. Pierze się tu mnóstwo pieniędzy z narkotyków. Mówią, że ten biznes jest wart ponad dziewięćdziesiąt miliardów dolarów rocznie, czyli o dwadzieścia miliardów więcej niż przychody Microsoftu, Kellogg'sa i McDonald'sa razem wzięte.

Ostro zahamował, gdy jakiś skuter zajechał nam drogę. Wyciągnąłem rękę, aby zamortyzować szarpnięcie, i poczułem pod palcami rozgrzany plastik deski rozdzielczej. Igrająca ze śmiercią kobieta wiozła dziecko na tylnym siodełku. Oboje mieli na głowach lekkie rowerowe kaski i gogle. Wepchnęła się między naszą mazdę

i czarnego mercedesa, żeby skręcić w boczną uliczkę. Najwidoczniej tutaj było to normalne, bo Aaron, nie zwróciwszy uwagi na zdarzenie, mówił dalej:

— Spora część tego przechodzi tędy. Niektóre banki mówią po prostu: „wplacajcie”. Prawdziwi przestępcy noszą garnitury, prawda? — Uśmiechnął się smutnie. — Ci handlarze narkotyków są obecnie najbardziej wpływowym lobby na świecie.

Wiedziałeś o tym?

Potrząsnąłem głową. Nie, nie wiedziałem. Kiedy tkwiłem w dżungli, walcząc z nimi, była to ostatnia rzecz, jaką chciałbym wiedzieć. Nie wiedziałem także, czy wyjdę z tej mazdy żywy. Jeśli w Panamie byli jacyś instruktorzy nauki jazdy, to najwidoczniej przymierali głodem.

Pojazdy trochę zwolniły, a potem zupełnie stanęły, ale nie przestały trąbić. Przed domem towarowym stali policjanci w zielonych kombinezonach, butach do kolan i czarnych kuloodpornych kamizelkach. Lustrzane okulary pod daszkami baseballowych czapczek sprawiały, że wyglądali jak izraelscy żołnierze, tyle że jeszcze groźniej.

Każdy z nich miał przewieszony przez ramię dziewięćmilimetry automat HK i pistolet w kaburze nisko zawieszony na biodrze. Oksydowana warstwa ochronna na pistoletach maszynowych starła się od częstego używania i przezierała spod niej lśniąca stal.

Korek odblokował się i ruszyliśmy z miejsca. Pasażerowie wyglądający z jadącego przed nami autobusu mogli podziwiać moje okulary w stylu Jackie O, i niektórzy zaczęli się śmiać z palanta w mazdzie.

— Przynajmniej rozbawiłem dziś kilka osób.

— Szczególnie że jesteś *rabiblanco* — wyjaśnił Aaron. — Tak nazywają tu rządzącą elitę... białe dupki.

Wyjechaliśmy z mini-Manhattanu i bulwar dalej biegł nad morzem, wzdłuż kilkukilometrowej zatoki. Po lewej mijaliśmy port jachtowy, z falochronami zbudowanymi z głazów wielkości forda fiesty. Łodzie motorowe warte miliony dolarów stały zacumowane między równie drogimi jachtami żaglowymi, a wszystkie były

wychuchane i wydmuchane przez ubrane w uniformy załogi. W zatoce flotylla starych drewnianych kutrów rybackich kotwiczyła wokół zatopionego frachtowca, którego dwa zardzewiałe maszty i dziób sterczały z fal Pacyfiku. Jeszcze dalej na morzu, w odległości około trzech lub czterech kilometrów stał rząd dużych statków z kontenerami na pokładach, skierowanych dziobami do lądu. Aaron powiódł wzrokiem za moim spojrzeniem.

— Czekają na wejście do kanału.

Gwałtownie skręciliśmy w prawo, aby uniknąć zderzenia ze starym nissanem, którego właściciel postanowił nagle zmienić pasy, nie zawiadamiając o tym nikogo. Instynktownie nadepnąłem nieistniejący pedał hamulca. To nie była jazda, ale igranie ze śmiercią. Większość jadących przed nami samochodów zapaliła światła hamowania, więc poszliśmy za ich przykładem i zatrzymaliśmy się z lekkim poślizgiem, nie wpadając na tylny zderzak nissana — w przeciwieństwie do kogoś kilka pojazdów za nami. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i zgrzyt giętego metalu, a potem potok gniewnych hiszpańskich słów.

Aaron spojrział na mnie ze skruchą.

— Przepraszam za to wszystko.

Zaraz poznaliśmy powód tej nagłej przerwy w ruchu. Kolumna idących parami i trzymających się za ręce dzieci przechodziła przez ulicę, zmierzając w kierunku bulwaru i zatoki. Wszystkie dziewczynki były w białych sukienkach, a chłopcy w granatowych krótkich spodenkach i białych koszulach. Jedna z nauczycielek wrzeszczała na kierowcę taksówki, który niecierpliwił się z powodu zwłoki, wymachując wystawioną przez okno, owłosioną ręką. Chyba wszyscy czekający w korku kierowcy naciskali klaksony, jakby to mogło coś zmienić. Twarze dzieci można było podzielić na dwa typy, tak samo jak w Kolumbii. Te hiszpańskiego pochodzenia miały sterczące, kręcone czarne włosy i oliwkową skórę, natomiast potomkowie Indian mieli proste włosy i delikatniejsze rysy lekko spłaszczonych twarzy, mniejsze oczy i jasnobrązową karnację.

Aaron uśmiechnął się, patrząc na przechodzące dzieci, które gwarzyły ze sobą jakby nigdy nic.

— Masz dzieci, Nick?

— Nie — pokręciłem głową.

Nie chciałem dać się wciągnąć do rozmowy na ten temat. Im mniej będzie o mnie wiedział, tym lepiej. Prawdziwy agent w ogóle nie zadałby tego pytania. Dziwnie było pracować z kimś, kto nie znał reguł. Ponadto za tydzień i tak nie będę miał już mojego dziecka. Zabierze je Josh.

— Och.

Nauczyciele ustawiali teraz dzieci na chodniku od strony zatoki. Dwie dziewczynki, wciąż trzymając się za ręce, gapiły się na nas — nie wiedziałem, czy na Aarona, czy na moje okulary. Aaron zagrał im na nosie i wykrzywił się. One zrobiły zęza i też zagrały mu na nosach, po czym zachichotały, bo udało im się to zrobić tak, że nauczycielki nie zauważyły. Aaron spojrzał na mnie.

— My mamy córkę, Luce. W listopadzie skończy piętnaście lat.

— Och, pięknie.

Miałem nadzieję, że nie zaczniesz wyjmować zdjęć z portfela, bo wtedy musiałbym powiedzieć, że jest śliczna i tak dalej, choćby nawet wyglądała tak, jakby ktoś przekazał jej jakąś nowinę, waląc na płask łopata w twarz.

Samochody znowu ruszyły. Aaron pomachał dziewczynkom, które wetknęły sobie kciuki do uszu i przebierały pozostałymi palcami.

Powoli przedzieraliśmy się przez bulwar. Po prawej stronie zobaczyłem okazałe budynki w stylu kolonialnym, które po prostu musiały być własnością rządu. Otoczone wysokim i ozdobnym ogrodzeniem z kutego żelaza, wszystkie były świeżo malowane, otoczone całymi akrami trawników, wodospadów i masztów, na których łopotały czerwono-biało-niebieskie prostokąty i gwiazdy panamskiej flagi. Między budynkami rozpościerały się zadbane parki z równo przystrzyżonymi krzewami, alejkami i wielkimi

posągami szesnastowiecznych Hiszpanów w okrągłych blaszanych hełmach i bufiastych spodniach, heroicznie wskazujących szpadami w kierunku morza.

Niebawem mineliśmy równie okazałą ambasadę amerykańską i brytyjską. Za ich wysokimi płotami, nad wierzchołkami drzew powiewały paski i gwiazdy oraz Union Jack. Grube szkło w oknach świadczyło, że nie jest tam tylko na pokaz.

Nie tylko musisz wiedzieć, którądy zwać z obcego kraju, gdybyś wpadł w jakieś szambo, ale powinieneś też sprawdzić, gdzie jest twoja ambasada. Zawsze podnosiła mnie na duchu świadomość, że w razie czego mam dokąd uciec. Ambasadorowie nie przepadają za agentami, którzy przychodzą do nich i błagają o pomoc, więc musiałbym przeskoczyć przez płot. Takich jak ja nie wpuszcza się frontowymi drzwiami. Kiedy jednak już znalazłbym się w środku, trzeba by czegoś więcej niż ludzi z ochrony, żeby wyrzucić mnie na ulicę.

Dotarliśmy na koniec zatoki i najwyraźniej do uboższej części miasta. Z tutejszych budynków oblażyła farba, a niektóre z nich stały opuszczone. Mimo to widać było ślady działań podejmowanych w trosce o obywateli. Wzdłuż brzegu zatoki biegł wysoki na metr murek, raczej mający zapobiec upadkom ludzi na plażę, niż powstrzymać fale. Był ozdobiony niebieskimi kafelkami i mniej więcej dziesięcioosobowa grupka kobiet w granatowych dżinsach i żółtych podkoszulkach z wydrukowanym na plecach napisem „Municipad” szorowała je szczotkami maczanymi w dużych wiadrach z mydlinami. Kobiety wrywały też rośliny, które usiłowały ukorzenie się między płytami chodnika. Dwie z tych pań najwidoczniej zrobiły sobie przerwę i oparte o ścianę popijały mleczko kokosowe oraz jakiś różowy płyn z plastikowej torebki ze słomką.

Mniej więcej kilometr przed nami widać było półwysep, na którym rozsiadło się stare hiszpańskie kolonialne miasteczko — mizmasz terakotowych dachów stłoczonych wokół dziewiczo białych wież kościoła. Aaron skręcił w prawo, w wyniku czego oddaliśmy się od zatoki i znaleźliśmy w jeszcze biedniejszej dzielnicy.

Szosa była wyboista i mój ból głowy przybrał na sile, gdy amortyzatory mazdy zaczęły jęczeć i skrzypieć. Mijaliśmy walące się, parterowe komunalne budynki o płaskich dachach. Ich niegdyś kolorowe fasady wyblakły w słońcu, a wilgotne powietrze pozostawiło na nich ciemne zacieki. Popękany tynk odsłaniał żużlobetonowe pustaki.

Ulica zwężała się i musieliśmy zwolnić. Piesi i kierowcy skuterów kręcili się między samochodami, więc Aaron skupił całą uwagę na prowadzeniu, żeby nikogo nie rozjechać. Przynajmniej na chwilę przestał gadać.

Słońce znajdowało się już wprost nad naszymi głowami i zdawało się trzymać tę część miasta pod kloszem, nie pozwalając ująć gorącu i spalinom, które tutaj były o wiele dokuczliwsze niż w centrum. Bez nawiewu powietrza pocilem się jak mysz i włosy zaczęły lepić mi się do szyi. Aaron znosił skwar nie lepiej ode mnie.

Usłyszałem warkot buldożera i dostrzegłem zardzewiałe metalowe kraty, zamykające wszelkie możliwe wejścia do tych nędznych budynków. Z okien i balkonów zwieszało się pranie, a dzieciaki krzyczały do siebie przez ulicę, która stała się tak wąska, że pojazdy musiały jechać tuż przy krawężniku, od czasu do czasu zawadzając lusterkami o przechodniów. Nikt się tym nie przejmował, wszyscy byli zbyt zajęci plotkowaniem i zajadaniem smażonych bananów lub popijaniem piwa.

Niebawem ugrzęźliśmy w korku i kierowcy wszystkich pojazdów niezwłocznie zaczęły naciskać klaksony. Poczulem silny, kwiatowy zapach perfum przechodzących obok kobiet i woń smażonego oleju, dolatującą z otwartych drzwi. Całe to miejsce — ściany, drzwi, a nawet ogłoszenia — mieniło się różnymi odcieniami czerwieni i żółci.

Powoli przejechaliśmy kilka metrów i znowu stanęliśmy obok dwóch starych kobiet, poruszających biodrami w rytm głośnej karaibskiej muzyki. Za nimi znajdował się kiepsko oświetlony sklep z kuchenkami gazowymi, pralkami, konserwami, aluminiowymi garnkami i patelniami i wylewały się z niego na ulicę dźwięki

latynoskiej samby. Podobało mi się tutaj. Mini-Manhattan nie zrobił na mnie wrażenia, ale to miasteczko bardziej przypadło mi do gustu.

Minęliśmy uliczny jarmark i dalej pojechaliśmy nieco szybciej.

— To El Chorrillo. Pamiętasz plan Słuszna Sprawa... no wiesz, inwazję?

Skinąłem głową.

— Cóż, tu był główny punkt oporu, kiedy oni... kiedy my zaatakowaliśmy miasto. Noriega miał tu swoje centrum dowodzenia. Teraz został po nim tylko pusty plac. Budynek rozniosły bomby.

— Ach tak.

Patrzyłem na rząd staruszek siedzących za karcianymi stolikami, na których leżały równo poukładane rzędy papierów wyglądających na kupony loterii. Potężnie umięśniony kulturysta, czarnoskóry facet w bardzo obcisłej kamizelce i džinsach, kupował kilka przy jednym ze stolików, wyglądając na kompletnego świra z elegancką parasolką, którą trzymał w ręce, chroniąc się przed słońcem.

W końcu wydostaliśmy się z ruchliwego centrum miasteczka, dojechaliśmy do wjazdu na główną szosę i zatrzymaliśmy się. Droga ciągnął niekończący się sznur pojazdów. Z tego, co dotychczas widziałem, wynikało, że obowiązywało tutaj prawo silniejszego: jeśli twój pojazd jest większy, nie musisz się zatrzymywać, tylko włączasz klakson i naciskasz pedał do dechy. Mazda nie była największą z zabawek na tym placu, ale Aaron najwidoczniej się nie zorientował, że była dostatecznie duża, by wymusić pierwszeństwo.

Po mojej prawej ręce znajdował się drewniany bufet. Pepsi bezapelacyjnie wygrała w Panamie wojnę z coca-colą i każdy płot pokrywały jej reklamy, obok kowbojów o szczeciniastych podbródkach, zapraszających nas do Marlboro Country. Przy baraku, w cieniu drzewa, w otwartych tylnych drzwiach wypucowanego forda exploraera z błyszczącymi chromem kołami i Madonną wiszącą na

wstecznym lusterku siedziało pięciu Latynosów, młodziaków po dwudziestce. Z dwóch potężnych kolumn umieszczonych z tyłu explorera płynął latynoski rap. Młodzieńcy wyglądali na twardzieli, wszyscy mieli wygolone głowy i modne przeciwsłoneczne okulary. W Los Angeles wcale nie wyróżnialiby się w tłumie. Za złote łańcuchy, wiszące na ich przegubach i szyjach, zebrząca po drugiej stronie ulicy staruszka mogłaby do końca życia jadać trzydaniowe obiady. Wszędzie wokół nich wałały się sterty niedopałków i kapsli od pepsi.

Jeden z chłopaków zauważył moje okularki w stylu Jackie O. Aaron wciąż usiłował wyjechać na główną drogę. Słońce podgrzewało stojącego na skrzyżowaniu pikapa, w którym i tak było gorąco jak w piecu. Za nami ustawił się rząd pojazdów, chcących też wyjechać na główną drogę. Kierowcy trąbili jak szaleni i zaczęliśmy przyciągać uwagę gapiów.

Najwidoczniej wieść o moich supermodnych okularkach już rozszła się wokół. Latynosi zaczęli wstawać, żeby lepiej mi się przyjrzeć. Kiedy jeden z nich oparł się o otwarte drzwi, pod koszulą dostrzegłem wyraźny zarys kolby pistoletu. Aaron wciąż usiłował wyjechać na główną. Zauważył to samo co ja i podwoił wysiłki, centymetr po centymetrze posuwając samochód naprzód, w wyniku czego nadjeżdżające samochody trąbiły na nas ostrzegawczo, a stojące za nami rykiem klaksonów kazały nam spieprzać.

Młodzieńcy mieli niezły ubaw z moich okularów i najwyraźniej rzucali jakieś żarciki po hiszpańsku, żywo gestykulując i pokazując nas palcami. Aaron patrzył przed siebie. Pot perlił mu się na czole i brodzie, zbierał na podbródku i spływał po szyi. Kierownica ślizgała się w spoconych dłoniach. Nie podobali mu się ci faceci, znajdujący się zaledwie pięć metrów od nas.

Ja też się pocilem. Słońce przypiekało mi prawy policzek.

Nagle zobaczyliśmy scenę, jakby żywcem wziętą ze „Słonecznego patrolu”. Na górskich rowerach nadjechali dwaj mężczyźni,

jednakowo ubrani w czarne szorty, beżowe koszulki polo i ciemne sportowe buty. Mieli przy pasach kabury z pistoletami, a na plecach napis „Policia”. Zsiadli, oparli rowery o drzewo i zaczęli spokojnie zaprowadzać porządek. Nie zdejmując kasków ani przeciwsłonecznych okularów, z całej siły dmuchali w gwizdki i wymachiwali rękami. Jakimś cudem zdołali zatrzymać ruch na głównej drodze, po czym dali znak Aaronowi, żeby jechał.

Gdy opuszczaliśmy skrzyżowanie, odjeżdżając w lewo, w powietrzu przelatywały gniewne okrzyki, głównie skierowane do policjantów.

— Przepraszam za to zamieszanie — powiedział Aaron. — Ci wariaci zaczynają strzelać z byle powodu. Na sam ich widok przechodzą mnie ciarki.

Wkrótce wyjechaliśmy ze slumsów i znaleźliśmy się w eleganckiej dzielnicy willowej. Jeden z mijanych przez nas domów był jeszcze w budowie i wokół wrzała praca. Robotnicy kopali rowy i kładli rury. Młoty pneumatyczne były zasilane z generatora należącego do armii Stanów Zjednoczonych. Świadczył o tym maskujący wzór oraz czarny napis „US Army”.

Aaron najwidoczniej poczuł się już znacznie lepiej.

— Widzisz? — zapytał, pokazując mi generator. — Jak sądzisz, ile kosztował? Cztery tysiące dolarów?

Skinąłem głową, nie mając zielonego pojęcia.

— Cóż — rzekł z nieskrywanym gniewem — ci faceci pewnie dostali go za mniej niż pięćset dolców.

— To ciekawe.

Akurat. A jednak zamierzał powiedzieć mi więcej.

— Kiedy SOUTHCOM nie było w stanie zabrać do końca grudnia całego sprzętu z pozostałych pięciu baz, podjęto decyzję o tym, żeby zostawić lub po prostu rozdać wszystko, co miało wartość poniżej tysiąca dolarów. I oczywiście, żeby ułatwić sobie sprawę, prawie wszystko wyceniono na dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć dolców. Teoretycznie cały ten dobytek miał być przekazany organizacjom charytatywnym, ale w praktyce wszystko zostało

sprzedane: pojazdy, meble, co tylko chcesz.

Rozglądając się wokół, stwierdziłem, że pozbyli się w ten sposób nie tylko sprzętu. Zauważyłem następną grupkę sprzątaczy ulic w żółtych podkoszulkach. Ci wrywali rośliny wyrastające w szczelinach chodników i wszyscy mieli na sobie nowiuteńkie pustynne kombinezony maskujące Armii Stanów Zjednoczonych.

Aaron nadawał jak wiejski plotkarz.

— Słyszałem, że maszynę poligraficzną Xeroxa, wartą dwieście trzydzieści tysięcy dolarów, sprzedano za dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów, ponieważ odesłanie jej z powrotem do kraju wymagałoby za dużo papierkowej roboty.

Spoglądałem na tę spokojną dzielnicę willową z ładnymi bungalowami, otoczonymi drzewami kauczukowymi, pięknymi samochodami oraz mnóstwem płotów i krat. Aaron niedbale machnął ręką i dodał:

— Gdzieś tam są faceci, którzy reperują sobie samochody lotniczą spawarką wartą piętnaście tysięcy dolarów, którą nabyli za sześćdziesiąt dolców. — Westchnął. — Żałuję, że nie zdołałem położyć ręki na wielu z tych rzeczy. Udało nam się zdobyć tylko niektóre.

Domy powoli ustąpiły miejsca ciągom sklepów i neonów Blockbustera i Burger Kinga. Kilka kilometrów przed nami wznosiły się ku niebu ogromne suwnice, wyglądające jak trzy metalowe litery „H”.

— Doki Balboa — wyjaśnił Aaron. — Znajdują się przy wejściu do kanału. Wkrótce będziemy w strefie — powiedział i zaraz się poprawił: — w dawnej strefie Kanału Panamskiego.

Łatwo było to dostrzec, wystarczyło patrzeć na drogowskazy. W tym kraju nie było ich wiele, ale teraz zauważyłem jeden stary i przekrzywiony, głoszący, że niedaleko znajduje się baza wojsk powietrznych Stanów Zjednoczonych Albrook. Wielka i wyblakła biało-niebieska tablica przy głównej drodze kierowała nas do chrześcijańskiego stowarzyszenia żołnierzy, a zaraz potem

wjechaliśmy na porządną, betonową drogę biegnącą wokół lotniska, na którym stało mnóstwo lekkich samolotów oraz prywatnych i służbowych helikopterów. Kiedy jechaliśmy tą drogą wzdłuż pasów startowych, doki Balboa zostały za nami, trochę z lewej.

— Tu była baza sił powietrznych Albrook. To stąd rebelianci wykradli śmigłowce, o których ci mówiłem.

Mineliśmy szereg czteropiętrowych koszarowych budynków o pozabijanych deskami drzwiach i oknach, z klimatyzatorami sterującymi niemal z każdego okna. Nieskazitelnie czyste kremowe ściany i czerwone dachówki nadawały im bardzo amerykański i bardzo wojskowy wygląd.

Na stalowym pięćdziesięciometrowym maszcie, na którym przedtem niewątpliwie powiewały gwiazdy i paski, teraz łopotała flaga panamska.

Aaron westchnął.

— Wiesz, co jest w tym najsmutniejsze?

Spoglądałem na tę część bazy, która najwidoczniej została zamieniona w dworzec autobusowy. Połowę wielkiej tablicy z napisem „United States Air Force Albrook” zajmował aktualny rozkład jazdy. Widoczne też były plamy po starym.

— Co takiego?

— Kiedy zbliżał się ustalony na koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku termin opuszczenia Panamy, siły powietrzne tak bardzo potrzebowały wózków widłowych, żeby wysłać resztę sprzętu do Stanów, że w końcu musieli wypożyczać te, których wcześniej się pozbyli.

Gdy tylko mineliśmy dawną bazę sił powietrznych, po obu stronach drogi znów pojawiła się wysoka na trzy metry trawa pampy. Napotkaliśmy następny rząd budek, zapłaciliśmy kilka centów i pojechaliśmy dalej.

— Witaj w strefie. Ta droga biegnie równolegle do Kanału Panamskiego, który znajduje się mniej więcej pół kilometra dalej, w tamtym kierunku.

Wskazał na lewo i w tym momencie poczułem się tak, jakbyśmy

znaleźli się na Florydzie, wśród typowo amerykańskich bungalowów i domów, szeregów budek telefonicznych, latarni i drogowskazów opisanych po angielsku. Nawet uliczna sygnalizacja była inna. Leżące opodal pola golfowe ogłaszały się po angielsku i hiszpańsku. Aaron pokazał palcem.

— To przedtem był klub oficerski.

Opuszczone liceum po prawej wyglądało jak przeniesione prosto z jakiegoś programu w amerykańskiej telewizji. Obok niego przycupnęła potężna kopuła sali gimnastycznej.

Zdecydowanie byliśmy w miejscu, gdzie żyła druga połowa społeczeństwa.

— Kiedy dojedziemy do tego domu?

Aaron spoglądał na boki, jadąc po zupełnie pustej drodze, chłonąc widok opuszczonej strefy.

— Za jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt minut. To było takie ruchliwe przedmieście.

Pora pogadać o konkretach.

— Czy wiesz, po co tu przyjechałem, Aaronie?

Miałem nadzieję, że nie.

Wzruszył ramionami i powiedział łagodnym głosem, który ledwie było słycać przez świst wiatru.

— O twoim przyjeździe dowiedzieliśmy się dopiero zeszłej nocy. Mamy pomóc ci w miarę naszych możliwości i pokazać, gdzie mieszka Charlie.

— Charlie?

— Charlie Chan... no wiesz, ten facet ze starych czarno-białych filmów. Oczywiście, to nie jest jego prawdziwe nazwisko, ale tak go tu nazywają. Nie zwracają się tak do niego, Boże broń. Naprawdę nazywa się Oscar Choi.

— Charlie Chan bardziej mi się podoba — orzekłem. — Pasuje do niego.

Aaron kiwnął głową.

— Pewnie. Dla mnie też nie wygląda na Oscara.

— Co o nim wiesz?

— Jest tu powszechnie znany. To bardzo hojny facet i lubi

odgrywać dobrego obywatela... patrona sztuki i tak dalej. Prawdę mówiąc, to właśnie on sponsoruje cykl wykładów, które prowadzę.

To mi nie wyglądało na postępowanie nastolatka.

— Ile ma lat?

— Chyba jest trochę młodszy ode mnie. Powiedzmy, po pięćdziesiątce.

Zacząłem się niepokoić.

— Ma rodzinę?

— Och tak, i to liczną. Zdaje się, że czterech synów i córkę.

— W jakim wieku są te dzieci?

— Nie wiem, ile lat mają starsze, ale najmłodszy właśnie zaczął studiować. Wybrał dobry kierunek. Ochrona środowiska ma tutaj przyszłość. Myślę, że pozostali synowie pracują w firmie ojca w stolicy.

Coraz mocniej łupało mi w głowie. Nie mogłem się skupić. Wsunąłem palce pod szkła okularów i przetarłem oczy. Aaron najwidoczniej miał własne zdanie o tym Chińczyku.

— To dziwne, że tacy ludzie jak on przez całe życie mordują, palą i grabią, żeby dostać to, czego chcą. A potem, kiedy zgromadzą całe te bogactwa, usiłują chronić to wszystko, co przedtem niszczyli, chociaż w głębi duszy wcale się nie zmieniają. Jak wikingowie, nie sądzisz, Nick?

— Kim on jest, politykiem?

— Nie, nie musi nim być, większość z nich siedzi mu w kieszeni. Jego rodzina była tu, od kiedy rozpoczęto kopać kanał w tysiąc dziewięćset czwartym roku. Sprzedawała robotnikom opium. Ma udziały we wszystkich interesach, w każdej prowincji i w każdej dziedzinie, od budownictwa po „import i eksport”. — Aaron wskazującym palcem prawej ręki nakreślił w powietrzu cudzysłów. — No wiesz, podtrzymuje rodzinne tradycje: kokaina, heroina, a nawet dostawy broni dla FARC i każdego, kto ma pieniądze. To jeden z niewielu zadowolonych z odejścia Amerykanów. Teraz, kiedy nie ma tu wojska, znacznie łatwiej mu robić interesy.

Oderwał lewą rękę od kierownicy i potarł kciuk wskazującym palcem.

— Tak zdobywa się przyjaciół, więc ma ich wielu.

Narkotyki i broń pod przykrywką legalnych interesów — to miało sens. Zazwyczaj właśnie tak się to robi.

— Ten facet to jeden z tych, których moja mama nazywała wykolejeńcami. Jest sprytny, naprawdę sprytny. Krąży tu opowieść o tym, że ukrzyżował szesnastu mężczyzn w Kolumbii. Byli to członkowie tamtejszych władz, policjanci i inni oficjele, którzy próbowali odsunąć go od wspólnie prowadzonych kokainowych interesów. Kazał ich publicznie ukrzyżować na rynku jakiegoś miasteczka i pozostawić tak, dopóki nie umrą. Prawdziwy wykolejeniec.

Po prawej zobaczyłem ogrodzenie z drucianej siatki.

— To jest... — zaczął i zaraz ponownie sprostował: — To był Fort Clayton.

Baza była opuszczona. Za ogrodzeniem wznosił się rząd imponujących budynków. Białe maszty flagowe były puste, a przed nimi stały nieruchomo na straży idealnie równe szeregi wysokich i smukłych palm, których pnie do wysokości mniej więcej dwóch metrów wymagały ponownego bielenia.

Kiedy przejeżdżaliśmy obok, dostrzegłem takie same budynki mieszkalne jak w Albrook, rozmieszczone w równym rzędzie i połączone siecią betonowych alejek, biegnących w nieskoszonej trawie. Stały tam jeszcze tablice ostrzegające żołnierzy przed prowadzeniem po pijanemu i przypominające im, że są ambasadorami swojego kraju.

Zamilkliśmy na kilka minut, przyglądając się temu opuszczoneму miejscu.

— Nick, czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy się zatrzymali i napili coli? Zaszło mi w gardle.

— Długo to potrwa? I jak daleko jeszcze do domu Charliego?

— Jakies dziesięć kilometrów od baru z colą. To potrwa tylko kilka minut.

Nie miałem nic przeciwko temu; wszystko wskazywało na to, że czeka mnie długi dzień.

Minęliśmy główną bramę bazy i Aaron westchnął. Mosiężne litery przymocowane do muru teraz głosiły: „Layton”.

— Pewnie zrobią tutaj kompleks naukowo-badawczy, pracujący na potrzeby przemysłu... albo coś w tym rodzaju.

— No tak.

A kogo to obchodzi? Teraz, kiedy wspomniał o picciu, myślałem tylko o drinku i o kolejnych pytaniach, jakie powinienem mu zadać na temat interesującego mnie domu.

12

Jeszcze przez około pół godziny trzymaliśmy się głównej drogi, zanim skręciliśmy w lewo, w znacznie węższą dróżkę. Gdy wjechaliśmy na wzniesienie, ujrzałem w oddali nadbudówki i ładunek kontenerowca, robiące niesamowite wrażenie na tle szmaragdowego morza.

— Właśnie tam jedziemy, do śluzy Miraflores — oznajmił Aaron. — Tylko tam można się czegoś napić. Jest jak wodopój... zatrzymują się tam wszyscy przejeżdżający tą drogą.

Kiedy dojeżdżaliśmy do śluzy, ujrzałem scenę, na której widok zacząłem się zastanawiać, czy czasem nie oczekują tu wizyty Clintona. Całe to miejsce było kompletnie zapełnione pojazdami i ludźmi. Kolumna kolorowych autobusów przywiozła tutejszą amerykańską orkiestrę dętą i osiemnastoletnie majoretki. Faceci w czerwonych tunikach, białych spodniach i śmiesznych kapelusikach z piórkiem dmuchali w białe puzony i inne tuby, podczas gdy majoretki w czerwonych kostiumach i butach do kolan kręciły swoimi pałeczkami i chorągiewkami. Wszędzie panował straszliwy rozgardiasz, pogłębiany przez grupki robotników zawieszających flagi, wyładowujących z samochodów składane drewniane krzeselka i uginających się pod ciężarem belek na rusztowania.

— O rany — westchnął Aaron. — Myślałem, że to będzie w sobotę.

— Co takiego?

— *Ocaso*.

Wjechaliśmy na ogrodzony siatką parking, zapchany prywatnymi samochodami i autobusami biur podróży. Wokół wznosiły się ładne i dobrze utrzymane budynki w stylu kolonialnym. Do kabiny wdarł się zgiełk strojonych instrumentów dętych oraz potok szybko i z podnieceniem wypowiedzianych hiszpańskich słów.

— Nie nadążam, kolego. Co to takiego?

— Statek wycieczkowy, jeden z największych. Po hiszpańsku *ocaso* to zachód słońca. Zabiera ponad dwa tysiące pasażerów. Przepływa tędy od lat, płynąc z San Diego na Karaiby.

Gdy usiłował znaleźć miejsce do parkowania, przyjrzał się kilku plakatom przyczepionym do siatki.

— Tak, to w tę sobotę statek przepłynie tędy po raz czterechsetny i ostatni. To będzie huczna impreza. Na pokładzie znajdą się reporterzy stacji telewizyjnych, politycy i kilku aktorów z obsady „Żaru tropików”... ten serial cieszy się tu wielkim powodzeniem. To pewnie jest próba generalna.

Zaledwie kilka metrów za autobusami i ogrodzeniem z siatki zobaczyłem ogromne betonowe śluzy, otoczone nienagannie skoszonymi trawnikami. Nie były tak imponujące, jak oczekiwałem. Wyglądały po prostu jak znacznie powiększone zwyczajne śluzy rzeczne, mające około trzystu metrów długości i trzydziestu szerokości.

Do pierwszej właśnie wchodził oznaczony smugami rdzy, niebiesko-biały statek, mający pięć pokładów i chyba ze dwieście metrów długości, płynąc na własnych silnikach, lecz prowadzony przez sześć niewielkich elektrowozów, które poruszały się po szynach na obu brzegach kanału, po trzy z każdej strony. Sześć lin łączyło kadłub z elektrowozami: cztery na rufie i dwie na dziobie, żeby holowany statek nie ocierał się o betonowe ściany.

Przeciskając się między dwoma samochodami, Aaron wszedł w rolę przewodnika wycieczki.

— Patrzysz na prawie sześć tysięcy samochodów zmierzających na Zachodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Przepływa tędy cztery procent światowej wymiany handlowej i czternaście procent towarów importowanych i eksportowanych przez Stany Zjednoczone. To naprawdę sporo.

Szerokim gestem podkreślił znaczenie Kanału Panamskiego.

— Wystarczy osiem do dziesięciu godzin, żeby z Zatoki Panamskiej, gdzie teraz jesteśmy, dopłynąć do Pacyfiku, a właściwie Morza Karaibskiego. Gdyby nie kanał, trzeba by przez dwa tygodnie opływać przylądek Horn.

Kiwałem głową, starając się, aby moja mina wyrażała należyty podziw, gdy zobaczyłem lokal, w którym mieliśmy dostać colę. Przyczepa kempingowa zapuściła korzenie na środku parkingu i zmieniła się w kawiarnię oraz sklep z pamiątkami. Ogrodowe krzeselka z białego plastiku stały bezładnie przy stolikach ocienionych wielobarwnymi parasolami. Wokół wisiały wystawione na sprzedaż koszulki, w liczbie wystarczającej, aby przyodziać całą armię. Znaleźliśmy miejsce do zaparkowania i wysiedliśmy. Było gorąco, ale przynajmniej mogłem odlepić podkoszulek od pleców.

Aaron podszedł do bocznego okienka i stanął w kolejce za kilkoma turystami i dwoma muzykami w czerwonych tunikach, którzy ściskali pod pachami mosiężne instrumenty i pożądliwie spoglądali na grupkę atletycznie zbudowanych majorettek, płacących za swoje napoje.

— Kupię po dwie zimne dla nas obu.

Stałem pod jednym z parasoli i patrzyłem, jak statek centymetr po centymetrze przepływa przez śluzę. Zdjąłem i przetarłem okulary Jackie O. Ostre słońce sprawiło, że natychmiast tego pożałowałem. Prażyło bezlitośnie, lecz pracownikom śluzy wydawało się to nie przeszkadzać. Ubrani w czyste kombinezony i ochronne kaski, robili swoje. Wszystko odbywało się niezwykle sprawnie, przy wtórze rzeczowych poleceń płynących nieprzerwanie z głośników, ledwie słyszalnych w hałasie panującym wokół autobusów i

trzasku montowanych rusztowań. Na trawniku przy śluzie budowano dodatkową trybunę, obok głównej, ustawionej tam na stałe, i tuż przy udekorowanym flagami centrum informacji turystycznej. W sobotę rzeczywiście będzie tu tłoczno.

Statek już prawie znalazł się w śluzie, pozostawiając najwyżej po dwa metry wolnej przestrzeni między każdą z burt a brzegiem. Turyści obserwowali to ze stałej trybuny, pstrykając nikonami, a członkowie orkiestry kręcili się po trawniku. Niektóre dziewczęta ćwiczyły żonglowanie pałeczkami, profesjonalne uśmiechy, wypinanie biustów i kręcenie tyłkami.

Jedyną znajdującą się tam osobą, która wydawała się nie zwracać uwagi na dziewczęta, był biały mężczyzna w jaskraworóżowej, hawajskiej koszuli w kwiaty. Opierał się o duży, granatowy samochód GMC Suburban, obserwując statek i głęboko zaciągając się papierosem. Wolną ręką wachlował się połą koszuli. Na brzuchu miał paskudną bliznę po oparzeniu, wielką jak pizza i wyglądającą jak stopiony plastik. Cholera, to musiało boleć. Cieszyłem się, że mój ból brzucha jest wywołany jedynie spotkaniem z buciorama Sundance'a.

Oprócz przedniej wszystkie pozostałe szyby samochodu były przyciemnione. Po ledwie widocznym zmatowieniu kleju na szybie tylnych drzwiczek poznałem, że to samoróbka. Dostrzegłem trójkątny ślad w miejscu, gdzie plastik został rozdarty na długości dziesięciu lub dwunastu centymetrów.

Nagle, jakby przypomniawszy sobie, że zostawił otwarte frontowe drzwi, facet wskoczył do samochodu i odjechał. Może suburban był na fałszywych numerach i gość nie chciał, żeby jakiś policjant przyjrzał mu się dokładniej. Wóz został umyty, ale nie tak dobrze, żeby jeszcze czystsze tablice rejestracyjne nie rzucały się w oczy. Ja zawsze przed zmianą numerów jechałem do myjni, a potem robiłem sobie przejażdżkę po wiejskich drogach, żeby zabrudzić samochód i tablice, zanim pojazd zostanie wykorzystany podczas akcji. Założyłbym się, że tutaj mnóstwo ludzi jeździ na lewych numerach, głównie ci, dzięki którym tak dynamicznie rozwijają się usługi bankowe.

Po burcie statku spuszczone sznurową drabinę z drewnianymi szczebelkami i dwaj mężczyźni w wyprasowanych koszulach i spodniach wspięli się po niej na pokład. W tej samej chwili Aaron wrócił z czterema puszkami napoju Minute Maid.

— Nie ma coli... mają dziś straszny ruch.

Siedząc w cieniu, patrzyliśmy, jak tłoki hydrauliczne powoli zamykają wrota i do śluży wpływa woda — według Aarona przeszło miliard litrów. Statek przed nami powoli się uniósł, aż zdawał się sięgać nieba. Robotnicy stawiający trybunę porzucili narzędzia i rozsiedli się, czekając na próbę majorettek.

Cicha kontemplacja najwidoczniej nie leżała w naturze Aarona, który niebawem znowu zaczął nadawać.

— Widzisz, ten kanał nie jest... jak uważają niektórzy ludzie... tylko wielkim rowem wykopanym w poprzek kraju, tak jak Kanał Sueski. Nie, nie, nie. To bardzo skomplikowany wytwór techniki... i zdumiewające jest to, że właściwie pochodzi z wiktoriańskich czasów.

Nie wątpiłem, że to fascynujące, ale miałem inne, mniej przyjemne sprawy na głowie.

— Śluza Miraflores oraz dwie następne, znajdujące się dalej, podnoszą lub opuszczają statki o prawie trzydzieści metrów. Później statki przepływają jezioro i ponownie są opuszczane. To coś w rodzaju mostu łączącego dwa morza. Genialne... to ósmy cud świata.

Otworzyłem drugą puszkę pomarańczowego napoju i ruchem głowy wskazałem na śluzę.

— Trochę ciasna, no nie?

Będzie mógł nadawać jeszcze przez chwilę. Zareagował tak, jakby sam ją zbudował.

— To żaden problem. Wszystkie statki są budowane tak, żeby mieściły się w Kanale Panamskim. Stocznie już od dziesięcioleci projektują je, uwzględniając szerokość śluz.

Statek wznosił się przede mną niczym drapacz chmur. W tym momencie zagrzmiały trąbki, bębny i gwizdki: orkiestra zagrała

szybką sambę, a dziewczęta zaczęły robić swoje, ku uciesze robotników od rusztowań.

Po dziesięciu minutach, kiedy poziomy wody się wyrównały, pierwsze wrota śluzy zostały otwarte i cały proces rozpoczął się od nowa. Wszystko to przypominało gigantyczny kabaret. Pałeczki majoretek wciąż wlatywały w powietrze, a orkiestra maszerowała tam i z powrotem po trawie. Wszyscy zachowywali się bardzo po latynoamerykańska gdyż idąc, niektórzy członkowie sekcji dętej również próbowali wykonywać taneczne kroki.

Naprzeciw sklepu zatrzymał się czarny lexus z napędem na cztery koła i lustrzanymi bocznymi szybami, które natychmiast zostały opuszczone, ukazując dwóch białasów w koszulach i krawatach. Siedzący na przednim siedzeniu pasażer — muskularny, ładnie opalony dwudziestokilkulatek — wysiadł i podszedł do okienka bufetu, ignorując stojących w kolejce. Przy pasie błyszcząca mu jedna z tych małych, chromowanych nokii, przyczepiona obok zawieszanej na biodrze kabury z bronią. Tak samo jak kradziony samochód GMC, to również nie zrobiło na mnie wrażenia. W końcu to Ameryka Środkowa. Odchyliłem głowę, żeby dopić drinka, zastanawiając się, czy nie kupić jeszcze jednego na drogę.

Kiedy dwudziestokilkulatek wracał z drinkami do lexusa, młodzieńczym głosem ktoś zawołał z tylnego siedzenia:

— Hej, panie Y! Co tu się dzieje, człowieku?

Aaron gwałtownie odwrócił głowę i uśmiechnął się. Pomachał ręką.

— Hej, Michael, jak się masz? Jak udały ci się wakacje?

Ja także się odwróciłem. Głowę miałem lekko odchyloną do tyłu, ale natychmiast poznałem uśmiechniętą twarz, widoczną w tylnym oknie lexusa.

Dopiłem drinka i spuściłem głowę, a Aaron podszedł do samochodu. Zapomniałem o zmęczeniu, czując nagły przypływ adrenaliny. Niedobrze, bardzo niedobrze. Wbiłem wzrok w ziemię, udając zrelaksowanego i usiłując usłyszeć coś przez dźwięki muzyki.

Chłopiec wyciągnął do Aarona rękę na powitanie, lecz przez cały czas zerkał na dziewczyny.

— Przepraszam, ale nie mogę wysiąść z samochodu. Ojciec kazał mi ani na krok nie odchodzić od Roberta i Rossa. Słyszałem, że dzisiaj będzie próba, i pomyślałem, że mógłbym rzucić okiem, wracając do domu, rozumie pan, co mam na myśli, panie Y? A pan nie chodził na randki z cheerleaderkami? Zanim się pan ożenił, oczywiście...

Zauważyłem, że dwaj ochroniarze nie zwracali uwagi na dziewczyny ani porywające latynoamerykańskie rytmy. Wykonywali swoją pracę. Ich zasłonięte ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych twarze nie zdradzały żadnych uczuć, gdy popijali puszkowane napoje. Silnik samochodu pozostał włączony i widziałem krople wody kapiące z obudowy klimatyzatora na asfalt.

Orkiestra przestała grać i teraz maszerowała w rytm uderzeń bębna. Michael terkotał z ożywieniem i powiedział coś, co sprawiło, że Aaron uniósł brwi.

— W Anglii?

— Tak, wróciłem wczoraj. Wybuchła bomba i zginęło kilku terrorystów. Byliśmy z ojcem bardzo blisko tego miejsca, w budynku parlamentu.

Aaron wyraził zdziwienie, podczas gdy Michael otwierał puszkę z napojem.

— Hej, Nick, słyszałeś? — Ruchem głowy wskazał mnie chłopakowi. — Nick jest Anglikiem.

O kurwa, Aaron, tylko nie to!

Michael spojrział na mnie i uśmiechnął się, pokazując idealnie białe zęby. Ochroniarze również odwrócili głowy i zmierzyli mnie wzrokiem. Niedobrze.

Uśmiechnąłem się, przyglądając się chłopcu. Miał krótko ostrzyżone, czarne i lśniące włosy, z przedziałkiem na boku, oraz oczy i nos Europejczyka. Jego gładka skóra, bez śladów trądziku, była nieco ciemniejsza niż u większości Chińczyków. Może miał matkę Panamkę albo spędzał mnóstwo czasu na powietrzu.

Aaron uświadomił sobie, że spieprzył sprawę.

— Właściwie to on namówił mnie, żebyśmy przyjechali zobaczyć służę, no wiesz, i te dziewczyny... — wymamrotał.

Michael kiwnął głową, niezbyt tym zainteresowany. Odwróciłem się i patrzyłem na opuszczający służę statek, mając ochotę podejść i zatkać Aaronowi dziób puszką po napoju.

Przez minutę czy dwie rozmawiali na temat studiów, po czym jeden z ochroniarzy skinął głową i Michael zaczął kończyć rozmowę. Ponownie wyciągając rękę, tym razem na pożegnanie, znów zerknął na paradujące w obcisłych strojach majoretki. Na sygnał gwizdka odezwały się werble.

— Muszę już jechać. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu, panie Y?

— Jasne. — Aaron przybił mu piątkę. — Skończyłeś już ten projekt?

— Myślę, że się panu spodoba. No nic, zobaczymy się później.

Uprzejmie skinął mi głową zza ramienia Aarona, a potem elektryczne silniczki podniosły szyby i lexus odjechał, pozostawiając, jak znaczący swój teren pies, kałużę wody, która skropliła się na zbiorniku klimatyzatora.

Aaron machał im ręką, dopóki nie znikli nam z oczu, po czym odwrócił się do mnie ze skruszoną miną. Dziewczyny i członkowie sekcji dętej podrygiwali razem w takt uderzeń bębna.

— Nick, naprawdę mi przykro. — Pokręcił głową. — Nie pomyślałem. Nie nadaję się do takich rzeczy. To był syn Charliego. Czy mówiłem ci, że chodzi na zajęcia, które prowadzę? Przepraszam. Po prostu nie pomyślałem.

— W porządku, kolego. Nic się nie stało — skłamałem. Zostać przedstawionym obiektowi zainteresowań i, co jeszcze gorsze, być dokładnie obejrzanym przez jego ochroniarzy to ostatnia rzecz, której potrzebowałem. A ponadto ujawnić fakt mojej znajomości z Aaronem. Serce waliło mi jak młotem. Krótko mówiąc, nie była to przyjemna wycieczka.

— Ci faceci, którzy mu towarzyszyli... Robert i Ross? To oni ukrzyżowali tych Kolumbijczyków. To ludzie Charliego i słyszałem, że... — Nagle zmienił się na twarzy. — Czy miałeś coś wspólnego z tym zamachem bombowym w Londynie? No wiesz, czy tu chodzi o...

Pokręciłem głową, dopijając sok. Czulem, jak krew uderza mi do głowy.

— Przepraszam, to nie moja sprawa. Wcale nie chcę tego wiedzieć.

Nie byłem pewien, czy mi uwierzył, ale to nie miało żadnego znaczenia.

— Jak daleko stąd do domu Michaela?

— Tak jak mówiłem, mniej więcej dziesięć kilometrów. Jeśli te zdjęcia, które ściągnęliśmy z sieci, mówią prawdę, to istny pałac.

Wyjmując pieniądze, ruszyłem do okienka bufetu.

— Myślę, że chyba powinienem rzucić na to okiem, nie sądzisz? Co powiesz na następnego drinka? Musimy poczekać, aż Michael dojedzie do domu i znajdzie się w środku.

Na jego twarzy wciąż malowało się poczucie winy.

— Wiesz co? — powiedziałem. — Postawisz mi drinka i będziemy kwita.

W końcu przelotnie się uśmiechnął. Zaczął grzebać w swoich wypchanych kieszeniach, szukając drobnych.

— I spytaj, czy mają coś od bólu głowy, dobrze?

Po drugiej stronie parkingu stał bankomat z symbolem HSBC. Wiedziałem, że tego dnia nie mogę już podjąć pieniędzy, ale jeśli spróbuję to zrobić, przynajmniej Potakiwacz w ciągu kilku godzin dowie się, że jestem na miejscu.

Przez następne czterdzieści minut zabijaliśmy czas przy plastikowym stoliku. Jedynym dźwiękiem był pomruk poruszających się po szynach elektrycznych lokomotyw, gdyż wszyscy uczestnicy próby generalnej zrobili sobie przerwę na lunch. Ponownie nałożyłem na nos okulary Jackie O., usiłując dać odrobinę wytchnienia oczom i złagodzić ból głowy. Miałem wrażenie, że nikt z otaczających

mnie ludzi nigdy nie miewa bólu głowy.

Aaron skorzystał z okazji i opowiedział mi o odejściu Amerykanów w grudniu ubiegłego roku. Fakt, że potrafił tak dokładnie wymieniać daty i liczby, najlepiej świadczył o jego rozgoryczeniu.

Krótko mówiąc, oddano ponad cztery tysiące akrów strefy Kanału Panamskiego, z bazami, o wartości przekraczającej dziesięć miliardów, oraz sam kanał zbudowany za pieniądze Stanów Zjednoczonych — co podnosi wartość o trzydzieści miliardów. I Amerykanie mogli tu wrócić tylko na postawie klauzuli DeConciniego, zezwalającej na interwencję zbrojną w wypadku zagrożenia kanału.

Wszystko to wydawało się interesujące, dla mnie jednak najważniejsze było to, czy Michael będzie w tym tygodniu na uniwersytecie.

— Na pewno — skinął głową Aaron. — Wszyscy wrócą na uczelnię. Dla większości studentów semestr zaczął się już w zeszłym tygodniu.

Skierowaliśmy się w stronę rezydencji i wjechaliśmy na teren dawnej bazy Clayton. Aaron wyjaśnił mi, że po odejściu Amerykanów Charlie wykupił część terenów strefy i wybudował się tam.

Bazy pilnował teraz drzemiący na werandzie przed wartownią starszy, kiwający się nad musztardówką czegoś przypominającego czarną herbatę i najwyraźniej zirytowany tym, że wyrwaliśmy go z drzemki, zmuszając do podniesienia szlabanu.

Być może pewnego dnia Clayton zmieni się w kompleks naukowo-badawczy, pracujący na potrzeby przemysłu, ale jeszcze nieprędko. Minęliśmy opuszczone budynki koszar, otoczone wysoką trawą. Wszędzie widać było ślady bytności Armii Stanów Zjednoczonych. Widziałem napisy na stalowych tabliczkach nad drzwiami każdego budynku: „Budynek 127, Brygada Wsparcia Kwatery Głównej, Fort Clayton, Panama, Południowa Grupa Armii

USA”. Zastanawiałem się, czy podczas mojego pobytu w Kolumbii nasi szefowie z SOUTHCOM-u właśnie z tych budynków przesyłali nam zdjęcia satelitarne i rozkazy.

Teraz baza wyglądała tak, jakby ewakuowano ją w pośpiechu przed nadciągającym huraganem. Na huśtawkach dla dzieci, stojących między opuszczonymi barakami i otoczonych drzewami palmowymi i dwupiętrowymi budynkami mieszkalnymi, pojawiły się już pierwsze ślady rdzy wychodzącej spod niebieskiej farby, a na boisku do baseballu, potrzebującym porządnego koszenia, tablica wciąż pokazywała wyniki ostatniego meczu. Amerykańskie znaki drogowe nakazywały ograniczenie prędkości do dwudziestu czterech kilometrów na godzinę, ze względu na bawiące się dzieci.

Przejechaliśmy przez rozległy teren dawnej bazy i skierowaliśmy się w góry. Dżungla z obu stron napierała na wąski, kręty pas asfaltu. Mogłem zajrzeć w nią nie dalej niż na pięć metrów, po czym wszystko zmieniało się w litą ścianę zieleni. Słyszałem o pewnym żołnierzu, który w latach sześćdziesiątych został postrzelony na Borneo podczas patrolu. Rana nie była śmiertelna, ale wymagał pomocy. Ułożyli go wygodnie u stóp pagórka i wszyscy weszli na szczyt, żeby wykarczować kawałek dżungli pod lądowisko dla śmigłowca, który miał przewieźć go do szpitala. Nie było to specjalnie trudne zadanie i ranny przed wieczorem znalazłby się w powietrzu, gdyby nie popełnili fatalnego błędu i zostawili przy nim kogoś albo przynajmniej oznaczyli miejsce, gdzie leży. Chociaż leżał niecałe sto metrów od szczytu wzgórza, minął tydzień, zanim go odnaleźli. Do tego czasu już umarł.

Słońce prażyło przez przednią szybę, pokazując wszystkie róbale, które roztrzaskały się na niej i zostały rozsmarowane przez wycieraczki. Z pewnością ograniczały Aaronowi widoczność.

To była wtórna dżungla i poruszanie się w niej byłoby bardzo, bardzo trudne. O wiele bardziej wolałem pierwotną, której sklepienie znajduje się znacznie wyżej i przepuszcza znacznie mniej

słońca, w wyniku czego poszyście jest rzadsze. Pomimo to wędrówka przez nią też nie należy do przyjemności... ze względu na to wszystko, co napotyka się na ziemi.

Szare chmury zaczęły zasłaniać niebo i świat wokół pociemniał. Znowu myślałem o tych wszystkich miesiącach, które spędziłem w dżungli, wykonując zadania. Tracisz na wadze nawet dwanaście kilogramów, a na skutek braku słońca twoja skóra staje się biała i lepka jak surowa frytka, ale naprawdę lubiłem te misje. Wchodząc do dżungli, zawsze byłem fantastycznie pobudzony, ponieważ jest to jedno z najwspanialszych miejsc. To doskonały teren do działania. Znajdziesz w niej wszystko, co ci potrzebne: osłonę, żywność, a przede wszystkim wodę. Musisz tylko przywyknąć do deszczu, robactwa (głównie latającego i mocno tnącego) oraz dziewięćdziesięciopięcioprocentowej wilgotności powietrza.

Aaron pochylił się i uważnie spojrzął przed siebie.

— No i popatrz, już się zaczyna.

Szare chmury znikły, odepchnięte przez czarne. Wiedziałem, co to oznacza, i rzeczywiście, w następnej chwili rozwarły się niebiosa. Lunęło jak z cebra. Pospiesznie podnieśliśmy szyby, ale nie do końca, gdyż w wilgotnym powietrzu przednia już zaczęła pokrywać się mgiełką pary. Aaron włączył nadmuch powietrza. Bębnienie deszczu o dach zagłuszyło szum wiatraczka.

Błyskawica z sykiem przecięła niebo, oblewając dżunglę jaskrawoniebieską poświatą. Nad nami z potwornym hukiem przetoczył się grom. Z pewnością włączył kilka alarmów samochodowych przy śluzie.

Aaron zwolnił i samochód włókł się w żółwym tempie, gorączkowo machając wycieraczkami, które bezskutecznie przecierały przednią szybę, zalewaną deszczem nie tylko z góry, ale i z dołu — odbijającym się od asfaltu. Woda wpadała przez niedomkniętą boczną szybę, opryskując mi ramię i twarz.

— Czy ta droga biegnie prosto do domu Charliego? — zawołałem, przekrzykując bębnienie w dach wozu.

Aaron pochylał się nad kierownicą i usiłował przetrzeć szybę od wewnątrz.

— Nie, nie, ta droga zatacza pętlę. Zapewnia dojazd do podstawy energetycznej. Nowa prywatna droga do domu Charliego odchodzi od niej. Miałem zamiar wysadzić cię przy rozjeździe, ponieważ nie mam żadnego pretekstu, żeby tam jechać.

Wydawało mi się to całkiem rozsądne.

— Jak daleko jest do domu od skrzyżowania?

— Jeśli nie pomylili skali na zdjęciu, to niecałe dwa kilometry. Musisz tylko trzymać się drogi.

Ulewa nie ustawała, gdy powoli jechaliśmy pod górę. Pochyliłem się i sięgnąłem pod fotel, usiłując znaleźć coś do owinięcia dokumentów. Nie miałem zamiaru zostawić ich Aaronowi. Wolałem przez cały czas trzymać je przy sobie, jak książkę szyfrów.

Aaron zerknął na mnie.

— Czego ci potrzeba?

Wciąż pochylał się nad kierownicą, jakby w ten sposób mógł lepiej widzieć drogę, po której wlekleśmy się w tempie piętnastu kilometrów na godzinę.

Wyjaśniłem.

— Na pewno znajdziesz coś z tyłu. Niedługo będziemy na miejscu. To najwyżej cztery kilometry.

Doskonale. Usiadłem wygodnie i poddałem się hipnotyzującemu działaniu padającego deszczu.

Podążyliśmy drogą, która skręciła w prawo, a potem Aaron zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Wyciągnął rękę przed siebie.

— Ta droga prowadzi do rezydencji. Jak już powiedziałem, mniej więcej dwa kilometry stąd. Mówią, że Charlie widzi z niej wschód słońca nad Morzem Karaibskim i zachód nad Pacyfikiem. Co mam teraz robić?

— Najpierw zaczekaj, aż przesiądę się do tyłu.

Wysiadłem i włożyłem kurtkę. Widoczność spadła do najwyżej

dwudziestu metrów. Deszcz tłukł mi w czubek głowy i ramiona. Przeszedłem na tył mazdy i otworzyłem drzwi. Zanim zdążyłem to zrobić, byłem przemoczony do nitki. Dobrze chociaż, że nie był to jeden z tych krajów, w których przemoknięcie oznacza pewne zapalenie płuc.

Przetrasnąłem bagażnik. Do przepierzenia pikapa były przymocowane elastycznymi taśmami cztery wojskowe, dwudziestopięciolitrowe kanistry z benzyną. Przynajmniej nie zabraknie nam paliwa. Wokół nich leżały porzucane poźółkle gazety, podnośnik, nylonowa linka holownicza i tym podobne bambetle, potrzebne w takim rupieciu jak ten. Wśród nich znalazłem to, czego szukałem: dwie plastikowe reklamówki. Jedna zawierała stary zatłuszczony kombinezon, a druga tylko trochę zeschniętego błota i liści. Wytrząsałem te śmieci, włożyłem paszport, bilet i portfel do pierwszej reklamówki i zwinąłem ją. Potem włożyłem pakunek do drugiej, mocno owinąłem i schowałem do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Ponownie rozejrzałem się wokół, ale nie znalazłem nic, co mogłoby mi się przydać podczas rekonesansu. Zatrzasnąłem drzwi, podszedłem do kabiny od strony kierowcy i przysunąłem twarz do uchylonego okna.

— Możesz dać mi ten kompas, kolego?

Musiałem krzyczeć, żeby mnie usłyszał.

Aaron wyciągnął rękę, odczepił kompas od deski rozdzielczej i podał mi.

— Przepraszam, nie pomyślałem. Powinienem był postarać się o lepszy, i o mapę.

Nie dałem się sprowokować i nie powiedziałem, że to żaden problem. Łupało mnie w głowie i chciałem załatwić to jak najszybciej. Woda ściekała mi po twarzy, nosie i brodzie, gdy nacisnąłem guziczek podświetlania na moim zegarku.

— Kiedy zapada zmierzch?

— O osiemnastej trzydzieści, mniej więcej.

— Właśnie minęła piętnasta trzydzieści. Odjedź stąd, jedź z powrotem do miasta albo gdzie indziej. Potem wróc dokładnie w to miejsce o trzeciej w nocy.

Skinął głową, nie zastanawiając się nad tym.

— Dobrze. Zaparkujesz tutaj i zaczekasz dziesięć minut.

Drzwi od strony pasażera zostawisz odblokowane i będziesz siedział w samochodzie, z włączonym silnikiem.

Podczas takich akcji silnik zawsze musi być włączony. Jeśli go zgasisz, złośliwość przedmiotów martwych sprawi, że już nie zdołasz go zapuścić.

— Musisz także wymyślić jakąś bajeczkę na wypadek, gdyby cię zatrzymano. Powiedz, że szukasz jakiejś rzadkiej rośliny albo czegoś takiego.

W zadumie patrzył przez przednią szybę.

— Tak, to dobry pomysł. Faktycznie, drzewa *barrigudo* często rosną przy drogach i na terenach o zachwianej równowadze ekologicznej, a...

— Doskonale, kolego, to świetnie, tylko postaraj się nie zapomnieć tej bajeczki, żeby w razie czego brzmiała przekonująco.

— W porządku.

Energicznie kiwnął głową, wciąż patrząc przez szybę i myśląc o drzewach.

— Jeśli nie będzie mnie tu do dziesięć po trzeciej, odjedź.

Wróc o czwartej i później co godzina aż do świtu, jasne?

Nie odrywając oczu od przedniej szyby, skinął głową.

— Jasne.

— Natomiast o świcie zwijaj się stąd. Przestań krążyć po tej drodze. Wróc po mnie w południe, ale nie tutaj. Bądź przy słuzie, obok bufetu. Zaczekaj godzinę, dobrze?

Znowu kiwnął głową.

— Masz jakieś pytania?

Nie miał. Uznałem, że pozostawiłem sobie dość czasu, ale gdybym ugrzązł tu na dłużej i nie stawił się na spotkanie, nie byłoby jeszcze nieszczęścia. Mogłem dotrzeć do rzeki, zmyć z siebie cały syf po przedzieraniu się przez dżunglę i przy odrobinie szczęścia

wyschnąć na słońcu, które rano wyrzy zza chmur. Wtedy nie rzucałbym się zbyt w oczy wśród normalnych ludzi przy służbie.

— A teraz najgorszy możliwy scenariusz, Aaronie. To bardzo, bardzo ważne. — Wciąż przekrzykiwałem szum ulewy. Strugi wody spływały mi po twarzy i do ust. — Jeśli do jutra w południe nie zjawię się przy służbie, to powinienes nawiązać kontakt z naszymi i dokładnie powiedzieć, co kazałem ci zrobić, dobrze?

— Dlaczego?

— Ponieważ ja zapewne będę martwy.

Milczał chwilę. Był najwyraźniej wstrząśnięty. Może nie zdawał sobie sprawy, w co tu gramy, może naprawdę wydawało mu się, że przyjechaliśmy tu podziwiać widoki.

— Zrozumiałeś?

— Jasne. Przekażę im wszystko, co do słowa.

Wciąż gapił się przez szybę, marszcząc brwi i kiwając głową. Postukałem w boczne okienko i spojrzał na mnie.

— Hej, nie martw się o mnie, kolego. Mówię to na wypadek, gdyby stało się coś najgorszego. Zobaczmy się tu o trzeciej.

Uśmiechnął się nerwowo.

— Wcześniej zatankuję, co? Ponownie postukałem w szybę.

— Dobry pomysł. Na razie, kolego.

Aaron odjechał. Deszcz szybko zagłuszył warkot silnika. Zszedłem z drogi w mroczny świat dżungli. Niemal natychmiast musiałem przedzierać się przez gąszcz krzaków i palmowych liści. Uwięziona w nich woda wylewała się na mnie.

Wszedłem prawie pięć metrów w głąb, czekając, aż Aaron odjedzie na bezpieczną odległość. Opadłem na grząską ziemię i liście, opierając się plecami o pień drzewa. Kolejna błyskawica przecięła niebo. Spływające z listowia strumienie wody odnalazły mnie i tu.

Odgarnąwszy z czoła mokre włosy, podciągnąłem kolana, oparłem o nie czoło i siedziałem tak, podczas gdy, deszcz spływał mi z

karku i ściekał po brodzie. Coś zaczęło atakować moje lewe ramię. Potarłem je, a potem mocno ścisnąłem to coś przez kurtkę, w myślach witając się z uwielbianą przez Aarona naturą. Zamiast przewodnika powinienem na lotnisku w Miami kupić jakiś środek odstraszający insekty.

Moje dżinsy były przemoczone i ciężkie i oblepiły mi nogi, kiedy wstałem. Nie byłem odpowiednio ubrany do przedzierania się przez dżunglę, ale trudno, będę musiał jakoś sobie poradzić. Jeśli mam zapolować, to powinienem zawlec tyłek tam, gdzie są kaczki. Ruszyłem z powrotem do drogi, gdzie równie dobrze mogło już nie padać. W gęstwinie nigdy tego nie wiesz, ponieważ woda kapie jeszcze długo po deszczu, opadając kroplami z liści.

Skrzyłem w prawo, w boczną drogę. Tak daleko od celu nie było sensu przedzierać się przez dżunglę. Deszcz trochę zelżał i teraz odbijał się tylko dwa lub trzy centymetry od asfaltu, lecz padał wystarczająco mocno, żeby ludzie w nadjeżdżającym pojeździe zobaczyli mnie dopiero w ostatniej chwili.

Idąc, spojrzałem na kompas. Droga wiodła pod górę i na zachód, tak jak przez cały czas od fortu Clayton. Trzymałem się blisko pobocza, by w razie czego móc skryć się w gąszczu. Nie szedłem zbyt szybko, żeby szmer moich mokrych dżinsów nie zagłuszył warkotu nadjeżdżającego samochodu.

Nie miałem pojęcia, jak wykonam zadanie, ale przynajmniej znalazłem się w dobrze mi znanym środowisku. Chciałbym, żeby zobaczyła mnie teraz pani doktor Hughes. Wiedziałyby, że jest coś, co umiem robić dobrze.

Przystanąłem i podrapałem się po nasadzie karku, by zniechęcić to coś, co zaczęło się tam posilać, a potem poszedłem dalej.

13

Po mniej więcej kilometrowej mozolnej wędrówce pod górę cały byłem mokry od deszczu i potu, włosy oblepiły mi twarz, a ubranie przywierało do ciała, jak podczas powitania dawno niewidzianego przyjaciela.

W końcu deszcz ustał i słońce wyłoniło się zza chmur, ogrzewając mi twarz i przeglądając się w mokrym asfalcie, co zmuszało mnie do mrużenia oczu. Znow nałożyłem bryle Jackie O. Spojrzałem na kompas — szedłem na zachód, z lekkim odchyleniem na północ — i sprawdziłem plastikowe woreczki. Dobrze spełniły swoje zadanie. Przynajmniej dokumenty miałem suche.

Dżungla parowała wilgocią. W koronach drzew znowu odezwały się ptaki. Szczególnie głośny był jeden, wydający dźwięk podobny do powolnego popiskiwania monitora pracy serca. Inne formy życia szeleściły w listowiu, kiedy przechodziłem obok i — jak zwykle — temu wszystkiemu towarzyszyło granie świerszczy, cykad, czy jak je tam zwą. Miałem wrażenie, że są wszędzie, w każdej dżungli, chociaż nigdy nie widziałem żadnego z tych owadów.

Nie dałem się zwieść słońcu ani szeleszczącym w gąszczu zwierzętom. Wiedziałem, że znow będzie padać. Ciemne chmury jeszcze się nie rozeszły, a w oddali wciąż przetaczały się pioruny.

Minąłem łagodny zakręt i zobaczyłem żelazną bramę, przegradzającą drogę mniej więcej czterysta metrów przede mną. Była osadzona w wysokim, bielonym murze, który po obu jej stronach znikał w głębi dżungli. Upewniwszy się, że droga biegnie na zachód, wszedłem w gęstwinię. Wślizgnąłem się w gąszcz, ostrożnie rozchylając gałęzie i liście. Nie chciałem pozostawiać połamanej roślinności – widocznego z daleka śladu, który ktoś mógłby dostrzec z drogi. Na przykład duży liść kuczawca lub paproci sam nie ukazuje swojego jaśniejszego spodu. Widać go tylko wtedy, kiedy liść odwróci ktoś przedzierający się obok. Po pewnym czasie znowu się zwróci ciemniejszą stroną do słońca, lecz do tej pory dla wprawnego obserwatora jest niczym pozostawiona wizytówka. Nie miałem pojęcia, czy ci ludzie są dostatecznie czujni, żeby zwracać uwagę na takie znaki, ale nie zamierzałem ryzykować.

Wszedłszy w gąszcz, poczułem się jak w szybkowarze: wilgoć nie ma tam ujścia i daje popalić płucom. Woda wciąż opadała kaskadami z gałęzi poruszanych przez ukryte w listowiu ptaki.

Przeszedłszy około trzydziestu metrów w linii prostej od drogi, przystanąłem i spojrzałem na kompas. Teraz zamierzałem znowu skrócić na zachód i sprawdzić, czy dotrę do muru. Jeśli go nie napotkam, po godzinie zatrzymam się, zawrócę i spróbuję ponownie. Bardzo łatwo byłoby tu „pogubić się w geografii” – jak nazywają to oficerowie. W dżungli obowiązuje jedna złota zasada: musisz ufać swojemu kompasowi, obojętnie co podpowiada ci instynkt. Ściana zieleni znajdowała się w odległości siedmiu metrów przede mną i na niej skupię całą swą uwagę, wypatrując nieprzyjaciół i szukając domu.

Kiedy ruszyłem, coś szarpnęło mnie za rękaw i pojąłem, że właśnie natrafiłem na pierwszą „poczekajkę”. To cienkie i długie pnącza najeżone maleńkimi haczykami, które wbijają się w ubranie i skórę, jak kolce jeżyna. W każdej dżungli, którą widziałem, było ich mnóstwo. Kiedy to świństwo uczepi się ciebie, możesz tylko odebrać je siłą. Gdybyś próbował odczepiać kolec po kolecu, utknąłbyś tam na wieki.

Parłem naprzód. Musiałem dotrzeć do tamtego domu przed zmierzchem, żeby przeprowadzić rekonesans, dopóki jeszcze coś widać. Ponadto nie chciałem utknąć tutaj po zmroku, gdyż nie zdążyłbym na umówione spotkanie i straciłbym sporo czasu, czekając do południa, zamiast przygotowywać się do wykonania zadania.

Mniej więcej przez pół godziny podążałem pod górę i na zachód, często wyplątując się z kęp poczekajek. Wreszcie przystanąłem i oparłem się o drzewo, żeby nabrać tchu i spojrzeć na kompas. Nie wiedziałem, co to za drzewo. Z jakiegoś dziwnego powodu potrafię rozpoznać mahoniowe, ale to nie należało do tego gatunku. Dłonie miałem już pokryte skaleczeniami i zadrapaniami piekącymi jak uządlenia os.

Ponownie ruszyłem naprzód, rozmyślając o zadaniu. W sprzyjających warunkach miałbym czas na ustalenie zwyczajów interesującego mnie obiektu, tak by załatwić go w najdogodniejszym miejscu, co dałoby mi przewagę. Nie miałem jednak na to czasu, a od Aarona dowiedziałem się tylko tyle, że Michael w tym tygodniu wróci po wakacjach na uczelnię.

Łatwo jest kogoś zabić, ale trudno potem uciec. Musiałem znaleźć najłatwiejszy i najmniej dla mnie ryzykowny sposób wykonania zadania. Mógłbym zabawić się w Rambo i zaatakować dom, lecz nie miałem tego w planie, przynajmniej na razie.

Nagle zobaczyłem otwartą przestrzeń, rozpościerającą się za ścianą zieleni sześć lub siedem metrów dalej, oblaną słońcem i pokrytą błotem. Powoli wycofałem się, aż znikła mi z oczu, po czym przystanąłem pod drzewem. Stojąc spokojnie, głęboko oddychając i ocierając pot z czoła, zacząłem wsłuchiwać się w odgłosy otaczającej mnie dżungli.

Byłem zgrzany, spocony, zdyszany i spragniony, a mimo to urzekł mnie widok skaczącego po gałęziach wyjca, starającego się zasłużyć na swoją nazwę. Po chwili energicznie klepnałem się w policzek, żeby zatłuc to coś, co wylądowało na nim, żeby powiedzieć mi cześć.

Rozpiąłem skórzany pasek, czując, jak jest nasiąknięty wilgocią,

wepchnąłem podkoszulek do spodni i wziąłem się w garść. Wiedziałem, że dzinsy wkrótce znów zaczną lepić mi się do tyłka, ale to nie miało znaczenia — chciałem choć trochę poprawić sobie humor. Czułem już, jak rośnie mi kolonia śwędzących bąbli na karku i jeden wielki na lewej powiece.

Mój podstawowy plan rozpoznania zakładał działanie imitujące ruchy elektronicznej zabawki, która jedzie przed siebie, aż natrafi na ścianę, odbija się od niej, zawraca, odjeżdża, po czym ponownie zawraca i uderza w mur w innym miejscu.

Musiałem odpowiedzieć sobie na wiele pytań. Ilu było ochroniarzy i czy byli młodzi, czy starzy? Czy wyglądali na czujnych i/lub uzbrojonych? A jeśli tak, to jaką mieli broń? Czy dom miał instalację alarmową, jak rozmieszczoną i jak zasilaną?

Najlepszym sposobem znalezienia tych odpowiedzi była jak najdłuższa obserwacja celu. Niektóre wątpliwości można rozwiązać na miejscu, ale wiele pojawi się dopiero wtedy, kiedy siądziesz przy filiżance kawy i spróbujesz opracować jakiś plan. Im dłużej tu pozostanę, tym więcej zbiorę informacji, które później mogą okazać się przydatne.

Najważniejsze pytanie — czy będę musiał odstawić Rambo? — pozostawało bez odpowiedzi, dopóki nie dotrę do celu. Pomyślałem o Potakiwaczu i Sundance. Wiedziałem, że będę musiał to zrobić, jeśli nie będzie innego wyjścia. Zaraz jednak wróciłem myślami do rzeczywistości — zamiast snuć ponure rozważania, powinienem przeciągnąć tyłek przez tę błotnistą polanę i sprawdzić, co za nią jest.

Wpatrując się w ścianę zieleni, ostrożnie ruszyłem dalej.

Ujrzałem promienie słońca odbijające się w oddalonych o sześć metrów kałużach wody i powoli opadłem na ziemię, w błoto i gnijące liście. Opierając się na zgiętych w łokciach rękach i czubkach butów, utrzymując ciało tuż nad powierzchnią ziemi, powoli poczłogałem się naprzód, starając się omijać suche, jasnożółte palmowe liście. One zawsze wydają głośny trzask przy nadeptnięciu, nawet kiedy są mokre.

Miałem wrażenie, że znów jestem w Kolumbii i podchodzę do

wrogiego obozu, aby przeprowadzić zwiad i zebrać informacje niezbędne do opracowania planu ataku. Nigdy nie sądziłem, że dziesięć lat później wciąż będę tkwił w tym gównie.

Co pół metra zatrzymywałem się i unosiłem głowę, wypatrując i nasłuchując, jednocześnie wyciągając żądelka z szyi i dłoni dotkliwie pokąsanych przez robactwo. Zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę tak kocham dżunglę. Doszedłem do wniosku, że tak, ale tylko na stojąco.

W tym wilgotnym klimacie udawanie aligatora było ciężką pracą i szybko się zasapałem, a tuż przy ziemi każde sapnięcie wydawało się dziesięć razy głośniejsze. Nawet liście zdawały się szeleścić głośniej niż zwykle. Kłujący ból między żebrami też nie ułatwiał mi pracy, lecz wiedziałem, że zapomnę o tym wszystkim, jak tylko zobaczę dom.

Pelźłem w kierunku ściany światła, a różne roślinne resztki wciskały mi się do rękawów kurtki oraz za pasek spodni. Plastikowe woreczki cicho szeleściły w kieszeni. Teraz, kiedy dzinsy zsunęły mi się do pośladków, kawałki gałązek i połamanych liści znalazły drogę do mojego brzucha. Nie była to przyjemna wycieczka.

Jeszcze metr i zastygłem, nasłuchując i wypatrując. Powoli otarłem pot zalewający oczy, które same mi się zamykały, po czym rozkwasilem jakiegoś latającego potwora, któremu spodobał się mój policzek. Przed sobą wciąż widziałem tylko słońce i błoto, ale wiedziałem, że zobaczę coś więcej dopiero wtedy, kiedy doczołgam się na skraj gęstwiny.

Pierwszym istotnym szczegółem, jaki dostrzegłem, była druciana siatka, rozpięta wzdłuż linii drzew. Ostrożnie podczołgałem się do najbardziej kłujących i gęstych krzaków na skraju polany i wpelźłem pomiędzy nie, kalecząc dłonie o ich kolce. Te były tak ostre, że bólu ukłucia nie odczuwało się od razu, tylko po kilku sekundach, jak po cięciu brzytwą.

Leżąc na brzuchu, oparłem brodę na dłoniach i zacząłem obserwację, usiłując zapamiętać każdy szczegół. Gdy tylko przestałem się poruszać, robactwo sformowało nade mną zwarty szyk i zaczęło

krażyć jak stado boeingów czekających na lądowanie na Heathrow.

Miałem przed sobą siatkę o dużych oczkach, mającą powstrzymać raczej dzikie zwierzęta, a nie ludzi. Dom najwidoczniej wybudowano niedawno i wyglądało na to, że Charlie Chan tak bardzo spieszył się z przeprowadzką, że nie zadbał o należytą ochronę.

Otwarta przestrzeń przede mną była lekko wznoszącym się płaskowyżem o powierzchni około dwudziestu akrów. Pnie drzew sterczały tu i ówdzie niczym połamane zęby, czekające na wyrwanie lub wysadzenie przed założeniem trawnika. Z miejsca, gdzie leżałem, nie widziałem żadnego oceanu, jedynie drzewa i niebo. Wokół leżały rozgniecione gąsienicami buldożerów drzewka i krzewy, lecz pod każdym innym względem po odejściu Amerykanów interesy Choi i jego kompanii najwyraźniej kwitły. Budowla bardziej przypominała luksusowy hotel niż rodzinny dom. Główny budynek wznosił się nie dalej jak trzysta metrów po mojej lewej. Znalazłem się nieco z boku, na jednej linii z murem i bramą—widocznie minąłem narożnik i wyszedłem z drugiej strony. Z tego miejsca dobrze widziałem front budynku i jedną boczną ścianę. Dom był masywną, dwupiętrową rezydencją w mauretańskim stylu, z oślepiającą białymi ścianami, balkonami z kutego żelaza i nieskazitelnie czerwonymi dachówkami. Z dachu sterczała szklana wieżyczka. To pewnie z niej widać było dwa oceany.

Wielospadowy dach opadał na wszystkie cztery strony, osłaniając liczne werandy i podcienia. Na prawo od domu skrzył się basen otoczony patio. Na trawnikach poustawiano kamienne, pseudo-rzymskie kolumny mające nadawać temu miejscu wygląd rezydencji z „Gladiatora”. Brakowało tylko kilku posągów szesnastowiecznych Hiszpanów, ze szpadami i bufiastymi spodniami.

Za ogrodzeniem znajdowały się cztery korty tenisowe. Opodal z ziemi sterczały trzy duże talerze anten satelitarnych. Może Charlie lubił oglądać mecze rugby albo sprawdzać, jak według Nasdaq ma się jego interes z praniem brudnych pieniędzy.

Sześć lśniących nowością samochodów i pikapów, włącznie z lexusem, parkowało za dużym owalnym podjazdem, który otaczał ozdobną kamienną fontannę i prowadził do frontowych drzwi, mniej więcej trzysta metrów na lewo ode mnie. Przyjrzałem się pojazdom. Szczególnie jeden przykuł moją uwagę. Granatowe auto marki GMC Suburban z przyciemnionymi szybami.

Największe wrażenie robił biało-żółty śmigłowiec Jet Ranger, wykorzystujący część podjazdu jako lądowisko. Doskonały pomysł na poranne korki.

Leżałem nieruchomo i obserwowałem, ale nie widziałem żadnych oznak życia. Otworzyłem usta, starając się stłumić odgłos przelknięcia śliny i wychwycić jakieś dźwięki, lecz znajdowałem się za daleko od budynku, a jego mieszkańcy byli zbyt mądrzy: siedzieli w środku, w klimatyzowanych wnętrzach.

Stopniowo pokrywałem się bąblami. Widziałem tysiące wielkich czerwonych mrówek, maszerujących kilkanaście centymetrów przed moim nosem i niosących kawałki liści, które czasem były dwa razy większe od nich. Licząca kilkaset owadów szpica wysunęła się nieco naprzód i torowała drogę, a pozostałe maszerowały w tak zwartym szyku, że słyszałem towarzyszący temu szmer.

Ponownie skupiłem uwagę na obiekcie i poczułem bardzo nieprzyjemny odór. Szybko uświadomiłem sobie, że jego źródłem jestem ja sam. Byłem mokry, pokryty błotem, liśćmi, gałązkami i swędzącymi bąblami od ukąszeń owadów. Jakiś nowy gość zaczął uctować na moim odsłoniętym karku. Musiałem wyrazić na to zgodę: jedyne ruchy, na jakie mogłem sobie pozwolić, wykonywałem gałkami ocznymi. Może jutro znów pokocham dżunglę, ale w tym momencie pragnąłem rozvodu. Po prawie dwudziestu latach pożycia potrzebowałem odrobiny wytchnienia.

Przynajmniej nie musiałem udawać elektrycznej zabawki i krążyć wokół obiektu. Z tego miejsca widziałem wszystko, co chciałem zobaczyć. W dzień nie zdołałbym podejść do budynku — otaczał go

zbyt szeroki pas odsłoniętego terenu. Być może w nocy byłoby to równie trudne — nie wiedziałem, czy mają tu noktowizory lub kamery telewizyjne na podczerwień, więc musiałem zakładać, że tak.

Moje problemy nie kończyły się na tym. Gdybym nawet jakoś dostał się do domu, gdzie znalazłbym Michaela? Tylko Errol Flynn może wejść głównym wejściem i schować się za kotarą przed stadami uzbrojonych strażników.

Zmieniłem rękę, na której opierałem brodę, po czym zacząłem przyglądać się temu, co działo się tuż przede mną. Musiałem co chwila zamykać piekące oczy i znowu skupiać wzrok. Kolumna mrówek posuwała się żwawo, a kilka centymetrów przed moim nosem wylądował duży czarny motyl. Na chwilę znów wróciłem myślami do Kolumbii. Wszystko, co duże i kolorowe, łapaliśmy dla Bernarda. Miał ponad metr osiemdziesiąt, ważył sto dwadzieścia kilo i wyglądał tak, jakby zjadał dzieci na śniadanie. Ku powszechnemu zaskoczeniu, zbierał motyle i ćmy dla swojej matki. Kiedy wracaliśmy z patrolu do obozu, w lodówce zamiast drinków i Marmite znajdowaliśmy mnóstwo słoików ze skrzydlatymi okazami. Nikt jednak nie uskarżał się na to, żeby nie zostać przybity do ściany, jak owad.

W oddali powoli przetoczył się grzmot, rozgrzane powietrze drżało nad otwartą przestrzenią wokół domu, a błoto lekko parowało.

Byłoby cudownie wyrwać się stąd i wyciągnąć na słońcu, daleko od tego świata półmroku i robactwa. Przenikliwe bzyczenie, z jakim owady atakowały moją głowę, było niczym świst wiertła sadystycznego dentysty, a plecy podgryzał mi stwór o zdecydowanie psychopatycznych skłonnościach.

Dostrzegłem jakieś oznaki życia przed domem.

Z frontowych drzwi wyszli dwaj mężczyźni w białych koszulach i krawatach oraz jeden w szokująco różowej hawajskiej koszuli; ten ostatni wsiadł do GMC. Mój przyjaciel Pizza. Pozostali dwaj wsiadli do pikapa, a czwarty wybiegł z domu i wskoczył na skrzynię. Stojąc,

oparty o kabinę, wyglądał jak przewodnik karawany, gdy pikap objechał fontannę i ruszył w kierunku bramy, a GMC za nim. Ten czwarty mężczyzna nie był ubrany tak elegancko jak ci dwaj w kabinie: miał wysokie czarne buty, a pod pachą trzymał słomkowy kapelusz i jakieś zawiniątko.

Oba samochody przystanąły na jakieś trzydzieści sekund, czekając, aż otworzy się brama, która zamknęła się, gdy tylko znikły mi z oczu.

Podmuch wiatru zakołysał drzewami na skraju gęstwiny. Niedługo nadejdzie kolejna fala deszczu. Powiniennem ruszać, jeśli chcę wydostać się z dżungli przed zmrokiem. Zacząłem wycofywać się na łokciach i czubkach stóp, potem na czworakach, aż w końcu, skryty za ścianą zieleni, podniosłem się z ziemi. Energicznie otrząsnąłem się i otrzepałem, wepchnąłem podkoszulek do spodni, przeganiałem włosy palcami i poczochrąłem się o pień drzewa. Chyba dostałem jakiejś wysypki na plecach, bo swędziły mnie nie-miłosiernie. Moja twarz pewnie wyglądała już jak po dziesięciu rundach. Powieka spuchła mi tak, że ledwie widziałem na lewe oko.

Według zegarka było dopiero po piątej, ale zmrok mógł zapaść już po godzinie, gdyż w gąszczu szybciej robi się ciemno. Piekielnie chciało mi się pić, musiałem jednak z tym zaczekać, aż spadnie deszcz.

Teraz zamierzałem pójść na południe, w kierunku drogi, a potem skręcić w prawo i iść wzdłuż niej przez dżunglę, aż dotrę na skraj otwartej przestrzeni w pobliżu bramy. Tam siądę i pod osłoną mroku będę obserwował obiekt. W ten sposób później będę mógł szybko dotrzeć asfaltem do rozjazdu i zdążyć na spotkanie z Aaronem, zamiast tkwić tutaj przez całą noc.

Zacząłem przedzierać się przez gęstą ścianę wilgoci. Przez liście często dostrzegałem mokry asfalt i ciemne, ponure niebo, a wokół mnie z donośnym brzęczeniem zaczęły spadać na ziemię wielkie chrząszcze. Wydawały dźwięki przypominające wzmocnione przez megafon ćwierkanie świerszczy. Informowały mnie, że Bóg zaraz zgasi tu światło i pójdzie spać.

Odległy pomruk gromu przetoczył się echem nad czubkami drzew, a potem zapadła cisza, jakby dżungla wstrzymała oddech. Pół minuty później poczułem pierwsze krople deszczu. Ich bębnienie o liście zagłuszyło jazgot chrząszczy, a po chwili piorun uderzył gdzieś blisko. Po kolejnych trzydziestu sekundach woda przedostała się przez listowie i znów zalewała mi głowę i ramiona.

Skręciłem w prawo i poszedłem w kierunku ogrodzenia, podążając siedem lub osiem metrów od drogi. W duchu przygotowywałem się na spędzenie paskudnych kilku godzin w ciemnościach. W każdym razie lepiej zabijać czas, obserwując obiekt, niż beczynnienie czekać przy rozjeździe na Aarona. Czas spędzony na zwiadach rzadko bywa stracony. Przynajmniej nie musiałem się już czołgać: dom znajdował się za daleko, żeby mogli mnie z niego dojrzeć.

Szedłem dalej, usiłując poukładać w myślach wszystkie zebrane dotychczas informacje. Co mniej więcej dwadzieścia kroków przystawałem i sprawdzałem kompas, podczas gdy nad baldachimem z gałęzi dudniły pioruny, a deszcz wybijał werbel na liściach i mojej głowie. Dżinsy pękły mi w strategicznym miejscu, ale to bez znaczenia — później doprowadzę się do porządku. Zacząłem ślizgać się i grzęznąć w błocie skrytym pod warstwą liści. Chciałem tylko dotrzeć do ogrodzenia, zanim zapadnie zmrok.

W pewnej chwili upadłem na kolana i odkryłem, że w błocie tkwią też kamienie. Przez moment siedziałem w tej mazi, w deszczu zalewającym mi oczy i ściekającym po karku, czekając, aż przestanie mnie boleć. Przynajmniej było mi ciepło.

Wstałem, wciąż powstrzymując chęć rozdrapania do krwi swędzących pleców. Kilka metrów dalej drogę zagroził mi wielki pień spróchniałego drzewa. Nie miałem zamiaru obchodzić go, bo potem znów musiałbym sprawdzać kierunek z kompasem w rękę, więc po prostu położyłem się na pniu i przetoczyłem na drugą

stronę. Kora zeszła przy tym jak skóra z pęcherza, a klucie w piersi przypomniało mi o pogawędce, jaką ucieli sobie ze mną w garażu Sundance i jego kumpel.

Kiedy wylądowałem po drugiej stronie, patrząc pod nogi i otrzepując się z kory, kątem oka dostrzegłem coś niezwykłego, coś, czego nie powinno tu być.

W dżungli nie ma linii prostych ani idealnych płaszczyzn — wszystko jest nierówne. Wszystko prócz tego.

Mężczyzna gapił się na mnie, stojąc nieruchomo pięć czy sześć metrów dalej.

14

Miał na sobie wojskową amerykańską pelerynę z kapturem. Deszcz ściekał mu ze słomkowego kapelusza z szerokim rondem, który nasadził sobie na kaptur.

Był niski, najwyżej metr siedemdziesiąt, i stał zupełnie nieruchomo, a gdybym mógł dostrzec jego oczy, zapewne byłyby szeroko otwarte i rozbiegane, pełne wahania. Walczyć czy uciekać? Z pewnością wpadł w popłoch. Ja też.

Powiodłem wzrokiem po pierwszych dwudziestu centymetrach sterczącej spod zielonej peleryny maczety, której rękojeść ścisnął w prawej dłoni. Słyszałem, jak deszcz wygrywa werbel na napiętym nylonie, zanim spłynie z niego na czarne buty.

Nie odrywałem oczu od odsłoniętej części ostrza, które zapewne miało pół metra długości. Kiedy się poruszy, wyjmie je całe spod płaszcza.

Nic się nie działo,, trwaliśmy w bezruchu i w milczeniu, ale wiedziałem, że jednemu z nas stanie się krzywda.

Staliśmy tak przez piętnaście sekund, długich jak piętnaście minut. To nie mogło trwać wiecznie. Nie wiedziałem, co on zamierza zrobić — myślę, że sam jeszcze nie wiedział — ale ja na pewno nie zamierzałem stawać z gołymi rękami przeciwko maczecie, choć mogłem się bronić nożyczkami. Ale wyjęcie noża i otwarcie go trwałoby o wiele za długo.

Mimo wszystko sięgnąłem prawą ręką do nasiąkniętej, śliskiej

pochewki. Zdrętwiałymi palcami pospiesznie otworzyłem zapięcie i chwyciłem stalowy scyzoryk. Przez cały czas nie spuszczałem z oka nieruchomej maczety.

Zdecydował się: wrzasnął przeraźliwie i skoczył ku mnie.

Ja również podjąłem decyzję: odwróciłem się i pobiegłem w kierunku drogi. Zapewne myślał, że sięgam po pistolet. Chciałbym, żeby tak było.

Uciekając przed nim, wyciągnąłem scyzoryk i rozłożyłem rączki, otwierając nożyce.

Facet coś krzyczał. Co? Wzywał pomocy? Nakazywał mi stanąć? To nie miało znaczenia — dżungla i tak pochłaniała te dźwięki.

Uczepiła się mnie poczekajka, lecz w tym momencie była dla mnie jak papierowy sznurek. Za plecami słyszałem łopot nylonowej peleryny i adrenalina dodawała mi sił.

Już widziałem asfalt... Kiedy dobiegnę do drogi, nie zdoła mnie dogonić w tych wysokich butach. Poślizgnąłem się i usiadłem na tyłku, ale nie wypuściłem z ręki scyzoryka, jakby od niego zależało moje życie. Bo tak też było.

Podniosłem wzrok. Dobiegł do mnie, zatrzymał się i podniósł maczetę do ciosu. Oczy miał wielkie jak spodki. Wbiłem dłoń w błoto i rozpaczliwie odepchnąłem się od ziemi, usiłując wstać. Wrzasnął przeraźliwie i ostrze mignęło w powietrzu. Najwidoczniej było tandetne, bo wydało nieprzyjemny brzęk, zawadziwszy o młode drzewko. Impet sprawił, że napastnik odwrócił się plecami do mnie, nie przestając wrzeszczeć nawet wtedy, kiedy sam też stracił równowagę i runął na tyłek.

Padając, zaczepił peleryną o kępę poczekajki. Ściskając scyzoryk w prawej dłoni, lewą złapałem napięty materiał i szarpnąłem z całej siły, nie mając pojęcia, po co to robię. Wiedziałem tylko, że muszę odebrać mu tę maczetę. To był jeden z ludzi Charliego, a ci chłopcy krzyżowali i zabijali swoje ofiary. Nie zamierzałem ustawić się jako następny w kolejce.

Szarpnąłem ponownie, kiedy upadł na kolana, tym razem przewracając go na plecy. Mocniej chwyciłem materiał peleryny i

pociągnąłem, wstając i dusząc go nylonowym kapturem. Słyszałem pluszczący o asfalt deszcz. Pociągnąłem go — wierzgającego — w tłumiący wrzaski gąszcz, w dalszym ciągu niezbyt wiedząc, co dalej.

Chwylił lewą ręką za kaptur, usiłując rozluźnić zaciśnięty na szyi nylon. W prawej trzymał maczetę. Nie widział mnie, ale uderzył nią za głowę, rozpaczliwie usiłując mnie trafić. Ostrze przecięło pelerynę. Wrzeszcząc co sił w płucach ze strachu i gniewu, wierzgał nogami niczym epileptyk. Ja uchylałem się, robiąc uniki jak bokser, nie wiadomo po co — po prostu instynktownie reagując na ostrą stal, która przecinała powietrze tuż przed moim nosem. Jego tyłek rył bruzdę w opadłych liściach i gałęziach palm. Musiało to wyglądać jak zmagania strażnika leśnego, usiłującego wywlec z wody wkurzonego krokodyla. Usiłowałem wciągnąć faceta w dżunglę i jednocześnie nie dać się trafić tym świszczącym ostrzem.

Niestety, mimo moich wysiłków udało mu się to — trafił mnie w prawą łydkę.

Wrzasnąłem z bólu, ale nie puściłem i wciągałem go w gąszcz. Nie miałem wyboru, bo gdybym przestał, on zdołałby wstać. Pieprzyć to, czy ktoś nas usłyszy; teraz walczyłem o życie.

Krokodyl miotał się i wił na ziemi, gdy w pobliżu znów uderzył piorun — potworny łoskot zdawał się trwać bez końca. Niebo z trzaskiem przecięł zygzak błyskawicy, zagłuszając krzyki mojego przeciwnika i bębnienie deszczu.

Ostry ból rozchodził się od łydki po całym moim ciele, ale nie mogłem na to poradzić, więc wciągałem faceta jeszcze głębiej w dżunglę.

Nie zauważyłem leżącego pnia. Zawadziłem o niego nogami, straciłem równowagę i poleciałem do tyłu, nie wypuszczając z ręki peleryny. Uderzyłem plecami o palmę, z której spłynęły strugi deszczówki.

Natychmiast zapomniałem o bólu nogi. Miałem teraz ważniejszą sprawę na głowie, na przykład jak zachować się przy życiu.

Facet poczuł, że nylon przestał zaciskać się na jego szyi, i natchmiast się odwrócił. Gramoląc się z ziemi, już podnosił maczetę. Pospiesznie wycofałem się na czworakach, znów usiłując wstać i trzymać się poza zasięgiem ostrza.

Klnąc i wrzeszcząc po hiszpańsku, napadł na mnie jak wariat. Zobaczyłem parę dziko wytrzeszczonych oczu, gdy uniósł maczetę. Rzuciłem się w tył i jakoś zdołałem poderwać się na równe nogi. Czas uciekać.

Za plecami usłyszałem świst przecinającego powietrze ostrza. To stawało się irytujące. Miałem tu umrzeć.

Pieprzyć to, muszę zaryzykować.

Odwrociłem się i skoczyłem na niego, zgięty wpół, tak że odsłaniałem tylko plecy. Mierzyłem w tę część peleryny, za którą powinien znajdować się brzuch. Wrzasnąłem, ile tchu w płucach, bardziej żeby dodać sobie animuszu, niż przestraszyć przeciwnika. Jeśli nie będę dość szybki, zaraz się o tym dowiem, kiedy jego ostrze wbije mi się między łopatki.

W prawej dłoni wciąż ściszałem scyzoryk. Uderzyłem wroga bykiem i poczułem, że się pochylił. Lewą ręką objąłem go w pasie, usiłując unieruchomić dłoń, w której trzymał maczetę.

I pchnąłem nożycami w jego brzuch.

Obaj poleciliśmy do tyłu. Ostrza nożyczek jeszcze nie przebiły jego skóry — uwięzły w pelerynie i ubraniu, które miał pod spodem. On również wrzasnął, zapewne czując, że próbuję go dźgnąć.

Wpadliśmy na drzewo. On uderzył o nie plecami, a ja uniosłem głowę i próbowałem wbić mu nożyczkę w brzuch, wzmacniając pchnięcie całym ciężarem ciała. Zawył z bólu, naprężając mięśnie brzucha. Ja pchałem dalej, napierając na niego coraz mocniej. Z boku musiało to wyglądać tak, jakbym usiłował go zgwałcić. W końcu poczułem, że ostrza wchodzi w ciało. Jak gdybym wbijał je w warstwę gumy, a kiedy już w niej utkwia, nie da się ich wyrwać.

Okręciłem ostrza, starając się pogłębić ranę. Trzymałem głowę nad jego lewym ramieniem i sapiałem przez zaciśnięte zęby, a on

wrzeszczał mi tuż nad uchem. Zobaczyłem, jak szczerzy zęby, usiłując mnie ugryźć, i uderzyłem go głową w twarz, by temu zapobiec. Ryknął z bólu tak donośnie, że poczułem jego oddech na policzku. W tym momencie już nie wiedziałem, czy wciąż ściska w dłoni maczetę. Czulem zapach wody kolońskiej, a na szyi dotyk gładko wygolonego policzka, gdy wiał się w moim uścisku, rozpaczliwie próbując się wyrwać. Widocznie powiększył przy tym ranę, bo zaczął silnie krwawić. Krew wypływała z dziury w pelerynie i czulem jej ciepło na moich dłoniach. Nie przestawałem napierać na niego całym ciężarem ciała, przyciskając go do drzewa.

Wrzeszczał coraz ciszej i czulem na twarzy jego słabnący oddech. Rękę prawie wepchnąłem mu do brzucha, razem z materiałem peleryny. Poczułem odór treści pokarmowej.

Opadł na mnie bezwładnie, aż osunąłem się na kolana. Dopiero wtedy cofnąłem rękę. Gdy wyjąłem scyzoryk i kopniakiem odepchnąłem przeciwnika, facet zwinął się w kłębek na ziemi. Może płakał — trudno powiedzieć.

Pospiesznie wycofałem się, podniosłem upuszczoną przez niego maczetę, po czym usiadłem pod drzewem, z trudem łapiąc oddech, niewymownie wdzięczny, że już po wszystkim. Kiedy trochę ochłonałem, znów poczułem ból w nodze i piersiach. Podciągnąłem przeciętą prawą nogawkę dżinsów i obejrzałem ranę. Na łydce miałem skaleczenie długości dziesięciu centymetrów — niezbyt głębokie, ale wystarczająco mocne, by paskudnie krwawiło.

Moja ręka, w której ściskałem scyzoryk, wyglądała znacznie gorzej, ponieważ deszcz rozcieńczył krew mojego wroga. Usiłowałem rozłożyć ostrze, ale nie mogłem, bo trzęsły mi się dłonie, trochę z wysiłku, a trochę pod wpływem szoku. W końcu pomogłem sobie zębami i gdy wreszcie otworzyłem ostrze, pociąłem nim na pasy rękawy podkoszulka. Używając ich jako prowizorycznych bandaży, owinąłem nogę, żeby powstrzymać krwawienie.

Przez ponad pięć minut siedziałem w błocie, a deszcz zalewał

mi twarz, oczy i usta, ściekał z nosa. Gapilem się na tamtego, wciąż zwiniętego w kłębek, pokrytego błotem i liśćmi. Peleryna podwinęła mu się do piersi jak podciągnięta kiecka i deszcz wciąż bębnił o zielony nylon. Obie dłonie przyciskał do brzucha. Sącząca mu się między palcami krew połyskiwała. Nieznacznie poruszał nogami, jakby próbował biec.

Było mi go żal, ale nie miałem innego wyjścia. Kiedy zaczął machać tą ostrą jak brzytwa stałą, tylko jeden z nas dwóch mógł pozostać żywy.

Nie byłem szczególnie dumny z siebie, lecz zepchnąłem to uczucie w najgłębszy zakamarek świadomości i zatrzasnąłem klapę, gdy zauważyłem, że facet wcale nie był przypadkowo napotkanym drwalem. Miał czyste i wypielęgnowane paznokcie, a chociaż teraz oblepiło go błoto i liście, zobaczyłem, że jest starannie ostrzyżony, w kancik na karku, z równymi baczkami. Latynos, trochę po trzydziestce, przystojny i starannie ogolony. Znak szczególny: zrosnięte brwi.

To nie był robotnik rolny, lecz chłopak z miasta — ten, który stał na pace pikapa. Jak powiedział Aaron, ci faceci nie żartowali. Bez namysłu posiekałby mnie na plasterki. Tylko co on tu robił?

Siedziałem i patrzyłem na niego. Zapadał zmrok, a deszcz i pioruny wygrywały nad baldachimem liści swoją ponurą symfonię. Ta potyczka zakończyła mój rekonesans, teraz obaj powinniśmy stąd zniknąć. Na pewno zauważą jego nieobecność. Może już zauważyli. Przyjdą go tu szukać, a jeśli wiedzą, gdzie był, szybko go znajdą, jeżeli go tu zostawię.

Złożyłem zakrwawiony scyzoryk i schowałem do pochewki, zastanawiając się, czy Jim Leatherman wyobrażał sobie kiedyś, że jego wynalazek może być wykorzystany w taki sposób.

Domyślałem się, że jestem teraz bliżej ogrodzenia niż drogi. Jeśli pójde wzdłuż niego, łatwiej będzie mi podążać po ciemku przez dżunglę.

Jednobrewy oddychał płytko i szybko i wciąż przyciskał dłonie do brzucha. Skrzywiony z bólu, mamrotał coś do siebie. Rozchyliłem

mu powiekę. Nawet przy tym słabym świetle źrenice powinny reagować, zwężając się znacznie szybciej. Facet najwyraźniej odchodził.

Poszedłem poszukać jego kapelusza, trzymając maczetę w rękę. Była tandetna, z plastikową rączką przymocowaną po obu stronach bardzo cienkiego, poznaczonego cętkami rdzy ostrza.

Co z nim zrobić, kiedy wydostaniemy się stąd? Jeśli nadal będzie żył, nie zabiorę go do szpitala, ponieważ opowiedziałby o spotkaniu ze mną, co zaalarmowałoby Charliego i zagroziło misji. Z pewnością nie mogłem zawieźć go do Aarona i Carrie, bo naraziłbym ich na niebezpieczeństwo. Wiedziałem tylko, że muszę zabrać go jak najdalej od tego domu. Później coś wymyślę.

Znalazłszy kapelusz, wróciłem do Jednobrewego, chwyciłem go za prawą rękę i strażackim chwytem przerzuciłem sobie przez ramię. Jęczał i stękał, usiłując mnie kopnąć. Złapałem jego prawą rękę i nogę, po czym kilka razy lekko podskoczyłem, poprawiając chwył. Pozbawiłem przy tym rannego tej odrobiny tchu, jaką zdołał złapać, niewątpliwie jeszcze pogarszając jego stan, ale nic innego nie mogłem zrobić. Peleryna opadła mi na twarz i musiałem ją odgarnąć. Wolną ręką podniosłem kapelusz i maczetę, potem zerknąłem na kompas i ruszyłem w kierunku ogrodzenia.

Zrobiło się już znacznie ciemniej i ledwie widziałem, gdzie stawiam stopy. Na karku poczułem jakąś ciepłą ciecz, cieplejszą od deszczu. Domyśliłem się, że to jego krew. Włókłem się naprzód, co chwilę przystając, żeby sprawdzić wskazania kompasu. Teraz najważniejsze było to, żeby dotrzeć do drogi i zdążyć na spotkanie. Po kilku minutach doszedłem do płotu. Piski chrząszczy osiągnęły crescendo. Za kwadrans zrobi się zupełnie ciemno.

Przede mną, na otwartym i pogrążonym w półmroku terenie, wznosiła się ściana deszczu walącego w błoto z taką siłą, że pozostawał w nim małe kraterzy. W budynku pozapalano już światła, a

w jednym pomieszczeniu, zapewne w holu, przez wysokie okno zobaczyłem ogromny kandelabr. Fontanna była podświetlona, ale nie widziałem zdobiącego ją posągu. Ucieszyłem się, gdyż to oznaczało, że ludzie w budynku nie mogą dostrzec mnie.

Przez kilka minut podążałem wzdłuż siatki. Głowę i pelerynę mojego pasażera upodobały sobie poczekajki, zmuszając mnie do przystawiania i uwalniania go. Przez cały czas nie spuszczałem budynku z oka. Natrafiłem na ścieżkę wyglądającą na wydeptaną przez jakieś małe zwierzęta, biegnącą wzdłuż ogrodzenia i szeroką na pół metra. Podążyłem nią, nie martwiąc się już, że pozostawię ślady w tym błocie. Zatrze je deszcz.

Przeszedłem najwyżej tuzin kroków, kiedy zraniona lewa noga uciekła mi w bok i razem z pasażerem runęliśmy w chaszczę. Rozpaczliwie wierzgnąłem. Miałem wrażenie, że niewidzialna dłoń złapała mnie za kostkę. Usiłowałem kopać, ale to coś trzymało mnie mocno. Chciałem odczołgać się, lecz nie mogłem. Leżący obok mnie Jednobrewy głośno jęknął z bólu.

Spojrzałem na moją kostkę i dostrzegłem nikły błysk metalu. Drut. Wpadłem w sidła i im bardziej się szarpałem, tym pętla zaciskała się mocniej. Odwróciłem się, sprawdzając, gdzie jest Jednobrewy. Skulił się w swoim własnym świetle, nie zwracając uwagi na pioruny i zygzaki błyskawic przecinające nocne niebo.

Z łatwością poluzowałem pętlę. Wstałem, podszedłem do rannego i ponownie zarzuciłem go sobie na plecy, po czym wróciłem na szlak. Po kolejnych pięciu minutach wędrówki dotarłem do miejsca, gdzie zaczynał się bielony mur, a mniej więcej dziesięć metrów dalej znajdowała się wysoka żelazna brama. Dobrze było znów poczuć pod nogami asfalt. Skręciłem w lewo, starając się jak najszybciej opuścić tę okolicę. Gdyby nadjechał jakiś samochód, musiałbym uskoczyć w gąszcz i mieć nadzieję, że nikt mnie nie zauważył.

Wlokąc się drogą i niosąc na plecach rannego, czułem coraz silniejszy ból w prawej łydce. Bolała mnie tak bardzo, że ledwie mogłem unosić nogę, w wyniku czego poruszałem się sztywno jak

automat, pomagając sobie wymachami wolnej ręki. Deszcz padał z głośnym szumem, odbijając się na wysokość co najmniej piętnastu centymetrów od asfaltu. Zdałem sobie sprawę z tego, że w tym hałasie nie usłyszę nadjeżdżającego samochodu, tak więc musiałem co chwila przystawać i oglądać się. Za moimi plecami waliły pioruny i trzaskały błyskawice, a ja szedłem dalej, jakbym przed nimi uciekał.

Zajęło mi to ponad godzinę, ale w końcu obaj znaleźliśmy się pod drzewami przy rozjeździe. Deszcz zelżał, lecz cierpienia Jednobrewego nie, tak samo jak moje. W dżungli było teraz tak ciemno, że nie widziałem swojej własnej ręki, tylko małe świetliste punkciki w poszyciu — może fosforyzujące zarodniki albo oczka nocnych zwierzątek.

Przez godzinę lub dłużej siedziałem tak, masując nogę i czekając na Aarona, słuchając pojękiwań Jednobrewego i szurania jego nóg kopiających opadłe liście. Jęczał coraz ciszej, aż w końcu przestał. Na czworakach podszedłem do niego, po omacku szukając ciała. Powiodłem dłonią, aż namacałem twarz. Słyszałem tylko słaby, świszczący oddech, z trudem przechodzący przez zapchany śluzem nos i usta. Wyciągnąłem scyzoryk i ukłułem rannego w język. Żadnej reakcji. Jego śmierć była już tylko kwestią czasu.

Odwróciłem go na plecy, położyłem się na nim i prawym przedramieniem nacisnąłem na krtań, trzymając lewą dłonią przegub prawej i wzmacniając nacisk całym ciężarem ciała. Prawie nie stawał oporu. Przez chwilę kopał nogami, jedną ręką usiłując złapać moje ramię i wyciągając drugą, żeby podrapać mi twarz. Odchyliłem głowę i słuchałem brzęczenia owadów oraz cichych jęków, gdy odcinałem dopływ krwi do jego mózgu i tlenu do płuc.

15

Środa 6 września

To Kev, ojciec Kelly. Leży na podłodze salonu, oczy ma szkliste i nieobecne, a głowę roztrzaskaną aluminiowym kijem baseballowym, który leży obok.

Plamy krwi znaczą szklany stolik do kawy i gruby włochacz, a kilka kropli trysnęło aż na okna patio.

Stawiam stopę na pierwszym stopniu. Gruby chodnik tłumi dźwięki, ale mimo to stąпам jak po cienkim lodzie, sprawdzając każdy stopień, idąc po wewnętrznej stronie schodów, powoli i ostrożnie. Pot spływa mi z czoła. Zastanawiam się, czy ktoś jest tam na górze i szykuje się do ataku.

Dochodzę do podestu i trzymam pistolet wymierzony w górę, przesuając się wzdłuż ściany, wchodząc tyłem po schodach, stopień po stopniu...

Pralka na dole hałaśliwie kończy odwirowywanie, a z radia jeszcze płynie spokojny rock.

Zbliżając się do sypialni Keva i Marshy, widzę lekko uchylone drzwi oraz czuję słaby, metaliczny zapach... Wyczuwam również odór odchodów i zbiera mi się na wymioty, ale wiem, że muszę tam wejść.

Marsha kłęczy przy łóżku, leżąc na nim górną połową ciała. Kapa jest czerwona od jej krwi.

Starając się nie patrzeć na nią, wchodzę do łazienki. Pięcioletnia

Aida leży na podłodze, z główką prawie odciętą od tułowia. Widzę ledwie trzymające się kręgi szujne.

Z łoskotem uderzam plecami o ścianę i osuwam się na podłogę. Krew jest wszędzie: mam ją na koszuli, na dłoniach, siedzę w kałuży krwi, którą nasiąkają mi spodnie. Nad głową słyszę głośny trzask łamanego drewna... Upuszczam broń, zwijam się w kłębek i chowam twarz w dłoniach. Gdzie jest Kelly? Gdzie, do cholery, jest Kelly?

— Kurwa! Kurwa! Kurwa!

Trzask łamanych gałęzi, a potem łoskot pnia padającego w pozycie dostatecznie blisko, bym poczuł, jak drży ziemia, kiedy dwutonowe drzewo właśnie straciło wolę życia.

Trzask przeraził nie tylko mnie, ale także śpiące na gałęziach drzew ptaki. Usłyszałem głośne skrzeczenie oraz powolny łopot wielkich skrzydeł, z jakim wynosiły się stąd w diabły. Upadkowi drzewa towarzyszyły strumienie wody, spływające z koron drzew. Otarłem twarz z deszczówki i wstałem. *Kurwa, robi się niedobrze. Nigdy nie miałem takich myśli podczas roboty, nigdy nie myślałem wtedy o Kevie i jego rodzinie. To pewnie dlatego, że jestem taki padnięty, zupełnie wykończony...*

Odgarnąłem włosy z czoła i wziąłem się w garść. *Padnięty? I co z tego. Po prostu rób swoje. Robota to robota, więc nie pękaj. Wiesz, gdzie ona jest. Jest bezpieczna, tylko zrób swoje, niech tak zostanie.*

Padające drzewa zawsze były zagrożeniem w dżungli, więc sprawdzanie, czy w pobliżu są jakieś uschnięte drzewa lub konary należało do niezwykle poważnie traktowanych rutynowych czynności, wykonywanych przed rozbiciem obozu na noc. Sprawdziłem godzinę, jednocześnie usiłując rozmasować nogi. Zaczęły mi drętwieć. *Proszę, nie tu, nie teraz.*

Zegarek wskazywał 2.23. Nie zostało mi dużo czasu do spotkania.

Deszcz w końcu przestał padać, lecz chwilami z drzew lały się strugi wody, odbijając się od listowia z dźwiękiem przypominającym

pukanie palcem w bęben, jakby akompaniowały mi w powolnym marszu.

Tkwilem w tych chaszczach przez prawie sześć godzin. Jak gdybym znów był na nocnym zwiadzie — nie mogąc wyciągnąć się w suchym hamaku i nakryć peleryną, zmuszony radzić sobie jedynie z tym ekwipunkiem, który nosi się przy pasie: amunicją, racją żywności i wody na jeden dzień oraz apteczką. Tylko że teraz nie miałem nawet tego. Jedynie gwarancję wszelkich możliwych dolegliwości wywołanych tarzaniem się w mokrych liściach.

Przestałem wciąż zerkać na zegarek. Spowodowana różnicą czasu dezorientacja powoli ustępowała, lecz moje ciało wciąż rozpaczliwie pragnęło zwinąć się w kłębek i zapaść w głęboki sen. Wodząc dłońmi po twardej i chropowatej korze, usiadłem pod drzewem i natychmiast otoczyły mnie niewidzialne świerszcze. Gdy wyciągnąłem nogi, czekając, aż przejdzie mi skurcz w zdrowej i ból w zranionej, obmacałem łydkę, upewniając się, że bandaż z podkoszulka wciąż ciasno owija ranę. Chyba już nie krwawiłem, ale rana była bolesna i zapewne wyglądała paskudnie. Czulem pulsującą wokół niej krew.

Zmieniłem pozycję, żeby przywrócić krążenie w zdrętwiałych pośladkach, i podeszwami butów zawadziłem o Jednobrewego. Zanim weszliśmy między drzewa, obszukałem go i znalazłem portfel oraz kilka metrowych kawałków miedzianego drutu, wepchniętych do płóciennego woreczka przy pasku. Zastawiał sidła. Może robił to dla zabawy, bo nie wyglądało na to, żeby mieszkańcy domu musieli polować na dzikie indyki.

Wróciłem myślą do niektórych rzeczy, jakie robiłem w ciągu minionych lat, i w tym momencie nienawidziłem tego wszystkiego. Nienawidziłem Jednobrewego, który zmusił mnie, żebym go zabił. Nienawidziłem siebie. Siedziałem w tym gównie, atakowany przez wszystko, co się porusza, i miałem zabić następnego człowieka. Tak czy inaczej, zawsze wyglądało to tak samo.

Do północy tylko trzy razy słyszałem jadące drogą pojazdy i nie

byłem w stanie orzec, czy kierowały się do posiadłości, czy z niej wracały. Potem jedynym dźwiękiem było bzyczenie owadów. W pewnej chwili przeszło nad nami stado wyjców, wędrujących po czubkach drzew, gdzie w blasku księżyca mogły widzieć, co robią. Ich głośne powarkiwania i okrzyki niosły się po dżungli donośnym echem, które zdawało się wstrząsać drzewami. Gdy z piskiem i porykiwaniem przeskakiwały z drzewa na drzewo, strącały uwięzioną w załamkach wielkich liści wodę, która znów zmoczyła nas jak deszcz.

Siedziałem, delikatnie masując zranioną nogę, a nad moją głowę krążyła chmara owadów. Skończyłem na moment przed tym, zanim jeden z nich mnie uciął. Klepnałem się w policzek i w tej samej chwili usłyszałem, że coś się porusza w koronach drzew nade mną, strącając kolejne strumienie wody. Cokolwiek to było, najwyraźniej odchodziło stąd i nie zamierzało zejść, żeby mnie obejrzyć, co najzupełniej mi odpowiadało.

O 2.58 usłyszałem nadjeżdżający samochód. Tym razem dźwięk nie ucichł w oddali. Warkot silnika stopniowo zagłuszył cykanie świerszczy i pojazd przejechał tak blisko mojej kryjówki, że wyraźnie słyszałem chłopot rozpryskiwanej przez opony wody w kałużach na drodze. Zatrzymał się kawałek dalej, z lekkim piskiem niezbyt sprawnych hamulców. Silnik grał nierówno. To musiała być mazda.

Podpierając się maczetą, rozprostowałem nogi i starając się je rozruszać, sprawdziłem, czy mam dokumenty. Kiedy wstałem, rana jeszcze bardziej dawała mi się we znaki, a ubranie było mokre i ciężkie. Uległszy tej pokusie już kilka godzin wcześniej, podrapałem się po pokąsanych plecach.

Namacalem zwłoki Jednobrewego, chwyciłem go za rękę i nogę, po czym zarzuciłem go sobie na ramię. Jego ciało było lekko sztywne, ale jeszcze nie całkiem. Zapewne na skutek działania ciepła i wilgoci. Wolna ręka i noga trupa zakołysały się bezwładnie, kiedy go podnosiłem.

Trzymając w prawej ręce kapelusz i maczetę, powoli poszedłem na skraj dżungli, z lekko pochyloną głową i przymkniętymi oczami, na wypadek spotkania z niewidoczną w ciemnościach poczekajką. Równie dobrze mógłbym całkiem zamknąć oczy — i tak nic nie było widać.

W chwili gdy wyszedłem z gęstwiny, ujrzałem kontury mazdy skąpanej w białoczerwonym świetle odbijającym się od mokrego asfaltu. Położyłem Jednobrewego oraz jego kapelusz w błocie i wysokiej trawie, po czym z maczetą w dłoni podkradłem się do wozu od strony pasażera, żeby mieć pewność, że w środku jest tylko jeden człowiek.

Aaron siedział na fotelu kierowcy, zaciskając obie dłonie na kierownicy i w blasku deski rozdzielczej dostrzegłem, że wpatruje się tępo przed siebie, jak jakiś robot. Mimo opuszczonej szyby zdawał się nie zauważyć mojej obecności.

— I znalazłeś jakieś drzewo barri-jakoś tam? — powiedziałem cicho.

Podsłoczył na fotelu, jakby zobaczył ducha.

— Czy tył jest otwarty, kolego?

— Tak — odparł drżącym głosem, energicznie kiwając głową.

— Dobrze, to nie potrwa długo.

Przeszedłem na tył, otworzyłem drzwiczki, a potem wróciłem po Jednobrewego. Niosąc go na rękach i odchylając się do tyłu pod ciężarem, zataszczyłem go do pojazdu, nie wiedząc, czy Aaron widzi, co się dzieje. Zawieszenie lekko osiadło, gdy położyłem zwłoki na zaśmieconej podłodze. Potem wrzuciłem w ślad za nim kapelusz i przy słabym świetle tylnych świateł nakryłem go jego własną peleryną, opuściłem drzwiczki i delikatnie zatrzasnąłem. Tylna szyba była mała, owalna i brudna. Nikt niczego przez nią nie zauważył.

Podszedłem do drzwi po stronie pasażera i wsiałem. Woda ciepła mi z dżinsów i wsiąkała w leżący na siedzeniach koc. Aaron wciąż nie zmienił pozycji.

— No to jedźmy, kolego. Nie za szybko, po prostu tak jak zawsze.

Przestawił rączkę na pierwszy bieg i ruszyliśmy. Wpadające przez otwarte okno chłodne powietrze owiało mi spuchniętą twarz, a kiedy zaczęliśmy z pluskiem rozpryskiwać stojące w dziurach kałuże, pochyliłem się i położyłem maczetę pod nogami.

Aaron w końcu zebrał się na odwagę.

— Co jest tam z tyłu? — odezwał się. Nie było sensu owijać w bawełnę.

— Ciało.

— Wielki Boże. — Gapiąc się przez przednią szybę, przegarnął włosy palcami, po czym znów zaatakował swoją brodę. — Dobry Boże... Co się stało?

Nie odpowiedziałem, słuchając suchego szelestu, z jakim lewą dłonią ścierał z twarzy wyimaginowane demony.

— I co teraz zrobimy, Nick?

— Wyjaśnię ci później. W porządku, to żaden dramat. — Starałem się mówić powoli i spokojnie. — Musimy tylko odjechać stąd jak najprędzej, a potem sam to załatwię, dobrze?

Zapaliwszy światło, wymacałem należący do Jednobrewego portfel i wyjąłem go z kieszeni dzinsów. Było w nim kilka dolarów oraz dokument ze zdjęciem, zgodnie z którym nazywał się Diego Paredes i urodził się w listopadzie 1976 roku — dwa miesiące po tym, jak zaciągnąłem się do wojska. Znalazłem tam też obciętą fotografię jego w towarzystwie ludzi, zapewne rodziców, braci i siostr. Wszyscy byli odświętnie ubrani, siedzieli przy stole i unosili kieliszki w stronę kamery.

Aaron też je zobaczył.

— Był czymś synem — powiedział.

Jak każdy. Schowałem to wszystko do schowka na rękawiczki. Aaron najwidoczniej miał ochotę powiedzieć mi milion rzeczy.

— Czy nie powinniśmy zawieźć go do szpitala? Rany boskie, przecież nie możemy trzymać go w samochodzie!

— Prawdę mówiąc, musimy... ale tylko na chwilę — odparłem z udawanym spokojem.

Spojrzałem na Aarona. Nie odwzajemnił mojego spojrzenia, tylko gapił się na smugi reflektorów. Przebywał w swoim własnym, przerażającym świetle. Nie spuszczałem go z oka, nie chciałem jednak nawiązać ze mną kontaktu wzrokowego.

— To człowiek Charliego. Gdyby znaleźli jego ciało, wszyscy bylibyśmy w niebezpieczeństwie... wszyscy. Po co ryzykować?

Pozwoliłem mu przetrwać te słowa. Wiedział, o czym mówię. Kiedy coś grozi twojej żonie i dzieciom, zaczynasz myśleć bardzo trzeźwo.

Zależało mi na tym, żeby przestał się niepokoić i nabrał pewności siebie.

— Wiem, co robię, i dlatego musieliśmy go stamtąd zabrać. Kiedy odjedziemy kawalek, ukryjemy ciało tak, żeby nigdy go nie znaleziono.

A przynajmniej — jeśli o mnie chodzi — nie przed sobotnim rankiem.

Zapadła długa i niezręczna cisza, w której jechaliśmy biegnącą przez dżunglę asfaltową drogą, żeby w końcu dotrzeć do wymarłego Clayton. Światła reflektorów wydobywały z ciemności puste domy, koszary, bezludne ulice i place zabaw. W nocy miasto wydawało się jeszcze bardziej opustoszałe, jakby ostatni amerykański żołnierz przed powrotem do domu zgasił wszystkie światła.

Skręciliśmy i kilka kilometrów dalej zobaczyłem zamocowane na wieżach lampy słuzy jaśniejszej niczym wielka wyspa jaskrawego światła. Na prawo od niej majaczył wyładowany kontenerowiec, czekający, aż woda wpłynie do komory i uniesie jego potężny kadłub.

16

Byłem zbyt zmęczony, żeby przejmować się czymkolwiek, ale Aaron wydawał się roztrzęsiony. Lewą ręką co chwila dotykał twarzy lub czoła. Wciąż zerkał we wsteczne lustro, usiłując dostrzec zwłoki, chociaż w samochodzie było ciemno jak w studni.

Jechaliśmy wzdłuż bardzo szerokiego, głębokiego, betonowego rowu przeciwburzowego. Kazałem Aaronowi zatrzymać się i zgasić światła, a on dopiero wtedy spojrział mi w oczy, zapewne w nadziei, że zrobimy coś z Jednobrewym.

Ruchem głowy wskazałem światła.

— Muszę doprowadzić się do porządku, zanim tam dojedziemy.

Chciałem choć trochę upodobnić się do normalnego człowieka, na wypadek gdybyśmy zostali zatrzymani podczas jazdy przez miasto. Przemoczony człowiek nie wywoła tutaj żadnej sensacji, gdyż deszcz pada tu często. Równie dobrze mógłbym powiedzieć mu, że to czas na moje poranne modły — zareagowałby tak samo.

— Och, jasne.

Kiedy wytaszczyłem swoje zdrętwiałe ciało z mazdy, zobaczyłem, co się działo na oświetlonej śluzie. Pękate elektrowozy jeździły tam i z powrotem po szynach obok statku, z tej odległości wyglądając

jak zabawki i poruszając się prawie bezdźwięcznie. Słyszeliśmy tylko stłumiony pomruk komunikatów wydawanych przez głośniki na wieżach. Światło silnych lamp sodowych dochodziło aż tu, zapewniając wystarczające oświetlenie, byśmy mogli widzieć, co się dzieje wokół, i rzucając mój ledwie widoczny cień na mazdę, gdy podchodziłem do tylnych drzwiczek i podnosiłem je, żeby obejrzeć Jednobrewego.

Przetaczał się po podłodze i teraz leżał przyciśnięty do bocznej ścianki, z rozplaszczonym na niej nosem i wargami, z rękami wyciągniętymi do tyłu, jakby nie nadążały za resztą ciała. Odór krwi i wnętrzości był tak silny, że musiałem pospiesznie cofnąć głowę. Wnętrze śmierdziało jak lodówka po przerwie w dopływie prądu.

Pozostawiwszy otwarte drzwiczki, ostrożnie zszedłem dwa lub trzy metry niżej, do betonowego kanału i rwącej w nim deszczowej wody. Gałęzie i kępy roślin przepływały mi koło nóg, gdy wyjmowałem z kurtki plastikowy woreczek i wtykałem go w szczelinę między dwiema płytami z betonu. Nawet gdybym za chwilę musiał uciekać stąd nago, byłbym „uzbrojony” w moje dokumenty.

Przykucnąłem nad brzegiem wody i zmyłem z siebie błoto, krew oraz oblepiające mnie zbutwiałe liście. Nie fatygowałem się i nie oglądałem rany. Zrobię to później, a na razie wystarczyło upewnić się, że wciąż jest obandażowana pociętym podkoszulkiem, a potem usiąść w wodzie i przez minutkę odpoczywać.

Do tej pory nie zauważyłem, że niebo było już zupełnie czyste i pełne gwiazd, które skrzyły się jak fosforyzujące punkciki w poszyciu dżungli, gdy powoli zdejmowałem kurtkę.

Usłyszałem skrzypienie drzwiczek samochodu i spojrzawszy w górę, zobaczyłem sylwetkę Aarona na tle poświaty rzucanej przez służę. Byłem już prawie nagi. Przepłukałem dżinsy w kanale, potem wyjąłem je i rozłożyłem na trawie, a później obmyłem opuchniętą twarz i plecy.

Widziałem, jak powoli wtyka głowę do samochodu, odskakuje i odwraca się, wymiotując. Słyszałem, jak wymiociny opryskują błotnik samochodu i asfalt i jak wykastywał te resztki, które pozostają w gardle i w nosie.

Wgramoliłem się na trawę i pospiesznie wciągnąłem mokre ciuchy. Aaron zakaszał po raz ostatni, prychnął i wrócił do szoferki, wycierając brodę chusteczką. Ominąwszy kałużę wymiocin na asfalcie, ponownie nakryłem Jednobrewego peleryną, zatrzasnąłem drzwiczki i usiadłem obok Aarona, nie komentując ostatnich wydarzeń, chociaż czułem jego cuchnący oddech.

— Teraz lepiej, mokry, ale czysty — uśmiechnąłem się, siląc się na lekki ton.

Aaron nie odpowiedział. Wyglądał okropnie nawet w tym słabym świetle. Oczy miał szkliste od łez, a oddech chrapliwy i płytki. Głośno przełykał ślinę, być może powstrzymując mdłości. Wydatne jabłko Adama podskakiwało mu w górę i w dół, niczym sępławik, kiedy bierze ryba. Był tak zatopiony we własnych myślach, że nawet nie słyszał, co do niego mówię. Drżącymi palcami tarł szczecinę na brodzie.

— No to jedziemy do was. Jak to daleko?

Klepnąłem go w ramię, a on kiwnął głową, zakaszał i przekręcił kluczyk w stacyjce. Potem cichym i zrezygnowanym tonem powiedział:

— Jasne. — I dodał drżącym głosem: — Jakieś cztery godziny jazdy, może więcej. Bardzo mocno popadało.

Staralem się sprawiać wrażenie swobodnego, nie wiedząc, co jeszcze mógłbym zrobić lub powiedzieć.

— No to lepiej ruszajmy, co?

Przejechaliśmy przez Fort Clayton i wjechaliśmy na główną drogę. Szlaban był podniesiony — widocznie stary strażnik nie dyżurował w nocy. A jednak pomyliłem się: teraz, kiedy na ulicach nie było już ruchu, sygnalizacja została wyłączona.

Skręciliśmy w lewo, pozostawiając z tyłu służę i Clayton, podróżując w milczeniu. Łukowata poświata na nocnym niebie wskazywała położenie miasta, razem z migającymi czerwonymi lampkami

na szczytach anten telekomunikacyjnych. Aaron spoglądał prosto przed siebie, głośno przełykając ślinę.

Niebawem dotarliśmy do jasno oświetlonych kas opodal dawnej bazy lotniczej Albrook. Wszystkie inne dźwięki zagłuszył szum z dworca autobusowego, na którym myto pojazdy wodą z węży. Zdumiewająco wielu robotników czekało na transport, przeważnie trzymając turystyczne lodówki i paląc.

Przy kasie Aaron przez prawie minutę szukał drobnych w kieszeniach i schowku na rękawiczki. Znudzona kobieta w średnim wieku gapiała się w przestrzeń, wyciągając rękę i niewątpliwie marząc o tym, żeby skończyć zmianę i wsiąść do jednego z tych autobusów.

Pozwoliłem, by głowa opadała mi na pierś, gdy, podskakując na wybojach, wjechaliśmy do sennej stolicy przez El Chorrillo. W budynkach mieszkalnych tu i ówdzie paliły się światła, stary sparszywiały kundel włókł się chodnikiem, a potem z rykiem przemknęło obok nas czarne BMW, pędząc z szybkością światła. Pięć głów z ognikami tkwiących w kącikach ust papierosów kiwało się w rytm jakiejś latynoskiej muzyki, gdy samochód mknął ulicą. **b**emwica miała fioletowe przednie światła i jasno fluoryzująca poświata pod jej podwoziem sprawiała, że miałem wrażenie, iż wóz unosi się w powietrzu. Odprowadziłem ją wzrokiem, gdy znikwała za zakrętem, z piskiem opon, niczym w serialu o nowojorskiej policji.

Popatrzyłem na Aarona. Zapewne nie zareagowałby, gdyby nawet wyprzedził go USS Enterprise. Wokół jego ust pojawiły się głębokie bruzdy. Wyglądał, jakby znów miał wymiotować. Podskakując na wybojach, jechaliśmy dalej i skręciliśmy w tę samą ulicę co BMW. Znowu przejechaliśmy obok bufetu, zamkniętego w nocy, a potem obok targowiska.

Czułem, że powinienem coś powiedzieć, żeby rozładować napięcie, ale nie wiedziałem co. Siedziałem tylko i patrzyłem na śmieci wylewające się ze stert namokniętych kartonów, które otaczały plac, i na walczące o odpadki koty.

W końcu to Aaron przerwał milczenie, uprzednio wytarłszy nos chusteczką.

— Nick...?

— O co chodzi, kolego?

Byłem zbyt zmęczony, żeby rozmawiać.

— Czy właśnie tym się zajmujesz... zabijaniem ludzi? Chcę powiedzieć, że wiem, że to się zdarza, ale po prostu...

Pokazałem mu leżącą pod moimi nogami maczetę.

— O mało nie odrąbał mi nią nogi, a gdyby wymierzył celniej, uciąłby mi głowę. Przykro mi, kolego, nie było innego wyjścia. Kiedy wyjedziemy z miasta, pozbędę się zwłok.

Nie odpowiedział, lecz w skupieniu patrzył przez przednią szybę, kiwając głową do własnych myśli.

Znowu znaleźliśmy się nad zatoką i zobaczyłem rząd świateł nawigacyjnych migoczących na morzu. Nagle zauważyłem, że Aaron zadrzał. Przed nami na poboczu drogi dostrzegł radiowóz i dwóch znużonych policjantów palących papierosy i czytających gazety. Skarciłem się w myślach, ale tak, żeby nie dać tego po sobie poznać.

— Nie przejmuj się... jedź jakby nigdy nic. Wszystko w porządku — powiedziałem spokojnie.

Oczywiście wcale tak nie było. Mogli zatrzymać sfatygowaną mazdę po prostu z nudów.

Kiedy ich mijaliśmy, kierowca spojrział na nas znad gazety i odwrócił się, żeby powiedzieć coś do swego kolegi. Spoglądałem w popękane wsteczne lusterko, obserwując radiowóz i mówiąc do Aarona:

— W porządku, kolego, nic się nie dzieje. Nie jadą za nami. Nie przekraczaj dozwolonej prędkości i trzymaj fason.

Nie widziałem, jak na to zareagował. Nie odrywałem wzroku od pojazdu w lusterku, aż znikł mi z oczu. Dopiero wtedy zobaczyłem swoją twarz. Przyjemna niespodzianka. Lewą powiekę miałem spuchniętą, lecz nie aż tak, jak mi się zdawało.

Ponownie popatrzyłem na Aarona, sprawdzając, jak sobie radzi, i stwierdziłem, że niezbyt dobrze. Najwyraźniej nie podobała mu się ta wyprawa do mojego świata. Zastanawiałem się, w jaki sposób i dlaczego wpakował się w to szambo. Może nie miał innego wyjścia. Może tak jak ja i Diego znalazł się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiedniej chwili.

Rozbryzgując kałuże, przejechaliśmy przez mini-Manhattan, gdzie wielkie neony mrugały od dachów budynków aż po mokry asfalt ulic. Był to zupełnie inny świat niż El Chorrillo, i odległy o całe lata świetlne od tego, co działo się w dawnej strefie.

Aaron odkaslnął.

— Już wiesz, co zrobisz z tym facetem, Nick?

— Musimy pozbyć się go gdzieś po drodze do twojego domu, jak tylko wyjedziemy z miasta. Masz jakiś pomysł?

Powoli pokręcił głową. Nie wiedziałem, czy to była odpowiedź, czy skutek podsłakiwania samochodu na wyboistej nawierzchni.

— Wielki Boże, przecież nie możemy go wyrzucić jak śmiecia. Rany boskie, przecież to człowiek. — W jego głosie słyszałem rezygnację. — Posłuchaj, ja go pochowam. W pobliżu naszego domu jest stary plemienny cmentarz. Nikt go tam nie znajdzie. To będzie właściwe. To czyjś syn, Nick. Może nawet ojciec. Ta rodzina na zdjęciu nie zasłużyła sobie na to.

— Nikt tam nie bywa?

Potrząsnął głową.

— Już od kilkuset lat.

Nie zamierzałem się z nim spierać. Jeśli chce kopać dół, to nie mam nic przeciwko temu. Znowu zacząłem przyglądać się mijającym neonom. Miałem nadzieję, że pewnego dnia moje ciało znajdzie ktoś taki jak on.

Dojechaliśmy do kas przy drodze na lotnisko, po drugiej stronie centrum finansowego, i tym razem wyjąłem dolara z moich pieniędzy. Nie chciałem, żebyśmy stali tutaj dłużej niż to konieczne. Obecność Diega trudno byłoby wytłumaczyć.

Zapłacił kasjerce ze smutnym *gracias* i podziękował mi za dolara. To nie była dla niego przyjemna noc.

Wyjechaliśmy poza miasto i światła zgasy w oddali. Ponownie wyjąłem portfel, zapaliłem światło w kabinie i obejrzałem zdjęcie rodziny Diega. Myślałem o Kelly i o tym, jak wyglądałoby jej życie, gdybym zginął, nie uporządkowawszy tego bałaganu, za który byłem przecież odpowiedzialny. Myślałem o tym wszystkim, co chciałem jej powiedzieć i nigdy nie zdołałem.

Zastanawiałem się, czy jego mama też chciała mu powiedzieć, jak bardzo go kocha, lub przeprosić za jakąś głupią sprzeczkę. Może właśnie tego rodzaju myśli przelatowały mu przez głowę przed śmiercią, słowa, które pragnął powiedzieć ludziom, którzy na fotografii podnosili kielichy do obiektywu kamery.

Nabieraliśmy prędkości i wpadający przez uchylone okienko wiatr zaczął wiać silniej. Podniosłem szybę do połowy, żeby nie zasnąć, i starałem się skupić na moim zadaniu oraz na tym, co widziałem podczas rekonesansu. Zamiast tego miałem ochotę skulić się jak siedmioletnie dziecko, rozpaczliwie usiłujące schować się przed nocnym potworem.

— Nick! Policja! Nick, co robimy? Obudź się! Proszę!

Zanim jeszcze otworzyłem oczy, już próbowałem go uspokoić.

— W porządku, nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze.

Zobaczyłem ustawioną na kompletnym odludziu blokadę: dwa policyjne radiowozy stojące bokiem na środku szosy, zwrócone w lewo. Dostrzegłem ludzkie sylwetki przesuujące się na tle smug światła przecinających mrok. Wyglądało to tak, jakbyśmy wjeżdżali w świat koszmarów. Aaron nie zdejmował nogi z pedału gazu.

— Zwolnij, kurwa mać. Uspokój się.

Wyrwałem go z transu i zaczął hamować.

Znajdowaliśmy się już tak blisko blokady, że widziałem nasze światła odbijające się w bocznych szybach land-roverów. Aaron mocniej przydepnął pedał hamulca i samochód stanął. Usłyszałem potok hiszpańskich słów i ujrzałem wycelowane w nas lufy kilku automatów. Położyłem dłonie na desce rozdzielczej, żeby mogli je widzieć.

Aaron zgasił światła i wyłączył silnik, gdy skierowały się ku nam światła trzech latarek. Krzyki ucichły i słyszałem tylko tupot butów na asfalcie.

17

Trzej mężczyźni, którzy podeszli do nas z gotowymi do strzału M-16, mieli na sobie oliwkowozielone mundury. Rozdzielili się — dwaj poszli na lewo, do Aarona, a trzeci do mnie. Aaron zaczął opuszczać szybę. Oddychał coraz szybciej.

Padł wydany po hiszpańsku rozkaz i najbliższy stojący mężczyzna przyłożył automat do ramienia. Aaron podniósł tyłek z fotela i gmerał w tylnej kieszeni spodni. Za światłami land-roverów dostrzegłem czerwone ogniki papierosów i poruszające się w ciemnościach postacie.

W okienku Aarona pojawiła się zielona czepeczka baseballowa i krzaczasty czarny wąs. Ich właściciel czegoś się ode mnie domagał. Nie zareagowałem. Nie miałem pojęcia, czego chce, i nie potrafiłem wykrzesać z siebie dość energii, żeby zrobić zainteresowaną minę. Zamachnął się i uderzył kolbą M-16 w drzwi. Na jego rękawie zobaczyłem naszywki sierżanta i plakietkę z napisem „Policia”.

— Chce zobaczyć twoje dokumenty, Nick.

Aaron podał mu swoje. Sierżant prawie wyrwał mu je z ręki, przestał krzyczeć, cofnął się o krok od okienka i obejrzał papiery przy świetle latarki.

— Nick? Daj mu dokumenty. Proszę, nie denerwuj tych ludzi.

Ospale wyjąłem z wewnętrznej kieszeni kurtki plastikowy woreczek i grzebałem w nim jak chłopczyk w pudełku śniadaniowym, marząc tylko o tym, żeby to jak najprędzej się skończyło.

Drugi obstawiający Aarona policjant stał tuż za sierżantem, z wycelowaną w nas bronią. Słyszałem kroki z tyłu, ale we wstecznym lusterku niczego nie mogłem dojrzeć. Wziąłem się w garść. *Co ja wyprawiam, do cholery? Spręż się! Kontaktuj!*

Mój puls przyspieszył o kilka uderzeń na minutę. Zaglądamy do woreczka, notowałem w pamięci, gdzie znajduje się klamka drzwi, i zerkalem, czy nie jest wciśnięty bolec blokady. Ospaly czy nie, w chwili gdy usłyszę zgrzyt zardzewiałych zawiasów tylnych drzwiczek, wyskoczę z wozu i spróbuję uciec. Wręczając Aaronowi paszport, żeby podał go sierżantowi, wiedziałem, że reaguję o wiele za wolno.

Kurwa mać, przecież wieziemy trupa!

Sierżant zabalgotał coś na mój temat, oglądając przy świetle lartarki dokument. Z odpowiedzi Aarona zrozumiałem tylko co trzecie słowo. *Británico... amigo... vacaciones...* Mówiąc, kiwał głową jak lunatyk albo nerwowo chory.

Sierżant trzymał w dłoniach paszporty nas obu, co mogłoby przysporzyć mi kłopotów, gdybym musiał uciekać. Bez paszportu mógłbym udać się tylko na zachód albo do ambasady.

Nadstawiając ucha, czekałem na zgrzyt otwieranych tylnych drzwiczek mazdy. Przyglądałem palcami włosy, zerkając na klamkę i wyobrażając sobie drogę ucieczki, która nie byłaby specjalnie trudna: trzy skoki w ciemność po prawej. Potem musiałbym jakoś sobie radzić.

Odzyskałem poczucie rzeczywistości, gdy sierżant znowu się nachylił i wskazując na moje ubranie, zapytał o coś Aarona. Ten odpowiedział z wymuszonym uśmiechem, po czym zwrócił się do mnie.

— Jesteś moim znajomym, którego odebrałem na lotnisku. Tak bardzo chciałeś zobaczyć tropikalny las w deszczu, że zawiozłem

cię na kraniec miasta. Teraz już masz dosyć dżungli. To było takie śmieszne, więc proszę, uśmiechnij się.

Sierżant roześmiał się razem z nami i oddając nam paszporty, powiedział coś stojącemu za nim koledze o tym palancie *británico*. Potem klepnął w dach mazdy i odszedł wraz z pozostałymi w kierunku radiowozów. Było mnóstwo machania rękami i pokrzykiwania, warknęły silniki i land-rovery zjechały z szosy.

Przekręcając kluczyk w stacyjce, Aaron drżał jak liść, ale przed odprowadzającymi nas wzrokiem policjantami udawał pewnego siebie luzaka. Nawet pomachał im ręką. W smugach reflektorów naszego pojazdu zobaczyliśmy cztery lub pięć ciał leżących na plecach na poboczu drogi. Ich ubrania lśniły od krwi. Jeden chłopak miał rozchylone usta, rozpostarte ramiona i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w niebo. Odwróciłem głowę i usiłowałem skupić wzrok na ciemności za oknem.

Aaron nie odzywał się przez dziesięć minut i jechaliśmy w milczeniu, telepiąc się na wyboistej drodze. Nagle zahamował, przesunął dźwignię zmiany biegów na parkowanie i wyskoczył, jakby w wozie była bomba. Słyszałem, jak krztusi się i dławi, wstrząsany mdłościami, ale nie ma czym wymiotować. Wszystko wyrzucił z siebie w Clayton.

Zostawiłem go w spokoju. Za pierwszym razem też tak zareagowałem. Ogarnia cię strach i możesz tylko walczyć, dopóki nie będzie po wszystkim. Dopiero później — kiedy masz czas pomyśleć nie tylko o tym, co się stało, lecz i o tym, jakie mogłyby być konsekwencje niepowodzenia — rozstajesz się ze swoim ostatnim posiłkiem. Jego reakcja była najzupełniej normalna. W przeciwieństwie do mojego zachowania podczas kontroli dokumentów.

Zawieszenie jęknęło, gdy zamknął drzwi i przetarł zażawione oczy. Był wyraźnie zmieszany i nie patrzył na mnie.

— Przepraszam, Nick, pewnie masz mnie za strasznego mięczaka. Dla facetów jak ty to kaszka z mlekiem, ale ja nie nadaję się do takich rzeczy.

Wiedziałem, że niezupełnie tak jest, nie umiałem jednak mu tego wyjaśnić. W takich chwilach zawsze brakowało mi słów.

— Przed kilku laty widziałem kilka osób rozerwanych w wyniku eksplozji. Miałem potem koszmarne sny. Teraz, na widok ciała Diega i tych zarąbanych dzieciaków...

— Powiedział ci, co się stało?

— Napad rabunkowy. FARC. Zarąbali ich takimi jak ta. — Wskazał na leżącą na podłodze maczetę. — To bez sensu, bo zwykle nie napadają na tutejszych. Ludzie nie mają pieniędzy. — Westchnął, nie odrywając rąk od kierownicy, i nachylił się nad nią. — Widziałeś, co zrobili tym chłopcom? O Boże, jak ludzie mogą tak postępować?

Postanowiłem zmienić temat.

— Posłuchaj, kolego, sądzę, że powinniśmy pozbyć się Diega. Jak tylko znajdziemy jakieś jaśniejsze miejsce, poszukamy odpowiedniego schowka. Nie możemy znowu wpakować się w takie szambo.

Opuścił głowę i powoli nią pokiwał.

— Pewnie, pewnie, masz rację.

Jechaliśmy dalej. Nie mieliśmy ochoty rozmawiać dłużej o Diegu i zwłokach.

— Co to za droga?

— Panamerykańska.

Nie spodziewałem się tego. Samochód podskakiwał na wybojach i koleinach.

— Biegnie od Alaski aż po Chile, nie licząc stu pięćdziesięciokilometrowej przerwy w prowincji Darien. Sporo mówiono o uzupełnieniu tego odcinka, ale ze względu na kłopoty w Kolumbii oraz niszczenie lasów tropikalnych chyba lepiej, żeby zostało tak, jak jest.

Dobrze wiedziałem, co jest z południową częścią tej autostrady. Wystarczająco często nią jeździłem. Chciałem jednak podtrzymać rozmowę. Zapobiegała niepożądanym myślom. Pochyliłem się i rozmasowałem owiniętą kawałkami podkoszulka, teraz bardzo obolałą nogę.

— Ach tak, dlaczego?

— To jeden z najważniejszych obszarów lasów tropikalnych w obu Amerykach. Jeśli nie będzie dróg, nie będzie drwali ani farmerów, a ponadto pozostaje strefa buforowa przy granicy z Kolumbią. Tutejsi nazywają ją Bośnią Zachodu.

Po obu stronach szosy reflektory jadących pojazdów przecinały tylko ciemność.

— Czy tam właśnie jedziemy, do Darien Gap?

Przecząco pokręcił głową.

— Nawet gdybyśmy chcieli spróbować, szosa tam zmienia się w szlak, który po tym deszczu jest kompletnie nieprzejezdny.

Zjedziemy z tej drogi przy Chepo, za mniej więcej dziesięć minut.

Brzask zaczął sączyć się zza krawędzi nieba. Przez chwilę w milczeniu podskakiwaliśmy na wybojach. Ból głowy doprowadzał mnie do szaleństwa. Światła samochodu ukazywały tylko kępki traw oraz błotniste kałuże. To miejsce było równie jałowe jak powierzchnia Księżyca. Niezbyt nadawało się do ukrywania ciała.

— Nie ma tu wiele lasów, co, kolego?

— Co mam ci powiedzieć? Tam gdzie jest droga, są i drwale. Robią swoje, aż zetną wszystkie drzewa. I nie chodzi tylko o pieniądze. Tutejsi mężczyźni uważają, że wyrąb lasu to męskie zajęcie. Przewiduję, że następne pięć lat przetrwa mniej niż dwadzieścia procent obecnego drzewostanu Panamy. Włącznie ze strefą.

Pomyślałem o Charliem i jego nowej rezydencji. Nie tylko drwale wyrywali kawały ukochanej przez Aarona dżungli.

Jechaliśmy, a po niebie powoli rozchodził się posępny świt. Tuż nad ziemią snuła się gęsta mgła. Przed nami poderwała się w górę chyba setka wielkich czarnych ptaków o długich szyjach. Były podejrzanie podobne do pterodaktyli.

Przed nami po lewej zauważyłem gęste drzewa i wskazałem je palcem.

— Może tam?

Aaron zastanawiał się kilka sekund, podjeżdżając bliżej, wyraźnie znów roztrzęsiony, jakby nagle przypomniał sobie, co wiemy w bagażniku.

— Można, ale to niedaleko miejsca, gdzie mógłbym pochować go jak należy.

— Nie, kolego, nie. Zróbmy to zaraz.

Staralem się zachować spokój. Zjechaliśmy na pobocze i pod drzewa. Nie było czasu na ceremonie.

— Pomożesz? — spytałem, wyjmując maczetę spod nóg.

Zastanowił się.

— Nick, nie chcę zachować tego widoku w pamięci. Możesz to zrozumieć?

Mogłem. Miałem w pamięci wiele obrazów, których wolałbym nie oglądać. Ostatnim był zbryzgany krwią chłopak z otwartymi ustami, spoglądający w niebo.

Kiedy wysiadałem, ptaki wrzeszczały jak najęte; już prawie zaczęło świtać. Wstrzymałem oddech, otworzyłem drzwi, chwyciłem Diega pod pachy i wytaszczyłem go z samochodu, a potem zawlokłem między drzewa. Staralem się nie patrzeć na jego twarz i nie umazać się krwią.

Przeszedłszy jakieś dziesięć metrów w głąb lasu, wepchnąłem ciało i starannie wytartą maczetę pod pień spróchniałego drzewa, po czym przykryłem gałęziami i zeschniętymi liśćmi. Wystarczy, jeśli nie znajdą go do soboty. Po moim wyjeździe Aaron może zechce tu wrócić i pochować go jak należy. Powinien znaleźć go bez trudu, gdyż wtedy będzie tu tyle much, że ich bzyczenie będzie niczym sygnał radiolokacyjny.

Zaniknąwszy bagażnik, wsiadłem do wozu i zatrzasnąłem drzwi. Czekałem, aż Aaron ruszy, lecz zamiast tego odwrócił się do mnie.

— Wiesz co? Może Carrie nie powinna o tym wiedzieć, Nick. Nie uważasz? Chcę powiedzieć, że...

— Z ust mi to wyjąłeś, kolego — odparłem, usiłując się uśmiechnąć, ale mięśnie policzka nie chciały mnie słuchać.

Skinął głową i wyjechał na szosę, a ja znów skuliłem się na fotelu i zamknąłem oczy, próbując zapomnieć o bólu głowy, ale nie odważając się zasnąć.

Może piętnaście minut później dojechaliśmy do skupiska chat. W jednej z nich kołysała się lampa naftowa, oświetlając sznury z wyblakłymi kolorowymi ubraniami, rozwieszonymi do wyschnięcia. Chaty były zbudowane z cementowych pustaków, miały drzwi zbite z nieheblowanych desek i koślawe dachy z falistej blachy. W oknach nie było szyb, więc nic nie zatrzymywało dymu ognisk, które paliły się przed drzwiami. Na widok mazdy chuderlawe kurczaki pierzchły w popłochu. Wszystko to razem wzięte wcale nie przypominało tego, co widziałem w magazynie linii lotniczych.

Aaron pokazał kciukiem za siebie.

— Kiedy odchodzą drwale, pojawiają się tacy jak oni...

wędrowni wieśniacy, biedni ludzie usiłujący wyhodować coś do zjedzenia. Chodzi o to, że po wycięciu drzew górna warstwa gleby ulega szybkiemu wymyciu i po dwóch latach nie wyrośnie tu nic prócz trawy. A wtedy, jak pewnie się domyślasz, pojawiają się hodowcy bydła.

Zauważyłem kilka nędznych krów ze zwieszonymi łbami, skubiących trawę. Ponownie wskazał kciukiem.

— Przyszłotygodniowy hamburger.

Nagle skręcił w prawo i zjechaliśmy z autostrady. Na żwirowej drodze nie było żadnych drogowskazów, jakbyśmy byli w mieście. Może woleli, żeby nikt tu nie trafił.

Ujrzałem kilka dachów z falistej blachy.

— Chepo?

— Tak, z niedobrej i smutnej strony.

Żwirową drogą przejechaliśmy obok kolejnego zbiorowiska chat na palach. Pod nimi kury i kilka starych kotów przechadzało się między stertami zardzewiałego metalu i stosów pustych puszek. Z glinianych lub skorodowanych rur nad niektórymi chatami unosił

się dym. Jeden komin był zrobiony z sześciu lub siedmiu dużych puszek, połączonych ze sobą. Poza dymem nie dostrzegłem żadnych innych oznak życia. Niedobra i smutna strona Chepo nie spieszyła się, żeby przywitać dzień. Nie powiem, żebym miał jej to za złe.

Stary kogut zapał swój poranny kawalek. Chaty stopniowo ustąpiły miejsca jednopiętrowym budynkom, które również wyglądały na poupychane niedbale na każdym wolnym skrawku przestrzeni. Tu i tam zamiast chodników położono deski wsparte na kamieniach zanurzonych do połowy w błocie. Kartony składano w stery, które zapadały się, rozsypując ich zawartość. Do kabiny mazdy wdarł się okropny smród. W porównaniu z tym miejscem noclegownia w Camden wydawała się hotelem Claridge.

W końcu minęliśmy zamkniętą stację benzynową. Dystrybutory były stare i zardzewiałe, z lat siedemdziesiątych, z owalną górą. Przez ten czas na ziemię wylało się tu tyle ropy, że nawierzchnia wyglądała jak polana smołą. Woda stała na niej mętnymi, oleistymi kałużami. Pod okapem budynku stacji wisiał znak Pepsi oraz kilka wyblakłych chorągiewek i tablica z reklamą Firestones.

Minęliśmy prostokątny budynek z nieotynkowanych pustaków. Wyciekająca pomiędzy nich zaprawa nie została nawet wygładzona i budowniczy najwyraźniej nie wierzył w sens zakładania rynien. Przy drzwiach przykucnął stary żylasty Indianin w zielonych szortach, siatkowym podkoszulku i gumowych klapkach. Z kącika ust sterczał mu skręt wielkości parówki. Przez okna dostrzegłem regały zastawione konserwami.

Kawalek dalej przy drodze stała duża drewniana szopa, wzniesiona na palach, tak jak niektóre budynki. W jakiejś wcześniejszej fazie swego istnienia została pomalowana na niebiesko i umieszczony na niej szyld głosił, że jest to restauracja. Kiedy podjechalismy bliżej, dostrzegłem cztery lamparcie skóry, rozpięte na ścianie werandy. Pod nimi siedział najbardziej wychudzony wielki kot, jakiego widziałem w życiu. W klatce miał tak mało miejsca, że

ledwie mógł się odwrócić, więc po prostu stał i wyglądał na potwornie wkurzonego. Ja pewnie też byłbym wkurzony, gdybym przez cały dzień musiał patrzeć na najlepszych kumpli przybitych do ściany. Jeszcze nigdy tak nie współczułem żadnemu zwierzęciu.

Aaron pokręcił głową. Najwidoczniej wiązała się z tym jakaś historia.

— Cholera, oni wciąż ją tu trzymają! — Po raz pierwszy usłyszałem w jego głosie gniew. — Wiem na pewno, że sprzedają też żółwie, które są pod ochroną. Nie wolno tego robić. Człowieku, nie można nawet trzymać papugi w klatce, tak głosi prawo... A policja? Cholera, oni nie przejmują się niczym poza narkotykami.

Wskazał coś przed nami i nieco na lewo. Zbliżaliśmy się do czegoś, co przypominało mi posterunek kontrolny w Irlandii Północnej. Wysoki parkan z falistej blachy zasłaniał znajdujące się za nim zabudowania. Stanowiska strzeleckie były chronione przez sterty worków z piaskiem, a obok wielkiej dwuskrzydłej bramy sterczała lufa i wysoki celownik amerykańskiego karabinu maszynowego M-60. Wielka tablica z wojskowym symbolem głosiła, że jest to posterunek policji.

Po drugiej stronie stały zaparkowane cztery ogromne ciężarówki, z równie wielkimi przyczepami pełnymi okorowanych pni. Teraz Aarona dosłownie zatykało z gniewu.

— Tylko spójrz! Najpierw ścinają wszystkie szlachetne gatunki drzew, jakie znajdują. Potem, zanim spławią je tutaj rzeką, nasycają je związkami chemicznymi, które zabijają wszystko, co żyje w wodzie. Nie ma mowy o rolnictwie czy rybołówstwie, pozostaje tylko hodowla bydła.

Pozostawiliśmy za sobą smutne Chepo i pojechaliśmy przez porośnięty trawą teren usiany kałużami rdzawej wody. Moje ubranie w niektórych miejscach było jeszcze wilgotne, a w innych — tam gdzie ciepło ciała nie działało tak intensywnie — zupełnie mokre. Noga nie bolała mnie, dopóki nie spróbowałem jej wyprostować,

przy czym pękł cienki strup. Dobrze przynajmniej, że pod wpływem gniewu wywołanego degradacją środowiska w Chepo Aaron zapomniał o Diegu.

Droga była coraz gorsza, aż w końcu zjechaliśmy z niej na wyboisty szlak wiodący w kierunku wyżyny widocznej jakieś trzy lub cztery kilometry dalej. Nic dziwnego, że mazda była w takim gównianym stanie.

Gdy samochód podskakiwał, silnik rzeził, a zawieszenie skrzypiało, Aaron wskazał coś ręką.

— To zaraz za tym wzgórzem.

Chciałem tylko dotrzeć do tego domu i doprowadzić się do porządku, chociaż, sądząc po sposobie, w jaki Aaron prezentował swoje proekologiczne teorie, nie zdziwiłbym się, gdyby mieszkali w wigwamie.

18

Mazda kołysała się z boku na bok, zawieszenie trzeszczało jak kadłub starej brygantyny, a silnik był raz ciszej, raz głośniejszy. Ku mojemu zdziwieniu, Aaron bardzo zręcznie prowadził pojazd. Wyglądało na to, że czeka nas jeszcze co najmniej półtorej godziny jazdy. To tyle, jeśli chodzi o „zaraz za tym wzgórzem”.

Przedzieraliśmy się przez mgłę, aż w końcu wjechaliśmy na szczyt stromego, skalistego wzgórza. Znaleźliśmy się w okolicy krańcowo odmiennej od trawiastej równiny, po jakiej podróżowaliśmy dotychczas. Przed nami rozpościerała się dolina otoczona wysokimi pagórkami i, jak okiem sięgnąć, usłana pościnanymi, spróchniałymi drzewami. Leżące najbliżej nas pnie były prawie szare ze starości. Wyglądało to tak, jakby ktoś wysypał ogromne pudełko zapalek na pustkowie pokryte rdzawym błotem. Zalegająca na dnie doliny mgła jeszcze pogłębiała niesamowite wrażenie. Na drugim końcu, gdzie teren znów stawał się bardziej płaski, jakieś pięć lub sześć kilometrów od nas, bujnie rosła gęsta dżungla. Nie mogłem tego zrozumieć.

Zaczęliśmy jechać w dół i Aaron widocznie wyczuł moje zdziwienie.

— Po prostu znudzilo im się po tej stronie wzgórz! — przekrzyczał grzyty i piski pojazdu. — Nie było tu dostatecznie dużo twardego

drewna, a ściąganie stąd tych pni nie było dostatecznym wyzwaniem dla macho. Przynajmniej dzięki temu nie ma tu farmerów, ponieważ ci nie są w stanie usunąć stąd zwalonych pni. Ponadto nie ma tutaj dość wody, a nawet gdyby była, nie nadawałaby się do picia.

Dotarliśmy na dno doliny, podążając szlakiem wijącym się wśród próchniejących pni. Wyglądało to tak, jakby przez dolinę przeszło tornado, powalając wszystkie drzewa. Wzeszło poranne słońce, ze wszystkich sił starając się przebić cienką warstwę chmur. Nie wiadomo dlaczego wyglądało to znacznie gorzej, niż gdyby zupełnie się za nimi skryło — przynajmniej wtedy świeciłoby z jednego kierunku. A tak, chmury rozpraszały promienie słońca na wszystkie strony. Zdecydowanie nadszedł czas na Jackie O. Aaron poszedł za moim przykładem i też nałożył swoje okulary.

Jechaliśmy przez to cmentarzysko drzew, aż uratował nas gąszcz na drugim końcu doliny.

— To już niedługo — oznajmił Aaron. — Jakies czterdzieści pięć, pięćdziesiąt minut.

Wolałbym dwadzieścia, bo wydawało się, że pojazd nie znieśie dłuższej jazdy, a moja głowa także. Miałem wrażenie, że zaraz mi eksploduje.

Znowu znaleźliśmy się we wtórnej dżungli. Drzewa były spowite festonami sięgających aż po korony pnączy. Pomiedzy nimi i nad drogą rosły najrozmaitsze rośliny. Wydawało mi się, że jedziemy długim szarym tunelem. Zdjąłem okulary przeciwsłoneczne i wszystko stało się jaskrawozielone.

Według mojego zegarka była 7.37, co oznaczało, że od czterech godzin jesteśmy w drodze. Piekły mnie oczy i łupało w głowie, ale na razie nie było czasu na odpoczynek. Może znajdę go w niedzielę... albo kiedy wreszcie dotrę do Marylandu. Przede wszystkim powinienem się skupić i wymyślić sposób, w jaki to zrobię. Muszę wziąć się w garść i wykonać zadanie. Choć usilnie starałem się myśleć o tym, co widziałem podczas rekonesansu, nie mogłem się skoncentrować.

Aaron dobrze wyliczył czas. Po czterdziestu pięciu minutach wyjechaliśmy na wielką porębę, w większości znajdującą się za budynkiem, który stał bokiem do niej i frontem do nas jakieś dwieście metrów dalej. Wyglądał na samodzielnie sklecony barak.

Chmury rozeszły się, odsłaniając słońce i błękitne niebo.

— To tutaj — oznajmił bez entuzjazmu Aaron.

Ponownie włożył okulary, ale ja nie miałem zamiaru zakładać szkieł Jackie O., ponieważ za chwilę miałem spotkać się z ich właścicielką.

Po mojej lewej i naprzeciwko domu wznosił się pagórek o stromych zboczach pokrytych zwalonymi drzewami i zbutwiałymi pieńkami, pomiędzy którymi wyrastały kępy ostrej trawy. Pozostała część polany była równiną.

Podjechaliśmy szlakiem do dużego budynku, który wznosił się na niemal płaskim terenie. Jego główną częścią była parterowa willa z krytym dachówką dachem i brudnozielonymi otynkowanymi ścianami. Od frontu budynku znajdowała się zadaszona weranda, z widokiem na wzgórze. Za głównym budynkiem, połączona z nim, stała przybudówka z falistej blachy, niemal dwukrotnie większa od domu i ze znacznie wyższym dachem.

Po mojej prawej stronie stały długimi rzędami setki dziesięciolitrowych plastikowych pojemników, mających po pół metra wysokości i tyleż szerokości. Były pozamykane, ale w ich wieczkach powycinano owalne otwory, z których wyrastały różnobarwne rośliny. Wyglądało na to, że Aaron i Carrie otworzyli pierwsze w tej okolicy centrum ogrodnicze. Znalazłem się na planie zdjęciowym do kolejnego odcinka panamskiej wersji „Przydomowego ogródka”.

Wokół stało kilka wiat krytych falistą blachą, ze stertami drewnianych skrzynek i beczek. Zauważyłem zepsutą drewnianą taczkę. Po prawej, za pojemnikami, stał pod wiatą agregat prądotwórczy oraz co najmniej dziesięć dwustulitrowych beczek.

Gdy podjechaliśmy bliżej, zobaczyłem rury wiodące z rynien do zielonych plastikowych beczek na wodę, ustawionych w regularnych odstępach wzdłuż ścian budynku. Nad dachem, na rusztowaniu, wznosił się duży zbiornik na wodę z niebieskiego plastiku, a pod nim stary, metalowy, z mnóstwem odchodzących od niego rurek. W pobliżu sterczały dwa talerze anten satelitarnych — jedna skierowana na zachód, druga na wschód. Może lubili oglądać telewizję panamską i kolumbijską. Mimo technicznych udogodnień była to zdecydowanie siedziba stukniętego ekologa. Do pełnego obrazu brakowało tylko pary dojnych krów, zwanych Yin i Yang.

Zobaczyłem także drugiego pikapa, zaparkowanego po drugiej stronie werandy. Aaron kilkakrotnie nacisnął klakson mazdy i spojrział z niepokojem na wylaniającą się z werandy Carrie, wkładającą okulary. Była ubrana tak samo jak na lotnisku, ale naźelowała sobie włosy.

— Proszę, Nick... ani słowa.

Zatrzymał samochód i wysiadł, w chwili gdy ona zeszła po schodkach werandy.

— Cześć.

Wyskoczyłem, żeby się przywitać, mrużąc oczy w oślepiającym słońcu i pod wpływem bólu głowy. Przeszedłem kilka kroków i przystanąłem, dając im czas. Nie wymienili jednak żadnych pozdrowień, pocałunków czy uścisków, tylko zaniepokojone spojrzenia. Nie zastanawiając się nad tym, spocony i zmęczony ruszyłem ku nim.

— Czołem — powiedziałem, przybierając ton gościa przyjaźnie nastawionego do gospodarzy.

To nie żel przytrzymał jej włosy. Przed chwilą brała prysznic. Zauważyła, że utykam i mam rozerwane spodnie.

— Co się stało? Nic panu nie jest?

Nie patrzyłem na Aarona. Spojrzenia zbyt wiele zdradzają.

— Wpadłem w sidła na zwierzyne, czy coś takiego. Trochę...

— Lepiej niech pan wejdzie i oczyści skaleczenia. Ugotowałam trochę owsianki.

— To wspaniale.

Gówno prawda. Odwróciła się, żeby wprowadzić nas do domu, ale Aaron miał inny pomysł.

— Wiesz co? Wyczyszczę teraz samochód. Z tyłu rozlało się trochę paliwa i lepiej wytrzeć je od razu.

Carrie obejrzała się.

— Och, w porządku.

Poszedłem za nią do domu, a Aaron posłał mi ostatnie spojrzenie zza przeciwsłonecznych okularów i nieznacznie skinął głową, po czym wrócił do mazdy. Byliśmy tuż przy werandzie, kiedy Carrie przystanąła i ponownie się odwróciła. Gdy Aaron odjeżdżał mazdą w kierunku placu z plastikowymi donicami, w lekko lustrzanych okularach Carrie zobaczyłem moją pogryzioną, spuchniętą twarz i rozczochrane włosy. Szkła były zbyt ciemne, bym mógł dojrzeć jej oczy.

— Luce, nasza córka, myśli, że jest pan pracownikiem Departamentu Szkolnictwa Wielkiej Brytanii i przyjechał pan na kilka dni, żeby zobaczyć, jak idzie nam praca. W porządku?

— Jasne, to nie problem.

Postaram się udawać stukniętego ekologa-naukowca. Wolałbym widzieć jej oczy. Nienawidzę rozmówców w lustrzanych okularach.

— Ona nic nie wie o prawdziwym celu pańskiej wizyty. My również, skoro o tym mowa. Luce teraz śpi, ale niedługo ją pan pozna.

Postukała w szkło okularów i wskazała na moje spuchnięte oko.

— I niech się pan tym nie przejmuje. Opuchlizna zejdzie po kilku dniach.

19

Byłem tak zmęczony, że kleiły mi się oczy, kiedy szliśmy po popękanych i wyblakłych kafelkach werandy, mijając dwa wiktoriańskie bujaki z ciemnego drewna i stary hamak wyłożony poduszkami z plamami od kawy i deszczu. Frontowe drzwi były uchylone, a drugie, z siatką przeciwmoskitową, otworzyły się, skrzypiąc, pociągnięte przez Carrie. Po lewej, osadzony nad również zabezpieczonym siatką oknem, wisiał kinkiet z kloszem pełnym zeschniętych owadów, zwabionych przez światło. Przytrzymałem drzwi, zanim zdążyły się zatrzasnąć, i wszedłem za Carrie do środka.

Po oślepiającym blasku dnia znaleźliśmy się w niemal zupełnie ciemnym wnętrzu, w którym unosił się silny zapach drewna. Jakbym był w ogrodowej altanie. Powstrzymałem ziewnięcie. Oczy same mi się zamykały, ale musiałem zwalczyć senność. Znalazłem się na dziewiczym terytorium i powinienem zanotować w pamięci każdy szczegół.

Pomieszczenie było duże i wysokie. Podtrzymujące dach, masywne pnie drzew tkwiły w otynkowanych ścianach, niegdyś pomalowanych na kremowy kolor, ale obecnie porysowanych i wyblakłych. Umebłowano je jak domek letniskowy: podstawowe sprzęty, toporne i skromne.

Carrie skierowała się prosto do następnych drzwi, pomalowanych na żółto, prawie dziesięć metrów dalej. Poszedłem za nią.

Zdjęła okulary i pozwoliła im opaść na tasiemce otaczającej szyję. Po lewej stały cztery fotele zbite z belek i nakryte kwiecistymi kapami w niedobrych kolorach. Krzesła były równo ustawione wokół okrągłego stoliczka do kawy, zrobionego z kawałka ciemnego drewna, najwyższej metrowej średnicy. Przy stoliku i krzesłach ustawiono dwa elektryczne wentylatory, model z lat pięćdziesiątych z drucianą osłoną. Ich chrom pamiętał lepsze czasy. Szkoda, że do osłon nie przymocowano wstążek, co nadałoby im jeszcze bardziej staromodny wygląd.

W ścianie po lewej były dwie pary następnych drzwi, także pomalowanych na żółto, osadzonych we framugach pokrytych luszczącą się brązową farbą. Te znajdujące się dalej były niedomknięte i prowadziły do pomieszczenia, które uznałem za ich sypialnię. Do zagłówka z naturalnego drewna przymocowano jeden koniec moskitiery. Drugi zwieszał się z sufitu. Łóżko było nieposłane i zauważyłem czerwoną pościel. Na krześle leżała sterta męskiej i damskiej odzieży. Na ścianie po prawej stronie łóżka wisiał karabin. Pomyślałem, że mieszkając tutaj, zawiesiłbym go gdzieś bliżej.

Jeszcze dalej, w kącie, był aneks kuchenny z małym stolikiem oraz krzesłami. Na wbitych w ścianę haczykach wisiał rząd różnokolorowych kubków.

Całą ścianę po prawej stronie, aż po drzwi, do których zmierzaliśmy, zajmowały półki z książkami. Pozostawiono tylko miejsce pod oknem, również zabezpieczonym siatką i wydającym się jedynym źródłem światła w tym pomieszczeniu.

Poczułem zapach owsianki. Z dużego garnka stojącego na szafce tuż przy kuchence unosiła się para. Obok leżała duża kiść bananów i miska z pomarańczami.

Carrie znikła za drzwiami, więc podążyłem za nią do większej przybudówki z falistej blachy. Ściany tego pomieszczenia były obite dyktą, a podłoga wybetonowana. Z wysokiego sufitu zwisały na stalowych prętach dwa stare i bardzo brudne wentylatory, pamiętające czasy maharadzów. To pomieszczenie było o wiele bardziej

nagrzane niż poprzednie, lecz jaśniejsze dzięki dużym kawałkom przezroczystego karbowanego plastiku, osadzonym w ścianach i pełniącym funkcję okien.

Barak wyglądał tandetnie i topornie, ale jego wyposażenie — nie. Całą długość przeciwległej ściany i jeszcze część lewej zajmował jeden długi pulpit ze stołów na kozłach. Na nim umieszczono dwa pecety z kamerami internetowymi zamocowanymi na monitorach. Przed każdym stało składane brezentowe krzesło z zielonym oparciem wytartym od częstego używania. Monitor komputera po prawej ukazywał obraz śluzy Miraflores. Najwidoczniej była to transmisja w czasie rzeczywistym, gdyż ekran właśnie odświeżał się, ukazując wypływający z jednej ze śluz frachtowiec. Sądząc po jaskrawych refleksach na powierzchni kałuż i trawie, nie byliśmy jedyną częścią Panamy, w której świeciło słońce.

Pecet po lewej był wyłączony i wyposażony w słuchawki i mikrofon, zawieszono teraz obok kamery. Wokół obu komputerów i pod nimi zalegały sterty papierów oraz innych biurowych śmieci, a wszędzie leżały przewody i kartony z artykułami papierniczymi. Na pulpicie po lewej, naprzeciw mnie, stał trzeci komputer, również z kamerą internetową i słuchawkami, otoczony podręcznikami. To z pewnością królestwo Luce.

Carrie natychmiast skręciła w prawo, w jedyne widoczne drzwi, a ja za nią. Weszliśmy do pomieszczenia przypominającego magazyn kwatermistrza, o wiele mniejszego niż poprzednie dwa pokoje i znacznie bardziej nagrzanego. Pachniało tam jak w miejscowych delikatesach. Po lewej i prawej pod ścianami ciągnęły się rzędy półek, zmieniając pomieszczenie w korytarz. Poustawiano na nich kartony konserw, lampy sztormowe, latarki i zapasowe baterie. Na paletach stały wielkie worki z ryżem, płatkami owsianymi i sproszkowanym mlekiem. W rzeczy samej, było tu dość zapasów, aby żyć w dostatku przez rok. Między regałami rozstawiono amerykańskie łóżko polowe, na którym leżał ciemnozielony koc, jeszcze w opakowaniu z cienkiej przezroczystej folii.

— To dla pana.

Ruchem głowy wskazała drzwi z falistej blachy, szybko zamykając te do pokoju komputerowego i pograżając pomieszczenie w niemal kompletnej ciemności.

— Tędy może pan wyjść na zewnątrz. Tam będzie pan lepiej widział. Zaraz przyniosę apteczkę.

Przeszedłem obok niej, rzuciłem kurtkę na łóżko, po czym odwróciłem się i zobaczyłem, że Carrie wspina się na półki.

— Czy mógłbym zobaczyć zdjęcia?

Nawet nie spojrzała na mnie.

— Jasne.

Wyszedłem na zewnątrz. Ta strona budynku była zacieniona, co mnie pocieszyło, gdyż wciąż czułem lupanie w głowie i ostre słońce jeszcze pogorszyłoby ten ból. Świerszcze wygrywały swoje melodie. One też nie pomagają przy bólu głowy.

Przede mną, dwieście metrów dalej, stały szeregi wielkich plastikowych donic ze sterczącymi z nich roślinami, słońce odbijało się w otaczających je kałużach, a agregat rytmicznie pokasływał. W oddali zobaczyłem Aarona, który mył bagażnik mazdy wodą z ogrodniczego węża. Stado dużych, czarno-białych ptaków uniosło się z drzew za donicami i ze świstem przeleciało tuż nad dachem domu.

Opadłem na betonowy fundament wystający poza obręb budynku, opierając się plecami o jedną z beczek na wodę, po czym na moment zamknąłem oczy, usiłując zapomnieć o bólu. Nie udało mi się to, więc rozchyliłem rozcięcie dżinsów, żeby obejrzeć ranę. Podkoszulek wciąż był mokry i zablocony, nawet po kąpieli w kanale burzowym. Skutecznie zdołałem zatamować krwawienie, ale nie wiedziałem, czy nie wda się zakażenie. Co prawda byłem szczepiony przeciwko tężcowi, ale zapewne tylko Aaron wiedział, jakie gatunki dziwnych i groźnych mikroobów kryją się w panamskiej dżungli.

Obejrzałem strup między materiałem a ciałem. Oba usilnie starały się wyschnąć i stać jednością, a napuchniętego ciała wokół rany prawie nie czułem. Z doświadczenia wiedziałem, że przy

dłuższym pobycie w dżungli taka rana może być śmiertelnie niebezpieczna i po kilku dniach zmienić się w zaropiały wrzód, ale tutaj mogłem temu zapobiec.

Carrie wyłoniła się z magazynka ze staromodną małą walizką w biało-brązową kratkę i z kartką papieru formatu A4. Położyła wszystko na betonie i podniosła wieko walizeczki, odsłaniając zawartość wyglądającą na niezły zestaw pierwszej pomocy. Podeszła i przyjrzała się bandażowi na mojej łydce i po raz pierwszy dostrzegłem błysk w jej oczach. Były duże i bardzo zielone. Wilgotne włosy wysunęły się jej zza uszu i byłem dostatecznie blisko, aby wyczuć zapach jabłkowego szamponu. Nie patrzyła na mnie, tylko grzebała w walizeczce. Zapytała czystym i zdecydowanym głosem:

— Po co właściwie pan przyjechał? — Zaczęła wyciągać przybory. Nie wiedziałem, czy zamierza mnie opatrzeć, czy tylko zdemonstrować mi możliwości. Nie patrząc na mnie, dodała: — Nie powiedziano mi nic poza tym, że przyleci pan tutaj i mamy panu pomóc.

Do tego czasu położyła już na betonie rolki bandażu w szeleszczącym celofanie, paczki tabletek i napoczęte opakowania z lekarskami, nie przestając grzebać w walizce.

— Chcemy, żeby Charlie coś dla nas zrobił. Jestem tutaj, żeby mu o tym przypomnieć.

Nie spojrzała na mnie ani w żaden inny sposób nie dała znać, że usłyszała moją odpowiedź. Popatrzyłem na jej ręce, gdy pochylała się nad walizką i wyjmowała różnokolorowe tubki z maściami. Miała dłonie pracującej kobiety, a nie damy. Dostrzegłem na nich kilka blizn, lecz ani śladu brudu pod paznokciami — w przeciwieństwie do Aarona. Te dłonie były silne i sprawne, i choć niewypielęgnowane, wyglądały na zadbane.

— I nie wie pan, o czym ma mu pan przypomnieć? No, czy nie mówią panu o takich sprawach, kiedy pana wysyłają z misją, czy jak to się tam nazywa?

Wzruszyłem ramionami.

— Myślałem, że wy mi powiecie.

— Nie, ja nic nie wiem — odparła prawie ze smutkiem.

Znowu zapadła cisza. Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym powiedzieć, więc wskazałem na rozstawione na betonie medykamenty.

— Muszę się doprowadzić do porządku, zanim opatrzę ranę. Obawiam się, że nie mam zapasowego ubrania.

Powoli wstała, spoglądając w kierunku mazdy.

— Może pan włożyć rzeczy Aarona. Prysznic jest z tyłu. — Wskazała za siebie. — Przyniosę ręcznik.

Zanim doszła do drzwi, obejrzała się na mnie.

— Obowiązuje tu dwuminutowy reżim. Pierwsza minuta na zwilżenie ciała, potem zakręca się kran i mydli ciało. Druga minuta na spłukanie. Tutaj często pada, ale mamy kłopoty z łapaniem deszczówki. — Chwyliła klamkę. — Och, a gdyby pana korciło, niech pan nie pije wody z prysznic. Do picia nadaje się ta z kranów oznaczonych literą D... tylko ta jest oczyszczona. — I dodała z uśmiechem, znikając: — W przeciwnym razie szybko się pan przekona, dlaczego trzeba ją oczyszczać.

Spojrzałem na zdjęcie satelitarne. Ziarnista reprodukcja zajmowała całą powierzchnię papieru i ukazywała cały teren, rozmieszczenie zabudowań otoczonych prawie równym prostokątem drzew i przystrzyżonych krzewów. Usiłowałem wziąć się do roboty, ale nie mogłem. Chociaż wiedziałem, jakie to dla mnie ważne, po prostu nie mogłem się skupić.

Zamiast tego zatrzymałem wzrok na jednym z ciemnobrazowych słoiczków z tabletkami. Na etykiecie napisano: „dihydrokodeina” — doskonały środek przeciwbólowy, szczególnie zażywana z aspiryną, która potęguje jej działanie. Wytrząsałem jedną i połknąłem na sucho, szukając aspiryny. W końcu znalazłem ją, wyłuśkałem tabletkę z folii i również połknąłem.

Umieściłem jedną rolkę bandaża na zdjęciu, żeby nie porwał go wiatr, po czym wstałem i pokuśtykałem w kierunku prysznic na tyłach. Może przez to oślepiające słońce, a może po prostu byłem

wykończony, ale ślaniałem się na nogach. Mijając wejście do magazynu, zajrzałem do środka i zobaczyłem, że drzwi do pokoju komputerowego są wciąż zamknięte. Przystanąłem i obejrzałem łóżko. Było starego typu, płócienne, a nie nylonowe, na składanym aluminiowym stelażu. Miałem dobre wspomnienia związane z takimi pryzami: były łatwe do rozkładania, wygodne i utrzymywały leżącego pół metra nad ziemią — nie tak jak angielskie łóżka, do których zmontowania należało mieć doktorat z fizyki i na których leżało się dziesięć centymetrów nad ziemią. Jeśli przypadkiem trafiło ci się zapadnięte, mogłeś spędzić noc, leżąc na zimnym cemencie albo mocząc tyłek w błocie.

Jakiś ptak śpiewał i świstał w oddali, a wilgotne powietrze było ciężkie od duszących zapachów. Usiadłem na łóżku, wyjąłem z kieszeni dzinsów portfel Diega i jeszcze raz spojrzałem na zdjęcie. Pewnie i to będą widywał w koszmarnych snach. Jeden z wielu takich obrazów.

Aaron skończył i ustawił wóz pod domem. Wstałem i zamknąłem drzwi, pogrążając pomieszczenie w mroku, po czym ponownie dokuśtykałem do pryczy i, nie zdejmując wilgotnego ubrania, wyciągnąłem się na niej. Serce biło mi coraz mocniej, gdy w oczach stawała mi Kelly, ciała, Diego, znów trupy, Potakiwacz, nawet Josh. I, do cholery, dlaczego powiedziałem Carrie, że przyleciałem tutaj, żeby przypomnieć o czymś Charliemu? Po co w ogóle mówiłem jej coś o robocie?

Kurwa, kurwa, kurwa...

Znowu poczułem to mrowienie. Nie mogłem go opanować i powoli przesuwało się od stóp w górę. Obróciłem się na bok i zwinąłem w kłębek, chwytając za kostki nóg, nie chcąc już dłużej o tym myśleć, nie chcąc już niczego widzieć.

20

Czwartek 7 września

Wchodzę do sypialni z plakatami Buffy i Britney, piętrowym łóżkiem i zapachem snu. Górne łóżko jest puste, gdy podchodzę do niego po ciemku, potykając się o buty i magazyny dla nastolatek. Ona śpi, do połowy wysunięta spod kołdry, wyciągnięta na plecach, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami, z włosami bezładnie rozrzuconymi na poduszce. Delikatnie chowam jej zwisającą rękę i nogę pod kołdrę.

Coś jest nie tak... mam wilgotne ręce... ona jest bezwładna... i nie przygryza dolnej wargi, nie śni o tym, że jest gwiazdą rocka. Zapala się światło i widzę krew kapiącą z moich dłoni na jej zmasakrowaną twarz. Ma szeroko otwarte usta i oczy nieruchomo wpatrzone w sufit.

Sundance leży na górnym łóżku, z kijem baseballowym w ręku, z podbitymi oczami i złamanym nosem, patrzy na mnie i śmieje się. „ Nie miałbym nic przeciwko wycieczce do Marylandu... najpierw moglibyśmy pojechać i zwiedzić Waszyngton... Nie miałbym nic przeciwko wycieczce do Marylandu... najpierw moglibyśmy pojechać i zwiedzić Waszyngton... „

Z krzykiem upadam na kolana, czuję mrowienie nóg. Ściągam ją z łóżka, usiłując zabrać ze sobą.

— W porządku, Nick, w porządku. To tylko sen...

Otworzyłem oczy. Klęczałem na podłodze, przyciskając do piersi Carrie.

— W porządku — powtórzyła. — Uspokój się, jesteś w moim domu, uspokój się.

Uświadomiłem sobie, gdzie jestem, i natychmiast wypuściłem ją z objęć, odskakując na przyczę. Carrie została na podłodze. W półmroku zobaczyłem jej zatroskaną twarz.

— Masz, napij się.

Lekko zmieszany, wziąłem od niej na pół pustą butelkę i zacząłem odkręcać zakrętkę, wciąż czując to mrowienie nóg. Odchrząknąłem.

— Dziękuję, bardzo dziękuję.

— Może masz gorączkę. Mogłeś złapać coś wczoraj w dżungli. Zobaczymy, jak będziesz czuł się rano. W razie potrzeby zawieziemy cię do szpitala w Chepo.

Pijąc, skinałem głową, odgarnąłem włosy z czoła i przerwałem, żeby nabrać tchu.

— Jeśli potrzebujesz czegoś, to w apteczce są jakieś lekarstwa.

— Nie, nie trzeba, dziękuję. Jak długo tu byłaś?

— Przed chwilą nas zbudziłeś. Niepokoiliśmy się. — Wyciągnęła rękę i przyłożyła ją grzbietem do mojego czoła. — Czasem ludzie tutaj pod wpływem gorączki wpadają w szal.

— Chyba miałem zły sen. Nawet nie pamiętam, co mi się śniło.

Zaczęła wstawać, a ja spróbowałem odlepić mokry podkoszulek od ciała.

— To się zdarza. Teraz już dobrze?

Potrząsałem głową, próbując otrzeźwieć.

— Nic mi nie jest, dzięki.

— Zatem zobaczymy się rano. Dobranoc.

— Tak, hmm... Dziękuję za wodę.

Poszła z powrotem w kierunku pokoju komputerowego i zanim zamknęła za sobą drzwi, powiedziała:

— Nie ma za co.

Spojrzałem na zegarek. 24.46. Spałem ponad czternaście godzin. Powoli wstałem, zrobiłem kilka przysiadów, usiłując pozbyć się mrowienia nóg i pijąc wodę. Potem rozdarłem foliowe opakowanie, położyłem się i nakryłem kocem, winę za moje kiepskie samopoczucie składając na karb mieszanki leków. Takie są skutki zażywania dihydrokodeiny.

Rzucałem się i wierciłem na łóżku, aż w końcu podłożyłem sobie pod głowę zwiniętą kurtkę, ale to nic nie pomogło. Moje ciało mówiło mi, że jeszcze potrzebuje snu, lecz ja nie chciałem już zamykać oczu.

Pół godziny później spojrzałem na zegarek i była już 3.18. To tyle, jeśli mowa o niezamykaniu oczu. Leżałem w ciemnościach, masując nogi. Ból ustąpił i nie byłem już tak otumaniony jak przedtem. Po omacku sięgnąłem pod łóżko, po butelkę z wodą. Mrugając, otworzyłem oczy i napiłem się przy dzwonieniu cykad.

Nie chciałem leżeć tak i za dużo myśleć, więc postanowiłem się przejść i zająć czymś myśli. Ponadto jestem wścibski.

Podniosłem się i przez chwilę siedziałem na brzegu pryczy, rozcierając twarz, po czym wstałem i sięgnąłem ręką do kontaktu. Nie mogłem go znaleźć, więc zamiast tego nacisnąłem kławkę i z butelką w ręku wszedłem do pokoju komputerowego. Tam bez trudu odnalazłem włącznik. Kiedy zapaliło się światło, zobaczyłem, że drzwi do salonu są zamknięte. Sprawdziłem mrok za nimi.

Ściana z dykty między dwoma czarnymi ekranami była pokryta poprzypinanymi wycinkami zadrukowanymi po hiszpańsku i odręcznie pisanymi listami na firmowym papierze uniwersytetu oraz karteczkami z codziennymi wiadomościami w rodzaju: „trzeba kupić klej”. Pewnie właśnie tak wygląda życie maniaka-ekologa: przez cały dzień poza domem, na gównianych zajęciach, a potem z powrotem do komputera, aby obliczać światową produkcję tlenu przez liście, lub coś w tym stylu.

Po lewej wisiała korkowa tablica z kolekcją fotografii. Wszystkie ukazywały fazy budowy baraku i porębę. Na kilku był Aaron stojący na drabinie i przybijający gwoździami arkusze cienkiej blachy, lub w towarzystwie faceta wyglądającego na miejscowego, obok kraterów w ziemi i porozrzucanych wokół drzew.

Upiwszy łyk wody, podszedłem do peceta, który zapewne należał do Luce. Podręczniki były amerykańskie, z tytułami takimi jak „Math Is Cool”, a obok wznosiła się krzywa wieża płytek kompaktowych z muzyką, gotowych do odtwarzania w czytniku. Na skleje wisiały mapy świata, nieudolne szkice i wydarte z magazynów zdjęcia Ricky'ego Martina obok latynoskiego big-bandu epatującego tapirowanymi włosami i koszulami z żabotami. Spojrzałem na biurko i zobaczyłem jej imię nagryzmlone na okładkach zeszytów do ćwiczeń — typowe zajęcie nudzących się dzieci. Moje zawsze były pobazgrane. Podpisywała się jako Luz. Z kolumbijskich czasów pamiętałem, że oni wymawiają Z jak S. A więc jej imię oznaczało po hiszpańsku „światło” — wcale nie było zdrobnieniem od Lucy.

Czułem pokrywającą mnie warstwę lepkiego potu, gdy skierowałem się do salonu i ponownie sprawdziłem, czy drzwi do ich sypialni są zamknięte, zanim nacisnąłem mosiężny kontakt.

Pokój oświetliły trzy gołe żarówki zwisające na cienkim białym kablu, przyklejonym taśmą do belek sufitu. Kuchenka miała poobtlukiwaną białą emalię, piekarnik z okienkiem i gazowe palniki. Jeden z nich zajmowała staroświecka stalowa zaparzarka do kawy, a do lodówki poprzyczepiano magnesami rodzinne zdjęcia. W pobliżu stał fornirowany biały stół z czterema krzesłami, wyglądający na przeniesiony z lat sześćdziesiątych i niepasujący do świata ciemnego drewna.

Oderwałem dwa lub trzy banany z kiści leżącej obok pomarańczy i machinalnie zerknąłem na fotografie, podczas gdy plecy boleśnie przypominały mi o tym, że są strasznie pogryzione. Zdjęcia ukazywały członków rodziny i dom, a także jakiegoś starszego

faceta w koszulce polo, który stał na werandzie z Luz i trzymał ją za rękę.

Zdejmowałem skórkę z drugiego banana, kiedy moje spojrzenie padło na wyblakłe czarno-białe zdjęcie pięciu mężczyzn. Jednym z nich na pewno był starszy gość, który stał z Luz. Wszyscy byli w kąpielówkach, na plaży, i trzymali na rękach małe dzieci w pieluchach albo słomkowe kapelusze. Pierwszy z lewej miał paskudną bliznę na brzuchu.

Pochyliłem się, żeby przyjrzeć mu się z bliska. Na zdjęciu miał ciemniejsze włosy, ale nie było żadnych wątpliwości. Ta pociągła twarz i żylaste ciało należały do Pizzy.

Wziąwszy z szafki jeszcze dwa banany, podszedłem do stolika do kawy i usiadłem, zwalczwszy chęć podrapania się po plecach, starając się nie robić hałasu. Piłem wodę i jadłem banany. Stolik z ciemnego drewna miał prawie dwadzieścia centymetrów grubości i wypolerowany blat, z pozostawioną na brzegu warstwą kory. Leżały na nim stare numery czasopism „Time” i „Miami Herald” obok krzykliwych hiszpańskojęzycznych gazet, których nie znałem, oraz magazyn dla nastolatków z jakimś boys bandem na okładce.

Siedziałem, dojadając banana i wodząc wzrokiem po półkach. Było na nich mnóstwo książek w twardych i miękkich okładkach, albumów i starannie złożonych map. Tytuły na wytartych grzbietach obejmowały zarówno książki przyrodnicze, jak i powieści Marka Twaina, liczne opracowania dotyczące dziejów Ameryki, a nawet Harry'ego Pottera. Przeważnie jednak były to podręczniki omawiające problemy lasów tropikalnych, efektu cieplarnianego oraz flory i fauny. Przyjrzałem im się bliżej. Dwa zostały napisane przez Aarona.

Jedną z półek zajmowały cztery lampy sztormowe z okopconymi kominkami i tyleż pudełek zapalek, ustawione w równym szeregu, jak żołnierze czekający na następną przerwę w zasilaniu. Poniżej dwa posrebrzane świeczniki i kielich stały obok rzędu oprawionych w skórę książek z hebrajskimi napisami na grzbietach.

Wypiłem wodę, wstałem, wrzuciłem skórki od bananów do plastikowego worka pod zlewem i ruszyłem w kierunku mojej pryczy. Odpoczywałem już długo, ale wciąż byłem zmęczony.

Obudził mnie warkot generatora i zapuszczanego silnika samochodu. Idąc do drzwi, potknąłem się o apteczkę.

Oślepiło mnie słońce, ale zdążyłem jeszcze zauważyć znikającą między drzewami mazdę. Kiedy podniosłem rękę i osłoniłem dłonią oczy, zobaczyłem stojącą przed domem Carrie. Odwróciła się do mnie. Z wyrazu jej twarzy nie umiałem wyczytać, czy się uśmiecha, czy też jest zmieszana.

— Dzień dobry.

Skinąłem głową w odpowiedzi, obserwując odjeżdżający samochód.

— Aaron pojechał do Chepo. Od miesięcy trzymają tam w klatce jaguara. Przyniosę panu ubranie i ręcznik. Dobrze się pan czuje?

— Tak, dziękuję. Nie sądzę, żebym musiał jechać do Chepo. Zdaje się, że gorączka opadła.

— Robię śniadanie. Chce pan coś zjeść?

— Dziękuję. Jeśli można, najpierw chciałbym wziąć prysznic.

Ruszyła w kierunku werandy.

— Jasne.

Na tyłach znalazłem wiatę przylegającą do ściany domu. Najwidoczniej pełniła funkcję łazienki. Kabina prysznicza składała się z trzech ścianek z falistej blachy i starej plastikowej zasłony. Z dziury w dachu wychodził czarny gumowy wąż. Obok był stary podwójny zlew z nierdzewnej stali, zawieszony na żelaznych kątownikach, z doprowadzonymi dwoma innymi węzami. Końce rur ściekowych znikaly w ziemi. Dalej znajdowała się wygódka.

Nad zlewem stały trzy szczoteczki do zębów, każda w oddzielnej szklance, a przy wielkiej puszcze z mydłem w proszku leżały pasta

do zębów i szczotki do włosów. Pod daszkiem z falistej blachy był rozpięty sznur na bieliznę z przyczepionymi do niego drewnianymi klamerkami, czekający na pranie. W kącie stało kilka białych donic, jedna pełna namoczonych ubrań.

Teren na tyłach domu lekko się obniżał, tak że widziałem wierzchołki drzew rosnących jakieś trzysta metrów dalej. Nad ich koronami krążyły ptaki, a na jasnobłękitnym niebie ujrzałem kilka kłaczkowatych obłoków.

Odsunąłem plastikową zasłonę, zdjąłem ubranie i rzuciłem je na cement, ale opatrunek z podkoszulka pozostawiłem na nodze. Wszedłem pod prysznic, gdzie na środku cementowej podłogi był otwór odpływowy, a do ścianki przymocowana półeczka z butelką szamponu, na pół zużyta kostka mydła z przyklepionymi do niej włosami oraz niebieska jednorazowa maszynka do golenia — na pewno nie Aarona. Mydliny jeszcze spływały po cienkich ściankach.

Wykręciłem głowę, żeby obejrzeć wysypkę u dołu pleców, które swędziły mnie jak wszyscy diabli. Zobaczyłem zaczerwienienie i opuchliznę, mniej więcej wielkości mojej dłoni. Zapewne kiedy leżałem w resztkach liści, gromadka pajęczaków przyniosła mi dobrą nowinę. Ich maleńkie larwy wniknęły pod skórę, gdy obserwowałem dom, i teraz nic nie mogłem zrobić, jedynie przez kilka następnych dni odgrywać rolę dobrego gospodarza, aż znudzą się i pozdychają. Lekko podrapałem plecy obok obrzmienia; wiedziałem, że nie powinienem tego robić, ale nie mogłem się powstrzymać.

Siniak po lewej stronie klatki piersiowej pięknie dojrzał od pamiętnego niedzielnego popołudnia i żebra bolały mnie nawet wtedy, kiedy wyciągałem rękę, żeby odkręcić zawór węża.

Namoczyłem opatrunek letnią wodą, usiłując go zmiękczyć, a potem — trzymając wąż nad głową — odliczyłem przysługujące mi sześćdziesiąt sekund. Zakręciwszy wodę, namydliłem się mydłem o kwiatowym zapachu i wtarłem we włosy szampon. Kiedy uznałem,

że woda powinna już zmiękczyć opatrunek, pochyliłem się i odwiązałem bandaż, usiłując delikatnie go zdjąć.

Pociemniało mi w oczach. Znów zrobiło mi się słabo. Do cholery, co się ze mną dzieje? Usiadłem na szorstkim cemencie i oparłem się plecami o zimną blachę. Usiłowałem wmówić w siebie, że to wszystko przez łomot, jaki mi spuścili. A przecież byłem bity przez całe życie. Nie, coś działo się z moją głową. Byłem tak zajęty użalaniem się nad sobą, że nawet nie zacząłem się zastanawiać, jak wykonam zadanie, i straciłem cały dzień. Powinienem wreszcie zejść na ziemię.

Przemówiłem sobie do rozumu. *Weź się w garść. Misja, misja, nic się nie liczy prócz misji. Powinienem myśleć wyłącznie o niej, wszystko inne nie ma znaczenia.*

21

Ciało zdecydowanie nie chciało rozstać się z materiałem. Byli ze sobą blisko od wielu godzin i nie mogłem ich rozdzielić. Zdarłem opatrunek jak przyklepic i natychmiast tego pożałowałem: ból był potworny, jeszcze zanim woda z mydłem dostała się do otwartej, czerwonej, paskudnej rany.

— O kurwa! — zakląłem, nie mogąc się powstrzymać.

Kiedy zaciskając zęby, mydliłem ranę, żeby oczyścić ją z brudu, usłyszałem jakiś dźwięk dolatujący od strony zlewu. Wystawiłem nieco trzeźwiejszą głowę, żeby podziękować Carne za ubranie i ręcznik, nie była to jednak ona, lecz Luz. A przynajmniej tak mi się zdawało. Dziewczynka miała na sobie niebieską, dość wytartą, długą bawełnianą koszulę nocną i najbardziej rozczochrane czarne, kręcone włosy, jakie widziałem w życiu. Wyglądała, jakby przed chwilą wepchnęła palce do kontaktu. Obok niej leżał na beczce stosik odzieży koloru khaki oraz ręcznik w niebieskie paski. Stała tam, patrząc na mnie wielkimi oczami. Miała wydatne latynoskie kości policzkowe i cerę bez najmniejszych śladów młodzieńczego trądziku. Pewnego dnia będzie piękną kobietą, ale jeszcze nieprędko. Z nocnej koszuli sterczała para chudych, patykowatych nóg o łydkach posiniaczonych jak u łobuziaka.

Patrzyła na mnie bez lęku i zmieszania, po prostu namydlony

facet niespodziewanie wyłaniający się zza zasłony prysznic obudzil jej ciekawość.

— *Hola*.

Na tyle rozumiałem po hiszpańsku.

— Och, *hola*. Ty jesteś Luz?

Z namysłem kiwnęła głową, może zaskoczona moją cudzoziemską wymową.

— Mama kazała mi to przynieść — powiedziała po angielsku, z lekkim hiszpańskim akcentem.

— Bardzo dziękuję. Jestem Nick. Miło mi cię poznać, Luz.

Skinęła głową.

— Na razie — powiedziała i odeszła, idąc okrężną drogą, żeby ominąć prysznic.

Wróciłem do poprzedniego zajęcia. Rana miała prawie dziesięć centymetrów długości i półtora głębokości, ale przynajmniej cięcie było czyste.

Mydło i szampon zaczęły już wysychać na moim ciele, gdy stałem tak, zastanawiając się nad misją i sobą. Puściwszy wodę z węża, splukiwałem brud przez przysługujące mi sześćdziesiąt sekund, jednocześnie oddając moc. Miał niedobry zapach. Uryna była ciemnożółta, co oznaczało, że jestem bardzo odwodniony, i to mogło być przyczyną zawrotów głowy.

Wyszedłem z kabiny i wytarłem się ręcznikiem, a potem ubrałem się w rzeczy Aarona: bawełniane spodnie khaki z dwiema kieszeniami na mapy po bokach oraz bardzo stary i wyblakły, szary podkoszulek, zachęcający świat, żeby „po prostu to zrobił”. Spodnie były kilkanaście centymetrów za szerokie w talii, ale poradziłem sobie z tym, mocniej zaciskając paski. Kieszenie były zapinane na rzepy, więc włożyłem do prawej portfel, paszport i bilet na samolot, wciąż owinięte w plastikowe torebki.

Odgarnąwszy włosy z czoła, zaatakowałem kran oznaczony literą D. Napilem się wody o lekko gorzkim posmaku, a potem zneruchomiałem, żeby nabrać tchu. Czulem, jak mój brzuch pęcznieje od niezbędnej, letniej cieczy.

Następnie wyjąłem z futerału leathermana i zmyłem z niego krew Diega, a potem schowałem szczyryk do kieszeni. Po kolejnej sesji przy kranie z wodą pitną, jak grzeczny chłopiec rozwiesiłem ręcznik na sznurze do suszenia. Trzymając w lewej ręce zwinięte w kłęb ubranie, a w prawej buty, wróciłem do magazynu, wziąłem apteczkę i zdjęcie satelitarne, wyciągnąłem spod łóżka portfel Diega i ponownie usiadłem na betonowym fundamencie na zewnątrz.

Patrząc na zdjęcie satelitarne, widziałem drogę biegnącą z domu Charliego do bramy, zaparkowane samochody, wylegujących się przy basenie ludzi, a nawet spaliny z rury wydechowej buldożera, który wyrwał z ziemi kikuty drzew. To było dobre zdjęcie, ale nie powiedziało mi niczego, czego bym nie wiedział. Miałem nadzieję, że zobaczę teren umożliwiający przedostanie się do tego domu albo coś, co podsunie mi jakiś pomysł.

Znalazłem antybiotyk w zasypce i obficie posypałem nim ranę, po czym owinąłem ją gazą i bandażem elastycznym. Mój wzrok padł na słoiczek dihydrokodeiny i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że głowa przestała mnie boleć.

Carrie nie przysłała mi skarpetek ani gaci, więc włożyłem spodnie na gołe ciało i moje stare skarpetki. Te ostatnie miały konsystencję tektury, ale przynajmniej były już suche. Włożyłem buty, wtarłem trochę maści przeciwhistaminowej w bąble na plecach i twarzy i schowałem wszystkie lekarstwa z powrotem do walizeczki. Znalazłem w niej dwie agrafki, którymi zabezpieczyłem kieszeń, po czym odniosłem apteczkę do magazynka. Wrzuciłem swoje ubranie pod prycę i przez chwilę szukałem zapalek, a potem obcasem buta wykopałem dziurę w ziemi i wrzuciłem do niej zawartość portfela Diega, oprócz trzydziestu ośmiu dolarów. Patrzyłem, jak jego dowód tożsamości oraz rodzinne zdjęcie kurczą się i czernieją w ogniu, i myślałem o tym, co mam zrobić z Michaelem.

Nie miałem zbyt wielu możliwości. Będę musiał strzelać. Niczego innego nie zdołałem przygotować, mając tak mało czasu,

informacji i sprzętu. Z odległości około trzystu metrów, posługując się w miarę sprawną bronią, powinienem go położyć. Żadnego fikuśnego celowania za ucho, po prostu strzał w sam środek tułowia. Kiedy rozciągnie się jak długi, wpakuję mu jeszcze parę pocisków, żeby mieć pewność. Jeśli jedyną okazją będzie moment wsiadania do pojazdu lub wysiadania z niego, w czasie wyjazdu z domu lub po powrocie z college'u, to strzał będzie bardzo trudny.

Później pozostanę w dżungli do niedzieli, trzymając się na ubożu, po czym wyjdę z niej, udając się prosto na lotnisko. Gdybym nawet do jutrzejszego wieczora nie znalazł żadnej okazji, we wtorek i tak będę u Josha. Wolałem nawet nie brać pod uwagę takiej możliwości, że wcale nie zdołam zobaczyć chłopaka.

Zasypawszy stosik popiołu ziemią, ruszyłem do kuchni, niosąc w rękę lek przeciwhistaminowy. Przechodząc przez magazynek, wrzuciłem portfel za jedną z półek.

Wentylatory w salonie obracały się hałaśliwie, dając leciutki powiew. Carrie stała przy kuchence, odwrócona do mnie plecami, a Luz siedziała przy stole, jedząc płatki owsiane i obierając pomarańczę. Teraz miała na sobie taki sam strój jak matka: zielone spodnie i podkoszulek.

Starając się, aby zabrzmiało to radośnie, powitałem je ogólnym:

— Cześć, czołem.

Carrie odwróciła się z uśmiechem.

— Och, cześć. — Wcale nie wyglądała na zmieszaną tym, co stało się w nocy. Wskazując na mnie umazaną płatkami łyżką, powiedziała do Luz: — To jest Nick.

— Hej, Nick — przywitała mnie.

Na Jeszcze raz dziękuję za przyniesienie mi ubrania”, odpowiedziała rutynowym stwierdzeniem: „bardzo proszę”.

Carrie napełniła biały talerz płatkami. Miałem nadzieję, że to dla mnie.

— Usiądź. Kawy?

Skorzystałem z zaproszenia.

— Proszę.

Zanim przysunąłem sobie krzesło, już stał przede mną talerz z płatkami i łyżką. Obok leżała kiść czterech bananów. Carrie postukała w zielony dzbanek, ustawiony na środku stołu.

— Mleko. Zrobione z proszku, ale można się przyzwycząić.

Carrie odwróciła się plecami do mnie, parząc kawę. Luz i ja siedzieliśmy naprzeciw siebie, jedząc.

— Luz, może opowiesz Nickowi, co tutaj robimy? W końcu przyjechał tu po to, żeby się dowiedzieć. Opowiedz mu o nowym systemie zasilania.

Jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu, który odsłonił rząd białych i krzywych zębów w aparaciku dentystycznym.

— Oczywiście, mamy tu generator — powiedziała z zapalem, patrząc mi w oczy; jedno całe i tę połowę drugiego, która była widoczna. — Zasila dom, a ponadto ładuje dwa nowe zestawy akumulatorów połączonych równolegle. To na wypadek awarii, a także po to, żeby agregat nie hałasował w nocy. — Zachichotała. — Mama dostaje szału, jeśli generator pracuje do późna.

Uśmiechnąłem się, chociaż nie tak szeroko jak Luz, która próbowała wypić trochę mleka. Carrie dołączyła do nas, niosąc dwa parujące kubki z kawą.

— To wcale nie jest zabawne.

— No to czemu mleko poszło mi nosem?

— Luz! Mamy gościa!

Dolewając sobie mleka do kawy i podając mi dzbanek, wpatrywała się w Luz z taką miłością i czułością, że poczułem się nieswojo. Ruchem głowy wskazałem na kuchenkę.

— Macie tu również gaz?

— Jasne — Luz podjęła przerwany wykład. — W butlach. Przywożą je śmigłowcem razem z innymi rzeczami... co piąty czwartek. — Spojrzała na matkę, czekając na potwierdzenie. Carrie kiwnęła głową. — Uniwersytet wynajmuje śmigłowiec, który zaopatruje sześć stanowisk badawczych w kraju.

Udawałem zainteresowanie, chociaż myślałem tylko o tym, jak dobrać się do karabinu, który widziałem na ścianie, i sprawdzić, czy nada się do tego, co zamierzałem zrobić. Obrąłem banana, żałując, że przez te wszystkie lata, które spędziłem w dżungli, nie miałem dostaw zapasów raz na pięć tygodni.

Luz kończyła już śniadanie, gdy Carrie spojrzała na zegar obok zlewu.

— Wiesz co? Postaw talerz przy zlewie i idź się zalogować. Niech dziadek na ciebie nie czeka.

Luz z zadowoleniem kiwnęła głową, wstała, postawiła talerz obok zlewu, po czym znikła w pokoju komputerowym. Carrie upiła łyk kawy i zawołała:

— Powiedz dziadkowi, że za minutkę przywitam się z nim.

Z pracowni komputerowej dobiegł głos dziewczynki:

— Jasne.

Carrie wskazała wiszące na drzwiach lodówki rodzinne zdjęcia, kierując moją uwagę przede wszystkim na jedno — to przedstawiające faceta w koszulce polo i z siwizną na skroniach, stojącego na werandzie i trzymającego się za rękę z Luz.

— Mój ojciec, George. Uczy matematyki.

— Kim są ci z niemowlakami?

Odwróciła się i spojrzała na wyblakłą fotografię.

— Och, to też mój ojciec, trzyma mnie... stoimy po prawej. To moje ulubione.

— A kto jest na nim oprócz was?

Luz wystawiła głowę zza drzwi. Miała zaniepokojoną minę i głos.

— Mamo, obraz śluzy znikł.

— W porządku, kochanie, wiem.

— Mamo, przecież mówiłaś, że zawsze musi być...

— Wiem, dziecino, po prostu zmieniłam zdanie, w porządku? — przerwała Carrie.

— Och, w porządku.

Luz wycofała się, zmieszana.

— Córka uczy się w domu. Dzięki temu utrzymuje kontakt Z dziadkiem. Są naprawdę zżyci.

Wzruszyłem ramionami.

— To świetnie — powiedziałem, nie przejmując się tym, że nie odpowiedziała na moje pytanie. Miałem ważniejsze sprawy na głowie. Czas przejść do sedna. — Czy ten karabin w sypialni jest sprawny?

— Niewiele uchodzi twojej uwagi, prawda? Oczywiście. Dlaczego pytasz?

— Może być mi potrzebny. Moglibyśmy poprosić, żeby dostarczyli mi jeden przez waszego łącznika, ale nie mam wiele czasu i chcę jak najszybciej zacząć działać.

Położyła ręce na stole.

— Czy wy nigdy nie czujecie się bezpieczni, jeśli nie macie broń?

Przeszywała mnie tymi zielonymi oczami, domagając się odpowiedzi. Problem w tym, że odpowiedź na jej pytanie była bardziej skomplikowana, niż się wydawało.

— Przezorny zawsze ubezpieczony. Przecież właśnie dlatego tutaj jesteście, prawda? Ponadto Charlie nie jest wcieleniem łagodności.

Wstała i poszła w kierunku sypialni.

— To pewne jak śmierć, ale jeśli przyłapie cię na tym czymś, co zamierzasz mu zrobić, będziesz potrzebował czegoś więcej niż starej strzelby.

Znikła za drzwiami. Z tego końca pokoju widziałem kawałek łóżka i przeciwległej ściany. Była pokryta zdjęciami, starymi i nowymi, ukazującymi roześmianych dorosłych i dzieci. Następnym fragment rodzinnej kroniki. Usłyszałem szcęk zamka i brzęk mosiądzu uderzających o siebie naboń. Można by pomyśleć, że broń powinna być nabita i gotowa do strzału, inaczej po co wieszac ją na ścianie sypialni?

Carrie wróciła, niosąc w jednej ręce karabin, a w drugiej blaszaną puszkę ze składanymi uchwytami. Puszka nie miała wieczka

i zobaczyłem w niej kartonowe opakowania z amunicją.

Przywarłem wzrokiem do broni. Bardzo stary egzemplarz, z drewnianą kolbą i łożem sięgającym prawie do samego końca lufy.

Carrie położyła karabin na stole.

— To mosin. Mój ojciec zabrał go zabitemu północnowietnamskiemu snajperowi.

Znałem tę broń. Klasyczna.

Zanim podała mi karabin, obróciła go w dłoniach i odsunęła rygiel, pokazując czystą komorę i magazynek. Byłem pod wrażeniem, co zapewne łatwo dało się zauważyć.

— Mój ojciec mówił: po co trzymać broń, jeśli się nie umie nią posługiwać?

Sprawdziłem zamek — był czysty — po czym wziąłem od niej karabin.

— W jakiej formacji służył?

Usiadła i podniosła kubek z kawą.

— W piechocie. Przed emeryturą awansował na generała. — Ruchem głowy wskazała zdjęcia na lodówce. — A na plaży? To jego koledzy z wojska.

— Czym się zajmował?

— Wsparciem technicznym, wywiadem. Przynajmniej jedno trzeba przyznać George'owi... jest niegłupi. Teraz działa w Defence Intelligence Agency. — Patrząc na zdjęcie, pozwoliła sobie na pełen dumy uśmiech. — Na tej fotografii jest doradca z Białego Domu i dwóch innych generałów, z których jeden wciąż w służbie czynnej.

— Na końcu stoi facet z paskudną blizną na brzuchu. Czy to jeden z generałów?

— Nie, odszedł ze służby w latach osiemdziesiątych, tuż przed aferą Iran-Contras. Wszyscy byli w nią zamieszani mniej lub bardziej, ale Ollie North wziął całą winę na siebie. Nawet nie wiem, co się z nim stało.

Jeśli George miał coś wspólnego z Iran-Contras, to wiedział

wszystko o takich akcjach jak ta. Nielegalnych operacjach, o których nikt nie chciał nic wiedzieć, a tacy jak on i tak by nikomu nie powiedzieli.

Powiązanie między tymi dwoma — George'em i Pizzą — zaczęło mnie trochę niepokoić. Byłem jednak płótką i nie miałem zamiaru mieszać się w to, co tutaj było grane. Będę musiał tylko uważać, żeby się w to nie wplątać, to wszystko. W przyszłym tygodniu muszę być w Marylandzie.

Luz zawołała z sąsiedniego pokoju:

— Mamo, dziadek chce z tobą porozmawiać.

Carrie wstała z uprzejmym „zaraz wracam” i znikła w pokoju komputerowym. Skorzystałem z okazji i dobrze przyjrzałem się wysokiemu, muskularnemu George'owi o kwadratowej szczęce, uśmiechającemu się i stojącemu z Luz na werandzie. Łatwo było zgadnąć, po kim ma te wielkie zielone oczy. Sprawdziłem cyfrową datę na dole zdjęcia. Zrobiono je w kwietniu dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, osiemnaście miesięcy temu. Wciąż był typowym amerykańskim chłopcem z krótkimi włosami i przedziałkiem, a co najdziwniejsze, wyglądał młodziej niż Aaron. Natomiast Pizza, w porównaniu ze swoim czarno-białym poprzednim wcieleniem, wyglądał jak śmierć na chorągwi. Był chudszy, siwy i, sądząc po tym, jak zaciągał się papierosem, miał płuca zalepione nikotyną.

22

Odsunąłem od siebie te myśli i zająłem się sprawdzaniem karabinu, który wyglądał topornie i prymitywnie, jeśli porównać go z takimi, jakich używano obecnie. Oczywiście podstawowe elementy nie zmieniły się od wieków: spust, bezpiecznik, muszka i lufa. Nie była to luksusowa broń, ale dostatecznie dobrze znałem historię rosyjskiego uzbrojenia, aby wiedzieć, że, mimo swego wyglądu, w latach czterdziestych na froncie wschodnim kule z tej broni posłały tysiące Niemców do grobów. Stempel arsenału wybity na stalowej komorze miał datę 1938. Być może był to jeden z tych karabinów. Mógł mieć bogatą historię, a na pewno strzelano z niego do Amerykanów w Wietnamie.

Egzemplarz, który trzymałem w rękach, wydawał się doskonale utrzymany. Drewniane części były politurowane, a zamek dobrze naoliwiony i bez śladu rdzy. Wycelowałem na próbę i spojrzełem przez nietypowy celownik. Nie miałem pojęcia, czy jest oryginalny. Była to zwykła czarna i wytarta od częstego używania rurka około półcentymetrowej średnicy, zamocowana na lufie.

Najwidoczniej była to luneta o stałym powiększeniu, ponieważ nie miała pierścienia regulującego, tylko dwa pokrętła w połowie długości — na gorze do korygowania kąta wzniesienia (przy strzałach

w górę lub w dół), oraz po prawej stronie, do dokonania poprawek ze względu na wiatr. Znaki na pokrętlach były już niewidoczne — starły się od długiego używania i pozostały po nich tylko lekkie wgłębienia.

Patrząc w lunetę i mierząc w postrzępiony przy tak bliskiej odległości grzbiet książki, stwierdziłem, że broń ma celownik słupkowy. Gruba czarna kreska odchodziła z dołu i kończyła się na środku pola widzenia. Tuż poniżej jej górnego końca była pozioma linia biegnąca przez całą średnicę wizjera.

Nigdy nie lubiłem celowników słupkowych, gdyż zasłaniają one cel poniżej punktu, w który mierzysz, a przy dużych odległościach cel jest mniejszy i bardziej zasłaniany przez słupek. Lecz żebracy nie mają wyboru, a jeśli tylko ta broń wystrzeli po naciśnięciu spustu, będę zadowolony. Broń miała również konwencjonalne elementy celownicze — szczerbinkę osadzoną nieco przed zamkiem, mniej więcej w miejscu, gdzie lewą ręką chwyć łożę. Można było ją nastawiać na odległość od czterystu do tysiąca dwustu metrów. Teraz była ustawiona na uniwersalną odległość bojową, wynoszącą czterysta metrów. Muszkę chroniła cylindryczna osłona.

Położyłem broń na stole, a potem podszedłem do kuchenki i dolałem sobie kawy z zaparzarki. Rozmyślając o historii tego karabinu, przypomniałem sobie, że przed laty, na początku lat osiemdziesiątych, kiedy służyłem w piechocie BAOR (British Army of the Rhine), miałem bagnet z czasów drugiej wojny światowej; dostałem go od pewnego starego Niemca. Powiedział mi, że na froncie wschodnim zabił nim ponad trzydziestu Rosjan, a ja zastanawiałem się, czy nie opowiada mi bzdur. Schowałem bagnet do szafki w domu w Norfolku i zapomniałem o nim, a potem, razem ze wszystkim, został sprzedany, aby opłacić leczenie Kelly. Skinhead mający stragan na Camden Market dał mi za niego dwadzieścia funciaków.

Kończyłem nalewać sobie kawę, kiedy wróciła Carrie.

— Czy wiesz, jak się ustawia ten celownik?

— Nie.

Szkoda. Zaoszczędziłbym sporo czasu, gdybym nie musiał eksperymentować.

— Jest wyzerowany na odległość trzystu metrów — powiedziała, podchodząc do stołu. — Wiesz?

Kiwnąłem głową, gdy podniosła karabin i obróciła pokrętła.

— Głupio pytam. Jasne, że wiesz.

Zanim oddała mi broń, nawet przez szum wentylatorów słyszałem ciche kliknięcia.

— Teraz te nacięcia są ustawione w linii prostej.

Pokazała mi wgłębienia na obu pokrętlach celownika, służące do zerowania. Odstawiłem kubek z kawą, wziąłem broń od Carrie i przyjrzałem się ledwie widocznym wgłębieniom.

— Gdzie mógłbym sprawdzić broń?

Machnęła ręką.

— Gdzie tylko chcesz. To odludzie.

Wziąłem puszkę z amunicją.

— Mogę wziąć sobie trochę papieru do drukarki i flamaster? Dobrze wiedziała, po co mi to.

— Powiem ci coś — odparła. — Dorzucę ci nawet kilka pinesek. Zobaczymy się na zewnątrz.

Poszła do pracowni komputerowej, a ja wyszedłem na werandę przez skrzypiące drzwi z siatką przeciwmoskitową. Niebo wciąż było jasnyniebieskie. Świerszcze cykały, jakby miało nie być jutra, a gdzieś w koronach drzew wesoło pokrzykiwała małpa lub jakieś inne zwierzę. A jednak nie dałem się zwieść. Po prysznicu i z mascią na plecach znów byłem gotowy pokochać dżunglę.

Nawet na zacienionej werandzie było znacznie cieplej niż w budynku. Dobrze, że czułem się trochę lepiej, ponieważ skwar był zabójczy. Prawie przeszły mi już zawroty głowy i nadszedł czas, żeby skończyć z uzalaniem się nad sobą i wziąć się do roboty. Drzwi otwarły się z piskiem, przerywając te rozmyślenia. Carrie wyszła z domu, niosąc pomietą papierową torbę. Podążyła za nią.

— Powiedziałam Luz, że później wybierasz się na polowanie, więc chcesz wypróbować broń.

— Będę tam. — Wskazałem na linię drzew prawie dwieście metrów dalej, na prawo od domu. Znajdę się po drugiej stronie szlaku, tak więc nie wpakuję Aaronowi paru gramów ołowiu w czaszkę, gdyby wcześniej wrócił z akcji ratowania jaguara. — Zobaczmy się wkrótce.

Gdy tylko opuściłem zacienioną werandę, oślepiło mnie wściekle prażące słońce. Zmrużyłem oczy i spojrzałem pod nogi. Deszcz już prawie wyparował z trawy, ale kałuże pozostały, otoczone cienkimi obwódkami wyschniętego błota.

Patrząc na twarde, grube źdźbła trawy, czułem, jak słońce grzeje mnie w łopatki i kark. Wiedziałem, że kiedy wejdę między drzewa, skwar stanie się mniej dokuczliwy. Będzie równie gorąco i wilgotno, ale przynajmniej *rabiblanco* nie usmaży się żywcem.

Pospiesznie zerknąłem na zegarek. Niewiarygodne, ale była dopiero 10.56. Słońce ledwie zaczęło prażyć.

— Uważaj na niego. To dla mnie cenna pamiątka — zawołała Carrie z werandy, wskazując na karabin.

Musiałem zmrużyć oczy, żeby dostrzec jej twarz, ale byłem pewien, że ujrzałem na niej uśmiech.

— A przy okazji, ładuj tylko cztery naboje. W magazynku mieści się pięć, lecz nie zamkniesz komory, jeśli nie wyjmiesz drugiego pocisku, wiesz?

Idąc, uniosłem karabin na znak, że rozumiem. Postaram się nie ruszać pokręteł, na wypadek gdyby celownik był wciąż dobrze ustawiony. Po co zmieniać coś, co może być dobre? W razie potrzeby spróbuję ustawić go lepiej.

Opuściłem rękę, w której trzymałem broń, i szedłem dalej w kierunku skrajku dżungli, myśląc o tym, jak zareagowałyby tych troje snajperów, gdyby kazano im wykonać zadanie za pomocą takiej archaicznej broni i amunicji, która równie dobrze mogła zostać zrobiona przez miejscowego kowala. Aby zapewnić idealną skuteczność strzału, prawdopodobnie rozebrali każdy dostarczony

przeze mnie nabój, sprawdzając, czy wszystkie zawierają dokładnie taką samą ilość prochu.

Pocisk wystrzelony z broni o wyzerowanym celowniku powinien trafić w cel ze stosunkowo niewielkim odchyleniem. W ten sposób polują myśliwi, gdyż w ich wypadku wystarcza strzał „w komorę” — czyli punkt odległy nawet dziesięć centymetrów od środka serca. To bardzo proste. Pocisk opuszczający lufę wznosi się, a potem zaczyna opadać pod wpływem siły grawitacji. W wypadku broni kalibru 7,62 odchylenie na dystansie trzystu pięćdziesięciu metrów nie przekroczy dziesięciu centymetrów. Jeśli myśliwy znajduje się nie dalej niż trzysta pięćdziesiąt metrów od celu, wystarczy mu wymierzyć w komorę i kula położy niedźwiedzia lub inne pędzące nań zwierzę. Mój cel powinien znajdować się w odległości nie większej niż trzysta metrów, więc jeśli wymierzę w mostek, powinienem trafić w klatkę piersiową, czyli w języku snajperów w jeden z „żywotnych punktów”: serce, nerki, tętnice, których uszkodzenie spowoduje natychmiastowy i fatalny w skutkach krwotok. Nie będzie to tak wyrafinowane jak śmiertelny strzał w głowę w wykonaniu londyńskich snajperów, ponieważ nie dysponowałem równie dobrą bronią i amunicją strzelecką, a ponadto wyszedłem z wprawy.

Strzał w serce zapewne spowodowałby utratę przytomności i śmierć po dziesięciu, piętnastu sekundach. Taki sam rezultat dałby strzał w wątrobę, której tkanka jest tak miękka, że nawet kula przechodząca w jej pobliżu pozostawia fatalne skutki. Przebijający ciało pocisk niszczy, miażdży i rozrywa tkanki, czemu towarzyszy fala uderzeniowa, która powoduje chwilowy, lecz ogromny wzrost ciśnienia, na skutek czego dochodzi do poważnych obrażeń.

Postrzał w płuco jest groźny, ale może nie być śmiertelny, szczególnie jeśli rannemu udzieli się szybko pomocy. Najskuteczniejszy jest strzał w wyższe partie kręgosłupa, gdy pocisk wchodzi lub wychodzi powyżej łopatek. Efekt jest taki, jaki zamierzali

osiągnąć londyńscy snajperzy: natychmiastowa śmierć ofiary.

W teorii wszystko to wydawało się proste, lecz należało uwzględnić mnóstwo dodatkowych czynników. Może będę musiał strzelać do ruchomego celu, może będzie wiał wiatr. Być może chłopak odsłoni tylko jedną część ciała albo będę zmuszony strzelać pod trudnym kątem.

Starając się nie myśleć o uśmiechniętej twarzy w lexusie, przebyłem dwieście lub trzysta metrów dzielących mnie od drzew, postawiłem puszkę z amunicją i przez chwilę stałem w cieniu, spoglądając na wzgórze, gdzie zamierzałem umieścić tarczę. Potem poszedłem w kierunku wzniesienia.

Znalazłem odpowiednie drzewo i pineską przypiąłem kartkę papieru do pnia. Flamastrem nakreśliłem i zamalowałem kółko wielkości dwufuntowej monety. Było trochę nieforemne i miało nierówne brzegi, ponieważ rysowałem je na szorstkiej korze, ale spełni swoją funkcję. Drugą kartkę przypiąłem nieco wyżej, a następną poniżej pierwszej, po czym odwróciłem się i trzymając się w cieniu, odszedłem, niosąc broń i naboje. Odliczyłem sto półmetrych kroków. Z tej odległości, jeśli nawet celownik jest zupełnie zwichrowany, powinienem trafić w kartkę i móc ocenić odchylenie. Jeżeli na dystansie pięćdziesięciu metrów będzie wynosiło na przykład trzy centymetry, to przy odległości stu metrów powinno wynosić sześć centymetrów i tak dalej. Tak więc strzelając z odległości stu pięćdziesięciu metrów, będę musiał uwzględnić poprawkę rzędu dziesięciu centymetrów w lewo lub w prawo, w górę lub w dół, zapewne mierząc obok kartki papieru. Gdybym chciał oglądać tarcze po każdej serii strzałów, straciłbym zbyt dużo czasu, którego nie miałem wiele.

Po stu krokach, wciąż w cieniu drzew, sprawdziłem, czy wokół nie ma niebezpiecznych zwierząt, usiadłem pod drzewem i powoli przesunąłem rygiel zamka. Był doskonale zrobiony; przesunął się gładko jak po maśle, a naoliwione powierzchnie nie stawiały najmniejszego oporu. Pchnąłem rygiel w dół, w kierunku drewnianej

kolby, i usłyszałem cichy szczełk, z jakim zaskoczył na swoje miejsce.

Przed pierwszym strzałem powinienem sprawdzić opór mechanizmu spustowego. Dobrze wyregulowany spust zwolni iglicę bez szarpnięcia. Każdy mechanizm spustowy jest inny i w niemal każdym karabinie snajperskim można go wyregulować według upodobań użytkownika. Ja nie zamierzałem tego ustawiać, ponieważ nie wiedziałem, jak się to robi w mosinie, a ponadto nie byłem aż tak wybredny — zwykle po prostu przyzwyczajałem się do danej broni.

Lekko oparłem opuszkę prawego palca wskazującego o języczek spustowy. Delikatnie go ściągnąłem i wyczułem kilkumilimetrový luz, a potem opór. Pierwszy nacisk. Pokonanie oporu wymagało nieco silniejszego nacisku. Mocniej ściągnąłem palec i natychmiast usłyszałem trzask iglicy. Doskonale. Niektórzy strzelcy wyborowi nie potrzebują dwufazowego mechanizmu, ale ja lubiłem ten lekki luz poprzedzający opór.

Ponownie odciągnąwszy rygiel zamka, wyjąłem z puszki z amunicją kartonowe pudełko zawierające dwadzieścia dużych, lśniących mosiądzem naboí 7,62 milimetra i wprowadziłem cztery do magazynka, który mógł pomieścić ich pięć. Potem znów przesunąłem rygiel, sprawdzając, jak wprowadza pocisk, do komory zamkowej. Kiedy pchnąłem dźwignię w dół, poczułem tylko niewielki opór. Pocisk był w komorze, gotowy do strzału. Bezpiecznik znajdował się z tyłu: płaskie metalowe kółko wielkości pięćdziesięciopensówki. Przekręciłem go w lewo, na pozycję „zabezpieczony”. Był cholernie niewygodnie ulokowany, ale w czasach kiedy projektowano tę broń, pewnie rzadko go używano: jej właściciele byli zbyt zajęci zabijaniem Niemców.

Rozejrzałem się wokół, szukając jakiegoś kopczyka ziemi, który mógłby posłużyć mi jako podpórka. Jeszcze raz rzuciłem okiem, sprawdzając, czy nie ma w pobliżu żywych stworzeń, i położyłem się na ziemi. Przycisnąłem do prawego ramienia stalową stopkę kolby, a wskazującym palcem przesunąłem po osłonie spustu. Lewe

przedramię oparłem o kopczyk i pozwoliłem palcom dłoni wygodnie uchwycić łożę, nieco przed szczyrbinką. W drewnie po obu stronach były wyżłobienia ułatwiające chwyt.

Kości strzelca są fundamentem, na którym spoczywa broń, a mięśnie więzłą utrzymującą ją we właściwym położeniu. Zrobiłem trójnóg złożony z moich łokci i lewej strony klatki piersiowej. Wykorzystałem kopczyk ziemi, aby wygodnie oprzeć przedramię. Musiałem mieć pewność, że pozycja jest wygodna i pozwala mi dobrze trzymać broń.

Spojrzałem przez celownik, upewniając się, że nie pada nań cień, który mógłby znaleźć się w polu widzenia. Nie miałem żadnych problemów z zamknięciem lewego oka: opuchlizna załatwiła za mnie połowę roboty. Największą pomyłką nowicjuszy używających celownika słupkowego jest założenie, że cel znajduje się w miejscu, gdzie pozioma linia przecina słupek. Tymczasem cel jest dokładnie tam, gdzie górny koniec słupka. Pozioma linia pozwala jedynie sprawdzić, czy broń nie jest przechylona na bok.

Wycelowałem w sam środek prawie okrągłej czarnej plamy, a potem zamknąłem oczy i wstrzymałem oddech. Lekko rozluźniłem mięśnie i wypuściłem powietrze z płuc. Po trzech sekundach otworzyłem oczy, zacząłem normalnie oddychać i znowu spojrzałem przez celownik. Stwierdziłem, że słupek odchylił się nieznacznie ku lewemu brzegowi kartki, więc przesunąłem się nieco w prawo i jeszcze dwukrotnie powtórzyłem te czynności, zanim ułożyłem się wygodnie, zwrócony w kierunku celu. Nie ma sensu układać ciała w nienaturalnej pozycji, gdyż to zmniejszy celność. Teraz byłem gotowy do pierwszego strzału.

Wykonałem trzy głębokie wdechy, żeby dotlenić mózg. Przy niedoborze tlenu kiepsko widzisz i nawet wtedy, kiedy nie strzelasz, a po prostu stoisz i gapisz się na coś w oddali, to jeśli przestaniesz oddychać, świat szybko zacznie rozmazywać ci się w oczach.

Muszka karabinu poruszała się w górę i w dół wraz z ruchami mojego ciała, gdy wciągałem powietrze, i nieco łagodniej, gdy zacząłem normalnie oddychać. Dopiero wtedy odbezpieczyłem broń, odciągając i przekręcając bezpiecznik w prawo. Ponownie wyrównawszy oddech, wycelowałem i zacząłem pociągać za spust. Jednocześnie przestałem oddychać, aby drzenie mięśni nie przenosiło się na karabin.

Jedna sekunda, dwie... Delikatnie pokonałem opór spustu.

Nawet nie usłyszałem huk, tak byłem zajęty koncentrowaniem się i opanowywaniem odruchowej reakcji mięśni, gdy broń podskoczyła mi w rękach i kopnęła mnie w ramię. Przez cały czas miałem prawe oko otwarte i nie przestawałem celować — zobaczyłem, że zaraz po wystrzale znów miałem cel na końcu słupka. Doskonale, gdyż to oznaczało, że moje ciało jest właściwie ułożone. W przeciwnym razie celowałbym gdzieś w bok.

Cały proces strzelania należało kontrolować, ponieważ w tym trwającym krócej niż sekundę momencie, między pociągnięciem za spust i uderzeniem iglicy w spłonkę a opuszczeniem lufy przez wypchniętą przez gazy kulę, nawet najlżejsze drgnięcie broni może spowodować spore odchylenie. A to zła wiadomość, jeśli masz zabić kogoś jednym strzałem.

Zadanie wykonane. Znów zacząłem dostrzegać kolory i zobaczyłem stado ptaków podrywających się z gałęzi drzew. Usłyszałem szelest liści, ptasią wrzawą i łopot skrzydeł, gdy zerwały się do ucieczki.

Podczas akcji często nie ma czasu na takie sztuczki. Jeśli jednak je znasz i zastosujesz przy przestrzeliwaniu broni, to później będziesz miał spore szanse na celny strzał w sprzyjających okolicznościach.

Spojrzałem w lunetę, sprawdzając, gdzie trafił mój pocisk. Uderzył w górną część kartki papieru — z prawie ośmiocentymetrowym odchyleniem w górę. W porządku, przy tej odległości tak powinno być, bo celownik był nastawiony na trzysta metrów. Najważniejsze, że odchylenie nie przekroczyło dziesięciu centymetrów.

Problem w tym, że chociaż pionowe odchylenie mieściło się w granicach normy, to pocisk uderzył aż o pięć centymetrów na lewo od środka tarczy. Przy odległości trzystu metrów to odchylenie zwiększyłoby się do piętnastu centymetrów. Nie trafiłbym w pierś, lecz w ramię, i to tylko wtedy, gdyby dopisało mi szczęście i obiekt byłby nieruchomy. Niedobrze.

Leżałem na ziemi, patrząc, jak ptaki wracają do swoich gniazd. Oczekałem prawie trzy minuty, zanim przeładowałem broń, ponieważ chciałem, żeby lufa wystygła. Przy następnym strzale powinna być równie zimna jak przy pierwszym. Różnice temperatur mogą spowodować odchylenie trajektorii pocisku. Uwzględniając możliwe różnice ładunku prochu w nabojach, byłoby głupotą zerować broń przy rozgrzanej, a nawet tylko cieplej lufie, która będzie przecież zupełnie zimna podczas decydującego strzału.

Odezwał się we mnie snajper. Przypomniiał mi, że w tym wilgotnym powietrzu trajektoria pocisku ulegnie szybszemu odchyleniu w dół. Rozgrzane powietrze ma działanie odwrotne; ponieważ jest bardziej rozrzedzone, więc stawia mniejszy opór i pocisk leci wyżej. Co powinienem zrobić w bardzo gorący dzień w bardzo wilgotnej dżungli? Pieprzyć to, nie będę się nad tym zastanawiał. Dopiero co pozbyłem się bólu głowy i nie chcę się znów go nabawić. Osiem centymetrów powinno wystarczyć. I tak sprawdzę jeszcze z odległości trzystu metrów.

No i strzeliłem po raz drugi, ani na moment nie tracąc celu z pola widzenia. Pocisk ponownie poszedł w lewo, mniej niż pół centymetra bliżej od pierwszego. Rozrzut był dobry, co oznaczało, że pierwszy wynik nie był przypadkowy. Musiałem skorygować ustawienie celownika.

Ptaki były wkurzone, że znów ktoś je niepokoi. Usiadłem i przyglądałem się im, czekając, aż wystygnie lufa. Wtedy zobaczyłem Carrie idącą ku mnie od tyłu domu.

23

Była jakieś sto pięćdziesiąt metrów ode mnie, niosąc w dłoni dwulitrową butelkę wody. Pomachałem ręką. Gdy spojrzała i pomachała w odpowiedzi, słońce odbiło się od jej okularów. Oparłem się o pień drzewa i patrzyłem, jak nadchodziła. Wydawało się, że płynie w rozgrzanym powietrzu.

Kiedy podeszła bliżej, zauważyłem, jak jej włosy kołyszą się przy każdym kroku.

- Jak idzie przestrzeliwanie?
- Świetnie. Broń trochę znosi na lewo.

Z uśmiechem podała mi butelkę. Plastik był pokryty matową mgiełką: butelka dopiero co została wyjęta z lodówki. Podziękowałem skinieniem głowy i wstałem. Znów ujrzałem własne odbicie w tych lustrzanych szklach.

Ponownie usiadłem pod drzewem i odkręciłem zakrętkę. Carrie rozejrzała się wokół, odgarniając włosy za uszy.

- Dziś jest naprawdę gorąco.
- Jasne.

Rutynowe głupstwa, o jakich rozmawiają ludzie, którzy się nie znają. Ponadto starałem się nie przypominać jej o tym, co zaszło ostatniej nocy. Przytknąłem butelkę do warg i pociągnąłem kilka solidnych łyków. Plastik zaczynał uginać mi się pod palcami, bo nie wypuszczałem powietrza z ust.

Carrie stała nade mną, podparta pod boki, w takiej samej pozycji jak niedawno Potakiwacz, ale z innym nastawieniem.

— Celownik mógł się przekrzywić w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Ja korzystam z muszki i szczerbinki. Tym nic się nie stanie, a wystarczy, aby wycelować w każdego, kto znajdzie się tu na otwartej przestrzeni.

Przestałem pić. Rozległ się cichy trzask i bulgot, gdy powietrze wypełniło próżnię i butelka odzyskała swój pierwotny kształt.

— A musiałas to kiedyś robić?

Okulary skrywały wszystko, co mogłyby zdradzić jej oczy.

— Kiedyś, kilka lat temu. No wiesz, tutaj zdarzają się takie rzeczy.

Wyciągnęła rękę po butelkę. Patrzyłem, jak odchyła głowę do tyłu i upija kilka łyków, a jej krtań porusza się miarowo. Słyszałem, jak płyn spływa do żołądka i widziałem, jak napinają się mięśnie prawej ręki. Jej skóra lekko lśniła; moja była po prostu spocona. Otarła usta wierzchem dłoni.

— Mam pytanie. Jeśli broń potrzebna ci tylko do obrony, to po co sprawdzasz lunetę? — Wskazała na dżunglę. — Przecież w gąszczu na nic się nie przyda?

Posłałem jej mój najbardziej rozbijający uśmiech.

— Jak już powiedziałem, lubię być przygotowany, to wszystko.

— Tak cię wyszkolono, czy też leży to w twoim charakterze? — Zawahała się. Żałowałem, że nie widzę jej oczu. — Jak sobie z tym radzisz?

Nie byłem pewien, czy potrafię to wyjaśnić.

— Chcesz mi pomóc?

Wpadła w mój ton. Przeszliśmy kilka kroków w kierunku trawiastego pagórka.

— Czy milczenie to sposób, w jaki radzisz sobie z tym, Nick? No wiesz, czy milczeniem bronisz się przed tym, co musisz robić?

Próbowałem zobaczyć coś za tymi szklami, ale ujrzałem tylko własne odbicie. Uśmiechała się prawie drwiąco.

— Proszę cię tylko, żebyś wycelowała w sam środek tego czarnego kółka. Chcę wyregulować celownik.

— Strzał kontrolny, tak?

— Właśnie.

— W porządku, powiem ci coś. Ty wyceluj, jesteś silniejszy. Ja skoryguję.

Odciągnąłem rygiel, wyrzucając łuskę, przeładowałem i przekreśliłem bezpiecznik. Doszliśmy do pagórka.

— Kąt podniesienia lufy musi być taki sam.

Uniosła brew.

— Jasne.

Najwyraźniej powiedziałem coś, co było oczywiste. Zamiast przytrzymać lewą ręką, zacząłem wpychać kolbę w ziemię. Sandały Carrie znalazły się kilka centymetrów od mojej twarzy.

— Powiedz kiedy.

Podniosłem wzrok. Okulary przeciwsłoneczne wisiały teraz na jej szyi, lekko przekrzywione na przytrzymującej je, czarnej nylonowej tasiemce. Mrużyła te wielkie zielone oczy, oswajając je z blaskiem słońca.

Zacząłem ubijać ziemię wokół kolby. Karabin powinien być dobrze umocowany. Kiedy skończyłem, sprawdziłem, czy broń wciąż jest wycelowana w sam środek czarnego kółka.

— W porządku.

Potwierdziła, że usłyszała, po czym obutą w sandał nogą zaczęła udeptywać ziemię wokół kolby, podczas gdy ja mocno trzymałem karabin. Napinając mięśnie, starałem się ścisnąć go jak w imadle, żeby pozostał wycelowany w tarczę. Mógłbym zrobić to sam, ale trwałoby to o wiele dłużej.

Skończyła ubijać ziemię i wciąż miałem tarczę na celowniku, więc powiedziałem jej o tym i odsunąłem głowę w lewo, żeby mogła pochylić się i sama zobaczyć. Nasze głowy zetknęły się, kiedy sięgnęła ręką do pokrętła po lewej stronie lunety i zaczęła je obracać. Usłyszałem szereg metalicznych kliknięć, gdy przesuwała słupki w lewo, aż znalazł się dokładnie poniżej śladów po dwóch

wystrzelonych przeze mnie pociskach, na tej samej wysokości co środek czarnego kółka.

Zajęło jej to tylko piętnaście sekund, ale wystarczyło, żebym poczuł zapach mydła na skórze i delikatny podmuch oddechu na moim policzku. Zapewne śmierzdziało mi z ust, bo od soboty nie myłem zębów, więc odwróciłem głowę. Ona odsunęła swoją szybciej, niżbym sobie tego życzył, i przykucnęła.

— W porządku, gotowe.

Czułem ciepło jej nogi, którą dotykała mojej. Musiałem przesuwać rękę, żeby wyjąć z kieszeni szczyryk, który podałem jej, zadowolony z tego, że go oczyściłem.

— Zaznacz mi położenie, dobrze?

Otworzyła ostrze, pochyliła się i zrobiła rysę na pokrętle i metalowej obudowie lunety, abym mógł przywrócić obecne ustawienie, gdyby pokrętko przestawiło się w wyniku ewentualnego przypadkowego uderzenia. Kiedy to robiła, kamizelka rozchyliła się jej na piersiach i nie mogłem się powstrzymać od zerknięcia. Musiała to spostrzec, bo nie zdołałem dość szybko oderwać oczu, gdy przykłęknęła.

— Ktoś wsypał ci viagry do kawy? — zapytała z uśmiechem, patrząc na mnie tymi wielkimi zielonymi oczami, lecz jej mina nie mogłaby wyrażać bardziej stanowczej odmowy. — Zamierzasz sprawdzić broń?

Wyjmując kolbę z ziemi, lekko odchrząknąłem.

— Tak, chyba znów wystraszę ptaki.

Wstała, żeby odejść na bok.

— Dobrze...

Przeładowałem broń i ponownie wykonałem wszystkie czynności, celując w sam środek czarnej plamy. Oczywiście znowu wkuzyłem ptaki.

Celownik był dobrze wyregulowany; pocisk trafił dokładnie powyżej miejsca, w które celowałem, mniej więcej na tej samej wysokości co dwa poprzednie. Z trzystu metrów uderzyłby tuż nad górną krawędzią kółka, ale zaraz to sprawdzę.

Wciąż spoglądałem przez lunetę, kiedy znowu poczułem, że jej kolana dotykają mojego ramienia.

— W porządku?

Nie odrywałem oczu od tarczy, w dalszym ciągu sprawdzając.

— Taak, dobrze. Doskonale.

Odciągnąłem rygiel do tyłu i oderwałem oko od lunety, a Carrie pochylała się, żeby pozbierać łuski. Wstaliśmy razem i odeszła w cień drzew, podczas gdy ja czyściłem kolbę z ziemi.

— Jeśli to nie było okno twojej duszy, to nie wiem co. Może powinienem był nałożyć Jackie O.

— Twoje oczy nie są tak milczące jak usta, prawda?

Usłyszałem metaliczny szczeł husek, wrzuconych do puszki z amunicją. Usiadła pod drzewem i podwinęła nogi. Idąc w jej kierunku, usiłowałem wymyślić coś, co mógłbym powiedzieć.

— Skąd wziął się tutaj ten dom? No wiesz, znajduje się z daleka od uczęszczanych traktów, prawda?

Podniosła butelkę i pociągnęła z niej łyk, podczas gdy ja sadowiłem się metr dalej. Siedzieliśmy twarzami do siebie i wziąłem od niej wodę, kiedy mi ją zaproponowała.

— Pewien bogaty hippis wybudował go w latach sześćdziesiątych. Przyjechał tu, żeby wymigać się od wojska. — Lustrzane okulary pozostały skierowane na mnie, a uśmiech nie znikł z jej warg, gdy wyjmowała z kieszeni spodni papierośnicę i zapalniczkę Zippo. — Zamienił wietnamską dżunglę na panamską. Najwidoczniej był z niego interesujący facet, bo przez dwadzieścia lat zapewniał obroty dilerom i barmanom z Chepo. Umarł jakieś osiem czy dziewięć lat temu.

Z cichym trzaskiem otworzyła papierośnicę i wyjęła jeden z trzech lub czterech wcześniej przygotowanych skrętów. Zachichotała do własnych myśli, pokazując olśniewająco białe zęby i sprawdzając, czy papieros jest cały. Znowu skierowała na mnie szkła okularów i moje odbicie zaczęło podskakiwać w rytm drżenia jej ramion, gdy zatrzęsała się ze śmiechu.

— Przejechała go ciężarówka, po jednej z wielu nocy, jakie spędził w barach. Wytoczył się na drogę, usiłując ją zatrzymać, krzycząc,

że drzewa mają dusze i powinny pozostać w dżungli. Dziwne, ale ciężarówka najwidoczniej go nie usłyszała... i to byłoby na tyle. Marmolada.

Uśmiechnąłem się, oczami duszy widząc ten absurdalny pojedynek człowieka z ciężarówką. Carrie wprawnie trzasnęła zapalniczką i zaciągnęła się głęboko, zatrzymała dym w płucach i powoli go wypuściła. W powietrzu wokół nas rozszedł się charakterystyczny zapach. Zachichotała, po czym dokończyła opowieść.

— Facet był jednym z tych, którzy mają walkę we krwi, ale na nieszczęście dla niego tamtej nocy za bardzo rozcieńczył ją alkoholem.

Napiłem się jeszcze wody, podczas gdy Carrie ponownie spojrzała w stronę domu, odrywając od warg drobiny trawki.

— Zapisał ten dom i ziemię uniwersytetowi... na cele badawcze. Mieszkamy tutaj już prawie sześć lat. Zrobiliśmy lądowisko dla śmigłowca. Nawet wybudowaliśmy tę przybudówkę.

Odwróciła się do mnie i zaproponowała mi skręta. Odmownie pokręciłem głową. Jeśli ktoś chce palić trawkę, to jego sprawa, ale ja nigdy nie miałem ochoty spróbować. Wzruszyła ramionami i znów się zaciągnęła.

— Możemy to robić tylko poza domem, żeby nie przyłapała nas Luz. Dostałaby szalu, gdyby wiedziała, co wyprawia mamusia. Oto prawdziwa zamiana ról. — Zaciągnęła się głęboko, marszcząc brwi, po czym wypuściła dym. — Pewnie ktoś taki jak ty nie może tego robić, co? Może obawiasz się, że przestałbyś panować nad sytuacją? O czym teraz myślisz?

— Aaron mówił mi, że poznaliście się na uniwersytecie...

Skinęła głową, a ja zacząłem ładować naboje do magazynka.

— W osiemdziesiątym szóstym. Bez niego nie znalazłabym dość siły, żeby zrobić doktorat. Byłam jego studentką.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się wyczekująco, najwyraźniej przyzwyczajona do reakcji, jaką wywoływało to stwierdzenie. Zapewne takiej samej spodziewała się po mnie. Powiedziała wyzywającym tonem:

— Och daj spokój, Nick, czy tobie nigdy nie podobała się kobieta starsza od ciebie?

— Owszem, Wonder Woman z komiksów, kiedy byłem w wieku Luz.

Rozśmieszyłem ją, chociaż może miała w tym swój udział trawka.

— Połowa pracowników uniwersytetu zawiera związki ze studentami lub studentkami. Czasem rozwodzą się z jedną, żeby ożenić się z inną, ale dlaczego na terenie uniwersytetu drogi miłości miałyby być mniej kręte niż gdzie indziej? — Wyczułem, że było to wielokrotnie powtarzane wyjaśnienie istoty ich związku. — Dobrze było tu zostać i studiować, kiedy moi rodzice wrócili na północ i rozwiedli się — ciągnęła. — No wiesz, rozpad typowo katolickiej rodziny; młodzieńczy okres buntu, niezrozumienie przez ojca i tak dalej. — Skierowała na mnie szkła okularów i uśmiechnęła się, być może na myśl o tamtych dobrych czasach, po czym znowu się zaciągnęła. — Sypianie z wykładowcą jest powszechnie przyjęte na uczelni, wiesz? Nie jest obowiązkowym rytuałem, raczej czymś w rodzaju stempla wizowego, dowodem tego, że się było. Ktoś taki jak ty chyba to rozumie, prawda?

Wzruszyłem ramionami, nie mając pojęcia, jakie zwyczaje panują na uczelniach, i trochę tego żalując.

Podniosła załadowany karabin, który leżał między nami. Rygiel był odciągnięty. Sprawdziła zamek, położyła sobie broń na kolanach, a potem powoli przesunęła rygiel do przodu, pobierając pierwszy nabój z magazynka i wprowadzając go do komory. Zamiast opuścić rygiel, przygotowując broń do strzału, odciągnęła go do tyłu, tak że nabój ze szczękiem wyskoczył z zamka i upadł na trawę. Ponownie pchnęła rygiel, powtarzając te czynności.

— A skąd się wzięła Luz? — Zanim jeszcze skończyłem to mówić, wiedziałem, że się wygłupiłem, ale było już za późno. — Ona nie jest twoją córką, prawda?

Mogła być. Mogła mieć ją z kimś innym. Wpakowałem się na niepewny grunt. Spróbowałem ratować sytuację.

— Nie to miałem na myśli, po prostu ona nie...

Roześmiała się i przerwała mi.

— Nie, nie, masz rację, nie jest. Właściwie jest jakby adoptowana.

W zadumie mocno zaciągnęła się skrzemem i spojrzała na karabin. Ze skupieniem powtórzyła poprzednie czynności i drugi nabój wyskoczył z komory na trawę. Mimo woli myślałem o Kelly i o tym, jakim przybranym ojcem byłem dla niej przez ostatnie trzy lub cztery lata.

— Lulu... Była moją najlepszą i najukochańszą przyjaciółką... Luz jest jej córką. Słuszna Sprawa. — Spojrzała na mnie przenikliwie. — Wiesz, co to takiego?

Kiwnąłem głową. Nie zauważyła tego, znowu patrzyła na karabin.

— Inwazja w grudniu osiemdziesiątego dziewiątego. Byliście tu oboje?

Pociągnęła rygiel, uwalniając trzeci nabój. Powoli i smutnie pokręciła głową.

— Nikt nawet nie wyobraża sobie, czym jest wojna, dopóki jej nie zobaczy. Sądzę jednak, że tobie nie muszę o tym mówić.

— Przeważnie były to miejsca, których nazwy nawet nie potrafię wymówić, ale wszędzie było tak samo: jedno wielkie szambo, koszmar.

Czwarty nabój wyskoczył z komory.

— Tak, masz rację. Jedno wielkie szambo...

Wzięła pocisk do ręki i bawiła się nim przez chwilę, po czym znowu się zaciągnęła. Koniec skrzeta się rozjarzył. Podniosła głowę, lecz nie wiedziałem, czy patrzyła na mnie, czy tylko wypuszczała dym.

— Już kilka miesięcy przed inwazją zrobiło się niewesoło.

Zamieszki, godzina policyjna, zabójstwa. Było źle, naprawdę źle. Interwencja Stanów wydawała się tylko kwestią czasu, ale nikt nie wiedział, kiedy nastąpi. Ojciec nalegał, żebyśmy przenieśli się na północ, ale Aaron nie chciał o tym słyszeć. Tu jest jego dom. Ponadto strefa znajduje się niedaleko stąd i cokolwiek miało się

dziać, tam bylibyśmy bezpieczni. Tak więc zostaliśmy. — Upuściła nabój na ziemię, wzięła butelkę i pociągnęła spory łyk, jakby chciała splukać paskudny smak. — Rankiem dziewiętnastego zadzwonił do mnie ojciec i powiedział, żebyśmy pojechali na teren strefy, ponieważ w nocy zacznie się inwazja. Wtedy był jeszcze w wojsku, pracował w Waszyngtonie. — Zamilkła na moment i na jej ustach pojawił się przelotny uśmiech. — Znając George'a, myślę, że sam zaplanował tę operację. Bóg wie, czym on się nie zajmował. W każdym razie załatwił nam zakwaterowanie w Clayton. — Pociągnęła kolejny łyk wody, a ja czekałem na zakończenie tej opowieści. Odstawiła butelkę i dopaliła trawkę, zdusiła niedopałek na ziemi, podniosła inny nabój i znów zaczęła się bawić. — Tak więc pojechaliśmy do strefy, gdzie zobaczyliśmy tyle wojska, czołgów, śmigłowców i czego tylko chcesz, że starczyłoby do zajęcia całego Waszyngtonu. — Powoli pokręciła głową. — Tamtej nocy leżeliśmy w łóżku i nie mogliśmy zasnąć... wiesz, jak to jest. Potem, tuż po północy, na miasto spadły pierwsze bomby. Wybiegliśmy na balkon i zobaczyliśmy słupy ognia na niebie, a kilka sekund później odgłosy eksplozji. Atakowali główną kwaterę Noriegi, kilka kilometrów od miejsca, gdzie byliśmy. To było straszne... bombardowali El Chorrillo, gdzie mieszkały Lulu i Luz.

24

Wyraźnie spięta, mówiła głosem wypranym z emocji:

— Wróciliśmy do pokoju i włączyliśmy radio, żeby posłuchać wiadomości. Na Pan National puszczały muzykę, ale po minucie podali komunikat, że Panama została zaatakowana i ogłosili mobilizację Dingbats.

— Dingbats?

— Dignity Battalions — prywatnej armii Norwegi. Rozgłośnia wzywała ich do czynu, wzywała wszystkich, żeby wyszli na ulice bronić swego kraju przed najeźdźcami, i tym podobne bzdury. Wiesz, to śmieszne, bo prawie wszyscy chcieli, żeby Amerykanie przyszli i zrobili porządek z Norwegią. Zostawiliśmy grające radio i włączyliśmy telewizor, nastawiony na kanał wojskowy. Nie wierzyłam własnym oczom, nawet nie przerwali nadawania filmu! Aaron strasznie się wściekł. W oddali wciąż słyszeliśmy wybuchy bomb.

Słuchałem uważnie, popijając wodę.

— Potem na wszystkich kanałach pokazała się plansza Departamentu Obrony i w języku hiszpańskim nakazywano wszystkim pozostać w domach i słuchać komunikatów. I dokładnie tak postąpiliśmy. Chociaż nie powiedzieli nam nic poza „wszystko w porządku, zachowajcie spokój”. W końcu znowu wyszliśmy na balkon i obserwowaliśmy kolejne eksplozje. Teraz bomby wybuchały w

różnych częściach miasta. Odrzutowce przelatowały w ciemnościach, czasem tak nisko, że widzieliśmy płomienie z dysz. Tak było chyba do czwartej rano, a potem wybuchy ucichły — słychać było tylko samoloty i śmigłowce. Naprawdę nie wiedzieliśmy, co robić i myśleć. Martwiłam się o Lulu i Luz. O świcie całe niebo było czarne od śmigłowców i unoszącego się nad miastem dymu. Jeden wielki samolot ciągle krążył nad miastem. Był tam przez kilka tygodni.

Z jej opisu wynikało, że był to samolot Spectre, jedna z tych maszyn, które mogą działać w dzień i w nocy, obojętnie, gdyż dla nich zawsze jest widno jak za dnia. Na pewno użyli ich w charakterze artylerii powietrznej, wspierającej operacje oddziałów lądowych. Umieszczone na ich pokładach kamery termowizyjne mogą z wysokości kilku kilometrów zlokalizować uciekającego człowieka lub centymetr folii odbłaskowej. Są tam również komputery pokładowe, których operatorzy siedzą w tytanowych kopułach i podejmują decyzje, czy użyć karabinów maszynowych, działek czterdziesto czy dwudziestomilimetrowych, a jeśli sprawy na dole naprawdę źle się układają, stuściomilimetrowej haubicy zamontowanej na burcie.

Carrie kontynuowała opowieść, mówiąc, jak żołnierze Norwegi grabili, gwałcili i niszczyli wszystko na swej drodze, usiłując uciec przed Amerykanami. Ona i Aaron dopiero dzień po Bożym Narodzeniu wrócili do domu obok uniwersytetu.

— Był nietknięty... — Na jej ustach znów pojawił się przelotny uśmiech. — Nie został splądrowany, chociaż niektórzy miejscowi grabili wszystko, co się dało. Ktoś nawet ukraść ze sklepu cały zapas kapeluszy Stetsona. Widocznie nagle w okolicy znalazło się trzydziestu facetów, którzy myśleli, że są Johnami Wayne'ami.

Uśmiechnąłem się na samą myśl, ale Carrie znowu spoważniała.

— Panama zmieniła się w strefę okupacyjną... wszędzie posterunki kontrolne i żołnierze. Tak bardzo martwiliśmy się o Lulu i Luz, że pojechaliśmy szukać ich w El Chorrillo.

Dzielnica wyglądała jak reportaż z Bośni. Zbombardowane budynki, pojazdy opancerzone z zamontowanymi karabinami maszynowymi i głośnikami. — Krzywiąc się, zacytowała: — „Wesołych Świąt, jesteście amerykańskimi żołnierzami. Niebawem przeszukamy wasze domy. Prosimy, zostawcie otwarte drzwi i siedzcie przed domami. Nic się wam nie stanie. Wesołych Świąt”. Nagle jej twarz zmieniła się w nieruchomą maskę. — Pojechaliśmy do domu Lulu i znaleźliśmy tylko stertę gruzu. Sąsiedzi powiedzieli nam, że była w domu. Luz spała u jej siostry, jedną przecnicę dalej. Ten budynek również został zbombardowany i siostra Lulu zginęła, ale nigdzie śladu Luz. To było straszne, szukaliśmy jej wszędzie. Miałam takie uczucie, no wiesz, takie uczucie, jakie masz wtedy, kiedy zginie ci dziecko w tłumie. Wyobrażałam sobie, że ona krąży gdzieś po ulicach, nie mając nikogo, kto mógłby jej pomóc, kto mógłby ją obronić. Znasz to uczucie?

Pomyślałem o śnie, jaki miałem ostatniej nocy. Dobrze znałem to uczucie.

— W końcu znaleźliśmy ją w jednym z obozów, wśród wielu innych sierot. Reszta to już historia. Od tego czasu opiekujemy się nią. — Westchnęła. — Tak bardzo kochaliśmy Lulu.

Słuchając jej opowieści, od czasu do czasu kiwałem głową, zaniepokojony własnymi myślami.

— Ja również straciłem przyjaciół — powiedziałem. — Wszystkich. I też za nimi tęsknię.

— Bez nich człowiek czuje się samotny, prawda?

Wzięła resztę wody i zaproponowała mi część, czekając, aż rozwinę temat. Odmownie pokręciłem głową i pozwoliłem jej dokończyć. Nie zamierzałem się wywnętrzać.

— Myślisz, że Stany Zjednoczone postąpiły właściwie? — zapytałem.

Przytknęła butelkę do ust i wypila kilka łyków.

— Powinni interweniować wcześniej. Jak mogli spokojnie siedzieć i patrzeć na rządy Noriegi, na morderstwa, tortury, korupcję?

Powinniśmy zareagować szybciej. Kiedy rozeszła się wieść, że oddał się w ręce Amerykanów, w całym mieście zawyły syreny. W nocy ludzie wszędzie świętowali. — W jej głosie dała się słyszeć nuta goryczy. — Chociaż to i tak niczego nie zmieniło. Wycofując się ze strefy Kanaru Panamskiego, zrezygnowaliśmy ze wszystkiego.

Na sekundę czy dwie pogrążyła się we własnych myślach, a ja patrzyłem, jak jej twarz staje się jeszcze smutniejsza. W końcu spojrzała na mnie.

— Wiesz co, Nick? Wtedy zdarzyło się coś, czego nigdy nie zapomnę. To zmieniło całe moje życie. — Spoglądałem na nią, czekając, aż dopije wodę i dokończy. — Wróciliśmy do naszego domu i był Nowy Rok, prawie dwa tygodnie po inwazji. Oglądałam telewizję, trzymając w ramionach Luz.

Barbara Bush była gościem jakiegoś programu i chór na scenie zaczął śpiewać „God Bless America”. Wszyscy wstali i przyłączyli się do nich. W tym momencie nad naszym domem przeleciał śmigłowiec, tuż nad dachem. Wciąż miałam w uszach warkot tamtego krążącego samolotu i zaczęłam płakać. Po raz pierwszy poczułam się tak dumna z tego, że jestem Amerykanką. — Spod okularów przeciwsłonecznych wypłynęła łza i pocięła po policzku. Nie próbowała otrzeć ani tej, ani następnej. — I wiesz co? Teraz jest mi tak przykro, że po prostu oddaliśmy to wszystko, za co zginęli ci ludzie. Możesz to zrozumieć, Nick?

Tak, rozumiałem, ale nigdy nie zapuszczałem się na ten grząski teren. Nie byłem pewien, czy potrafiłbym stamtąd wrócić.

— W dziewięćdziesiątym trzecim poznałem niejakiego Johnn-y'ego Applejacka, kapitana z oddziału Delta. No, przynajmniej tak go nazywaliśmy...

Opowiedziałem jej o tym, jak jego patrol tamtej pierwszej nocy wpadł do jakiegoś panamskiego ministerstwa i znalazł trzy miliony dolarów w gotówce. Cała szóstka żołnierzy z tego patrolu tylko dlatego nie jeździ teraz samochodami marki Porsche, że Johnny

bezmysłnie zameldował przez radio o znalezisku.

— Kiedy się rozłączył, zdał sobie sprawę, że właśnie załatwił odmownie fundusz emerytalny dla całego patrolu. Nie wiem, jak wygląda teraz, ale w dziewięćdziesiątym trzecim wyglądał jak facet, który trafił szóstkę w totolotka i dopiero wtedy uświadomił sobie, że zapomniał wysłać kupon.

Uśmiechnęła się.

Zapadła niezręczna cisza, w której patrzyłem, jak Carrie wsuwa wskazujące palce pod szkła okularów i przeciera sobie oczy. A jednak przerwałem czar. Wstałem i wskazałem na karabin, który wciąż leżał na jej kolanach.

— Pomożesz mi z trzystu metrów?

— Czemu nie?

Zaczekałem, aż wstanie. Znów skierowała na mnie czarne szkła.

— Moje słowa trafiły za blisko, Nick?

Odwróciłem się i, idąc obok niej, zacząłem w myślach odliczać jeszcze dwieście kroków. *Dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem.*

Wypełniłem ciszę rzeczową rozmową.

— Zastanawiałem się... Jutro o czwartej rano muszę być znów pod domem Charliego, więc będę musiał wyjechać stąd dzisiaj, o dziesiątej wieczorem. Musimy też ustalić, jak mam go zwrócić. — Pokazałem karabin. — Zakładam, że chcesz go odzyskać?

Trzydzieści dziewięć, czterdzieści, czterdzieści jeden.

— Pewnie, to jedyny praktyczny prezent, jaki dostałam od ojca. Coś wymyślimy.

Uświadomiłem sobie, że pomyliłem liczbę kroków. Zacząłem liczyć od czterdziestu pięciu, gdy ciemne szkła Carrie znowu skierowały się na mnie.

— Czy już znasz sposób, w jaki to zrobisz? No wiesz, jak mu przypomnisz o umowie?

Pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt trzy, pięćdziesiąt cztery.

— Wpadłem na pewien pomysł... może dwa.

Pięćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt osiem.

Spojrzałem na porębę i coś innego przyszło mi do głowy.

— Czy zostały wam jakieś materiały wybuchowe? Widziałem zdjęcia na korkowej macie.

Siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt cztery, siedemdziesiąt pięć.

— Naprawdę jesteś wścibski, wiesz? — Wskazała na odległy skraj dżungli, na wprost tyłów budynku. — Cały stos leży w tamtej szopie.

Zdziwiłem się.

— Chcesz powiedzieć, że tak po prostu zostawiliście je tam? W szopie?

— Hej, daj spokój. Pamiętasz, gdzie jesteśmy? Mamy tu większe zmartwienia niż kilka skrzynek materiałów wybuchowych. A poza tym, po co ci one?

— Będę musiał narobić trochę huk, żeby mu przypomnieć.

Nie widziałem tam żadnej szopy, tylko zarośla; pochyłe zbocze częściowo zasłaniało drzewa.

— Potrafisz się z nimi obchodzić? Och, oczywiście... głupie pytanie.

— Co to za materiał?

Skrzywiła się.

— Taki, który robi dużo huk i rozsadza pnie. Zajmował się tym George, razem z jednym tutejszym facetem.

Znowu pogubiłem się w obliczeniach. Odliczałem osiemdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt jeden, gdy Carrie przystanęła i oznajmiła:

— Sto. — Wskazała na linię drzew. — Zaprowadzę cię tam, kiedy...

— Mamo! Mamo! Dziadek chce z tobą mówić! — zawołała Luz z tyłu domu.

Carrie przyłożyła dłonie do ust i odkrzyknęła:

— Już idę, dziecino! — Z zatroskaną miną odłożyła butelkę i puszkę z amunicją. — Muszę iść.

Wyjęła z kieszeni papierośnicę i zapalniczkę, po czym wrzuciła je do pudełka z amunicją. Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się.

— Miałabym szlaban.

Ruszając, by lekkim truchtem pokonać prawie dwustumetrową odległość dzielącą ją od domu, ponownie wskazała w kierunku szopy skrytej za drzewami.

— Nie można nie trafić. Na razie.

Zostawiłem wszystko i ruszyłem w kierunku drzew na końcu poręby, idąc skrajem dżungli w cieniu. Szopa nie od razu pojawiła się w moim polu widzenia, a nawet potem nie miałem ochoty iść przez otwartą przestrzeń, żeby skrócić sobie drogę. Falujące nad ziemią, rozgrzane powietrze nie wyglądało zachęcająco. I tak już byłem spocony.

Podrapałem się po plecach i podążyłem brzegiem lasu, aż dotarłem do czegoś, co wyglądało jak drewniana wygodka. Jej drzwi obwisły krzywo na zardzewiałym dolnym zawiasie, a wysoka trawa rosła nawet przy samym progu. Całą szopę spowijały gęste pajęczyny, niczym siatka maskująca. Zajrzałem przez szparę w zepsutych drzwiach, ale nie zobaczyłem sedesu. Zamiast niego ujrzałem dwie prostokątne metalowe skrzynki z czerwono-czarnymi napisami.

Istny dar niebios: cztery blaszane puszki, ośmiokilogramowe. Nie znałem hiszpańskiego, lecz zdołałem przeczytać to, co najważniejsze: materiał zawierał ponad pięćdziesiąt pięć procent nitrogliceryny — całkiem sporo. Im większa zawartość nitrogliceryny, tym łatwiej zdetonować materiał. Gdyby w te puszki trafił pocisk wystrzelony z broni szybkostrzelnej, z pewnością spowodowałby eksplozję, przed czym są zabezpieczone wojskowe środki wybuchowe, odporne na wstrząsy.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Odchylając klamrę z boku skrzynki, zobaczyłem namalowaną na niej etykietę z datą 01/99, która zapewne była terminem przydatności. To święństwo

miało tyle lat, że chyba wyprodukowano je, kiedy Noriega nosił pieluchy.

Zabrałem się do roboty i zdjąłem metalowy pasek przytrzymujący wieczko, jakbym otwierał wielką puszkę wołowiny.

W myślach już układałem plan, którego głównym punktem było podłożenie ładunku pod bramę rezydencji Charliego. Jeśli nie zlikwiduję obiektu, kiedy znajdzie się przed domem, to może załatwię go w samochodzie czekającym na otwarcie bramy, pakując kulę w tę puszkę gówna. Moje stanowisko strzeleckie będzie dokładnie w tym samym miejscu, z którego wczoraj obserwowałem dom. Stamtąd będę dobrze widział basen i front budynku, jak również drogę wiodącą w kierunku bramy. Musiałbym umieścić ładunek tak, aby znalazł się w zasięgu strzału, ale to żaden problem.

Pot zbierał mi się na brwiach. Wytarłem go, zanim zalał mi oczy, i zdjąłem wieko metalowego pojemnika, odsłaniając drewnianą wyściółkę. Scyzorykiem przeciąłem sznurek i otworzyłem opakowanie. W środku znalazłem pięć lasek przemysłowego dynamitu, zawiniętych w pomarańczowy pergamin, trochę poplamiony nitrogliceryną, która w tym upale przez lata parowała z nośnika. W powietrzu rozszedł się silny zapach marcepanów. Byłem rad, że będę używał tego materiału na otwartej przestrzeni. Nitrogliceryna może zaszkodzić nie tylko wtedy, kiedy eksploduje. Jeśli nawdychasz się jej oparów w zamkniętym pomieszczeniu, jeżeli wetrzesh ją w skaleczone miejsce lub w inny sposób wprowadzisz do krwiobiegu, to wprawdzie cię nie zabije, ale wywoła potworny ból głowy.

Wziąłem trzy z tych dwunastocentymetrowych lasek i wróciłem na moją strzelnicę, ponownie idąc w cieniu drzew. Po drodze odwinąłem pergamin i obejrzałem jasnozielone laski. Ich powierzchnię pokrywały drobniutkie szare kryształki zaschniętej nitrogliceryny. Minąwszy karabin i pudełko z amunicją, przeszedłem jeszcze

dwieście kroków do tarcz, po czym umieściłem dynamit u nasady najgrubszego pnia, jaki znalazłem w pobliżu. Później wróciłem na stanowisko, starannie wycelowałem i strzeliłem do czarnego kółka.

Broń była dobrze wyregulowana. Trafiłem dokładnie powyżej dziury po kuli wystrzelonej podczas przestrzeliwania — tam gdzie powinienem.

Teraz nadeszła pora na decydującą próbę zarówno broni, jak i materiału wybuchowego. Wziąłem amunicję, karabin i butelkę z wodą, przeszedłem kolejne sto kroków, położyłem się w pozycji strzeleckiej, rozejrzałem wokół, sprawdzając, czy Carrie lub Luz nie wybrały się na przechadzkę w pobliżu tarcz, a potem wycelowałem w łaskę dynamitu, mającą mniej więcej grubość kręgosłupa.

Kiedy upewniłem się, że leżę we właściwej pozycji i pewnie trzymam broń, po raz ostatni sprawdziłem teren.

— Strzelam! Strzelam!

Ten ostrzegawczy okrzyk nie był potrzebny, gdyż wokół nie było nikogo, ale przez lata takich zabaw stał się głęboko zakorzenionym przyzwyczajeniem.

Celując w sam środek łaski dynamitu, pociągnąłem za spust.

Huk wystrzału złał się z wybuchem. Ziemia wokół drzewa w ułamku sekundy wyschła w potwornym żarze eksplozji, obróciła się w pył pod wpływem fali uderzeniowej i wystrzeliła dziesięciometrowym gejzerem. Kawałki drewna opadały wokół jak grad. Drzewo wciąż stało, i tak powinno być, biorąc pod uwagę jego wielkość, ale zostało mocno uszkodzone. Spod kory przezierало jasne drewno, jak ciało.

— NIICK! NIICK!

Zerwałem się i pomachałem do Carrie, która wybiegła zza domu.

— W porządku! W porządku! To tylko próba!

Na mój widok stanęła jak wryta i wrzasnęła, ile sił w płucach, tak że jej głos z łatwością pokonał dzielącą nas przestrzeń.

— TY IDIOTO! MYŚLAŁAM... MYŚLAŁAM...

Gwałtownie ucichła, odwróciła się i jak burza wpadła do budynku.

Na szczęście nie musiałem już niczego robić: broń była wyregulowana, a dynamit nadawał się do użytku. Teraz pozostało mi tylko sporządzić ładunek, który wysadzi samochód.

Oczyściłem karabin, pozbierałem wszystko i ruszyłem z powrotem w kierunku domu.

25

Drzwi przeciwmoskitowe zatrzasnęły się za mną i poczułem, że pot zaczyna wysychać mi na skórze w chłodnym podmuchu dwóch wentylatorów stojących przy stoliku do kawy.

Skierowałem się prosto do lodówki, po drodze odkładając karabin i puszkę z amunicją. Kiedy otworzyłem drzwiczki, w lodówce nie zapaliło się światło, co być może świadczyło o manii na punkcie oszczędzania energii, ale dostrzegłem to, czego szukałem: dwie plastikowe dwulitrowe butelki z wodą, identyczne z tą, którą opróżniliśmy. Zimna woda aż drapała w gardle i powodowała ból głowy, lecz była tego warta. Napeliłem pustą butelkę wodą z ogrodowego węża oznaczonego literą „D” i wstawiłem ją do lodówki.

Podkoszulek i spodnie wciąż lepily mi się do ciała, a wysypka na plecach swędziła jak diabli. Wyjąłem z kieszeni maść i posmarowałem bąble. W tym wilgotnym powietrzu nie było sensu się wycierać.

Kiedy obmyłem lepkie dłonie oraz twarz i zjadłem kilka bananów, nadszedł czas, żeby zastanowić się, jakiego rodzaju bombę sporządzą ze znalezionej materiału wybuchowego. Z butelką wody w ręce oraz trawką i zapalniczką Carrie w kieszeniach zapukałem do drzwi pracowni komputerowej i wszedłem.

Carrie siedziała na fotelu po lewej, odwrócona plecami do mnie i pochylona nad jakimiś papierami. Dwa wentylatory pod sufitem wypełniały pokój warkotem, głośnym i metodycznym buch-buch-buch, wirując na wysięgnikach. Wewnątrz było znacznie chłodniej niż w salonie.

Pecet z kamerą internetową był wyłączony. Monitor stojący przed Carrie ukazywał arkusz kalkulacyjny z rzędami cyfr. Porównywała dane, które miała w papierach, z tymi na ekranie.

Siedząca przy swoim biurku w głębi pokoju Luz zauważyła mnie pierwsza. Obróciwszy się wraz z fotelem twarzą do mnie, powiedziała: „Bum!” z szerokim uśmiechem na twarzy i jabłkiem w rękę. Przynajmniej ona uważała to za zabawne. Bezradnie wzruszyłem ramionami, tak samo jak to robiłem wobec Kelly, kiedy coś schrzaniłem.

— Taak, przepraszam.

Carrie również odwróciła się do mnie. Ją też obdarzyłem przepraszającym wzruszeniem ramion. Kiwnęła głową w odpowiedzi i uniosła brew, patrząc na Luz, która nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wskazałem na magazyn.

— Będzie mi potrzebna pomoc.

— Zaczekaj chwilkę.

Podniosła głos jak nauczycielka podstawówki i pogroziła palcem.

— A ty, młoda damo, do roboty.

Luz usłuchała i zaczęła skrobać coś w zeszyte długopisem, który ścisnęła kciukiem i wskazującym palcem. Tak bardzo przypominała mi Kelly.

Carrie jeszcze trochę postukała w klawiaturę peceta, po czym wstała i powiedziała do Luz, wciąż tonem nauczycielki:

— Chcę zobaczyć te zadania z matematyki odrobione do południa, młoda damo, inaczej znów nie dostaniesz obiadu!

Luz odpowiedziała jej uśmiechem i pełnym rezygnacji „Och, mamo, proszę...”, po czym ugryzła jabłko. Ruszyliśmy w kierunku magazynu. Carrie zamknęła za sobą drzwi. Te wychodzące na zewnątrz były otwarte i widziałem przez nie rzędy białych donic.

Niebo nie było już nieubłagane niebieskie^ Zbierały się na nim chmury przesuwające się na tle słońca i rzucające cień.

Oddałem jej papierosnicę oraz zapalniczkę. Uśmiechnęła się, podziękowała, po czym stanęła na najniższej półce i schowała je gdzieś między paczkami baterii.

Zauważyłem już coś, czego potrzebowałem. Podniosłem kartonowe pudło, którego etykieta informowała mnie, że powinno zawierać dwadzieścia cztery puszki zupy pomidorowej Campbella, ale były w nim tylko dwie. Ponieważ potrzebne mi było tylko pudełko, wyjąłem obie puszki i postawiłem na półce.

Na tych regałach była istna mała Ameryka: wszystko od koców i łopat po przyjazny dla środowiska płyn do mycia naczyń, od foliowanych opakowań płatków po bezkofeinową kawę.

— To jak supermarket — powiedziałem. — Spodziewałem się raczej wigwamu i kadzidełek.

Ze śmiechem zeskoczyła z półki i poszła do drzwi wiodących na zewnątrz. Patrzyłem na nią, gdy stanęła na tle prostokąta światła, spoglądając na rzędy białych donic, a potem podszedłem, niosąc butelkę z wodą i karton. Przez chwilę staliśmy tam razem, w milczeniu zakłócanym tylko przez cichy pomruk agregatu prądotwórczego.

— Co właściwie tu robicie?

Machnięciem ręki wskazała na doniczki.

— Poszukujemy nowych gatunków endemicznej flory... paproci, drzew i innych roślin. Oznaczamy je i rozmnażamy, zanim znikną na zawsze.

Patrzyła w dal, na odległy skraj dżungli, jakby spodziewała się zobaczyć tam jakiś nowy okaz.

— To bardzo interesujące.

Spojrzała mi w oczy.

— Taak, pewnie — powiedziała z sarkastycznym uśmiechem.

Naprawdę byłem zaciekawiony. No, trochę.

— Nie wierzą ci, ale miło, że tak mówisz. To rzeczywiście jest interesujące... — Wskazała na doniczki i niebo nad nimi, już ciemne od chmur. — Wierz mi lub nie, ale właśnie znalazłeś się na froncie walki o ocalenie różnorodności gatunków.

Uśmiechnąłem się do niej.

— My przeciw reszcie świata, tak?

— Lepiej w to uwierz — poradziła.

Zaledwie przez sekundę patrzyliśmy na siebie, ale dla mnie było to o pół sekundy za długo. Nasze spojrzenia spotkały się już wcześniej, lecz z jej ukrytych za ciemnymi szklami oczu niczego nie zdołałem wyczytać.

— Za sto lat od chwili obecnej połowa światowej flory i fauny przestanie istnieć. I to, przyjacielu, będzie dotyczyło wszystkiego: ryb, ptaków, owadów, roślin, ssaków, czego tylko chcesz, w wyniku przerwania łańcucha pokarmowego. Podejmujemy nie tylko spektakularne próby ratowania dużych i efektownych ssaków... — Wywróciła oczami i z udawanym przerażeniem załamała rękę. — Nie chodzi tylko o nie, ale o wszystko. — Nagle jej poważna twarz rozpromieniła się w uśmiechu. — Włącznie z pchłą ziemną, z którą twoje oko zawarło bliską znajomość. — Uśmiech zgasł. — Degradacja środowiska będzie przegrana nas wszystkich, wiesz.

Wyszedłem na zewnątrz i usiadłem na betonie. Postawiłem obok siebie karton po zupie i odkręciłem zakrętkę butelki. Kiedy piłem, Carrie podeszła i usiadła przy mnie, znowu nakładając ciemne okulary. Oboje spoglądaliśmy na rzędy donic.

— Od kiedy powstało życie na Ziemi, tylko pięć razy doszło do klęsk ekologicznych o porównywalnej skali. Wszystkie były spowodowane czynnikami naturalnymi. — Wyciągnęła rękę po butelkę. — Na przykład dinozaury. Wyginęły w wyniku uderzenia wielkiego meteorytu, który spadł na Ziemię mniej więcej sześćdziesiąt pięć milionów lat temu, prawda?

Skinąłem głową, jakbym wiedział. Muzeum historii naturalnej nie było moim ulubionym miejscem chłopiących zabaw.

— No właśnie, ale tej szóstej katastrofy nie wywoła działanie jakiejś zewnętrznej siły. Powodujemy ją my... gatunek niszczycieli. I nie ma żadnego Parku Jurajskiego. Kiedy jakies życie wyginie, nie zdołamy go odtworzyć. Musimy ocalić je teraz.

Nic nie mówiłem, spoglądając w dal, podczas gdy ona piła wodę, a miliony świerszczy grały swoją pieśń.

— Wiem, że uważasz nas za zwariowanych zbawicieli świata, ale...

Spojrzałem na nią.

— Wcale tak nie myślę...

— Cokolwiek sobie myślisz — ucięła machnięciem wolnej ręki i uśmiechnęła się, oddając mi butelkę. — W każdym razie mam dla ciebie wiadomość. Jeszcze nie zidentyfikowano wszystkich gatunków roślin na Ziemi, prawda?

— Skoro tak twierdzisz.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

— Twierdzę. I tracimy je szybciej, niż nadażamy je oznaczać, racja?

— Skoro tak mówisz.

— Mówię. I właśnie dlatego tu jesteśmy, żeby szukać roślin, których jeszcze nie znamy. Wyprawiamy się w dżunglę po okazji, hodujemy je i wysyłamy próbki na uniwersytet. Z tych, które rosną w doniczkach, wyprodukowano wiele lekarstw. Z każdą ginącą rośliną tracimy szansę na przyszłość, tracimy potencjalny lek na HIV, Alzheimera, raka. A teraz najlepsze. Jesteś gotowy?

Pomasowałem obandażowaną łydkę, wiedząc, że i tak mnie to nie ominie.

— Firmy farmaceutyczne dają uniwersytetowi pieniądze na poszukiwania i badania nowych gatunków roślin. Tak więc, wyobraź sobie, nasza działalność może też być dobrym interesem. — Z aprobatą pokiwała głową i zaczęła oglądać swoje paznokcie. — A mimo to w przyszłym roku musimy zwinąć manatki. Jak już powiedziałam, wykonujemy tu dobrą robotę, ale oni domagają się

szybkich rezultatów. Tak więc może to nie my jesteśmy stuknięci, co?

Ponownie odwróciła się i popatrzyła na donice. Na jej twarzy nie było już zadowolenia ani powagi, tylko smutek. Ja się cieszyłem, mogąc dzielić z nią milczenie. Jeszcze nikt w ten sposób nie przedstawił mi problemów ochrony środowiska. Może te słowa trafiły mi do przekonania dlatego, że padły z jej ust, a ona nie miała na sobie anoraka i nie próbowała przekonywać mnie na siłę.

— W jaki sposób godzicie to zajęcie z tym, co robicie dla mnie? No wiesz, jedno niezbyt pasuje do drugiego.

Nie spojrzała na mnie, wciąż patrzyła na donice.

— Och, tak bym nie powiedziała. No i dzięki temu mogłam zatrzymać Luz.

— Jak to?

— Aaron jest za stary, żeby mógł adoptować dziecko, a poza tym tutaj to bardzo skomplikowana procedura. — Przez moment myślałem, że się zaczerwieni. — Tak więc mój ojciec zaproponował jej amerykański paszport w zamian za naszą pomoc. Taka była umowa. Czasem postępujemy źle z dobrych pobudek, czyż nie, Nicku jak cię tam zwą?

Odwróciła się do mnie i nabrała tchu.

Cokolwiek miała jeszcze zamiar powiedzieć, zmieniła zdanie i znowu spojrzała na skraj dżungli, gdzie z drzew z chóralnym ćwierkaniem poderwało się stado ptaków podobnych do wróbli.

— Aaronowi to się nie podoba. Spieraliśmy się o to. Chciał wystąpić o prawo do adopcji. Lecz formalności trwają bardzo długo, a my nie mamy czasu, musimy wracać do Bostonu. Moja matka zamieszkała tam po rozwodzie. George został w Waszyngtonie i robi to, co robił zawsze. — Zamilkła na chwilę, zanim rozwinęła ten temat. — Wiesz, dopiero po ich rozwodzie odkryłam, jakie wpływy ma mój ojciec. Masz pojęcie, nawet Clintonowie mówią mu po imieniu. Szkoda, że nie wykorzystał ich, żeby uratować swoje życie

osobiste. To naprawdę zabawne. Aaron pod wieloma względami jest do niego podobny...

— Dlaczego wracacie po tak długim czasie? Dlatego że zamykają wasz projekt?

— Nie tylko dlatego. Sytuacja tutaj stale się pogarsza. Musimy myśleć o Luz. Niedługo pójdzie do szkoły średniej, a potem na studia. Powinna mieć normalne życie. Chłopców, którzy umawiają się na randki z innymi, przyjaciółki, które obgadują za plecami, i tak dalej... — Uśmiechnęła się. — Ona bardzo chce wyjechać. — Uśmiech zgasł jej na ustach, lecz w głosie nie było smutku, tylko rozsądek. — A jednak Aaron... Aaron nienawidzi zmian, tak jak mój ojciec. Wciąż ma nadzieję, że kłopoty miną. — Podniosła głowę, patrząc na stado ptaków przelatujących ze świergotem tuż nad domem. Ja też popatrzyłem, odprowadzając je wzrokiem. Westchnęła. — Będę tęsknić za tym miejscem.

Wiedziałem, że powinienem coś powiedzieć, ale nie miałem pojęcia co. Wydawało mi się, że to, co zrobiłem z moim własnym życiem, nie daje mi kwalifikacji do udzielania dobrych rad.

— Bardzo go kocham — ciągnęła. — Tylko że chyba stopniowo zdałam sobie sprawę z tego, że nie jestem zakochana w nim jako mężczyźnie... Wiem, że to banalne stwierdzenie. Tak trudno to wyjaśnić. Nie potrafię z nim o tym rozmawiać. Po prostu... Sama nie wiem, po prostu czas... — Zamilkła na chwilę. Czułem, jak krew pulsuje mi w skroniach. — Bywają chwile, kiedy czuję się strasznie samotna.

Obiema rękami odgarnęła włosy za uszy, a potem znowu odwróciła się do mnie. Ponownie zapadła cisza. Mój puls wyraźnie przyspieszył i nagle zacząłem mieć trudności z oddychaniem.

— A ty, Nick? Czy czasami czujesz się samotny?

Już знаła odpowiedź, ale nie mogłem się powstrzymać...

Powiedziałem jej, że mieszkam w przytułku w Londynie, że nie mam pieniędzy i muszę stać w kolejce po darmowe posiłki wydawane przez wyznawców Hari Kryszny. Powiedziałem, że wszyscy

moi przyjaciele nie żyją... oprócz jednego, który mną gardzi. I o tym, że poza rzeczami, które miałem na sobie, kiedy pojawiłem się w ich domu, mam tylko torbę pozostawioną w schowku bagażowym na dworcu kolejowym w Londynie.

Opowiedziałem jej to wszystko i poczułem się lepiej. Powiedziałem jej również, że przybyłem do Panamy tylko z tego powodu, żeby mój zwierzchnik nie zabił dziecka. Chciałem dodać więcej, ale zdołałem przytrzymać wieko, zanim wszystko się ze mnie wylało.

Kiedy skończyłem, usiadłem z założonymi rękami, nie wiedząc, jak to przyjmie, wołąc na nią nie patrzeć i znów spoglądając na doniczki.

Carrie odkaslnęła.

— To dziecko... to Marsha czy Kelly?

Gwałtownie odwróciłem głowę, a ona wzięła moje zaskoczenie za gniew.

— Przepraszam, przepraszam... Wiem, że nie powinnam pytać. Po prostu byłam tam, byłam przy tobie całą noc, nie tylko przez moment... Miałam powiedzieć ci rano, ale chyba oboje czuliśmy się skrępowani...

Cholera, co wygadałem?

Próbowала złagodzić cios.

— Musiałam zostać, inaczej byłbyś teraz w połowie drogi do Chepo. Nie pamiętasz? Wciąż budziłeś się z krzykiem i chciałeś gdzieś iść, szukać Kelly. A potem wołałeś Marszę. Ktoś musiał być przy tobie. Aaron przez całą noc nie spał i musiał odpocząć. Martwiłam się o ciebie.

Puls jeszcze mi przyspieszył i krew uderzyła do głowy.

— Co jeszcze powiedziałem?

— No... Kev. Do tej pory myślałam, że to twoje prawdziwe imię i...

— Nick Stone.

Musiało to zabrzmieć jak błyskawiczna odpowiedź w teleturnieju. Patrzyła na mnie przez chwilę i uśmiech powrócił na jej usta.

— To twoje prawdziwe nazwisko?

Kiwnąłem głową.

— Dlaczego mi powiedziałeś?

Wzruszyłem ramionami. Sam nie wiedziałem. Po prostu wydało mi się to właściwe.

Kiedy znowu się odezwałem, byłem jak w transie. Jakby mówił za mnie ktoś inny, a ja słuchałem tego z daleka.

— Ta dziewczynka ma na imię Kelly. Jej matką była Marsha, żona mojego przyjaciela Keva. Aida była jej młodszą siostrą. Wszyscy zostali zamordowani we własnym domu. Tylko Kelly przeżyła. Przybyłem kilka minut za późno, żeby ich uratować. To z jej powodu tu jestem. Ona jest wszystkim, co mi zostało.

Powoli skinęła głową, przyswajając moje słowa. Uświadomiłem sobie, że twarz mam zlaną potem, i próbowałem ją otrzeć.

— Czemu mi o niej nie opowiesz? — zapytała cicho Carrie. — Bardzo chciałabym dowiedzieć się więcej.

Nogi znowu zaczęły mi drętwieć i czułem, jak unosi się pokrywa, ale nie byłem w stanie nad tym zapanować.

— W porządku, Nick, w porządku. Wyrzuć to z siebie.

Jej głos był łagodny, uspokajający.

I nagle zrozumiałem, że nie mogę przestać. Słowa zaczęły wylewać się z moich ust, tak że ledwie mogłem oddychać. Opowiedziałem jej o tym, że jestem opiekunem Kelly, zupełnie nieodpowiednim, że wybieram się do Marylandu na spotkanie z Joshem, jedynym przyjacielem, który mi pozostał, że zawsze traciłem wszystkich, których lubiłem, o tym, że mam rzec się opieki nad Kelly, o jej terapii, o mojej samotności... wszystko. W końcu zamilkłem, wyczerpany, i siedziałem, kryjąc twarz w dłoniach. Poczulem na ramieniu lekkie dotknięcie jej dłoni.

— Jeszcze nigdy nikomu o tym nie mówiłeś, prawda?

Pokręciłem głową, opuściwszy ręce, i spróbowałem się uśmiechnąć.

— Nigdy wystarczająco długo nie usiedziałem na miejscu — powiedziałem. — Musiałem podać psychoterapeutce kilka najważniejszych faktów związanych ze śmiercią Keva i Marshy, ale resztę starałem się ukryć.

Przejrzała mnie na wylot. A przynajmniej takie miałem wrażenie.

— Ona mogła ci pomóc, wiesz.

— Hughes? Przy niej tylko czułem się jak... jak... jak emocjonalny karzeł. — Zacisnąłem zęby. — Widzisz, może mój świat wygląda jak kupa gówna, ale czasem udaje mi się usiąść na szczycie.

Posłała mi smutny uśmiech.

— I co widać z tego gównianego szczytu?

— Świat nie mogący równać się z twoim, ale ja lubię dżunglę.

— Mhm. — Jej uśmiech jeszcze się poszerzył. — Świetnie można się w niej ukryć.

Kiwnąłem głową i tym razem udało mi się uśmiechnąć.

— Czy zamierzasz się ukrywać do końca życia, Nicku Stone?

Dobre pytanie. Lecz jak na nie, cholera, odpowiedzieć? Przez długą chwilę spoglądałem na donice, a mrowienie nóg powoli mi przechodziło.

— I co tu z tobą zrobić? — przerwała ciszę Carrie z teatralnym westchnieniem.

Popatrzyliśmy na siebie, a potem wstała. Poszedłem za jej przykładem, czując się niezręcznie i usiłując wymyślić coś, cokolwiek, co przedłużyłoby tę chwilę. Ona znowu się uśmiechnęła, a potem żartobliwie dała mi w ucho.

— W porządku, koniec przerwy, wracamy do pracy. Muszę sprawdzić kilka zadań z matematyki.

— No tak. Będzie mi potrzebna jedna z twoich donic. Zdaje się, że widziałem puste przy zlewie.

— Jasne, mamy ich tu mnóstwo. Poza tym niedługo i tak będą niepotrzebne.

Uśmiech nie zniknął, lecz stał się nieco smutny. Podniosłem karton.

— Zamierzam pobawić się trochę tym materiałem wybuchowym w szopie, ale obiecuję, że nie będzie już żadnych hałasów.

Kiwnęła głową.

— To dobrze — odparła. — Myślę, że oboje mieliśmy już dość wrażeń jak na jeden dzień.

Ruszyła w kierunku magazynu, ale jeszcze przystanąła.

— Nie martw się, Nicku Stone, nikt się o tym nie dowie. Nikt.

Podziękowałam jej skinieniem głowy, nie tylko za obietnicę milczenia, a ona poszła do drzwi magazynu.

— Carrie?

Zatrzymała się i obejrzała na mnie.

— Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli poszperam trochę w magazynie i wezmę sobie kilka rzeczy? No wiesz, żywność i sprzęt na noc.

— Jasne, tylko powiedz mi, co wzięłeś, żebyśmy mogli uzupełnić zapasy, dobrze? I oczywiście nie bierz niczego, co doprowadziłoby do nas, na przykład rzeczy takich jak to.

Wskazała na karton po zupie, na którym biała nalepka głosiła „Yanklewitz 08/14/00”. Zapewne data dostawy śmigłowcem.

— Bez obawy.

Znowu posłała mi ten smutny uśmiech.

— I kto to mówi, Nicku Stone.

Patrzyłem, jak znikła w magazynie, po czym przeszedłem za róg budynku, do zlewu. Zdarłem mocno trzymającą się nalepkę i wrzuciłem jej kawałki do jednej ze szklanek. Potem napiłem się wody z węża oznaczonego literą „D” i napelniwszy butelkę, przeszedłem po otwartej przestrzeni do szopy, niosąc w jednej ręce zabraną spod zlewu donicę, a w drugiej karton i butelkę z wodą. Staralem się nie myśleć o niczym poza robotą. Ciężko mi to szło. Carrie miała rację, miałem powody do obaw, ale przynajmniej nie wypaplałem, jaki jest prawdziwy cel mojej misji.

Chmury zbijały się w litą warstwę. Nie myliłem się, nie ufając porannemu słońcu. Kiedy doszedłem do łagodnego zbocza i dostrzegłem dach szopy, usłyszałem kilka krótkich dźwięków klaksonu. Obejrzałem się. Mazda podskakiwała na szlaku, a Luz wybiegła

przywitać ojca. Przez chwilę stałem, patrząc, jak wysiada z samochodu, a ona obejmuje go i opowiada mu coś z ożywieniem, gdy razem idą na werandę.

Siedząc w wilgotnym cieniu szopy, oddarłem górę i dół kartonu po zupie Campbella, wepchnąłem je na dno donicy i uzyskałem sześcian bez wieka i dna. Rozerwałem go wzdłuż jednego zgięcia i rozłożyłem, otrzymując długi prostokąt kartonu. Zacząłem wypychać go do donicy, skręcając spiralnym ruchem, aż zwoje kartonu utworzyły stożek sięgający na wysokość jednej trzeciej pojemnika. Gdybym go teraz puścił, karton rozwinąłby się, tak więc obłożyłem podstawę stożka nieodpakowanym materiałem wybuchowym. Potem, kiedy stożek już się trzymał, otworzyłem pozostałe opakowania, wyjąłem podobną do plasteliny substancję i zacząłem wypychać ją do donicy oraz utykać wokół stożka.

Próbowałem uzyskać kopię francuskiej miny przydrożnej. Mają identyczny kształt z tą donicą, ale są nieco mniejsze i zaprojektowane tak, że w przeciwieństwie do konwencjonalnych min nie muszą wybuchnąć bezpośrednio pod celem, żeby go zniszczyć. Można je umieszczać na poboczu drogi lub traktu, ukryć w krzakach albo — jak ja zamierzałem zrobić — na drzewie. Bardzo poręczna zabawka, na przykład jeśli chcesz zaminować drogę o betonowej nawierzchni i nie pozostawić na niej żadnych widocznych śladów. Jedna z wersji tej miny jest detonowana za pomocą cienkiego jak jedwabna nitka przewodu, który kładzie się na nawierzchni, żeby zgniotły go koła. Ja zamierzałem odpalić ładunek strzałem z mosina.

W momencie detonacji fabrycznie wyprodukowanej miny miedziany stożek natychmiast zmienia się w rozgrzany, półpłynny pocisk, lecący z taką prędkością i siłą, że bez trudu może rozerwać pancierz pojazdu i rozsadzić go od środka. Nie miałem miedzianej blachy, więc zamiast niej posłużyłem się kartonem, ale siła eksplozji powinna być wystarczająca, żeby mina zniszczyła cel.

Wepchnąłem jeszcze więcej materiału wybuchowego do donicy, starając się, by równo pokrywał cały stożek. Piekły mnie dłonie, bo nitrogliceryna dostała się do skaleczeń i znowu rozboląła mnie głowa, naprawdę dając mi do wiwatu.

Na pomysł wykorzystania materiału wybuchowego w taki sposób wpadłem, wspominając starego Niemca, który podarował mi bagnet. To on opowiadał mi tę historię z czasów drugiej wojny światowej. Niemieccy spadochroniarze zajęli most, żeby nie dopuścić do jego zniszczenia przez wycofujących się Brytyjczyków. Ładunki pozostały na swoim miejscu, ale Niemcy powymyślali detonatory, żeby kolumna wojsk pancernych mogła przejechać po moście i dokopać aliantom. Młody angielski żołnierz strzelił tylko raz ze swojego standardowego karabinu Lee Enfield kaliber .303, mierząc w podłożone ładunki. Ponieważ był to materiał wybuchowy starego typu, podobny do tego, który znalazł się teraz w moim posiadaniu, pocisk spowodował eksplozję ładunku i wszystkich pozostałych, które były z nim połączone. Most wyleciał w powietrze i niemieckie czołgi nie zdołały po nim przejechać.

Umieszczając resztę materiału wybuchowego, miałem nadzieję, że tamten żołnierz dostał w nagrodę przynajmniej kilka dni urlopu, ale bardzo w to wątpiłem. Pewnie jedynie stuknięcie trzcinką w blaszany kapelusz i pochwałę typu: „doskonała robota, człowieku”, zanim zginął kilka tygodni później.

Kiedy skończyłem, przykryłem donicę pokrywką, zostawiłem bombę w szopie i poszedłem z powrotem do domu, rozmyślając o tym, co jeszcze powinienem przygotować na te cztery noce, które zapewne spędzę w dżungli.

Niebo przybrało metaliczny kolor, chmury miały wszystkie odcienie szarości. Gdy dotarłem na szczyt wzniesienia, w oddali zagrzmiało. Aaron i Carrie stali obok zlewu i zauważyłem, że znów się spierali. Carrie wymachiwała rękami, a Aaron miał głowę wysuniętą do przodu, jak kogut.

Nie mogłem po prostu przystanąć i zawrócić. Znajdowałem się na ziemi niczyjej. Ponadto dłonie mocno piekły mnie od nitrogliceryny

i musiałem je obmyć, a także łyknąć aspirynę. Dihydrokodeina byłaby lepsza, ale czekała mnie nocna praca.

Zwolniłem, opuściłem głowę i miałem nadzieję, że szybko mnie zauważą.

Zapewne zobaczyli mnie na otwartej przestrzeni, usilnie starającego się nie patrzeć w kierunku umywalni, ponieważ Carrie przestała wymachiwać rękami i znikła w drzwiach magazynu, a Aaron zaczął wycierać się ręcznikiem.

Podszedłem do niego, kiedy zawiązywał sobie włosy w kucyk, wyraźnie zmieszany.

— Przykro mi, że musiałeś na to patrzeć.

— To nie moja sprawa — odparłem. — Ponadto wieczorem już mnie tu nie będzie.

— Carrie mówiła mi, że trzeba cię będzie podwieźć. O dziesiątej, tak?

Kiwnąłem głową, odkręciłem zawór i zmoczyłem ręce, a potem zakręciłem wodę i porządnie je namydliłem, żeby zmyć ślady nitrogliceryny.

— Mówiłeś, że masz mapę. Leży gdzieś na regale?

— Tak, weź sobie. Dam ci też porządny kompas.

Minął mnie i powiesił swój zielony ręcznik na sznurze, obok mojego.

— Czujesz się już lepiej? Martwiliśmy się.

Zacząłem splukiwać ręce.

— W porządku, musiało mi coś zaszkodzić. Jak tam jaguar?

— Obiecali, że coś z nim zrobią, może oddadzą do zoo, ale uwierzę dopiero wtedy, jak to zobaczę. — Milczał chwilę, wahając się, a potem rzekł: — Cóż, Nick, muszę teraz zabrać się do roboty. W tym tygodniu mam istne urwanie głowy.

— To na razie, kolego.

Zdjąłem mój ręcznik ze sznurka, a Aaron ruszył w kierunku drzwi magazynu.

26

Teraz, kiedy niebo zasnuło się chmurami, w magazynie było prawie ciemno. W końcu znalazłem sznurek i pociągnąłem go, zapalając światło. Zamigotała świetlówka zawieszona niedbale na drutach dwa metry poniżej sufitu.

Od razu zobaczyłem karabin i puszkę z amunicją, pozostawione dla mnie na półce, oraz kompas marki Silva i mapę.

Przygotowałem sobie kilka „cichych pakietów”, odrywając z rolki około dziesięciu centymetrów taśmy klejącej, a potem po kolei kładąc na niej naboje i sklejjąc. W ten sposób miałem komplet składający się z czterech naboji, które nie będą obijać się o siebie w kieszeni i brzęczeć. Ostatnie pięć centymetrów taśmy złożyłem na pół i skleiliśmy, tworząc łatwą do uchwycenia końcówkę, po czym zabrałem się do przygotowywania następnego kompletu. Zamierzałem wziąć ze sobą całe opakowanie zawierające dwadzieścia pocisków. Nigdy nie wiadomo, co może się przydarzyć.

Przetrzęsnałem apteczkę, znalazłem aspirynę i połknąłem dwie tabletki. Popiłem je wodą z litrowej butelki wody mineralnej, którą wyjąłem z kartonu mieszczącego dwanaście sztuk. Trzy następne butelki położyłem na pryczy... na później.

Znowu zaczęła mnie boleć noga, ale nie chciało mi się zmieniać opatrunku. I tak zmoczę go i zabłoce, a ból przejdzie po aspirynie.

Musiałem przygotować się na spędzenie nawet czterech nocy pod gołym niebem: dwóch na stanowisku i dwóch w dżungli, zanim opadnie kurz i zdołam dostać się na lotnisko. Tak czy inaczej, do wtorku musiałem dotrzeć do Josha.

W magazynie znalazłem stary plecak na stelazie, z zielonym brezentem miejscami aż białym ze starości. Do leżących na pryczy butelek wody mineralnej i plecaka dorzuciłem dziewięć puszek tuńczyka oraz kilka paczek batoników sezamowych z miodem, dzięki którym powinienem jakoś przetrzymać te cztery dni.

Sądząc po tym, co leżało na półkach, zdołali położyć rękę na sporej części wojskowych zapasów. Znalazłem pelerynę i ciemnozielone moskitiery. Po zawiązaniu kaptura, z peleryny i kilku metrów przywiązanego do jej rogów sznurka mogę zrobić daszek, a moskitiery nie tylko ochronią mnie przed owadami, ale posłużą również jako siatka maskująca. Wziąłem trzy; jedną się osłonię, a dwie pozostałe wykorzystam do zamaskowania mojej pozycji i podłożonej bomby. Duży biały cylinder wiszący na drzewie dokładnie naprzeciwko bramy mógłby wzbudzić jakieś podejrzenia.

Najważniejsze, że znalazłem maczetę, absolutnie niezbędną w dżungli, gdyż zapewniającą schronienie, pożywienie oraz możliwość obrony. Nikt zdrowy na umyśle nie zapuszcza się bez niej w gąszcz. Ta należała do wyposażenia amerykańskiej armii i była znacznie solidniejsza od tej, którą machał Diego. Prawie dziesięć centymetrów krótsza, miała solidną drewnianą rękojeść i brezentową pochwę z okuciem z lekkiego stopu.

Wspiąłem się po żelaznych wspornikach półek i przytrzymując się rozporki, obejrzałem wyżej umieszczone zapasy. W sąsiednim pomieszczeniu wyraźnie zadowolona z siebie Luz zawołała:

— Taak!

Na moim zegarku była 15.46, więc zapewne kończyła zajęcia. Zastanawiałem się, czy zdaje sobie sprawę z tego, że Aaron i Carrie spierają się o jej przyszłość. Czy wiedziała, co się tu dzieje? Jeśli

myśleli, że ona nie ma o tym pojęcia, sami się oszukiwali. Jeżeli była podoba do Kelly, to nic nie uchodziło jej uwagi.

Na moment pobiegłem myślami do Marylandu. Znajdowaliśmy się w tej samej strefie czasowej i w tym momencie Kelly zapewne robiła to samo co Luz, czyli pakowała książki. Uczyła się prywatnie, indywidualnym i kosztownym tokiem nauczania, ale jedynym możliwym po kameralnym nastroju gabinetu psychoterapeutycznego, dopóki nie zaadaptuje się na tyle, żeby móc korzystać z dobrodziejstw zbiorowego nauczania razem z dziećmi Josha. Trochę martwiłem się o to, co będzie teraz, kiedy nie dostanę drugiej połowy pieniędzy, a potem przyszło mi do głowy, że to ostatnia rzecz, jaką powinienem się teraz przejmować.

Uświadomiłem sobie, co wyprawiam, i odepchnąłem te myśli od siebie. Powinienem zabrać się do roboty — ściśle mówiąc, wykonać zadanie.

Wiedziałem, czego będę potrzebował, a nie było to wiele rzeczy. Nauczyły mnie tego przykre doświadczenia, tak jak wycieczkowiczów, którzy biorą ze sobą na wakacje pięć walizek tylko po to, żeby później odkryć, że wystarczyłyby im zawartość jednej. Oprócz żywności i wody potrzebna mi będzie peleryna, suche ubranie, moskitiera, lekki koc i hamak. Wszystko to zostanie skrupulatnie zapakowane do plastikowych worków i plecaka, razem z peleryną. Jeśli nie znajdę niczego lepszego, upatrzyłem sobie hamak wiszący na werandzie.

Wybrane przeze mnie przedmioty nie były absolutnie niezbędne, ale wyprawa bez nich byłaby szaleństwem. Spędziłem dosyć czasu w ostępach w kolumbijskiej dżungli, tak blisko obozowisk wroga, że nie można było rozwiesić hamaka i musiałem siedzieć całymi nocami na ziemi, razem z innymi uczestnikami patrolu, zjadany żywcem przez wszystko, co lata w powietrzu i pelza po suchych liściach, bez ciepłego pożywienia i picia, żeby nie zdradził nas dym lub zapach, czekając nawet parę dni na odpowiedni moment do ataku. Jeśli będziesz musiał spędzić kilka nocy pod rzą

w bliskim towarzystwie chmar owadów, budząc się co jakiś czas, nie pomoże ci to w wykonaniu zadania. O brzasku pogryzieni i wykończeni żołnierze muszą dalej obserwować przeciwnika i czekać.

Niektóre patrole wyczekiwały całymi tygodniami, zanim ciężarówki lub śmigłowce w końcu przybyły po kokainę i można było zaatakować. W takich trudnych warunkach wartość bojowa żołnierzy zmniejsza się z upływem czasu. Nie jest łatwo spać, siedząc w kucki pod pałatką, zamiast wygodnie położyć się na liściach, ale tak nakazuje zdrowy rozsądek. Po nocy spędzonej w dżungli chciałem być wypoczęty i gotowy do wykonania zadania, a nie ledwie patrzeć oczyma podpuchniętymi z niewyspania. Czasem trzeba się z tym godzić, ale nie tym razem. Szperałem po magazynie, wspinając się na półki jak małpa. Na szczęście znalazłem coś, czego bardzo potrzebowałem. Gęsty przezroczysty płyn w plastikowych buteleczkach, podobnych do opakowań z oliwką dla dzieci. Ucieszyłem się jak spragniony menel z Arlington Road, który znalazł w śmietniku prawie pełną butelkę. Szczególnie że etykieta informowała, iż płyn ma dziewięćdziesięcioośmioprocentowe stężenie. Dwuetylo-m-toluamid — znany jako „di-ti” — to cudowny repelent na komary i pajęczaki. Niektóre tego rodzaju preparaty zawierają tylko piętnaście procent tego środka i są głównie warte. Im więcej procent, tym lepiej, ale problem polega na tym, że rozpuszcza niektóre tworzywa sztuczne, dlatego jest sprzedawany w grubych butelkach. Cholernie szczypie, jeśli dostanie się do oczu. Znałem przypadki, kiedy rozpuścił szkła kontaktowe, spływając razem z potem. Rzuciłem trzy buteleczki na przyczę.

Po kolejnych dziesięciu minutach szperania w kartonach i torbach zacząłem pakować plecak. Usunąłem szeleszczącą folię z batoników sezamowych i umieściłem je wszystkie w plastikowym woreczku, po czym schowałem do dużej lewej bocznej kieszeni plecaka, żeby mieć do nich łatwy dostęp. Z tego samego powodu do prawej wepchnąłem butelkę wody mineralnej. Pozostałe butelki i

puszki tuńczyka włożyłem na dno plecaka, owinięte w ściereczki do naczyń, żeby nie brzęczały. Żywność będę wyjmował tylko w nocy, kiedy zejdę ze stanowiska.

W przedniej kieszeni plecaka umieściłem duży plastikowy worek na pranie. Przebywając w dżungli, będę się do niego załatwiał. Wolałbym kilka mniejszych, ale nie mogłem ich znaleźć, więc będzie mi musiał wystarczyć jeden duży. Nie zamierzałem pozostawiać wokół żadnych cuchnących odpadów, które mogłyby zwabić zwierzęta i zdradzić moją pozycję, a poza tym nie chciałem zostawiać niczego, co mogłoby posłużyć do przeprowadzenia badań DNA.

Do podobnego plastikowego worka zapakowałem moskitierę, pod którą zamierzałem chować się w nocy, oraz jeden koc wyjęty z folii. Hamak dołączy do zawartości plecaka później, kiedy ściągnę go z werandy. Zawartość tego worka musi być zupełnie sucha. Upchnę do niego także suche ubranie, w które przebiorę się później, gdy wyjdę z dżungli i ruszę na lotnisko. Rzeczy wezmę od Aarona, razem z hamakiem.

Pozostałe dwie moskitiery położyłem obok plecaka, wraz z kilkoma różnokolorowymi nylonowymi paskami o szerokości sześciu centymetrów. Były czarne, brązowe i w najrozmaitszych innych barwach, ale nie powinny rzucać się w oczy. Umieściłem je w przegródce pod klapą, pod ręką, żeby wykorzystać je do przygotowania stanowiska ogniowego. Ten sposób zachował się z czasów maharadzów, kiedy sahibowie dzięki takim paskom całymi dniami przesiadywali z lee enfieldami na drzewach, czekając na pojawienie się tygrysów. Proste, lecz skuteczne. Rozpinasz dwa takie paski między konarami, tworząc ławeczkę, a plecami opierasz się o drzewo. Z wysoka masz doskonały widok na całe pole ostrzału, ponieważ nie zasłaniają ci go zarośla, a ponadto jesteś ukryty w listowiu, oczywiście jeśli paski, na których usadwisz swój tyłek, owiniesz moskitierą, żeby nie rzucała się w oczy ich barwa.

Usiadłem na łóżku polowym i zacząłem się zastanawiać, co

jeszcze może mi się przydać. Przede wszystkim jakaś osłona lunety, żeby odbijające się od obiektywu promienie słoneczne nie zdradziły mojej kryjówki.

Wziąłem pojemnik ze środkiem przeciwwgrzybicznym, również z wojskowego wyposażenia. Mały, oliwkowozielony cylinder z plastiku. Wysypałem zawartość, odciąłem denko i wieczko, po czym rozciąłem wzdłuż. Starannie wytarłem wewnątrz z resztek proszku i nasadziłem tuleję na lunetę. Objęła metalowy cylinder, a ja przesunąłem ją tak, że wystawała na odległość nieco większą od średnicy soczewki. Teraz słońce będzie odbijało się od obiektywu tylko wtedy, kiedy znajdzie się w celowniku.

Musiałem również zabezpieczyć lufę i ruchome części przed deszczem, co było równie łatwe. Nałożyłem plastikowy woreczek na lufę i przykleiłem go do drewnianego łoża, po czym załadowałem broń, pchnąłem rygiel do przodu i przekręciłem bezpiecznik. Oddarłem dno z jednego plastikowego worka po kocu, otrzymując szeroki rękaw, a potem naciągnąłem go na karabin, tak że zakrył muszkę, magazynek i ruchome części. Później przymocowałem worek taśmą klejącą. Zrobiłem niewielkie nacięcie w plastiku nad lunetą, żeby wystawała na zewnątrz, i starannie uszczelniłem otwór taśmą klejącą. Teraz wszystko poza celownikiem było otulone plastikiem. Broń wyglądała śmiesznie, lecz nie przejmowałem się tym. Najważniejsze, że miałem łatwy dostęp do bezpiecznika, a gdy nadejdzie czas, będę mógł pociągnąć za spust, rozerawszy plastik. Gdybym musiał szybko przeładować karabin, po prostu rozerwę cały worek. Musiałem zabezpieczyć broń, gdyż wilgotna amunicja i wilgotna lufa mogą zmienić tor lotu pocisku – wprawdzie nieznacznie, ale wszystko jest ważne. Przestrzeliwałem tę broń, gdy miała zimną i suchą lufę, więc powinienem zapewnić takie same warunki, żeby zwiększyć szansę trafienia za pierwszym strzałem.

Następnie foliowym workiem, zdartym z ostatniego leżącego na półce koca, zabezpieczyłem mapę, która została opracowana przez

551. Kompanię Wojsk Inżynieryjnych Stanów Zjednoczonych dla rządu Panamy w 1964 roku. Od tego czasu wiele mogło się zmienić – przykładem był nowy dom Charliego i droga przez dżunglę. Nie przejmowałem się tym. Interesowały mnie szczegóły topograficzne, wzniesienia i wody. Znajomość tych rzeczy przyda mi się w powrotnej drodze do miasta.

Kompas miał jeszcze tasiemkę, więc zawiesiłem go sobie na szyi, pod podkoszulkiem. Brakowało w nim tarczy do obliczania odległości; ucierpiał od repelentów i jego plastikowa podziałka zupełnie zmatowiała. Nieważne, byle tylko igła pokazywała północ.

Mapę, kompas, maczetę i medykamenty będę przez cały czas nosił przy sobie. Nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby je stracić.

Przed pójściem do łóżka przewlokłem prawie półtorametrowej długości kawałek sznurka przez otwór w drewnie, przeznaczony do zamocowania rzemiennego lub parcianego pasa, a drugi koniec kilkakrotnie owinąłem wokół kolby i zawiązałem. Nie będę trzymał broni na ramieniu, chyba że wspinając się na drzewo. W takim wypadku przywiążę drugi koniec sznurka do otworu w łożu i przetrzęcę sobie przez plecy.

Zdjąłem wszystko z pryczy i pociągnąłem za wyłącznik światła. Nie chciałem się z nikim widzieć. Nie dlatego, że jestem taki nietowarzyski, po prostu ciszę przed burzą trzeba wykorzystać na odpoczynek.

Leżąc na plecach, z rękami splecionymi pod głową, myślałem o tym, co zaszło dziś między Carrie a mną. Nie powinienem był tyle mówić. To nieprofesjonalne i niemądre, a jednocześnie było mi z tym dobrze. Przy doktor Hughes nigdy się tak nie czułem.

Obudziłem się nagle. Pospiesznie podsunąłem zegarek pod nos i uspokoiłem się. Było dopiero piętnaście po ósmej. Nie musiałem wstawać wcześniej jak o dziewiątej.

Deszcz wygrywał cichy, monotony werbel akompaniujący basowemu dudnieniu wentylatorów w sąsiednim pokoju. Otarłem lepką od potu twarz i dłonie, zadowolony, że nie miałem kolejnych złych snów.

Stelaż i aluminiowa rama łóżka polowego zatrzeszczały i zagrzętały, kiedy ostrożnie odwróciłem się na brzuch, sprawdzając w myślach zawartość plecaka. W tym momencie, przez bębnienie deszczu i szum wentylatorów, usłyszałem konspiracyjny szept. Sam dostatecznie często tak mówiłem, że umiałem rozpoznać ten dźwięk.

Łóżko zatrzeszczało, gdy powoli opuściłem stopy na podłogę i wstałem. Dźwięk dochodził z pracowni komputerowej. Po omacku ruszyłem do drzwi. Kierowałem się na smugę światła sączącego się przez szparę.

Przyłożyłem ucho do drewna i nasłuchiwałem.

Głos należał do Carrie. Szeptem odpowiadała na pytanie, którego nie słyszałem.

— Nie mogą przyjechać teraz... A jeśli ich zobaczy...? Nie, on nic nie wie, ale jak mam utrzymać ich przyjazd w tajemnicy? Nie, nie mogę... Obudzi się...

Wyciągnąłem rękę do klamki. Mocno ją chwyciłem i powoli, lecz stanowczo, uchyliłem drzwi na centymetr, aby zobaczyć z kim rozmawia.

Czarno-biały obraz na dwunastocalowym ekranie był trochę niewyraźny i rozmyty na brzegach, ale dobrze widziałem, czyja głowa i ramiona wypełniają pole widzenia kamery internetowej. W kraciastej marynarce i ciemnym krawacie George patrzył prosto w obiektyw.

Carrie słuchała przez słuchawki, gdy w ciszy poruszał wargami.

— To się nie uda, on tego nie kupi... Co mam z nim zrobić? Śpi w pokoju obok... Nie, miał tylko gorączkę... Chryste, tato, powiedz mi, że do tego nie dojdzie...

George nie chciał tego słuchać i powiedział coś, marszcząc brwi.

— Oczywiście, że byłam... Podobam mu się — odpowiedziała gniewnie.

W tym momencie poczułem się tak, jakby porwała mnie gigantyczna fala. Krew napłynęła mi do twarzy. Oparłem głowę o framugę drzwi. Dawno już nie czułem się tak okropnie zdradzony.

Wiedziałem, że nie powinienem być otwierać się przed nią. Nie powinienem.

Spieprzyłeś sprawą... Dlaczego nigdy nie wyczuwasz, kiedy cię kantują?

— Nie, muszę się przygotować, on jest tuż obok...

Nie znałem odpowiedzi na to pytanie, ale wiedziałem, co muszę zrobić.

Kiedy otworzyłem drzwi, Carrie stuknęła w klawiaturę. Zaskoczona, zerwała się z fotela, napinając przy tym przewód słuchawek, które zsunęły jej się z głowy. Ekran komputera zgasł.

Otrząsnęła się z zaskoczenia i wyciągnęła rękę, żeby podnieść słuchawki.

— Och, Nick... Tym razem spałeś lepiej?

Wiedziała, dostrzegłem to w jej oczach.

Dlaczego przedtem nie widziałeś w nich kłamstwa?

Myślałem, że jest inna. Chociaż raz, myślałem... Pieprzyć to, sam nie wiem, co myślałem. Sprawdziłem, że drzwi do salonu są zamknięte, i zrobiłem trzy kroki w jej stronę. Sądziła, że zaraz umrze, kiedy zacisnąłem dłoń na jej ustach, a drugą złapałem za włosy na karku i szarpnąłem. Jęknęła. Jej oczy zrobiły się jeszcze większe. Nozdrza rozděły się, gdy usiłowała nabrać powietrza. Obie ręce zacisnęła na moich przegubach, usiłując rozluźnić chwyt.

Ledwie dotykała stopami podłogi, gdy ciągnąłem ją w mrok magazynu. Kopniakiem zamknąłem drzwi i kiedy oboje znaleźliśmy się w ciemnościach, przysunąłem usta do jej lewego ucha.

— Zadam ci kilka pytań. Potem zdejmę dłoń z twoich ust, a ty mi odpowiesz. Nie krzycz, tylko odpowiedz.

Gwałtownie poruszała nozdrzami, a ja jeszcze mocniej zacisnąłem dłoń na jej ustach, żeby bardziej ją przestraszyć.

— Kiwnij głową, jeśli zrozumiałaś.

Jej włosy już nie pachniały szamponem. Czulem tylko zapach kawy w jej oddechu, gdy kilkakrotnie energicznie kiwnęła głową.

Powoli i głęboko zaczerpnąłem tchu, uspokoiłem się i znów szepnąłem jej do ucha:

— Dlaczego rozmawiałaś o mnie z ojcem? Kto przyjeżdża?

Trochę rozluźniłem dłoń, żeby mogła nabrać powietrza, ale nie puszczałem jej włosów. Między palcami czulem ciepły oddech.

— Mogę to wyjaśnić, proszę, tylko daj mi oddychać...

Oboje usłyszeliśmy warkot nadjeżdżającego samochodu, mierzwiście pokonującego błotnisty trakt.

— O Boże, och proszę, Nick, proszę, zostań w środku. To niebezpieczne, wyjaśnię ci później, proszę!

Zapaliłem światło, które zaczęło migotać pod sufitem. Złapałem leżący na półce karabin, rozerwałem plastik przy zamku i wepchnąłem do kieszeni dwa pakiety naboarów.

Ona wciąż błagała. Warkot silnika przybierał na sile.

— Proszę, zostań tutaj, nie wychodź z pokoju. Ja się tym zajmę. Podeszedłem do drzwi wyjściowych.

— Pieprzę cię. Zgaś światło, już!

Samochód był prawie pod domem. Stałem przy drzwiach i przyłożyłem ucho do karbowanej blachy.

— Światło!

Pociągnęła za sznurek.

27

Uchyliłem drzwi na kilka centymetrów. Przyciskając oko do szpary, zerknąłem w prawo, w kierunku frontu budynku. Nie widziałem pojazdu, tylko smugi światła, przesywające ścianę deszczu i padające na werandę.

Wyślizgnąłem się na zewnątrz i delikatnie zamknąłem za sobą drzwi, pozostawiając Carrie w ciemności. Skręciłem w lewo i dotarłem do umywalni w chwili, gdy dwukrotnie trzasnęły zamykane drzwiczki samochodu, czemu towarzyszyły głośne okrzyki – nie agresywne, lecz informujące. Domyśliłem się, że wołano po hiszpańsku, ale z tej odległości nie byłem tego pewien i mało mnie to obchodziło.

Gdy tylko znalazłem się za rogiem, natychmiast ruszyłem w kierunku szopy, wykorzystując budynek jako osłonę. Nie odwracałem się. Mocno ściskając karabin w prawej ręce, a w lewej trzymając przygotowane naboje, szedłem miarowym krokiem, nisko pochylony, starając się nie potknąć w ciemnościach o jakiś pień i nie runąć w błoto.

Przeszedłem mniej więcej dwieście metrów, zanim zaryzykowałem i obejrzałem się. Dom stał oświetlony blaskiem reflektorów, a warkot silnika ucichł. Odwróciłem się i poszedłem dalej. Po kolejnych dwudziestu krokach światła znikły za wzniesieniem. Powoli zmierzałem w stronę szopy.

Skręciłem w prawo i pobiegłem, kierując się ku dżungli. Zaszło mi w gardle i nieustannie przelykałem ślinę, usiłując je zwilżyć i złapać oddech. Przynajmniej opuściłem niebezpieczny teren.

W połowie drogi do skraj lasu ponownie skręciłem w prawo i zacząłem wchodzić na wzniesienie, z powrotem w kierunku domu. Moje buciorzy z pluskiem miesiły błoto i kałuże wody. Tak się skupiłem na tym, co robię, że nie zauważyłem, że deszcz przestał padać. Uświadomiłem to sobie dopiero wtedy, gdy usłyszałem cykanie świerszczy.

Kiedy znalazłem się o sto pięćdziesiąt metrów od domu, zwolniłem i zacząłem poruszać się ostrożniej. Z kolbą karabinu przyciśniętą do ramienia, pochylony jak najniżej, ostrożnie stawiałem kroki. Niebo było zasnuwane gęstymi chmurami, więc miałem pewność, że w mroku mogę podejść jeszcze bliżej.

Kąt widzenia stopniowo się zmieniał. Zobaczyłem blask padający z okna obok regału z książkami, za słaby, by dosięgnąć ziemi, a potem teren przed werandą, oświetlony reflektorami dużego samochodu z napędem na cztery koła, zaparkowanego obok mazdy. Na jego dachu dostrzegłem gemini — niezatapialny ponton, odwrócony do góry dnem i przymocowany pasami.

Wiedziałem, że gdzieś przede mną znajdują się donice i wkrótce mogę na nie wpaść. Zwolniłem jeszcze bardziej i pochyliłem się, najniżej jak mogłem. Kiedy wreszcie dotarłem do pierwszego rzędu białych donic, usłyszałem pracujący na niskich obrotach silnik. Na kolanach, podpierając się prawą ręką, a w lewej trzymając karabin, przemknąłem jak goryl między rzędami roślin. Minałem trzy lub cztery i zatrzymałem się, żeby popatrzeć. Jakieś zwierzątko zaszeleściło w pobliżu i czmychnęło między donice, stojące najwyżej centymetr jedna od drugiej. Słyszałem rozpaczliwe skrobanie pazurków, gdy zmykało, jakby je ktoś goił.

Upewniwszy się, że nie zawadzę nogą o wijące się na ziemi węże nawadniające, ostrożnie ruszyłem po mokrej trawie.

Świerszcze robiły potworny hałas, który przy odrobinie szczęścia zagłuszy odgłos moich kroków.

Centymetr po centymetrze podążając naprzód, znów spościłem się z emocji i wysiłku. Powoli w polu mojego widzenia znalazła się cała weranda. Kiedy dzieliło mnie od niej mniej więcej osiemdziesiąt metrów, zobaczyłem dwóch mężczyzn oraz Carrie. Wszyscy troje byli skąpani w blasku reflektorów i rzucali długie cienie. Jeden z mężczyzn był znacznie niższy od drugiego. Widziałem tylko jego obciążone kraciastą koszulą ramiona, wystające z obu stron jednej z kolumn podtrzymujących werandę. Wyglądał tak, jakby opuścił sporo zajęć na siłowni.

Nie zauważyłem ani śladu broni i z tej odległości nie słyszałem głosów.

Trzymając karabin w lewej ręce i starając się go nie ubłocić, ułożyłem się w pozycji strzeleckiej między doniczkami, poruszając się tak wolno i ostrożnie, jak tylko było to możliwe. Błotnista maź natychmiast zaczęła wsiąkać w moje ubranie.

Cicho brzęknął przekręcany w prawo bezpiecznik i w mokrym od deszczu celowniku zobaczyłem rozmazany obraz. Połowę pola widzenia wypełniała głowa Carrie za mgiełką papierosowego dymu i rój ciem trzepoczących wokół zapalanej lampy wiszącej na ścianie nad nią. Skupiłem się na jej twarzy, usiłując coś z niej wyczytać. Mówiła z poważną miną. Nie wyglądała na wystraszoną.

Od lewej w pole widzenia napłynęło więcej dymu. Przesunąłem celownik i zobaczyłem wyższego mężczyznę, który mówił coś, w przerwach zaciągając się papierosem. Był Latynosem o owalnej twarzy, krótko ostrzyżonych włosach i nastroszonej brodzie. Miał na sobie czarną koszulę bez rękawów. Powiodłem lufą w dół i dostrzegłem ubłocone zielone bojówki, wetknięte do równie brudnych butów. Mówił coś z ożywieniem, najpierw wskazując na Carrie, a potem na niskiego mężczyznę. Coś było nie tak; nie musiałem czytać z ruchu warg ani znać hiszpańskiego, żeby to pojąć.

Przestał gestykulować i znowu spojrział na Carrie, najwidoczniej

oczekując odpowiedzi. Popatrzyłem w prawo, na nią. Powoli pokiwała głową, jakby niezbyt zadowolona z tego, na co się zgadza. Trzymałem ją na muszce, gdy otworzyła drzwi z moskitierą.

— Aaron! Aaron! — zawołała w głąb domu.

Popatrzyłem na pojazd. Cmy i różne inne latające stworzenia wirowały w smugach reflektorów. Rozpoznałem GMC, z wysokim zawieszeniem i karoserią opryskaną błotem. Wszystkie drzwi miał zamknięte i silnik uruchomiony, zapewne z powodu włączonej klimatyzacji.

Drzwi z moskitierą zapiszczały i zatrzasnęły się. Znowu popatrzyłem na werandę i zobaczyłem Aarona. Nie było żadnych powitań: Carrie mówiła coś do niego przez prawie minutę, po czym skinął głową i wrócił do domu. Wyglądał na zaniepokojonego. Czarna Koszula rzucił niedopałek papierosa na podłogę werandy. Facet w kraciastej koszuli trzymał aluminiową walizeczkę, którą spostrzegłem dopiero teraz. On też wyglądał na twarziela mimo kędzierzawej bródki porastającej pulchny podbródek. Patrzyłem, jak minęli okno obok regału, kierując się do pracowni komputerowej. Teraz mogłem jedynie czekać.

Nagle, po lewej, dostrzegłem błysk światła. Odwróciłem się i zobaczyłem zapalną dogasającą w środku GMC. Jej żółty blask oświetlił dwa przetarte z błota ślady na przedniej szybie.

Ponownie wycelowałem karabin i ujrzałem czerwoną poświatę na tylnym siedzeniu pojazdu. Ktoś tam mocno zaciągał się papierosem. Powiodłem celownikiem po bocznych szybach GMC, ale nie potrafiłem powiedzieć, czy są przyciemnione, dopóki pasażer ponownie się nie zaciągnie. Nie musiałem na to długo czekać. Dostrzegłem tylko czerwoną poświatę w tylnym trójkątnym okienku. To musiał być ten sam samochód, który widziałem przy śluzie. Bo czy mógł to być identyczny pojazd? Trójkątna szybka znowu rozjaśniła się czerwoną poświatą.

Patrzyłem, jak pasażer dopala papierosa i blask gaśnie, a potem powoli opuściłem broń, kładąc na przedramionach, żeby jej nie ubłocić. W tym momencie tylne drzwiczki samochodu otworzyły się

i facet wysiadł. Powoli wycelowałem w górną połowę ciała mężczyzny, który oddawał mocz. Rozpoznałbym pociągłą twarz i wydatny nos, gdyby nawet nie wysiadł z GMC.

Niedobrze, bardzo niedobrze. Pizza był przy służbie, a jej obraz przekazywano tu przez sieć. Był u Charliego. Ja wybierałem się tam teraz. Znał George'a, a ten wiedział o mnie. Naprawdę bardzo źle.

Zaskrzypiały drzwi z osłoną przeciwmoskitową i zaraz po tym obaj faceci wyszli na werandę, a ten przy samochodzie pospiesznie wsiadł z powrotem. Mały grubas wciąż ścisnął walizeczkę. Carrie wyszła za nimi, ale została na werandzie i podparta pod boki patrzyła, jak Czarna Koszula rzuca niedopałek papierosa w błoto i razem z kumplem wsiada do GMC.

Zawarczał silnik i snopy światła reflektorów oświetliły teren wokół mnie, gdy samochód wykręcał. Przycisnąłem się do ziemi, czekając, aż przesuną się nade mną, po czym podniosłem się na klęczki i słuchałem cichnącego warkotu, obserwując tylne światła powoli znikające w dżungli.

Wstałem, zabezpieczyłem broń i poszedłem do domu. Kiedy drzwi z siatką przeciwmoskitową zamknęły się za mną z trzaskiem, zobaczyłem Aarona i Carrie w pokoju Luz, mówiących jej dobranoc. Nie obejrzel się, gdy podszedłem do lodówki i zdjęłem z niej czarno-białe zdjęcie Pizzy, zrobione na plaży. Okrągły magnes, który je przytrzymał, spadł i potoczył się po drewnianej podłodze. Przystanąłem i zacząłem się zastanawiać. Facet musiał mieć jakiś powód, skoro nie chciał, żeby go widziano. Czy nie pogorszę mojej sytuacji, jeśli powiem im o nim, a oni zawiadomią George'a? Czy to nie zagrozi mojej misji?

Znalazłem magnes i umieściłem fotografię na miejscu. Zrobiłem głęboki wdech, ochłonąłem i zacząłem trzeźwo myśleć, zmierzając do magazynu. Światło było tam zapalone. Ostrożnie położyłem karabin na pryczy. Carrie weszła do pracowni komputerowej, usiadła przy pececie i schowała twarz w dłoniach. Wszedłem tam i zamknąłem drzwi.

— Mów.

Wciąż kryła twarz, jakby przeniosła się w inny czas i wymiar, a wentylatory warczały nad naszymi głowami. Kiedy w końcu spojrziała na mnie i wskazała na werandę, na jej twarzy malował się przestach.

— Ta cała historia mnie przeraża. Czy masz pojęcie, jacy to chorzy ludzie? Nie znoszę, kiedy tu przyjeżdżają, nie znoszę.

— Widzę, ale kim oni są?

— Pracują dla mojego ojca. Prowadzą jakąś operację przeciwko FARC, gdzieś przy Bayano. To część Planu Kolumbia.

Była nie tylko wystraszona, ale po prostu wstrząśnięta. Drżały jej ręce, kiedy odgarniała włosy za uszy.

— Śledzą przemycających narkotyki... i za naszym pośrednictwem kontaktują się z centralą. To bezpieczne połączenie. My przekazujemy informacje George'owi. Ze względu na bezpieczeństwo operacji kazał ukryć to przed tobą.

— To dlaczego narazili operację, przyjeżdżając teraz, kiedy tu jestem?

— Ta kamera internetowa... monitorują statki podejrzewane o przewożenie narkotyków przez kanał. Kazano mi ją wyłączyć przed twoim przyjazdem, ale zapomniałam. Niezły ze mnie szpieg, co? — Wyglądała żałośnie z podpuchniętymi i zaczerwienionymi oczami. — Tato będzie ze mnie dumny. Wygląda na to, że kiedy w końcu ją wyłączyłam, zakłóciłam w jakiś sposób ich łączność, coś z transmisją. — Wskazała na kłębowisko przewodów pod stolami. — Musieli przyjechać i naprawić to. Właśnie o tym mówił mi George, kiedy wszedłeś do pracowni. Nie chcieliśmy, żeby to miało jakiś wpływ na zadanie, które ci tutaj zlecił...

— Zaczekaj, twój ojciec zlecił mi to zadanie?

— Nie wiedziałeś? On kieruje obiema operacjami. Nick, musisz mi uwierzyć, naprawdę po raz pierwszy robimy coś takiego.

Moja uraza szybko zmieniła się w przygnębienie. Wszystko jak dawniej. Usiadłem na fotelu, a ona, pociągając nosem, dochodziła

do siebie. Aaron wszedł do pokoju i obrzucił nas wzrokiem, oceniając sytuację. Spojrzała na niego zaczerwienionymi, zażawionymi i podpuchniętymi oczami.

— Powiedziała mu — oznajmiła. — Powiedziała mu wszystko.

Aaron spojrzał na mnie i westchnął.

— Zawsze tego nienawidziłem. Mówiłem jej, żeby się do tego nie mieszała.

Jakby rozmawiał ze mną o naszym dziecku. Potem znowu skupił wzrok na Carrie.

— George nie powinien cię w to pakować. To ryzykowne, Carrie. Musi być inny sposób.

Mówił to z gniewem, przez zaciśnięte zęby, ale zaraz się uspokoił. Zrobił dwa długie kroki i przytulił Carrie, gładząc po opartej o jego brzuch głowie i pomrukując uspokajająco, jak pewnie tulił Luz i jak ja tuliłem Kelly.

Wstałem i poszedłem do salonu, a potem po śladach błota z moich butów na werandę. Przeciwmoskitowe drzwi otworzyły się z piskiem i dołączyłem do owadów pod ścianą. Zrzuciłem poduszki na podłogę i zacząłem odwiązywać hamak, współczując im obojgu, a także Luz.

Teraz było zupełnie oczywiste, co się tu działo — kompletna paranoja. Wszystko, co powiedziała, miało sens, gdyby nie obecność Pizzy. Pewnie zauważył przy słuzie Aarona albo jego mazdę, skoro zwinął się tak szybko. Jeżeli Aaron i Carrie nie wiedzieli, że jest w pobliżu, to nie chciał, żeby go dostrzegli. Miałem ochotę powiedzieć jej to i wycisnąć z niej więcej informacji o tym człowieku, ale rozmyśliłem się. Schowam asa w rękawie, na wypadek gdybym go potrzebował — szczególnie że wciąż nie miałem pojęcia, po co Pizza był u Charliego.

Rozwiązałem węzeł grubego sznura umocowanego do haka wbitego w ścianę i pozwoliłem hamakowi opaść na podłogę, po czym poszedłem rozwiązać sznur z drugiej strony, owinięty wokół jednego ze słupów werandy. Ten koniec też opuściłem na podłogę, zostawiłem tak hamak i wyszedłem na zewnątrz.

I co teraz?

Otworzyłem bagażnik mazdy i w padającym z werandy świetle zobaczyłem, że wszystko zostało już zapakowane do starego płóciennego worka. Wyjąłem niebieską linkę holowniczą, cuchnącą benzyną, po czym ruszyłem z powrotem do domu.

Wciąż nie miałem odpowiedzi na pytanie: i co teraz?

Wszedłem na werandę i zerknąłem przez siatkę do środka. Nigdzie nie widziałem Aarona, ale Carrie wciąż siedziała na fotelu, pochyłona, trzymając dłonie na udach i wpatrując się w podłogę. Obserwowałem ją przez chwilę, gdy przyglądała włosy i ocierała oczy.

Kiedy pochyliłem się, żeby podnieść hamak, uświadomiłem sobie, co zrobię. Nic. Absolutnie nic. Nie mogłem pozwolić sobie na luksus robienia czegokolwiek poza tym, co miałem tu zrobić: ocalić Kelly.

Musiałem myśleć wyłącznie o zadaniu i tylko na tym się skoncentrować. Pieprzyć wszystko inne. Moim jedynym celem było zadowolić Potakiwacza, ponieważ on mógł naprawdę spieprzyć nam życie, i nieważne, co działo się tutaj.

Oczyściłem umysł z wszelkich innych myśli oprócz tej, która powinna kierować mną od ubiegłej niedzieli. Zadanie: zabić Michaela Choi. Zadanie: zabić Michaela Choi.

Niosąc w ramionach hamak i linkę holowniczą, otworzyłem drzwi z siatką przeciwmoskitową akurat w chwili, gdy Aaron wyszedł na palcach z ciemnego pokoju Luz i delikatnie zamknął za sobą drzwi. Idąc ku mnie, przytknął do policzka złożone dłonie.

Powiedziałem ściszym głosem:

— Posłuchaj, aż do dziś nic nie wiedziałem o Carrie, jej ojcu ani o tym wszystkim. Przykro mi, że życie to szambo, ale przyleciałem tu wykonać zadanie i wciąż chcę, żebyś mnie podwiózł.

Potarł twarz tak mocno, że usłyszałem chrobot zarostu, i zrobił głęboki wdech.

— Wiesz, dlaczego ona to robi, prawda?

Kiwnąłem głową, wzruszyłem ramionami, spróbowałem to zignorować i nie zdołałem.

— To ma coś wspólnego z paszportem, tak?

— Właśnie. Ale wiesz co? Sądzę, że ona i tak by to robiła. Choćby nie wiem jak gorąco zaprzeczała, jest podobna do George'a. Chce wysoko trzymać gwiazdy i paski, rozumiesz o czym mówię?

Z wymuszonym uśmiechem położył dłoń na moim ramieniu. Kiwnąłem głową, ni cholery nie rozumiejąc, o czym on gada, i wcale nie chcąc się dowiedzieć. Po chwili zabrał rękę i podniósł ją, pokazując mi zegarek.

— Potrzebujesz czegoś?

Miał rację: była prawie dziesiąta. Czas ruszać.

— Tak. Wpakowałem materiał wybuchowy z szopy do jednej z waszych donic i zostawiłem ją tam.

— Zabierasz ją ze sobą?

Kiwnąłem głową.

Znów zrobił głęboki wdech, usiłując powstrzymać cisnące mu się na usta pytanie. Wyglądało na to, że Carrie nie powiedziała mu nie tylko o planowanej przeprowadzce na północ.

— W porządku, daj mi minutkę.

Rozeszliśmy się; on udał się do sypialni, a ja z powrotem do magazynu. Carrie wciąż siedziała na fotelu, opierając łokcie na stole i trzymając twarz w dłoniach. Zostawiłem ją tak i poszedłem spakować hamak oraz resztę wyposażenia.

Drzwi przeciwmoskitowe zapiszczały i zamknęły się z trzaskiem za Aaronem, który poszedł po ładunek wybuchowy. Przypomniawszy sobie, że potrzebne mi suche ubranie, wróciłem do pracowni komputerowej.

— Carrie? — Nie odpowiedziała. — Carrie?

Kiedy wszedłem, powoli podniosła głowę. Nie wyglądała najlepiej z czerwonymi oczami i policzkami. Wszystko się zmieniło, teraz jej współczułem.

— Potrzebne mi jakieś ubranie. — Pokazałem na ubłocony podkoszulek. — Komplet.

Upłynęła sekunda, zanim Carrie zrozumiała, co mówię. .

— Och, tak. — Wstała. — Ja, hmm... Pewnie.

Odkasznąła i poszła do drzwi.

Zajrzałem na półki i pod łóżko polowe, szukając cienkich polietylenowych worków po kocach. Trzymając kilka już rozerwanych, podniosłem karabin i sprawdziłem komorę, lekko podnosząc i odciągając rygiel, aby odsłonić mosiężną łuskę naboju. Wiedziałem, że tam jest, ale poczułem się lepiej, kiedy go zobaczyłem i upewniłem się, że w momencie pociągnięcia za spust nie usłyszę tylko suchego trzasku iglicy. Zadowolony, ponownie owinąłem lufę i ruchome części polietylenem, po czym zalepiłem taśmą klejącą, uprzednio sprawdzwszy, że osłona lufy jest nietknięta.

Carrie wróciła z grubą brązową koszulą z bawełny i dobranymi do niej płóciennymi spodniami. Nigdy nie przynosiła bielizny ani skarpetek. Może Aaron ich nie nosił. Schowałem ubranie do plastikowych worków i do plecaka, na wierzch położyłem dwie moskitierki i zamknąłem klapę.

Carrie patrzyła, jak oglądam nogę. Bandaż był zabłocony, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że rana już nie krwawiła.

Porządnie spryskałem spodnie środkiem owadobójczym, zanim wepchnąłem nogawki do mocno śmierdzących skarpetek, które zaraz też potraktowałem repelentem. Potem posmarowałem przedramiona, dłonie, szyję i kark, aż po linię włosów. Zamierzałem porządnie natrzeć się tym środkiem i powtarzać tę czynność co jakiś czas, kiedy będę obserwował dom. Spryskałem ubranie i wtarłem płyn w materiał. Każde miejsce, które nie było pokryte błotem, dostało swoją porcję. Rzuciłem buteleczkę stojącej jak słup Carrie.

— Posmaruj mi plecy, dobrze?

Wyrwałem ją z transu. Zaczęła mocno wcierać środek w mój podkoszulek.

— Ja cię zawiozę.

— Co?

— To moja robota, więc ja cię zawiozę. To ja chcę zdobyć ten paszport.

Kiwnąłem głową. Nie chciałem się w to mieszać i dłużej o tym rozmawiać. Miałem dość. Pragnąłem tylko dojechać na miejsce akcji. Skończyła wcierać płyn.

— Powinniśmy już ruszać.

Na pół zużyta butelka pojawiła się zza mojego ramienia.

— Najpierw jednak chcę pożegnać się z małą.

Wyszła, a ja wepchnąłem wszystkie butelki z roztworem do górnej kieszeni na klapie plecaka i zacząłem owijać karabin w koc. Sam nie wiedziałem, czy cieszy mnie perspektywa wyjazdu stąd, czy nie.

28

W pełnym napięciu milczeniu trzęśliśmy się z Carrie w szoferce podskakującej na wybojach mazdy, której reflektory opętańczo tańczyły po litej ścianie dżungli. Mokra liście lśniły jak politurowane.

Przez kilka kilometrów nie odrywała oczu od tej części traktu, którą oświetlały reflektory, usiłując omijać koleiny, na których rytmicznie kołysaliśmy się z boku na bok. Pozwoliłem, by głowa kiwała mi się i chwiała, ale mocno trzymałem umieszczony między kolanami karabin, żeby nie przestawił się celownik.

W końcu wyjechaliśmy z gąszczu i minęliśmy dolinę martwych drzew. Carrie odkasznęła.

— Po tym wszystkim, co sobie powiedzieliśmy, Nick... To nie musi niczego zmieniać.

— Taak, no cóż, wszyscy popełniamy błędy.

— Nie, Nick, to nie był błąd, musisz w to uwierzyć. To, co mi powiedziałaś, ma znaczenie. Nigdy nie zawiodę twojego zaufania.

— To dlatego powiedziałaś ojcu, że miałem gorączkę?

— Jak już mówiłam, nikt nie musi wiedzieć. Nie kłamie, Nick.

— Dzięki.

— Wybaczasz mi?

Zerknęła na mnie, sprawdzając, czy tak jest, po czym pospiesznie znów spojrzała na drogę, gdy samochód ryzykownie przechylił się na lewo.

— Czy twój ojciec nie mógł po prostu dać ci paszportu? Z pewnością mógłby to załatwić.

— Pewnie, że tak, zdaję sobie z tego sprawę. On jednak wie, że jestem w rozpaczliwej sytuacji. Nigdy niczego nie dostałam od niego za darmo. Zawsze musiałam sobie na to zasłużyć. Najpierw miał to być tylko przekaz satelitarny. Potem zrobił się z tego magazyn żywności i sprzętu, zapasy paliwa. Nie chcieli jeździć do Chepo, pewnie obawiali się, że ktoś może ich rozpoznać... Teraz zjawiłeś się ty. — Siedziałam i obserwowałam ją, gdy w skupieniu wpatrywała się w drogę, ale myślami błądziła gdzie indziej. — Aaron miał rację. Mówił mi, że kiedy zacznę, nigdy nie zdołam z tym skończyć. Wciąż będą mnie wykorzystywać. Wiesz co? Może miał rację, ale jak tylko dostanę paszport, natychmiast stąd wyjedziemy.

— Pojedziesz do matki? Do Bostonu?

— Ona ma dom w Marblehead, na wybrzeżu. Na mnie czeka posada na MIT, a Luz musi iść do szkoły.

— Jak stoją sprawy między tobą a twoim ojcem? Nie potrafisz powiedzieć, czy go nienawidzisz, czy kochasz.

— Ja też nie. Czasem jednak jestem zazdrosna nawet o tę odrobinę uwagi, jaką poświęca Luz, a czasem myślę, że robi to tylko po to, żeby mieć mnie na oku. — Wciąż w skupieniu patrzyła na drogę, ale najwidoczniej teraz ona otworzyła się przede mną. — Nie miałam pojęcia, kim naprawdę jest i co robi. Po prostu wyjeżdżał, czasem przywoził mi jakiś drobiazg kupiony w ostatniej chwili, przeważnie kompletnie bezużyteczny. Później, kiedy przywykłam do jego obecności, znów niespodziewanie wyjeżdżał. Mama czekała tylko, aż pójdę na studia, i też mnie opuściła. On jest zimnym człowiekiem, lecz to wciąż mój ojciec.

Postukałem w lufę karabinu.

— To on ci go dał.

Na moment zwróciła ku mnie twarz i na jej ustach pojawił się przelotny uśmiech.

— Może w ten sposób chciał ci powiedzieć, że cię kocha?

— Być może, albo po prostu zapomniał go zabrać, kiedy opuszczał strefę po zakończeniu służby.

— Aaron mówi, że jesteś bardzo podobna do ojca... Wspominał coś o gwiazdach i paskach.

Roześmiała się. Najwidoczniej wkroczyliśmy na dobrze znany jej teren.

— Aaron tak uważa, bo... chyba po raz pierwszy... podzielałam opinię George'a o tym, co jest złe w tym kraju. Aaron jest zbyt uparty, żeby to dostrzec, dlatego chce tu zostać. Ma nadzieję na lepsze jutro, ale ono samo nie przyjdzie. Strefa, którą on pamięta, już nie istnieje. I to my, Amerykanie, pozwoliliśmy na to. Obrzydliwe.

— Przecież możecie tu wrócić w razie zagrożenia kanału. Czy w traktacie nie ma jakiejś klauzuli... napisanej drobnym druczkiem?

— Och tak, pewnie, na przykład w razie inwazji Rosjan. Nie zamierzam na to liczyć.

— A właściwie czemu to takie ważne? W końcu sami oddaliście Kanał Panamski, no nie?

Zjeżyła się.

— Wcale nie my. Zrobił to Carter.

O mało nie uderzyliśmy głowami o sufit, gdy wóz podskoczył w dziurze głębszej, niż na to wyglądała.

— My zbudowaliśmy kanał i stworzyliśmy to wszystko.

Rany boskie, przecież geograficznie to część wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Tacy ludzie jak Lulu umarli za ten kraj, a ten chrupiący orzeszki nieudacznik pozbył się go jak jednorazowej chusteczki. — Zamilkła, a potem dodała: — Naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego to takie ważne?

Skinąłem głową.

— Czemu nie?

— W porządku. Mamy do czynienia z dwoma najważniejszymi problemami. — Wyprostowała wskazujący palec zaciśniętej na kierownicy prawej ręki. — Zdolność SOUTHCOM-u do wykrywania i zwalczania handlu narkotykami zmniejszyła się obecnie do jednej trzeciej w porównaniu z tą, jaką miał przed dziewięćdziesiątym dziewiątym rokiem. Krótko mówiąc, ich skuteczność to już historia. Teraz tacy ludzie jak Charlie i faceci z FARC robią, co chcą. Jeżeli szybko nie podejmie się zdecydowanych działań, to raz na zawsze przegramy wojnę narkotykową. Jeśli myślisz, że to lokalny problem, to tylko poczekaj. — Z niedowierzaniem pokręciła głową, zdumiona głupotą swoich rodaków. — Wiesz, o czym mówię, prawda?

Wiedziałem. W ciągu kilku ostatnich miesięcy poznałem wiele ofiar tej przegrywanej wojny.

— Tak więc jedynym rozwiązaniem jest to, co zrobił Clinton: wpakować kilka miliardów w Plan Kolumbia, posłać żołnierzy i sprzęt, żeby skopali tyłki handlarzom. Wiesz na czym polega Plan Kolumbia? Oczywiście, głupio pytam, przepraszam.

Zawieszenie zgrzytało i kamienie grzechotały o podwozie, gdy walczyła z kierownicą.

— Po likwidacji strefy nie mamy innego wyjścia, jak uderzyć na południe i wydać im wojnę na ich własnych śmieciach.

Przyglądałem się czerwonej poświacie na jej policzku, gdy w skupieniu wpatrywała się przed siebie.

— A jednak to się nie uda. Nic z tego. Po prostu damy się wciągnąć w długą, kosztowną wojnę, która w niewielkim stopniu ograniczy handel narkotykami.

We wpatrzonych w drogę oczach widziałem niezłomne przekonanie. Z pewnością ojciec byłby z niej dumny.

— Mówię ci, zamiast zwalczać narkobiznes, dajemy się uwikłać w ich wojnę domową. Wkrótce wybuchną walki w Wenezueli, Ekwadorze i innych krajach. Będzie powtórka z Wietnamu. Oddając strefę Kanału Panamskiego, doprowadziliśmy do sytuacji, w której potrzebujemy jej bardziej niż kiedykolwiek. To idiotyzm, czyż nie?

Dla mnie miało to sens.

— Bez niej wszelkie ewentualne działania byłyby jak próba lądowania w Normandii, podjęta z nowojorskiego portu?

Uśmiechnęła się z aprobatą, walcząc z koleinami.

— Panama będzie potrzebna jako baza wypadowa naszych sił, jak również strefa buforowa niedopuszczająca do rozszerzenia się konfliktu na całą Amerykę Środkową. Clinton podjął bardzo niebezpieczne działania, ale bez strefy i jej zaplecza nie miał innej alternatywy.

Zamilkliśmy, gdy pokonywała ostatni odcinek traktu. W końcu wyjechaliśmy na drogę do Chepo.

— A najbardziej przerażające i popieprzone jest to, że teraz kanałem rządzą Chińczycy. Kiedy wycofaliśmy się stąd, stworzyliśmy próżnię, którą natychmiast wypełniły Chiny. Możesz to sobie wyobrazić? Komunistyczne Chiny kontrolują jeden z najważniejszych szlaków handlowych Stanów Zjednoczonych, na naszym własnym podwórku. Na domiar wszystkiego pozwoliliśmy na to krajowi, który może udzielić poparcia rebeliantom z FARC.

Teraz zrozumiałem, o co chodziło Aaronowi.

— Daj spokój, przecież przetarg wygrała firma z Hongkongu. Kierują portami na całym świecie.

Zacisnęła szczęki i zgrzytnęła zębami.

— Ach tak? No cóż, dziesięć procent jej akcji należy do Pekinu. Zarządzają portami na obu końcach kanału i przejęli niektóre z naszych dawnych baz wojskowych. W rezultacie komunistyczne Chiny kontrolują czternaście procent całej wymiany handlowej Stanów Zjednoczonych. Nick, możesz uwierzyć, że na to pozwoliliśmy? Państwu, które otwarcie nazywa Stany wrogiem numer jeden. Oni już w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym zrozumieli, jakie znaczenie ma Kanał Panamski.

Z goryczą pokręciła głową.

— Aaron ma rację, w tej kwestii zgadzam się z George'em,

choć jego poglądy polityczne zawsze przypominały przekonania Attyli, wodza Hunów.

Zacząłem rozumieć jej punkt widzenia. Chyba już nigdy nie będę patrzył na doki Dover tak jak dotychczas.

— Charlie należał do lobby, które doprowadziło do podpisania umowy z Chińczykami. Zastanawiam się, co na tym zyskał... możliwość wykorzystywania kanału do swoich interesów? I wiesz co? Na północy mało kto o tym wie. W Ameryce starano się nie nagłaśniać sprawy oddania kanału. A Clinton? Nie kiwnął palcem.

Najwidoczniej nie przepadała za prezydentami z partii demokratów.

— Zagrożenie jest najzupełniej realne, Nick. Przykra rzeczywistość to fakt, że dajemy się wciągnąć w wojnę w Ameryce Środkowej, ponieważ oddaliśmy kanał Chinom. To nie my, lecz Chińczycy kontrolują teraz jeden z najważniejszych szlaków handlowych na świecie... i za ten przywilej nie zapłacili ani centa. Kopia sobie piłkę na naszym własnym boisku.

W ścianie ciemności przed nami dostrzegłem jasne punkciki światła. Dojeżdżaliśmy do Chepo. Opony samochodu zachrząściły na żwirze, gdy mierzyłem Carrie przeciągłym, baczny spojrzeniem, usiłując ją przejrzeć, a ona raz po raz zerknęła na mnie, czekając na odpowiedź.

— Sądzę, że to wyjaśnia powód mojego przybycia — powiedziałem. — Mam nie dopuścić do tego, żeby Charlie przekazał organizacji FARC system naprowadzania rakiet, który mógłby zostać użyty przeciwko śmigłowcom Stanów w Kolumbii.

— A więc jesteś jednym z dobrych facetów.

Znowu zaczęła się uśmiechać.

— Niezupenie. — Zawahałem się. — Twój ojciec chce, żebym zabił syna Charliego.

Gwałtownie zatrzymała samochód. Silnik zawył i żwir trysnął spod kół. Teraz w czerwonej poświacie zobaczyłem całą jej twarz.

Nie wiedziałem, czy w jej oczach widzę zgrozę, czy odrazę. Może i jedno, i drugie. Zaraz jednak pojawiło się w nich zwątpienie. Rozumiała, z jakiego powodu ukrywałem prawdę tak samo jak ona.

— Nie mogłem ci tego powiedzieć ze względu na bezpieczeństwo misji. — Chciałem przestać, ale nie mogłem; pokrywa spadła. — A także dlatego, że mi wstyd. Mimo wszystko muszę to zrobić. Jestem w rozpaczliwej sytuacji, podobnie jak ty. — Spojrzałem na widoczne w świetle reflektorów, ciągnące się w dal kałuże błotnistej wody. — Ma na imię Michael. Jest jednym ze studentów Aarona.

Opadła na fotel.

— Śluza... mówił mi...

— Zgadza się, on jest tylko kilka lat starszy od Luz.

Nie odpowiedziała. Spoglądała przed siebie, w tunel światła.

— Tak więc teraz masz nieszczęście wiedzieć tyle samo co ja.

Wciąż milczała. Czas, żebym się zamknął i tylko patrzył na pas błota i żwiru, po którym jechała mazda. Odwróciłem się, a Carrie wydeła usta, pokręciła głową i ruszyła, prowadząc jak automat.

29

Piątek 8 września

W ciągu następnych godzin, jadąc podskakującą na wybojach mazdą, prawie nie odzywaliśmy się do siebie.

Wyjąłem plecak z bagażnika i odchyliłem plastikowy kokon na karabinie, sprawdzając, czy nie przestawił się celownik.

— Nick?

Nachyliłem się do opuszczonego do połowy okna. Skąpana w czerwonym blasku deski rozdzielczej, zdejmowała z dźwigni zmiany biegów koc, który wrzuciłem do kabiny.

— Michael umrze, żeby uratować setki, a może tysiące istnień. Tylko tak mogę sobie z tym poradzić. Może uda się to i tobie.

Kiwnąłem głową, bardziej zajęty sprawdzaniem broni niż szukaniem dla siebie usprawiedliwień. To Charlie powinien dostać za swoje, nie ten chłopiec.

— Z pewnością ocali jedno życie, Nick. Życie tej, którą tak bardzo kochasz. Czasem musimy robić złe rzeczy z najlepszych pobudek, no nie?

Jeszcze przez kilka sekund wytrzymała mój wzrok, a potem popatrzyła na dźwignię zmiany biegów. Zastanawiałem się, czy znowu na mnie spojrzy, ale wrzuciła jedynkę i wcisnęła gaz.

Stałem i patrzyłem, jak czerwone tylne światła znikają w mroku, a potem jeszcze trzy minuty, aż moje oczy oswoją się z ciemnością.

Kiedy już mogłem dostrzec, gdzie stawiam stopy, przymocowałem sobie maczetą do pasa, po raz setny sprawdziłem, czy w kieszeni spodni mam mapę i dokumenty, a kompas na tasie na szyi, pod podkoszulkiem. Później założyłem plecak, wziąłem na ramię donicę z ładunkiem wybuchowym i przytrzymałem ręką, ściskając uchwyt. Trzymając w prawej ręce karabin, poszedłem do skrzyżowania dróg i ruszyłem na zachód, w kierunku rezydencji.

Wkrótce zacząłem się pocić pod ciężarem i poczułem w ustach gorzki smak roztworu owadobójczego, spływającego razem z potem. Do świtu pozostało tylko trzy i pół godziny, a powinienem dotrzeć do bramy, zanim zrobi się widno. Gdy tylko będzie dostatecznie jasno, żebym mógł widzieć, co robię, będę musiał podłożyć ładunek i znaleźć odpowiednie stanowisko strzeleckie między drzewami. Nie było sensu robić tego po ciemku. Później straciłbym za dużo czasu na naprawianie popełnionych po omacku błędów.

Mój plan był tak prosty, że wcale się nad nim nie zastanawiałem, idąc i nasłuchując, czy nie nadjeżdża jakiś pojazd. Mogłem błędzić myślami, ale nie zamierzałem sobie na to pozwolić. Teraz powinienem myśleć tylko i wyłącznie o misji.

Kilkakrotnie zmieniwszy ramię, na którym niosłem ciężką donicę, wreszcie dotarłem do bramy. Pozostając po prawej stronie, zasłonięty przez mur, postawiłem donicę na ziemi, żeby odetchnąć. Ściany domu były oświetlone umieszczonymi na trawnikach reflektorami, co jeszcze bardziej upodabniało go do hotelu. Gdy spojrzałem przez pręty bramy, widziałem połyskującą w świetle fontannę, a za nią dostrzegłem refleksy świetlne na karoseriach kilku niedbale zaparkowanych samochodów. Zauważyłem złote boczne szyby lexusa.

Dom stał pogrążony we śnie, nigdzie nie paliło się światło, tylko ten ogromny żyrandol jarzył się za wielkim oknem pomieszczenia, które uznałem za główny hol.

Moja bomba nie była finezyjnej roboty, ale musiałem podłożyć ją bardzo starannie. Kiedy pojazd będzie przejeżdżał przez bramę,

cała siła wybuchu powinna zostać skierowana dokładnie tam, gdzie chciałem. Poza tym musiałem dobrze zamaskować ładunek moskitierą.

Wróciłem po donicę, po czym poszedłem leśną ścieżką biegnącą między murem a ścianą drzew. Mur kończył się jakieś siedem czy osiem metrów dalej i w tym miejscu wszedłem między drzewa, żeby zaczekać do świtu. Nie było sensu iść dalej. Ponadto mogły tam być jakieś pułapki zastawione przez Diega.

Nie zdejmując plecaka, usiadłem na donicy, trzymając między kolanami karabin, żeby chronić celownik. Plastikowe worki szeleściły przy każdym moim ruchu. Chciałem tylko, żeby owady spróbowowały atakować mnie teraz, kiedy cały byłem wysmarowany dziewięćdziesięciopięcioprocentowym roztworem owadobójczym, ale były na to za sprytne.

Zmieniłem zdanie i zdjąłem plecak. Trzymanie go na plecach niczemu nie służyło, a ponadto musiałem wyjąć z bocznej kieszeni butelkę z wodą. Powoli popijając, odlepiłem podkoszulek od pleców pokrytych wysypką i zazdrośnie spojrzałem na dom, z pracującymi tam pełną parą klimatyzatorami i lodówkami.

Od czasu do czasu w gęstwinie szeleściło jakieś zwierzę, a owady wciąż krążyły wokół mnie; co chwila jakiś stwór zmierzał lotem nurkowym niczym kamikaze ku mojej twarzy, aby gwałtownie zmienić kierunek, kiedy wyczuł to, co go czeka.

Schowałem butelkę z wodą do plecaka i ponownie nasmarowałem się roztworem, na wypadek gdyby owady odkryły jakąś lukę w moim systemie obronnym. Małeńkie kawałki liści i kory, które przywarły do moich dłoni, drapały mnie w twarz.

Siedziałem, skrobałem się po plecach, językiem dotykałem dziury w zębie i żałowałem, że nie nacisnąłem przycisku, kiedy miałem okazję.

Po czterdziestu pięciu nudnych minutach dostrzegłem wznoszący się nad czubkami drzew łuk jutrzeńki. Zapowiadał się pochmurny ranek. Ptaki powitały go zgiełkliwym gwarem, a wyjce

po drugiej stronie domu obudziły resztę dżungli... jakby świeższe kiedyś spały.

Zacząłem dostrzegać warstwę mgły unoszącej się nad błotnistą otwartą przestrzenią, a w górze czarnoszare niebo. Dla mnie to dobrze, jeśli dzień będzie pochmurny. W taką pogodę żaden promień słoneczny nie odbije się od szkła celownika.

Jeszcze dziesięć minut i słońce zaczęło prześwitywać przez baldachim liści. Prawie widziałem moje stopy. Czas podłożyć ładunek.

Sprawdziwszy, czy celownik jest skorygowany, a muszka i szczerbinka ustawione na odpowiednią odległość, zarzuciłem plecak na ramiona i powoli poszedłem w kierunku bramy. Postawiłem donicę i plecak na ziemi, mniej więcej dwa metry przed nią, a karabin położyłem obok. Nie oparłem go o mur, bo mógłby upaść.

Szybko znalazłem dostatecznie wysokie i grube drzewo, które mogło utrzymać ciężar ładunku — było ich tutaj mnóstwo. Z górnej kieszeni plecaka wyjąłem nylonową linkę holowniczą, zawiązałem jeden koniec na uchwycie donicy, a drugi ścisnąłem zębami. Smród benzyny sprawił, że o mało się nie zakrzusiłem, Spojrzałem w górę, szykując się do wspinaczki na wybrane drzewo. Zraniona łydka boleśnie pulsowała.

Wspinając się, narobiłem trochę hałasu, ale czasem po prostu trzeba zaryzykować, a teraz właśnie był dogodny moment, zanim mieszkańcy domu przebudzą się ze snu. Uwięziona w liściach woda lała się na mnie i kiedy wspiąłem się dostatecznie wysoko, znów byłem przemoczony.

Z drzewa widziałem cały budynek oraz ścianę dżungli po lewej stronie, gdzie mgła wciąż spowijała podstawy pni. Stanowisko ogniowe powinienem wybrać gdzieś tam: skraj lasu znajdował się najwyżej trzysta metrów stąd i z tej odległości powinienem bez trudu trafić w donicę. Zastanawiałem się, czy nie położyć na murze dużego liścia lub dwóch, jako marker ułatwiający strzał, ale to było zbyt ryzykowne. Gdybym ja je widział, to równie dobrze mógłby je

dostrzec każdy podjeżdżający do bramy. Musiałem zakładać, że ochroniarze są czujni i wszystko, co niezwykle, może obudzić ich podejrzenia. Po zajęciu pozycji będę musiał wyteńczyć wzrok i odnaleźć donicę.

Wciąż zastanawiałem się, jak zamocować ładunek, kiedy usłyszałem warkot silnika na podjeździe. Nie odwracając głowy, spojrzałem w kierunku źródła dźwięku. Ruszały się tylko moje oczy i strużka śliny ściekająca z kącika zaciśniętych na lince ust.

Nie miałem pojęcia, co właściwie się dzieje. Nie zapaliły się światła, ale słyszałem cichy, łagodny pomruk pracującego na niskich obrotach silnika.

Musiałem działać. To mogła być moja jedyna szansa.

Otworzyłem usta, wypuszczając linę, i o mało nie spadłem, pośpiesznie schodząc z drzewa. Nagły przypływ adrenaliny dodał mi sił. Chwyciłem karabin i pobiegłem z powrotem na koniec muru. W pośpiechu rozerwałem plastikowy kokon, usiłując wyczuć rysy na celowniku, wyjąłem naboje i sprawdziłem, czy wciąż mam dokumenty.

Przykłęknąłem na prawe kolano, podniosłem broń do oka i pośpiesznie spojrzałem w lunetę, wykonując głębokie wdechy, żeby natlenić się przed strzałem; drugą ręką przetarłem oczy i odbezpieczyłem broń.

W słabym świetle ujrzałem jakiegoś starszego faceta, z zapalonym papierosem w ustach. Miał na sobie klapki, szorty i mocno podartą ciemną koszulkę polo. Miękką irchową szmatą wycierał z deszczu i rannej rosy smukłego, czarnego lexusa. Zapewne zapuścił silnik, żeby włączyć klimatyzację, co oznaczało, że wkrótce spodziewa się pasażerów.

Przysiadłem na prawej nodze i oparłem lewą rękę o lewe kolano, przyciskając mięśnie nad stawem łokciowym do rzepki, a kolbę broni do ramienia. Potem sprawdziłem pole widzenia.

Teraz nie czułem już bólu łydki ani niczego innego. Koncentrowałem się, wyobrażając sobie obiekt wychodzący z frontowych drzwi i zmierzający do przednich lub tylnych drzwiczek lexusa.

Zaparował mi obiektyw lunety.

Trzymając wycelowaną broń i nie odrywając oczu od parkingu, przetarłem szkło kciukiem i mankietem koszuli. Przez cały czas oddychałem powoli, głęboko i spokojnie. Miałem nadzieję, że zaraz się zacznie, a jednocześnie liczyłem na to, że nie, dopóki nie zajmę lepszej pozycji.

Facet metodycznie wycierał irchą całą karoserię samochodu. Nagle otworzyły się wielkie podwójne frontowe drzwi domu i wycelowałem w stojącą w nich postać, idealnie obramowaną światłem wielkiego żyrandola. W owalu lunety ujrzałem koszulkę z krótkimi rękawami i krawat jednego z ochroniarzy, Roberta lub Rossa, w każdym razie tego, który wysiadł przy słuzie po napoje. Teraz stał w drzwiach, rozmawiając przez komórkę i sprawdzając, jak postępuje praca przy samochodzie.

Serce zaczęło mi szybciej bić, ale zaraz doświadczenie wzięło górę: zacząłem kontrolować oddech i mój puls zwolnił. Zabukowałem wszystkie uboczne myśli, zamykając się w maleńkim światku. Nie istniało w nim nic poza tym, co widziałem p/zez lunetę.

Ochroniarz znowu znikł w głębi domu, ale zostawił otwarte drzwi. Czekałem, celując i słysząc pulsowanie krwi w tętnicy szyjnej, oddychając miarowo, by dotlenić mózg. Jeśli coś czułem, to tylko ulgę, że wkrótce będzie po wszystkim.

Zjawił się. Michael wyszedł z domu, ubrany na zielononiebiesko, niosąc torbę, uśmiechając się i rozmawiając z idącymi po jego bokach Robertem i Rossem. Wycelowałem, umieszczając słupek na wysokości jego pasa, potem mostka — i zacząłem pociągać za spust.

Kurwa... Biała koszula zasłoniła mi obiekt.

Wciąż trzymając palec na spuście, powiodłem lufą w ślad za grupką. W celowniku ujrzałem twarz chłopaka, wciąż uśmiechniętego, mówiącego coś z ozywieniem. Niedobrze, zbyt mały cel.

Potem ktoś inny, ubrany w ciemnoszary garnitur, kompletnie zasłonił mi pole widzenia. Nic z tego — za późno, za dużo kręcących się ludzi.

Już byli przy samochodzie.

Gówno, gówno, gówno...

Zwolniłem spust, uskokczyłem za mur i pobiegłem w kierunku bramy, zabezpieczając w biegu broń. Nie ma czasu na myślenie, trzeba działać. W głowie tłukła mi się tylko jedna myśl: *Wykorzystać okazję! Wykorzystać okazję!*

Pięprzyć minę przydrożną, wystarczy mi porządna eksplozja. Wciąż myśląc tylko o tym jednym, chwyciłem donicę.

Miałem dziwne uczucie pustki w brzuchu, jak wtedy gdy jako dzieciak uciekałem przed czymś, marząc, żeby moje nogi poruszały się tak szybko, jak nakazywała im głowa.

Spazmatycznie łapiąc ustami powietrze, dobiegłem do bramy i postawiłem donicę pod murem. Wciąż przywiązana do niej linka holownicza wlokła się po ziemi.

Wykorzystać okazję! Wykorzystać okazję!

Warkot silnika lexusa zmienił tonację i samochód potoczył się po podjeździe w kierunku bramy. Warczał coraz głośniejsze, gdy złapałem plecak i co sił w nogach pobiegłem skrajem dżungli.

Czas się schować. Wpadłem w gąszcz, mniej więcej trzydzieści metrów od bramy.

Niech to szlag, za blisko bomby...

Ułożyłem się w pozycji strzeleckiej na mokrej ziemi, używając plecaka jako podpórki, sapiąc jak parowóz.

Wizg elektrycznego silnika, otwierającego bramę, zagłuszył warkot lexusa, który podjechał bliżej i zatrzymał się.

Byłem zbyt nisko i przeszkadzały mi chaszczce.

Zerwałem się do półprzysiadu, szeroko rozkładając nogi, żeby złapać równowagę, przyciskając kolbę do ramienia, wyciągając i przekręcając ten idiotycznie umieszczony bezpiecznik.

Już widziałem ciemne okulary dwóch siedzących z przodu facetów w białych koszulach; wszyscy czekaliśmy, aż otworzy się brama. Zdawałem sobie sprawę, że oni też mogą mnie zauważyć. Skuliłem się, jak mogłem, oddychając z wysiłkiem, gdy lexus w końcu ruszył naprzód.

Tylko sześć metrów.

Samochód zahamował tak gwałtownie, że tył zakolysał się na amortyzatorach.

Kurwa! Wstrzymałem oddech i wbiłem wzrok w donicę. Przesunąłem lufę w bok, starannie wymierzyłem i zacząłem pokonywać pierwszy opór spustu.

Silnik zawył na gwałtownie włączonym wstecznym biegu, a ja zobaczyłem ciemny słupek na samym środku białej, rozmazanej plamy donicy i strzeliłem.

Upuściłem broń i z wrzaskiem runąłem na ziemię, gdy rąbnęła mnie fala uderzeniowa. Poczulem się tak, jakbym spadał z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę i nagle jakaś olbrzymia dłoń złapała mnie w powietrzu, ale moje wnętrzności poleciały dalej.

Złapałem karabin, przeładowałem i zerwałem się na równe nogi, żeby rozejrzeć się po pobojowisku. Nie było czasu zważać na sypiące się z nieba szczątki. Musiałem sprawdzić, czy osiągnąłem cel.

Eksplozja odepchnęła samochód sześć lub siedem metrów po asfalcie. Pobiegłem w kierunku chmury pyłu, w gradzie opadających kawałków muru i drewna, przyciskając kolbę do ramienia. Dzwoniło mi w uszach, pociemniało w oczach i cały się trząsałem. Po prawej stronie bramy, w miejscu, gdzie przedtem stał mur, leżała sterta gruzu i metalu.

Biegąc, przygięty do ziemi, dotarłem tam i zająłem pozycję przy resztkach muru, naprzeciw dymiącego krateru w jezdni. Odłamki cegieł spadły jak grad na samochód. Nieskazitelnie czysty lexus wyglądał teraz jak wrak: pogięty, obtłuczony, bez bocznych szyb, z przednią potrzaskaną i wygiętą.

Wycelowałem broń w okno po stronie kierowcy. Pierwszy pocisk trafił faceta w białej koszuli, który leżał bezwładnie na kierownicy, ale zaczynał odzyskiwać przytomność.

— Drugi!

Wciąż przyciskając kolbę do ramienia, przytrzymując karabin lewą ręką, przeładowałem i wpakowałem następną kulę facetowi w

zakrwawionej białej koszuli, siedzącemu na fotelu pasażera.

— Trzeci!

Mając tylko cztery naboje w magazynku, musiałem pamiętać, ile razy strzeliłem. Zawsze miałem z tym kłopoty, więc wołałem głośno liczyć.

Z nieba spadały już tylko małe strzępy liści i drewna, obsypując pojazd, asfalt i mnie, gdy z wycelowaną bronią ruszyłem do tylnych drzwiczek. Odbiegłem nieco w bok i spojrzałem pod innym kątem. Zobaczyłem dwa bezwładnie leżące ciała, obsypane potłuczonym szkłem: jedno w zielonej koszulce i niebieskich dżinsach, drugie w ciemnoszarym garniturze. Podbiegłem bliżej. Facetem w garniturze był Charlie. Miałem nadzieję, że żyje.

30

Chłopak leżał skulony na podłodze, przygniety ciałem ojca. Obaj byli zaszokowani, ale żywi. Charlie zaczął kaszleć i zauważyłem, że Michael się poruszył.

Nie mogę zabić Charliego...

Przebiegłem jeszcze kilka kroków, dopadłem do drzwi i wetknąłem lufę karabinu do środka, przez wybitą szybę. Muszka znalazła się trzy centymetry od zakrwawionej, obsypanej kawałkami szkła głowy oszołomionego chłopca.

To niesamowite, ale klimatyzacja wciąż działała, a z radia płynął potok hiszpańskich słów, gdy jęczał i stękał, usiłując wydostać się spod ciała ojca. Miał zamknięte oczy. Dostrzegłem odłamki szkła tkwiące w brwiach.

Zacząłem pociągać za spust, lecz nie mogłem tego zrobić. Coś mnie powstrzymywało.

Kurwa mać, zrób to!

Powiodłem lufą, gdy poruszył głową, odwracając się na bok. Teraz prawie wtykałem mu ją do ucha. Przesunąłem odrobinę, celując w koniuszek.

Nie mogłem strzelić, mój palec nie chciał się zgąć. Co się ze mną dzieje, do cholery?

NO JUŻ, ZRÓB TO! ZRÓB!

Nie mogłem i w tym momencie zrozumiałem dlaczego.

Dreszcz strachu wstrząsnął całym moim ciałem. Mój mózg odfiltrowywał prawie wszystko, ale zarejestrował krzyki. Obejrzałem się i ujrzałem wybiegających z budynku, niekompletnie ubranych, lecz uzbrojonych ludzi. Wysunąłem lufę, sięgnąłem przez przednie okienko i wyrwałem nokię z futerału przy pasku ochroniarza. Potem szarpnięciem otworzyłem tylne drzwi wozu i chwyciłem za kołnierz marynarki. Wywlokłem oszołomionego Charliego na asfalt i podciągnąłem za to, co zostało z muru.

— Ruszaj się! Ruszaj!

Kopniakiem podciąłem mu nogi i upadł na czworaki. Cofnąłem się, żeby nie mógł mnie dosięgnąć, i wycelowałem w jego głowę.

— Słyszysz mnie?

Krzyki zbliżały się. Kopnąłem go.

— Ten system naprowadzania rakiet...

— Co z wami jest, ludzie? — Zakaszłał i krew pociekła mu po brodzie. Nie podnosząc głowy, wrzasnął gniewnie, bez cienia strachu. — Dostarczyłem go, zeszłej nocy! Macie ten system naprowadzania, macie wszystko! Sunburn jest kompletny! Czego jeszcze chcecie?

— Dostarczyłeś? To o to chodziło?

Spojrzał na mnie wzdłuż lufy karabinu, która poruszała się w górę i w dół, gdy obaj spazmatycznie łapaliśmy powietrze.

— Zeszłej nocy! Wykorzystaliście mojego syna, żeby mi grozić, zażądaliście dostawy do wczorajszego wieczora, a mimo to... — Krew ciekła mu po szyi, ale zauważył moje zdumienie. — Sami nie wiecie, co robicie, czy jak?

— We wtorek... ten facet w różowej hawajskiej koszuli. Był tutaj. On go wziął?

— Oczywiście!

— Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

— Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. Interes załatwiony, a wciąż grozicie mojej rodzinie... Pamiętacie warunek umowy: żadnych celów w Panamie. Dlaczego sunburn wciąż tutaj jest? Powiedzieliście, że zostanie natychmiast przewieziony do Kolumbii i nie

będzie użyty w Panamie. Czy wiesz, kim jestem? Wiesz, co mogę ci zrobić?

— Ojczee! — Michael zobaczył nas i szeroko otworzył oczy. — Nie zabijaj go, proszę, nie zabijaj. Proszę!

Charlie krzyknął coś po hiszpańsku, pewnie każąc mu uciekać, po czym znów przeszył mnie gniewnym wzrokiem. W jego oczach nie dostrzegłem strachu.

— No, Angliku, i co teraz? Macie już to, po co przyszedłeś.

Zamachnąłem się i kolbą uderzyłem go w szyję. Zwinął się z bólu, a ja odwróciłem się i pobiegłem wzdłuż skraju dżungli, z powrotem do miejsca, gdzie zostawiłem plecak. Złapałem go wolną ręką, obejrzałem się i ujrzałem Michaela chwiejnie podchodzącego do ojca oraz zbliżających się ludzi i samochodu.

O to właśnie chodziło. Michael był żywym człowiekiem. Dzieciakiem mającym własne życie, a nie bezosobowym celem, do jakich strzelałem bez chwili namysłu.

Skoczyłem w dżunglę, przedzierając się przez kępy poczekajek, nie zważając na pozostawiane ślady. Chciałem tylko zabrać stąd swój tyłek i zniknąć w gąszczu.

Kolce wbijały mi się w ciało, a gardło zaschło tak, że bolało mnie przy każdym oddechu. Lecz to nie miało żadnego znaczenia. Ważne było, żeby ujść stąd z życiem.

Odgłosy zamieszania powoli ucichły w oddali, wchłonięte przez dżunglę, w miarę jak coraz głębiej zapuszczałem się w gąszcz. Wiedziałem jednak, że niedługo ludzie Charliego otrząsną się z zaskoczenia i ruszą w pościg.

Rozpoczęli ogień z broni automatycznej. Ochłonęli szybciej, niż się spodziewałem, ale strzelali na oślep, licząc, że trafią mnie przypadkiem. Nie przejmowałem się tym: drzewa zatrzymają kule. Istotne było tylko to, czy potrafią pójść po moich śladach.

Wyjąłem kompas, sprawdziłem kierunek i przeszedłem dwadzieścia metrów na wschód, w stronę drogi, nie spiesząc się już i starając się nie zostawiać za sobą zgniecionych liści ani rozerwanych pajęczyn. Potem skręciłem na północ, a później na zachód,

wracając w stronę rezydencji, ale równoległe do moich poprzednich śladów. Po przejściu pięciu lub sześciu metrów przystanąłem, rozejrzałem się za kępą gęstych zarośli i wczłogałem się w nią.

Przysiadłem na plecaku, trzymając odbezpieczony karabin, i starałem się złapać drugi oddech. Jeśli pójdą moim tropem, miną mnie po lewej, siedem lub osiem metrów dalej. Pierwszą zasadą podczas ucieczki przez dżunglę, wypraktykowaną przez lepszych żołnierzy niż ja, jest zejść z drogi pościgu i ukryć się. Nie uciekać na oślep, ponieważ wtedy prędzej czy później cię dogonią.

Powoli wyjąłem trzy z przygotowanej wcześniej paczki naboji i odciągnąłem rygiel. Ruchome części przesunęły się bez oporu, a ja złapałem wyskakujący nabój, po czym powoli i starannie włożyłem wszystkie cztery do magazynka, przygotowując broń do strzału.

Siedziałem, wypatrując i nasłuchując, a potem wyjąłem komórkę ubabraną krwią. Obojętnie o co tu chodziło — czy miałem nie dopuścić do dostawy, czy zapewnić dostawę, czy nie wiadomo co — nie wykonałem zadania, które zlecił mi Potakiwacz, i dobrze wiedziałem, co to oznacza. Musiałem zadzwonić.

Nie było sygnału, ale mimo to wybrałem numer, zakrywając palcem małą dziurkę głośnika. Nic.

Mój zegarek wskazywał 7.03. Pogmerałem przy telefonie, przestawiłem go na alarm wibracyjny i schowałem do kieszeni.

Gównu, gównu, gównu. Znów poczułem mrowienie nóg. Byłem bezradny i czułem to, o czym mówiła Carrie: kompletną pustkę, jak wtedy kiedy wydaje ci się, że zgubiłeś dziecko i rozpaczliwie usiłujesz je odnaleźć. *Niech to szlag, nie tu, nie teraz...*

Potok hiszpańskich słów sprawił, że gwałtownie oprzytomniałem. Byli blisko. W lesie słychać było krzyki, ale nie wiedziałem, czy tamci idą po moich śladach. Siedziałem nieruchomo. Mijały sekundy i minuty.

Już prawie piętnaście po siódmej. Zaraz wyjdzie do szkoły...

Spieprzyłem robotę. Musiałem przyjąć ten fakt do wiadomości. Teraz, w tej chwili, najważniejszą sprawą było złapać sygnał i zadzwonić, a to oznaczało, że powinienem wejść wyżej, zbliżając się do budynku, ponieważ tam właściciel korzystał z komórki.

Rozległ się dziwny, przeciągły krzyk, podobny do wrzasku wyjca, ale nie dostrzegłem żadnego z tych zwierząt. Potem usłyszałem w pobliżu trzask gałęzi łamanych przez ścigających mnie ludzi. Nie było wśród nich doświadczonych tropicieli — robili za dużo hałasu. Wstrzymałem oddech, przyciskając do ramienia kolbę karabinu i trzymając palec na spuście.

Pot spływał mi po twarzy, gdy trzech mężczyźni trajkotali jak nakręceni, zapewne zastanawiając się, w którą stronę uciekłem. Słyszałem suche, przypominające odgłos potrząsania plastikową grzechotką, dźwięki M-16, kiedy odgarniali nimi gałęzie lub opierali kolbami o buty.

W oddali ktoś puścił serię z broni automatycznej i moi trzech prześladowcy najwyraźniej postanowili wrócić po swoich śladach. Widocznie mieli dość tej zabawy w dżungli.

Człowiek idący moim tropem, nawet gdyby go zgubił i szukał mnie na chybił trafił, zdążyłby już dojść do mnie. Chociaż starałem się nie zostawiać śladów, każdy, kto miałby jakieś pojęcie o tropieniu, potrafiłby je znaleźć.

Wróciłem na skraj lasu, przez cały czas sprawdzając poziom sygnału odbieranego przez telefon komórkowy. Wciąż nic.

Usłyszałem głuchy warkot buldożera i pisk gąsienic. Ostrożnie podkradłem się bliżej i zobaczyłem kłęby czarnego dymu, buchające z rury wydechowej diesla, gdy maszyna toczyła się w kierunku bramy. Przed domem wciąż biegali ludzie. Uzbrojeni mężczyźni pokrzykiwali do siebie, a po drodze przemykały odjeżdżające lub przyjeżdżające samochody.

Wycofałem się w gęstwinię, zabezpieczyłem broń i zacząłem oglądać korony pobliskich drzew, odwiązując sznur, którym była owinięta broń. Znalazłem odpowiednie drzewo, mające około sześciu

metrów wysokości. Mogłem z łatwością się na nie wspiąć i mieć z góry dobry widok na budynek, a jego gałęzie były dostatecznie grube, żeby utrzymać mój ciężar. Wyjąłem paski, z których zamierzałem zrobić ławeczkę, założyłem plecak i przewiesiłem karabin przez ramię, po czym zacząłem się wspinać. Dalej, na otwartej przestrzeni, słychać było warkot silników i krzyki.

Kiedy wdrapałem się na prawie sześć metrów, ponownie sprawdziłem komórkę i tym razem zobaczyłem cztery słupki.

Rozpiąwszy taśmy między dwoma solidnymi konarami, na innym powiesiłem plecak, usiadłem twarzą do budynku, a potem zasłoniłem się moskitierami i zamknąłem klapę, w razie gdybym musiał szybko uciekać.

Zamierzałem spędzić tu jakiś czas, dopóki wszystko się nie uspokoi, tak więc zawiesiłem siatki na gałęziach, żeby nie przywierały do mojego ciała i zakrywały kolorowe taśmy. Musiałem zamaskować moje ubranie, cień, sylwetkę i każdy ewentualny ruch. Nie udało mi się to, gdybym ciasno owinął się moskitierami, gdyż wtedy ktoś mógłby dostrzec, że kryje się pod nimi człowiek. W końcu, trzymając karabin na kolanach, uspokoiłem się i wybrałem numer.

Nie dając mojemu rozmówcy czasu do namysłu lub zgłaszania zastrzeżeń, powiedziałem głośnym szeptem:

— To ja, Nick. Nic nie mów, tylko słuchaj...

31

— Josh, zabierz ją w jakieś bezpieczne miejsce, natychmiast. Strasznie spieprzyłem sprawę. Zabierz ją gdzieś, gdzie będzie bezpieczna i gdzie nikt nie zdoła jej znaleźć. Zadzwoń za parę dni, rozumiesz? Rozumiesz?

Cisza.

— Josh?

— Pieprzę cię! Pieprzę! Kiedy to się skończy? Znowu igrasz z życiem tego dzieciaka. Pieprzę cię!

Telefon ogłuchł. Josh się rozłączył. Wiedziałem jednak, że poważnie potraktuje moje słowa. Kiedy poprzednim razem nawaliłem, naraziłem na niebezpieczeństwo jego dzieci.

Poczułem ulgę. Wyjąłem baterię i schowałem wraz z komórką do kieszeni. Nie chciałem, żeby wytropili mnie, namierzając jej sygnał.

Czując gorzki smak owadobójczego roztworu, spływającego mi wraz z potem do ust, obserwowałem zamieszanie przed domem. Zastanawiałem się, czy wkrótce przyjedzie policja i otrzyma mój rysopis, ale mocno w to wątpiłem. Charlie będzie wołał utrzymać wszystko w tajemnicy, a wybuch z pewnością nikogo specjalnie nie zdziwił. Takie eksplozje były tu na porządku dziennym, gdyż wysadzano drzewa, przygotowując teren pod zabudowę.

Sięgnąłem po plecak, wyjąłem butelkę z wodą i wypilem kilka łyków, już znacznie mniej martwiąc się o Kelly. Obojętnie co myślał o mnie Josh, robi, co trzeba. To nie rozwiązywało problemu, lecz na razie było jedynym wyjściem.

Kelly i ja wciąż tkwiłiśmy po uszy w gównie. Wiedziałem, że powinienem zadzwonić do Potakiwacza, powiedzieć mu wszystko, co wiem, i czekać. Właśnie tak powinienem postąpić, więc dlaczego tego nie zrobiłem? Ponieważ cichy głos płynący z mojej podświadomości ostrzegł mnie, że coś tu jest nie tak.

Charlie mówił o sunburnie. Potakiwacz przysłał mnie tutaj, żebym nie dopuścił do przekazania Kolumbijczykom systemu naprowadzania rakiet, który byłby zagrożeniem dla śmigłowców Stanów Zjednoczonych. Pociski ziemia-powietrze. Tu nie mogło chodzić o nie. Sunburn to pocisk do zwalczania obiektów nawodnych. Pamiętam, że czytałem o zagrożeniu, jakie stanowi dla okrętów marynarki amerykańskiej, których systemy obronne nie potrafią sobie z nim poradzić. Sunburn był dla nich zagrożeniem numer jeden.

Próbowałem przypomnieć sobie szczegóły. To był artykuł w „Timie” lub „Newsweeku”, chyba tak, czytałem go w metrze do Hampstead... Pocisk miał około dziesięciu metrów długości, pamiętam to, bo wyobrażałem sobie wtedy, że w wagonie metra zmieściłyby się dwa takie.

Co jeszcze? Otarłem pot z czoła.

Myśl, myśl...

Ten Pizza... We wtorek był przy służbie. Kamera przekazywała stamtąd obraz do komputerów w domu Aarona. Zespół Pizzy monitorował interesy narkotykowe FARC. Facet był także w domu Charliego i być może, jeśli Choi powiedział prawdę, to w jego rękach znajdował się teraz sunburn.

Nagle zrozumiałem, co tu się dzieje. George przeniósł wojnę na terytorium wroga. Obserwowali statki przewożące narkotyki przez Kanał Panamski i najwidoczniej teraz postanowili coś z tym zrobić, może grożąc rebeliantom z FARC użyciem rakiet, jeśli nadal będą wykorzystywać ten szlak przerzutowy.

To wciąż nie wyjaśniało, dlaczego przysłali mnie tutaj, żebym nie dopuścił do przekazania systemu naprowadzania rakiet...

Nad koronami drzew dał się słyszeć szum wirników. Natychmiast rozpoznałem ten basowy odgłos — charakterystyczny dźwięk nisko lecących, amerykańskich śmigłowców Huey. Dwie takie maszyny przeleciały tuż nade mną. Moje drzewo zakolysało się w ich silnym podmuchu, gdy pomknęły nad otwartą przestrzeń, a potem, kilka metrów nad ziemią, powoli w kierunku domu. Z kałuż pryskalo błoto i woda, a szczątki roślin leciały na wszystkie strony. W huraganowym podmuchu rozgrzanego powietrza z rur wydechowych budynek zmienił się w rozmazaną plamę. Za hueyami leciał żółto-biały jet ranger, jak dziecko usiłujące nadążyć za rodzicami.

Przed moimi oczami rozegrała się scena wyglądająca jak wzięta z reportażu o wojnie w Wietnamie. Uzbrojeni ludzie wyskakiwali ze śmigłowców i biegli w stronę rezydencji. Gdyby nie nosili dzinsów, można by ich wziąć za żołnierzy Sto Pierwszej Dywizji Desantowej, z krzykiem atakujących pozycję nieprzyjaciela.

Jet ranger podleciał tak blisko frontowej ściany budynku, że wydawało się, iż ktoś zamierza zadzwonić do drzwi. Potem oddalił się i usiadł na asfalcie obok fontanny.

Rozgrzane powietrze wydobywające się z otworów wylotowych śmigłowca utrudniało mi obserwację, ale dostrzegłem rodzinę Charliego, wybiegającą z frontowych drzwi. Siedząc, patrzyłem, jak moja niedoszła ofiara pomaga iść kobiecie o latynoskich rysach, ubranej w nocną koszulę. Z drugiej strony podtrzymywał ją zakrwawiony Charlie w podartym garniturze. Całą trójkę otaczali zdenerwowani, pokrzykujący, uzbrojeni mężczyźni, eskortujący ich do śmigłowca. Śledziłem wszystkich przez lunetę karabinu, przez długą jak wieczność chwilę trzymając słupek na piersi Michaela.

Patrzyłem na jego młodą, zakrwawioną twarz, na której widziałem tylko troskę. On należał do innego świata niż jego ojciec, George, Pizza i ja. Miałem nadzieję, że tak pozostanie.

Gdy tylko umieszczono ich w maszynie, powietrze wypełnił szum wirujących śmigieł. Oba hueye już nabierały wysokości. Wykręciły i odleciały w kierunku miasta.

Jet ranger poderwał się z asfaltu i poleciał za nimi. Przez kilka sekund było względnie cicho, a potem ktoś zaczął wydawać rozkazy stojącym tam ludziom. Podzielili się na grupki. Domyśliłem się, że zaraz znów zaczną mnie szukać. Przeczuałem, że tym razem będzie to lepiej zorganizowana akcja.

Siedziałem na mojej grzędzie, zastanawiając się, co dalej, gdy kolejne samochody pełne uzbrojonych w karabiny M-16 mężczyzn odjeżdżały spod domu i wracały puste. Spojrzałem na zegarek i zrozumiałem, że muszę szybko się stąd wynieść, jeśli chcę maksymalnie wykorzystać światło dnia.

Najpóźniej w piątek wieczorem. Taki wyznaczono mi termin. Dlaczego? I czemu firma była w to zamieszana? Widocznie chcieli przejąć system naprowadzania do jutra. Nawciskali mi kitu o rakietach ziemia-powietrze. Nie musieli mówić, o co w tym wszystkim chodzi, ale po londyńskim fiasku wysłanie mnie było ostatnią rozpaczliwą próbą przejęcia systemu.

Do wieczora. Do zachodu słońca.

O cholera! *Ocaso...*

Zamierzali zatopić statek wraz z tysiącami pasażerów. Wcale nie chodziło o narkotyki... Tylko dlaczego?

Pieprzyć to, nieważne z jakiego powodu. Teraz ważne było tylko to, żeby temu zapobiec.

Lecz do kogo z tym pójść? Komu powiedzieć o tych podejrzaniach? Skontaktować się z Panamczykami? I co oni mogliby zrobić? Zatrzymać statek? A co by to dało? Kolejne tymczasowe rozwiązanie. Jeśli nie zdołają odebrać mu systemu naprowadzania, Pizza będzie mógł odpalić raketę i zatopić następny, statek przepływający przez kanał. To na nic. Musiałem znaleźć inne wyjście.

Udać się do ambasady Stanów Zjednoczonych lub innego kraju? I co zrobiliby dyplomaci — wysłali raport? Do kogo? Ile upłynęłoby czasu, zanim ktoś podniósłby słuchawkę i porozmawiał z

George'em? A ponadto, choćby był nie wiem jak ważną personą, z pewnością stali za nim jeszcze potężniejsi ludzie. Niewątpliwie. Nawet „C” i Potakiwacz tańczyli tak, jak tamci im zagrali.

Musiałem wrócić do Carrie i Aarona. Tylko oni mogli mi pomóc.

Powoli wokół domu robiło się spokojniej: samochody przestały krążyć, terenu pilnowało tylko paru strażników, a z lewej warczał buldożer spychający z drogi zniszczonego lexusa.

Była 8.43. Czas zejść z drzewa. Odpiąłem kieszeń spodni i wyjąłem mapę. Pochyliłem głowę, tak że miałem ją tuż przed nosem i mogłem położyć na niej kompas, nie zdejmując go z szyi. W pół minuty ustaliłem marszrutę przez dżunglę do białej linii drogi, znowu przez gąszcz do bazy Clayton i autostrady do miasta. Dopiero kiedy tam dotrę, zacznę się zastanawiać, jak wrócić do Yanklewitzów. Każdy sposób będzie dobry, byleby się tam dostać.

Upewniwszy się, że mapa bezpiecznie tkwi w zapiętej kieszeni, zszedłem na ziemię, niosąc plecak i karabin, a pozostawiając ławeczkę ptakom. Gdy założyłem plecak i ponownie owiązałem sznurkiem karabin, ruszyłem na wschód, w kierunku Clayton, nie spiesząc się, skupiając wzrok i uwagę na ścianie zieleni, niosąc pod pachą odbezpieczoną broń i trzymając palec w pobliżu osłony spustu.

Jakbym wrócił do Kolumbii i szukał handlarzy narkotyków, ostrożnie odsuwałem liście, zamiast się przez nie przedzierać, omijając pajęczyny, uważnie stawiając stopy, żeby nie hałasować i nie pozostawiać śladów, przystając, nasłuchując i obserwując przed każdym wyjściem na otwartą przestrzeń, sprawdzając wskazania kompasu, spoglądając przed siebie, na prawo i lewo, a także — co równie ważne — w górę.

Powinienem maszerować znacznie szybciej, żeby jak najprędzej wrócić do Aarona i Carrie, ale wiedziałem, że skradając się, najpewniej

i najbezpieczniej osiągnę cel. Tamci nie będą już biegać po chaszczach i strzelać na oślep. Rozproszą się po okolicy, zajmą stanowiska i będą czekać, aż na nich wpadnę. Dżungla to trudny teren do ucieczki. Nie wolno maszerować szczytami wzgórz, korzystać z przetartych ścieżek ani podążać wzdłuż rzek lub strumieni. Nieprzyjaciół spodziewa się, że spróbujesz je wykorzystać. Musisz przedzierać się przez gąszcz, według wskazań kompasu, i robić to bardzo powoli. Warto zadać sobie ten trud: tylko to pozwoli ci przeżyć.

Pot zmieszany ze środkiem di-ti sływał mi do oczu, nie tylko z powodu wilgotności powietrza, ale także wskutek stresu wywołanego powolnym, kontrolowanym marszem, nieustannym wypatrywaniem i nasłuchiowaniem oraz kołającymi się w głowie myślami: Co będzie, jeśli pojawią się przede mną? A jeżeli wyskoczą z lewej? Co zrobię, kiedy pierwsi otworzą ogień, a ja nawet nie będę wiedział, skąd strzelają? W dżungli zazwyczaj wróg podchodzi tak blisko, że czujesz jego oddech.

32

Dotarłem do drogi po dwóch godzinach marszu, znacznie szybciej, niż oczekiwałem.

Zdjąłem plecak i wyciągnąłem koszulę ze spodni, usiłując ulżyć obolałym plecocom. Potem odgarnąłem z czoła mokre, tłuste włosy i z karabinem gotowym do strzału powoli ruszyłem naprzód. Kiedy znalazłem się blisko drogi, zabezpieczyłem broń i położyłem się na ziemi. Na łokciach i czubkach butów podczołgałem się na skraj lasu. Karabin leżał u mojego boku. Przesuwałem go, posuwając się naprzód, dobrze wiedząc, że przy tak umieszczonym bezpieczniku broń nie powinna przypadkowo wypalić.

Nocny deszcz wypełnił dziury i koleiny w asfalcie, a niebo wciąż było ołowianoszare. Gromada chmur w różnych odcieniach szarości wisiała nade mną, gdy wypatrywałem i nasłuchiwałem. Jeśli ci chłopcy mieli choć krztynę rozumu, to porozstawiali warty wzdłuż tej drogi i teraz czekali, aż wyjdę z gąszczu. Mimo to, musiałem trzymać się obranej marszruty.

Podczołgałem się jeszcze trochę i wystawiłem głowę z listowia. Po prawej droga stopniowo znikwała za zakrętem i nie było na niej nikogo. Spojrzałem w przeciwną stronę. Najwyżej czterdzieści metrów dalej stał jeden z samochodów, które ruszyły spod domu —

czarny i lśniący land cruiser, zaparkowany przodem do mnie po mojej stronie drogi. O maskę opierał się facet z M-16 w dłoniach, obserwując zakręt. Miał około dwudziestu lat, dżinsy, żółty podkoszulek i sportowe buty. Był też spocony i znudzony.

Serce zaczęło walić mi młotem. Pojazd umożliwiłby mi błyskawiczny odwrót, tylko czy ten facet nie ma tu kumpi? Może rozstawili się w regularnych odstępach wzdłuż drogi, a może stali za samochodem i palili, podczas gdy on pilnował pojazdu, gotowy wszczać alarm na widok czegoś podejrzanego?

Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Centymetr po centymetrze wczółgałem się z powrotem w gąszcz, potem podniosłem się na czworaki i wróciłem do plecaka. Zarzuciłem go na ramię, odbezpieczyłem broń i zacząłem skradać się do samochodu, idąc równoległe do drogi, z karabinem gotowym do strzału, czujnie wypatrując i nasłuchując. Za każdym razem, gdy stawiałem stopę na ściółce, miażdżąc ciężarem ciała liście, ich szmer wydawał się sto razy głośniejszy, niż był naprawdę. Za każdym razem, gdy jakiś ptak zrywał się z gałęzi, zamierałem w pół kroku i zastygałem jak posąg.

Upłynęło dwadzieścia męczących minut, po czym znów musiałem przystanąć. Za ścianą zieleni stuknął automat, uderzając o bok land cruisera. Dźwięk dobiegł nieco z przodu i z lewej, nie dalej niż osiem metrów ode mnie.

Przez minutę czy dwie stałem i nasłuchiwałem. Nikt się tam nie odzywał, nie szumiały krótkofalówki — słyszałem tylko, jak facet kaszle i splota na asfalt. Nieco później do moich uszu dotarł cichy trzask blachy. Widocznie stanął na dachu lub masce samochodu.

Chciałem znaleźć się jak najbliżej wozu, więc podszedłem jeszcze kilka kroków. Potem, jak na bardzo zwolnionym filmie DVD, opadłem na kolana i zabezpieczyłem broń. Ledwie słyszalne kliknięcie bezpiecznika zabrzmiało w moich uszach jak uderzenie

młotem w kowadło. W końcu odłożyłem broń i powoli zdjąłem plecak, nieustannie spoglądając w kierunku wozu, wiedząc, że gdybym przeszedł jeszcze dwa metry, znalazłbym się w zasięgu wzroku mojego nowego kolegi i jego M-16.

Kiedy plecak znalazł się na ziemi, położyłem na nim karabin tak, że lufą celował w niebo — żeby łatwiej było go znaleźć. Pieprzyć ustawiony celownik, już nie będzie mi potrzebny. Bardzo powoli i ostrożnie wyjąłem z pochwy maczetę. Ostrze cicho brzęknęło, jakbym pociągnął nim po osetce, a nie wyjmował z brezentu okutego aluminium.

Ponownie położywszy się na brzuchu, trzymając w prawej ręce maczetę, ostrożnie ruszyłem naprzód na łokciach i czubkach palców nóg, starając się oddychać miarowo i powoli, ocierając zalewający mi oczy di-ti.

Dotarłem na skraj lasu, zaledwie pięć metrów od samochodu. Już widziałem jego przednie koło, z ubłoconym aluminiowym dekleklem i mokrą, prawie nową oponą.

Podkradłem się jeszcze kawałek, tak powoli, że ślimak wyglądałby przy mnie jak sprinter. Jeszcze parę metrów i w polu widzenia pojawił się chromowany próg oraz prawy błotnik, ale w szparze między nimi a trawą nie zobaczyłem nóg. Może facet siedział w środku albo — na co wskazywał zgrzyt blachy — stał na dachu. Oczy prawie wychodziły mi z orbit, gdy usiłowałem spojrzeć w górę, nie podnosząc głowy. Znow usłyszałem kaszel i splunięcie. Zdecydowanie był na zewnątrz, a nie siedział w samochodzie.

Odliczyłem sześćdziesiąt sekund, po czym znow ruszyłem. Wkrótce mnie usłyszy. Teraz nie mogłem nawet głośno przelknąć; znalazłem się tak blisko, że mógłbym wyciągnąć rękę i dotknąć opony.

W dalszym ciągu nie widziałem kierowcy, ale był nade mną, siedział na masce i rytmicznie bębnił piętami w błotnik po drugiej stronie wozu. Zapewne był zwrócony twarzą do drogi.

Wiedziałem, co powinienem zrobić, lecz musiałem przygotować się do tego psychicznie. W takich warunkach nie jest łatwo unieszkodliwić przeciwnika. Nie wiedziałem, z czym się spotkam, kiedy poderwę się z ziemi. Będę musiał błyskawicznie wybrać odpowiedni sposób działania. A jeśli w samochodzie jest drugi przeciwnik, który teraz śpi? Albo jeżeli facet mnie usłyszał i tylko czeka, aż wyskoczę z chaszczy?

Mobilizowałem się przez następne trzydzieści sekund, a nad moją głową unosiła się chmara owadów. Sprawdziłem, czy maczeta pewnie leży mi w ręku i jest zwrócona ostrzem we właściwą stronę. Nabrałem tchu i gwałtownie wstałem.

Siedział na błotniku z drugiej strony, zwrócony do mnie plecami, karabin zaś położył na masce, pod ręką. Usłyszał mnie, ale nie zdążył się odwrócić. Skoczyłem na niego, udami zawadzając o maskę, machając stopami w powietrzu. Zatoczyłem łuk prawą ręką i przytknąłem mu maczetę do szyi. Lewą złapałem za tępą krawędź ostrza i mocno pociągnąłem, starając się przyciągnąć jego głowę do swojej piersi.

M-16 zgrzytnął o maskę, gdy ciężar mojego ciała zaczął ściągać nas obu po błotniku. Facet wił się i wierzgał. Chwycił mnie za nadgarstki, usiłując oderwać maczetę od gardła, i wrzasnął. Mocno przycisnąłem jego głowę do mojej piersi i obaj upadliśmy. Powietrze ze świstem uszło mi z płuc, gdy uderzyłem plecami o ziemię, przygnieciony jego ciężarem. Obaj krzyknęliśmy z bólu.

Ścisnął rękami maczetę i wił się jak szalony, machając nogami na wszystkie strony, kopiąc w koło i błotnik. Rozsunąłem nogi i założyłem blok, wpychając stopę między jego łydki, po czym podrzuciłem biodrami i torsem, usiłując odchylić go do tyłu, nie odejmując maczety od jego szyi. Opuściłem głowę i szepnąłem mu do ucha:

— Cii!

Czułem, jak ostrze zagłębia się w fałdy skóry. Chyba już ją przecięło, gdyż poczułem ciepłą ciecz spływającą mi po palcach. Ponownie spróbowałem go uciszyć, i tym razem zrozumiał.

Odchylając się do tyłu, trzymałem go w takiej samej pozycji. Przestał się opierać i tylko ciężko dyszał. Wciąż czułem, jak zaciska dłonie na maczecie, ale już się nie szamotał. Znowu syknąłem mu do ucha.

Nie odezwał się i nie stawiał oporu, gdy ciągnąc za maczetę, zmusiłem go, żeby przetoczył się w prawo.

— No już, już, złaż ze mnie, złaż — powtarzałem, nie wiedząc nawet, czy rozumie po angielsku.

Niebawem przyciskałem piersią jego głowę, wduszając mu twarz w liście. Zerknąłem przez ramię, szukając M-16. Karabin leżał niedaleko. Zaczepiłem stopą o taśmę i przyciągnąłem go do siebie. Broń była zabezpieczona. To dobrze, bo to oznaczało, że jest załadowana i ma nabój w komorze, w przeciwnym razie w tym modelu nie można przestawić bezpiecznika. Na pewno rzuciłby się na mnie, gdyby wiedział, że grożę mu nieodbezpieczoną bronią.

Pociągał nosem, zatkany śluzem pod wpływem szoku, a dyszał tak ciężko, że leżąc na nim, czułem się jak na trampolinie. Wciąż ścisnąłem go nogami w pasie i ciężar jego bioder wgniatał mi kolano w błoto. Najważniejsze, że tylko ciężko dyszał i nie ruszał się — dokładnie to samo robiłbym na jego miejscu, ponieważ, tak jak on, chciałbym wyjść z tego cały.

Rozsunąłem nogi, wciąż przyciskając maczetę do jego szyi, a gdy tylko odzyskałem swobodę ruchów, natychmiast lewą ręką złapałem M-16. Potem, wciąż trzymając ostrze przy jego gardle, powoli wstałem, ostrożnie prostując się, aż stanąłem nad nim i mogłem cofnąć się o krok.

Dobrze wiedział, co się dzieje, i dokonał słusznego wyboru, leżąc zupełnie nieruchomo. Tylko skrzywił się z bólu, gdy odsuwałem ostrze od jego gardła. Nie było mocno pokaleczone, a nacięcia nie były głębokie. Odskoczyłem i wymierzyłem w niego M-16, który trzymałem w lewej ręce.

— Cześć — powiedziałem spokojnie.

Spojrzał na mnie z przestrawieniem. Przyłożyłem maczetę do warg

i znów powiedziałem „cii”, po czym ruchem głowy kazałem mu wstać. Usłuchał i bardzo powoli podniósł się, trzymając ręce w górze nawet wtedy, kiedy popchnąłem go w gąszcz, w kierunku mojego plecaka. Właściwie nie miałem na to czasu, ponieważ w każdej chwili mogli pojawić się jego koledzy, ale chciałem odzyskać karabin Carrie.

Doszliśmy do miejsca, gdzie leżał plecak. Kazałem mu położyć się na ziemi, a sam pospiesznie zarzuciłem mosina na ramię i wpełchnąłem maczetę do pochwy. Odciągnąłem rygiel M-16, żeby upewnić się, że nabój jest w komorze i obaj nie popełnimy żadnych głupstw.

Leżąc, gapił się na mnie kątem oka. Był przerażony i pewny tego, że zaraz wpakuję mu kulę w łeb. Uśmiechnąłem się.

— Mówisz po angielsku?

Nerwowo pokręcił głową, gdy zrobiłem dwa kroki w jego kierunku.

— *Como esta?*

Skinął głową, a ja zakładałem plecak.

— *Bien, bien.*

Podniosłem kciuk i posłałem mu szeroki uśmiech.

— Dobrze, dobrze.

Chciałem go trochę uspokoić. Ludzie uważający, że nie mają nic do stracenia, są nieobliczalni, ale jeśli będzie sądził, że przeżyje, zrobi, co mu każę.

Jeszcze nie wiedziałem, co pocznę z tym chłopcem. Nie chciałem go zabijać, ponieważ mógłbym narobić przy tym hałasu, a nie miałem czasu, żeby go dobrze związać. Nie miałem ochoty zabierać go ze sobą, ale nie było innego wyjścia. Nie mogłem po prostu wypuścić — w każdym razie nie tak blisko siedziby Charliego. Skinąłem głową.

— *Vamos, vamos.*

Podniósł się z ziemi, a ja lufą M-16 wskazałem na land cruisera.

— *Camion, vamos, camion.*

Mój hiszpański nie był najlepszy, ale facet załapał, o co chodzi,

i ruszyliśmy. Doszliśmy do samochodu, gdzie wrzuciłem plecak i karabin do bagażnika, a potem kazałem jeńcowi położyć się na podłodze przed fotelem pasażera i przytknąłem do koszuli na piersi lufę trzymanego na kolanach M-16. Bezpiecznik był przestawiony na ogień ciągły, a mój wskazujący palec spoczywał na spuście. Facet wiedział, że każda próba oporu z jego strony byłaby samobójstwem.

Kluczyk tkwił w stacyjce. Obróciłem go i przestawiłem dźwignię automatycznej skrzyni biegów. Ruszyliśmy. Land cruiser lśnił nowością i w jego wnętrzu unosił się jeszcze zapach salonu firmowego, dający mi dziwne poczucie bezpieczeństwa. Kiedy ruszyliśmy w kierunku Clayton i miasta, spojrzałem na mojego pasażera i uśmiechnąłem się.

— *No problema.*

Zrozumiałem, że nie sprawi mi już żadnych kłopotów. Dostrzegłem obrączkę na jego palcu i wiedziałem, o czym będzie myślał.

Deszcz miał spaść dziś wcześniej, sądząc po całej gamie odcieni szarych obłoków wiszących już tak nisko, że spowijały całunem zielone wzgórza w oddali. Niedługo pękną tamy niebios i lunie jak z cebra.

Co zrobić z moim nowym kumplem? Nie mogłem przejechać z nim koło kas przy wjeździe na autostradę. Jeśli już zaczęli go szukać, mógłbym wpaść w tarapaty.

Kiedy dojechaliśmy do placu zabaw dla dzieci przed jedną z kwater dla małżeństw, zatrzymałem samochód, wysiadłem i otworzyłem drzwi po stronie pasażera. Spojrzał na lufę wymierzonego w niego M-16.

— Uciekaj. Uciekaj.

Obrzucił mnie niepewnym spojrzeniem. Wysiadł, a ja popędziłem go kopniakiem i machnięciem ręki.

— Uciekaj!

Pobiegł truchtem w stronę huśtawek. Usiadłem za kierownicą i pojechałem w stronę wjazdu na autostradę. Zanim znajdzie telefon

i zawiadomi swoich, ja powinienem być już w mieście, daleko stąd. Na pewno nie groził mi atak z powietrza. Kiedy lunie, żadna maszyna nie zdoła wystartować. Ponownie zerknąłem na chmury, żeby się upewnić.

Sprawdziłem wskaźnik paliwa: zbiornik był prawie pełny. Nie wiedziałem, czy to wystarczy, ale nie przejmowałem się tym. Miałem gotówkę.

Wepchnąłem M-16 między drzwi a fotel, po czym podjechałem do wjazdu na autostradę.

33

Samochód podskakiwał na usianym kałużami szlaku przez dżunglę, rozpryskując na wszystkie strony fontanny wody i błota. Cieszyłem się, mogąc jechać z zamkniętymi oknami i cicho pomrukującą klimatyzacją. W ciągu dziesięciu minut powinienem dotrzeć do poręby i domu.

Deszcz zaczął padać, jak tylko dojechałem do El Chorrillo, spowalniając ruch pojazdów. Zanim wjechałem na Drogę Panamerykańską, z nieba runęła istna Niagara wody. Nie przestawało lać przez prawie godzinę. Potem chmury też wisiały nisko i groźnie, przez całą drogę do Chepo. Zatrzymałem się przy sklepie, przed którym dwa dni wcześniej siedział stary Indianin. Kupiłem dwie pepsy oraz torebkę kokosanek. Kiedy je pochłonałem, wygrzebałem z plecaka sezamki i butelkę z wodą.

Następny etap podróży minął bez żadnych dramatycznych wydarzeń, nie licząc kałuż błota i wody. Przez chwilę zastanawiałem się, co później zrobię z samochodem, ale teraz najważniejsze było to, żeby wrócić do Yanklewitzów i namówić ich do udzielenia mi pomocy. Może Carrie zdoła jakoś przekonać George'a, żeby odwołał akcję. Może sami potrafią to zrobić. Może uda mi się zerwać antenę satelitarną z dachu... Może, może.

Podsakając na fotelu, wyjechałem na otwartą przestrzeń i zobaczyłem, że chmury rozeszły się. Słońce jednak jeszcze zza nich nie wyjrzało i wokół nie było nikogo. Oba samochody stały zaparkowane przed domem, a agregat prądotwórczy cicho warczał, gdy mijalem rzędy doniczek, naciskając klakson, co chyba było tu powszechnie przyjętym zwyczajem.

Podjeżdżając pod dom, zobaczyłem Carrie, która podeszła do drzwi z siatką i wyjrzała na zewnątrz. Zaparkowałem i wysiadłem w parną duchotę. Carrie otworzyła mi drzwi, wyraźnie zaskoczona widokiem land cruisera. Zaczekałem, aż zawiasy przestały skrzypieć.

— Później to wyjaśnię... Wszystko się popieprzyło. Charlie już przekazał system naprowadzania rakiet... wczoraj wieczorem... To jeszcze nie koniec.

Moje ubłocone buciory zadudniły po deskach podłogi werandy, gdy minąłem Carrie i wszedłem do pokoju. Chciałem, żeby byli razem, kiedy przekażę im wieści. Wentylatory chodziły, a Aaron siedział w fotelu twarzą do mnie, pochylony nad stojącym na stoliku kubkiem kawy.

— Nick.

Bezwiednie zanurzył mały palec w ciemnym płynie i pozwolił, by krople ściekały na blat. Przywitałem się z nim, a drzwi znowu zaskrzypiały i zapiszczały. Carrie przystanęła za moimi plecami.

Ściszonym głosem, masując skroń i obracając się na fotelu, żeby sprawdzić, czy drzwi do pracowni komputerowej są zamknięte, powiedział:

— Michael nie żyje? Carrie po powrocie opowiedziała mi o tym. Odwrócił się do mnie, niezgrabnie chwycił kubek i upił łyk kawy.

— Nie, on żyje.

— Och, dzięki Bogu, dzięki Bogu.

Opadł na fotel i postawił kubek na udzie, ocierając brodę wolną

ręką. Carrie wciąż stała za mną przy drzwiach. Ona też odetchnęła z ulgą.

— Tak się martwiliśmy. Ojciec chciał cię powstrzymać zeszłej nocy, ale połączył się godzinę za późno. Stwierdził, że już nie jesteś potrzebny, i szalał ze złości, kiedy Aaron mu oznajmił, że już odjechałeś.

Odwróciłem się do niej.

— On naprawdę jest szalony — powiedziałem cicho. I dodałem dobitnie, żeby nie było wątpliwości: — Sądzę, że twój ojciec zamierza jutro zatopić raketą statek pasażerski *Ocaso*. Zrobią to, kiedy statek będzie w służbie Miraflores. Jeśli do tego dojdzie, zginie mnóstwo ludzi. Tysiące.

Zakryła dłonią usta.

— Co? Przecież masz zapobiec... Nie, nie, ojciec nigdy nie...

— George nie naciśnie żadnego guzika. — Wskazałem na lodówkę. — On to zrobi, ten z blizną na brzuchu. No wiesz, ten ze zdjęcia z dziećmi na plaży, twojego ulubionego. — Oboje powiedli wzrokiem w ślad za moim palcem. — Widziałem go w Miraflores, jak zwinął się, gdy tylko zauważył Aarona i mazdę. Był również w domu Charliego, we wtorek, a potem w nocy tutaj. Pozostał w samochodzie, nie chciał, żebyście go widzieli... Charlie powiedział mi, że to on odebrał od niego system...

— O Boże. Milton... — Oparła się plecami o ścianę i podniosła obie dłonie do gardła. — Milton w latach osiemdziesiątych był jednym z najbardziej zamieszanych w aferę Iran-Contras. Sprzedawali broń do Iranu, w zamian za zakładników z Libanu, a potem wykorzystali te pieniądze, żeby kupić więcej broni dla... Cholera.

Ręce jej opadły i do oczu zaczęły cisnąć się łzy.

— To jego praca, Nick, on tym się zajmuje.

— No cóż, właśnie załatwił sobie system naprowadzania rakiet i myślę, że zamierza zatopić jutro *Ocaso*.

— Nie, to niemożliwe, na pewno się mylisz — wyjąkała. — Rany boskie, mój ojciec nigdy by nie pozwolił, żeby coś takiego stało się Amerykanom.

— Ależ tak. — Aaron też miał coś do powiedzenia. — Klauzula DeConciniego. Pomyśl, Carrie, tylko pomyśl. — Nie odrywał od niej oczu i mówił z goryczą, starając się nie podnosić głosu. — George i ci faceci... zamierzają zatopić statek, żeby Stany Zjednoczone miały powód do powrotu tutaj. I wiesz co? Nas też w to wplątał. Mój Boże, bierzemy w tym udział. Wiedziałem, że dojdzie do czegoś takiego, mówiłem ci, że za tym kryje się coś więcej...

Carrie osunęła się na podłogę, może w końcu uświadamiając sobie, co ojciec naprawdę zrobił z jej życiem. Odwróciłem się, słysząc, jak Aaron drapie się po brodzie.

— Statek wpływa do śluzy jutro o dziesiątej rano. Mój Boże, co mamy robić?

Nie skierował tego pytania do mnie. Wciąż spoglądał na nią.

— Dlaczego cię w to wciągnął, co? Może chciałaś czegoś więcej niż paszportu. Może chciałaś mieć powód, żeby wrócić do Bostonu?

— Ja nie... ja nie wiedziałam, Aaronie. Proszę, uwierz mi, nie wiedziałam.

Zamilkł. Słyszałem, jak ciężko oddycha przez nos, usiłując się uspokoić. Potem zerknął na mnie.

— Ciebie też wykorzystali, Nick? — Wskazał palcem. — Tak samo jak ją?

— To historia mojego życia — powiedziałem. — Carrie, musisz porozmawiać z George'em, poprosić go albo uciec się do groźby.

Obejrzałem się, ale Carrie nie patrzyła na mnie. Błagalnie wpatrywała się w swojego męża. Aaron napotkał jej spojrzenie i powiedział cicho, lecz pełnym sarkazmu głosem:

— A dlaczego miałby odwołać akcję? Do diabła, on uważa, że to wspaniały pomysł. Tak wspaniały, że zrobił niespodziankę własnej córce, wplątując ją w to. — W jego oczach pojawił się błysk wściekłości, gdy powoli odstaawił kubek na stolik i pochylił się nad nim. — Wszyscy będą uszczęśliwieni. Wuj Sam, wróci i zrobi porządek, bankierzy, wojsko, prawica... wszyscy odzyskają swoją strefę. A jeśli

coś pójdzie nie tak, no to co, kto inny poniesie konsekwencje. — Wskazał na Carrie, znów przeszywając ją wzrokiem. — Ściśle mówiąc, ty, ja i Luz. Kurewsko wysoka cena za jeden paszport.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale Aaron jeszcze nie skończył.

— Nasze dziecko będzie dostawać listy od mamusi, pisane na więziennej papeterii Alcatraz, i to tylko wtedy, kiedy dopisze nam szczęście. To znaczy, jeśli cię nie posadzą na krześle elektrycznym. Ta sprawa zupełnie wymknęła się spod kontroli. Jak po tym wszystkim będziemy żyć? — Podniósł lewą rękę, pokazując obrączkę. — Tworzymy zespół, pamiętasz? Mówiłem ci, że to śmierdząca sprawa. Ostrzegałem, że on kłamie i wykorzystuje cię.

Osunął się na fotel, wycierając oczy palcami i drapiąc się po brodzie, po czym znowu sprawdził, czy drzwi do pracowni komputerowej są zamknięte.

Popatrzyłem na Carrie. Miała spuszczoną głowę i jej też płynęły z oczu łzy.

— Dziś wieczorem znów mam się z nim skontaktować... To nie miało być tak.

Zawsze to jakiś początek.

— Dobrze. Jeśli wyłączę obraz przekazywany przez kamerę ze słuzu, nadal będziesz mogła nawiązać z nim łączność?

Otworzyła usta, ale jeśli coś powiedziała, to nie usłyszałem odpowiedzi. Nad naszymi głowami rozległ się charakterystyczny świst wirnika. Wszyscy troje podnieśliśmy głowy. Dźwięk był tak donośny, jakby dom nie miał dachu.

Oboje rzucili się do pracowni komputerowej.

— Luz, Luz!

Podszedłem do drzwi z siatką przeciwmoskitową. Obejrzałem się i zobaczyłem, jak wpadają do drugiego pokoju. Cholera, kamera wciąż była włączona...

— Kamera, wyłączcie kamerę!

Przycisnąłem nos do siatki. Marzyłem, żeby mieć teraz M-16,

ale został w land cruiserze. Dwa granatowe śmigłowce zawisły nad budynkiem, już uwolnione od swojego ładunku. Tłum uzbrojonych w M-16 facetów w dzinsach biegł w kierunku werandy. Widocznie Michael przypomniał sobie spotkanie przy służbie i skojarzył mnie z Aaronem.

Uskoczyłem z powrotem w głąb pokoju, schodząc im z pola widzenia w tej samej chwili, gdy Aaron i Carrie przybiegli z przestraszoną Luz.

Warkot śmigieł był wprost ogłuszający. Jedna z maszyn zawisła chyba kilka centymetrów nad dachem, bo regał trząsł się tak, że książki spadały na podłogę. Przez siatkę drzwi widziałem lecące na wszystkie strony gałązki, suche liście i bryzgi błota, gdy tamci padali i podnosili się, ostrożnie i z bronią gotową do strzału, zbliżając się do werandy.

Aaron z nieruchomą jak kamienna maska twarzą gniewnie spoglądał nad głową Luz. Oboje klęczeli przy dziewczynce, kulące się na fotelu, mocno zaciskającej powieki. Usiłowali ją uspokoić.

Na tyłach domu i w magazynie słyszałem głosy ludzi mówiących po hiszpańsku.

Inni już wchodzili na werandę.

Było po wszystkim. Klęknąłem i podniosłem ręce do góry, wołając do Aarona i Carrie, usiłując przekrzyczeć świst wirników:

— Zachowajcie spokój ! Spokojnie, wszystko będzie dobrze!

Kłamałem. Nie miałem pojęcia, co będzie. Lecz jeśli wpadłeś w gówno, musisz przyjąć to do wiadomości. Nie pozostaje ci nic innego jak oddychać, zachować spokój i mieć nadzieję. Myślałem o porażce, o jej skutkach, i znowu poczułem mrowienie nóg. To nie był dla mnie dobry dzień.

Do pokoju wpadli ci, którzy weszli przez magazyn, a jednocześnie otworzyły się drzwi z siatką przeciwmoskitową. Wrzeszczeli jak szaleni i przez chwilę obawiałem się, że zaraz sami się wystrzelają. Klęczałem z pochyloną głową i czułem, jak deski podłogi uginają się pod ich ciężarem. Kątem oka zauważyłem jakiś ruch: to

zmienił się obraz na monitorze peceta. *Cholera!*

Zaryzykowałem, podniosłem głowę i zobaczyłem ulgę na ich twarzach, kiedy nie napotkali żadnego oporu. Na cywilnych ubraniach wszyscy nosili pasy z czarnego nylonu, przytrzymujące zapasowe magazynki. Czterej uzbrojeni mężczyźni otoczyli Aarona i Carrie, wciąż klęczących przy fotelu i uspokajających Luz. Ta krzyczała piskliwie, przerażona widokiem wycelowanych w nią luf.

Pozostałem na klęczkach, nie przyglądając się nikomu i niczemu, tylko starając się wyglądać na przestraszonego. Jedno było pocieszające: wiedziałem, że czegoś od nas chcą, inaczej natychmiast by nas zastrzelili. Wszystkie karabiny miały bezpieczniki przestawione na ogień ciągły.

Nie ruszałem się i oddychałem miarowo, próbując zachować spokój i trzeźwo myśleć, ale nie szło mi to najlepiej.

Kiedy uzbrojeni ludzie są wzburzeni i przestraszeni, wszystko może się zdarzyć. Szczególnie że oglądając ich z bliska, a nie przez lunetę, zauważyłem, że niektórzy z nich dopiero niedawno zaczęli się golić. Wystarczy, żeby jakiś nerwowy młodzik pociągnął za spust, a wszyscy zaczęliby strzelać na oślep.

Wokół mnie krążyły buciory i sportowe buty, a ich przywódca wydawał rozkazy, usiłując przekrzyczeć łoskot śmigieł. Z krótkofalówek płynął szum, z którego nawet oni nic nie mogli zrozumieć.

Ktoś pchnął mnie butem między łopatki, przewracając na podłogę. Upadłem na brzuch, amortyzując upadek rękami, które zaraz grzecznie splotłem na karku. Zostałem pospiesznie obszukany i pozbawiony wszystkiego, co miałem w kieszeniach, w wyniku czego poczułem się nagi i zgnębiony.

Błyszcząca nokia powędrowała do czyjejs kieszeni, gdy łoskot śmigieł zaczął cichnąć, pozostawiając pustkę, którą zaraz wypełniły krzyki, odgłosy uderzeń kolbami w blachę i plądrowania magazynu. Założę się, że napychali kieszenie wszystkim, co tylko mogło się w nich zmieścić.

Łopot śmigieł powoli się ściszał i zastąpiło go piskliwe wycie turbin; w obu maszynach wyłączono silniki.

Kiedy ich wizg się urwał, Carrie i Aaron też przycichli, ale wciąż usiłowali uspokoić Luz. W magazynie odbijał się echem szum krótkofalówki, z której płynął potok hiszpańskich słów. Poza tym teraz w domu zapadła cisza. Może to ten łopot śmigieł doprowadzał ich do szalu.

Po chwili usłyszałem warkot złejszej maszyny. Poczulem ssanie w brzuchu i zrozumiałem, że ten kiepski dzień zaraz stanie się jeszcze gorszy. Możliwe, że nie zabili nas od razu tylko dlatego, że Charlie chciał zrobić to osobiście.

34

Jak tylko ucichł świst śmigieł jet rangera, stanowczym głosem ktoś wydał kilka rozkazów i napastnicy zaczęli wybiegać z pokoju. Pozostało tylko trzech, którzy mieli nas pilnować: dwóch nerwowych młodzików i jeden starszy, po trzydziestce.

Na werandzie słyszałem ożywioną paplaninę. Chłopcy pewnie przechwalali się swoją odwagą, wykazaną w czasie ataku. Trzymałem głowę zwróconą w lewo.

Tamci troje w dalszym ciągu kulili się na fotelu. Znajdująca się najbliżej mnie Carrie tuliła Luz i gładziła ją po głowie. Aaron nie odrywał od niej oczu. Z jego twarzy trudno było coś wyczytać. Wydawało mi się, że widzę na niej tylko gniew, ale nagle wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

Na tyłach domu słychać było głosy ludzi mówiących spokojniej i z lepszym akcentem niż ci chłopcy wymachujący bronią. Lekko odchyliłem głowę i zerknąłem w bok, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Do pokoju wmaszerował Charlie, ubrany w granatowy garnitur i białe półbuty, w towarzystwie trzech lub czterech swoich ludzi, trajkoczących do niego niczym doradcy do prezydenta. Sunął w moją stronę, jakby prócz mnie nie potrzebował niczego, nawet tlenu. Naprawdę się przestraszyłem.

W tym momencie nic nie mogłem zrobić. Jeśli dostrzegę choć

cień szansy, spróbują ją wykorzystać, ale na razie mogłem jedynie odwrócić głowę i czekać. Cokolwiek się stanie, wiedziałem, że nie będzie to przyjemne.

Szli w moim kierunku, cicho rozmawiając między sobą, gdy nagle zawołał ich jeden z tych, którzy zostali w pracowni komputerowej. Usłyszałem pisk gumowych podeszew na deskach podłogi i cała grupka natychmiast zawróciła i poszła do wołającego.

Spojrzałem tam i zobaczyłem, jak pochylają się nad pecetem; ekran monitora zamigotał i odświeżył się, powoli ukazując obraz śluzu. Jeden z nich wskazał palcem ekran i trajkotał z ożywieniem, jakby pokazywał Charliemu prezentację multimedialną. Pozostali zgodliwie kiwali głowami.

Zerknąłem w kierunku fotela. Aaron i Carrie niespokojnie patrzyli nad głową Luz na ich poczynania. Aaron odwrócił się i spojrział na żonę, jednocześnie pochylając się, żeby ucałować w czoło łkającą Luz. Za moimi plecami wciąż paplali faceci na werandzie.

Dostrzegłem, że jeden z mężczyzn odchodzi od komputera i wraca do salonu. Przebrał się po tym, jak ukradłem mu land cruisera, i teraz miał na sobie czyste, nowiutkie rzeczy. Na pokaleczonej szyi widniał opatrunek z gazy przytrzymywanej przylepcem, a na ustach szeroki uśmiech. Maszerował ku mnie.

Spuściłem głowę, zacisnąłem zęby i napiąłem mięśnie.

Przykucnął przede mną, tak że spojrzeliśmy sobie w oczy.

— *Como esta, amigo?*

Wydatne jabłko Adama poruszało mu się pod lekko zakrwawionym opatrunkiem. Kiwnąłem głową.

— *Bien, bien.* Podniósł kciuk w górę.

— *Si, dobrze, dobrze.*

Wciąż naprężyłem mięśnie, ale nic się nie stało. Robił sobie jaja. Mimo woli uśmiechnąłem się do niego, a on wstał i wrócił do pracowni komputerowej, gdzie zamienił kilka zdań z Charliem,

zapewne mówiąc mu, że mnie poznaje, i być może potwierdzając, że jestem jedynym wykonawcą tej operacji.

Charlie sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego. Nawet na mnie nie spojrział. Uśmiechnął się i poklepał po policzku faceta z land cruisera, który oddał mu plastikowy woreczek z moimi dokumentami. Potem Charlie wrócił do komputera i podjął przerwana rozmowę ze swoimi doradcami.

Zanim wyszedł przez magazyn, mój przyjaciel z land cruisera schował do kieszeni zwitek banknotów, który wyjął z mojego woreczka. Kilka sekund później w jednym z hueyów włączono silniki i śmigłowiec zawył turbinami. Zabierał część oddziału.

Wystartował i z rykiem przemknął nad dachem w chwili, gdy ci przed komputerem zakończyli naradę. Wrócili do salonu, Charlie na przodzie, niosąc plastikowy woreczek z moimi dokumentami. Ruszył prosto do mnie. Przyciągnąłem brodę do ramienia.

Tuż przed oczami zobaczyłem jego zabłocone sportowe buty; były tak nowe, że skaj jeszcze nie zdążył się pomarszczyć. Mocniej przycisnąłem brodę do ramienia, gdy przykucnął, aż trzasnęło mu w kolanach, i złapał mnie za włosy. Nie stawiałem oporu, bo i po co?

Nasze spojrzenia się spotkały. Oczy miał piwne i przekrwione, niewątpliwie na skutek wybuchu. Na skórze dostrzegłem mnóstwo punkcików po odłamkach szkła, a na szyi opatrunek, taki sam jaki miał facet z land cruisera. Mimo wszystko nie wyglądał na rozgniewanego.

Patrzył na mnie z nieprzeniknioną miną. Czulem zapach jego wody kolońskiej i słyszałem cichy brzęk stalowej bransolety zegarka, gdy drugą ręką złapał mnie za brodę. Miał miękką dłoń i starannie wymanikiurowane paznokcie. W jego oczach nie było gniewu ani żadnego innego uczucia.

— Dlaczego jesteście tacy głupi? Chciałem tylko mieć pewność, że to urządzenie nie zostanie użyte w Panamie. Oddałem wam system naprowadzający. Żądałem jedynie gwarancji, to wszystko.

— Rzucił moje dokumenty na podłogę. — Zamiast tego grozicie mojej rodzinie...

Rozluźniłem mięśnie szyi, pozwalając mu potrząsać moją głową.

— Zgodziłem się i wziąłem resztę waszych pieniędzy, a wy zapewniliście mnie, że wszystko jest w porządku, że to tylko interes. Mimo to próbujesz zabić mojego syna. Czy wiesz, kim jestem? Wiesz, co mogę zrobić tobie i wam wszystkim?

Trzymał mnie za włosy i patrzył w oczy. Jego twarz była nieprzenikniona.

— Zamierzacie posłużyć się sunburnem do zatopienia statku w śluzie Miraflories, prawda? — Znowu mną potrząsnął. — Nie obchodzi mnie, dlaczego to robicie. Ale wiem, że w wyniku tego Amerykanie wróciliby tutaj, a to bardzo mnie obchodzi.

Kiedy mną potrząsał, widziałem plastikowy woreczek z moim paszportem i portfelem, rzucony na podłogę obok regału, a także zaczerwienione i wystraszone twarze Aarona i Carrie, którzy wciąż tulili skuloną na fotelu Luz. Charlie nachylił się nade mną i szepnął mi do ucha:

— Chcę wiedzieć, gdzie jest rakietka i kiedy nastąpi atak. Jeśli mi nie powiesz, to cóż, niektórzy z moich ludzi są niewiele starsi od tej małej na fotelu i, jak wszyscy młodzi, chętnie sprawdzą swoją męskość... Rozumiesz mnie, no nie? Sami ustaliliście takie zasady, zgodnie z którymi można zabijać dzieci, prawda?

Trzymał mnie za włosy, czekając na odpowiedź. Spojrzałem mu w oczy i wyczytałem w nich to, co chciałem wiedzieć: że nikt z nas nie wyjdzie z tego żywy... bez względu na to, co powiemy lub zrobimy.

Aaron przerwał milczenie.

— To tylko najemnik — powiedział głośno i stanowczo. — Przyślali go tutaj, żeby zmusił pana do oddania tego systemu naprowadzającego. On nic nie wie. Nikt z nas nie ma pojęcia, gdzie znajduje się sunburn, ale o ósmej trzydzieści wieczorem mogę nawiązać

łącność i dowiedzieć się tego. Zrobię to, jeśli puści pan tych troje.

Przyglądałem się Charliemu, gdy spoglądał na Aarona. Yankle-witz dobrze to wymyślił, chociaż trochę naiwnie. Carrie prychnęła gniewnie.

— Nie, nie! Co ty mówisz? — I błagalnie zwróciła się do wciąż pochylonego nade mną Charliego: — Proszę, on...

Aaron przerwał jej.

— Zamknij się. Dość już tego. To musi się skończyć natychmiast!

Charlie puścił mnie i opadłem na podłogę, uderzając o nią policzkiem. Nie spodobało mu się to, że ubrudził sobie ręce moimi włosami, więc wytarł dłonie o moją koszulę, zanim podszedł do stolika do kawy. Aaron nie spuszczał go z oka.

— Ósma trzydzieści. Do tego czasu nic nie mogę zrobić. Niech pan ich puści.

Pogładził Luz po głowie.

Charlie wymamrotał kilka poleceń do otaczających go ludzi i odszedł w kierunku kuchni, nie zaszczycając mnie już spojrzeniem. Aaron i Carrie najwidoczniej zrozumieli, co powiedział, ponieważ wstali razem z Luz, gdy dwaj strażnicy ruszyli ku nim. Carrie wciąż usiłowała przemówić Aaronowi do rozumu.

— Co ty wyprawiasz? Wiesz, że on...

Potraktował ją szorstko.

— Zamknij się! Natychmiast się zamknij ! — Pocałował ją w usta. — Kocham cię. Bądź silna. — Potem nachylił się i pocałował Luz, zanim strażnicy wyprowadzili go do pracowni komputerowej. — Pamiętaj, Nick — zaśmiał się po drodze. — Wiking zawsze pozostanie wikingiem. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Znikł za drzwiami, mamrocząc po hiszpańsku jakieś wyjaśnienia lub usprawiedliwiając się przed tymi dwoma, którzy go prowadzili.

Za moimi plecami zaskrzypiały drzwi i ktoś rzucił kilka rozkazów

chłopcom na werandzie. Carrie i Luz zapędzono do sypialni dziewczynki i zamknięto drzwi. Charlie zdążył już sprawdzić dzbanek do kawy, a teraz oglądał kubki. Najwidoczniej doszedł do wniosku, że kawa jest paskudna albo kubki nie dość czyste, bo wrócił do mnie i znów przykucnął, zaglądając mi w oczy.

— W niedzielę, w Londynie... byłeś tam?

Wytrzymałem jego wzrok. Byliśmy jak dwoje dzieci bawiących się z sobą w grę o to, kto dłużej wytrzyma. Nie odzywałem się. Wzruszył ramionami.

— To nie ma znaczenia, już nie. Ważny jest tylko sunburn. Chcę go odzyskać. Czy wiesz, ile za niego zapłaciliście?

Zamrugalem, ale wciąż patrzyłem mu w oczy. Pieprzyć go, i tak już po nas.

— Dwanaście milionów dolarów amerykańskich. Zamierzam sprzedać ten system jeszcze raz. Myślę, że to będzie dobry interes. — Wstał i znów strzeliło mu w stawach kolanowych. Nabrał tchu. — Wygląda na to, że wkrótce nastąpi eskalacja wojny na południu. Sądzę, że FARC chętnie skorzysta z możliwości zakupienia tego systemu, powiedzmy na wypadek gdyby Amerykanie przysłali tu flotę lotniskowców jako wsparcie sił lądowych. — Uśmiechnął się. — W końcu Rosjanie zaprojektowali ten pocisk do zwalczania konkretnych celów, czyli amerykańskich lotniskowców.

Popchnięto mnie w kierunku sypialni i kiedy otworzyłem drzwi, zobaczyłem Carrie i Luz skulone na łóżku. Carrie gładziła małą po głowie. Spojrzała z przerażeniem, słysząc skrzypnięcie drzwi. Uspokoiła się, gdy dostrzegła w nich mnie.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Podeszedłem do łóżka, usiadłem przy nich i przyłożyłem palec do ust.

— Musimy wydostać się stąd, zanim ta banda zdąży rozstawić warty.

Popatrzyła na córkę i pocałowała ją w czoło.

— Co on wyprawia? Przecież nic nie wie. George nie powie mu... — szepnęła.

— Nie wiadomo, bądź cicho.

Dopiero teraz zrozumiałem, co próbował zrobić Aaron, ale nie zamierzałem jej tego wyjaśniać.

Wstałem i podszedłem do okna, które z drugiej strony było zabezpieczone siatką przeciwmoskitową. Osadzone na bocznych zawiasach okna, otwierane do wewnątrz, były pokryte kremową, łuszczącą się farbą, która już dawno zeszyła z zawiasów. Miałem nadzieję, że w wyniku częstego otwierania. Siatkę przytrzymywały drewniane uchwyty, obracające się na śrubach. Patrzyłem przez nią na oddalony o dwieście metrów skraj dżungli, gdy za moimi plecami odezwała się Luz:

— Czy tatuś tu przyjdzie?

— Pewnie, dziecino, niedługo — uspokoiła ją Carrie.

Ziemia wokół domu była usłana potłuczonymi dachówkami, zerwanymi przez podmuch. Z werandy po lewej dobiegał głośny gwar rozmów i wybuchy śmiechu. Obejrzałem okno, wciąż myśląc o Aaronie. Wcale nie był taki naiwny, jak myślałem. „Wiking zawsze pozostanie wikingiem”. Będzie mordował, palił i grabił. Charlie nigdy się nie zmieni. Aaron przypomniał mi o tym. Podobnie jak ja doszedł do wniosku, że nie ma mowy, by Choi darował nam życie.

Spodziewałem się, że okno stawi opór, ale dało się otworzyć jednym pociągnięciem. Natychmiast je zamknąłem i podszedłem do łóżka.

— Oto co zrobimy. Wyjdziemy przez to okno i pobiegniemy do tamtych drzew.

Luz spoglądała na matkę, lecz teraz szybko odwróciła głowę do mnie. Łzy płynęły jej po twarzy.

— A co z tatusem?

— Wróć po niego później. Teraz nie ma na to czasu. Musimy natychmiast uciekać.

Luz błagalnie popatrzyła na matkę.

— Nie możemy — powiedziała Carrie. — Nie możemy go zostawić. Co będzie, kiedy zobaczą, że nas nie ma? Jeśli tu zostaniemy i

nie będziemy ich drażnić, nic się nam nie stanie. My nic nie wiemy, dlaczego mieliby nas skrzywdzić?

Zawyły turbiny jet rangera i po chwili zawirowały łopatki śmigieł. Zaczekałem, aż wejdą na najwyższe obroty, po czym przysunąłem usta do ucha Carrie.

— Aaron wie, że umrzemy, tak czy inaczej. Jeśli nawet George mu powie, gdzie jest pocisk. Rozumiesz? Zabiją nas wszystkich.

Śmigłowiec wystartował, a ona przycisnęła swoją głowę do głowy Luz. Nie przestawałem mówić jej do ucha:

— On zamierza zyskać na czasie, żebym mógł was ocalić. Musimy uciekać ze względu na Luz i Aarona. On tego chce.

Zgarbiła się przygnębiona i znów przytuliła córkę.

— Mamusiu?

Ten płacz był zaraźliwy. Teraz obie łkały, tuląc się do siebie, gdy warkot jet rangera cichł w oddali.

35

Do zmroku pozostała jeszcze godzina, lecz już wiedziałem, co trzeba zrobić. Musimy wydostać się stąd tak szybko, jak tylko się da.

Z werandy wciąż dobiegał gwar i śmiechy przypominające mi o ryzyku, jakie zamierzaliśmy podjąć. Jeśli ktoś stał na warcie przed werandą, to będzie nas miał jak na dłoni, kiedy spróbujemy pokonać dwieście metrów otwartej przestrzeni. Przebiegnięcie takiego dystansu po grząskiej ziemi zajmie nam co najmniej dziewięćdziesiąt sekund, a to piekielnie dużo czasu dla strzelca mającego cię na muszce M-16.

Kto jednak wie, co może przynieść następna godzina? Mogli nas rozdzielić i umieścić w oddzielnych pomieszczeniach, zabić, a nawet wsadzić do pozostałego śmigłowca i wywieźć. Nie mieliśmy na to żadnego wpływu, a zwlekając, zmarnowalibyśmy szansę, jaką dał nam Aaron.

Patrząc przez okno i siatkę, bez trudu wytyczyłem drogę ucieczki: najpierw w dół, a potem w prawo, między drzewa. Będziemy uciekać nieco na skos od frontowej ściany i werandy, ale w pewnej chwili przestanie nas zasłaniać narożnik budynku i znajdziemy się w polu widzenia pilota hueya. Czy załoga pozostała w środku? Może pilot sprawdzał maszynę? Takie rozważania nie miały teraz sensu. To nie problem z zakresu nauk ścisłych: jeśli zginiemy, myliłem

się, a jeśli przeżyjemy, miałem rację. Kiedy pochłonie nas ściana zieleni, będziemy stosunkowo bezpieczni. Trzeba będzie spędzić noc na gołej ziemi i przez następny dzień przedzierać się przez gąszcz, idąc wzdłuż drogi przez dolinę. W nocy przejdziemy przez cmentarzysko drzew, za dnia ukrywamy się w jakimś wykrocie, następnie dotrzemy do Chepo. A potem... kto wie? Później będę się o to martwił. Jeśli chodzi o Aarona, to wątpię, czy żyje dłużej niż do ósmej trzydzięci.

Carrie i Luz wciąż tuliły się do siebie na łóżku. Podszedłem do nich. Spoglądała na nas z plakatu na ścianie Britney Spears.

— Pobiegniemy w kierunku drzew.

Luz niepewnie spojrzała na matkę.

— Musicie pamiętać o tym, żeby nie biec blisko siebie, dobrze? W ten sposób trudniej będzie nas zauważyć.

Carrie oderwała wzrok od córki i zmarszczyła brwi. Rozumiała, że to nie jest prawdziwy powód. Wiedziała, że jedna seria z M-16 może skosić całą naszą trójkę, a jeśli się rozproszymy, trudniej będzie nas trafić. Luz pociągnęła ją za rękę.

— A co z tatusem?

Widziałem, że Carrie z trudem powstrzymuje łzy, i położyłem dłoń na jej ramieniu.

— Wróć po niego, Luz, nie martw się. On chciał, żebym najpierw ukrył was w dżungli. Pragnie mieć pewność, że jesteście bezpieczne.

Niechętnie kiwnęła głową. Znowu usłyszeliśmy gwar na werandzie i odgłosy kroków za drzwiami. Powinniśmy jak najszybciej wynieść się stąd.

— Gdybyśmy się pogubili — powiedziałem cicho — uciekniecie beze mnie między drzewa, potem pójdziecie w prawo, na koniec poręby, i tam na mnie zaczekacie. — Spojrzałem na Luz. — Nie wychodź, gdyby ktoś cię wołał, nawet twój tatuś, ponieważ to będzie podstęp. Wyjdź tylko wówczas, gdy usłyszysz mój głos. Rozumiesz? Kiedy będziecie bezpieczne, wróć tam po niego.

W razie potrzeby później jakoś sobie z tym poradzą, ale teraz musiałem skłamać, żeby się uspokoiły i zrobiły to, za co miał oddać życie Aaron.

— Gotowe?

Obie skinęły głowami.

— Najpierw ja, a potem wy, dobrze? — dodałem, spoglądając na Luz.

Przestałem szeptać i wróciłem pod okno. Carrie podeszła ze mną i spojrzała na skraj dżungli, nasłuchując śmiechów na werandzie.

— Są na zewnątrz, Nick, na werandzie, czy to nie...

— Nie mamy czasu.

— Jak zamierzasz dotrzeć do tych drzew nie...

— Przygotuj się.

Miała rację. Jak się tam dostaniemy? Nie miałem pojęcia. Wiedziałem tylko to, że nie ma czasu na żadne skomplikowane plany, nawet gdybym zdołał jakiś wymyślić. Po prostu musimy to zrobić. Tutaj i tak mieliśmy umrzeć, więc każda inna możliwość to czysty zysk.

Otworzyłem okno, wpuszczając do pokoju ćwierkanie świerszczy i głosy chłopców na werandzie. Pomyślałem sobie o zakładniku z Bejrutu, który mógł uciec podczas pierwszych kilku dni po porwaniu, kiedy zostawiono otwarte okno w toalecie. Nie zrobił tego, nie wykorzystał szansy. Musiał żałować swego postępuku przez następne trzy lata.

Mój umysł pracował automatycznie, skupiony wyłącznie na działaniu. Pieprzyć ich, pieprzyć ten gwar na werandzie, pieprzyć hueya. Niemal chciałem, żeby nas zobaczyli.

Zaskrzypiały drewniane kołki, gdy obracałem je, żeby zdjąć siatkę. Lekko stuknęła o framugę, kiedy chciałem ją ściągnąć. Zamarłem, czekając, aż gwar na werandzie zmieni się w gniewne okrzyki. Tak się nie stało. Pchnąłem ponownie i tym razem udało się. Powoli i ostrożnie opuściłem siatkę na ziemię. Z werandy dobiegł mnie tupot buciorów i trzask frontowych drzwi, gdy postawiłem ramę na błotnistej ziemi i potłuczonych dachówkach.

Wgramoliłem się na parapet i zsunąłem na zewnątrz. Moje buciory z cichym plaśnięciem opadły na ziemię. Odstawiłem siatkę na bok i skinąłem na Luz, nawet nie zerknąwszy w stronę werandy. Gdyby mnie zauważyli, już bym o tym wiedział. Lepiej skupić się na robocie, niż przejmować czymś, na co nie mam żadnego wpływu.

Matka pomogła malej, chociaż ta nie potrzebowała pomocy, a ja wzięłem ją na ręce i postawiłem na ziemi. Jedną ręką przytrzymując Luz pod ścianą, drugą wyciągnąłem do Carrie, gdy chłopcy na werandzie rykiem śmiechu skwitowali jakiś żart i dało się słyszeć szuranie przesuwanych krzeseł.

Po chwili Carrie też była na dole. Przytrzymałem ją pod murem, obok Luz, po czym wskazałem na skraj dżungli po prawej. Podniosłem kciuk, ale nie zareagowały, więc nabrałem tchu i pobiegłem. Wiedziały, co mają robić.

Po kilku krokach błoto spowolniło nasz bieg do truchtu. Instykt nakazał nam skulić się i przygiąć do ziemi. Popychałem je i energicznymi gestami przypominałem o zachowaniu odstępu, lecz na próżno. Luz trzymała się blisko matki i niebawem biegly, trzymając się za ręce i ciężko dysząc, pięć lub sześć metrów przede mną.

Ziemia była śliska jak lód i dwukrotnie rozciągnąłem się na niej jak długi, ale pokonaliśmy ze sto metrów. Po prawej w polu naszego widzenia pojawił się helikopter stojący na samym skraju poręby. Nie dostrzegłem nikogo w pobliżu czy w środku ani żadnego wartownika z tyłu domu. Truchtaliśmy w dalszym ciągu.

Pozostało nam najwyżej trzydzieści metrów, gdy usłyszałem pierwsze wystrzały. Nie były to długie, niecelne serie, ale pojedyncze, mierzone strzały.

— Biegiem! — zawołałem. — Biegnijcie dalej!

Z koron drzew poderwało się stado kolorowo upierzonych ptaszków.

— Biegiem, biegiem! — popędzałem.

Nie oglądałem się za siebie. W niczym by nam to nie pomogło.

Carrie, wciąż ściskając dłoń córki, nie odrywała oczu od dżungli, niemal ciągnąc za sobą Luz, która krzyczała ze strachu.

Za naszymi plecami padały strzały, a pociski ze świstem przelatywały nam nad głowami. Mój mózg usiłował przed nimi uciec, nakazując ciału poruszać się z szybkością miliona kilometrów na godzinę, lecz nogi niosły mnie sto tysięcy razy wolniej.

Kiedy pozostało nam do pokonania zaledwie dwadzieścia metrów otwartej przestrzeni, kule zaczęły przelatywać coraz bliżej. Wystrzałem towarzyszyły pacnięcia, z jakimi uderzały w błoto przed nami i obok nas, aż zacząłem słyszeć tylko niemal rytmiczne „bach-lup, bach-lup”; kanonada przybrała na sile.

— Biegiem, biegiem!

Wpadły między drzewa, wciąż nieco przede mną i na prawo.

— W prawo, w prawo!

Niemal w tej samej chwili usłyszałem krzyk. Na pół westchnienie, na pół zduszony jęk bólu, kilka metrów dalej, w dżungli. Kule przelatywały wokół, z wizgiem rykoszetując od pni drzew. Opałem na czworaki, łapiąc oddech.

— Luz! Odezwij się! Gdzie jesteś? Gdzie jesteś?

— Mamusiu, mamusiu!

„Wii, wii”...

— Luz! Nie wstawaj! Nie ruszaj się!

Pojedyncze strzały przeszły w długie serie. Zacząłem się czołgać. Strzelali, mierząc w to miejsce, gdzie wpadliśmy między drzewa. Powinniśmy przeczołgać się w prawo, w dół, aby kryło nas nachylenie zbocza. Liście stanowiły osłonę, ale nie chroniły przed kulami.

— Już idę, leż i nie ruszaj się!

Niektóre serie były długie i niecelne, gdyż odrzut podrywa lufę w górę, inne jednak były krótkie, oddawane przez doświadczonych strzelców, którzy wypuszczali po pięć, sześć pocisków. W tym hałasie usłyszałem warkot zapuszczanego silnika.

Pełznąć po ściółce, pokonałem sześć lub siedem metrów, zanim je znalazłem. Carrie leżała na plecach, ciężko dysząc, z szeroko otwartymi oczami, zapłakanymi i wielkimi jak spodki. Spodnie miała zakrwawione na prawym udzie i z dziury w materiale sterczało coś, co wyglądało na odłamek kości. Zraniona noga wydawała się krótsza od zdrowej, a stopa leżała bokiem na ziemi, palcami na zewnątrz. Widocznie kula trafiła w kość udową. Luz pochylała się nad nią, nie wiedząc, co robić, wpatrując się z otwartymi ustami w zakrwawione spodnie.

Strzały ucichły, ale krzyki i warkot silnika przybierały na sile. Złapałem Carrie za ręce i, przesuając się na tyłku, zacząłem ciągnąć ją po liściach w kierunku umówionego miejsca spotkania — na skraj poręby, spod ostrzału. Luz podążała za nami na czworakach, głośno szlochając.

— Cicho! Usłyszysz cię!

Zdołaliśmy pokonać zaledwie kilka metrów. Carrie nie mogła powstrzymać jęków bólu, gdy zaczęła lub zawadzała zranioną nogą o chaszczę. Zakrywała usta rękami, żeby stłumić krzyk. To przynajmniej świadczyło o tym, że oddycha i nie straciła czucia w dolnej połowie ciała. Dobry znak, ale razem z Luz robiły tyle hałasu, że było tylko kwestią czasu, zanim tamci je usłyszą.

Zerwałem się na nogi, złapałem Carrie za rękę i strażackim chwytem zarzuciłem ją sobie na plecy. Wrzasnęła, gdy jej zraniona noga zakołysała się w powietrzu, zanim ją przytrzymałem. Długimi susami pogałem przez zarośla, jedną ręką usiłując trzymać nogę, a drugą ponaglając Luz, którą ciągnąłem za włosy, ubranie, a czasem za kark, byle tylko posuwała się naprzód.

W powietrzu migotały już chrząszcze, a za nami słychać było wyjący na wysokich obrotach silnik. Tamci pruli dżunglę krótkimi seriami, wypuszczanymi na oślep. Wciąż celowali w to miejsce, gdzie wpadliśmy w gąszcz.

Trafiliśmy na kępę poczekajek, które uczepiły się nogi Carrie. Wrzasnęła z bólu, a ja wykonałem półobrót, uwalniając ją dobrze

wiedziałem, że końce złamanej kości udowej mogą zadziałać jak nożyce, rozcinając mięśnie, nerwy, ścięgna i więzadła, a nawet, co było najgorsze, przeciąć tętnicę. W tym ostatnim wypadku w kilka minut byłoby po niej. Ale co miałem robić?

Pognałem dalej, w dół po łagodnym zboczach. Domyślałem się, że znajdujemy się mniej więcej na tej samej wysokości, co stojący na skraju poręby śmigłowiec. Wciąż słyszałem huk strzałów i świst kul, lecz dżungla szybko tłumiała te odgłosy i wyglądało na to, że wydostaliśmy się z rejonu bezpośredniego zagrożenia.

Chrząszcze przypomniały mi, że muszę zaraz się zatrzymać i opatrzeć Carrie. Powinienem zrobić to, dopóki jeszcze jest jasno.

Potruchtalem w kierunku poręby, aż dostrzegłem jej otwartą przestrzeń, a wtedy pociągnąłem za sobą Luz, zmierzając na skraj dżungli. Tam w końcu mogłem położyć Carrie. Ułożyłem ją tak, aby stopy miała zwrócone w stronę poręby.

Strzały z M-16 padały już tylko sporadycznie, ale dochodziły odgłosy jeżdżącego tam i z powrotem samochodu oraz głośne krzyki. Nie przejmowałem się tym. W razie potrzeby możemy zaszyć się w gąszczu. Teraz musiałem opatrzeć ranną.

Carrie leżała na plecach, ciężko dysząc, z twarzą wykrzywioną z bólu. Ja robiłem to samo, usiłując złapać oddech. Luz klęczała przy matce i pochylała się nad nią. Łagodnie odciągnąłem dziewczynkę.

— Musisz pomóc mamie i mnie. Chcę, żebyś uklękła tutaj, za moimi plecami. Gdyby ktoś się pojawił, odwrócisz się i klepniesz mnie w ramię. Nie krzycz, tylko mnie klepnij.

Dobrze? Zrobisz to?

Luz spojrzała na matkę, a potem znów na mnie.

— Dobrze, bo to naprawdę ważne.

Usadowiłem ją za moimi plecami, twarzą do dżungli, a potem odwróciłem się do Carrie. Nie zdołamy dotrzeć do miasta, ale nie

to było teraz moim największym zmartwieniem. Niepokoił mnie stan rannej.

Zmagala się z bólem, zaciskając zęby. Miała zakrwawioną nogę. Arteria nie była przerwana, w przeciwnym razie straciłaby już morze krwi, jeśli jednak nie uda mi się powstrzymać krwawienia, w końcu dostanie wstrząsu i umrze. Musiałem zatamować krwotok i unieruchomić kończynę.

Nawet nie próbując wytłumaczyć, co chcę zrobić, pochyliłem się do jej stóp i chwyciłem w zęby postrzępiony brzeg nogawki. Nadgryzłem materiał i rozerwałem. Kiedy odsłoniłem ranę, zorientowałem się, że Carrie wcale nie została postrzelona. Musiała pechowo upaść i złamać kość udową, która sterczała teraz z ciała wyglądającego jak kawał zakrwawionej wołowiny. Dobrze przynajmniej, że nie był to postrzał — uszkodzenia mięśni nie będą tak rozległe.

Próbowałem ją pocieszyć:

— To nie wygląda tak źle.

Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi, tylko ciężkie posapywanie.

W przypadku postrzałów na polu walki zawsze wołałem rubasznie żartować, niż podsycać obawy rannych. Tym razem jednak chciałem być delikatny i podnieść Carrie na duchu.

— To nie wygląda tak źle. Unieruchomię nogę, a potem zabiorę cię do lekarza. Wszystko będzie dobrze.

Odchyliwszy głowę do tyłu, zdawała się oglądać korony drzew. Twarz miała wykrzywioną w okropnym grymasie, a powieki mocno zaciśnięte. Zdjąłem kilka liści, które przywarły do jej spoconego czoła, i szepnąłem do ucha:

— Naprawdę, nie jest tak źle. To czyste złamanie. Nie straciłaś wiele krwi, ale muszę cię opatrzyć, żeby kość nie ruszała się i nie spowodowała poważniejszych obrażeń. Będzie bolało, wiesz o tym, prawda?

Kątem oka zobaczyłem Luz, która klęczała na czatach, lecz co chwila oglądała się na nas. Pokazałem jej podniesiony kciuk. W odpowiedzi otrzymałem tylko przelotny, łzawy uśmiech.

Piersi Carrie podnosiły się i opadały w wysilonym oddechu, gdy bezgłośnie krzyczała z bólu.

— Carrie, musisz mi pomóc, zrobisz to? Pomożesz mi? Chcę, żebyś złapała się tego drzewa, które rośnie za tobą. Powiem ci kiedy. Dobrze?

Cedząc słowa przez zaciśnięte zęby, powstrzymując płacz, wyszłochała:

— Zrób to.

Wyżej na skraju dżungli ktoś puścił serię z automatu. Luz wzdrygnęła się i z przestachem spojrzała w tym kierunku. Przyłożyłem obie dłonie do ust i wyszeptalem do niej:

— W porządku, wszystko w porządku.

Strzały ucichły i Luz znów zaczęła wypatrywać wroga. Chrząszcze brzęczały wokół nas w słabnącym świetle, gdy delikatnie wyciągnąłem pasek Carrie ze szlufek spodni i położyłem obok jej stóp. Potem zdjąłem koszulę, wiedząc, że urządzam wielką ucztę moskitom.

Oderwałem rękaw. Carrie miała zamknięte oczy i drżały jej wargi. Zacząłem zgarniać na kupę wielkie liście, które leżały wokół.

— Za chwilę przywiążę twoją zdrową nogę do zranionej.

Zrobię to tak delikatnie, jak się da.

Pozwijawszy liście w wielkie cygara, ostrożnie poutykałem je między jej nogami, aby pełniły rolę miękkiej wyściółki między zdrową a złamaną kończyną. Nie przerwałem pracy, choć pośród drzew rozległy się okrzyki po hiszpańsku. Chwyciłem za zdrową nogę.

— Zaraz będzie po wszystkim, zaraz.

Dyszała tak ciężko, jakby rodziła. Powoli przysunąłem jedną nogę do drugiej i w tym momencie pierwsze krople deszczu zabębniły o liście. Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać. Luz przysunęła się do mnie na klęczkach.

— Zaczyna padać, co zrobimy? Wzruszyłem ramionami.

— Zmokniemy.

Carrie znowu skrzywiła się z bólu. Wyciągnęła rękę do Luz, która ujęła jej dłoń i zaczęły coś do siebie szeptać. Ja jednak chciałem, żeby Luz stała na straży. Dałem jej znak, nakazując wrócić na swoje miejsce, i posłusznie to zrobiła.

Przepchnąłem oddarty rękaw pod kolanami Carrie i płasko rozłożyłem na ziemi, a potem pospiesznie podarłem resztę koszuli na pasy mające posłużyć za bandaż.

— Nick, statek...

— Statek musi poczekać.

Darłem i szarpałem, a deszcz przeszedł w monsunową ulewę. Już nawet nie słyszałem chrząszczy ani ludzi na otwartej przestrzeni — jeśli wciąż tam byli. Pochyliłem się nad Carrie.

— Wyciągnij ręce za głowę i przytrzymaj się drzewa, które tam rośnie — powiedziałem jej do ucha.

Tuż nad nami przetoczył się grom. Pokierowałem jej ręce do góry, zastanawiając się, czy ją poinformować, co zamierzam zrobić.

— Chwyć mocno i nie puszczaj, choćby nie wiem co.

Postanowiłem nic nie mówić. I tak bardzo cierpiała, nie powinienem jeszcze jej straszyć. Podpełzłem z powrotem do jej stóp i przesunąłem pasek pod kostkami, wduszając go w błoto, żeby nie poruszać złamaną nogą. Potem, klęcząc przed nią, delikatnie chwyciłem stopę, prawą dłonią podtrzymując piętę, a lewą trzymając za palce. Napięła mięśnie.

— Wszystko będzie dobrze, tylko trzymaj się tego drzewa.

Gotowa?

Powoli, lecz stanowczo, przyciągnąłem stopę do siebie. Obracałem ją bardzo wolno, naciągając złamaną nogę, żeby naprężone mięśnie nie odginały już kości i — na co liczyłem — w ten sposób złagodzić jej cierpienia. Nie było to łatwe, gdyż musiałem pokonać silny opór napiętych mięśni. Każdy mój ruch musiał być dla niej jak pchnięcie rozżarzoną nożem. Zgrzytała zębami i przez długą chwilę nie wydała żadnego innego dźwięku, ale w końcu ból okazał

się zbyt silny. Wrzasnęła i zadrżała, gdy kość zaczęła powoli chować się w ranie, nie puściła jednak pnia.

Z nieba lały się strumienie wody i po ciemniejszym niebie raz po raz przetaczały się gromy, lecz nie przerwałem zabiegu. Carrie znowu krzyknęła, a jej ciało wyprężyło się konwulsyjnie, kiedy usiadłem na ziemi, z całej siły ciągnąc za stopę.

— Już prawie koniec, Carrie, już zaraz...

Luz podbiegła do nas i też zaczęła szlochać. Rozumiałem ją, ale nie chciałem, żeby wpadła w histerię.

— Zamknij się! — syknąłem.

Nic innego nie przyszło mi do głowy, no i pogorszyłem sytuację. Znowu załkała; tym razem jednak pozwoliłem jej płakać. Miałem zajęte ręce i nie mogłem zatkać jej ust. Nie mogłem puścić nogi, ponieważ napięte mięśnie znowu wypchnęłyby kość i narobiły jeszcze większych szkód. Lewą ręką zacząłem owijać pasek wokół kostek Carrie, a potem wokół jej obutych w sandały stóp, tworząc ósemkę.

— Trzymaj nogę wyprostowaną, Carrie, wyprostowaną!

Zaciągnąłem pasek, mocując obie nogi razem, a potem zawiązałem go na węzeł. Carrie dygotała jak epileptyczka, ale wciąż trzymała się drzewa i — co ważniejsze — obie nogi miała teraz wyprostowane.

— W porządku, w porządku, już po wszystkim.

Gdy podniosłem się na klęczki, Luz osunęła się na pierś matki. Usiłowałem ją podnieść.

— Daj jej oddychać.

Nie usłuchały mnie, kurczowo się obejmując. Zrobiło się tak ciemno, że ledwie je widziałem, a musiałem jeszcze obandażować złamanie, żeby kość bardziej nie uszkodziła tkanek. Chwyliłem końce leżącego pod jej kolanami rękawa i zawiązałem na węzeł przy zdrowej nodze. Teraz, kiedy miała obie kończyny związane razem, wielkie liście sterczały spomiędzy nich. Ostrożnie, lecz zdecydowanie, owinąłem ranę pasami oddartymi z koszuli. Przeciągałem je pod kolanami, a potem przesuwalem w górę i wiązałem po stronie zdrowej nogi.

Staralem się unieruchomić złamaną kończynę i ucisnąć ranę, żeby zapobiec dalszej utracie krwi. Deszcz lał jak z cebra, zalewając mi oczy i oslepiając. Niemal po omacku owinąłem jej kostki drugim rękawem, wzmacniając usztywnienie z parcianego paska. Po-tem, wciąż siedząc u stóp Carrie, niemal krzyknąłem, żeby usłysza-ła mnie przez szum ulewy:

— Teraz możesz przyznać mi odznakę skauta-sanitariusza.

Pozostało mi tylko upewnić się, czy nie zawiązałem zbyt mocno prowizorycznych bandaży. Nie miałem pojęcia, czy krew dochodzi jej do stóp. Po ciemku nie widziałem, czy skóra jest różowa, czy też zaczyna sinieć, a w tych warunkach nawet nie mogłem marzyć o sprawdzeniu pulsu. Musiałem skorzystać z jedynej możliwości.

— Jeśli zaczną ci drętwieć stopy, musisz mi powiedzieć, do-brze?

W odpowiedzi usłyszałem krótkie i wyraźne „tak”.

Nie widziałem już nawet własnej ręki, gdy sprawdzałem godzi-nę. Tarcza podświetliła się. Była 18.27. Nawet przez bębnienie deszczu słyszałem, jak obie płaczą tuż za moimi plecami.

Zacząłem marznąć.

— Przez cały czas musicie pozostać razem. Nie wolno wam ani na chwilę się rozdzielić — zawołałem, nie widząc w ciemności ich głów.

Wyciągnąłem rękę i namacałem mokry materiał na plecach Luz, która tuliła się do matki.

Nie było mowy, żebyśmy mogli uciec stąd na piechotę. Kurwa mać, co robić? Nie miałem zielonego pojęcia. No, właściwie miałem, ale nie chciałem przyjąć tego do wiadomości. Pewnie dlatego było mi tak zimno.

Wciąż klęczałem w deszczu, gdy usłyszałem głos Luz.

— Nick?

Poklepałem ją po plecach, dając znać, że słyszę.

— Pójdiesz teraz po tatusia?

36

Nadeszła krytyczna chwila.

— Nie będzie mnie najwyżej kilka godzin.

Wprawdzie nie miała zegarka, ale musiałem podać jej jakiś termin, żeby ułatwić oczekiwanie.

— Ósma trzydzieści, Nick, o ósmej trzydzieści... — wykrztusiła Carrie, z trudem łapiąc oddech, jakby musiała mi o tym przypominać.

— Jeśli nie wrócę do świtu — powiedziałem — będziesz musiała wyjść na porębę i pokazać się tamtym. Potrzebujesz opieki lekarskiej. Kiedy się rozpogodzi, będą mogli przewieźć cię do szpitala śmigłowcem.

Może tak, a może nie. Nie wiedziałem, co by zrobili, lecz nie było innego wyjścia, gdybym nie wrócił.

Nie zastanawiałem się długo. Wiedziałem, że muszę iść do tego domu. Carrie wymagała opieki lekarskiej. Mnie potrzebny był samochód, żeby dostać się do Chepo. Musiałem tam iść i zdobyć go, a to oznaczało, że muszę też uwolnić Aarona. Po prostu nie zdołałbym po ciemku ukraść samochodu i podjechać nim po Carrie. Nigdy by mi się to nie udało. Musiałem najpierw przejąć kontrolę nad budynkiem i unieszkodliwić znajdujących się w nim ludzi.

Głośno zaszlochała — nie wiedziałem, czy z bólu, czy też uświadamiając sobie, że właśnie rozmawiamy o tym, co mają zrobić, jeśli

Aaron i ja zginiemy. Deszcz bębnił o plecy pochylonej nad matką Luz, która też zaczęła płakać. Pozwoliłem im na to, nie wiedząc, jak mógłbym je uspokoić, a jednocześnie zastanawiając się, co zrobić, kiedy dostanę się do środka budynku. Niewiele wymyśliłem.

Spojrzałem na zegarek. 18.32. Za niecałe dwie godziny zdemaszkują bluff Aarona.

Czułem, jak kolana zapadają mi się w błoto.

— Wkrótce się zobaczymy. Choć właściwie nie. Raczej usłyszymy.

Nawet udało mi się zaśmiać.

W myślach nakreśliłem linię prostą wzdłuż jej ciała do stóp. Od kiedy położyłem ją na ziemi, nie zmieniła pozycji, tak więc wiedziałem, w jakim kierunku znajduje się poręba. Poczłogałem się po mokrych liściach i niebawem wydostałem się na otwartą przestrzeń. Natychmiast zmieniły się otaczające mnie odgłosy. Zamiast bębnienia deszczu o listowie słychać było głucho pacnięcia kropel o błoto. Było jednak równie ciemno, a nachylenie terenu nie pozwalało mi dostrzec świateł domu.

Wstałem i wyprostowałem się, po czym zerwałem naręczę liści z drzew palmowych na skraju dżungli i rzuciłem je na ziemię w miejscu, gdzie wyszedłem z gąszczy. Nagarnąłem na nie błota, żeby nie porwał ich wiatr, a potem obcasem buta wyryłem jeszcze kilka głębokich rowków w ziemi. Nic nie szkodzi, jeśli ludzie Charliego zobaczą o świcie długie i regularne kałuże. Do tego czasu zrobię swoje i już mnie tu nie będzie, albo wszystko szlag trafi i Carrie z Luz będą musiały wzywać pomocy.

Ruszyłem w kierunku budynku, pamiętając, że gdzieś po lewej powinien stać śmigłowiec. Miałem ochotę podkraść się tam i poszukać jakiejś broni. Tylko co będzie, jeśli pilot śpi w kabinie lub słucha muzyki? A może postawili tam kogoś na warcie? Mało prawdopodobne na tym pustkowiu i po naszej ucieczce w dżunglę, ale mimo to nie mogłem ryzykować, że zostanę wykryty tak daleko

od budynku. Miałem wydostać się stąd, a nie załatwić faceta w śmigłowcu.

Kiedy dotarłem na szczyt wzniesienia, zobaczyłem poświatę rzucaną przez żarówkę zapaloną na zewnątrz, koło prysznicza. Poza tym nie paliły się inne światła, ani w pokoju Luz, ani w sypialni Carrie i Aarona. Nie mogłem dostrzec, czy okno, przez które uciekliśmy, było wciąż otwarte, a nie zamierzałem podchodzić do domu od frontu, żeby to sprawdzić. Bo i po co? Traciłbym tylko czas. Podejdę od tej strony, z której na pewno będę mógł dostać się do środka.

Zszedłem nieco niżej i — z daleka omijając śmigłowiec — przy akompaniamencie huczących grzmotów zacząłem podchodzić do budynku z innej strony. Grzęznąąc w błocie, idąc nieco w lewo, ponownie wszedłem na szczyt wzniesienia. Teraz miałem po prawej ręce palące się w umywalni światło, wciąż usiłujące przebić zasłone deszczu.

Podchodząc do doniczek, usłyszałem pomruk agregatu prądowtwórczego. Opadłem na czworaki i zacząłem się czułgać. Brzuch zapadał mi się w ciepłe i miękkie błoto, niemal łagodzące śwędzenie bąbli.

Warkot generatora wkrótce został zagłuszony przez werbel deszczu o plastikowe pokrywy donic. W domu nie widziałem żadnych oznak życia i dopiero kiedy znalazłem się w pobliżu magazynu, zobaczyłem cienką smugę światła wydobywającego się przez szparę pod drzwiami. Nie zatrzymywałem się i po chwili ujrzałem słabą żółtą poświatę sączącą się przez siatkę okna między regałami. W środku nie dostrzegłem nikogo.

Kiedy dotarłem na koniec rzędów donic, niedaleko werandy i samochodów, nie musiałem się już czułgać. Cały pokryty błotem wstałem i podkradłem się do pojazdów.

Skierowałem się do land cruisera, teraz zaparkowanego przodem w kierunku traktu, omywanego strugami deszczu. Stojąc za nim, mogłem obserwować przez okna, co robią ludzie w budynku, podczas gdy oni nie będą w stanie mnie dostrzec. Takie „czajenie się”, czyli umiejętność obserwacji z ukrycia, było sztuką, której

nauczyłem się jako młody żołnierz w Irlandii Północnej, podczas długich pieszych patroli w republikańskich dzielnicach. Patrzyliśmy, jak ludzie jedzą kolacje, prasują, uprawiają seks.

Przez deszcz i siatki przeciwmoskitowe widziałem wentylatory, wciąż pracujące koło foteli, które były puste. Przy kuchennym stole siedzieli trzej mężczyźni, wszyscy ciemnoskórzy i ciemnowłosi, jeden brodaty. Ich broń leżała na podłodze. Dwaj z nich mieli na piersiach pasy z zapasowymi magazynkami. Wszyscy palili i najwidoczniej prowadzili dość ponurą rozmowę. Zapewne usiłowali wymyślić jakąś bajeczkę wyjaśniającą naszą ucieczkę.

Nigdzie nie widziałem Aarona.

Wyplułem wodę, która spływała mi po twarzy do ust, po czym spojrzałem na zegarek. Zostało dziewięćdziesiąt minut, zanim odkryją, że on gówno wie.

Przesunąłem się w prawo, tak że przez siatkę frontowych drzwi mogłem dojrzeć drzwi sypialń. Oba pokoje były zamknięte. Aaron znajdował się w jednym z nich albo w pracowni komputerowej. Zaraz to sprawdzę, ale przede wszystkim powinienem zobaczyć, czy mosin lub M-16 wciąż leżą w land cruiserze. W żadnym z trzech samochodów nie zauważyłem błysku światła, ludzkich sylwetek ani zaporowanych szyb. Mogłem spokojnie do nich podejść.

Przetarłem boczną szybę i zajrzałem do środka. Ani śladu karabinów i maczety, a może w tych ciemnościach nie mogłem ich dostrzec. Szanse były niewielkie, popełniłbym jednak poważny błąd, gdybym tego nie sprawdził.

Przeszedłem na tył samochodu i powoli, zdecydowanie nacisnąłem przycisk. Uchyliłem nieco przeszkloną, górną część drzwiczek, wystarczająco, żeby zapaliły się lampki oświetlające wnętrze. Potem pochyliłem się i sprawdziłem bagażnik. Nie było broni, plecaka ani maczety. Opuściłem drzwiczki, aż zatrząsk zaskoczył i wyłączył światła.

Ruszyłem do drzwi magazynu, żeby zajrzeć przez szparę nad

progiem. Mijając okno salonu, jarzące się słabym światłem, nie rozpraszającym mroku, w którym się kryłem, zobaczyłem, że tamci trzej wciąż siedzą przy stole.

Deszcz tłukł o blaszany dach przybudówki. Podeszedłem do bocznej ściany domu i stanąłem na cementowym chodniczku. Szum deszczu tłumił wszystkie inne dźwięki.

Ponownie wyszedłem na ulewę, omijając beczkę na wodę. Znowu widziałem światło sączące się przez szparę pod drzwiami. Wróciłem na cement, opadłem na czworaki, otrząsałem się jak pies z wody, która zalewała mi oczy, po czym przyłożyłem oko do szpary.

Ujrzałem Aarona, siedzącego na jednym z foteli, w blasku zawieszonych pod sufitem jarzeniówek. Jakiś mężczyzna w zielonej koszuli, na oko czterdziestoparoletni, bez pasa z amunicją i broni, siedział obok niego na składanym krześle i częstował go papierosem. Aaron skorzystał z propozycji.

Nieco dalej, przy komputerze Luz siedział tyłem do mnie znacznie młodszy mężczyzna w granatowym dżinsowym wdzianku i z długimi włosami związanymi w kucyk, taki sam jak Aarona, tyle że nie siwy. Widząc tęczę przelatujących po ekranie barw i gwałtowne ruchy, jakie wykonywał myszą, domyśliłem się, że grał w jakąś grę. Obok niego na stole zauważyłem M-16.

Przyjrzałem się Aaronowi. Miał rozbity nos, podbite oczy i krew ciekła mu z rozciętego łuku brwiowego. A jednak uśmiechał się do pierwszego z mężczyzn, zapewne zadowolony, że udało nam się uciec. Ja cieszyłem się z tego, że nie wiedział, co wydarzyło się później.

Zdążył już zapalić papierosa i zaciągał się z lubością. Zielony wstał i powiedział coś do Granatowego, który nawet nie oderwał oczu od monitora, tylko podniósł wolną rękę. Zielony wyszedł do salonu i przyłączył się do tamtych trzech przy stole.

No dobrze, było ich co najmniej pięciu, a w sypialniach mogli być jeszcze inni. Co teraz?

Przez kilka minut leżałem na cemencie i obserwowałem, jak

Aaron zabawia się papierosem, wyjmując go z ust i oglądając, trzymając kciukiem i wskazującym palcem, wypuszczając dym nosem. Zastanawiałem się, w jaki sposób wyciągnąć go stamtąd i zdobyć broń. Zaciągnąwszy się po raz ostatni, obrócił się na fotelu i spojrzał na Granatowego, który bawił się komputerem Luz. Potem rzucił niedopałek na beton i przydepnął.

Cholera! Co on knuje?

Odskoczyłem i schowałem się za beczkę z wodą, gdy gwałtownie pchnięte drzwi otworzyły się na oścież, wypuszczając strumień światła. Aaron odbił się od cementowego chodnika i pomknął, ścigany potokiem gniewnych hiszpańskich słów.

Gdy biegł w ciemność spowijającą donice z roślinami, w magazynie trzasnęła długa seria z automatu. Skuliłem się za beczką, bo strzałem zawtórowały wrzaski z salonu i tupot butów na deskach podłogi. Pociski z M-16 z łoskotem waliły w ścianę z falistej blachy.

Aaron już zniknął w ciemności, gdy Granatowy dotarł do drzwi, klnąc wściekle, i puścił krótką serię.

Usłyszałem jęk, a potem mrożące krew w żyłach, szybko cichnące krzyki. Natychmiast zagłuszyła je seria z M-16, oddawana na oślep z okna między regałami, po mojej prawej ręce. Rozbłyśki z luf rzucały stroboskopowe światła na ścianę domu, gdyż siatka przeciwmoskitowa rozpadła się pod uderzeniem kul.

Granatowy wrzeszczał, ile sił w płucach — zapewne nakazując przerwać ogień, gdyż właśnie to zrobili. W powietrzu przelatowały teraz gniewne słowa, rzucone podniesionymi głosami, w których brzmiał strach i zaskoczenie. Ktoś stanął w drzwiach obok Granatowego i obaj wrzeszczeli na siebie jak przekupnie. W salonie słychać było inne podniesione głosy.

Skulony, kryłem się za beczką na deszczówkę, gdy Granatowy wyszedł z budynku i ruszył w kierunku Aarona. Pozostali wrócili do środka, wciąż się kłóćąc.

Musiałem działać. Nadeszła moja chwila. Ruszyłem w ślad za Granatowym, trzymając się z dala od strumienia światła padającego

przez drzwi, zerknąwszy tylko, czy nikt nie został w magazynie. Nie było tam nikogo.

Deszcz zalewał mi oczy i oślepiał. W świetle dochodzącym z magazynu ledwie widziałem plecy Granatowego, który szedł w kierunku Aarona leżącego bez ruchu na ziemi, kilka metrów dalej. Gangster w prawej ręce trzymał karabin skierowany w dół, tak że lufa znajdowała się na wysokości jego łydki.

Podążałem najwyżej pięć metrów za nim. Nie chciałem biec i ryzykować, że się poślizgnę i upadnę. Szedłem spokojnie, wpatrując się w tył jego głowy. Był wyższy ode mnie. Teraz, kiedy znalazłem się tuż za nim, już nic nie miało znaczenia. Wkrótce i tak by wyczuł moją obecność.

Skoczyłem na niego, nieco z prawej, wbijając lewe kolano między jego nogi, podcinając je, a jednocześnie łapiąc lewą ręką za twarz i ciągnąc z całej siły, aby przegiąć go do tyłu. Chciałem zakryć mu usta, lecz złapałem za nos i poczułem na dłoni jego gorący oddech. Upuścił broń i chwycił mnie za rękę, usiłując oderwać ją od swojej twarzy.

Ciągnąc ze wszystkich sił, wygiąłem go w łuk, tak że głowa opadła mu do tyłu, odsłaniając gardło. Błyskawicznie uniosłem prawą rękę i opuściłem, uderzając kantem dłoni w krtań. Nie miałem pojęcia, czy trafiłem, ale padł jak świnia w rzeźni, pociągając mnie za sobą w błoto. Uwolniłem się kopniakiem i przetoczyłem na niego, ładując mu na piersi. Poczulem pod sobą twarde krawędzie zapasowych magazynków. Oparłem prawe przedramię o jego szyję i nacisnąłem, napierając całym ciężarem ciała. Jeszcze nie umarł — nie było tak dobrze. Uderzenie kantem dłoni trafiło w nerwy biegnące po obu stronach krtani i na chwilę pozbawiło go przytomności, to wszystko.

Nie zareagował, nie stawiał oporu, nawet nie wierzgał w agonii. Naciskałem, strząsając krople, które zalewały mi oczy. Podnosząc głowę, mogłem widzieć wewnątrz magazynu. Pozostali zapewne wciąż byli w salonie, usiłując pogodzić się z myślą, że jeszcze bardziej spieprzyli sprawę, i czekając, aż ten pierdoła, który pozwolił

Aaronowi uciec, przywlecze jego ciało.

Spojrzałem na niego. Leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Puściłem go i przyłożyłem ucho do jego ust. Nie usłyszałem oddechu. Upewniłem się, naciskając szyję środkowym i wskazującym palcem prawej ręki, szukając pulsu w tętnicy szyjnej. Nic.

Puściłem go i przetoczyłem się do Aarona. Powiodłem rękami po jego ciele aż do szyi. Pod palcami poczułem jeszcze ciepłą krew. On też był martwy. Odszukałem w błocie M-16, a potem zacząłem zdejmować Granatowemu pas z magazynkami. Odwróciłem go twarzą do ziemi, odpiąłem zatrzask na plecach, i zdjąłem mu szelki z karku i ramion. Kiedy ściągałem tę uprząż, jego ręce bezwładnie uniosły się w powietrze.

Trzymając w jednej ręce ciężki pas z magazynkami, a w drugiej M-16, podbiegłem do tylnej ściany domu, gdzie miałem osłonę i potrzebne mi światło. Położyłem broń na umywalce. Cmy też znalazły tu schronienie przed deszczem i trzepotały wokół żarówki umieszczonej na murze między zlewem a prysznicem. Gwałtownie łapałem oddech, wiedząc, że liczy się każda minuta. Niebawem przyjdą sprawdzić, co zabrało ich kumpłowi tyle czasu. Pieprzyć śmigłowiec. Jeśli ktoś w nim siedział, to musiał być głuchy.

Krew Aarona spływała mi z palców, gdy wyjmowałem nowy magazynek na trzydzieści pocisków i nacisnąłem kciukiem, sprawdzając, czy jest pełny. Z trzydziestoma nabojami w środku był dla mnie aż za pełny. Wysunąłem pierwszy nabój i ponownie nacisnąłem kciukiem, upewniając się, że sprężyna zrobi swoje. Wdusiłem guzik blokady i wyjąłem tkwiący w uchwycie magazynek, a potem włożyłem nowy. Zaczekałem na cichy szcęk zatrzasku, następnie lekko potrząsnąłem karabinem, żeby upewnić się, czy magazynek dobrze siedzi w gnieździe. Przeładowałem broń. Trzask rygła był ledwie słyszalny w bębniącym o blaszany dach deszczu.

W komorze zamkowej tkwił nabój, który wpadł teraz w błoto,

zastąpiony przez następny, z nowego magazynka. Nie musiałem tego robić, ale poczułem się lepiej, widząc, że karabin działa.

Zabezpieczyłem go i pospiesznie sprawdziłem pozostałe trzy magazynki tkwiące w ładownicach nylonowej uprząży. Jeśli wpadnę w szambo i będę musiał szybko zmieniać magazynki, nie chciałem natrafić na pusty. Zajęło mi to kilka dodatkowych sekund, ale ten trud się opłacał.

Założyłem uprząż, przeciągając pasy przez ramiona i kark, tak że ładownice miałem na piersi, po czym zapiąłem zatrzask na plecach, przez cały czas miarowo oddychając, żeby zwolnić bicie serca. Nasłuchiwałem krzyków, które świadczyłyby o tym, że odkryli zwłoki Granatowego.

Złapałem oddech i przygotowałem się psychicznie. Wyjąłem magazynek z ładownicy i ująłem go lewą ręką, wypukłym brzegiem od siebie, przygotowany do błyskawicznej wymiany po opróżnieniu pierwszego. Potem tą samą dłonią chwyciłem drewniane łożo karabinu, przyciskając do niego magazynek. Kciukiem prawej przesunąłem bezpiecznik, aż usłyszałem pierwszy cichy szczeł — ogień pojedynczy — a potem drugi, ustawienia na ogień ciągły. Wsunąwszy wskazujący palec pod osłonę spustu, wyszedłem na deszcz, idąc w kierunku śmigłowca, Aarona i Granatowego, żeby przy omijaniu narożnika budynku pozostać w ciemności. Ciała tych dwóch leżały tak, jak je zostawiłem, spoczywając nieruchomo obok siebie, a deszcz siekł w powiększające się wokół nich czarne kałuże. Na korytarzu i w głębi nic się nie poruszało oprócz obrazu na monitorze komputera Luz.

Znów uderzył piorun, bez błyskawicy, a ja ruszyłem naprzód z bronią gotową do strzału, czujnie rozglądając się na boki. Teraz, kiedy miała się zacząć zabawa, oddychałem równo i miarowo.

Wszedłem na cementowy chodnik i w smugę światła padającego z magazynu. Przeszedłem środkiem korytarzyka, omijając łóżko polowe i wysoko podnosząc nogi, żeby nie nadepnąć na porozrzucone na podłodze puszek, rozsypany ryż i inne zapasy. Posuwałem

się naprzód, przyciskając do ramienia kolbę karabinu.

Usłyszałem głosy dolatujące z kuchni i poczułem papierosowy dym. Dyskusja była bardzo ożywiona: dzisiejszy dzień był cholernie nieudany dla wszystkich zainteresowanych.

Do moich uszu dotarły szmery, zgrzyt odsuwanego krzesła i odgłos kroków zmierzających w kierunku pracowni komputerowej. Zastygłem, z oczami zalanymi deszczem, ze wskazującym palcem na języczku spustowym automatu, czekając... czekając...

Będę miał nad nimi najwyżej dwie sekundy przewagi wynikającej z zaskoczenia. Potem, jeśli nie załatwię sprawy jak należy, stanę się tylko wspomnieniem.

Pojawił się właściciel butów. Był nim Zielony. Odwrócił się, zobaczył mnie i wydał przeraźliwy krzyk, ucięty w połowie krótką serią. Kule odrzuciły go z powrotem do pokoju. Jak kierowany przez autopilota, przeskakując ciało, wpadłem do zadymionego salonu. Tamci, wrzeszcząc z przerażenia, chwycili za broń.

Odkoczyłem w lewo, w kąt pokoju, puszczać krótkie serie, niemal nie celując. Gorące łuski odbijały się od ściany po prawej, o moje plecy, a potem z brzękiem spadały na podłogę. Znów pociągnąłem za spust... Nic.

Zacięcie! Zacięcie!

Upadłem na kolana, żeby stanowić mniejszy cel. Nagle wszystko zaczęło się dziać jakby w zwolnionym tempie. Przechyliłem broń w lewo, aby spojrzeć na wyrzutnik. Zobaczyłem komorę zamkową: rygiel pozostał odsunięty do tyłu. Ani w magazynku, ani w komorze nie było naboji. Błyskawicznym rzutem oka oceniłem sytuację. Wdusiłem przycisk blokady i pusty magazynek uderzył o moją nogę, spadając na podłogę. Jeden z przeciwników kierował lufę broni w moją stronę, a drugi klęczał, usiłując odbezpieczyć automat. Zająłem się swoją bronią. Swąd spalonego prochu już mieszał się z gęstym dymem papierosów. W ustach poczułem gorzki smak kordytu.

Przekręciłem automat w prawo. Pełny magazynek wciąż trzymałem w lewej dłoni. Wepchnąłem go w gniazdo, docisnąłem i wprowadziłem nabój do komory. Przyłożyłem kolbę do ramienia i skierowałem lufę na to, na co patrzyłem. Wypaliłem, nie podnosząc się z kłęczek.

Jeszcze jeden magazynek i było po wszystkim.

Gdy przeladowywałem broń, wokół panowała cisza, w której słyhać było bębnienie deszczu o dach i pisk czajnika na kuchence. Dwaj przeciwnicy leżeli na podłodze, a trzeci — z twarzą wykrzywioną grymasem agonii — bezwładnie rozciągnął się na stole.

Pozostałem na kłęczkach, wodząc lufą po pomieszczeniu. Smród kordytu zmieszany z dymem papierosowym tworzył opar niczym wyprodukowany przez maszynę do wytwarzania mgły, która zasnuwała ciała zabitych. Jedni mieli otwarte oczy, inni nie. Na podłodze jeszcze nie było wiele krwi, ale to wkrótce miało się zmienić.

Rozejrzałem się wokół. Unieszkodliwiłem wszystkich tych, których widziałem, lecz musiałem jeszcze sprawdzić sypialnię.

Wstałem, trzymając kolbę przyciśniętą do ramienia, i oddałem trzy krótkie serie przez drzwi do pokoju Luz, po czym wpadłem do środka. To samo zrobiłem, wchodząc do sypialni Carrie i Aarona. W obu pomieszczeniach nie było nikogo, a okno w pokoju Luz było zamknięte.

Wróciłem do kuchni. Podłogę pokrywało błoto zmieszane z krwią. Podeszedłem do kuchenki, odrzucając kopniakami leżące na podłodze puszki, strącone przez kule lub pozrzucone przez tamtych, i zdjąłem czajnik z palnika. Nalałem wrzątku do kubka i wrzuciłem do niego saszetkę z herbatą, którą wyjąłem z paczki stojącej na kuchennej szafce. Poczulem zapach owoców. Posłodziłem i pomieszałem gorący napój. Idąc z nim w rękę do pracowni komputerowej, kopniakami odrzucałem na boki leżącą na podłodze broń. Odciągnąłem zakrwawionego Zielonego od drzwi. Zabrzęczały łuski przesuwane po podłodze razem z jego ciałem.

Wszedłem do pracowni komputerowej i zamknąłem za sobą drzwi.

Siedząc na składanym foteliku, powoli sączyłem słodki, gorący płyn. Wyjąłem dwie łuski, które ugrzęzły między moją pierśią a nylonową uprzężą, zamiast spaść na podłogę. Ręce zaczęły mi lekko drżeć i w duchu dziękowałem losowi za długie lata szkolenia, dzięki którym umiałem błyskawicznie poradzić sobie z zacięciem karabinu i zmianą magazynka.

Wysączywszy zawartość kubka do ostatniej kropli, wstałem i poszedłem do sypialni Aarona i Carrie. Zdjąłem nylonową uprzęż i włożyłem czarną bawełnianą koszulkę z wyblakłym znakiem Adidasa na piersi.

Czas wyciągnąć Aarona z błota. Z powrotem założyłem uprzęż, ściągnąłem z łóżka czerwone prześcieradło i z M-16 w ręku poszedłem do land cruisera. Sprawdziłem, że kluczyk wciąż tkwi w stacyjce, opuściłem oparcia tylnych siedzeń, przygotowując miejsce dla Carrie, a potem wsiadłem do mazdy i zapuściłem silnik.

Smugi światel przednich reflektorów podskakiwały i opadały, gdy podjeżdżałem do Aarona. Był ciężki, ale w końcu umieściłem go w środku i owinałem prześcieradłem. Zakrywając twarz zmarłego, podziękowałem mu w duchu.

Zamknąłem tylne drzwiczki i zostawiłem samochód tam, gdzie stał, po czym wciągnąłem ciało Granatowego między doniczki i wróciłem do domu. Zgasilem światła w salonie i zamknąłem drzwi. Nogą odgarnąłem pod stół i półki łuski po wystrzelonych przez Granatowego pociskach. Luz nie powinna tego widzieć. I tak widziała już dziś dosyć. Wiedziałem, co się dzieje z dziećmi narażonymi na takie widoki.

W końcu, przyświecając sobie wziętą z magazynu latarką, wytaszczyłem na zewnątrz łóżko polowe i wpakowałem je do land cruisera. Prawie wychodziło na zewnątrz przez dolną część tylnych drzwiczek. Pojechałem przez otwartą przestrzeń na skraj dżungli.

37

Wycieraczki przy każdym ruchu zgarniały z szyby strumienie wody, której wcale przez to nie ubywało, ale zdołałem dostrzec oznaczone miejsce.

Land cruiser wjechał na pień i podskoczył, przechylił się w lewo, a potem wyprostował. Reflektory oświetliły kupkę palmowych liści. Zostawiłem włączone światła i silnik, złapałem leżącą na fotelu pasażera latarkę, obiegłem wóz i wyciągnąłem łóżko polowe. Trzymając je za jedną nóżkę i wlokąc za sobą, wszedłem między drzewa.

— Luz! Gdzie jesteście? Luz! To ja, Nick, odezwij się!

— Tutaj! Tu jesteśmy! Nick, proszę, proszę! Nick!

Skręciłem w prawo i ruszyłem do niej, wrywając łóżko z objęć poczekajek, które bardzo chciały je zatrzymać. Jeszcze kilka metrów i w świetle latarki dostrzegłem dziewczynkę, zupełnie przemoczoną, klęczącą przy matce. Włosy oblepiły jej twarz, a ramiona drżały. Carrie leżała, krzywiąc się z bólu, przysypana liśćmi. Zobaczywszy w świetle latarki twarz Luz, podniosła rękę i próbowała odgarnąć jej włosy z czoła.

— W porządku, dziecino, wszystko w porządku, zaraz wrócimy do domu.

Umieściłem łóżko obok niej i obejrzałem moją wcześniejszą robotę. Opatrunek na nodze nie wyglądał tak dobrze, jak powinien.

Może jednak nie zasłużyłem sobie na odznakę skauta-sanitariusza. Nad baldachimem drzew znowu zagrzmiało.

— Gdzie tatuś? Czy tatuś został w domu?

Luz patrzyła na mnie ponad leżącą matką, mrużąc oczy w świetle latarki, z twarzą czerwoną od deszczu i łez. Spuściłem głowę i zająłem się opatrunkiem, zadowolony z tego, że pogoda, odległość i drzewa stłumiły odgłosy strzelaniny. Cholera, nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Nie, on pojechał wezwać policję...

Carrie zakaszła i skrzywiła pobladałą twarz, tuląc małą do piersi. Pytająco spojrzała na mnie nad jej ramieniem. Zamknąłem oczy, skierowałem na siebie latarkę i pokręciłem głową.

Opadła na liście i wydała cichy krzyk, zaciskając powieki. Głowa Luz podskakiwała w rytm spazmatycznych ruchów jej piersi. Myśląc, że to z powodu bólu złamanej nogi, dziewczynka próbowała odwrócić uwagę matki.

— W porządku, mamó. Nick zawiezie cię do domu. Wszystko będzie dobrze.

Jak mogłem, poprawiłem opatrunek.

— Luz, musisz pomóc mi przenieść mamę na to łóżko, dobrze?

Kierując latarkę nieco w bok, żeby jej nie oślepić, spojrzałem na wystraszoną i mokrą od deszczu twarz dziewczynki. Kiwnęła głową.

— Dobrze. Teraz klęknij za głową mamy, a kiedy powiem, chwyć ją pod pachy. Ja złapię ją za nogi i razem przeniesiemy mamę na łóżko. Rozumiesz?

Poświeciłem latarką, a Luz uklękła tuż za matką. Carrie wciąż myślała o Aaronie. Ten ból był o wiele gorszy od tego, jaki sprawiała jej złamana noga.

— Dobrze. Teraz chwyć ją pod pachy.

Carrie lekko uniosła tułów, usiłując pomóc małej. Wepchnąłem latarkę w błoto. Strumień światła pomknął ku baldachimowi liści, z których deszcz lał się prosto na szklaną osłonę reflektora.

Klęcząc, wsunąłem jedną rękę pod plecy Carrie, a drugą pod jej kolana.

— No dobrze, Luz, policzę do trzech. Jesteś gotowa?

Nad nami przetoczył się grom.

— Tak, jestem gotowa — odpowiedziała cicho, ale stanowczo.

W mroku próbowałem dostrzec twarz Carrie.

— Wiesz, że to będzie bolało, prawda?

Kiwnęła głową, zaciskając powieki i nabierając tchu.

— Raz, dwa, trzy... już!

Krzyk Carrie przeszył nocny mrok. Luz przeraziła się. Carrie wylądowała z większym impetem, niżbym chciał, ale przynajmniej mieliśmy już to za sobą. Gdy tylko znalazła się na łóżku, zaczęła ciężko dyszeć przez zaciśnięte zęby, a Luz usiłowała ją pocieszyć.

— W porządku, mamó, w porządku... Cii...

Wyjąłem latarkę z błota i położyłem na łóżku przy zdrowej nodze Carrie, tak że świeciła w górę, tworząc upiorne cienie na naszych twarzach.

— Najgorsze za nami.

— Wszystko w porządku, mamó. Słyszałaś? Najgorsze już za nami.

— Luz, chwycić za tamten koniec łóżka i unieś je, a ja zrobię to z tej strony, dobrze?

Zerwała się i stanęła na baczność, po czym przykucnęła, żeby złapać za aluminiowe rączki.

— Gotowa? Raz, dwa, trzy... już!

Podnieśliśmy łóżko jakieś dwadzieścia centymetrów nad ziemię i natychmiast zacząłem tyłem przedzierać się w stronę skraju lasu. Znow zagrzmiało, zagłuszając szloch Carrie. Luz wciąż myślała, że matka płacze z bólu.

— Wkrótce zobaczymy tatusia. Wszystko będzie dobrze, mamó.

Carrie nie mogła już tego znieść i zanosła się łkaniem. Co chwila oglądałem się przez ramię i niebawem zobaczyłem światła land

cruisera, przesywające listowie. Jeszcze kilka kroków i wyszliśmy na otwartą przestrzeń.

W bezlitośnie siekącym deszczu umieściliśmy Carrie z tyłu pojazdu, jak pacjentkę w ambulansie. Nogi wystawały jej przez otwarte drzwi.

— Musisz usiąść przy mamie i trzymać łóżko, żeby nie wypadła, jeśli najedziemy na jakiś wybój, dobrze?

Postaram się tego uniknąć. Carrie przytuliła dziewczynkę i wyplakiwała się w jej włosy. Kiedy powoli jechałem na tyły budynku, światła reflektorów przebiły kurtynę deszczu i przesunęły się po lśniąącym metalu i pleksiglasie hueya. Łopatkki śmigła opadły, jakby przygębione deszczową pogodą.

Carrie wciąż słuchała słów pociechy, jakimi zasypywała ją Luz. Dojechalśmy pod drzwi magazynu. Wniesienie jej do środka zabrało nam więcej czasu, niż przewidywałem. Niosąc łóżko, kopniakami odrzucałem na bok leżące na podłodze puszki, nie przejmując się już tym, że ktoś to usłyszy. Wtaszczyliśmy łóżko do pracowni komputerowej. Carrie była w oplakany stan: w przemoczonym i zakrwawionym ubraniu, podrapana, z posklejanymi włosami, zaczerwienionymi oczami i od stóp do głów obsypana resztkami liści.

Gdy postawiliśmy łóżko na podłodze obok dwóch pecetów, spojrzałem na Luz.

— Musisz pójść i wyłączyć wentylatory.

Popatrzyła na mnie z lekkim zdziwieniem, ale usłuchała. Podmuch przyspieszyłby parowanie, co mogło pogłębić wychłodzenie organizmu. Carrie i tak mogła dostać wstrząsu.

Gdy tylko Luz odeszła, Carrie przyciągnęła mnie za rękę.

— Jesteś pewien, że on nie żyje? — szepnęła. — Jesteś pewien? Muszę to wiedzieć... Proszę.

Luz już wracała do nas, więc tylko spojrzałem w oczy Carrie i skinąłem głową. Nie było żadnej dramatycznej reakcji. Po prostu puściła moją dłoń i zapatrzyła się na coraz wolniej obracające się wentylatory. W żaden sposób nie byłem w stanie jej pocieszyć, ale mogłem ulżyć fizycznym cierpieniom.

— Zostań przy mamie, ona cię potrzebuje.

Apteczka leżała na półce, chociaż ktoś ją otworzył i wysypał część zawartości. Pozbierałem wszystko i wrzuciłem w powrotem do środka, a potem klęknąłem obok łóżka i zacząłem przeglądać jej zawartość, by znaleźć coś, co mógłbym wykorzystać. Carrie straciła sporo krwi, ale nie znalazłem preparatów krwiozastępczych ani zestawu do transfuzji.

— Luz? Czy to jedyna apteczka, jaką macie?

Przytaknęła, trzymając matkę za rękę i mocno zaciskając palce. Domyśliłem się, że w razie ciężkiej choroby lub nieszczęśliwego wypadku przyleciałby po nich śmigłowiec. Tej nocy było to niemożliwe, nie w takich warunkach, ale też dzięki temu nie musieliśmy obawiać się powrotu Charliego. Dopóki nie przestanie padać, nie będzie mógł tu przylecieć i sprawdzić, dlaczego stracił łączność ze swoimi ludźmi.

Znalazłem dihydrokodeinę. Chociaż instrukcja na etykiecie zalecała jedną tabletkę w razie potrzeby, Carrie dostała trzy i aspirynę, którą wyjąłem z folii. Luz sama zaproponowała, że przyniesie wodę mineralną. Carrie chętnie połknęła tabletki, które mogły złagodzić jej cierpienia. Po ich zażyciu wkrótce miała zapaść w głęboki sen, ale na razie wpatrywała się w zegar na ścianie.

— Nick, jutro o dziesiątej...

— Po kolei.

Zdarłem szeleszczący celofan z rolki bandaża i zacząłem zmieniać prowizoryczny opatrunek z paska i podartej koszuli. Trzeba ustabilizować stan rannej. Gdy tylko mi się to uda, powinniśmy natychmiast opuścić ten dom, zanim pogoda się zmieni i wystartują śmigłowce Charliego. Jeśli nawet deszcz przestanie padać, kiedy będziemy w połowie drogi do Chepo, hueye mogą nas dopaść.

— Szpital znajduje się w Chepo, tak?

— To właściwie nie jest szpital, tylko ludzie z Korpusu Pokoju, którzy...

— Mają tam ambulatorium?

— Coś w tym rodzaju.

Nacisnąłem podeszwę jej stopy i palce. Zobaczyłem, jak ślad po moim palcu utrzymuje się przez sekundę czy dwie, zanim krew znów zaczęła krążyć.

— Dwa tysiące ludzi, Nick. Musisz porozmawiać z George'em, Nick, musisz coś zrobić. Gdyby tylko Aaron...

Luz wróciła z wodą mineralną i podała ją matce.

Nie ruszałem opatrunku na ranie i nie usunąłem liści upchniętych między jej nogami, lecz stopniowo owijałem Carrie bandażami dwunastocentymetrowej szerokości. Chciałem, żeby od pasa w dół wyglądała jak egipska mumia. Leżała nieruchomo, wpatrując się w niepracujące już wentylatory.

Kazałem Luz unieść nieco nogi matki, żebym mógł przesunąć pod nimi bandaż. Carrie krzyknęła przy tym, ale musiałem to zrobić. Potem wzięła się w garść i spojrzała mi prosto w oczy.

— Porozmawiaj z George'em, ty mówisz jego językiem.

Mnie nie zechce wysłuchać, nigdy nie słucha...

Luz klęczała, znowu trzymając matkę za rękę.

— Co się dzieje, mammo? Czy dziadek przyjedzie nam pomóc?

Carrie popatrzyła na mnie, mamrocząc do Luz:

— Która godzina, dziecko?

— Dwadzieścia po ósmej. Carrie uścisnęła jej dłoń.

— Co się stało, mammo? Chcę zobaczyć tatusia. Co się stało?

— Jesteśmy spóźnieni... musimy porozmawiać z dziadkiem... Będzie się martwił... Porozmawiaj z nim, Nick. Proszę, musisz...

— Gdzie tatuś? Chcę zobaczyć tatusia. — Była bliska hysterii i Carrie mocniej uścisnęła jej dłoń.

— Niedługo, dziecino, niedługo... Połącz się z dziadkiem... — Potem odwróciła głowę do mnie i powiedziała o wiele spokojniejszym głosem: — Najpierw Nick musi zrobić coś dla nas... i dla siebie. Ja mogę poczekać. Do Chepo nie jest daleko.

Przez długą chwilę patrzyła na mnie zamykającymi się, szklistymi

oczami, a potem opadła na łóżko. Rozchyliła wargi, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jej wielkie, zapłakane i podpuchnięte oczy spoglądały w milczącym błaganiu. Luz wstała i podeszła do swojego peceta.

— Niedługo zobaczymy się z tatusiem, prawda?

Carrie nie mogła obrócić głowy tak, żeby ją widzieć.

— Połącz się z dziadkiem.

— Nie, jeszcze nie — powiedziałem. — Włącz jakąś wyszukiwar-
kę. Google albo coś takiego.

Obie popatrzyły na mnie jak na szaleńca. Obrzuciłem je uważ-
nym spojrzeniem.

— O nic nie pytaj, tylko zrób to.

Luz już stuknęła w klawiaturę peceta na końcu pokoju, gdy Car-
rie przywołała mnie skinieniem ręki.

— O co chodzi?

Czułem woń błota w jej włosach i słyszałem charakterystyczny
pisk modemu negocjującego połączenie. Spojrzała na mnie; jej
źrenice były już mocno rozszerzone.

— Kelly, Potakiwacz. Musisz coś zrobić...

— W porządku, już to załatwiłem, przynajmniej na razie.

Uśmiechnęła się pijackim uśmiechem.

— Już mam, Nick. Włączyłam Google.

Podszedłem, zająłem jej miejsce na fotelu i wystukałem: „pocisk
Sunburn”. Ujrzałem kilka tysięcy wzmianek, ale już pierwsza była
ponurą lekturą. Zaprojektowany i wyprodukowany przez Rosjan
pocisk 3M82 Moskit do zwalczania okrętów nawodnych (w NATO
znany pod nazwą kodową SS-N-22 „Sunburn”) obecnie był także w
posiadaniu Chińczyków. Rysunek ukazywał zwyczajny pocisk ra-
kietowy, dość cienki, ze statecznikami na końcu oraz, mniejszymi,
w połowie długości dziesięciometrowego kadłuba. Mógł być odpa-
lany ze statku lub ruchomej platformy, wyglądającej jak rekwizyt z
filmu s.f. Oto analiza eksperta do spraw obronności:

*Przeznaczony do zwalczania jednostek nawodnych pocisk ra-
kietowy Sunburn jest prawdopodobnie najgroźniejszą tego typu*

bronią na świecie. Łączy prędkość 2,5 macha z możliwością wykonywania szybkich manewrów przy locie na niskim pułapie, co utrudnia obronę. Po wykryciu sunburna system przeciwrakietowy Phalanx, używany przez flotę USA, może mieć zaledwie 2,5 sekundy na namierzenie pocisku, który wznosi się w górę i uderza w pokład statku, czemu towarzyszy silna eksplozja głowicy bojowej zawierającej 350 kilogramów ładunku wybuchowego. Mając zasięg stu trzydziestu kilometrów, sunburn...

„Silna” to za mało powiedziane. Śmiercionośne działanie samej eksplozji, w wyniku której wyparuje wszystko, co znajdzie się w jej epicentrum, spotęguje jeszcze fala uderzeniowa nadająca przedmiotom naddźwiękową prędkość, przy jakiej zwykła stalowa taca może ucinać głowy i kończyny.

Tylko tyle chciałem wiedzieć.

Opuściłem fotel i podszedłem do łóżka Carrie.

— Luz, teraz możesz połączyć się z dziadkiem.

38

Klęknąłem przy Carrie.

— To banjo, o którym mówiłaś, czy to rzeka? To dlatego był im potrzebny ponton?

Leki już zaczynały działać.

— Banjo?

— Nie, nie. To miejsce, skąd tamci przyjechali wczoraj w nocy, pamiętasz? Czy to rzeka?

Kiwnęła głową, z trudem kojarząc.

— Och, Bayano? Na wschód stąd, niedaleko.

— Czy wiesz, gdzie dokładnie to jest?

— Nie, ale... ale...

Skinęła głową, żebym się nachylił. Zrobiłem to, a ona szepnęła drżącym głosem, powstrzymując łzy.

— Aaron... za drzwiami?

Zaprzeciłem.

— W małdzie.

Zakaszła i zaczęła cicho płakać. Nie wiedziałem, co robić. Miałem w głowie pustkę.

— Dziadku! Dziadku! Musisz nam pomóc... Byli tu ci ludzie i mama jest ranna, a tato pojechał po policję!

Była bliska hysterii. Pochyliłem się nad nią.

— Idź i pomóż mamie, no idź.

Zobaczyłem przed sobą głowę i ramiona George'a, widoczne w kwadracie o boku dziesięciu centymetrów, na środku ekranu. Obraz był trochę niewyraźny i rozmyty na brzegach, tak samo jak zeszłej nocy, ale dobrze widziałem ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Podłączyłem i nałożyłem słuchawki, żeby z wewnętrznego głośnika komputera nie wydobywał się żaden dźwięk. Do tej pory udało mi się uchronić Luz przed całym tym gównem, i tak też powinno pozostać.

— Kim pan jest? — Przez trzaski usłyszałem jego spokojny, opanowany głos.

— Nick. W końcu może pan skojarzyć imię z twarzą, co?

— W jakim stanie jest moja córka?

Twarz typowego Amerykanina o kwadratowej szczęce nie zdradzała żadnych uczuć.

— Ma złamaną kość udową, ale wyjdzie z tego. Będzie pan musiał załatwić dla niej transport z Chepo. Zabrać ją z ambulatorium Korpusu Pokoju. Ja...

— Nie. Niech je pan zawiezie do ambasady. Gdzie jest Aaron?

Jeśli nawet się przejął, to nie było tego po nim widać. Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, że Luz pochyla się nad Carrie, ale wciąż znajduje się w zasięgu głosu. Odwróciłem się z powrotem do ekranu i wymamrotałem:

— Nie żyje.

Bacznie wpatrywałem się w ekran, lecz wyraz jego twarzy wcale się nie zmienił — tak samo jak ton jego głosu.

— Powtarzam, niech je pan zawiezie do ambasady. Zajmę się wszystkim.

Powoli pokręciłem głową, patrząc na ekran, z którego odpowiadało mi jego nieruchome spojrzenie. Powiedziałem ściszym głosem:

— Wiem, co tu się dzieje, George. Choi też. Nie możesz dopuścić do tego, żeby *Ocaso* został zatopiony. Wiesz, ilu tam będzie ludzi? Takich jak Carrie i Luz, prawdziwych ludzi. Musisz odwołać akcję.

Nie zmienił wyrazu twarzy, dopóki nie zaczerpnął tchu.

— Posłuchaj, synu, nie mieszaj się do czegoś, czego nie rozumiesz. Rób dokładnie to, co ci mówię. Zabierz moją córkę i Luz do ambasady. Zrób to natychmiast.

Nie zaprzeczył. Nie zapytał: „Co za Ocaso?”

Musiałem próbować.

— Odwołaj akcję, George, albo zawiadomię wszystkich, którzy zechcą mnie wysłuchać. Odwołasz ją, a będę milczał do końca życia. Proste.

— Nic z tego, synu. — Pochylił się, jakby chciał przysunąć się bliżej, żeby zrobić na mnie wrażenie. Jego twarz zajęła sporą część ekranu. — Mów, do kogo chcesz, nikt nie zechce słuchać. Zbyt wielu ludzi jest w to zamieszanych, zbyt wiele sił. Wkraczasz na zupełnie nieznaną ci teren. — Odchylił się do tyłu i na ekranie znowu pojawiła się jego biała koszula i krawat. — Dobrze mnie posłuchaj, powiem ci, co masz zrobić. Zawieź obie do ambasady i zaczekaj tam. Jeśli to może cię zachęcić, wiedz, że jestem nawet skłonny ci zapłacić. — Zamilkł, upewniając się, że to do mnie doszło. — A jeśli nie? Możesz mi wierzyć na słowo, twoje perspektywy nie wyglądałyby różowo. Teraz rób, co mówię, zawieź je do ambasady i nie mieszaj się w coś, co cię przerasta.

Słuchałem go, dobrze wiedząc, że gdybym pojechał do ambasady, stałbym się wspomnieniem. Za dużo wiedziałem i nie należałem do rodziny.

— Pamiętaj, synu, różne siły. Nawet nie wiedziałbyś, z kim rozmawiać.

Pokręciłem głową i zdjąłem słuchawki, po czym odwróciłem się i ze zniechęceniem wzruszyłem ramionami, patrząc na Carrie.

— Daj mi z nim porozmawiać, Nick.

— Nie ma po co. On słyszy, lecz nie słucha.

— Dwa tysiące ludzi, Nick. Dwa tysiące ludzi...

Podszedłem do nich obu i chwyciłem oburącz krawędź łóżka.

— Luz, potrzebujemy koców i wody dla twojej mamy. Przygotuj je i ulóż w jednym miejscu w magazynie.

Przeciągnąłem łóżko tak blisko komputera, że mogłem nałożyć słuchawki na głowę Carrie, a mikrofon umieściłem przy jej ustach. Nad nami głowa George'a wciąż dominowała na ekranie. Czekał na moją odpowiedź.

— Cześć, to ja.

Wyraz twarzy na ekranie nie zmienił się, ale zobaczyłem ruch warg.

— Ja przeżyję... lecz ci wszyscy ludzie nie, jeśli nie odwołasz akcji.

George przez kilka sekund poruszał wargami. Wciąż miał kamienny wyraz twarzy. Spierał się, przekonywał, może rozkazywał. Nie robił tylko jednego: nie słuchał.

— Chociaż raz, choć raz w życiu... Nigdy o nic cię nie prosiłam. Nawet paszport nie był prezentem, ale jedynie transakcją. Musisz ich powstrzymać. Natychmiast odwołaj akcję.

Patrzyłem na George'a, na jego zimną, nieruchomą twarz. Teraz on mówił, a Carrie słuchała. Potem powoli zdjęła słuchawki z głowy i upuściła je na pierś. W oczach miała łzy.

— Rozłącz go... Nie chcę go widzieć... To już koniec...

Połączenie przerwane.

Pozwoliłem im to zrobić, ale George rozłączył się wcześniej. Okienko zniknęło. Pewnie dlatego, że korzystał z tego samego kanału, żeby nawiązać łączność ze swoją grupą.

Spojrzawszy na sufit, powiodłem wzrokiem wzdłuż czarnych przewodów biegnących od talerzy anten, schodzących po ścianach z dykty i znikających pod stołami, gdzie wraz z białymi kablami prowadziły do tylnych ścianek komputerów.

Wślizgnąłem się pod biurko i zacząłem rozłączać wszystko, co się dało.

— Gdzie jest przekaźnik? Czy wiesz, gdzie jest przekaźnik? — krzyknąłem do Carrie.

Usłyszałem cichą odpowiedź:

— Ta niebieska skrzynka. Jest gdzieś tam.

Luz wróciła do pokoju i podeszła do matki.

Pod stertą przewodów, książek i papierów znalazłem ciemnoniebieskie i bardzo podrapane pudełko, mające dwadzieścia pięć centymetrów szerokości i długości, oraz pięć centymetrów wysokości. Odchodziły od niego trzy koncentryczne przewody — dwa wejściowe, jeden wyjściowy. Wyrwałem wszystkie trzy.

Za plecami usłyszałem jakiś szmer. Obejrzałem się w samą porę, aby zobaczyć Luz zmierzającą do salonu.

— Stój! Nie ruszaj się! — Zerwałem się na równe nogi, doskoczyłem do niej i złapałem ją za ramię. — Dokąd idziesz?

— Chciałam zabrać trochę ubrań. Przepraszam...

Spojrzała na matkę, szukając poparcia. Puściłem ją, pozwalając jej podejść do łóżka. Odwróciłem się, aby pójść za nią. Kątem oka dostrzegłem strużkę krwi, która przesączyła się pod drzwiami. Pobiegnęłam do magazynu i chwyciłam pierwszą rzecz, która nadawała się do tego celu: na pół pusty, dziesięciokilogramowy plastikowy worek z ryżem, przewrócony kopniakiem. Przytąszczyłem go i rzuciłem pod drzwi salonu, jak worek z piaskiem.

— Nie możesz tam wejść. To niebezpieczne, może wybuchnąć pożar. Kiedy przelatywały śmigłowce, lampy naftowe pospadały i porozbijały się. Wszędzie jest pełno nafty. Za chwilę sam wszystko ci przyniosę.

Przykucnąłem pod stołem i rozłączyłem wszystko, co się dało, a potem nadstawiłem ucha i usłyszałem, że wciąż pada.

— Teraz przyniosę ci rzeczy, Luz, a ty zostań tutaj. Dobrze?

O mało się nie zakrztusiłem, kiedy otworzyłem drzwi i przestąpiłem przez worek z ryżem. Zapach kordytu znikł, zastąpił go odór śmierci, paskudny smród jak w sklepie niechlujnego rzeźnika. Zamknąłem drzwi i włączyłem światło. Czterej zabici leżeli bezwładnie wśród połamanych sprzętów i potłuczonego szkła, a ich krew tworzyła na podłodze gęste krzepnące kałuże.

Starając się nie wdepnąć w żadną z nich, wziąłem zapasowe ubranie dla Luz oraz bawełnianą bluzkę dla Carrie. Otworzyłem drzwi i rzuciłem je do pracowni komputerowej.

— Przebierz się i pomóż mamie. Ja zaraz przyjdę.

Ostrożnie stawiając stopy, zacząłem wyciągać nylonową uprząż spod ciała Zielonego. Zapewne padając, ściągnął ją ze stołu. Była mokra od jego krwi. Nieistotne, ważne były tylko tkwiące w ładownicach magazynki. Zacząłem zdejmować uprząże z pozostałych. One też były zakrwawione, a niektóre magazynki porozbijane kulami. Nylon popękał, ukazując pogięty metal i kawałki mosiądzu. Mając trzy uprząże z pełnymi magazynkami, podniosłem z podłogi moje dokumenty i, obszukawszy ciała, zebrałem dwieście dwanaście dolarów. Czując się nieco lepiej, wepchnąłem pieniądze do kieszeni spodni, po czym zacząłem szukać na regale mapy Chepo i Bayano.

Znalazłem ją. Carrie miała rację. Bayano leżało na wschód od Chepo.

Nie było czasu do namysłu, musieliśmy ruszać. Pogoda w każdej chwili mogła się poprawić. Jeśli ludzie z Korpusu Pokoju nie będą w stanie pomóc Carrie, to przynajmniej zawiozą ją do miasta.

Wybiegłem na werandę i na ten cudowny deszcz, uniemożliwiający start śmigłowcom. Dopadłem land cruisera, rzuciłem wszystko na podłogę, a potem wepchnąłem M-16 między fotel pasażera i drzwi. Sam nie wiem dlaczego, po prostu nie chciałem, żeby Luz widziała broń.

Obszedłem samochód i sprawdziłem wskaźnik paliwa. Miałem prawie pół baku. Złapałem latarkę i ruszyłem w kierunku mazdy. Kiedy otworzyłem tylne drzwi, w świetle latarki ujrzałem zakrwawione teraz prześcieradło spowijające Aarona. Dostrzegłem również przymocowane tam kanistry. Kiedy przechodziłem do nich obok niego, poślizgnąłem się w kałuży krwi. W wozie unosił się mdlący, słodkawy odór, taki sam jak w salonie. Łapiąc równowagę,

oparłem się o brzuch Aarona i odkryłem, że jeszcze nie zeszywniał. Wyciągnąłem jeden ciężki kanister i zatrzasnąłem tylne drzwiczki.

Odkręciłem korek wlewu paliwa land cruisera i wetknąłem weń dzióbek kanistra. Sprężone opary benzyny ulotniły się z sykiem. Pospiesznie przelałem paliwo do zbiornika, ochlapując nim burtę samochodu i dłonie.

Po opróżnieniu kanistra zakręciłem wlew paliwa i wrzuciłem metalowy pojemnik do kabiny, na nylonowe uprząże. Pomyślałem, że jeszcze może mi się przydać.

39

Upewniwszy się, że błoto zmyło krew Aarona z moich butów, poszedłem z powrotem do oświetlonej jarzeniówkami pracowni komputerowej i sprawdziłem, czy worek z ryżem spełnia swoje zadanie.

Carrie paliła i kiedy podszedłem bliżej, nie potrzebowałem pomocy przeszkolonego psa, żeby wiedzieć, co się działo. Luz siedziała na podłodze obok łóżka, gładząc czoło matki i obserwując dym wydmuchiwany przez nią nosem. Jeśli patrzyła na to z dezaprobatą, to nie dała tego po sobie poznać.

Carrie spoglądała zażawionymi i nieprzytomnymi oczami na nieruchome wentylatory, gdy córka delikatnie masowała jej czoło. Przykucnąłem w nogach łóżka i ponownie sprawdziłem ukrwienie stóp. Wciąż było dobre. Wstałem i przenieśliem wzrok na Luz.

— Mama powiedziała ci, gdzie to chowa?

Kwestia marychy nie miała żadnego znaczenia i sam nie wiem, dlaczego zapytałem — chyba dlatego, żeby po prostu coś powiedzieć. Nie poruszyła głową, ale zerknęła na mnie.

— Jakbym nie... ale dziś nie ma sprawy.

Carrie próbowała się zaśmiać, lecz bardziej przypominało mi to kaszel. Pochyliłem się, podniosłem z podłogi rolkę bandaża i schowałem do kieszeni.

— Czas ruszać.

Luz skinęła głową, a Carrie jeszcze raz zaciągnęła się skrętem.

— No to już, zabierzmy stąd twoją mamę.

Oboje złapaliśmy za końce pryczy; Luz od strony nóg, stojąc twarzą do mnie.

— Gotowa? Raz, dwa trzy... już.

Poprowadziłem, a ona cofała się powoli, idąc ostrożnie po usłanej rupieciami podłodze magazynu. Potem przeszliśmy po pluskającym pod nogami błocie i ponownie umieściliśmy ranną z tyłu land cruisera, głową w kierunku jazdy. Posłałem Luz do magazynu po koce i wodę mineralną, a sam za pomocą bandaża przywiązałem nogi łóżka do uchwytów w podłodze, żeby nie przesuwało się podczas jazdy. Carrie odwróciła głowę ku mnie i powiedziała sennym głosem, oszołomiona koktajlem z dihydrokodeiny, aspiryny i marylchy:

— Nick, Nick...

Byłem zajęty wiązaniem bandaża w kiepskim świetle kabiny.

— I co ja mam teraz robić?

Wiedziałem, o co jej chodzi, ale to nie była odpowiednia chwila.

— Zawiozę cię do Chepo i zanim się obejrzysz, obie będziecie w Bostonie.

— Nie, nie. Aaron... Co mam robić?

Uratowała mnie Luz, która wróciła z wodą i naręczem koców i pomogła mi okryć Carrie. Zeskoczyłem z powrotem w błoto, obzedłem samochód i usiadłem za kierownicą.

— Luz, musisz pilnować mamy. Sprawdzaj, czyjej łóżko za bardzo się nie przesuwa, dobrze?

Poważnie pokiwała głową i uklękła przy matce, a ja uruchomiłem land cruisera i zatoczyłem szeroki łuk, wyjeżdżając nim na trakt. Strumienie światła przednich reflektorów przesunęły się po mazdzie. Po chwili Carrie ujrzała ją w czerwonym blasku naszych tylnych świateł.

— Stań, Nick, stań na chwilę...

Delikatnie zahamowałem i odwróciłem się na fotelu. Uniosła głowę, wyciągając szyję, żeby spojrzeć przez tylną szybę. Luz przysunęła się i podtrzymała ją.

— O co chodzi, mamó? Co się stało?

Nie odrywając oczu od mazdy, Carrie odpowiedziała córce:

— Wszystko w porządku, dziecino, tylko coś sobie przypomniałam. Powiem ci później.

Przyciągnęła Luz i przytuliła ją. Zaczekałem chwilę w deszczu, który jakby zaczynał już słabnąć, słuchając miarowego pomruku silnika.

— Możemy jechać?

— Tak — odparła. — Nic tu po nas.

Podróż do Chepo była mozolna. W miarę możliwości starałem się omijać dziury i wyboje. Naprawdę martwiłem się tym, że nie miałem czasu poszukać sobie maczety. Powrót bez niej do dżungli za bardzo będzie mi przypominał wtorkowe wydarzenia.

Zanim znaleźliśmy się w dolinie, deszcz trochę osłabł i wycieraczki zaczęły poruszać się wolniej. Spojrzałem w górę, wiedząc, że i tak nie zdołam nic dostrzec, ale mając nadzieję, że chmury wciąż wiszą nisko nad ziemią. Jeśli nie, to wkrótce zobaczymy nadlatujące śmigłowce.

Kiedy dotarliśmy do drogi, miejscami bardziej przypominającej rzekę, jechaliśmy z prędkością nieprzekraczającą dziesięciu kilometrów na godzinę. Znowu poczułem zapach trawki i obejrzawszy się, zobaczyłem Luz kłęczącą przy matce i usiłującą wetknąć jej skrzęta do ust. Wyjąłem z kieszeni dihydrokodeinę.

— Masz, daj mamie jedną tabletkę i wodę do popicia. Potem pokażesz lekarzowi buteleczkę. Łącznie dostała cztery takie tabletki i aspirynę. Rozumiesz?

W końcu zobaczyliśmy ufortyfikowany posterunek policji i zapytałem o drogę.

- Gdzie jest szpital? Którędy mam jechać?
- Mogłem liczyć już tylko na Luz. Jej matka odpłynęła.
- Gdzieś koło sklepu.

Tyle to sam wiedziałem. Minęliśmy restaurację, a jaguar nawet na nas nie spojrział, gdy przejeżdżaliśmy przez uśpione miasteczko. Zerknąłem na zegarek. Dochodziła północ. Na zrobienie tego, co musiałem zrobić, pozostało mi zaledwie dziesięć godzin.

Przed budynkiem z pustaków skręciłem w prawo.

- Luz, czy to tutaj? Dobrze jadę?
- Tak, to już tu, widzisz?

Wyciągnęła rękę nad moim ramieniem, wskazując kierunek. Trzy domy dalej stał kolejny budynek z pustaków, kryty blaszanym dachem, z owalnym emblematem Korpusu Pokoju — przypominającym gwiazdy i paski, lecz zamiast gwiazd mającym parę gołębi. Kiepsko widziałem w tych ciemnościach.

Zatrzymałem samochód przed budynkiem i Luz wyskoczyła przez tylne drzwi. Istotnie, nie był to szpital; pod gołębiami umieszczono malowaną drewnianą tabliczkę z napisem „Amerykański Korpus Pokoju — Społeczna Szkoła Środowiskowa”.

Kiedy spojrzałem na Carrie, Luz już waliła do frontowych drzwi.

- Jesteśmy na miejscu, Carrie, jesteśmy na miejscu.

Nie odpowiedziała. Naprawdę miała totalny odlot, ale przynajmniej nie czuła bólu.

Łomotanie do drzwi przyniosło efekt. Kiedy wysiadłem z land cruisera, w progu pojawiła się ubrana w dres dwudziestokilkuletnia kobieta z rozczochranymi ciemnoblond włosami. Obrzuciła nas zaspanym spojrzeniem.

- Co się stało, Luz?

Dziewczynka zasypała ją lawiną słów, a ja przeszedłem na tył samochodu i zacząłem odwiązywać łóżko.

- Jesteśmy na miejscu, Carrie — powtórzyłem.

Wymamrotała coś do siebie, kiedy młoda kobieta podeszła do mnie, już zupełnie przebudzona.

— Carrie, tu Janet. Słyszysz mnie? To ja, Janet. Słyszysz mnie?
Nie było czasu na uprzejmości.

— Możecie jej dać kroplówkę? Ma otwarte złamanie lewego uda.

Janet złapała za łóżko i zaczęła je wyciągać z samochodu. Chwyciłem za drugi koniec i razem wnieśliśmy Carrie do budynku. Pokój był umeblowany po spartańsku: dwa biurka, korkowe tablice, telefon i zegar na ścianie. To, co dotychczas widziałem, nie budziło we mnie entuzjazmu.

— Potraficie jej pomóc? Jeśli nie, musicie zawieźć ją do miasta.

Kobieta popatrzyła na mnie jak na wariata. Z drugiej części budynku wyszli rozespani ludzie: trzech mówiący po angielsku mężczyźni w różnych stadiach nocnego dezabilu.

— Co się stało Carrie? Gdzie Aaron? O mój Boże, nic ci nie jest, Luz?

Usunąłem się na bok, obserwując rozwój wydarzeń. Przytoczyli zestaw do kroplówek i pośpiesznie podłączyli do niego Carrie. Może nie wyglądało to równie efektownie jak scena z „Ostrego dyżuru”, ale dobrze wiedzieli, co robią. Spojrzałem na Luz, która siedziała na podłodze i znów trzymała matkę za rękę, podczas gdy Janet czytała etykietę na buteleczce z dihydrokodeiną.

Według zegara na ścianie była 24.27. Pozostało mi dziewięć i pół godziny. Zostawiłem ich i wróciłem do samochodu. Usiadłem za kierownicą i włączyłem oświetlenie kabiny, woląc oszczędzać baterie latarki, która może być mi potrzebna później. Rozłożyłem mapę, żeby odszukać Bayano. Spływała z potężnych Lago Bayano na wschód od Chepo, mniej więcej trzydzieści kilometrów dalej, a potem wiła się w kierunku Zatoki Panamskiej i Pacyfiku. Ujście rzeki znajdowało się dokładnie na wprost wejścia do Kanału Panamskiego i leżącej nieco dalej śluzy Miraflores. Tak więc jeśli byli nad rzeką, to z pewnością przy ujściu. Sunburn nie mógł pokonać

większych wzniesień; został zaprojektowany do zwalczania celów na morzu. Delta rzeki znajdowała się w odległości zaledwie pięćdziesięciu kilometrów od śluzy. Sunburn miał zasięg stu trzydziestu. Na razie wszystko się zgadzało.

Przyjrzałem się mapie, zastanawiając się, czy Charlie zrobi to samo, zanim postanowi przylecieć tu i sprawdzić. Nie wiedział tego, co ja, dlatego będzie miał do przeszukania prawie stukilometry pas porośniętego dżunglą wybrzeża, z którego można by odpalić pocisk. To spory kawał do przetrząśnięcia w ciągu kilku godzin. Miałem nadzieję, że dzięki temu uda mi się zniszczyć rakietę, zanim zdoła przekazać ją rebeliantom FARC.

Według mapy jedyne miejsce nadające się do odpalenia pocisku znajdowało się na wschodnim brzegu rzeki, przy jej ujściu do morza. Zachodni brzeg również tworzył cypel, lecz zbyt krótki, nie wychodzący dostatecznie daleko w morze. Tak więc musiał to być wschodni przylądek, na lewym brzegu rzeki. I był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Przyglądając się mapie, zorientowałem się, że do Bayano mogę dotrzeć już po przejechaniu siedmiu kilometrów na południe, nieutwardzoną drogą gruntową. Rzeka miała tam prawie dwieście metrów szerokości i skręcała na południe, płynąc do znajdującego się dziesięć kilometrów dalej morza. W rzeczywistości ta odległość będzie większa z powodu licznych zakrętów. Przy ujściu rzeka osiągnie prawie dwa kilometry szerokości.

I tyle — to wszystko, co wiedziałem. Pieprzyć to. Musiałem działać na podstawie takich informacji, jakie miałem.

Obszedłem samochód i zamknąłem tylne drzwi, potem znowu usiadłem za kierownicą, włączyłem silnik i odjechałem. Przemknąłem przez uśpione miasteczko, starając się jechać na południe według wskazań kompasu, który wciąż miałem zawieszony na szyi. Mapę sporządzono w latach osiemdziesiątych, w skali 1: 50 000, podobnie jak tę, na podstawie której szukałem domu Charliego, a od tego czasu Chepo bardzo się rozrosło.

Uświadomiłem sobie, że nie pożegnałem się z Carrie i Luz. Carrie i tak by mnie nie usłyszała, lecz mimo to miło byłoby powiedzieć do widzenia.

Po osuszeniu dwóch butelek wody mineralnej i godzinie jazdy drogą szutrową, teraz pokrytą mieszaniną błota i żwiru, w smugach reflektorów ujrzałem przed sobą rzekę. Zatrzymałem samochód, jeszcze raz sprawdziłem odległość i kierunek, po czym z tartarką w rękę wyskoczyłem z wozu i zszedłem na błotnisty brzeg. Świerszcze cykały głośno, ale zagłuszał je szum wody.

Nawet po tym ulewnym deszczu rzeka nie płynęła rwącym nurtem, z niepowstrzymaną siłą. Jej koryto było dostatecznie szerokie, żeby przyjąć masy wody, dostarczane przez dopływy. Niewątpliwie płynęła w dobrym kierunku, od mojej prawej do lewej, kierując się na południe i do Pacyfiku — aczkolwiek to samo robił nawet najmniejszy strumyk po tej stronie lądu.

Idąc wzdłuż brzegu, rozglądałem się za jakąś łodzią, którą mógłbym szybko dopłynąć do ujścia. Nie było żadnego pomostu ani żadnej tabliczki — nic prócz błota, ostrych traw i dziwnego, karłowatego drzewa.

Wdrapałem się na brzeg, wsiadłem do samochodu i ponownie przyjrzałem się mapie. To musiała być rzeka, której szukałem. W pobliżu nie było innej równie wielkiej.

Pojechałem z powrotem w kierunku Chepo, szukając jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym ukryć land cruisera, ale nawet po przejechaniu trzech kilometrów w świetle reflektorów wciąż widziałem kompletnie odsłonięty teren. W końcu zaparkowałem wóz na poboczu drogi, wyjąłem suche już pasy z magazynkami, M-16 i kanioster, po czym pomaszerowałem z powrotem w kierunku rzeki, obładowany jak źle spakowany skaut.

40

Miałem wrażenie, że spędziłem całe życie, przesiadując w błocie pod drzewem i słuchając grania milionów świerszczy zakłócających nocną ciszę. Tym razem nie siedziałem w dżungli, ale na brzegu Bayano, która z cichym pluskiem przepływała obok mnie w mroku. Moskity nie atakowały tutaj z takim zapalem, ale było ich dostatecznie dużo, żeby na moim karku pojawiły się nowe bąble w miejsce tych, które zaczęły znikać. Przesunąłem językiem po zębach. Teraz ich szkliwo nie było już tylko trochę szorstkie. Wydawało mi się, że pokrywa je gruba warstwa osadu. Zastanawiałem się, co ja tu właściwie robię. Dlaczego nie zmądrzeję? Czemu po prostu nie zabiłem Michaela od razu, w Londynie?

Mając zaledwie pół godziny czasu do świtu i ataku, zrozumiałem, że sam się oszukuję. Wiedziałem, że i tak to zrobię. Nie tylko dlatego, że życie wielu ludzi — prawdziwych ludzi — znalazło się w niebezpieczeństwie, ale dlatego, że choć raz chciałem postąpić jak należy. Może nawet później będę z siebie dumny.

Podciągnąwszy kolana i oparłszy o nie łokcie, zacząłem ocierać zarośniętymi i spoconymi policzkami o przedramiona. Gdzieś w ciemnościach słychać było cichy, lecz pospieszny warkot hueya. Nie widziałem jego światła pozycyjnych, ale bezsprzecznie był tam

tylko jeden śmigłowiec. Może Charlie wrócił do domu Yanklewit-zów. Po tym, co tam zastanie, na pewno zacznie nas szukać, ale na to nie miałem żadnego wpływu. Ponadto na razie będzie wykorzystywał swoje śmigłowce do patrolowania wybrzeża i szukania sunburna, a nie nas trojga.

Niewidoczne ptaki rozpoczęły swój poranny koncert, gdy żółty łuk słońca zamierzał wyrzeć zza horyzontu i oblać ziemię żarem. Ponownie zapakowałem moje dokumenty i mapę w dwa plastikowe woreczki, zawiązując oba na węzeł. Sprawdziłem rzepy ładownic na wszystkich trzech uprzężach, upewniając się, że podczas następczej fazy operacji nie pogubię magazynków. W końcu sprawdziłem, czy ubranie nie przylega mi do ciała i nie będzie zatrzymywać wody, co utrudniałoby mi ruchy.

Odczepiłem plastikowe zatrzaski nylonowych uprzęży i przeciągnąłem je przez uchwyt kanistra, a potem znowu zapiąłem. To samo zrobiłem z paskami na szyję, przeciągając je przez osłonę spustu M-16. Z doświadczenia i opowiadań kolegów wiedziałem, że więcej żołnierzy ginie podczas przepraw przez rzeki niż w starciach z wrogiem. Właśnie dlatego wszystko przytroczyłem do pustego kanistra, a nie do swoich pleców, i nie zamierzałem wyruszać, dopóki nie zrobi się jasno.

Zaniósłem cały ten majdan nad ciepłą, rdzawobrazową wodę. Z przyjemnością wszedłem w nią do połowy ud, a potem zanurzyłem głowę, żeby zmyć pot z twarzy. Odświeżony, ułożyłem trzy pasy amunicyjne i karabin na kanistrze, który miał posłużyć jako ponton. Prąd był silniejszy, niż wydawało się z brzegu, i wokół płynęły świeżo opadłe, zielone liście, wyprzedzając mnie i podskakujące przede mną na falach kanister, teraz do połowy zanurzony w wodzie. Wchodziłem coraz głębiej, przytrzymując rękami pasy i broń, aż moje stopy zaczęły tracić kontakt z dnem rzeki. Pozwoliłem, by uniósł mnie jej nurt, odepchnąwszy się nogami od mulistego brzegu,

jak dziecko uczące się pływać z deską. Porwał mnie prąd, ale od czasu do czasu dotykałem stopami dna, odpychając się od niego i posuwając naprzód, jakbym spacerował po Księżycu.

Tutaj też trafili drwale i oba brzegi wyglądały jak pobożowisko z pierwszej wojny światowej : pustynia błota i kęp trawy, ze sterzącymi tu i ówdzie zeschniętymi drzewami.

Ponieważ rzeka mocno meandrowała, nie byłem w stanie wyliczyć, kiedy dopłynę do jej ujścia, ale w tej sprawie również nic nie mogłem zrobić; musiałem płynąć dalej.

Po półgodzinie, kiedy słońce wisiało nisko, ale już wyłoniło się zza horyzontu, na obu brzegach pojawiły się drzewa i w miarę jak dżungla gęstniała, odcinały coraz więcej światła. Słońce nie weszło jeszcze dostatecznie wysoko, żeby oświetlić szczelinę tworzoną przez rzekę w baldachimie listowia, tak więc nad głową miałem tylko jasnoniebieskie niebo. Oprócz szumu wody słyszałem jedynie dziwne odgłosy wydawane przez ukryte w koronach drzew ptaki.

Odbijałem się nogami, trzymając się lewego brzegu, nie tracąc kontaktu z dnem, w miarę jak rzeka robiła się coraz szersza. Przeciwny brzeg stopniowo się oddalił i teraz wyglądał jak inna kraina. Dżungla ustąpiła miejsca mangrowym moczarom, które przypominały łęgowisko dinozaurów.

Niebawem rzeka miała już ponad półtora kilometra szerokości. Gdy mijiałem szczególnie szeroki, łagodny zakręt, zobaczyłem ocean znajdujący się zaledwie kilometr w dół rzeki. (W oddali dostrzegłem dwa kontenerowce, plujące dymem z kominów, oraz słońce odbijające się od spokojnej i gładkiej powierzchni morza. Jakież pięć, sześć kilometrów od brzegu ujrzałem porośniętą bujną roślinnością wyspę.

Płynąłem dalej, wypatrując jakiegoś znaku, który pomógłby mi zlokalizować wyrzutnię. Rzeka toczyła wody wolniej i pokonałem jeszcze pięćset metrów. Nagle, może dwieście metrów przed jej ujściem i po mojej lewej stronie, zobaczyłem niewielką rybacką łódkę z otwartym pokładem, wyciągniętą na brzeg i porzuconą. Jej rufa całkiem się rozpadła, pozostawiając szkielet z szarego,

zbutwiałego drewna. Kiedy podpłynąłem bliżej, dostrzegłem małą polankę, na której stała drewniana chatka, w równie opłakanym stanie.

Minąłem ją, czujnie rozglądając się wokół. Ktoś tutaj był, i to niedawno. Niedaleko brzegu zauważyłem ciemne spody wielkich liści paproci, a wysoka na pół metra trawa w pobliżu łódki wydawała się zdeptana. Te ślady były ledwie widoczne, ale dla mnie zupełnie wystarczające. To musiało być miejsce, którego szukałem. Nie było innej możliwości. Lecz nie dostrzegłem żadnych odcisków stóp na mulistym brzegu.

Przepląnąłem jeszcze pięćdziesiąt metrów, widząc już przed sobą ocean, aż znalazłem się pod baldachimem drzew i łódka znikła mi z oczu. Stałem na dnie i powoli zacząłem popychać kanister w kierunku brzegu. Wciągnąwszy sprzęt w gąszcz, ukląknęłam i odwiązałem pasy amunicyjne oraz M-16. Broń nie wymagała żadnych zabiegów. Ta krótka kąpiel w rzece nie powinna jej zaszkodzić.

Zapiąłem pierwszy pas i uregulowałem sprzączki tak, żeby wisiał bardzo nisko, prawie na wysokości mojej talii. Potem założyłem drugi, tuż nad pierwszym, a powyżej niego trzeci. Ponownie sprawdziłem, czy wszystkie magazynki są włożone prawidłowo, tak by po wyciągnięciu były skierowane wklęsłą krawędzią do mnie i gotowe do szybkiego załadowania. W końcu, sprawdzwszy broń, przez minutę czy dwie siedziałem na kanistrze, oswajając się z otoczeniem. Chłód mokrego ubrania zaczął znów zmieniać się w ciepłą wilgoć. Spojrzałem na zegarek. Była 7.19, a ja bawiłem się w Rambo, żywcem pożerany przez owady, z nogą owiniętą przemozionym bandażem, i nie miałem żadnego planu, poza tym że przewidywałem opróżnienie wszystkich magazynków.

Nadszedł decydujący moment. Kiedy się stąd ruszę, już nie będę mógł zawrócić, chyba że spieprzę wszystko i będę musiał ratować się ucieczką. Opuściłem głowę i patrzyłem, jak ściekające z pasów krople wody padają w błoto, tworząc małe księżycowe kratery. Nie chciałem wyjmować dokumentów z kieszeni, choć obawiałem się,

że plastikowe woreczki mogły przepuścić wodę. Sprawdzanie tego teraz byłoby stratą czasu; byłem gotowy do akcji, więc czas ruszać...

Przegarnąwszy palcami włosy, wstałem, kilkakrotnie podskoczyłem w miejscu, aby mieć pewność, że mój ekwipunek nie brzęczy i wszystko jest dobrze umocowane. Potem przestawiłem bezpiecznik, najpierw na ogień pojedynczy, a potem ciągły.

Poszedłem w kierunku chaty, przystając co kilka kroków, nasłuchując ostrzegawczych sygnałów dawanych przez ptaki lub inne zwierzęta, trzymając broń gotową do strzału, z palcem na osłonie spustu, żeby natychmiast wywalić cały magazynek i przestraszyć, oszołomić, a przy odrobinie szczęścia zabić ewentualnie napotkanego wroga.

Teren był bardzo podmokły i grząski, ponieważ znajdował się na poziomie morza. Czas naglił, ale nie mogłem się spieszyć. Musiałem sprawdzić miejsce wokół chatki, gdyż tędy wiodła moja jedyna droga ucieczki. Gdyby wszystko poszło nie tak, musiałbym dobiec do rzeki, chwycić kanister, wskoczyć do wody i popłynąć do morza. A potem... no cóż, liczyć na łut szczęścia.

Jak ostrożny ptak szukający pożywienia w zeschniętych liściach, posuwałem się krótkimi susami, wysoko podnosząc ciężkie od błota bucior, żeby nie zawadzić o chaszczę i pędy mangrowców, przypatrując się wyblakłej od słońca drewnianej chatce.

Przystanąłem na skraju polany i powoli przyklęknąłem w błocie, pod osłoną liści, żeby wypatrywać i nasłuchiwać. Jediną oznaką ludzkiej obecności było kapanie kropel spadających z mojego ubrania i pasów amunicyjnych na ściółkę.

Ścieżka wiodąca między drzewa została niedawno przetarta. Przeciągnięto po niej coś, co pozostawiło głęboką koleinę w błocie i liściach. Po obu stronach tej bruzdy zobaczyłem ślady butów, znikające wraz z nią między drzewami. Przepływając, nie dostrzegłem jej, ponieważ została zamaskowana opadłymi liśćmi. Dalej od

brzegu ślady były wyraźnie widoczne: kamienie wciśnięte butami w błoto, pogniecione liście, porozdzierane pajęczyny. Wstałem i poszedłem równoległe do ścieżki.

Po dwudziestu krokach znalazłem gemini, z przyczepionym silnikiem Yamaha 50. Ponton został przeciągnięty ścieżką i ukryty w krzakach, gdzie teraz tarasował mi drogę. Był pusty, nie licząc kilku pojemników z paliwem i świeżo spadłych liści. Miałem ochotę go uszkodzić, ale po co? Wkrótce mogłem sam go potrzebować, a niszczenie zajęłoby mi trochę czasu i mogło zdradzić moją obecność.

Poszedłem dalej i na wąskiej ścieżce, wijącej się wśród drzew, znalazłem mnóstwo innych śladów wiodących w obie strony. Wciąż podążając równoległe do ścieżki, odszedłem nieco głębiej w gąszcz, nie tracąc jej z oczu.

Pot spływał mi po twarzy, gdyż słońce wzeszło wysoko i zrobiło się gorąco jak w piekarniku. Gdzieś w koronie drzewa skrył się ptak wydający dźwięki niczym monitor akcji serca, a świerszcze po prostu nigdy nie milkły. Niebawem słońce zaczęło przeświecać przez baldachim liści, śląc jasne włócznie światła, padające pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Moje spodnie żyły własnym życiem. Ciężkie od błota, przy każdym kroku obijały mi się o nogi.

Kontynuowałem rozpoznawanie, nasłuchując i usiłując nie zwalniać, a jednocześnie nie robić za dużo hałasu i nie narażać się. Wciąż spoglądałem na lewo, na prawo i w górę, przez cały czas zadając sobie pytanie: „a co jeśli...?” i niezmiennie otrzymując tę samą odpowiedź: „strzelaj i odskakuj, ukryj się i wymyśl sposób, jak obejść nieprzyjaciela i dotrzeć do celu”. Tylko wtedy, kiedy będę pewny, że spieprzyłem sprawę, spróbuję wrócić tam, gdzie zostawiłem kanister.

Za drzew nadleciał metaliczny szczęk.

Zastygłem, nadstawiając ucha.

Przez kilka sekund słyszałem tylko świst własnego oddechu w nozdrzach, a potem dźwięk się powtórzył. Dochodził z miejsca

znajdującego się tuż przede mną, nieco z lewej.

Kciukiem prawej ręki zabezpieczywszy broń, osunąłem się na kolana, a potem na brzuch. Powiniennem poruszać się powoli jak ślimak, ale zegarek przypomniał mi, że jest 9.06.

Centymetr po centymetrze czołgałem się naprzód, przesuwając broń prawą ręką, dokładnie tak, jak to robiłem, podchodząc faceta z land cruisera. Tylko że tym razem musiałem unosić ciało wyżej, niżbym chciał, żeby nie utyłać magazynków w błocie.

Dyszałem. Czołganie się było ciężką pracą. Wyciągałem dłonie z błota, przenosiłem ciężar ciała na łokcie i przesuwałem się do przodu, odpychając się czubkami palców, znowu zapadając się w błoto. Powoli pełząc przez zarośla, czułem, jak moje ramiona i kark pokrywają się lepką mazią. Zatrzymałem się, podniosłem głowę z ziemi i znowu nadstawiałem ucha, ale wciąż słyszałem tylko własny oddech, sto razy głośniejszy, niżbym chciał. Szelest mokrych liści pod ciężarem mojego ciała zdawał się równie głośny jak trzask pękającego balonika.

Przez cały czas szukałem instalacji alarmowej: laserów, włączników naciskowych, czujników na podcierwień albo chociaż drutów z przywiązanymi puszkami. Nie wiedziałem, czego oczekiwać.

Mój ubłocony zegarek pokazywał już 9.21. Trochę podniosła mnie na duchu świadomość, że wreszcie zbliżam się do celu.

Moskity materializo wały się w powietrzu, brzęcząc i wirując nad głową. Ładowały mi na twarzę, jakby wiedziały, że nic im nie mogą zrobić.

Usłyszałem jakiś dźwięk i zamarłem. Kolejny brzęk metalu o metal, a potem cichy odgłos rozmowy, niemal zagłuszany przez ćwierkanie świerszczy. Zamknąłem oczy, zwróciłem ucho w kierunku źródła tych odgłosów, otworzyłem usta, by wyciszyć bicie

własnego serca, i słuchałem w skupieniu.

Ci ludzie nie mówili po hiszpańsku. Wyteżałem słuch, ale nie mogłem rozpoznać, jaki to język. Rozmawiali bardzo szybko, czemu towarzyszyło rytmiczne dudnienie pełnych kanistrów.

Była 9.29.

Musiałem podejść bliżej, nie przejmując się tymi głosami oraz ich właścicielami. Zobaczyć, co się tam dzieje, i zdecydować, co robić w ciągu następnych dwudziestu minut.

41

Oderwałem pierś od ziemi i poczołgałem się naprzód. Niebawem za ścianą roślinności dostrzegłem niewielką polanę. Grube smugi słońca przecinały listowie, odbijając się od wilgotnej ziemi i mokrych liści, oslepiając.

Ludzie.

Facet w czarnej koszuli, którego widziałem na werandzie, przeszedł przez polanę i znikł równie nagle, jak się pojawił, niosąc dwa foliowe worki na śmieci, prawie pełne i błyszczące w słońcu. Był opasany wojskowym pasem, z którego zwisały dwie ładownice z magazynkami.

Zrobiłem kilka głębokich wdechów i powolnych wydechów, dotleniając organizm. Czulem, jak krew pulsuje mi w tętnicach szyjnych. Przesunąłem się jeszcze o metr, nie podnosząc głowy i nie patrząc przez listowie. Zaraz się okaże, czy mnie zauważyli.

Głosy odezwały się znowu, po mojej prawej, znacznie wyraźniejsze. Wydawały się jeszcze szybsze, ale składne. Teraz mogłem już rozróżnić słowa... Ci ludzie pochodzili z Europy Wschodniej, może z Bośni. W noclegowni było ich pełno.

Mała polanka między drzewami miała powierzchnię nie większą od połowy kortu tenisowego. Nic nie widziałem, ale słyszałem charakterystyczny syk wylewanego z kanistrów paliwa, dobiegający

z tego samego miejsca, z którego słyszałem głosy.

Jeszcze jeden powolny, ostrożny ruch i rozległ się plusk paliwa. Nawet nie odważając się poruszyć wargami, żeby otrzeć je z błota, wytrzeszczałem oczy, spoglądając w górę. Czulem, jak ślina ścieka mi z kącików ust.

Czarna Koszula był na prawo ode mnie, sześć, może siedem metrów dalej, stojąc z małym grubasem, który był z nim w domu Aarona tamtej nocy. Tłuścioch miał na sobie tę samą kraciastą koszulę. Polewali benzyną cały sprzęt obozowy: siatki maskujące, amerykańskie łóżka polowe, przewrócony na bok agregat i pozawiązywane worki na śmieci. Wszystko to leżało rzucone na stertę. Niedługo mieli się stąd wynieść, więc zamierzali zniszczyć wszelkie dowody swojej obecności.

Leżałem nieruchomo, z gardłem wyschniętym i obolałym, usiłując zrozumieć coś z rozmowy tych dwóch Bośniaków, zagłuszanych przez chór świerszczy i ptaków. Głosy dobiegały z prawej strony, zza zasłony listowia.

Wstrzymując oddech i napinając mięśnie, żeby zachować nad nimi całkowitą kontrolę i poruszać się jak najciszej, przesunąłem się jeszcze kilkanaście centymetrów do przodu, nie odrywając oczu od tamtych dwóch, stojących kilka metrów dalej, przy stercie rupieci, którą właśnie skończyli polewać benzyną. Puste kanistry rzucili na wierzch. Byłem tak blisko, że czułem zapach paliwa.

Mając już lepszy widok na teren z prawej strony, zobaczyłem plecy dwóch innych, ubranych w wojskowe kurtki i dżinsy, stojących w smudze słonecznego światła. Pochylali się nad składanym stolikiem, jeden z nich gładził się po brodzie, a obaj wpatrywali się w dwa ekrany metalowej konsoli. Przy każdym monitorze była zintegrowana klawiatura. To musiał być system naprowadzania. Cały czas zastanawiałem się, jak też on wygląda. Obok stał włączony laptop, ale oślepiało mnie słońce i nie widziałem żadnego z obrazów na tych trzech ekranach. Opodal na ziemi leżały trzy cywilne

plecaki, dwa karabiny M-16 z magazynkami i jeszcze jeden kani-ster — zapewne do zniszczenia elektronicznego sprzętu po odpale-niu pocisku.

Chciałem sprawdzić godzinę, ale zegarek był pokryty błotem. Nie mogłem ryzykować, wycierając go tak blisko tych facetów. Patrzyłem, jak Bośniacy mówią coś i wskazują ekrany konsoli, a potem jeden z nich podchodzi do laptopa i zaczyna stukać w klawi-sze. Za nimi dostrzegłem kable podłączone do tylnej ścianki konso-li i znikające w dżungli. Widocznie pocisk znajdował się przy ujściu rzeki. Tak jak przypuszczałem, system naprowadzania był oddzie-lony od wyrzutni. Nikt nie lubi siedzieć w pobliżu startującej raki-ety, która oprócz głowicy bojowej ma jeszcze zbiorniki pełne paliwa. Nie słyszałem szumu generatora, więc domyśliłem się, że agregat prądowórczy jest częścią wyrzutni.

Bośniacy wciąż trajkotali, gdy z gęstwiny za konsolą wyszedł piąty członek grupy. On też był ubrany w zieloną wojskową kurtkę, ale zamiast dżinsów nosił szerokie czarne spodnie, przewieszony przez ramię karabin M-16 i pas z ładownicami. Zapalił papierosa, patrząc na obu pochylonych nad konsolą Bośniaków. Głęboko zaciągając się dymem, wolną ręką poruszał skrajem koszuli, wa-chlując sobie tors. Nawet gdybym nie rozpoznał jego twarzy, tę bliźnę w kształcie pizzy poznałbym wszędzie.

Faceci rozlewający benzynę odsunęli się od sterty rupieci i Czarna Koszula też zapalił. Kompletnie nie interesowali się tym, co się działo na stole za ich plecami. Mamrotali coś do siebie, zerkając na zegarki.

Nagle Bośniacy zaczęli trajkotać jeszcze szybciej i ich głosy podniosły się o oktawę. Pizza dopalił papierosa i pochylił się nad ekranami. Coś się działo. Zrozumiałem, że pozostało mi tylko kilka minut. Musiałem rozpocząć akcję.

Wziąłem głęboki wdech, zerwałem się na kolana, ubłoconym palcem przestawiłem bezpiecznik na ogień ciągły i poderwałem kolbę do ramienia. Z otwartymi oczami nacisnąłem spust, pakując dwie krótkie serie w ziemię obok sterty gratów. Usłyszałem głuche

łup-łup-łup, gdy pociski przebiły cienką warstwę błota i wbiły się w twardszy grunt.

Przeraźliwe wrzaski mieszały się z hukiem wystrzałów. Bośniacy wpadli w panikę, lecz pozostali dwaj chwycili za broń. Piąty po prostu znikł.

Kolba automatów odrzuciła mi ramię do tyłu, kiedy puściłem następną serię, mocno ściskając broń, żeby nie poderwać lufy. Nie chciałem trafić Bośniaków. Jeśli potrafili odpalić raketę, to umieli też wstrzymać jej start. Huk wystrzałów i wrzaski odbijały się echem od drzew, a przede mną zawisła chmura kordytu, uwięziona w listowiu.

Pociągając za spust, opróżniłem magazynek. Suwadło znieruchomiało w tylnym położeniu. Wstałem i zmieniłem pozycję, zanim namierzyli miejsce, z którego rozpocząłem ogień. Pobiegnęłam w prawo, w kierunku stołu, pod osłoną drzew, czując, jak cięży mi oblepione błotem ubranie, naciskając wskazującym palcem przycisk blokady i potrząsając karabinem, żeby pozbyć się zabloconego magazynka.

Poczułem, jak uderzył mnie w udo, gdy szarpałem dolną ładownicę, wyjmując nowy. Wbiłem go w gniazdo. Suwadło z trzaskiem poleciało do przodu i w tym momencie na polanie huknęły długie serie z automatów.

Instynktownie padłem na ziemię. Błoto obryzgało mi twarz i powietrze ze świstem uszło mi z płuc. Łapiąc je otwartymi ustami, zacząłem rozpaczliwie odczołgiwać się na skraj polanki. Jeśli mnie dostrzegli, będą celować w miejsce, gdzie przypadłem do ziemi.

Dotarłem na skraj dżungli w samą porę, aby zobaczyć uciekających ścieżką Bośniaków; ich dzikie wrzaski wypełniały krótkie momenty ciszy między seriami. Ujrzałem także Pizzę, który z gęszczy po drugiej stronie polany krzyczał do nich, żeby wrócili.

— To tylko jeden człowiek, jeden karabin! Wracać!

Nie słuchali, a dwaj pozostali ruszyli za nimi, na oślep pakując długie serie w dżunglę.

— Pierdolone dupki!

Pizza podrzucił karabin do ramienia i zaczął do nich strzelać. Cholera, potrzebni mi byli żywi.

Przestawiłem bezpiecznik na ogień pojedynczy, nabrałem tchu, zamknąłem lewe oko, wycelowałem w sam środek ledwie widocznej w zaroślach sylwetki, wstrzymałem oddech i pociągnąłem za spust. Pizza runął jak kłoda, bez jęku znikając w chaszczach.

Pozostali dwaj wciąż strzelali na oślep, wycofując się ścieżką.

Mgła spalonego kordytu zawisała nad polaną, gdy opróżniłem następny magazynek. Para unosiła się z otworów wentylacyjnych w zabłoconym łożu i wokół mojej lewej dłoni. *Niech to szlag, niech to szlag...* Chciałem narobić zamieszania, chciałem ich zaskoczyć, a nie zmusić do ucieczki w dżunglę. Teraz nie mogłem ich gonić. To nie miało sensu, zostało mi za mało czasu.

Zmieniłem magazynek i ruszyłem przez polaną w kierunku Pizzy, trzymając broń gotową do strzału, idąc szybko, lecz ostrożnie. Tamci mogli wrócić...

Żył — z trudem łapał oddech, trzymając się za pierś. Oczy miał otwarte, ale nie był już groźny. Krew sączyła mu się między palcami.

Czubkiem buta odsunąłem leżącą obok niego broń, a potem kopnąłem go.

— Wyłącz to! Wyłącz!

Leżał i nie ruszał się. Złapałem go za rękę i wywlokłem na polanę. Dopiero wtedy zobaczyłem ranę wylotową, jaką kula pozostawiła w jego plecach. Zacisnął powieki z bólu. Puściłem jego rękę, a on wymamrotał z wymuszonym uśmiechem:

— Wracamy tu, dupku...

Pochyliłem się nad nim, przyłożyłem kolbę do ramienia i przytknąłem mu lufę do czoła.

— Wyłącz to! Wyłącz to, do cholery!

Uśmiechnął się, chociaż metal wbijał mu się w ciało. Karabin drgnął mi w rękę, gdy ranny zakaszłał, plując krwią.

— Albo co?

Znowu zakrzuszył się krwią.

Miał rację. Kopnąłem go ze złości i podbiegłem do stołu, rozglądając się za pozostałymi. Zerknąłem na zegarek.

Zostały mi trzy minuty.

Monitor po lewej stronie wyświetlał niekończące się kolumny słów napisanych cyrylicą, a ten z prawej okrąg radaru z upstrzonym białymi plamkami, jasnozielonym tłem, odświeżanym zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Laptop pokazywał obraz z kamery umieszczonej przy słuzie. Odchodził od niego przewód, który wił się po ziemi, opadając z drzewa, gdzie do jednej z gałęzi przyczepiono niewielką antenę satelitarną.

Spojrzałem na wyświetlacz laptopa. Zobaczyłem grającą orkiestrę, popisujące się majoretki i tłum na trybunach oraz za barierkami. *Ocaso* zajmował środek ekranu. Pasażerowie tłoczyli się na pokładach, trzymając aparaty fotograficzne i kamery.

Skoczyłem za stół, upadłem na kolana i zacząłem rozłączać płataninę drutów i grubych kabli odchodzących od tylnej ścianki konsoli i biegnących w kierunku morza. Niektóre tylko wetknięto w gniazda, inne były przytrzymywane przez zatrzaski lub śruby. Rozpaczliwie usiłowałem wyjmować po dwa naraz, sapiąc ze złości jak parowóz, gdy plastik i metal wyslizgiwał mi się z ubłoconych rąk. Miotalem się niczym przerażone dziecko, krzyząc do siebie:

— No już! Szybciej! Szybciej!

Spojrzałem na sterkę rupieci, żalując, że nie mam maczety. Nawet gdybym ją miał i zaczął rąbać przewody, pewnie zginąłbym porażony prądem. Nie wiedziałem, które kable służą do transmisji danych, a które zasilają konsolę.

Pizza obserwował mnie, skulony z bólu. Koszulę miał przesiąkniętą krwią, unurzaną w błocie i resztkach liści.

Szarpiąc kolejny przewód, obróciłem laptop w tej samej chwili, gdy obraz na nim zaczął się odświeżać. Zza drzew nadleciał przeźliwy świst, narastający jak wizg silników startującego harriera.

Po kilku sekundach stał się wprost ogłuszający.

Jeszcze cztery przewody. Próbowałem je wyjąć lub odkręcić, ale stawały opór. Bliski rozpaczy, szarpnąłem z całej siły. Konsola zjechała ze stolika i wylądowała w błocie. Przenikliwy świst silników przeszedł w ryk. Niemal natychmiast rozległ się ogłuszający, przeciągły huk i ziemia zadrżała mi pod nogami. Pozostałem na klęczkach, patrząc na korony drzew, z których uciekali przerażeni ptasi mieszkańcy.

Nie zobaczyłem gazów wylotowych ani niczego innego, tylko poczułem, jak zatrzęsa się ziemia, gdy pocisk opuścił wyrzutnię i poleciał w kierunku morza. Drzewa zakolysały się, obsypując mnie gałęziami i liśćmi.

Machinalnie wypuściłem ściskane w dłoni kable i jak skamieniały spoglądałem na ekran laptopa, wpatrując się w znikający obraz statku.

Słyszałem rżenie Pizzy, wciąż zwiniętego w kłębek na zwiędłych liściach, usiłującego nabrać tchu. Kiedy spojrzałem na niego, uśmiechał się. Byłem pewien, że próbował się roześmiać.

Ekran był ciemny i nic nie mogłem zrobić, tylko czekać i zastanawiać się, czy usłyszę eksplozję, czy też stłumi ją dżungla i odległość.

Ciężko dysząc, próbowałem robić głębokie wdechy i przelykać ślinę, żeby ulżyć wyschniętemu gardłu, przez cały czas czekając, aż się rozjaśni ekran laptopa — albo pozostanie ciemny, ponieważ wybuch na pewno zniszczy kamerę.

Miałem rację. Pizza śmiał się, ucieszony ze swego sukcesu.

Przy górnej krawędzi ekranu pojawił się wąski pasek. Nie mogłem oderwać od niego oczu. Obraz rozwijał się powoli, leniwie, a ja przygotowywałem się na widok pobojuwiska, pocieszając się, że wciąż sprawna kamera to dobry znak, doskonale wiedząc, że to o niczym nie świadczy, gdyż mogła być umieszczona w sporej odległości od śluzy.

Obraz rozwinął się do końca. Statek był nietknięty i wszystko inne też. Dziewczyny podrzucały batuty w powietrze, a pasażerowie

machali do tłumów na brzegu. Co się stało, do cholery? Rakieta powinna już tam dotrzeć. Leciała prawie trzy razy szybciej niż dźwięk.

Nie wierzyłem własnym oczom. Może to obraz uchwycony na moment przed eksplozją. Muszę zaczekać na następny.

Jeszcze nigdy nie byłem tak wyczerpany. Zapomniałem o całym świecie. Nawet nie przejmowałem się ewentualnym zagrożeniem, jakim mogli być dla mnie tamci czterej, bo jeśli mieli choć trochę oleju w głowach, to właśnie ściągali ponton na wodę.

Poczułem odór siarki, gdy gazy spalinowe przesączyły się przez kurtynę drzew, spowijając wszystko wokół wiszącą tuż przy ziemi mgiełką, nadając temu miejscu nieziemski wygląd, szczególnie w połączeniu z padającymi z góry smugami słonecznego światła.

Pizza zabulgotał, wypływając więcej krwi.

Pojawił się górny pasek obrazu i tym razem zobaczyłem dym. Wiedziałem. Skoczyłem na równe nogi i nachyliłem się nad laptopem. Krople potu spływały mi z nosa i brody, padając na ekran. Ubłocona koszulka ciążyła tak, jakby była z ołowiu, z trudem łapałem powietrze i serce waliło mi młotem.

Obraz rozwijał się i widziałem tylko dym.

Nie udało się.

Usiadłem w błocie, znużony jak jeszcze nigdy w życiu.

Nagle, gdy obraz na ekranie rozwinął się do końca, zobaczyłem, że statek wciąż tam jest. Dym buchał z jego kominów. Tłumy wciąż wiwatowały.

Znów usłyszałem odgłosy dżungli. Ptaki wrzeszczały w koronach drzew, wracając do swoich gniazd. Siedziałem na ziemi, niemal wrastając w błoto. Mijały sekundy. Nagle do moich uszu dotarł — z początku cichy jak szept, ale szybko przybierający na sile — charakterystyczny łopot znacznie większych ptaków.

Ten dźwięk narastał, aż przeszedł w ogłuszający ryk turbin lecącego prosto ku nam hueya. Granatowe podwozie śmignęło nad

drzewami, a kiedy podmuchał ich koronami, strącając na mnie lawinę gałązek i liści, usłyszałem warkot innych maszyn, krążących w pobliżu.

Czas stąd zmykać.

Poderwałem się gwałtownie i złapałem kanister. Połałem benzyną konsolę, starając się wlać jak najwięcej paliwa przez otwory wentylacyjne w tylnej ściance, a potem to samo zrobiłem z laptopem. Podniosłem dwa ciężkie plecaki i zarzuciłem je sobie na ramię, mając nadzieję, że cokolwiek w nich jest, okaże się przydatne w dżungli.

W końcu podniosłem karabin, podbiegłem do Pizzy i odwróciłem go na plecy. Nie stawiał oporu. Zaczął się trząść, ale spojrzał na mnie z uśmiechem satysfakcji. Z małej rany wlotowej wysoko na piersi sączyła się krew przy każdym oddechu.

— Nie udało się! — wrzasnąłem. — Pocisk nie trafił w cel. Spieprzyliście sprawę!

Nie uwierzył mi i wciąż się uśmiechał, z zamkniętymi oczami, krztusząc się krwią. Sięgnąłem mu do kieszeni i wyjąłem zapalniczkę.

Śmigłowiec wrócił i leciał nad rzeką, nisko i powoli. Pozostałe też się zbliżały. Usłyszałem długie serie z broni maszynowej. Widocznie zauważyli uciekających na pontonie.

Wiedziałem, że mnie słyszy.

— To ludzie Charliego. Wkrótce tu będą.

Z wysiłkiem otworzył oczy, wciąż próbując się uśmiechać mimo bólu.

— Uwierz mi, spieprzyliście sprawę, nie udało się wam. Mam nadzieję, że zawiozą cię żywego do Charliego. Założę się, że macie sobie wiele do powiedzenia. — Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, co z nim zrobią. Chciałem tylko zetrzeć ten uśmiech z jego warg. — Podobno ukrzyżował własnego szwagra. Ciekawe, co zrobi z tobą...

Słyszając warkot nadlatującego nad polaną śmigłowca, podbiegłem do konsoli i pstryknąłem zapalniczką. Benzyna natychmiast strzeliła płomieniem. Nie chciałem, żeby konsola wpadła w ręce

Charliego, bo wtedy mógłby sobie załatwić następny pocisk i wszystko zaczęłoby się od nowa.

Odwrociłem się i pobiegłem. Mijając Pizzę, nie mogłem oprzeć się pokusie. Wymierzyłem mu kilka takich kopniaków, jakie sam otrzymałem w Kennington.

Zrobił to samo, co wtedy ja: zwinął się w kłębek, osłaniając brzuch i głowę. Słyszałem krzyki na ścieżce. Zbliżali się chłopcy Charliego.

Ponownie pstryknąłem zapalniczką i rzuciłem ją na stertę rupieci.

Gdy warkot hueyów stał się prawie ogłuszający, zarzuciłem plecaki na ramię, podniosłem karabin i pobiegłem w stronę dżungli tak szybko, jak pozwalały na to kilogramy błota, które oblepiało mi buty.

42

Piątek 15 września

Opuściwszy osłonę przeciwsłoneczną, patrzyłem przez brudną przednią szybę na objuczonych bagażami pasażerów wysiadających z samochodów przed terminalem odlotów. Zaboląła mnie łydka, więc usiadłem wygodniej na fotelu, wyciągając zranioną nogę, gdy samolot z rykiem silników uniósł się w bezchmurne niebo.

Po drodze na lotnisko wykonaliśmy tyle skomplikowanych manewrów, że nawet Superman zgubiłby nasz trop, a mimo to, półleżąc na fotelu, obserwowałem przyjeżdżające i odjeżdżające pojazdy, usiłując sobie przypomnieć, czy któregoś z ich kierowców nie widziałem wcześniej.

Zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał prawie trzecią, więc przekręciłem kluczyk w stacyjce i włączyłem radio, po czym, zanim jeszcze wysunęła się antena, zacząłem szukać wiadomości na falach średnich. Wkrótce poważny kobiecy głos poinformował, że według niepotwierdzonych doniesień to organizacja FARC stała za nieudanym atakiem rakietowym, który najprawdopodobniej był skierowany przeciwko statkom płynącym przez Kanał Panamski. Nie była to wiadomość z ostatniej chwili i nie nadano jej szczególnej wagi, ale wynikało z niej, że jacyś rybacy widzieli, jak rakieta tuż po starcie najwidoczniej wymknęła się spod kontroli i wpadła w wody zatoki, niecały kilometr od brzegu. Amerykanie znowu pojawili

się w republice i obecnie usiłowali wyłowić pocisk z morza oraz rozpocząć odpowiednie działania, które zapobiegną tego rodzaju atakom terrorystycznym.

Melodyjny głos ciągnął:

— Mająca około dwunastu tysięcy uzbrojonych i zaprawionych w bojach żołnierzy, FARC jest najstarszą, najliczniejszą, najgroźniejszą i najlepiej wyposażoną organizacją partyzancką. Początkowo była zbrojnym ramieniem kolumbijskiej partii komunistycznej i ma wojskową strukturę. Od chwili powstania w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku, organizacja ta była zdecydowanie antyamerykańska. Prezydent Clinton powiedział dzisiaj, że Plan Kolumbia, na który przeznaczono jeden i trzy dziesiąte miliarda dolarów...

Przełączyłem radio z powrotem na lokalny kanał katolicki i wyłączyłem, po czym znów zgasilem silnik. Antena schowała się z cichym pomrukiem elektrycznego motorka. Były to pierwsze wiadomości, które usłyszałem o całym tym wydarzeniu. Przez sześć ostatnich dni starałem się unikać wszystkich mediów, ale nie byłem już w stanie dłużej opierać się pokusie. Musiałem się dowiedzieć, jak się to zakończyło.

Rana wciąż mi dokuczała. Podciągnąwszy nogawkę tanich i luźnych dżinsów, obejrzałem czysty opatrunek na łydce i podrapałem ciało poniżej i powyżej niego. Nad parkingiem z rykiem przeleciał lądujący samolot.

Minęły trzy długie, wilgotne i gorące dni, zanim wyszedłem z dżungli, doprowadziłem się do porządku i złapałem okazję do stolicy Panamy. W plecakach nie było żywności, więc znowu musiałem wykorzystać moją znajomość sztuki przetrwania w dżungli i żywić się korzonkami. Mogłem przynajmniej spać na plecakach, nie na gołej ziemi, a chociaż znalezione w nich zapasowe ubrania na mnie nie pasowały, to w nocy chroniły moją głowę i ręce przed owadami.

Dotarłszy do miasta, wysuszyłem na słońcu ponad dwieście dolarów, które zabrałem chłopakom Charliego. Krew wyschła i zesza

z nich płatkami jak cienkie strupy. Kupiłem sobie ubranie i wynajęłem najbrudniejszy pokój w starej dzielnicy miasta, gdzie nikt nie zwracał na mnie uwagi, dopóki płaciłem gotówką.

Jeszcze we wtorek, cztery dni temu, moja karta kredytowa była ważna, więc wyglądało na to, że zdaniem Potakiwacza wszystko jest w porządku. Kiedy doszedłem do siebie, odwiedziłem bank i wyciągnąłem maksymalną sumą, jaką mogłem podjąć: dwanaście tysięcy sto pięćdziesiąt dolarów, przeliczonych po bandyckim kursie. Potem wykorzystałem bilet lotniczy do Miami. Stamtąd pojechałem pociągiem do Baltimore w Marylandzie. Podróż czterema pociągami zajęła mi dwa dni. Nie chciałem kupować biletu kosztującego więcej niż sto dolarów, żeby nie budzić niczyich podejrzeń. Bo kto płaci gotówką za podróż kosztującą kilkaset dolarów? Tylko ludzie, którzy nie chcą zwracać na siebie uwagi, tacy jak ja. To dlatego wszystkie transakcje zakupu biletów lotniczych za gotówkę są rejestrowane. Nie miałem nic przeciwko temu, że Potakiwacz będzie wiedział, iż opuściłem Panamę i doleciałem do Miami, ale nie poza tym.

Teraz jednak, trzy dni później, kto wie? Sundance i Adidas mogli już zwiedzać Waszyngton, a nawet telefonować do tej przybranej siostry, z zapowiedzią, że zaraz po załatwieniu interesu odwiedzają w Nowym Jorku.

Usłyszałem szcęk naciskanej klamki i zobaczyłem Josha przy drzwiach czarnego, wielkiego, żłopiącego benzynę jak smok dodge'a. Jedną ręką otwierał sobie drzwi, a w drugiej trzymał puszkę coli i kubek z kawą.

Wziąłem od niego kawę i umieściłem papierowy kubek w środkowym uchwycie przy desce rozdzielczej, a on wgramolił się za kierownicę i wymamrotał „dzięki”. Pod paznokciami i na dłoniach wciąż miałem brud dżungli. Wyglądały tak, jakbym wtarł w nie smar. Minie jeszcze kilka dni, zanim się domyję po tym urlopie od higieny.

Josh spoglądał na wjazd do wielopoziomowego i długoterminowego parkingu, znajdującego się naprzeciw tego dla krótko parkujących pojazdów. Sznur samochodów czekał na wydanie biletu i podniesienie szlabanu.

— Mamy jeszcze pół godziny — powiedział. — Posiedzimy tu przy kawie.

Kiwnąłem głową i pociągnąłem za kółko, otwierając colę. Dzisiaj zgadzałem się ze wszystkim, co mówił. Podjechał po mnie na dworzec, woził przez ostatnie dwie godziny i wysłuchał tego, co mu proponowałem. A teraz byliśmy tutaj, na międzynarodowym lotnisku w Baltimore, na które zgodnie z pierwotnym planem powinienem przylecieć z Paryża, i nawet kupił mi colę.

Nic się nie zmienił. Ta sama błyszcząca brązowa łysina, skłonność do tycia i okulary w złotych oprawkach, które z niewiadomego powodu nadawały mu wygląd złoczyńcy, a nie intelektualisty. Siedząc po stronie pasażera, nie widziałem paskudnej blizny na jego twarzy.

Kawa była dla niego trochę za gorąca. Obracał kubek w dłoniach. Po chwili spojrział na mnie. Wiedziałem, że jego oczy były pełne nienawiści; zdradzał to wyraz jego twarzy i sposób, w jaki do mnie mówił. Na jego miejscu czułbym to samo.

— Ustalimy pewne zasady — powiedział. — Słyszysz, co mówię? — Następny samolot przeleciał nad parkingiem i Josh musiał przekrzykiwać ryk silników. — Najpierw musisz zrobić porządek z tym głównym, w które nas wpakowałeś. Nie interesuje mnie, o co chodzi ani jak to zrobisz... po prostu to zrób. Potem, i tylko potem, do mnie zadzwoń. Wówczas porozmawiamy. Nie zasłużyliśmy sobie na coś takiego. To główniana sprawa, człowieku. — Kiwnąłem głową. Miał rację. — Wtedy i dopiero wtedy będziemy mogli być niczym rozwiedzione małżeństwo, które stara się jak najlepiej dbać o swoje dzieci. Spieprzysz coś, to sam będziesz sobie winien. Tylko tak możemy to załatwić. Słyszysz? To twoja ostatnia szansa.

Z ulgą skinąłem głową.

Siedzieliśmy i piliśmy, przyglądając się pojazdom szukającym miejsca do zaparkowania.

— Jak tam twoja wiara?

— Czemu pytasz?

— Coś często przeklinasz.

— A czego się, kurwa, spodziewałeś? Nie martw się o moją wiarę, pogadamy, jak sam się nawrócisz.

To zamykało dyskusję. Siedzieliśmy jeszcze przez dziesięć minut, obserwując pojazdy i słuchając ryku przelatujących samolotów. Josh od czasu do czasu głośno wzdychał na myśl o tym, na co się zgodził. Z pewnością nie był uszczęśliwiony, ale wiedziałem, że dotrzyma umowy, ponieważ tak trzeba. Dopił kawę i włożył pusty kubek w uchwyt.

— Do recyklingu?

Spojrzał na mnie jak na wariata.

— Co takiego? O co ci chodzi?

— O ten kubek. Ścina się wiele drzew, żeby produkować takie rzeczy.

— Ile?

— Nie wiem. Mnóstwo.

Wyjął kubek z uchwytu.

— Napis głosi, że sześćdziesiąt procent zawartej w tym materiale celulozy odzyskuje się w wyniku recyklingu. Czujesz się lepiej, o duchu pieprzonych lasów?

Kubek wrócił do uchwytu.

— Na razie jeszcze ich nie brakuje.

Opuściliśmy krótkoterminowy parking i pojechaliśmy za znakami kierującymi nas na długoterminowy. W końcu stanęliśmy przy wjeździe do wielopiętrowego. Kiedy podjeżdżaliśmy do szlabanu i automatu z biletami, pochyliłem się nisko, jakbym coś upuścił na podłogę. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował Josh, było zdjęcie ze mną.

Widziałem wiele wolnych miejsc, ale pojechaliśmy prosto na przedostatnie piętro. Ostatnie było pewnie niezadaszone i zbyt odslonięte. To było najlepsze. Niewiele pojazdów wjeżdża tak wysoko,

ale te nieliczne łatwiej sprawdzić. Musiałem mu to przyznać: Josh pomyślał o wszystkim.

Zaparkowaliśmy i Josh ruchem głowy wskazał metalicznie zielonego voyagera z kartonowymi osłonami, ozdobionymi różnymi postaciami z kreskówek, całkowicie zasłaniającymi wnętrze kabiny. Na tablicy rejestracyjnej widniał napis: „Maine — kraina wakacji”.

— Pięć minut, rozumiesz? Rany boskie, to niebezpieczne, a ona jest moją siostrą.

Kiwnąłem głową i wyciągnąłem rękę do klamki.

— I pamiętaj, człowieku, że ona czekała na ciebie w zeszłym tygodniu. Strasznie skrewileś.

Wysiadłem i kiedy podchodziłem do voyagera, lewe przednie okienko uchyliło się, ukazując kobietę po trzydziestce, czarnoskórą i piękną, z włosami upiętymi w luźny kok. Wysiadając, posłała mi niespokojny uśmiech i wskazała na rozsuwane drzwi.

— Jestem bardzo wdzięczny.

Bez słowa podeszła do samochodu Josha i wsiadła.

Trochę się niepokoiłem przed tym spotkaniem z Kelly. Nie widziałem jej już ponad miesiąc. Odsunąłem drzwi. Siedziała przypięta do tylnego fotela, patrząc na mnie trochę niespokojnie, a może czujnie, gdy zamykałem drzwi, zasłaniając nas oboje.

To niewiarygodne, jak bardzo zmieniają się dzieci, jeśli nie widuje się ich codziennie. Kelly miała znacznie krótsze włosy niż wtedy, kiedy spotkałem się z nią ostatnio. Wyglądała teraz na starszą o pięć lat. Oczy i nos wydawały się bardziej wyraziste, a usta trochę szersze, jak u młodej Julii Roberts. Będzie kiedyś uderzająco podobna do matki.

Uśmiechnąłem się, odsuwając na bok zabawki, żeby usiąść na fotelu przed nią.

— Cześć, jak się masz?

Bez czułościowości czy przesadnego entuzjazmu. Usadowiłem się między dwoma przymocowanymi do siedzeń fotelikami dla dzieci i przyjrzałem się jej. Tak naprawdę to chciałem wziąć ją w ramiona i mocno przytulić, ale nie odważyłem się na to. Może sobie

tego nie życzyła, może dla niej też było to nowe i dziwne doświadczenie.

Nad naszymi głowami przeleciał samolot wielkości jumbo jeta. Ledwie słyszałam swój głos. Zatkąłem palcami uszy i skrzywiłem się. W końcu uśmiechnęła się do mnie.

Siostra Josha zostawiła włączony silnik i czułem, jak klimatyzator pracuje na najwyższych obrotach, gdy przechyliłem się przez oparcie fotela i pocałowałem małą w policzek. Jej reakcja nie była specjalnie chłodna, ale też nie entuzjastyczna. Rozumiałem to. Po co się cieszyć, żeby się rozczarować?

— Wspaniale, że cię widzę. Jak się masz?

— Świetnie... Co za bąble masz na twarzy?

— Użądliło mnie kilka os. To drobiazg, a co u ciebie?

— Jestem na wakacjach z Monicą. Zostaniesz z nami? Miałaś przyjechać w zeszłym tygodniu.

— Wiem, wiem, po prostu... Kelly, ja... Posłuchaj, przykro mi, że nie zrobiłem tylu rzeczy, które ci obiecałem. No wiesz, nie dzwoniłem i nie przyjechałem wtedy, kiedy powiedziałem. Zawsze chciałem, ale po prostu, no wiesz...

Kiwnęła głową, jakby wiedziała. Cieszyłem się, że chociaż ona wie.

— A teraz znowu namieszalem i na jakiś czas muszę wyjechać... lecz naprawdę chciałem cię zobaczyć, choćby przez kilka minut.

Wydawało się, że voyager drży, gdy jumbo jet z rykiem przemknął po pasie i uniósł się w niebo. Czekałem, aż hałas ucichnie, sfrustrowany tym, że nie potrafię się wysłowić.

— Posłuchaj, może byłem trochę zazdrosny o Josha, kiedy zamieszkałaś u niego, ale teraz wiem, że to jest dobre, tak jest najlepiej. Powinnaś dorastać razem z jego dziećmi, bawić się, jeździć na wakacje, które zapewni wam Monica. Dlatego umówiłem się z Joshem, że kiedy uporządkuję moje sprawy i wrócę, będę mógł wszystko nadrobić... no wiesz, widywać się z tobą, dzwonić, przyjeżdżać. Chcę robić z tobą wszystkie te rzeczy, ponieważ bardzo za tobą tęsknię i myślę o tobie przez cały czas. Tak jednak musi być,

musisz mieszkać u Josha. Rozumiesz? — Patrzyła na mnie i kiwnęła głową, a ja ciągnąłem, ledwie nabrawszy tchu. — Teraz muszę zakończyć pewną sprawę, bym później mógł robić to wszystko, co ci obiecałem. Dobrze?

— Pojedziemy na wakacje? Mówiłeś, że kiedyś pojedziemy razem.

— Oczywiście. Tylko nie teraz. Kiedy wrócisz od Moniki, przez jakiś czas będziesz musiała chodzić do szkoły, a ja będę musiał... hm...

— Uporządkować swoje sprawy?

Uśmiechnęliśmy się oboje.

— No właśnie.

Monica otworzyła drzwi i szeroko uśmiechnęła się do Kelly.

— Musimy jechać, kochanie.

Kelly spojrzała na mnie z miną, której nie potrafiłem zinterpretować, i przez jedną okropną chwilę myślałem, że zacznie płakać.

— Czy mogę porozmawiać z doktor Hughes?

Moja twarz z pewnością zdradzała niepokój.

— Dlaczego? Co się stało?

Uśmiechnęła się szeroko.

— No bo jeden mój tatuś właśnie się rozwiódł z moim drugim tatusem. Mam problem.

Nawet Monica się roześmiała.

— Oglądałaś za dużo programów Ricki Lake, kochanie!

Zamknęła drzwi, zasłaniając uśmiechniętą Kelly, i odjechała.

Kiedy wracałem do samochodu, patrząc w ślad za odjeżdżającą siostrą Josha, powiedział przez otwarte okno:

— Z tego parkingu możesz wyjść prosto na dworzec kolejowy naprzeciw lotniska.

Kiwnąłem głową i ruszyłem w kierunku windy, ale miał mi jeszcze coś do powiedzenia.

— Posłuchaj, człowieku, może nie jesteś takim emocjonalnym karłem, za jakiego cię miałem. Najpierw jednak musisz sam wygrzebać się

z tego szamba, a potem wyciągnąć nas. Musisz coś zrobić ze swoim życiem, człowieku, nawrócić się albo co.

Pokiwałem głową, a on odjechał, trzymając się o dwa samochody za voyagerem. Oparłem się o betonowy filar, gdy nad parkingiem przeleciał kolejny lądujący samolot.

I tak jej życie było dostatecznie spieprzone, a ja jeszcze pogarszałem sprawę. Lecz nie miałem zamiaru oddać jej Joshowi i odejść. To byłoby najłatwiejsze. Nie tylko potrzebowała, ale zasługiwała na dwóch rodziców, jeśli nawet byli rozwiedzeni. Miałem nadzieję, że moja obecność, choćby sporadyczna, będzie lepsza od nieobecności. Poza tym chciałem przy niej być.

Taki właśnie był plan. Kiedy „uporządkuję moje sprawy”, wrócę tu i zrobimy wszystko jak należy. Coś w rodzaju wyznaczonych sądownie odwiedzin, dzięki którym Kelly będzie miała to, czego potrzebowała, sens życia i świadomość, że może na nas liczyć.

Tylko że załatwienie tych spraw nie będzie proste. Muszę pokonać dwie przeszkody, jeśli nie chcę, żeby oprócz mnie celem stali się Kelly i Josh, a nawet jego dzieci.

Pierwszą przeszkodą był George, a drugą Potakiwacz.

Kluczem do długofalowego rozwiązania tego problemu był George. On mógł odwołać psy. Mogłem się z nim skontaktować przez Carrie. Nie miałem pojęcia, jak to zrobić, ponieważ George z pewnością był cholernie wkurzony. Jeszcze nawet nie zacząłem się zastanawiać nad tym wszystkim.

Najpierw powinienem pojechać do Marblehead. Pociągiem i z jedną przesiadką powinienem dotrzeć tam jutro o szóstej rano. Z pewnością bez trudu odnajdę Carrie lub jej matkę. To nieduża miejscowość.

Natomiast bieżący problem z Potakiwaczem muszę załatwić szybko, na wypadek gdyby Sundance i Adidas byli już w drodze. Wciąż miałem w garści dowody, którymi mogłem zagrozić George'owi, a Kelly była w bezpiecznym miejscu. Ukryty za jedną z budek telefonicznych na dworcu Waterloo, kwit z przechowalni

bagażu miał trzymiesięczną ważność. W tym czasie mogłem odebrać torbę i umieścić jej zawartość gdzie indziej.

Na razie jednak nie zamierzałem do niego dzwonić. Ustaliliby, skąd telefonowałem. Zrobię to jutro, kiedy wysiądę na Boston South. A może zadzwonię z Union Station w Waszyngtonie, zanim złapię połączenie na północ.

Potem pomyślałem: a po co w ogóle mam wracać do Zjednoczonego Królestwa? Co tam na mnie czeka poza tą torbą?

Zacząłem fantazjować i przyszło mi do głowy, że jeśli dobrze rozegram karty, to może George załatwi mi amerykański paszport. W końcu nie dopuściłem do tego, aby pocisk trafił w ręce rebeliantów z FARC i w sam środek pokładu jakiegoś lotniskowca. Powiedziałbym, że postąpiłem bardzo patriotycznie.

Odsunąłem się od słupa i doszedłem do windy w tej samej chwili, gdy drzwi kabiny się otworzyły i wysiadła z niej para pchająca wózek z ogromną liczbą walizek.

Kto wie? Może kiedy będę „porządkował moje sprawy”, Carrie pozwoli mi spać na kanapie swojej mamy.